
3 1761 05508839 7

STANISŁAW TARNOWSKI

FERDYNAND HOESICK

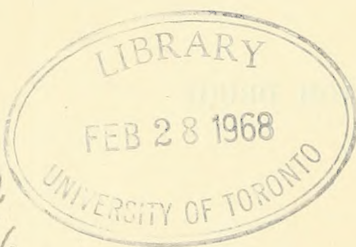
STANISŁAW TARNOWSKI

RYS ŻYCIA I PRAC

TOM DRUGI



WARSZAWA — GEBETHNER I WOLFF
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1906



KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

CZĘŚĆ II

CZTERDZIEŚCI LAT PRACY OBYWATELSKIEJ

(1866—1906)

ROZDZIAŁ I.

Krytyk literacki i pisarz polityczny.

(1866—1874).

Spotkanie się Tarnowskiego z Koźmianem w Krakowie. Wizyta u Szujskiego. Sytuacya polityczna w r. 1866. Założenie *Przeglądu polskiego*. Pierwszy artykuł Tarnowskiego *O sesyi sejmowej*. Streszczenie broszury Rzewuskiego *O nowym pomyśle do ustawy wyborczej*. Odpowiedź Rzewuskiego Recenzya dzieł dramatycznych Szekspira w przekładzie St. Koźmiana. *O adresie sejmu galicyjskiego*. Tarnowski posłem na sejm. 2 marca 1867. Tarnowski wybrany do Rady Państwa. Prace w delegacyach. *Siedm projektów konstytucyi w Austryi*. Rozprawa o Fryczu Modrzewskim. Artykuł o *Rocznikach polskich*. *Profesora Małeckiego Juliusz Słowacki*. Tarnowski członkiem Towarzystwa Naukowego w Krakowie. Kraszewski w *Rachunkach* o Tarnowskim. »Znakomity pisarz«. Recenzya o pamiętnikach A. E. Koźmiana. Sylwetka Tadeusza Pilińskiego i przekład jego *Bezkrólewia*. Odpowiedź na *Rachunki* Bolesławity. Kraszewski urażony. Sejm z r. 1868. Rezolucya. Tarnowski składa swój mandat do Rady Państwa: myśli o docenturze literatury polskiej przy uniwersytecie krakowskim. Sesya sejmowa z r. 1868. Rezolucya. *Teka Stańczyka*. Autokarykatura Tarnowskiego. Ironiczna charakterystyka *Przeglądu polskiego*. Atak dzienników na »Stańczyków« *Sumienność dzienników i dziennikarzy*. Tarnowski doktorem filozofii. Habilitacya. Sylwetka hr. Tarnowskiego, jako młodego docenta, w *Rachunkach* Bolesławity. Znalezienie zwłok Kazimierza Wielkiego. *Unia* Matejki. Trzecia sesya sejmowa. Polemika Tarnowskiego ze Stanisławem Koźmianem w sprawie przekładu Szekspira. Współpracownicy *Przeglądu polskiego*. Salon księżnej Marcelliny Czartoryskiej. Tarnowski na katedrze uniwersyteckiej. Rok 1870. Tarnowski zostaje współwłaścicielem *Czasu*. Wspomnienie o pismach Leona Rzewuskiego. Artykuł o *Korespondencyi* Mickiewicza. Przegrana Francyi i przyszłość Europy. Odczyt o Chopinie. *Romans polski w początku XIX wieku*. Studyum o *Dworzaninie* Górnickiego. Sprawozdanie z przedstawienia *Konfederatów* Mickiewicza w teatrze krakowskim. Występy Modrzejewskiej w Krakowie. Tarnowski jako Żółkiewski na obrazie Matejki. Tarnowski i Asnyk. Studyum o Garczyńskim. Charakterystyka Adama Potockiego *Sedan francuskiej poezyi*. Pierwsze studyum Tarnowskiego o Krasińskim. Wspomnienie o Leonie Kaplińskim. Życiorys ks. Kaysiewicza. Tarnowski członkiem Akademii Umiejętności. Na wystawie wiedeńskiej. Charakterystyka Matejki. Współudział w pracach i posiedzeniach Wydziału filologicznego Akademii Umiejętności. Odczyt o Grottgerze. *Królowa Opinia*. Ślub w Paryżu. Róża z Branickich Tarnowska. Nowe życie.

Na wiosnę roku 1866, świeżo po wyjściu z więzienia, spotkał się któregoś dnia w Krakowie na rynku Stanisław Tarnowski ze Stanisławem Koźmianem i zagadnął go w te słowa:

— Cóż poczniemy? Cóż robić będziemy?

— Wydawać będziemy pismo polityczne, brzmiała odpowiedź.

— Dobrze, ale jak to, my dwaj?

— I Szujski.

— Szujski? Ależ przecie on nie zupełnie takie, jak my, ma przekonania i zapatrywania.

— O, Szujski zupełnie się odmienił.

Dowiedziawszy się o tej metamorfozie swego przyjaciela i kolegi ze szkolnej ławy, którego przynależność w roku 1863 do *Ławy* krakowskiej tak go w nim raziła niemile, Tarnowski odrazu zgodził się na propozycyę Koźmiana, by pójść do Szujskiego, w celu omówienia z nim kwestyi owego pisma politycznego.

Po wizycie tej przekonał się Tarnowski, że Szujski istotnie zmienił się do niepoznania, że w nim zarówno z dawnego współpracownika *Dziennika literackiego*, jak i z byłego sprzymierzeńca *Ławy* nic nie zostało. Był to już inny człowiek. Wypadki roku 1863 i pięcioletnie zagłębianie się w *Dzieje Polski*, których ostatni tom wykończał właśnie, dokonały w młodym twórcy *Sługi grobów* zasadniczego przełomu, zmieniły jego zapatrywania i przekonania, które poprostu z hymnu zstąpiły do prostej powieści, z poetycznej egzaltacyi patryotycznej do twardej i bolesnej rzeczywistości, wolnej od złudzeń i fantasmagoryi. Przełom ten w jego zapatrywaniach i przekonaniach nastąpił w końcu roku 1863 i w ciągu roku 1864, a już w r. 1865 zaczął odczuwać potrzebę zmiany kierunku narodowego. Był to, jak sam przyznawał »najstraszniejszy okres w jego życiu«, a »to mi było najboleśniejszem — wyraził się raz z tego powodu do Tarnowskiego — że nie miałem się przed kim wynurzyć, bo i ty i Koźmian byliście w kozie« [1]).

Tarnowski i Koźmian, podobnie jak i ich przyjaciele tyczyńscy z Ludwikiem Wodzickim na czele, nie potrzebowali przechodzić takiej ewolucyi przekonań, albowiem jeszcze przed powstaniem hołdowali trzeźwości w polityce, a rozumowi w patryotyzmie. »Po r. 1863 — słowa są Tarnowskiego — zmieniły się w nas dusze, ufne i szczęśliwe na zbolałe, zmieniły się programy własnego życia, nie zmieniły się ani uczucia ani przekonania« [2]). Że musieli zmienić programy wła-

---

[1]) St. Koźmian, *Rzecz o roku 1863*, I, 39, 40.

[2]) *Przegląd polski*, 1894, paźdz., str. 75. *Paweł Popiel.*

snego życia, to wobec ich patryotyzmu było koniecznem i nieuniknionem. Albowiem »skończyło się wtedy nie jedno powstanie, lecz skończył się cały jeden okres historyi. O ile przez Polskę posunął się wiekami Zachód na Wschód, o tyle teraz po Polsce powalonej następował, wdzierał się Wschód na Zachód. Tama zerwana, zalew bucha. Stawiać mu tamy, gdzieś daleko, rzecz próżna: niema ani z czego, ani kim ich stawiać. To cośmy nazywali zagraniczną polityką Polski porozbiorowej, to skończone! Koń jest w środku Troi: Kassandra nie ma już co mówić. Kula ziemska, jak duża i okrągła, opasana jednym łańcuchem obrzydliwości. A kiedy jedni kłaniają się przed koniem trojańskim ze strachu, drudzy liżą jego kopyta z prostej podłości« [1]). To w Europie, w której począwszy od roku 1863 zaczęło się, za przewodem Bismarcka i Prus, panowanie siły przed prawem. A w Polsce? Tutaj, jak po przejściu huraganu, albo dziczy tatarskiej, prawie nie było rodziny, która by nie poniosła strat dotkliwych, na którą by w ciągu tego »strasznego roku« nie spadło mniejsze lub większe domowe nieszczęście. Tarnowscy z Dzikowa, posiadający także rozległe majątki w Królestwie, również ponieśli dotkliwe straty wskutek skonfiskowania tych majątków... Ale to wszystko było niczem w porównaniu ze stratą najmłodszego z braci... »Od domowych nieszczęść wszakże trudniejsze do zniesienia były publiczne. Każdy z nas wie — pisze Tarnowski — co mu się działo. Kiedy oprócz wszystkich śmierci, więzień, wygnań, spadały raz po raz, jak gromy, ukazy, obliczone na zagładę społeczeństwa a zepsucie samego ducha polskiego, i kiedy prosty rachunek i rozsądek kazał przewidywać ich skutki: gdy widział język, prawa urzędników, szkoły, wszystkie pierwiastki i organa cywilizacyi, oddane w ręce rosyjskie, ziemię samą im przeznaczoną, Kościół skazany na stopniowe a systematyczne zniszczenie, a zasady złego zaszczepione i szerzące się między Polakami samymi!« To też i Tarnowski, jak wielu innych w tym czasie, »widział miłość swoją przebitą i konającą, i widział głębiej, niż kiedykolwiek, narodu duch zatruty«. Mimo to, nie załamując rąk z rozpaczy, garnął się do roboty społecznej.

Ale co czynić? »Co począć? co robić? co jest do roboty w tem rozbiciu, w tem zawaleniu się polskiego świata?« [2]) Gdy na tak postawione przez Tarnowskiego pytanie odpowiedział Koźmian, że wydawać będą pismo polityczne, w projekcie tym tkwił cały program polityczny, program, mający za zadanie wytworzyć nową szkołę po-

---

[1]) Z mowy na pogrzebie ks. Władysława Czartoryskiego

[2]) *Ksiądz Waleryan Kalinka,* str. 111.

lityczna, która by naród sprowadziła z bezdroży, z drogi powstań i spisków, a powiodła do prawdziwego odrodzenia narodowego, ratowała byt narodowy. Oto, jak jej zadania i cele określa Stanisław Koźmian, który wraz ze Stanisławem Tarnowskim i Józefem Szujskim, stał się jednym z jej twórców: »Szkoła, powstawszy z badań historycznych i doświadczeń roku 1863, w jednych i drugich odnalazła wady narodowe, które podkopały byt państwowy, oraz bytowi narodowemu szkodę wyrządziły. Wady narodowe wykorzenić się nie dadzą, ale jak w życiu prywatnem zadaniem wychowania jest walczyć ze złemi ludzkiemi skłonnościami, aby osłabić ich moc, tak samo publicznego celem poskromić i zmniejszać narodowe. Szkoła podjęła to zadanie i zamiast rozpaczliwych zapasów z rozbiorowemi mocarstwami wskazała obowiązek walki z własnemi wadami, w niej upatrując polityczny patryotyzm. Że zaś w anarchii nietylko czynów, ale i pojęć, zestrzeliły się były główne wady narodu, że ona była syntetycznem zawsze ich uosobieniem, że anarchia czynów zgubiła byt państwowy, a anarchia pojęć podkopała byt narodowy, więc szkoła wypowiedziała walkę anarchii wszelkiego rodzaju« [1]).

Rzecznikiem tej nowej szkoły, jej wyrazem i orędownikiem, miało być pismo polityczne. W ten sposób powstał *Przegląd polski*, »pismo poświęcone polityce i literaturze« miesięcznik, na wzór paryskiej *Revue des deux Mondes* [2]). Pismem wszelako, które młodym redaktorom, a zwłaszcza Tarnowskiemu, przyświecało jako wzór główny, jako ideał, były *Wiadomości polskie*. Kto wie nawet, czy nie chodziło o to, żeby *Przegląd polski* stał się rodzajem dalszego ciągu *Wiadomości polskich* [3]). Co pewna, że młodzi redaktorowie i wydawcy, do których od samego początku, gdy stanęła myśl wydawania takiego miesięcznika, przyłączył się i Ludwik Wodzicki, kiedy im przyszło formować sztab przyszłych współpracowników *Przeglądu*, w pierwszym rzędzie liczyli na współpracownictwo dwóch głównych redaktorów *Wiadomośbi polskich*, Kalinki i Klaczki, których duch i bez tego miał się unosić nad *Przeglądem*. Inni wybitni pisarze współcześni, z Lucyanem Siemieńskim na czele, również im przyrzekli swe współpracownictwo. Z pośród osobistych przyjaciół Tarnowskiego, który może najbardziej krzątał się około założenia *Przeglądu*, przyrzekli zasilać

---

1) *Rzecz o r. 1863*, III, 355.

2) Zob. *Teka Stańczyka*, List Brutusika (ex-ministra). »Zamierzał on tylko zostać polską *Revue des deux Mondes*«...

3) »*Przegląd polski* wziął najwięcej spadku w poglądach i metodzie, z paryskich *Wiadomości polskich* redakcyi Juliusza Klaczki i Waleryana Kalinki«... (Ludwik Dębicki, Z 50-letnich roczników *Czasu*, *Przegląd polski*, 1899, kwiecień, 104).

go swemi pracami: Zygmunt Sawczyński i Bernard Kalicki. Jako wydawca i odpowiedzialny redaktor miał podpisywać pismo Ludwik Powidaj, na którego też głowie w znacznej części spoczywała strona wydawnicza *Przeglądu* [1]).

Przystępując do wydawania pisma, które wytknęło sobie, jako cel zasadniczy, »wytrwale i odważnie przeprowadzać nowy sposób w życiu narodowem i zmierzać bez złudzeń i zwątpienia do jego następstw«, zarówno Tarnowski, jak i jego towarzysze redakcyjni, byli najlepszej myśli, wierzyli, że obywatelskie przedsięwzięcie, do którego w tej chwili przystępowali, znajdzie szeroki oddźwięk w kraju, albowiem zdawało się im, że mają w kraju, jeżeli nie gotowe stronnictwa, to przynajmniej elementa, do nich gotowe i bliskie zupełnego połączenia. »Zdawało nam się — opowiada Tarnowski — że po wypadkach roku 1863, że w chwili, kiedy wewnętrzny stan Austryi otwierał nam drogę do działania, nasze położenie do zrozumienia tak łatwe, rozumiane jest dość powszechnie, i że ludzie, którzy na sprawy zapatrują się jednako, radzi będą wszystkiemu, co ich zapatrywaniu da wyraz, widząc w tem pewien przybytek siły dla siebie i swoich dążności, i jaki taki środek działania. I w połowie mieliśmy słuszność. Większość ludzi oświeconych w kraju rozumiała dobrze i zgodnie tak złe skutki tajnych sprzysiężeń i robót, jak konieczność i korzyści porozumienia i zgody z Austryą. Ale rozumiejąc rzeczy jednakowo, nie czuła pragnienia i potrzeby jednakowego postępowania, czyli nie była gotowym materyałem na stronnictwo, nie mogła go z siebie wydać. A mówiąc to, prosimy o wiarę i zaręczamy najsumienniej, że... nie myśleliśmy stronnictwa tworzyć, tem mniej niem kierować. Wiedzieliśmy, że one tworzą się same, a zebrania i stowarzyszenia, a narady i pisma wreszcie, są ich skutkiem, nie ich początkiem: i myśleliśmy, że nasz powstający *Przegląd* jest skutkiem

---

[1]) O Ludwiku Powidaju, jako pierwszym redaktorze odpowiedzialnym *Przeglądu polskiego*, »jego gorącym przyjacielu, a współredaktorów wiernym, pewnym, gorliwym koledze«, tak w r. 1882 we wspomnieniu o nim pisze St. Tarnowski: »Kiedy przed szesnastoma laty, we trzech, młodych jeszcze wtedy, zerwaliśmy się na przedsięwzięcie, które się łatwiejszem wydało, niż się okazało, mało kto oczywiście chciał spieszyć z pomocą pismu, w którego przyszłości pewnem było tylko to jedno, że wraz z redakcyą swoją nieraz będzie celem niechęci i prześladowania. Ludwik Powidaj przystąpił do nas odrazu, bez wahania, i nietylko oddał *Przeglądowi* swój czas i pracę, ale przywiązał się całem sercem do jego zasad i dążności, i dał dowód niemałej wytrwałości i odwagi, kiedy przez lata całe wytrzymywał wszystkie rzucane na *Przegląd* oskarżenia i obelgi, a nigdy nietylko się nie zachwiał, ale nawet nie zmarszczył. (*Przegląd polski*, 1882, listopad, 273).

i wyrazem tej zmiany w polityce i opinii, jaka u nas w zmienionych okolicznościach nastała. Nie roszcząc zaś sobie praw ani tembardziej nie pragnąc stać u steru, pragnęliśmy tylko być tej polityki jednem z narzędzi, tej opinii jednym z głosów, nie głową stronnictwa patryotycznego, rewolucyom przeciwnego, nie jego ręką nawet, ale jego jednym palcem: że od kierowania dalecy, sami będziemy pod kierunkiem mądrzejszych i wytrawniejszych od siebie, przyjmując od nich wskazówki i rady, i pisząc tak, jak w każdej chwili uzna za potrzebne ten patryotyczny i przeciwrewolucyjny obóz, sam reprezentowany naturalnie przez ludzi co najrozumniejszych i co najlepszych. Mieliśmy nadzieję, że będziemy przyjęci łaskawie, jak zwykle przyjmowanym bywa ochotnik, który na żołnierza przydać się może, służbę swoją ofiaruje za darmo, a prosi o jedno tylko, żeby mu dano coś do roboty i powiedziano, jak ma robić« [1]).

W tej nadziei, z prawdziwie młodzieńczym zapałem przystąpili do dzieła, aż wreszcie dnia 1 lipca 1866 roku pierwszy zeszyt *Przeglądu polskiego* — przy odgłosie dział bitwy pod Sadową — opuścił oficynę drukarni Uuniwersytetu Jagiellońskiego.

Na pierwszem miejscu figurował programowy artykuł polityczny Floryana Ziemiałkowskiego o *Naszych zadaniach w obecnem położeniu*, artykuł, który, jako podpisany nazwiskiem wice-prezesa izby poselskiej austryackiej, całemu zeszytowi nadawał powagę i znaczenie. Wśród reszty artykułów i prac, składających się na treść tego pierwszego zeszytu, a podpisanych przez Szujskiego, Wodzickiego, Chrzanowskiego i innych, wyróżniał się artykuł polityczny *O sesyi sejmowej z roku 1865—66*, z podpisem Stanisława Tarnowskiego.

Był to jego pierwszy debiut literacki, debiut, tem różniący się od wszystkich wystąpień tego rodzaju, że odrazu dawał poznać pisarza utalentowanego i... dojrzałego, już wyrobionego zupełnie. Zazwyczaj dzieje się przeciwnie, gdyż najczęściej podobne debiuty równają się próbkom młodocianym, płodom niedowarzonym. Ale bo też nic trudniejszego, jak powstrzymać się od drukowania tego, co się napisze, kiedy się marzy o sławie, a ma się lat dwadzieścia! Później, w epoce dojrzałości, żałuje się tych pierwszych, zawcześnie wydrukowanych pierwocin talentu, chciałoby się je wykreślić z listy swych utworów, ale ten krytycyzm stale przychodzi za późno, po niewczasie. Trzeba wielkiego panowania nad sobą, wyjątkowej powściągliwości, by zdołać się oprzeć tej najniebezpieczniejszej z pokus. To też opiera się jej rzadko kto. Nie oparł się jej nawet Szujski. Tarnowski, który

---

[1]) *Studya polityczne*, I, 121—123. Obrachunek *Przeglądu polskiego*.

go powstrzymywał od tego, sam był wierny zasadzie, którą napróżno starał się wpoić w przyjaciela, że nie należy się spieszyć z drukowaniem, a występując po raz pierwszy, należy wystąpić z czemś poważnem i przemyślanem. W myśl tej zasady, gdy w pierwszym zeszycie *Przeglądu polskiego* rozpoczynał swój zawód pisarski, liczył sobie lat 29, a więc był w wieku, w którym już można być odpowiedzialnym za to, co się wydrukuje, bo już się ma ustalone przekonania i poglądy, a z wykształceniem zdobyło się i potrzebne doświadczenie. Gdy Szujski, zaledwie o dwa lata starszy, zdążył był już do tej pory ogłosić drukiem olbrzymie 4-tomowe *Dzieje Polski* (o których przerobieniu później myślał przez całe życie), a miał już za sobą cały długi szereg poezyi i dramatów, artykułów literackich i studyów historycznych, drukowanych w *Dzienniku literackim*, przygotowując zaś w tym właśnie czasie do druku książkowe wydanie swych utworów dramatycznych, już nawet niektóre z nich, jak *Halszkę z Ostroga* i *Jadwigę*, widział grane na scenie krakowskiej, Tarnowski występował dopiero ze swym pierwszym artykułem politycznym.

Za to artykuł odrazu zwrócił na siebie uwagę, a pierwszym, który go pochwalił, był Kraszewski. Omawiając w tomie I *Rachunków* ukazanie się *Przeglądu polskiego*, zarzucał mu Bolesławita, że właściwie składa się z pojedynczych broszur, które zszyte razem, »choćby tak doskonale napisane, jak ów pogląd hr. Stan. Tarnowskiego na stosunki galicyjskie«, jeszcze nie stanowią pisma. Bądź co bądź, artykuł, nacechowany gorącem uczuciem obywatelskiem, a nader trafnie omawiający wszystkie główniejsze sprawy sejmowe, zyskał powszechne uznanie.

Ale widocznie nie objawiło się to tak, jak tego potrosze spodziewał się i sam autor. Z chwilą wyjścia pierwszego zeszytu *Przeglądu polskiego*, zeszytu, który od początku do końca ułożony był bardzo starannie, a zawierał szereg artykułów cennych, nawet niepospolitych, Tarnowski i jego koledzy redakcyjni, Koźmian i Szujski, niezmiernie byli ciekawi wrażenia, jakie to nowe pismo zrobi w ogóle, a w prasie w szczególności. Że zostanie przychylnie powitanem przez *Czas*, tego byli pewni. Okazało się, że mieli złudzenia pod tym względem, bo właśnie ze strony *Czasu* spotkał ich gorzki zawód. Oto, co w tej kwestyi opowiada Tarnowski: »Gdy wyszedł na świat pierwszy zeszyt *Przeglądu polskiego*, redaktorowie jego z pewnem rozczarowaniem i zmartwieniem znaleźli o nim w *Czasie* wzmiankę tylko krótką, suchą, bardzo chłodną. Spodziewali się czego innego: życzliwości, ufności, zachęty. *Czas* znał ich wszystkich doskonale, od dzieci, i mógł wiedzieć, że jeżeli rozumu i doświadczenia mieli zapewne mniej od

niego, to położenie kraju i swój względem niego obowiązek rozumieli tak, jak on, że będą się trzymali tej samej, co on, politycznej drogi. Liczyli więc na pewne, że będą powitani, jak sprzymierzeńcy, pełni dobrej woli, gotowi do pomocy, i może nie do pogardzenia. Nie prosili z góry o takie powitanie, bo im się zdawało, że prosić za sobą, to jakoś nie ładnie. Myśleli zaś w naiwności swojej, że życzliwość *Czasu* należy im się z prawa, sama z siebie, jak *a matter of course*. Byli też przykro zdziwieni, gdy stało się inaczej; ale rozumie się, że tego po sobie nie pokazali. Jeżeli nie jest ładnie za sobą prosić, to jeszcze mniej ładnie o siebie się upominać i skarżyć. Znosili więc tę neutralność niezbyt przychylną *Czasu*, więcej cicho, niż pokornie, ale cicho« [1]).

Gdy wyszedł zeszyt sierpniowy *Przeglądu*, było już po bitwie pod Sadową. »Nie łatwo — pisał pod datą 29 lipca w *Przeglądzie politycznym* Tarnowski — znaleźć w historyi przeciąg czasu równie krótki, a równie obfity w wypadki nieobliczonej doniosłości, nieobliczonych skutków na przyszłość«. Szczególniej w Austryi należało się spodziewać zmian zasadniczych. Jeżeli takowe miały nastąpić, to przedewszystkiem powinna Austrya, zdaniem Tarnowskiego, przeobrazić się w wielkie państwo federacyjne.

To było stanowisko, które w obec Austryi zajęli najwybitniejsi mężowie polityczni polscy, a w ich liczbie i młodzi redaktorzy *Przeglądu polskiego*, Tarnowski w pierwszym rzędzie. W tym duchu też były jego wszystkie artykuły polityczne, których kilka w tym czasie zamieścił w *Przeglądzie:* czy to pisał *O nowym pomyśle do ustawy wyborczej* [2]) z powodu broszury francuskiej Leona Rzewuskiego, z którym z tego powodu wywiązała się polemika, czy to, gdy zabierał głos *O adresie Sejmu galicyjskiego* [3]), w którym to artykule sformułowany został cały program polityki polsko-austryackiej, czy to gdy poddawał gruntownej analizie politycznej *Siedm projektów Konstytucyi w Austryi* [3]), z których żaden go nie zadawalniał, wszędzie występował jako zwolennik systemu federacyjnego, który jego zdaniem, był zbawieniem dla Austryi, a szczęściem dla jej ludów. Ale rząd nie mógł się zdecydować na ten system.

Tymczasem, zanim się skończył sejm, na którym uchwalono pamiętny adres do Tronu — przy Tobie Najjaśniejszy Panie stoimy i stać chcemy — upadło ministeryuum Belcrediego, a na czele rządu

[1]) *O Czasie i jego redaktorach*, str. 58.
[2]) *Przegląd polski*, 1866, październik.
[3]) *Przegląd polski*, 1867, styczeń.
[4]) *Przegląd polski*, 1867, kwiecień i maj.

stanął Beust, który przez zwołanie t. z. konstytucyjnej Rady Państwa, wracał do systemu Schmerlinga. Układ wszakże, zawarty — dzięki Beustowi właśnie — między Węgrami a Niemcami na podstawie supremacyi jednych i drugich w dwóch odrębnych połowach monarchii, wywołał żywe zaniepokojenie wszystkich krajów i sejmów, które też, w celu jednakowego oporu przeciw temu dualizmowi, jęły się porozumiewać co do zgodnego postępowania. Poddać się czy nie poddać? Oto alternatywa, która teraz stanęła przed najbliższym sejmem galicyjskim, do którego właśnie odbywały się wybory, a który miał się zebrać w dniu 18 lutego 1867 roku.

W czasie wyborów tych, w styczniu, Tarnowski, został wybrany — z grona większej własności ziemskiej — na posła z okręgu rzeszowskiego.

Równocześnie w Krakowie odbywały się obrady mężów politycznych, w których Tarnowski z Wodzickim, trzymając się Adama Potockiego i Henryka Wodzickiego, brali nader czynny udział, obrady, na które, oprócz posłów ze Lwowa, przyjechali także Czesi. Na tych obradach postanowiono nie wysyłać delegacyi do Rady Państwa. Następnie, już podczas sejmu, w lutym r. 1867, Adam Potocki i Stanisław Tarnowski jeździli do Pragi, dla porozumienia, co oba Sejmy, galicyjski i czeski, zrobić mogą, jeżeli rząd — co już przewidywano — zagrozi rozwiązaniem sejmu. Wrócili do Lwowa, przywożąc wiadomości, że Czesi nie ustąpią. W jakiś czas potem, gdy się objawiło prawdopodobieństwo, wysłania delegacyi przez Sejm galicyjski, Tarnowski, tym razem z Konstantym Czartoryskim, znów jeździł do Pragi, by o tej możliwości przestrzedz Czechów [1]. Wrócił na krótko przed pamiętnem posiedzeniem z d. 1 marca, na którem komisya sejmowa postawiła wniosek uchwalenia adresu do Tronu, adresu, w którym Sejm miał zaprotestować przeciw ważności Konstytucyi z 26 lutego 1861 r. zgodzić się jednak na wybór delegacyi do Rady Państwa. Nazajutrz, »sławnego 2 marca«, na skutek groźby rozwiązania Sejmu, komisya cofnęła wniosek adresu, Sejm zaś, już bez żadnych zastrzeżeń prawno-politycznych, 99 głosami wybrał delegacyę co Rady Państwa. Przeciw tej uchwale głosowało 34 posłów, między którymi, obok Adama Potockiego, Henryka i Ludwika Wodzickich, Grocholskiego i innych, był i Stanisław Tarnowski. Tymczasem stało się tak, że wśród nazwisk delegatów, dziwnym zbiegiem okoliczności, znalazły się nazwiska Adama Potockiego, obu Wodzickich, Grocholskiego i Tarnowskiego. Co robić wobec tego? Przyjąć

[1]) *Dzieła Józefa Szujskiego*, t. 18, str. 123.

wybór, przeciwko któremu się głosowało, było rażącą niekonsekwencyą, nie przyjąć zaś, było ryzykiem. Skończyło się na tem, że i St. Tarnowski i Ludw. Wodzicki przyjęli wybór. Zarzucano później Tarnowskiemu i jego towarzyszom, że głosowali przeciw wysłaniu do Rady Państwa, a przecież pozwolili się do niej wybrać. Ta sprzeczność, którą sami doskonale czuli, tłómaczy się tem — czytamy w Tarnowskiego wspomnieniu o Ludwiku Wodzickim — że byli tym wyborem zaskoczeni, a do jego przyjęcia poważną radą i przykładem skłonieni. Żaden nie przypuszczał możliwości swojego wyboru. Późną już nocą, w Izbie, niezmiernie znużonej, niespodzianie ogłoszono rezultat głosowania, który spadł na nich, jak piorun z jasnego nieba. Stan. Tarnowski i Ludw. Wodzicki chcieli w tej chwili złożyć mandat. Skoczyli do Adama Potockiego na rozmowę, która zaledwie sekundę trwać mogła. Adam Potocki, w tem samem położeniu, co oni, odpowiedział: „*Je vous supplie, pas des résolutions extrêmes!* Trzeba iść tam i działać przeciw złemu, jakie się nadarzy. Ja wybór przyjmę«. Tak samo zrobił Kazimierz Grocholski, który przykładem swoim i namową zachęcał, żeby się nie upierali przy teoretycznej logice; tak samo Henryk Wodzicki. Wobec tego, młodzi, jak Tarnowski i Wodzicki, nie mogli zrobić nic innego, ani lepszego, jak trzymać się starszych i doświadczonych [1]). W Wiedniu, dokąd wraz z innymi delegatami udał się i Tarnowski, delegacya znalazła się podzieloną

[1]) W swem wspomnieniu o Franciszku Smolce (*Przegląd polski*, 1899, styczeń, 189) tak pisze w tej sprawie Stan. Tarnowski: »Smolka był jednym z tych, którzy chcieli się oprzeć. Czy nie mieli słuszności! Okoliczności ówczesne wprawdzie wskazywały wyraźnie, że kraj nie ma dość siły na stanowczy zasadniczy opór; ale okoliczności dzisiejsze mówią może, że gdyby w r. 1867 nie był się ustalił ten system niemiecko-węgierskiego dualizmu, to w r. 1897 i w dwóch następnych, parlament, konstytucya, ugoda z Węgrami i monarchia sama, nie byłyby w tym stanie zamięszania i rozbicia, w jakim są. Może przecie mieli słuszność ci, co w r. 1867 chcieli się trzymać sprawiedliwości i zasad, nie okoliczności«. To samo zapatrywanie wypowiada St. Tarnowski i w swem wspomnieniu o Ludwiku Wodzickim, gdzie tak pisze między innemi: »Kto i o ile miał słuszność w owym dniu 2 marca, trudno przesądzać. Bardzo poważni i roztropni ludzie (Leon Sapieha, Kraiński, Zyblikiewicz, Ziemiałkowski) bali się skutków oporu i byli za ustąpieniem. W tej mniejszości, która się opierać chciała, nie brakło równych im wartością, a dzisiejszy stan Węgier i Czech wskazuje, że może nie byli bez słuszności«.

W swej *Odpowiedzi Mateusza Żórawia na Listy Tadeusza Czapli o Delegacyi Galicyjskiej* Józef Szujski tak opisuje tę chwilę w dniu 2 marca 1867: »Autor ma słuszność, kiedy zarzuca niekonsekwencyę tym posłom, którzy dali się wybrać do Rady Państwa, choć przeciw wysłaniu głosowali, i tu zgadzamy się z nim zupełnie. Ale nie ma słuszności, kiedy twierdzi, że posłowie ci (a ma tu na myśli głównie St. Tarnowskiego i L. Wodzickiego) ubiegali się, by ich wybrano.

na większość, skłonniejszą do układów i ugody z rządem, i opozycyjną mniejszość, do której właśnie, wraz z Adamem Potockim, obu Wodzickimi i Grocholskim, należał Tarnowski. W Izbie naturalnie głosowanie było solidarne, ale w Kole przychodziło do walk ostrych i zaciętych. Trzymając z mniejszością, Tarnowski stale uczestniczył w jej poufnych porozumieniach, wciąż się znosząc z jej głównymi przedstawicielami, najwięcej z Adamem Potockim. Położenie jednak, w jakiem ta delegacyjna mniejszość znalazła się w ówczesnej Radzie Państwa, było bardzo przykrem wogóle, a dla Tarnowskiego w szczególności, a już co mu dokuczało najbardziej, to przymus głosowania za tem, co się miało za złe, przymus, na który nie było rady wobec obowiązującej solidarności Koła. Już to wogóle zawikłane były prace tej nowej Konstytuanty, którą stała ówczesna Rada Państwa, zakończona Konstytucyą z grudnia 1867 roku. Przez cały ten czas hr. Beust, któremu wobec opozycyi Czechów tem więcej zależało na okazaniu, że Polacy godzą się i łączą z jego systemem, utrzymywał delegacyę w ciągłych obietnicach, między któremi stały znane żądania sejmów z roku 1866 i 1867: 1) język polski w szkołach, sądach i urzędach; 2) prawodawstwo w sprawach szkolnych i zarząd funduszami szkolnemi przyznane Sejmowi; 3) Najwyższy Trybunał we Lwowie i wreszcie 4) osobny kanclerz dla Galicyi. Zgodą na te cztery punkty, obietnicą ich ziszczenia, skłonił hr. Beust większość delegacyi polskiej, że głosowała — nie bez zastrzeżeń jednak — za adresem, dziękującym cesarzowi za przywrócenie Rady Państwa. Około tych punktów też toczyły się wszystkie dalsze narady i układy z Beustem, którego pięknym obietnicom, przy głosowaniu za adresem, dawali się złudzić, nawet polityczni przyjaciele i przewodnicy Tarnowskiego. Z czem mu było pogodzić się najtrudniej, choć i z tem pogodzić się nie mógł, że i on i jego przyjaciele zawsze byli w małej liczbie przeciw większości, zjednoczonej i prowadzonej systematycznie na drogi centralistycznego liberalizmu. Starszych, poważniejszych, jak Adam Potocki,

---

Przeciwnie, posłowie ci (Tarnowski i Wodzicki), nie widząc imion swoich na liście delegacyjnej hr. Gołuchowskiego, nie przypuszczali, żeby wybranymi być mogli. Gdy imiona te wyszły z urny na wielkie ich zdziwienie, trudno było im protestować i odrzucać mandat, bo stało się to nie w ostatnim dniu, ale w ostatniej chwili sesyi sejmowej: o godzinie 11-ej wieczór, kiedy Sejm miał być zamkniętym 2 marca. Nagłość chwili, niepodobieństwo zniesienia się z sobą, pośpiech, niecierpliwość i znużenie Izby, samo wreszcie nieprzygotowanie wybranych, przyczyniły się do tej ich niekonsekwencyi; a ten fakt, że pomimo ich głosowania Sejm ich do Wiednia posyłał, mogli oni w dobrej wierze wziąć za dowód, że Sejm chce, aby kierunek przez nich przyjęty, reprezentowanym był w delegacyi i w Radzie Państwa. Poszli więc. Ob. *Dzieła Józefa Szujskiego*, t. 18, str. 125, 126.

Henryk Wodzicki, Grocholski, trudno było pominąć przy wyborach do komisyi, ale młodzi, jak Stan. Tarnowski albo Ludwik Wodzicki, należący do mniejszości, nie łatwo mogli się do nich dostać. Przydała się przecież ta mniejszość, choćby na to, że gdyby nie jej groźba złożenia mandatów, delegacya polska byłaby głosowała za konstytucyą grudniową. Zarówno w tym wypadku, jak i w innych, Tarnowski, wiernie trzymając się mniejszości, bardzo energicznie popierał jej akcye... Osobiście było to dlań niejednokrotnie połączone z niemałemi przykrościami, choćby dlatego tylko, że wśród większości delegacyjnej liczył kilku ludzi, z którymi wolałby iść ręka w rękę. Do takich należał n. p. Floryan Ziemiałkowski, z którym wogóle, wskutek różnicy poglądów politycznych, stosunek zaczynał pozostawiać coraz więcej do życzenia... Miało się to niebawem ujawnić w słynnych *Listach Tadeusza Czapli o Delegacyi Galicyjskiej*, których autorstwo przypisywano Ziemiałkowskiemu, a w których nie brakło ustępów, wprost wymierzonych przeciw Tarnowskiemu i jego przyjaciołom, piętnujących ich »intrygi« w zestawieniu z poświęceniem i rozumem »uciemiężonej większości«. Szczególniej dostało się Tarnowskiemu, jak i jego przyjaciołom, za pewien »bankiet w Hietzingu« pod Wiedniem, bankiet, na którym jakoby »obchodzono alians wszystkich oligarchicznych i klerykalnych żywiołów«, choć był to zwykły obiad, w ogrodzie Dommajera, mający służyć za sposobność do poznania się z Węgrami. W obiedzie tym, ze strony polskiej, oprócz Tarnowskiego, uczestniczyli obaj Wodziccy i Adam Potocki, ze strony węgierskiej zaś hr. Andrassy, Festetics, Szecheny i Nopcsa. Celem tego spotkania, jak się pokazało, była próba, czy Polacy nie daliby się sprowadzić z zasadniczego stanowiska, mianowicie zawrzeć sojusz z Niemcami i Węgrami, a poświęcić Słowian — Czechów przedewszystkiem — i swoje autonomiczne zasady. Że wobec tego niemożliwem było porozumienie, że narady nie doprowadziły do niczego, domyśleć się łatwo [1]).

---

[1]) *Dzieła Józefa Szujskiego*, tom 18, str. 130—131. *Odpowiedź Mateusza Żorawia na Listy Tadeusza Czapli.*

Prócz tego »bankietu w Hietzingu«, mieli Tarnowski i jego przyjaciele polityczni jeszcze jeden »bankiet z Niemcami« na sumieniu. O tym drugim bankiecie tak opowiada Mateusz Żóraw (Szujski) Tadeuszowi Czapli (Ziemiałkowskiemu): »Jednak prawda przed wszystkiem, był i bankiet z Niemcami. Nie po uchwaleniu sławnego *staatsgefährlich* wprawdzie, bo dużo później, nie w Hietzingu, bo w Wiedniu, nie z p. Adamem Potockim, bo ten niestety nie był na tej klerykalno-feudalnej uczcie, ale był obiad, i to z Niemcami, choć skromność i słuszność wymaga przyznać, że ani tak świetny, ani z takim charakterem politycznym, jak bankiet na cześć jednego z najzaciętszych centralistów, p. Winter-

Ale prace sejmowe we Lwowie, zarówno jak i czynny, a nawet »bardzo energiczny« współudział w Radzie Państwa, zwłaszcza w obradach delegacyi, nie przeszkadzały Tarnowskiemu — w chwilach wolnych — gorliwie zajmować się sprawami *Przeglądu polskiego*, zasilać go artykułami, bądź politycznej, bądź literackiej treści.

Pierwszą pracą literacką Tarnowskiego, która się ukazała w *Przeglądzie polskim*, było obszerne sprawozdanie z tomu I *Dzieł dramatycznych Szekspira* w przekładzie Stanisława Koźmiana. Sprawozdanie to, wydrukowane jako *Kronika literacka* [1]), ukazało się bez podpisu autora, który na razie widocznie pragnął zwrócić na siebie uwagę jedynie jako pisarz polityczny. Jako krytyk literacki uważał że właściwe jeszcze nie podnosić przyłbicy. Snać nie leżało to z początku w jego widokach. Cokolwiekbądź, sprawozdanie wysoko wznosiło się ponad poziom zwykłej recenzyi, a dla swego autora było bardzo znamiennem. Szczególniej charakterystycznym był początkowy ustęp, omawiający stosunek naszej czytającej publiczności do literatury pięknej, stosunek, który w r. 1866 wiele pozostawiał do życzenia.

Często bardzo spotkać się można u nas z zarzutem na stagnacyą ruchu literackiego, na mnogość utworów mdłych i jednodniowych, na brak prac gruntownych, zdrowych lub prawdziwie pięknych, wreszcie na obojętność względem literatury. Tłómaczymy się odrętwieniem, w jakieśmy wpadli w skutku ostatnich wypadków politycznych, tłómaczymy się ubóstwem, i nie można zaprzeczyć, że to argumenta nie bez wagi; wszelako okoliczności te łagodzące nie zmieniają ani faktu tej obojętności, ani jej smutnego znaczenia. Gdybyśmy chcieli szukać przykładów tej niełaski, w jaką poszła literatura u naszej publiczności, nie wiem, czy znalazłby się przykład wymowniejszy nad ten, że pisarz znany zarówno ze zdolności jak z pracy, wydaje tłómaczenie największego poety ery chrześciańskiej, a nietylko, że rzadki jest dom, w którym spotkać by się można ze świeżo wydanym tomem, lub człowiek, któryby ten tom przeczytał, ale nawet pisma peryodyczne zbyły to zjawisko krótką zaledwie wzmianką, niedostateczną, aby zwrócić na nie uwagę czytających i zachęcić do zapoznania się

steina, kiedy tenże został członkiem Izby wyższej, na którym to bankiecie był i drugi Wiceprezydent Izby niższej (Floryan Ziemiałkowski). Ten tedy obiad z Niemcami odbył się jak następuje: kilku posłów niemieckich, istotnie z Grafenbanku, ułożyli między sobą wspólny obiad i zaproponowali trzem posłom polskim, panom Wodzickim i Tarnowskiemu, żeby do suskrybcyi tej należeli. Widząc w tej propozycyi zamiar grzeczności, nie sądzili ci panowie, żeby im należało odmówić: podpisali więc składkę. Pan Henryk Wodzicki, który tymczasem był wyjechał, nie był na tej uczcie, oddanej pod sąd potomności przez pana Czaplę i przez *Dziennik Lwowski;* dwaj inni poszli. Jakie stąd wyniknęły nadal zgubne klerykalno-feudalne zdrady, intrygi i machinacye, to nam może kiedyś powie pan Czapla, jak napisze Mystery Grafenbanku i mniejszości: dotąd nie zapisała ich historya«.

[1]) *Przegląd polski*, 1866, wrzesień.

z nowym przekładem Szekspira. Gdybyż jeszcze opłakane skutki roku 1863 tak wyłącznie absorbowały naszą myśl i uczucie, żebyśmy w ciągłem rozpamiętywaniu klęsk i nieszczęść nie mieli ani czasu, ani chęci do żadnego innego zajęcia, to w takim razie nie byłoby słowa do powiedzenia: *Rachel plorans filios suos et nolens consolavi quia non sunt*, nie może bawić się Szekspirem. Nie byłoby zarzutu a raczej byłby powód do niemałej pociechy, bo taka praca żalu i rozpamiętywania więcej mogłaby nam przynieść dobrego, niż niejedna praca, wcielona nawet w dobrą książkę. Ale Polska do tej Racheli nie bardzo podobna, i choć jej synów rozesłano po wszystkich stronach tego i tamtego świata, choć ją odarto ze wszystkiego, prócz tego, co zostaje zawsze, co zostało nawet na dnie puszki Pandory, ona przecież umie czasem oderwać się od swoich smutków, a niektórzy twierdzą, że ją nawet uśmiechniętą widzieli. To nie zarzut ani gorzka krytyka, ale tylko uwaga, że jeżeli widziadła Sybiru, cytadeli i szubienic Murawiewa nie stoją nam w oczach bezustannie, że jeżeli gospodarstwo Milutyna zostawiło nam jeszcze dość grosza i swobodnej myśli, byśmy mogli przyjąć czasem w domu przyjaciół i z nimi się zabawić, to nie możemy się wymawiać, że bieda nie pozwoli nam książki kupić, a myśl znękana i serce skrwawione nie pozwalają jej przeczytać. Albo się bardzo mylimy, albo po przegranej roku 1831, kiedy cesarz Mikołaj, nie równy wprawdzie swojemu następcy, ale przecież jego nie niegodny, zaludniał Sybir Polakami i nadawał Statut Organiczny, przekład Szekspira, podpisany imieniem znanem i cenionem w literaturze, byłby obudził większe, niż dzisiaj, zajęcie. Młodzież, tak zwykle chciwa poznania wielkich poetów i tak dumna z każdego znakomitszego nabytku literatury, byłaby się nad miarę może chlubiła nową zdobyczą; literaci z profesyi byliby porównywali starannie przekład polski ze słynnemi zagranicznemi, a szeroka publiczność, zwłaszcza czytające damy, byłyby rade przypatrzeć się z bliska i dokładnie temu olbrzymowi, który u nas jest nieledwie olbrzymem mitycznym, znanym najwięcej ze słuchu. Dziś... nie stawiajmy porównania, bo czytelnik mógłby posądzić, że słowa te pisze zgrzybiały starzec, z urzędu *laudator temporis acti*, kiedy pisze je tylko człowiek, który patrząc na dzisiejszy stan kraju, na stan umysłowy i moralny głównie, mimowolnie przypomina sobie starą śpiewkę o Kosynierze z pod Racławic: »Biada, bracie, źle teraz, dawniej lepiej bywało!«... We Francyi, w tym uprzywilejowanym kraju powodzenia i wszelkiej poczytności, zapowiada obecnie pan Montegut całkowite tłómaczenia Szekspira; co za gwar po dziennikach, co za rozgłos tej pracy, której najmniejsza próbka nie wyszła jeszcze na świat. Zdawałoby się, że im kto biedniejszy, tem więcej cieszyć się powinien z przybytku; tymczasem Francuzi, którzy mają tak wiele, z zapałem przyjmują pracę, która uzupełnia ich skarbiec literacki, a my zaledwie wiemy, że nam takie samo bogactwo przybywa. Bo zaiste kapitał to niemały i prawdziwe bogactwo, przekład Szekspira zupełny. Nawet gdyby był miernym, jeszcze nie godziłoby się ważyć go lekko; jeżeli dobry, staje się dobrodziejstwem i wiecznotrwałą chlubą literatury każdego narodu. Niemcy woleliby niezawodnie oddać cały zastęp poetów tak zwanych oryginalnych, niż Schlegla i Tiecka tłómaczenie Szekspira; nam zarzuconym ze wszech stron poetycznemi produktami karłowatych epigonów naszych wielkich poetów, niech będzie wolno cieszyć się, że epoka tak mdła i jałowa zdobyła się przecież w zakresie poezyi na dzieło rzeczywistej wartości, które literaturę polską zbogaca naprawdę, i które w niej zostanie.

Godzi się podkreślić ten wyrażony tu przez Tarnowskiego zaraz w jego pierwszym artykule krytycznym pogląd na stan poezyi polskiej po epoce naszych wielkich poetów, pogląd, którego nie zmieni

bodaj przez cały czas swego literackiego zawodu. Ta epoka »tak mdła i jałowa«, epoka »karłowatych epigonów«, skonstatowana przez Tarnowskiego w r. 1866 nie skończy się w jego przekonaniu tak prędko... Za to niejednokrotnie wypowie przekonanie, że epoka wielkiej poezyi skończyła się ze śmiercią Krasińskiego. Wszystko, co przyszło po niej, będzie dlań tylko poezyą *minorum gentium*...

Tymczasem ukazało się w *Przeglądzie polskim*, jego studyum o *Fryczu Modrzewskim*, jako autorze dzieła *O poprawie Rzeczypospolitej*. Studyum to, rozpoczynające seryę podobnych rozpraw o pisarzach politycznych XVI wieku, było debiutem Tarnowskiego, jako historyka litetatury, a jako pierwsza praca w tym rodzaju, budziło w nim pewne wahanie i niepokój: drukować je, czy też wstrzymać się jeszcze? Wątpliwości te rozprószył jednak Szujski, który, przeczytawszy pomienione studyum swego przyjaciela, stanowczo był za tem, by je ogłosić w *Przeglądzie polskim*. Jakoż zdecydował się na to Tarnowski »z wielką nieśmiałością« [1]). Rozprawa ta o Modrzewskim, bardzo trafiła do przekonania autorowi *Portretów literackich*. »Lucyan Siemieński — opowiada Tarnowski — przeczytawszy ją i słysząc o przedsięwzięciu obrobienia wszystkich po kolei statystów polskich, nietylko utwierdził mnie w tej myśli, ale wiele do jej wykonania dopomógł. Miał zbiór notat, widocznie w podobnym celu robionych, przez kogo? nie wiedział. Pismo i papier kazałyby wnosić, że były robione między rokiem 1820 a 1830. Były to nazwiska autorów i małe ich życiorysy, tytuły dzieł, zwykle (nie zawsze) dzieł tych nader krótkie streszczenia. Zapiski te nieznajomego poprzednika przez Siemieńskiego mi darowane, były dla mnie bardzo dobroczynne; dowiedziałem się z nich wielu rzeczy, o jakich w historyach literatury mowy nie było. Znalazł się w tem ułatwieniu i nowy popęd, którego skutkiem były dalsze podobne roboty« [2]). Rozpoczynająca je rozprawa o *Fryczu Modrzewskim* była nader wyczerpującą charakterystyką autora traktatu *O poprawie Rzeczypospolitej*, charakterystyką człowieka i pisarza. Nie uważając go za wielkiego męża stanu, przedstawił go Tarnowski, jako wielkiego obywatela, wielkiego Polaka, a nadewszystko niepospolitego człowieka, »który na lat dwieście z górą przed rewolucyą francuską żąda jednego prawa dla wszystkich, dla narodu udziału w rządzie, wolności mówienia, słowem wszystkich najistotniejszych

---

[1]) Ob. Przedmowa do *Pisarzy politycznych XVI wieku*. »Na wolności pierwszem zajęciem była rozprawa o nim (Modrzewskim) ogłoszona w lat parę później w *Przeglądzie polskim*, z wielką nieśmiałością, i po zapewnieniu bieglejszych (Szujskiego), że ujść może«.

[2]) *Pisarze polityczni XVI wieku*. Przedmowa, IV.

rękojmi politycznej wolności«. To ze stanowiska nie już ściśle polskiego, ale ogólniejszego. »A patrząc nań ze stanowiska czysto moralnego, trzeba także oddać cześć tej sprawiedliwości i odwadze, która go robi wiernym i niezmordowanym obrońcą słabego przeciw możnemu, uciśnionego przeciw ciemięzcy, trzeba szanować tę myśl zacną i chrześciańską, która mu każe potępiać grabież, zabór, chciwość cudzego, słowem, wszelką wojnę niegodziwą«. O rozprawie tej, o pierwszem wrażeniu, jakie uczyniła po ukazaniu się w *Przeglądzie polskim*, tak pisze Bobrzyński: »Wiele braków można jej było zarzucić. Zanadto szeroko streszczała ona, za mało tłómaczyła dzieło Frycza o naprawie Rzeczypospolitej; pomijała zupełnie to, co jest osią jego systemu, księgę o Kościele; pozbawiona była szerszego historycznego tła i podstawy. Mimo tych wad i usterek, praca owa o Modrzewskim werwą swojego stylu, świeżością i rozsądkiem swoich poglądów, oryginalnem ujęciem przedmiotu, zjednała sobie zaraz słuszny rozgłos, obudziła w społeczeństwie głębszy interes do literatury politycznej i rozstrzygnęła o kierunku naukowym jej autora« [1].

Że ten kierunek był bardzo wybitnie politycznym, o tem zaświadczył zaraz następny artykuł Tarnowskiego o *Rocznikach polskich*, wydrukowany we wrześniu r. 1867, a będący rodzajem hołdu dla Klaczki i Kalinki, jako redaktorów *Wiadomości polskich*, których najwybitniejsze artykuły z lat 1857—1861 złożyły się na cztery tomy tych roczników. Roczniki te, zdaniem Tarnowskiego, były prawdziwą skarbnicą wskazań politycznych polskich, na które on przynajmniej godził się bez zastrzeżeń, choć równało się to wystawieniu na sztych swojej popularności. Ale widocznie, że Tarnowskiemu chodziło nie o popularność, lecz o szersze wypowiedzenie swego głębokiego przekonania. Dlatego z takim entuzyazmem streszczał zawartość *Roczników polskich*, w których, zdaniem jego, nie było ani jednego choćby najdrobniejszego artykułu, wyłamującego się z pod ogólnej harmonii, któryby w swoim zakresie nie służył do tego samego celu, któryby nie był natchniony tą samą patryotyczną myślą. A tą przewodnią myślą patryotyczną była wiara, że odrodzenie Polski przyjść może tylko przez wpływ i pomoc cywilizowanej Europy, na jej równie, jak na naszą korzyść; ale stać się ono musi nie przez zewnętrzne jedynie działania, lecz i przez naszą własną pracę. »Własnemi siłami żaden naród podbity nie stoczy nigdy pomyślnej wojny z nieprzyjacielem mającym na rozkazy wszystkie środki uorganizowanego państwa, ale żaden też nie dźwignie się bez użycia sił

[1]) *Czas*, 12 czerwca 1887.

własnych; a użyć ich może wtedy dopiero, jeżeli je naprzód pomnoży i dobrze wyćwiczy. Z tego stanowiska wychodząc w interesie zmartwychwstania Polski, nie przypuszczały *Wiadomości* powstań, były im przeciwne; wiedziały bowiem, że gdzie niema armii ani skarbu, tam wojny zwycięskiej być nie może; wiedziały, że konspiracye i organizacya dostarczają wielu wprawdzie jenerałów, ale nie dostarczają ani jednego żołnierza, i że rewolucyjna propaganda może wywołać rozmaite ruchy, ale nie ruchy powstańcze i narodowe. Polskie serca i polski rozsądek, oto sprzymierzeńcy, których *Wiadomości* szukają w swojej wojnie z przedwczesnem powstaniem: do tych się odwołują, do tych przemawiają wprost słowami, w których najczystsza miłość Ojczyzny łączy się z wytrawną polityczną mądrością«.

W początkach roku 1867 ukazała się we Lwowie trzytomowa monografia prof. Małeckiego o Juliuszu Słowackim, książka, która wstępnym bojem odrazu zdobyła sobie wyjątkową popularność wśród naszej inteligencyi. Krytyka powitała ją z najwyższem uznaniem, jako rzecz mistrzowską, a publiczność czyniła wszystko z swej strony, by w jaknajkrótszym czasie okazała się potrzeba nowego wydania. W *Przeglądzie polskim* zwrócił na nią pierwszy uwagę Szujski, rozpisawszy się o niej dość obszernie w jednej ze swych *Kronik literackich*, w zeszycie kwietniowym. »Sama treść — były między innemi słowa Szujskiego — sam obfity materyał krytyczny powinienby wetknąć tę książkę w rękę każdemu, kto ma choć cokolwiek zmysłu jeżeli nie serca dla naszej poezyi, nawet gdyby książka była nudną i suchą, jak często bywają żywoty. Ale ...mamyż chwalić? mamyż podnosić zalety książki, artyzm, z jakim wydobyte są wszystkie charakterystyczne rysy poety, żywość opowiadania, trafność krytycznych rozbiorów, lub wreszcie tę dziwnie wdzięczną swobodę i naturalność stylu, którą p. Małecki tak szczęśliwie się różni od swoich współczesnych? Nie; w ciasnych ramach *Kroniki literackiej* da się tylko donieść o takiej książce, mówić o niej nie można. Spodziewamy się, że w przyszłości pismo nasze zda z niej sprawę obszernie«. Jakoż uczynił to istotnie w *Przeglądzie polskim* Stan. Tarnowski, którego obszerne sprawozdanie p. t. *Profesora Małeckiego Juliusz Słowacki*, wydrukowane w trzech zeszytach, październikowym, listopadowym i grudniowym z r. 1867, urosło do rozmiarów wyczerpującego studyum o Słowackim, studyum, któremu książka Małeckiego posłużyła tylko za punkt wyjścia, a które, samoistne zupełnie, jako subtelna analiza twórczości Słowackiego, aż po dziś dzień nic nie utraciło ze swej wartości, a godne przeciwstawieniu *Poecie bezimien-*

nemu Klaczki, należy do najświetniejszych rzeczy, jakie u nas napisano o Słowackim.

W jednym z listów Andrzeja Edwarda Koźmiana znajduje się wzmianka o Klaczce, o jego kulcie dla Słowackiego, »którego zowie największym artystą.« [1]) Stanisław Tarnowski zupełnie w tym razie podziela zdanie swego mistrza, gdy chodzi o artyzm w utworach Słowackiego, a co do samej postaci poety, to go uważa za »jedną z postaci najbardziej uroczych«, jakiemi możemy się pochlubić. A przytem jest on znakomitym wytworem wpływów epoki, w której żył, tej epoki, w której — według szczęśliwego wyrażenia pokrewnego mu duchem Musseta — »wszystko, co było, już przeszło, wszystko zaś, co będzie, jeszcze nie przyszło«. Stąd chorobliwość całej generacyi poetów-byronistów, stąd i brak równowagi w Słowackim, który, niech mówią, co chcą, byronistą był przedewszystkiem. Tak go pojmuje Tarnowski, który, pomimo całego szeregu zastrzeżeń, należy do najgorętszych wielbicieli Słowackiego, ma do niego, jako do »największego artysty«, szczególną słabość, co mu zresztą nie przeszkadza — jak nie przeszkodziło Małeckiemu — sądzić go krytycznie, bez bałwochwalstwa.

Poeta, którego imię wymawiamy wszyscy zaraz po wielkiem imieniu Mickiewicza, a razem z imieniem Zygmunta Krasińskiego, poeta, przez długi czas cel niechętnych, prawie pogardliwych sądów krytyki, następnie jak żeby w nagrodę przedmiot fanatycznych uwielbień, poeta tak ogromnych zdolności i tak ogromnych wad organicznych umysłu, że zrozumieć trudno, dlaczego pierwsze nie zrobiły go o wiele jeszcze większym niż jest, lub drugie zupełnie miernym, i jakim sposobem jedne i drugie godzić się z sobą mogły w jednym człowieku, duch pełen smutku i miłości, pełen goryczy i pychy, najkompletniejszy może w Polsce rezultat wszystkich sprzecznych złych i dobrych, dodatnich i ujemnych kierunków wieku, a w każdym razie reprezentant ich najświetniejszy i najszlachetniejszy, z sercem wielkiem a niestety małostek niepróżnem, z fantazyą najbujniejszą jaką Polska kiedykolwiek wydała, z dumą przechodzącą wewnętrzne zasoby, bez równowagi w duchu i w pomysłach, a często i bez równości w artystycznem wykonaniu pomysłów, natura wspaniała, ale tak drażliwa, że się nigdy ze światem pogodzić nie mogła, a przez to z drażliwości wpadająca w niesprawiedliwość, ze smutku w gorycz, z potrzeby wiary w mistycyzm, jest Juliusz Słowacki najdoskonalszym i jedynym u nas prawdziwie wielkim typem tego, co klęski narodu i bezprawia wieku i ten burzliwy i dotąd nieustalony ferment wyobrażeń w Europie zrobić mogą z charakterów szlachetnych, żywych, a niezupełnie mocnych w sobie. Wpływy te działają na wszystkich, na całe społeczeństwo, tylko że na ludzi powszednich działając wydają skutki niedostrzeżone, niegodne uwagi; któż zważa, że jakaś mała licha latorośl wyrosła krzywo i nie tak jak powinna; ale na widok dębu potężnego, któremu nienaturalne warunki nie dały wyróść normalnie i prosto, ale go pokrzywiły w kształty dziwne i niezwykłe, zastanowi się każdy, każdy powie, coby to był za dąb, gdyby się

---

[1]) *Listy A. E. Koźmiana*, list z Paryża, z d. 2 listopada 1858 r.

był rozwijał jak wszystkie, i każdy zapyta: dlaczego on rozwijał się i rósł inaczej? Wpływ ten na nikim nie zostawił śladów widoczniejszych, jak na Słowackim, i dlatego jest on niezawodnie jedną z najciekawszych i najbardziej nauczających postaci porozbiorowej Polski, a jako poeta i to poeta niesłychanej twórczości, i wyobraźni jakiej nikt u nas nie dorównał, jako człowiek, który bardzo wiele kochał i cierpiał, jest on w dziejach Polskich naszego wieku jedną z postaci najbardziej uroczych.

W zakończeniu swego artykułu, który, choć poczęty, jako recenzya książki Małeckiego, stał się zupełnie samodzielnem studyum o Słowackim, jako poecie i człowieku, Tarnowski, reasumując wywody Małeckiego, który, jego zdaniem, pierwszy powiedział prawdę o tym poecie, zapytuje: jakaż ona jest ta prawda? jaki będzie wyrok po śledztwie tak długiem? jak wypadnie sformułować ostateczny rezultat tych badań nad Słowackim, nad jego stanowiskiem w narodzie i literaturze?

Powiemyż, że Słowacki był wielkim człowiekiem? To nie, bo przez wielkiego człowieka rozumiemy geniusz, który czynem swoim lub myślą wprowadził ludzkość na nowe koleje, który jej nowe otworzył światy, albo nowe nadał warunki życia, albo nowe dla niej zdobył prawdy, albo jej postęp ułatwił, albo rozwój jej ducha posunął. Tacy wielcy ludzie zostawiają w historyi świata ślady długo trwałe i wiecznie pamiętne, tacy działają na całą ludzkość i całej zostawiają spuściznę, którą ona żyje i pomaga sobie przez długie czasy. Tego Słowacki nie zrobił, takim wielkim człowiekiem nie był.

Byłże w narodzie swoim wielkim obywatelem, wielkim patryotą? Jeżeli przez to słowo rozumiemy człowieka, który swoją Ojczyznę bardzo kochał i bardzo nad nią cierpiał, to w takim razie słusznie ten tytuł należałby się Słowackiemu. Ale jeżeli wielkim obywatelem tego tylko uznamy, kto nietylko kocha i cierpi, ale tego kto wiernie służy, wiernie, to jest zawsze, wytrwale, z zapomnieniem siebie, z poświęceniem własnych uczuć i z własnych krzywd przebaczeniem, kto sto razy zawiedziony nigdy nie wątpi, zrażony sto razy nigdy nie znienawidzi i nie gardzi, ale służy i pracuje bądź to z chwałą, jako król, wojownik, wieszcz, bohater lub męczennik, bądź cicho i skromnie jak pająk, który siatkę sto razy zerwaną łata, dopóki z siebie życia nie wyprzędzie, to w takim razie nazwy tej odmówić musimy temu, który pod wpływem nerwów i wrażeń wierzył, pod wpływem nerwów i wrażeń wątpił, tak samo nienawidził, kochał i gardził, który osobistą krzywdą dał się porwać do niejednego pisma, tego uczynku poety, który pod wpływem osobistej urazy rozdąsał się na kraj w chwili powstania roku trzydziestego.

Czy więc był może wielkim charakterem? Na to pytanie odpowiedź już daliśmy powyżej. Kto sobie panować nie umie, kogo względy osobiste uwiodą do postępków z surowym obowiązkiem niezgodnych, kto wybuchu własnego uczucia nie umie powstrzymać choć uczucie niesprawiedliwe a wybuch jego może być szkodliwym, ten nie jest wielkim charakterem.

Byłże wreszcie Słowacki wielkim poetą? Jeżeli wielkim poetą jest taki tylko, który stwarza arcydzieła dla wszystkich wieków i ludów, który wszystko wydobywa z własnej siły, z własnej twórczości, z własnego natchnienia, który nic od nikogo nie bierze, a sam staje się dla potomnych wzorem, na którym wieki się uczą tajemnicy piękna, jeżeli wielkimi poetami są tylko te pierwszo-

rzędne geniusze, którym na imie Homer, Eschyl, Sofokles, Dante, Szekspir i Göthe, to takim geniuszem, takim wielkim poetą Słowacki nie był. A jeżeli spuścimy z wymagań i zechcemy przyłożyć do niego miarę tych poetów którzy koncentrują w sobie i wyobrażają ducha pewnej tylko epoki lub pewnego narodu, którzy odmładzają i odradzają poezyą na pewien przeciąg czasu, i w tym przeciągu czasu lub w tym jednym narodzie nad umysłami panują, słowem jeżeli zechcemy zmierzyć Słowackiego z Byronem lub z Mickiewiczem, to musimy przyznać, że i tej mniejszej, ogromnej miary nie dorósł. Ale, jeżeli pytanie obrócimy inaczej, jeżeli spytamy, czy ma prawo nazywać się wielkim poetą człowiek, który choć przed poezyą nowych dróg nie otworzył, przecież na drogach już otwartych szedł tak śmiało, tak dzielnie, tak świetnie, że wyprzedził niemal wszystkich, którzy z nim razem z miejsca ruszyli i najbardziej się zbliżył do tych, którzy pierwsi drogę wskazali, czy jest wielkim poetą, kto acz nie zostawił po sobie wielkich, skończonych, doskonałych arcydzieł, przecież wyobraźnią, uczuciem, wdziękiem zachwyca i zachwycać nie przestanie swego narodu, póki stanie tego narodu i jego języka, który choć genjuszem nie był i nie wszystkie warunki poetycznego tworzenia w równej mierze posiadał, to niektóre z nich posiadał w stopniu tak wysokim, jakim się nie pochlubi nie jeden z największych, jeżeli tak spytamy, to odpowiedź musi wypaść na korzyść Juliusza.

Tej mety, na której stoją trony dwóch tylko poetów naszego wieku, Byrona i Mickiewicza, (bo Göthe do innego już i wyższego należy zastępu) tej mety bliższym jest Słowacki aniżeli Musset, albo Heine, albo Shelley, a z mniejszymi już go nawet porównywać nie chcemy. Tych, sumiennie i bez narodowego uprzedzenia rzec można, wszystkich przewyższył twórczością, wyobraźnią, uczuciem i siłą natchnienia. Gdybyśmy zaś chcieli miejsce jego w naszej polskiej poezyi oznaczyć, to musielibyśmy chyba prosić czytelnika, żeby sobie uprzytomnił ten obraz, na którym w górze unosi się postać jedna i jedyna w nieopisanej światłości, niżej, na ziemi, grupa pełna zalet i piękności, ale ziemska, pośrodku, wzniesiona nad ziemią, a poniżej owej najwyższej niedostępnej gloryi, dwie postacie natchnione i promieniejące niezwykłą u ludzi jasnością. Podobnie, jeżeli się nie mylimy, grupują się nasi poeci, a z tych dwóch środkowych postaci jedną jest Zygmunt Krasiński, drugą ten, który tak się miał za jego brata i połowę jego duszy, że jego i siebie widział w swoich dwóch nierozdzielnych Wenedach, Słowacki. I miał słuszność, bo ich związek, choć go sami może mieli za zerwany, tak był ścisły i tak był blizki, tak się oni z sobą zrośli, że ich nic w przyszłości rozłączyć nie zdoła, że ludzie ich będą zawsze widzieć jednego obok drugiego, zawsze porównywać, zawsze razem wspominać, sądzić i... czcić.

Artykuł Tarnowskiego o książce prof. Małeckiego zwrócił na siebie uwagę naszych sfer literackich, mówiąc poprostu, wsławił swego autora, w którym odrazu jednogłośnie uznano pierwszorzędny talent krytyczny i pisarski, talent, idący w parze z niepospolitem wykształceniem estetycznem, z niepospolitą kulturą umysłową, o czem zresztą wymownie świadczyły i jego poprzednie artykuły. Ale tamte były wystąpienia publicysty, lub też — jak artykuł o Modrzewskim — studya historyczno-polityczne, podczas gdy w rozbiorze książki prof. Małeckiego, będącym znakomitą charakterystyką poezyi i indywidualności Słowackiego, ujawnił się krytyk literacki, jakiemu

równego, oprócz Klaczki, nie dało się wskazać pomiędzy współczesnymi literatami w Polsce. Nawet Lucyan Siemieński nie napisał nic równie świetnego, z równym kunsztem pisarskim, z równą wykwintnością stylu. Opinii tej, tak zaszczytnej dla młodego debiutanta na niwie krytyki literackiej, dał wyraz między innemi J. I. Kraszewski w 3-im tomie swoich *Rachunków*, gdzie kilkakrotnie z najwyższemi pochwałami i uznaniem wyraził się o pomienionej pracy Tarnowskiego. »Historya literatury — czytamy tam na str. 295 – z wyjątkiem niewielu prac, które ją zbogaciły, zawsze jeszcze pozostaje wielkiem pragnieniem i potrzebą przyszłości. Jako pomocnicze do niej studya, pełne zalet, wymienić jeszcze raz musimy — choć mówiliśmy już o nich w roku przeszłym — prace prof. A. Małeckiego nad J. Słowackim. Natchnęły one wyborne artykuły hr. Stanisława Tarnowskiego w *Przeglądzie polskim* i dały nam w nim poznać nową stronę, można rzec, dar nowy, a znakomity. Szczęśliwy poeta, którym tyle się zajmuje umysłów poważnych, któremu dostało się być zrozumianym i ocenionym lepiej może od wielu współczesnych, od A. Mickiewicza, którego nikt tknąć nie śmie, od Z. Krasińskiego, na którego nikt się porwać nie waży.« W innem znów miejscu taki znajdował się nader pochlebny ustęp: »Rok już drugi wychodzi w Krakowie *Przegląd polski*, głównie na pracach hr. Stanisława Tarnowskiego, J. Szujskiego, S. Koźmiana, L. Powidaja, H. Wodzickiego, B. Kalickiego i t. d. oparty. Pierwsze w nim wystąpienie hr. Stanisława Tarnowskiego było zwycięzkiem; objawiło nam ono znakomitego pisarza, który następnemi pracami — o Słowackim A. Małeckiego — nadzieje te urzeczywistnił. Talent to ze wszech miar niepospolity, życia pełen a dojrzały, z poglądem szerokim, trzeźwym, a nie ostygłym, stylem i formą odznaczający się. Dziś już hr. Stanisław Tarnowski, między krytykami, publicystami naszymi, jedno z pierwszych miejsc zajmuje. Sąd o nim był tak zgodny, jednomyślny, a tak pochlebny, jak u nas się prawie nie trafia. On też stanowi główną podporę *Przeglądu*, jego największą siłę«.[1]) Istotnie, wszystkie artykuły, które w ciągu roku 1867 ogłosił Tarnowski, a szczególniej znakomity rozbiór książki Małeckiego, bardzo się wyróżniały wśród prac tego rodzaju. Czytając je, poznawało się odrazu, że autor miał szerokie oczytanie w literaturze europejskiej, że doskonale był obeznany z utworami wszystkich wielkich poetów

[1]) W innem miejscu, na str. 205, pisze autor *Rachunków*: »Z wyjątkiem dwóch znakomitych krytyków, prof. Ant. Małeckiego i hr. Stan. Tarnowskiego, którzy oba zwycięzko próbowali sił na Słowackim, nie mamy nikogo, usposobionego do tak ważnego posłannictwa«.

świata, od Homera do Goetego, że biegle władając kilkoma językami, z równą łatwością czytał w oryginale Shelleya, jak Dantego, i że obok głębszej znajomości literatur europejskich, zarówno nowożytnych, jak starożytnych, i obok gruntownej znajomości piśmiennictwa ojczystego, miał całkiem niepowszednią znajomość literatury francuskiej, zarówno poezyi, jak prozy. Biegły w naukach przyrodzonych, z których czerpał niemało porównań, szczególny pociąg — sądząc z pism jego — zdawał się czuć do nauk historycznych, przyczem równie dobrze znał dzieje Polski, jak historyę Francyi, Anglii lub Włoch. Mommsen, Niehbur, Gervinus, Tocqueville, Macchiavel, a zwłaszcza Macaulay, oto nazwiska, które w jego dotychczasowych pracach pojawiały się raz po raz, zwłaszcza Macaulay, na którym nawet wzorował się z upodobaniem, naśladując jego sposób pisania. Drugim pisarzem, który mu służył za wzór, był Klaczko. Z poetów polskich, których obficie cytował lub parafrazował — w czem znowu szedł za przykładem Klaczki — największy kult żywił dla Mickiewicza, jako dla twórcy *Pana Tadeusza*; w Słowackim wielbił artystę, w Krasińskim czcił myśliciela; dla poetów drugorzędnych, jak Pol, Lenartowicz, miał sporą dozę obojętności. Z francuskich poetów uwielbiał jednego tylko Musseta; o Wiktorze Hugo wyrażał się z niechęcią, z uprzedzeniem. Za to smakował w powieściach pani Sand i Balzaka, nie gardząc nawet romansami Feuilleta. Z Niemców najczęściej lubił cytować Schillera, którego zdawał się umieć na pamięć; w Heinem nie gustował. Dobrze znając język angielski, korzył się przed potęgą geniusza Szekspira, spokojniejszy wobec Byrona. Rozmiłowany w literaturze, niemniejszy miał zmysł dla sztuk pięknych, a biegły w historyi sztuki, zwłaszcza w historyi sztuki włoskiej renesansowej, równie dobrze odczuwał tytaniczność Michała Anioła, jak wdzięk Rafaela. Na muzykę również posiadał wielką wrażliwość. Najmniej zdawała się go pociągać filozofia.

Wszystko to mając na względzie, Towarzystwo naukowe Krakowskie, ażeby dać wyraz swemu uznaniu dla znakomitego talentu i już położonych zasług Tarnowskiego, mianowało go w r. 1868 swoim członkiem.[1]) Zaszczyt to był, zważywszy młody wiek autora rozprawy o Słowackim, całkiem niezwykły.

W tym samym czasie, co książka Maleckiego, ukazały się w Poznaniu, jako odbitka z *Dziennika poznańskiego*, gdzie przedtem wychodziły w odcinku, *Wspomnienia Andrzeja Edwarda Koźmiana*, zmarłego w roku 1864. Szczerze zaprzyjaźniony z jego synem, a dla

[1]) Boleslawita, *Rachunki z roku 1869*, str. 343.

niego samego, jako miłego i światłego towarzysza pracy w paryskiem Biurze politycznem, pełen gorącego przywiązania, Tarnowski poświęcił *Wspomnieniom* tym w lutowym zeszycie *Przeglądu polskiego* obszerne sprawozdanie, zaznaczając w niem przedewszystkiem, że »*Wspomnienia* te okazują się takiemi, jakich spodziewał się każdy, kto, znając autora, znał żywość i giętkość jego umysłu, kto pamiętał ten rzadki dar obserwacyi, tę znajomość świata i ludzi, a zwłaszcza tę pogodną równowagę, tę wyrozumiałość sądu, powiedzmy po prostu, tę we wszystkiem i dla wszystkich dobrą wolę, którą się odznaczał zgasły niedawno A. E. Koźmian«. Dla Tarnowskiego, który parę lat temu miał sposobność poznać Koźmiana, ocenić i życzliwą jego przyjaźń pozyskać, stały się te *Wspomnienia* miłą i szanowną pamiątką, jako »wierne odbicie tego pełnego powabów umysłu, tego pogodnego i miłego usposobienia, i tych zalet serca, któremi się Andrzej Edward Koźmian odznaczał«. Że pamiętniki, wierne zazwyczaj odbicie duszy piszącego, nosząc w sobie pomienione zalety, musiały Tarnowskiemu wydać się miłe w czytaniu, nadmieniać zbyteczna; ale dlatego właśnie, że się w nich autor sam tak doskonale odmalował, nie bez trudności przyszło Tarnowskiemu zdać z nich bezstronnie sprawę. »Każdy bowiem niemal wiersz *Pamiętników* wydaje się, jak żeby żywem słowem autora, nad którem grób zamknął się tak świeżo, tak przedwcześnie i tak niespodzianie; czytelnik, który go znał, mimowolnie doznaje takiego wrażenia, jak żeby nie pośmiertne dzieło czytał, ale jak żeby ciągnął dalej przerwaną rozmowę: widzi prawie piszącego, słyszy jego głos, natrafia na wyobrażenia, na zdania, które słyszał sto razy, do których jest przyzwyczajony, które dla niego nie są ustępem książki, lecz dobrze znaną, prawie obecną rzeczywistością. Z postacią piszącego, która się tak wyraźnie i tak żywo przypomina, zjawiają się w myśli i różne chwile, które się z nim pospołu przebyło, a pod wpływem tego przypomnienia więcej się myśli o człowieku, niż się jest zdolnym sądzić spokojnie jego dzieło«.

Dnia 10 listopada 1867 roku zmarł nagle w San Remo »zdala od swoich i od ojczyzny« — jak mówi jego napis grobowy na tamtejszym cmentarzu — Tadeusz Piliński. Tarnowskiego przyjaciel najserdeczniejszy, tem będący dla niego, czem Horatio dla Hamleta, czem Markis Poza dla Don Karlosa. To też był to dlań cios niesłychanie bolesny. Przeświadczony o wyjątkowych zdolnościach Pilińskiego, po których spodziewał się wielkiej zasługi dla ojczyzny, postanowił Tarnowski, jak przystało na prawdziwego przyjaciela, uratować od zapomnienia nazwisko tego niepospolitego młodzieńca,

w którym genialna inteligencya walczyła o lepsze z wyjątkową szlachetnością i wzniosłością uczuć. W tym celu wydrukował w *Przeglądzie polskim*[1]) jedyną pozostałą po Pilińskim pracę historyczną o *Bezkrólewiu po Zygmuncie Auguście* i *Elekcyi Króla Henryka.* Rozprawa ta, w oryginale napisana po niemiecku, jako rozprawa doktoryzacyjna, choć młodociana, była mistrzowską. Drukując jej polski przekład — zdaje się własny — poprzedził go Tarnowski obszernym wstępem, w którym z wielkiem ciepłem scharakteryzował postać młodego historyka, a swego serdecznego druha, pragnął bowiem, jak się sam wyraził między innemi, by smutny nagrobek przyjaciela, na obcej ziemi nad trumną jego wzniesiony, nie pozostał bez odpowiedniego *epitaphium.*

Począwszy od roku 1866 zaczął J. I. Kraszewski, jako Bolesławita, spisywać *Rachunki* narodu polskiego, mające być zbiorowym rachunkiem sumienia całego społeczeństwa, pod trzema zaborami zarówno, jak i na emigracyi. W roku 1868 wyszły w dwóch tomach *Rachunki z roku 1867*, a choć w nich w paru miejscach nie brakło nader zaszczytnych komplementów dla Tarnowskiego, jako krytyka literackiego, niemniej jednak, gdy mu przyszło wydać sąd o rzeczonej publikacyi, sąd ten wypadł niesłychanie surowo. Oburzony stronniczem i ciasnem stanowiskiem, jakie autor *Rachunków* zajął w stosunku do Galicyi i jej ludzi, a zwłaszcza w stosunku do Szujskiego, z którym przy tej sposobności załatwił swe osobiste rachunki, Tarnowski zdecydował się stanąć w obronie zarówno Galicyi, jak i swego przyjaciela, i rozprawić się z Bolesławitą, jak na to z powodu tej bijącej w oczy niedokładności w *Rachunkach* zasługiwał. W tym celu, naśladując trochę ton ironiczny niektórych artykułów Klaczki, zwłaszcza *Katechizmu nierycerskiego* i rozbioru *Krewnych*, napisał artykuł, który, o ile wypadł niemiłosiernie dla Kraszewskiego, o tyle swą literacką świetnością dorównywał pomienionym artykułom Klaczki. Co pewna, że od czasu *Wiadomości polskich* krytyka literacka polska nie mogła się pochlubić niczem, co by się dało przeciwstawić tej nielitościwej dyatrybie. To, co Tarnowski pisze z powodu *Niemieckich Hegemonów* Klaczki, że takiej świetności pióra, takiego temperamentu, takiej siły, namiętnej w oburzeniu i wzgardzie, a druzgocącej w inwektywie, ani takiej sztuki, nie miał żaden z Polaków, piszących o rzeczach politycznych, to samo dało się powiedzieć i o tem jego sprawozdaniu z *Rachunków*

[1]) Czerwiec i lipiec 1868 r.

Bolesławity. Nic równie świetnego, równie ciętego i zjadliwego, nie napisano u nas od czasu polskich wystąpień Klaczki. Uczeń nie ustępował tu w niczem mistrzowi, dorównywał mu pod każdym względem: czy to, gdy chodziło o sztychy dotkliwe, jak żądło żmii, a jak stal przeszywające w ironii, czy o śmiałe antytezy lub błyskotliwą grę słów, czy o mistrzowską strukturę wewnętrzną, o wirtuozostwo formy i stylu. Jeden Klaczko pisał równie świetnie.

Pomny komplementów, których mu Bolesławita nie szczędził w swoich *Rachunkach*, Tarnowski, ujmując się za Galicyą w ogóle, a za Szujskim w szczególności, nieomieszkał zaznaczyć na wstępie, że nie myśli powodować się jakąś osobistą urazą, lecz przeciwnie pragnie ją wytknąć Bolesławicie, wykazując, że nie wszystko jest prawdą w tych *Rachunkach*, opatrzonych godłem *All is true*. »Wytykać niedokładności w rachunkach, rzecz to zawsze drażliwa, cóż dopiero, jeżeli buchalter doświadczonej wprawy ma za sobą powagę lat i ustalonej reputacyi. Któż wierzyć zechce, że jemu wymknęła się pomyłka? Łatwiej przypuścić, że kontroler dodawać nie umie, lub że złośliwe rzuca potwarze, powodowany zazdrością lub osobistą urazą. Podpisany atoli, który także w *Rachunkach* figuruje jako cyfra, i z wielką, zbyt zapewne wielką osądzony jest względnością, tem sobie dodaje odwagi, że o złość osobistą przynajmniej nikt go nie posądzi, jeżeli mu w *Rachunkach* to lub owo wytknąć przyjdzie«.

Co się tyczy samego pomysłu układania takiego rocznego bilansu dla narodu, jakim właśnie miały być *Rachunki* Bolesławity, który w nich chciał przedstawić zbiorowy rachunek sumienia narodowego, to pomysł ten, o ile był śmiałem przedsięwzięciem, o tyle wymagał, zdaniem Tarnowskiego[1]), niesłychanej wytrwałości i skrzętności, żeby w bilansie tym żadnej nie zaniedbać pozycyi. Bolesławita istotnie nie przepomniał żadnej, szkoda tylko, że wykonanie cokolwiek pozostawiało do życzenia. »Wszystkie pozycye są, i cyfr pojedynczych nie brakuje, ale ktoby chciał przejrzeć i skontrolować te

---

[1]) O artykule tym Tarnowskiego, tak pisze w swej monografii o J. I. Kraszewskim Piotr Chmielowski: »Krytyka galicyjska przyjęła ten rocznik *Rachunków* z oburzeniem, nie szczędząc autorowi bolesnych zarzutów. Najobszerniej, najszczegółowiej i niewątpliwie najdotkliwiej wystąpił przeciwko niemu Stanisław Tarnowski w *Przeglądzie polskim*, w świetnie napisanej, ale zjadliwej, naigrawającej się recenzyi. Ze zręcznością niepospolitą wyłowił on z dzieła najbardziej krzyczące omyłki i sprzeczności, zarówno w sądach o Galicyi w ogóle, jak o Szujskim w szczególności, którego w pierwszym roczniku Kraszewski wychwalał, a w drugim ostro ganił i to za te same utwory; i przywodząc *motto* na czele *Rachunków*, jak i innych pism Bolesławity postawione: *all is true* (wszystko jest prawdą), pytał z gryzącą ironią, kiedy autor mówił prawdę, a kiedy nieprawdę?«

rachunki, ten znalazłby niektóre w dodawaniu pomyłki i niedokładności, a summa ogólna wypadłaby mu inaczej, niż autorowi«. Zarzut przykry... Tembardziej, że *Rachunki* z r. 1866 mieściły się w jednym zwykłym tonie, podczas gdy rok 1867 potrzebował już dwóch grubych tomów. Zdawałoby się zatem, że wartość dzieła wzrosła w stosunku jego do objętości, tymczasem zdaniem krytyka, stało się właśnie przeciwnie. »W piśmie świętem czytamy, że mała ilość oliwy lub wina, pozostała na dnie dzbana u biednej wdowy tak się cudownie rozmnożyła, iż się ledwie pomieścić mogła w pożyczanych od sąsiadek naczyniach, a cudownie rozmnożone pięcioro chlebów nasyciło dostatecznie pięć tysięcy ludzi. Ale za naszych złych i prozaicznych czasów cuda dziać się nie lubią. Z jednej i tej samej szczypty herbaty można zrobić wprawdzie do woli dwie filiżanki, albo, nie żałując wody, dziesięć. Ale w tych dwóch herbata będzie dobra, w dziesięciu będzie słaba; rozmnożenie odbywa się, przeciwnie jak w Kanie Galilejskiej, kosztem jakości. Coś podobnego dzieje się i z książkami, a nieraz rzecz, która ściśnięta i zbita większe robiłaby wrażenie, rozdęta do znacznej objętości traci na swojej ciężkości gatunkowej i na smaku«.

Otóż główną wadą *Rachunków*, że są pisane zbyt rozwlekle, że w nich autor rospisuje się o sprawach, o których wystarczało napomknąć, że w nich zamieszczono wszystko, co się czytało nietylko w korespondencyach dzienników, ale nawet w t. z. *faits divers*, skutkiem czego epizody zajmują nieproporcyonalnie wiele miejsca w stosunku do całości, przy czem, zarówno w epizodach takich, jak w całej książce zresztą, pełno tych małych niedbałości, tych zboczeń pióra, na które się zrazu nie uważa, które jednak, wydrukowane, wyglądają jak grube sprzeczności i narażają *Rachunki* na złośliwy zarzut, że nie zawsze są wierne swemu pięknemu godłu *All is true*.[1]) Że ten dotkliwy zarzut nie był gołosłownym, tego dowiódł Tarnow-

[1]) Temu angielskiemu godłu *Rachunków* poświęcił Tarnowski osobny, bardzo złośliwy przypisek, który brzmiał, jak następuje: »Niedostateczna znajomość literatury angielskiej nie pozwala nam dojść, z jakiego to autora wyjęte jest powyższe godło; domysły zaś tem są trudniejsze, że te trzy słowa stać mogą równie dobrze w *Hamlecie*, jak w Robertsona nauce angielskiego języka. Ba, nawet mogły być złożone przez każdego Polaka, który by rzecz, dającą się doskonale wyrazić po polsku, wołał powiedzieć po angielsku. A i ta ostatnia supozycya nie jest zupełnie nieprawdopodobną, bo wiadomo, że u nas, jak angielską miłą przejechać się, tak też »miło angielską mową popisać się czasem«. Boimy się też, czy Bolesławita, przyjmując to angielskie godło, nie stał się niewinną ofiarą jakiego Polaka, któremu myśl własna przez to imponowała, i piękniejszą się wydała, że ją na obcy język przełożył«. Jadowite!...

ski niezbicie swym rozbiorem ostatniego rozdziału pierwszego tomu *Rachunków*, traktującego sprawy galicyjskie. Dlaczego rozdział ten znalazł się na samym ostatku, po omówieniu spraw całej Europy, Królestwa, Wielkopolski, ba, nawet Prus Zachodnich? Zdaniem Tarnowskiego »zachowano tu ten zwyczaj i porządek, który panować zwykł przy egzaminach szkolnych, gdzie naprzód popisują się zawsze uczniowie celujący i wzorowi, a próżniaki, nieuki, krnąbrni, wstyd i zakała klasy, na samym końcu dopiero odbierają nagany, upomnienia i wyroki« Po wymownej i ciętej obronie Galicyi, jej spraw i ludzi, bardzo nieprzychylnie potraktowanych przez Bolesławitę, następowała apologia Szujskiego, który w *Rachunkach* z r. 1867 osądzonym był inaczej zupełnie, niż przed rokiem w *Rachunkach* z r. 1866. Szujskiemu stała się krzywda, Tarnowski więc, jako jego przyjaciel, postanowił ująć się za nim. »Czynimy to nie bez pewnej obawy, pisał, bo wspólna nasza z. p. Szujskim praca w tym *Przeglądzie*, a bardziej jeszcze przyjaźń, datująca od pierwszych lat młodzieńczego wieku, mogłaby podać nas w podejrzenie, jakobyśmy, broniąc jego, przemawiali poniekąd *pro domo sua*. Potrzebujemy więc wielkiej oględności i umiarkowania, mając odpowiadać na zarzuty robione p. Szujskiemu przez Bolesławitę, i dlatego ograniczymy się w tej obronie do rzeczy najkonieczniejszych. Co więcej, gotowiśmy nie bronić ani dzieł p. Szujskiego, ani jego samego, i zapytamy tylko autora *Rachunków*, co to takiego zaszło przez przeciąg roku 1867, co pan Szujski w tym roku tak złego napisał lub zrobił, żeby wyrok, jaki o nim Szanowny autor w ostatnich *Rachunkach* feruje, tak był z gruntu różnym od tego, jakiśmy czytali w *Rachunkach* z r. 1866?«

Wszystko, co następowało po tem, a co było aż nadto przekonywającem uzasadnieniem powyższego zarzutu, opierało się na zestawieniu cytat z *Rachunków* z r. 1866 i z r. 1867, a było zestawieniem tak niemiłosiernem, że wprost wykluczało wszelką wątpliwość o złej woli Bolesławity, z jaką w roku 1867 sądził prace Szujskiego, jako historyka i poety. Na takie argumenty nie było odpowiedzi. Przeciwnik został przeszyty na wylot, a nadto szpadę wytrącono mu z ręki.

Jak w swoim czasie Korzeniowski po przeczytaniu słynnej krytyki Klaczki o *Krewnych*, tak teraz Kraszewski wziął sobie artykuł Tarnowskiego o *Rachunkach* bardzo głęboko do serca, czemu nawet nie omieszkał dać gorzkiego wyrazu w najbliższym tomie *Rachunków z r. 1868*, gdzie już na jednej z pierwszych kartek przedmowy podniósł tę sprawę... w sposób wielce dla siebie znamienny:

»Wrzawa, pisał między innemi, którą wywołały ostatnie z r. 1867 *Rachunki*, była charakterystyczną: przekonała nas, na jak niewielu sprawiedliwość, rozwagę, powiedziałbym nieledwie uczciwość liczyć dziś można. Cóż nam szkodzi, że nas zbeszczeszczono, że poważniejsi nawet pisarze ze studencką zarozumiałością z osobistych pobudek rzucali na nas w błoto powalanym kamieniem? Nam? jest to niemal chlubą, ale jakżeż smutnym symptomem dla kraju i czasu ta krytyka maluczka, czepiająca się drobnostek, zacierająca prawdy dla stosunków i nie umiejąca wynaleść lepszej broni nad osobistości i grubiaństwa. Najlepszą odpowiedzią byłoby zestawienie wszystkich krytyk w jeden snopek, a największą karą dla utalentowanego pisarza, jak Stan. Tarnowski, umieszczenie go w tem towarzystwie, w którem nikt z jego przodków nie bywał, a jemu też nie życzylibyśmy drugi raz w niem gościć. Przyjaźń nie zobowiązuje nigdy po za prawdę, po za przyzwoitość pewną i poszanowanie własnej godności w cudzej. Daj Boże, by szanowny krytyk nie dożył tej chwili, gdy go, złamanego poczciwą pracą, wracającego z pogrzebu, ulicznicy za poły z szyderstwem szarpać będą. Ale jeśli kiedy, kiedyś... zaboli go serce a zapłonie mu twarz, niech sobie przypomni, że mu lekceważenie oddaje lekceważeniem nieubłagany sędzia spraw ludzkich, los, Opatrzność, Bóg!

»Zaprawdę, powiada Chmielowski, trzeba było wielkiego bólu i rozgoryczenia, ażeby aż do takich posunąć się argumentów!« Że zaś ta »obojętna dlań dziś i zapomniana sprawa«, jak się wyraził w przedmowie, jeszcze mu i w ciągu pisania 3-go tomu *Rachunków* nie dawała spokoju, dowodem następujące przerwanie charakterystyki talentu Szujskiego:

Wstrzymujemy się z sądem o nowych pracach Szujskiego, choćby dlatego, ażeby przyjacielskie pióro nie miało powodu do szkodzących więcej samemu sobie, niż nam, a zawsze niemiłych, i nam, i nikomu, wystąpień. Pan Tarnowski zakrywa nam pana Szujskiego.

Od 22 sierpnia do 10 października przebywał Tarnowski, z powodu sesyi sejmowej, prawie bez przerwy we Lwowie. Oczywiście, że po za czynnościami sejmowemi, w których tylko pośredni brał udział, Tarnowski, wraz z Wodzickim i swymi tyczyńskimi przyjaciółmi, oddawał się i życiu światowemu, bywał w świecie, co znowu, ze względu na niektóre niepospolite indywidualności, których wtedy nie brakło we Lwowie, było wielką korzyścią dla niego, wielką życiową nauką. Do takich niepospolitych indywidualności należała w pierwszym rzędzie księżna Jadwiga Sapieżyna, podówczas Marszałkowa, którą to niełatwą rolę grała świetnie. »Niezdolna nigdy nic robić na pół lub na pozór, łączyła się całą mocą uwagi i uczucia ze wszystkiemi sprawami sejmowemi i nieraz do zbytku trapiła się niepowodzeniem mniej ważnem, zapalała się lub oburzała w rzeczach chwilowego ledwo znaczenia. Zawsze w swojej loży, zdarzało się bardzo rzadko (jeżeli się kiedy zdarzyło), żeby opuściła jaką sesyę. Z robotą w ręku (ta robota była wtedy powszechnie znaną, klasy-

czną, któreś z pism humorystycznych nazywało ją jedyną, jaka w sejmie postępuje), słuchała pilnie, uważnie, wszystkiego, co mówiono, ze wzruszeniem radości, nieraz ze łzami, kiedy mówiono lub uchwalono co dobrego, z pięknym szlachetnym gniewem, kiedy się stało co złego. Żartowała czasem sama z tych swoich oburzeń. »Gdybym ja była Marszałkiem, mawiała ze śmiechem, i miała tę laskę, tobym was zaraz nauczyła porządku«. Wielka żywość jej usposobienia sprawiała, że czasem oburzała się zbytecznie, lub nawet niesłusznie, ale jednak można było sprzeciwić się jej, wziąć w obronę to, co ją raziło, a od osób starszych i zaprzyjaźnionych, które miały prawo robić jej uwagi, przyjmowała je bardzo chętnie, ustępowała uprzejmie i z dobrem sercem. Jako pani jednego z pierwszych domów w kraju, nietylko nie zamykała go nigdy, ale owszem miała sobie za powinność mieć ten dom dla ludzi otwartym: tembardziej poczuwała się do tej powinności, odkąd była żoną Marszałka. Sama dla siebie, od świata oderwana zupełnie, i zapewne nieraz nim znudzona i zmęczona, zachowała przecież zwyczaj wielkiego świata i przyjmowała u siebie z uprzejmością zawsze równą, z doskonałą umiejętnością tej sztuki. Z pewnością niejedna królowa mogłaby się od niej uczyć dostojności i szlachetności układu, i dałaby wiele za to, by mieć taką postawę okazałą, taki ruch swobodny a majestatyczny, taki wielki styl we wszystkiem... Były wtedy we Lwowie takie wiekowe panie, istotnie tak wyjątkowe, że rozkosz była, i wielka nauka, słuchać ich i patrzeć na ich życie. Jedną była księżna: drugą pani Caboga ze swoją powierzchownością zeschłej i skulonej starej żebraczki a z rozumem nadzwyczajnym, i niemniej nadzwyczajną cnotą w miłosierdziu, w życiu religijnym, w cierpliwości i odwadze, z jaką w wieku swoim znosiła najboleśniejszą chorobę, i w chwilę po odbytej, powtarzającej się często operacyi, opowiadała ze śmiechem stare anegdoty z XIII wieku, albo z zapałem wskazywała, że w tym lub owym kierunku, jest to lub owo dobrego do zrobienia. Pani Aleksandrowa Fredrowa znowu, ze wszystkich najmniej na widoku, mało się udzielająca, cała poświęcona staremu mężowi i zamknięta w domu, miała w rysach, w rodzaju umysłu, wychowania, układu, typ najbardziej staropolski: a taką przytem wielką dystynkcyą, taki urok dobroci, rozumu, miłej rozmowy, że pomimo całego uroku i stanowiska męża, nie wiedziało się, kto więcej, on czy ona, do tego domu ciągnie i przywiązuje. Pani Seweryna Badeniowa wreszcie, miała ten wdzięk osobny, że pobożność i dobroczynność wielką łączyła z humorem najweselszym, z dowcipem najświetniejszym, najsubtelniejszym, naj-

bardziej oryginalnym«.[1]) Oprócz tych pań należy wymienić jeszcze i księżnę Marcellinę Czartoryską, która cały rok 1868 spędziła we Lwowie... Z posągowych postaci męzkich, których ówczesny Lwów również posiadał kilka zupełnie wyjątkowych, a z któremi obcowanie niewątpliwie było duchową rozkoszą dla Tarnowskiego, pierwsze miejsce »z wieku i urzędu« należało się staremu Fredrze. Uczucie, z jakiem Tarnowski odwiedzał sędziwego ojca komedyi polskiej, równało się najgłębszej czci dla siwowłosego starca, w którym, obok człowieka talentu, obok poety, zasługującego na zaszczytne miano polskiego Molièra, poważało się jeszcze napoleońskiego żołnierza, dawnego legionistę. »Każde miasto — słowa są Tarnowskiego — a dopieroż każde polskie, mogło zazdrościć Lwowu takiej ozdoby i chluby, jaką on miał. W tym domu zdawało się, że gdzieś za mgłą chowa się tam jeszcze cień Napoleona, a nie za mgłą, tylko wyraźnie unosi się duch ks. Józefa; zdawało się, że wabią i obiecują się ukazać fikcyjne postacie Cześnika, Rejenta, Anieli i Klary. Rzeczywistość ukazywała postać niewieścią w majestacie starości i godności, a w niej także były te słowa, które duch dawnej Polski potomności chowa. W starości państwa Fredrów ich dom był bardzo cichy, zamknięty, otwierał się tylko dla dobrych znajomych, nigdy na długo, nigdy dla wielu naraz. Żadnych przyjęć, żadnych światowych konieczności; uwalniał od nich sam wiek«.[2])

W sierpniu 1868 roku, kiedy się sejm zbierał, położenie, w jakiem się znajdował, wcale nie było zwyczajne i normalne, lecz owszem wyjątkowe. Sejm ten bowiem zbierał się po raz pierwszy od ogłoszenia konstytucyi grudniowej, przeciwko której głosowali wszyscy posłowie polscy — z Tarnowskim włącznie — i właśnie dlatego, że był pierwszym, musiał w jakiś sposób zaznaczyć swe nieukontentowanie. Przyjmując nową konstytucyę milczeniem, byłby na nią tem samem przystał imieniem swojem i kraju. Że tego zrobić nie mógł, dowodziło 1. głosowanie posłów jego w Radzie Państwa przeciw tej konstytucyi, a 2. dowodziła jednomyślność, z jaką kraj ustawy te uznał za złe dla siebie. Milczeć więc — słowa są Tarnowskiego — a tem samem zgodzić się pośrednio na konstytucyę grudniową, znaczyło to tyle, co uznać moc prawodawczą Rady Państwa nad krajem, a tem samem stanąć w sprzeczności z samym sobą, z interesem i przekonaniem kraju. I honor więc i obowiązek nakazywały sejmowi mówić. Konieczność ta tak powszechnie i tak

---

[1]) *Księżna Jadwiga z Zamoyskich Sapieżyna*, Kraków, 1890, osobne odbicie z *Czasu* z d. 16 i 17 kwietnia.

[2]) *Zofia z Fredrów Szeptycka, Przegląd polski*, 1905, czerwiec, 386.

zgodnie była rozumianą, że przed otwarciem sejmu nikt nie przypuszczał, ażeby on mógł nie dać zdania swego o konstytucyi. Różniono się co do sposobu, bo kiedy jedni radzili wyrazić zdanie to w adresie do tronu, inni chcieli je objąć w programie, obowiązującym sejm i jego delegacye, a jeszcze inni upatrywali w zerwaniu z dzisiejszym rządem jedyny godny i skuteczny sposób działania, ale na to godzili się wszyscy, że sesya ta przejść nie może bez jakiegoś aktu, w którym by sejm wyraził myśl swoją o konstytucyi grudniowej. Takie było usposobienie kraju w końcu sierpnia. Kraj patrzał z wytężoną uwagą na sejm i niecierpliwy był zobaczyć, jaką on przyjmie postawę; posłowie sami, kiedy się chwila zbliżała, oglądali się niespokojnie za formą, w której mogliby i zapatrywanie swoje na nową konstytucyę wyrazić i zarazem ustrzedz się od opozycyi gwałtownej i bezwzględnej, przeciwnej i miejscowemu i ogólnemu interesowi.[1]) W ten sposób przyszło do uchwalenia słynnej Rezolucyi, w której żądania kraju, sformulowane apodyktycznie i dogmatycznie, nie mogły stać się podstawą układów, a więc musiały doprowadzić do zerwania z rządem. Głównym twórcą Rezolucyi był przewodniczący rezolucyjnej komisyi Grocholski. Z nim też była większość sejmowa. Tarnowski i Wodzicki — świeżo ożeniony z Jadwigą Zamoyską — w Izbie nie występowali w sprawie Rezolucyi, przewidując jej polityczne następstwa, które nie długo istotnie dały czekać na siebie. Na wszystkich naradach poufnych trzymali najgoręcej stronę Ludwika Skrzyńskiego, który wnosił łagodniejszą formę adresu Adama Potockiego, proponującego ogólniejszą formę rezolucyi, elastyczniejszą, przez to skuteczniejszą, bo przydatniejszą do dyskusyi i ugody.

Jak przewidywał Tarnowski i jego przyjaciele polityczni, Rezolucya sprowadziła same porażki, szkody lub klęski. Pierwszą porażką, na skutek adresu, ostro naganiającego konstytucyę grudniową, było odwołanie przyjazdu cesarza do Galicyi, co stanowczo równało się szkodzie dla narodowej polityki galicyjskiej. Jeszcze większą szkodą była dymisya hr. Gołuchowskiego, a już stanowczą klęską była walka o rezolucyę w Radzie Państwa, walka, która się skończyła ustawą o bezpośrednich wyborach, czyli negacyą naszej kardynalnej zasady politycznej. A po całej rezolucyjnej kampanii, zakończonej zerwaniem i wyjściem z Rady Państwa, w rezultacie został niesmak, upokorzenie, chęć naprawienia tego, co się zrobiło, a wreszcie usposobienie rozdrażnione, nie mówiąc już o krzykach

[1]) *Przegląd polski,* 1868, listopad, str. 279—280, *O sesyi Sejmowej.*

dzienników i klubów. Słowem, Rezolucya, narobiwszy wiele hałasu, skończyła się wielką przegraną.

Tymczasem, gdy sejm, zamiast wniosku Skrzyńskiego, popieranego przez Tarnowskiego i Wodzickiego, uchwalił kategoryczną i dogmatyczną rezolucyę,[1]) i gdy przystąpiono do wyboru delegacyi do Rady Państwa, Wodzicki, z tych samych powodów, co i w roku zeszłym, dał się wybrać... »Skończyła się wtedy, i już na resztę życia, ta blizkość zajęć i częsty pobyt na jednem miejscu, które go przez długie lata łączyły ze Stanisławem Tarnowskim. Ten nie umiał znosić nieuniknionej w Wiedniu konieczności głosowania nieraz przeciw własnemu zdaniu i skorzystał z pierwszego zebrania Sejmu, żeby złożyć swój mandat do Rady Państwa; Wodzicki go zatrzymał. Jeden zaczął myśleć o docenturze literatury polskiej przy uniwersytecie krakowskim, drugi został i wytrwał w zawodzie politycznym«.[2])

Zamiar Tarnowskiego, ażeby starać się o docenturę literatury polskiej w jagiellońskiej wszechnicy, pozostawał w ścisłym związku z przebiegiem obrad sejmowych z r. 1868, na sejmie tym bowiem uchwaloną została ustawa o języku wykładowym polskim w obu uniwersytetach galicyjskich, co było rzeczą pierwszorzędnej doniosłości, zważywszy, że aż dotąd wykłady polskie w Krakowie zasadzały się na prostem rozporządzeniu ministeryalnem, które każdej chwili mogło być zmienionem lub zgoła cofniętem. Wogóle sejm ten, po za nieszczęsną rezolucyą, powziął cały szereg uchwał, a między innemi uchwalił, że wszystkie administracyjne urzędy i władze mają używać języka polskiego, tak w służbie wewnętrznej, jako też w stosunkach z innemi władzami, z wyjątkiem wojskowych.[3])

[1]) W swych *Studyach politycznych* (t. I, str. 104, *Z sejmem*) pisze St. Tarnowski z powodu tej rezolucyi z r. 1868, co następuje: »Kiedy po całorocznej przeszło kampanii Rady Państwa zebrał się Sejm w jesieni roku 1868, nowe agitacye, nowe oskarżenia, powoływania posłów przed trybunały meetingów, nawet żądania jakiegoś sądu na Delegacyę, jak żeby ona, w mniejszości będąc, mogła była przeszkodzić konstytucyi z grudnia r. 1867 i zrobić coś więcej, jak przeciw tej konstytucyi mówić i głosować. Krzyki były tak długie i hałaśliwe, że aż na Sejm sam (i w tem jego znowu wina) zrobiły wrażenie. Sejm po ogłoszeniu nowej konstytucyi musiał i przeciw niej protestować i stanowisko kraju jasno oznaczyć; ale wszelki pomysł czy projekt był tak zaraz okrzyczany, jako niegodny, miękki, bojaźliwy, niepatryotyczny, niedość wiele żądający, licytacya *in plus* tak szła ostro w dziennikach, że w końcu i Sejm sam stracił równowagę i zamiast sformułować przekonania i żądania swoje ogólnie, uchwalił katagoryczną i dogmatyczną rezolucyę«.

[2]) *Przegląd polski*, 1894, wrzesień, *Ludwik Wodzicki*.

[3]) Z przebiegu obrad tego sejmu, tak pamiętnego w dziejach Galicyi, obszernie zdał sprawę w *Przeglądzie polskim* Tarnowski, w osobnym artykule: *O sesyi sejmowej z r. 1868*.

Trudności, jakie powstały po uchwaleniu Rezolucyi z r. 1868, sprzyjając polityce niejasnej, starannie były wyzyskiwane przez niespokojne, t. z. gorące żywioły. Niepoprawne warcholstwo, we Lwowie zwłaszcza, z Janem Dobrzańskim, redaktorem *Gazety Narodowej*, na czele, siało rozstrój społeczny, mąciło umysły, »podawało ludzi zacnych w ohydę i podejrzenie«, zwalczało politykę sejmu, szkalowało pojedynczych posłów. Obchody demonstracyjne, zgromadzenia ludowe, różne programy postępowania, układane dla sejmu, utrzymywały zamęt w pojęciach, a mogły skrzywić polityczny kierunek kraju. »Kto się uczył historyi, kto zna cokolwiek naturę ludzi i społeczeństw, i kto sam miał sposobność choć raz na wypadki patrzeć, ten wie, że takie sądzenie sejmów przez kluby, takie wyprowadzanie ludności na ulicę, nawet czasem bankiety i mowy, dziać się zwykły w wilię rozruchów i bliskość ich zapowiadać. Kto pamiętał wypadki warszawskie, tak świeże jeszcze, ten mógł wiedzieć, że obchody i demonstracye zmierzają niekiedy gdzieindziej i dalej, niż się wydaje. A kto miał oczy otwarte i widział, jaką solą w oku, jaką kością w gardle były dla państw ościennych dobre stosunki Polaków z Austryą, ten mógł zaiste przypuszczać i bać się, że lada agent obcy skorzysta z lada obchodu, żeby wywołać rozruch, w szczęśliwym razie burdę, bójkę, o którą w wielkiem zbiegowisku ludzi zawsze łatwo: a wreszcie reakcyę, stan oblężenia i koniec polityki austryacko-polskiej. Widzieć, że po roku 1863 takie rzeczy powtarzać się mogą, było bardzo boleśnie, bo jeżeli ta nieszczęsna nauka nie była dostateczną, to cóż nas już nauczyć zdoła. A jednak czekać z założonemi rękoma, aż się stanie to, co się przewiduje, nie ostrzegać, nie uprzedzać, nie bronić się, jak i dopóki można? To niepodobna. Ale co robić? Nie pomogły żadne słowa, choćby najrozumniejsze i najwymowniejsze. Nie pomogły wymowniejsze i poważniejsze nad wszystko lekcye historyi i doświadczenia. Cóż pomoże? Może ironia? Broń to nieprzyjemna, bo niska i godząca w niższe części ludzkiej natury i duszy, w miłość własną. Ale kiedy rozum i sumienie słyszeć i rozumieć nie chciały przez miłość własną, jaknajczęściej, zagłuszone, to nie pozostaje nic, tylko w nią ugodzić i zabić jej i ludzkie wysokie o niej mniemanie; a prócz tego obnażyć ją z tych wszystkich szat i przyborów, w które się stroi, i zawstydzoną w tej nagości pokazać«. Na to jednak, by zdobyć się na coś podobnego, na tak ryzykowne przedsięwzięcie, trzeba było, wobec panującego nastroju w społeczeństwie, niesłychanej odwagi cywilnej, odwagi wystawienia się na sztych! Nie zbrakło jej przecież Tarnowskiemu i jego przyjaciołom, Szujskiemu, Koźmianowi i Wodzi-

ckiemu, i dali jej dowód, pisząc wspólnie *Tekę Stańczyka*. Była to niemiłosierna satyra na ówczesne wypadki polityczne w Galicyi, wypadki tego rodzaju, jak kluby i stowarzyszenia, grające rolę jakiejś niby wyższej instancyi, apelacyi nad Sejmem, wysłanie lub warunkowe wysłanie posłów do Rady Państwa przez Sejm, słowem, chęć opanowania tego Sejmu, oddania go pod komendę ulicy, dzienników, i zmuszenia do opozycyi stanowczej, do zerwania z rządem, a co dalej nastąpi, to się potem pokaże! *Teka Stańczyka* piętnowała i ośmieszała tę warcholską akcyę żywiołów t. z. »patryotycznych«, a czyniła to — z niezwykłym talentem pisarskim — przez usta takich satyrycznych typów, jak exminister Brutusik, jak dziennikarz Sprycimir, jak Paflagoniusz Tarapaciński, prezes rady powiatowej, lub Aldona, kobieta polityczna. Figury te, równie pocieszne, jak prawdziwe, same się malują w listach do swych przyjaciół politycznych, w listach, które dawny królewski błazen Stańczyk, raz po raz z tamtego świata schodzący na ziemię, do Polski, dla przyjrzenia się życiu swych ziomków... po szkodzie, w dosłownych odpisach przesłał przyjacielowi swemu, Gąsce, by z nich wymiarkował, co się dzieje w kraju. Listów tych było ośmnaście, a służący im za wstęp i ekspozycyę zarazem, pierwszy list Stańczyka do Gąski — arcydzieło w swoim rodzaju — był pióra Stanisława Tarnowskiego.

Pierwszy ciąg *Teki Stańczyka* ukazał się *w Przeglądzie polskim* w zeszycie z maja 1869 roku. Dokończenie przyniósł zeszyt grudniowy. Z pod czyjego pióra wyszła ta piekąca satyra, nie wiedziano na razie, gdyż autorowie nietylko zachowywali najściślejsze *incognito*, ale nawet w jednym z listów, mianowicie w liście exministra Brutusika, pióra Tarnowskiego, nakreślili swe własne karykatury, równie zabawne, jak złośliwe.

Oto n. p. satyryczny autoportret Tarnowskiego, napisany przez niego samego:

Dziwna rzecz, że w tym naszym demokratycznym i republikańskim kraju arystokratyczne *pedigree* jest tak wielkiem do wszystkiego ułatwieniem. Krzyczymy na panów i na arystokracyę, o równość jesteśmy bardzo zazdrośni: ale niech na wyścigowej arenie zjawi się byle jaki źróbek po Eclipsie albo po Orlando, z pewnością zostanie faworytem. Jeżeli trzymać się będzie równo z innymi końmi, sędziowie znajdą, że je wyprzedził; jeżeli wyprzedzi inne o pół chrapy, uznają, że wyprzedził o długość dwóch koni; a jeżeli sromotnie, został o pół mety w tyle, jeszcze powiedzą, że dobrze przyszedł trzeci albo czwarty. Niech jakikolwiek karmazynek raczy wziąć się do czego, a choćby tylko udać, że ma ochotę brać się do czego, może być pewnym powodzenia i obywatelskich koron.

Nie tłumaczę tego niesprawiedliwego, ale prawdziwego fenomenu, tylko uważam, że objawił on się także wyraźnie i w historyi Doliwczyka. Czując

w sobie popędy literacko-publicystyczne, zrodził on *Lustratora* i zniósł w nim zaraz pierwsze jajko, z którego wyszła jego karjera i reputacya. Doliwczyk chłopiec nie głupi, powiedział tam kilka rzeczy trafnych, na okrasę dodał parę konceptów, i skleił rzecz, która się czytała dość łatwo i prędko; a tak był przytem przebiegły i ostrożny, że nie uraził ani arystokratów ani demokratów, ale się też ani z jednymi ani drugimi nie wiązał, tło przekonań swoich ukrywając starannie przed okiem profanów. Od tej chwili Doliwczyk został pisarzem pełnym nadziei, a niebawem ujrzymy go obywatelem pełnym zasługi. Jeden lub drugi artykulik otworzył mu na oścież wrota do sali sejmowej, a kiedy na swoim koniku odprawił na nim wjazd tryumfalny i zabierał się reprezentować swój naród, towarzyszyły mu modły i błogosławieństwa wszystkich galilejskich hrabin i legitymistek, które widząc w nim urodzonego rycerza swojej świętej sprawy, proszą tylko Pana Boga o jego rychłe nawrócenie do zdrowych zasad, i czekają prędko ten rycerz skruszy kopię za Franciszka II., lub za świątobliwą Izabellę. Ale na to Doliwczyk za mądry, i nie skompromituje się nigdy; a choć opinię traktuje z góry, a pochlebstwem się brzydzi, choć szanuje wysoko siebie, swój charakter, swoje pióro, i swoją Doliwę, przecież wie dobrze, co powiedzieć można, a co nie, żeby nie stracić popularności, o którą starać się nie raczy, broń Boże, ale którą mieć jednak mu nie zawadzi. Dzięki temu taktowi i zręczności, dzięki pewnej łatwości pisania, gładkości i potoczystości stylu, jak mówiono za Księstwa Warszawskiego, dzięki wreszcie przeszłości, która go zajmującym zrobiła (bo Daliwczyk miał to szalone szczęście, że cierpiał za ojczyznę i to w miarę, nie dość mało, żeby być śmiesznym, ani dość wiele, żeby być na prawdę nieszczęśliwym), zwrócił ów młody autor na siebie uwagę i odtąd jego zawód pisarski był nieprzerwanem pasmem sukcesów. Cokolwiek napisał, wszystko było dobre, z naganą się jeszcze nie spotkał. Ośmielone tem młode lwiątko poczuło pazurki, i zaczęło drapać. I to mu uszło: galerya klaskała drapiącemu, a śmiała się z podrapanych: słowem tryumfator jeździł sobie od niechcenia piórkiem po papierze, pewien, że za każdą literę, którą nabazgrze, doleci go miły odgłos tego wykrzyknika, który stanowi zakończenie piątego krymskiego sonetu.

Tymczasem wziąwszy pod mikroskop pana Doliwczyka z jego stylem gładkim i potoczystym, znajdzie się tam niejedno miejsce chropawe, nie jedną poprostu dziurę. Doliwczyk posiada w wysokim stopniu sztukę mydlenia oczów: pisze o wszystkiem, ani się zawaha. Gotów zawsze decydować o polityce, o literaturze, o historyi, choćby o teologii: i tak umie zręcznie składać swoje frazesy, że na pierwszy rzut oka, możnaby myśleć, że on na prawdę to wszystko zna i umie. W rzeczywistości braknie łuski nie jednej w jego pancerzu, tylko sprytem i encyklopedycznie pochwytanemi wiadomościami umie on sztucznie dziurę pokryć lub załatać. Ma nawet na to pewien sposób i metodę, której się trzyma wiernie i zawsze, tak że z niejaką uwagą za każdym razem złapać go można na uczynku. Ile razy Doliwczyk czegoś nie wie i jest z tego powodu w kłopocie, radzi sobie nieodmiennie w ten sposób, że rzecz, której sam nie wie, przedstawia jako wszystkim wiadomą. »Po cóż darmo czas tracić«, mówi, »po co powtarzać rzeczy wszystkim wiadome i śpiewane przez wszystkie wróble na dachach? przejdźmy do czego innego«. W ten sposób omija trudność nasz młody literat; zbywa kilkoma słowami fakt historyczny, którego nie zna, lub kwestyę polityczną, której nie rozumie i rozwiązać nie może, a biedny czytelnik w dobrej wierze wstydzi się, że taki głupi, nie wie tego, co wiedzą wszyscy, nawet wróble na dachu! Nie wstydź się czytelniku, twój autor nie więcej wie od ciebie; a kiedy ty szperasz po lexykonach, żeby się przecież dowiedzieć tego, co wszyscy wiedzą, on sobie ręce zaciera i śmieje się z twej łatwowierności.

Karykaturalne sylwetki Szujskiego i Koźmiana, skreślone przez nich samych, nie mniej były pełne humoru i ironii. Podobnie wypadła ogólna charakterystyka *Przeglądu polskiego*, który w *Tece Stańczyka* figurował pod nazwą *Lustratora galicyjskiego*, a któremu — zdaniem Brutusika — »brak wszelkich do tego tytułów i zdolności, który ma mało sprytu, mniej energii, a najmniej pieniędzy i abonentów. Nerwu niema ani w moralnem znaczeniu tego słowa, ani materyalnego nerwu *rerum*«.

Czy jest, i czyim jest organem *Lustrator*, określić trudno. Prenumerują go prawie wszyscy książęta w Galilei, niektórzy hrabiowie (częściej hrabiny i hrabianki), ale nie wszyscy, niestety; (gdyby wszyscy, mógłby stać bardzo świetnie, bo w Galilei jak wiadomo, rzuć na psa kamieniem, w hrabiego trafisz). Oprócz tego pewna liczba tak zwanych umiarkowanych większych właścicieli. Mógłbyś z tego sądzić, że to »Organ« ściśle arystokratyczny i konserwatywny. Ale tak nie jest: w tem sęk właśnie, że sam dyabeł nie dojdzie, jakim i czego organem jest *Lustrator*. Przed trzema laty, kiedy lustrować zaczynał, był zapalonym i wymownym federalistą, odrzekał się centralnego parlamentu w Chaopolis, wszystkich spraw jego i wszystkiej pychy jego. Później znalazł, że mądra polityka liczyć się musi z faktem dokonanym, zasadę swoją postawił na ołtarzu i zasłonił, żeby spokojnie swoich czasów czekała, a sam wysłał delegata swojego właśnie do tego samego parlamentu.[1]) Później obstawał za rezolucyą Tygrysowskiego sejmiku; jeszcze później przekonał się, że mu z nią niewygodnie i gotów był wchodzić w kompromis.[2]) Słowem młody *Lustrator* ma chód nieregularny jak królik. Skoczy naprzód, zapędzi się, znowu się namyśla, zlęknie się swojej odwagi, cofnie się znowu, znowu żałuje i nawraca, a w jednej linii długo utrzymać się nie umie; i dalibóg nie wiem, jeszcze dziś po trzech latach co on reprezentuje i co mu w kraju odpowiada.

Prawda, że przy wyjściu swojem *Lustrator* nie zakładał sobie bezpośredniej akcyi politycznej za zadanie, i o złożeniu żadnego stronnictwa nie myślał. Zamierzał on tylko zostać polską *Revue de deux Mondes*, i w tym celu urządził wewnętrzną strukturę swoich zeszytów na wzór swego ideału. Naprzód miały iść poważne artykuły polityczne, literackie, ekonomiczne, naukowe, jakie Bóg da; dalej kroniki literackie, na końcu kroniki polityczne miesięczne, pisane przez najdowcipniejszego Forcada, jakiegoby *Lustrator* znaleść mógł w Galilei. Ta część zadania udała się świetnie. Ramy choć w mniejszych rozmiarach wykonano dokładnie na wzór Buloza, ale to co w ramach? to podobno mniej zręcznie naśladowane. Nie żeby *Lustrator* nie miewał nigdy rozumu; owszem trafiają się rzeczy pisane z talentem albo z dowcipem, ale to są *rari nantes* w oceanie mierności lub nudy. Jak pod względem politycznym *Lustrator* grzeszy chwiejnością, tak znowu pod względem redakcyjnym odznacza się lenistwem i niedołężnością. Skoro się trudni sprawami politycznemi, to jużciż trudno pojąć, dla czego w najostatniejszych czasach dopiero postarał się o to, by czytelnikom swoim dać jakiś obraz stosunków węgierskich na przykład? dla czego dotąd nie znalazł sposobu odbierania wiadomości z Warszawy, Litwy lub z Wołynia?

---

[1]) Tarnowski w r. 1867, Szujski w 1868, wybrani do Rady Państwa, pomimo głosowania przeciw tym wyborom 2 marca 1867.

[2]) Alluzya do artykułów Koźmiana przeciw trzymaniu się Rezolucyi dosłownie i dogmatycznie.

Dla czego o Wielkopolsce pisał raz tylko i to mimochodem w artykule o związku północno-niemieckim? *Lustrator* sam pisząc pośmiertne wspomnienie o *Wiadomościach polskich*,[1]) zrozumiał doskonale, że istotną zasługą tego ohydnego zresztą pisma było to, że na wszystko patrzało i o wszystkiem wiedziało? Dla czegóż nie idzie za ich przykładem, czemu nie robi sam tego, co słusznie ceni w drugich? W przedmiotach literackich i naukowych ta sama nieuwaga, ten sam brak pilności i pośpiechu. Widziałeś nieraz kobietę wystrojoną we wszystkie kolory i wiesz, jaką to składa harmonję: kapelusz kłóci się z suknią, suknia krzywi się na mantylkę, mantylka krzyczy na wstążki, wstążki w niezgodzie z kwiatami, oto masz obraz *Lustratora*. Kronika polityczna idzie w lewo, artykuł sytuacyjny (jak się czasem trafi) w prawo, z obydwoma nie zgadza się dążność krytyki literackiej; prace historyczne wypływają znowu z odmiennych pojęć i zapatrywań: słowem anarchia, chaos, który nigdy niebezpiecznym nam być nie może. Zdaje się, jak żeby każdemu z redaktorów o to tylko chodziło, żeby napisał co do niego należy, żeby to było dobrze napisane, i żeby się dobrze wydało, a o resztę się nie troszczy. Stąd pochodzi ta nierówność i dysharmonia, która sprawia, że *Lustrator* albo czytelników swoich zniechęca, albo co najmniej nie umie pozyskać nowych i stać się im potrzebnym.

Zdaje się jak żeby pismo to na odwrót tego co się zwykle dzieje, było nie dla czytelników, ale dla swojej redakcyi. Jakiś złośliwy język powiedział, że *Lustrator* to jest drewniany konik, na którym panicze wjeżdżają do izby sejmowej. Może to przesadzone, może *Lustrator* nie jest tylko konikiem, ale z pewnością jest także konikiem; i jeżeli właściciele i nakładcy tem go mieć chcieli, to trzeba przyznać, że im się udało, i że konik się opłaca, choć jego utrzymanie kosztuje. Możnaby napisać o tem piśmie i o jego redakcyi, coś nakształt księgi rodzaju, w którejby stało na początku, że Doliwczyk[2]) zrodził *Lustratora*, a *Lustrator* nawzajem zrodził Doliwczyka. Tylko co będzie w trzeciej generacyi, nie wiedzieć: dotąd z tych dwóch ojców jeszcze się nic nie zrodziło.

Prócz powyższego listu Brutusika napisał Tarnowski do *Teki Stańczyka* jeszcze pięć listów: List Aldony (kobiety politycznej), List Ignorancyusza (uczonego), oraz trzy listy Sycyniusza (trybuna). Pod względem literackim, jako satyra polityczna, były to rzeczy pierwszorzędne, na co godzili się nawet najzaciętsi antagoniści polityczni Tarnowskiego, nie wyłączając nawet Zygmunta Kaczkowskiego, który na *Tekę Stańczyka* odpowiedział zgryźliwą *Teką Nieczui*.

Wrażenie, jakie w społeczeństwie uczyniła *Teka Stańczyka*, było niesłychane; istny kij wetknięty w mrowisko. Zakotłowało się w całej prasie galicyjskiej, zwłaszcza lwowskiej. »Wszystkie nożyce — opowiada Tarnowski — odezwały się naraz przerażającym, odurzającym, a może i trochę przecież oburzającym chórem, i nam, redaktorom *Przeglądu*, i wszystkim do nas przekonaniami zbliżonym nadały we wspaniałej pogardzie swojej nazwę *Stańczyków*. Nazwę przyjęliśmy chętnie, nawet wdzięcznie, wiedząc z historyi, że przy-

[1]) *Roczniki polskie*, artykuł St. Tarnowskiego, 1868.
[2]) Leliwczyk (Tarnowski).

domek dany w gniewie przez przeciwnika na wzgardę i urągowisko, staje się czasem tytułem chwały. Na śmiech przecież dano Holendrom pogardliwe w myśli dających a chwalebne naprawdę miano *des Gueux*. Nie porównywamy naszych małych rzeczy z tamtemi wielkiemi, jednak wyznajemy szczerze, ta nazwa była nam miłą. Przypadkiem i niechcący przeciwnicy dali nam chrzest i imię, jako stronnictwu. A nietyle cieszyliśmy się z tego, że nam się to dostało, ile z tego, że tym razem może, jak nieraz przedtem, nadane imię nada spójność, całość, indywidualność, jednakim ale rozproszonym pojęciom i usiłowaniom, że da nietylko nazwę, ale i rzeczywistą organizacyę stronnictwu; że po jednej stronie, nie pod naszem przewodnictwem, ale za naszem po części pośrednictwem, zbiorą się w kupę wszyscy, którzy rok 1863 mają za największą klęskę porozbiorowej Polski i od klęsk podobnych na przyszłość chcą ją zabezpieczyć, po drugiej ci znowu, którzy w nim i w jego skutkach złego widzieć, raczej przyznać nie chcą, bo wtedy musieliby widzieć i przyznać, że sami źle zrobili. Co o nas mówiono i pisano? Mniejsza! Wyliczać zadługo, pamiętać, i nie należy, i nie warto! Zdrada ojczyzny, ozdobiona wszystkiemi agrementami nieludzkości i wszelakiej podłości: oto krótka treść zarzutów. Co zaś *Stańczyk* zrobił, a przynajmniej chciał zrobić? Upomnieć patryotyzm lekkomyślny, który chcąc dobrze, dobrze myśleć i działać nie umie; opamiętać patryotyzm sentymentalny, dziecinny, który pozór bierze za rzecz, a frazes za czyn; wreszcie odsłonić patryotyzm fałszywy, faryzejski, któremu ojczyzna służy za pretekst, a celem mniej lub więcej świadomym jest zawsze *ja* tego lub owego człowieka... Czy plewiąc kąkol, nie wyrwał *Przegląd* i przenicy? czy używając niemieckiego wyrażenia, wylewając kąpiel i dziecka z nią nie wyrzucił, a powsta-

---

[1]) Ludwika Wodzickiego były dwa listy: Poloniusza (Szambelana) i Paflagoniusza Tarapacińskiego (prezesa Rady powiatowej w Tarapatowie). Stanisław Koźmian napisał List Brutusika (Exministra) Nr. 5., List Optymowicza (właściciela apteki) do Trwożnickiego (urzędnika bankowego), Rozmowę pana Piotra z panem Pawłem, List Napoleona Bałamuckiego (posła sejmikowego) i List Sprycimira (dziennikarza). Józefa Szujskiego były: List Stańczyka do Gąski. Nr. 4, List Liberyusza Bankrutowicza (kandydata do parlamentu) i List Stańczyka do Gąski Nr. 17.

NB. W *Dziełach Józefa Szujskiego* (Serya III, tom IV) na str. 22—27 wydrukowano list Brutusika (exministra) Nr. 5, jako napisany przez Józefa Szujskiego. Tymczasem list ten wyszedł z pod pióra Stan. Koźmiana, który go też, jako przez siebie pisany, wydrukował w swych *Pismach politycznych* (str. 291—298). Nawiasem mówiąc, dwa ustępy tego listu — mianowicie pierwszy i końcowy — są pióra St. Tarnowskiego.

jąc na hypokryzyę patryotyzmu nie zgorszył kogo, nie naruszył w nim patryotyzmu samego, myśli ofiary i przyszłości? Wiemy, że szyderstwo Stańczyka bolało nawet ludzi poważnych i rozumnych, i niespokojnie braliśmy teraz do ręki te karty z obawą, czy tego grzechu na sumieniu nie mamy? Nie, i nie! Po latach, z głową wychłódłą i sercem wolnem od namiętności, mamy to przekonanie, że kto bez uprzedzenia Stańczyka przeczyta, a rozumnie czytać umie, ten myśl jego rozpozna łatwo i odrazu; ten odróżni na pierwszy rzut oka, do czego odnosi się jego ironia i (powiedzmy otwarcie) jego pogarda, a gdzie powyżej tego wszystkiego jest jego miłość, jego cześć, jego serdeczne żale i jego pragnienia. A w tej sprawie, wspominamy z wdzięcznością i chlubą, nie byliśmy sami. Poparci odważnie, po rycersku i po przyjacielsku przez *Czas*, znaleźliśmy poparcie u wielu, tak, że przez chwilę jakąś zdawać nam się mogło, że przyjdzie do połączenia i zjednoczenia usiłowań ludzi połączonych zasadami i przekonaniami. Tego skutku nie było: ale czy nie było żadnego po *Tece Stańczyka*? Może to zarozumiałe złudzenie, ale nie przyznając w tem sobie zasługi, możemy powiedzieć, że zdaje nam się, jakoby od tego czasu patryotyczny frazes bez myśli i treści był nieco przycichł, jakoby agitacye i demonstracye powtarzały się rzadziej, jakoby kluby i stowarzyszenia nie odgrażały się sejmom i nie powoływały ich przed swój sąd, i jakoby znana teorya znanego niegdyś Mierosławskiego o nieprzerwalności powstania i jego peryodycznem powtarzaniu od owego czasu odzywała się rzadziej znacznie«.[1])

---

[1]) *Studya polityczne*, I, 133—136, Obrachunek *Przeglądu polskiego*, (w r. 1876). Redaktorowie *Przeglądu polskiego*, choć byli autorami *Teki Stańczyka*, przez dość długi czas autorstwo swe utrzymywali w największej tajemnicy, a z początku zachowywali nawet pozory, że sami nie wiedzą, kto jest autorem złośliwych listów Stańczyka. Oto n. p. w jaki sposób raz St. Tarnowski starał się zmylić trop tych, którzy koniecznie wiedzieć pragnęli, z pod czyjego pióra wyszła rzeczona teka: »Że autor owej *Teki*, redakcyi tak jak i publiczności nieznany, nie oszczędza nikogo, i że redakcyi także bezstronności w tej sprawie odmówić nie można, dowód jest najlepszy, że autor w jednym ze swoich listów powiedział *Przeglądowi* samemu rzeczy wcale przykre, a *Przegląd* wydrukował je bez wahania. Zdaje się jednak, że ta bezstronność, na którą nie każde może pismo byłoby się w tym samym stopniu zdobyło, nie zasłużyła na wzgląd u naszych dzienników i *Przeglądowi* za obronę nie starczyła, skoro wyrzuty i oskarżenia posypały się nań, jak grad« (*Sumienność dzienników i dziennikarzy*). Gdy w końcu *Gazeta narodowa* wymieniła, jako autora Teki, L. Siemieńskiego, Stan. Koźmian w ten sposób w jednym ze swych *Przeglądów politycznych* (z dnia 30 września 1869) podał nieuzasadniony domysł ten w wątpliwość: »Inaczej się rzecz ma z wymienieniem jako autora *Teki Stańczyka* p. Lucyana Siemieńskiego, bez podania dowodów. Tu już *Gazeta Narodowa* złożyła tylko dowód tej sumienności dziennikarskiej, jaką się zawsze odznaczała i, niech nam czytelnicy wybaczą

W sierpniu, kiedy już po trzech ciągach *Teki Stańczyka* obelg i oszczerstw w prasie galicyjskiej na redaktorów *Przeglądu polskiego* nazbierało się tyle, że uczuli oni potrzebę »otrząść się, jak koń, kiedy go muchy obsiędą«, ukazał się artykuł Tarnowskiego o *Sumienności dzienników i dziennikarzy*, artykuł, który do wszystkich zbrodni *Przeglądu* dodał jedną jeszcze: powtórzył nanowo, głośno i otwarcie, że rok 1863 i każde powstanie bez warunków zwycięstwa, uważa za nieszczęście i za grzech przeciw ojczyźnie, i wytłomaczył, dlaczego je tak sądzi. Był to jakby komentarz do *Teki Stańczyka* dla tych, dla kogo ona była niezupełnie jasną i potrzebowała korektywu, dla tych, ktoby jeszcze myślał i wierzył, że redaktorowie *Przeglądu polskiego* ojczyzny, walk o nią i ofiar dla niej szanować i kochać nie umieją...

Artykuł ten, pełen oburzenia i wzgardy, był wymierzony przeciwko tym dziennikarzom, którzy, rzuciwszy się na redaktorów *Przeglądu polskiego* z powodu ogłaszanej w nim *Teki Stańczyka*, przebrali miarę w oskarżeniach... »Wyciąganie fałszywych wniosków, fałszywe przedstawienie osób i rzeczy, poprostu mówiąc potwarz i oszczerstwo, są nieledwie grzechem codziennym naszego dziennikarstwa. Dość przypomnieć, że kiedy delegacya sejmowa bawiła w Wiedniu, daleko częściej posądzano ją o osobiste widoki i korzyści, czyli o przekupstwo pod jakąbądź formą, aniżeli jej wytykano niepolityczne lub niezręczne w danym razie postępowanie.« Tarnowski, który należał do tej delegacyi, wiedział coś o tej metodzie *Gazety Narodowej*, *Dziennika polskiego* i *Kraju*. »Kiedy kto jest naszym przeciwnikiem lub nieprzyjacielem, nie probujemy pokazać jemu ani drugim, że i w czem się myli; wybieramy drogę krótszą i łatwiejszą. Mówimy, że co robi, robi za pieniadze, albo za order, albo za obietnicę stanowiska, albo za nadzieję władzy; rzucamy posądzenie i w tym jednym uczynku zamykamy kłamstwo, potwarz, fałszywą wiadomość, fałszywy wniosek, i zwodzenie tego czytelnika, któremu jednak winniśmy prawdę. W Galicyi doszło to złe do tego stopnia, że nikt nie może być pewnym dzisiaj, czy jutro nie zostanie ogło-

wyrażenie, tego pauperstwa, którem sobie samej zawsze najwięcej szkodziła. Poważny dziennik nie docieka anonimu, jak dyplomata nie zadaje pytań o zawarciu tajnych traktatów, już dlatego samego, aby uniknąć także podobnych zapytań. Bądź co bądź, *Gazeta Narodowa* stanęła tu na równi z *Dyabłem* krakowskim. Winszujemy jej. Gdyby jednak *Gazeta Narodowa* była się pomyliła, czego z pewnością wiedzieć nie możemy, nie znając sami autora *Teki Stańczyka*, złyby to nader był znak, bo by dowodził, że już nawet i węch straciła. Cóżby się jej wtedy zostało?«

szonym za złego Polaka. To odsądzanie od polskości, to oskarżanie o brak patryotyzmu przez jakieś samozwańcze i samowładne trybunały, stało się istnem obłąkaniem, pada na ludzi, na pisma peryodyczne, na korporacye, trafia we wszystkich i we wszystko«.

Jeżeli na skutek ukazania się *Teki Stańczyka* rzucono się na *Przegląd polski* i jego redaktorów, to głównie dlatego, jak mniema Tarnowski, że w niej potępiono wszelkie demonstracye i manifestacye patryotyczne, a także i powstanie roku 1863. Oto był prawdziwy powód gniewów i oskarżeń. »Zarzucają nam konserwatyzm, czytano między innemi w tym artykule, zarzucają nam, że nie chcemy restauracyi Polski, dlatego, że roku 1863 boimy się, jak zmory, a ofiar jego i poświęceń szanować nie umiemy... To nie prawda!... Wyznajemy więc otwarcie naszą wiarę co do roku 1863: uważamy go za największą klęskę Polski i szanujemy, jako taką: poległych czcimy, żałujemy cierpiących i prześladowanych, ale nie uwielbiamy ani tego ruchu, ani jego sprawców, nie mamy ani ruchu za piękną kartę w naszych dziejach, ani sprawców za bohaterów narodu!«

Po tem śmiałem wyznaniu wiary, wyznaniu, które zwłaszcza w owych czasach wymagało niezwykłej odwagi cywilnej, następowała polemika z demokratycznemi odłamami prasy galicyjskiej, zwłaszcza z *Gazetą Narodową*, o rok 1863, w którym taż gazeta widziała symbol patryotycznego bohaterstwa. Na jej przewrotny zarzut, że »wsteczna partya« zwichnęła powstanie i obłowiła się jego skarbami, odpowiedział z całą siłą przekonania Tarnowski, że zwichnęli to powstanie tylko ci, którzy je źle przygotowali i lekkomyślnie podnieśli, a przeniesienie go do Galicyi i wszystkie inne radykalne i rewolucyjne środki nie byłyby uratowały tego dziecka, które podług własnych słów jednego ze swoich ojców, Stefana Bobrowskiego, urodziło się w szóstym miesiącu. „*Gazeta Narodowa* wie to tak dobrze, jak my. A jeżeli wie także — jak to do zrozumienia dawać się zdaje — kto są ci wsteczni i »dobrze urodzeni« ludzie, którzy sobie przywłaszczyli fundusze przeznaczone na powstanie, niech ich nazwie: nie mamy nic przeciwko temu, choćby ci ludzie kryli się w samej Redakcyi *Przeglądu polskiego!*"

Czytelnik ma już zapewne dostateczne wyobrażenie o tem, jakie na nas rzucano obelgi i za co: zapytujemy go więc w końcu, zapominając zupełnie, że tu o nas chodzi, czy to nie jest straszne i oburzające, żeby oskarżenia tego rodzaju, oskarżenia o szpiegostwo, o podłość, o odstępstwo od sprawy narodowej, spadać mogły bezkarnie na ludzi porządnych, którzy mogą nie mieć zdolności ani zasługi (choć jeden z nich p. Szujski ma i jedną i drugą), ale z których żaden nigdy nic złego, nic nieuczciwego nie zrobił ani w prywatnem ani w publicznem życiu? Bo próżny byłby wykręt mówić, że wszystkie owe zarzuty ścią-

gają się do pisma, nie do jego redaktorów: pismo nie pisze się samo, a kto je oskarża, oskarża nie jego tytuł lub karty, z których się składa, ale jego redakcyę. Słusznie też, zdaje mi się, powiedzieć możemy, że jesteśmy wymownym przykładem, jak żadna uczciwość, żadne dobre imię, żadna dobra chęć wreszcie, nie jest bezpieczną przed niesprawiedliwą napaścią niesumiennych pism publicznych. W tem wszystkiém, co na nas ze wszech stron pisano, niema słowa prawdy, a z tych fałszywych podstaw wyprowadzono fałszywy wniosek, żeśmy służalcy, donosiciele i zaprzańcy. Zastanowić się przychodzi nie żartem, jaki to jest stan społeczeństwa, w którem takie rzeczy robią się »bez skrupułu« i bezkarnie: zapytać się można, kto takie rzeczy pisze i dlaczego?

W chwili, gdy powyższy artykuł ukazał się w druku, Tarnowski był już doktorem filozofii. Pozostawało to w ścisłym związku z jego zamiarem starania się o katedrę historyi literatury polskiej przy Uniwersytecie Jagiellońskim, który to zamiar szedł w parze z zamiarem Szujskiego, by zostać profesorem historyi polskiej. Jak Szujski, tak i Tarnowski, gdy myślał o katedrze, powodował się temi samemi pobudkami, które on sam, w odniesieniu do Szujskiego, tak sformułował: »Szujski miał tę śmiałość i tę rzutkość, ten heroiczny popęd, który mu kazał brać i rwać się do wszystkiego, nie przez zuchwalstwo i mniemanie, że on wszystko potrafi, lecz przez uczucie obowiązku, że kiedy rzecz jest potrzebna i powinna być zrobioną, a kto inny jej nie robi, ta ja spróbuję« [1]. Otóż gdy otworzyły się widoki nowego obsadzenia katedry literatury polskiej, raz na skutek zmian politycznych w Austryi, a także i wobec zapowiedzianego usunięcia się prof. Mecherzyńskiego, i gdy jakoś dawał się uczuwać brak poważniejszych kandydatów na tę katedrę, Tarnowski postanowił ubiegać się o to zaszczytne stanowisko. Na to jednak, by módz postawić swą kandydaturę, należało mieć tytuł doktorski, a on go nie miał. Nie pozostawało nic innego, jak tylko się doktoryzować. Lepiej późno, jak nigdy. Jakoż, przysiadłszy fałdów, niczem się nie zrażając, Tarnowski zdał — świetnie — cały szereg trudnych egzaminów [2], napisał rozprawę doktoryzacyjną *O Głosie wolnym Leszczyń-*

[1]) *Szujskiego młodość*, str. 75.

[2]) St. Koźmian, *Pisma polityczne*, str. 226. Ale nadzwyczaj pracowity z natury, Tarnowski, przygotowując się do egzaminów, jeszcze znajdował dość czasu na zasilanie *Przeglądu polskiego* obszernemi sprawozdaniami krytycznemi o wybitniejszych dziełach literackich i naukowych, wychodzących podówczas. Tym sposobem w marcu ukazała się w *Przegl. polskim* dłuższa ocena *Szkiców historycznych* B. Kalickiego, oraz ostatniej seryi *Szkiców* K. Szajnochy. W kwietniu wydrukował artykuł o *Radcach pana Radcy* Bałuckiego (świeżo wystawionych na scenie krakowskiej), tudzież zdał sprawę z dzieła religijnego p. t. *Opinions et Croyances*, którego autorem był Leon Rzewuski.

skiego[1]), a kiedy już zdobył sobie doktorat[2]), niezwłocznie się habilitował, obrawszy za temat do habilitacyjnego wykładu: *Ogólny obraz literatury politycznej w Polsce do końca XVIII wieku*[3]) Wykład ten odbył się w »przepełnionej sali kolegium fizycznego« d. 14 maja, a pod każdym względem wypadł »bardzo świetnie«. Skonstatował to Bolesławita w *Rachunkach z roku 1869*, ale że zapisując ten fakt, nie mógł zapomnieć recenzyi Tarnowskiego z *Rachunków z roku 1867*, więc skreślona przezeń sylwetka młodego docenta wypadła nader uszczypliwie. Z każdego jej słowa, pełnego uprzedzenia i niechęci, z każdej pochwały, wypowiedzianej półgębkiem, wyglądała tu niezastygła uraza osobista... Skreśliwszy krótkie *curriculum vitae* Tarnowskiego, jako »znanej rodziny potomka«, aż do chwili owego wykładu habilitacyjnego, który mu, »co nie ulegało wątpliwości, utorował drogę do docentury pożądanej«, Kraszewski tak go scharakteryzował:

»Hr. Tarnowski w najwyższym stopniu posiada wszelkie wymagane warunki do łatwego zdobycia stanowiska w literaturze. Naprzód niezaprzeczony talent, który nie będąc ani zbyt świetnym, ani nadto miernym, trzyma się w tej mierze, przez którą najłatwiej u ogółu uzyskuje się uznanie. Jest to talent pański, dobrze wychowanego człowieka, przyzwoity, trzeźwy, nieco chłodny, nie jaskrawy i nie grzeszący żadnym wybrykiem młodości, urodzony dojrzałym i profesorskim. Stworzon, rzekłbyś do togi i biretu. Powtóre, u nas i wszędzie znaczy coś imię świetne, a piękniejszego nosić nie można... Po trzecie jest aureola męczeńska, wyniesiona z Ołomuńca, i urok Saula, nawróconego na apostolstwo ortodoksyi i konserwatyzmu. Z tem wszystkiem, gdy się idzie drogą bitą, razem z najlepszem towarzystwem w Europie, nie trudno dobić się wszystkiego, czego się zapragnie. Przyszłość też hrabiego-profesora musi być świetną, i nie widzimy, czego by nie mógł dostąpić na drodze krescytywy, zaszczytów, posad i honorów. Co się tycze przyszłości jego talentu i sławy, sąd daleko trudniejszy, bodaj czy dziś możliwy. Czytając, co pisał hr. Tarnowski, od pierwszej jego rozprawy do ostatniej, znajdujemy go przestraszająco równym, jednakim, gładkim, trzymającym się na wodzy. Wszystko to wyborne... a wszystkiemu temu brak ognia i siły, tego właśnie, na czem, jakeśmy mówili, zbywa uniwersytetowi samemu. Hr. Tarnowski jest dlań młodym żywiołem, wybornie nadającym się do harmonijnego wypełnienia próżni, tak, aby młodości jak najmniej znać było. Czeka go niewątpliwie toga profesorska, rektorska, zaszczytne miejsce w bibliografii, wspomnienie w literaturze, jako założyciela *Przeglądu*, wątpimy jednak, by jasny ślad

[1]) *Pisarze polityczni*, Przedmowa, IV. »Kiedy otworzyła się dla mnie nadzieja katedry literatury polskiej, szukałem znowu na tem polu (literatury politycznej) przedmiotu do rozprawy doktorskiej (o *Głosie wolnym* Leszczyńskiego, dotąd w rękopiśmie) i do habilitacyjnego wykładu«.

[2]) W sylwetce Tarnowskiego z roku 1876 w *Tygod. illustr.* czytamy w tej kwestyi doktoratu, co następuje: »Wydział filozoficzny Uniwersytetu żąda od niego doktoratu, co było poniekąd drobiazgową szykaną; Tarnowski jednak poddaje się żądaniu i świetnie zdaje doktorat«.

[3]) *Pisarze polityczni*, Przedmowa, IV. Manuskrypt tego wykładu zaginął gdzieś tak, że — jak przypuszcza Tarnowski — zapewne się nigdy już nie znajdzie.

po sobie na drodze przebieżonej zostawił. Nie przesadzamy wszakże o przyszłości... Jakkolwiek talent to, do metamorfozy i przeistoczenia nie skłonny, wszystkiego przewidzieć niepodobna. Nazwisko, stosunki, położenie towarzyskie, gorzkie doświadczenie, może zaprowadziły go dalej, niż zrazu iść pragnął; duma i miłość własna nie dadzą się już zawrócić«.

Że ten sąd był niesprawiedliwy i krzywdzący dla przyszłego autora *Historyi literatury polskiej,* oraz że charakterystyka jego, oparta na »dumie i miłości własnej«, nieszczególnie świadczyła o przenikliwości Bolesławity, nie mówiąc już o jego dobrej wierze, nadmieniać nie potrzeba. Każdy sądzi po sobie, dlatego też i autor *Rachunków* tak był skłonnym do posądzania innych o dumę i miłość własną...

Dnia 14 czerwca 1869 r. przy restaurowaniu nadwerężonego grobowca Kazimierza Wielkiego w Katedrze na Wawelu, przekonano się, o czem nie wiedziano, że grobowiec zawierał śmiertelne szczątki wielkiego króla chłopów. W tydzień później, dnia 21 czerwca, przy zaproszonych i wybranych a szczęśliwych osobach, którym o tem znać dano, wydobyto prochy królewskie. Urzędowy protokół tak opisuje tę jedyną w swoim rodzaju, a dla naocznych świadków niezapomnianą chwilę: »Dziś o godzinie 10-tej rano odbyło się wyjęcie zwłok Kazimierza Wielkiego w Katedrze krakowskiej. Konserwator Paweł Popiel rozpoczął tę czynność otwarciem wschodniej ściany monumentu. Prof. Łepkowski odczytał protokół odkrycia grobu, w d. 15 b. m. spisany; poczem zgromadzeni członkowie Kapit. Kat. krak. przystąpili do obejrzenia wnętrza tumby... Ks. prałat Teliga zawezwał p. Łepkowskiego do prowadzenia protokółu, zaś prof. dra Kozubowskiego do zajęcia się wyjęciem z tumby kości i wszystkiego, co się w niej znajdzie. Zanim prof. Kozubowski wszedł we wnętrze sarkofagu, poklękli wszyscy, a ks. prałat Rusinowski, pokropiwszy zwłoki, zaintonował *de Profundis.* PP. Jan Matejko, hr. Stanisław Tarnowski, Józef Szujski, Władysław Łuszczkiewicz, odbierali kości, insygnia, szczęty szat, trumny, kraty żelaznej, i wszelkie zbutwiałki, które, okazywane zgromadzonym i spisywane, wkładali do tymczasowej trumny wobec ks. prałata Grzybowskiego i całej Prześw. Kapituły i członków komisyi restauracyjnej, wyznaczonej do strzeżenia przez ten czas otworów grobu. Dobyto koronę, górną połowę berła, pierścień, ostrogi, guzy od sukni, oponę, oraz kości wszelkie, które wraz z pilnie zbieranemi prochami w ową trumnę złożono«. Tarnowski uczestniczył w tej uroczystości czystym przypadkiem, wybrawszy się na Zamek, nie wiedząc o niczem. To też, jak sam przyznaje, zachował niewygasłą wdzięczność dla tego szczęśliwego przypadku, który go w dniu tym skłonił do pójścia na Wawel. Wrażenie bowiem,

jakiego doznał w katedrze, wraz z gronem zaledwie kilkunastu osób, było niezapomniane. Oto, jak z niego z czasem, w książce o Matejce, zdał sprawę: »Zaczęło się wydobywanie kości Kazimierza, jednej po drugiej, i rzeczy, które były w jego grobie. We wnętrzu grobowca stał jeden ze świątników kościelnych, prof. Dr. Kozubowski i Matejko... Z zewnątrz kilkunastu ludzi, Majer między nimi, Piotr Moszyński i jego córki... Trafem się tak jakoś złożyło, że znalazłem się najbliżej otworu, przez który prof. Kozubowski kości Kazimierza podawał na zewnątrz, determinując każdą, co zaraz ktoś obok — Łepkowski — zapisywał. Najbliżej stojąc, odbierałem te kości z rąk Kozubowskiego i podawałem je dalej; może nie wszystkie, ale dużo. Składano je w prostą, naprędce przyniesioną, małą sosnową trumnę. Po kościach wydobyto koronę, berło, ostrogi, szmaty całunu, a kiedy wszystko było skończone, X. kanonik Scipio zaintonował *Libera* i ten improwizowany kondukt poprowadził do kaplicy Wazów, gdzie złożono trumnę. Taka była mięszanina wrażeń, że żaden z nas nie wiedział, czego doznaje, które uczucie w nim góruje. Jakaś rzeczywistość królewskiego pogrzebu, jakaś bliskość, teraźniejszość tego Kazimierza, jakżeby to był jego pogrzeb prawdziwy! A przytem świadomość, że to nie teraz, że pięćset bez jednego lat w tył, że Zamek inny, że Polska inna, że wszystko inne; my biedni dworzanie za tą ubogą trumną króla! Jakby się to wydawało tym, co inny Zamek, inne pogrzeby widzieli? Było dziwnie gorzko, ale i błogo razem. Było jakieś uszczęśliwienie rzewne w tem, że się widziało kości i włosy Kazimierza, a ta jego korona po pięciu wiekach z grobu wychodząca na świat, na jasne słońce... Był potem pogrzeb, wspaniale urządzony, z deputacyami całego kraju, uroczysty, malowniczy. Ale ten obchód przygotowany, paradny, z całą swoją okazałością, nie przejmował tak do głębi duszy, jak to niespodziane odkrycie kości i złożenie ich do trumny. Zostaliśmy tam długo, nie mówiąc do siebie prawie nic, myśląc wszyscy to samo i dużo. Rzewuski fotografował insygnia, Matejko szkicował [1])...

Ow uroczysty pogrzeb Kazimierza Wielkiego, przy poważnym wtórze zygmuntowskiego dzwonu, przy udziale wielotysięcznego tłumu, odbył się d. 8 lipca, tak, jak to było życzeniem Szujskiego, który w pięknym artykule o *Wydobyciu zwłok Kazimierza Wielkiego i przyszłym ich pogrzebie,* domagał się entuzyastycznie, by uroczystość ta odbyła się w sam dzień trzechsetnej rocznicy Unii Lubelskiej! Rocznicę tę miano obchodzić w Krakowie nader uroczyście, ale prze-

---

[1]) *Matejko*, str. 126, 127.

szkodził temu... zakaz policyi. Rocznicę tę, niezależnie od projektowanych a niedoszłych do skutku obchodów, uczcił Matejko wielkim obrazem *Unii Lubelskiej* (podobnie, jak ją uczcił Klaczko swą mistrzowską rozprawą historyczną, *Une Annexion d'autrefois).* Obraz ten, jeden z najpyszniejszych utworów mistrza, wystawiony na widok publiczny w Krakowie, obudził zachwyt ogólny. W *Przeglądzie polskim* dał podziwowi temu wyraz Tarnowski, w artykule, który, wynosząc zalety obrazu, nie przemilczał i o jego stronach słabych, których wytknął bardzo wiele. Wszelako w ostatecznej konkluzyi zaznaczył dobitnie, że nigdy talent Matejki, a przynajmniej artystyczna jego doskonałość nie wzniosły się tak wysoko, że nigdy jeszcze nie wyzwolił się on tak śmiało i tak świetnie z pod dawniejszych swoich wad i przyzwyczajeń. »Jako moment dramatyczny, *Skarga* stoi może wyżej od *Unii*, jako wartość artystyczna, przewyższa ona — zdaniem krytyka — wszystko, co dotąd Matejko wystawił na widok publiczny«.

W zakończeniu artykułu wyraził Tarnowski gorące życzenie, by obraz tych zalet mógł pozostać w Galicyi. »Trudno zapewne, by dał się nabyć prywatnemi środkami, ale czy nie mógłby stać się własnością kraju? Treścią swoją jakże pięknie nadawałby się on do sali sejmowej, a prócz tego, czyż nie byłoby pięknie, żeby dzieło polskie, tak wielkiej wartości, zdobiło salę obrad i w niej się przechowywało? Czy subskrybcya, składka, otworzona n. p. przez Wydział krajowy i zapomożona w części z funduszu krajowego, (czego by sejm może nie odmówił) nie mogłaby wyrównać cenie obrazu? Nie wiemy, ale pozwalamy sobie rzucić tę myśl, bo pragniemy bardzo, żeby obraz nie poszedł gdzie do zamorskich panów, i przekonani jesteśmy, że godzien on jest umieszczenia w sali sejmowej, i to nie tylko lwowskiej«.

Pragnieniu Tarnowskiego stało się zadość: *Unia* Matejki, zakupiona przez kraj, zdobi salę sejmową we Lwowie.

Tymczasem d. 15 września rozpoczęła się trzecia sesya drugiego peryodu Sejmu galicyjskiego, sesya, która, jak żadna inna, obudziła wiele obustronnej niechęci, wzniecając niesmak powszechny. Na sejm ten, jak to po nim stwierdził Szujski w *Przeglądzie polskim*, gniewali się wszyscy, wszyscy mu robili złe imię; wrażenie zaś, jakie na najspokojniejszych, najwyrozumialszych, najcierpliwszych ludziach czynił, było zawsze jedno, najgorsze. Niezgoda, rozbicie, kwestye osobiste: oto, co wpadało na pierwszy rzut oka każdemu na myśl, a uczucie, którego kraj jakoś nie mógł poskromić żadną miarą, było uczuciem ubezwładnienia i rozterki wewnętrznej. Tarnowski, wraz z swymi przyjaciółmi politycznymi, kupiącymi się około Adama

Potockiego i Henryka Wodzickiego, a poza sejmem około *Czasu* i *Przeglądu polskiego*, szedł ręka w rękę z t. zw. Kołem niezawisłych, (na tym sejmie po raz pierwszy przezwanych *Stańczykami)*, a które to koło ostatecznie stało się średnicą wypadkową Sejmu, nadało mu właściwy charakter. Koło to, powstawszy z inicyatywy przeważnie posłów zachodnio-galicyjskich, nie wchodzących w żywą grę stronnictw zgrupowanych około rezolucyi, zbierało się w mieszkaniu księcia Sanguszki, tudzież u Michała Gnoińskiego, a w niedługim czasie urosło do trzydziestu członków, w których liczbie znaleźli się ludzie różnych opinii, a niedawno jeszcze i różnych obozów politycznych. »Pomimo czysto negacyjnego programu swego, pomimo różnic opinii, zawiązanie koła tego zaważyło stanowczo na szali losów sejmowych. Postawione w środku pomiędzy spornemi obozami, miało ono sposobność decydowania w niejednej ważnej sprawie. Pozostawiając posłom najzupełniejszą swobodę opinii, skupiało ich i wiązało bez form głosowania rzeczywistą potrzebą chwili. Niemożebne wobec solidarnego Koła porozumienie, zastępowało traktowaniem z temże kołem o kandydatów do komisyi najważniejszych, jak komisya konstytucyjna, komisya do wniosku rządowego o obu językach krajowych, o kandydatów do Rady Państwa« [1]). Tarnowski należał do pierwszej z tych komisyi, t. zw. konstytucyjnej, obradującej nad adresami [2]). Podczas dyskusyi nad adresem, jaka się toczyła w izbie, Tarnowski bronił »świetnie« wniosku Henryka Wodzickiego. Był to jeden z jego pierwszych tryumfów krasomówczych.

W ciągu roku 1869 wyszedł w Poznaniu tom II *Dzieł dramatycznych Szekspira* w przekładzie Stanisław Koźmiana. Na ostatnich kartach książki, na czele objaśniających przypisów, pomieścił dostojny tłómacz »uwagę ogólną«, w której bardzo wyczerpująco odpowiedział na krytykę Tarnowskiego o tomie I pomienionych przekładów. W uwadze tej skarżył się na samym wstępie czcigodny prezes poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, że spodziewając się doczekać obszernych i wszechstronnych recenzyi o przekładzie trzech dramatów z pierwszego tomu, doznał niemiłego wielce zawodu, oprócz bowiem kilku pobieżnych nader wzmianek pojawił się tylko jeden na miano recenzyi zasługujący. »Zamieścił go w *Przeglądzie polskim* hr. Stanisław Tarnowski. Pochwały pochodzące od tak zdolnego i pracowitego, młodego a już znakomitego pisarza, nie mogą być ni-

---

[1]) Szujski, *Dzieła*, Serya III, tom II, *Pisma polityczne*, str. 176—177.

[2]) *W Rachunkach* Bolesławity z r. 1868 czytamy: »Dwa projekta adresów, Tarnowskiego i Zyblikiewicza, roztrząsano w komisyi sejmowej«. (str. 266).

komu obojętnemi. Wdzięcznie też je, acz niezasłużone, przyjmuję, jako nagrodę za trud mój i dobre chęci, a zachętę do wytrwania w poczętem przedsięwzięciu«. Po takim wstępie następowała polemika z Tarnowskim, a mianowicie odpowiedź na jego zarzuty, które przedewszystkiem dotyczyły polskiego sposobu pisania nazwisk angielskich, które Koźmian pisał ortografią polską, a Tarnowski radził trzymać się ortografii angielskiej. Szło głównie o *Króla Leara*, którego nazwisko Koźmian pisał przez *y*, nazywając go *Królem Lyrem*, a co żadną miarą nie trafiało po przekonania Tarnowskiemu. Nie przekonały go też argumenty Koźmiana, przytoczone w uwagach do drugiego tomu przekładów, za czem poszło, że w sprawozdaniu z tego drugiego tomu, w którem podniósł wyższość nowej seryi przekładów w porównaniu z poprzednią, raz jeszcze w nader przekonywujący sposób obronił swojej tezy, w niwecz obracając wszystkie wywody Koźmiana, z którym zresztą całą polemikę poprowadził prawdziwie po wersalsku, z wyszukaną kurtuazyą. *A tout seigneur tout honneur*

W tym samym zeszycie, co ów *Przegląd literacki* o Szekspirze w tłómaczeniu Koźmiana, znalazł się i dalszy ciąg *Listów z Francyi o Francyi* pióra Horacego Delaroche, które to listy, o przebiegu wypadków we Francyi, oryginalnie pisane po francusku, wychodziły w *Przeglądzie polskim* w wykwintnym przekładzie Tarnowskiego [1]. Ten ostatni bowiem, od chwili założenia *Przeglądu*, którego był *spiritus movens*, bardzo się troszczył o to, by jego osobiści przyjaciele i koledzy, zgrupowali się koło pisma, którego on był głównym redaktorem, i zasilali je swemi pracami. Wszak nie brakło pomiędzy nimi wybitnych a częstokroć pierwszorzędnych talentów pisarskich!... Tym sposobem, począwszy od pierwszego numeru *Przeglądu* z artykułem Floryana Ziemiałkowskiego, znalazły się na szpaltach tej polskiej *Revue des deux Mondes* cenne prace Lucyana Siemieńskiego, Zygmunta Sawczyńskiego, Bernarda Kalickiego, Leona Kaplińskiego, Cezara Hallera, Ludwika Dębickiego, Tadeusza Pilińskiego, Kazimierza Wodzickiego, Wojciecha Szukiewicza, Stanisława Kłobukowskiego, Leona Chrzanowskiego, a niebawem, jak na Horacego Delaroche, miała przyjść kolej na Kalinkę i Klaczkę, o których zresztą w *Przeglądzie* raz po raz pisali lub wzmiankowali inni, zwłaszcza

[1] Wskazuje na to wyraźnie początek pierwszego listu: »Panie Redaktorze! Życzyłeś sobie, żebym czytelnikom *Przeglądu* dostarczał wiadomości o przebiegu obecnych wypadków we Francyi. Podejmując się zadania tego z prawdziwą przyjemnością, a wdzięczny za uprzejmość, z jaką polskie swoje pióro ofiarujesz Pan na przekład moich francuskich listów«.

Tarnowski i Szujski. Kalinka rozpoczął swe długoletnie współpracownictwo w *Przeglądzie polskim*, w lipcu 1869 roku, świetnym listem do redaktora — Tarnowskiego — o *Konspiracyi korespondentów*. Samo się przez się rozumie, że najwięcej w *Przeglądzie polskim* pisywali jego redaktorowie: Tarnowski, Szujski i Koźmian. Szujski drukował cały szereg prac z zakresu historyi i polityki, będąc stałym referentem *Przeglądu literackiego*, w którym pokrótce oceniał wszystkie nowości, (czasami wyręczał go w tem Tarnowski), a Koźmian pisywał w każdym zeszycie *Przegląd polityczny*. Wodzicki, choć nie należał do składu redakcyi, jednak z *Przeglądem polskim*, jak z jego redaktorami, pozostawał w najbliższych stosunkach, raz po raz w nim pomieszczając jakiś artykuł w kwestyach polityki galicyjskiej. To też, gdy redakcya znalazła się w kłopocie z powodu braku powieści [1]), której nawiasem mówiąc *Przegląd* nigdy nie miał dobrej (nawet wtedy, gdy drukował *Hybrydy* Bolesławity), i gdy redaktorzy wpadli na pomysł, by taką powieść pisać do spółki, Wodzicki przyłączył się do tej roboty. Jakoż zaczęto pisać, pod pseudonimem »Światowida«, powieść w listach, p. t. *Kosze i Koszyki*, powieść, nietylko lepszą od poprzednich, bo nawet świetną miejscami, a przedewszystkiem pisaną bardzo wykwintnie, zupełnie na sposób francuski [1]). Za wzór służyła tu słynna powieść francuska *La Croix de Berny*, pisana przez trzech znakomitych pisarzy i jedną powieściopisarkę, mianowicie przez Sandeau, Gautier, Mery i panią Sand. Podobną spółkę, złożoną z trzech mężczyzn i jednej kobiety, złożono i w tym razie, gdyż powieść o *Koszach i Koszykach* pisali: Stanisław Tarnowski (którego pióra były listy ks. Gertrudy), Stanisław Koźmian, Ludwik Wodzicki i panna Anna Mycielska. W podobny sposób powstała i *Prawie powieść*, drukowana również w *Przeglądzie polskim*, a pisana do spółki przez Stanisława

---

[1]) Sam Tarnowski pisze o tem otwarcie, zdając Obrachunek *Przeglądu polskiego* za lat dziesięć. »Albo powieści? Ile razy staraliśmy się o nie, wiedząc, że to potrzebna ozdoba i że nam brak jej abonenci zarzucają. Ale skąd ich wziąć niestety? Jest prawda kilka fabryk, w których gotowych powieści zawsze dostanie; ale do tych fabrycznych wyrobów mieliśmy nieco wstrętu, a sądziliśmy, że i nasi czytelnicy nie bardzo ich łakną. Pragnęliśmy takich, a nasi czytelnicy zapewne także, które stawiałyby jakiś nowo dostrzeżony lub nowo obrobiony problemat psychologiczny, czy też towarzyski lub społeczny stosunek, a nie były mechanicznem tylko przerobieniem, przeżuciem, rzeczy sto razy już napisanych. A o takie, napisane z prawdziwą inteligencyą, z artystycznym zmysłem, jakże trudno!« *Studya polityczne*, I, 138.

[2]) W swem wspomnieniu o L. Wodzickim pisze Tarnowski: »Ustępów do artykułów cudzych, lub korespondencyi i informacyi, dostarczał Wodzicki często, a tak się czuł współpracownikiem *Przeglądu*, że kiedy w kłopocie o powieści zaczęliśmy z rozpaczy pisywać sami składane, on do tej roboty należał«.

Tarnowskiego, Ludwika Wodzickiego, Henryka Wodzickiego, Augusta Gorayskiego, oraz przez pannę Annę Mycielską, późniejszą panią Lisicką. Czy się powieści te podobały czytelnikom *Przeglądu polskiego?* Z pewnością, gdyż zaszczytnie wyróżniały się wśród ówczesnej literatury powieściowej. Co pewna, że ci, co je pisali, doskonale się bawili przy tej sposobności. Ustępy, pisane przez Tarnowskiego, należały do najświetniejszych [1]).

W ciągu tegoż roku 1869 zjechała na stałe do Krakowa, po dwuletnim pobycie we Lwowie, księżna Marcellina Czartoryska. Nabywszy Wolę pod Krakowem, rezydencyę jedną z najwspanialszych w Polsce, w Krakowie (najprzód w domu Popielów i ks. Lubomirskiej przy ulicy św. Jana, później we własnym, dawnym domu starościny Wolbromskiej) chciała swój dom zrobić miłym, chciała przezeń wzmocnić i ożywić towarzyskie życie miasta, chciała to życie towarzyskie wzmocnić i ożywić ludźmi i rodzinami rzetelnego wykształcenia, wartości lub zasługi; chciała przez towarzyskie stosunki rozwinąć artystyczne instynkta, w Krakowie wtedy bardzo uśpione. Przyjmowała zawsze i wiele, opowiada w jej życiorysie Tarnowski, częsty uczestnik tych wieczorów u księżnej; chciała ściągać i bawić wszystkich, niektórych wybranych cieszyć i kształcić wyborową muzyką. Wieczory u niej bywały dwojakie. Jedne liczne, dla wszystkich, drugie małe, dla wybranych. Na pierwszych, obok muzyki księżnej, największą atrakcyą bywały teatry amatorskie, uświetniane talentem księcia Aleksandra i jego brata, Konstantego, oraz jego syna i synowej. Te talenta, które niegdyś cała Europa podziwiała w Wiedniu i w Paryżu, teraz dawały się poznać i podziwiać w Krakowie; a przy nich ukazywały się inne, domorosłe i w wielkim świecie nieznane, ale świetne także, jak ś. p. Roman Wodzicki naprzykład, jak jego ojciec, żeby żyjących nie wymieniać. Obok tych wielkich przyjęć były wieczory mniejsze, dla muzyków głównie. Otaczał wtedy fortepian księżnej i z nią grywał Żeleński, Stanisław Tomkowicz, Jerzy Szembek, Ignacy Skrochowski, Zygmunt Cieszkowski z wiolonczelą, panna Józefa Michałowska ze swoim wspaniałym śpiewem, a w kącie gdzieś zasłuchany, skulony, siedział Matejko w zadumaniu i wzruszeniu, a kiedy słuchał *Polonezów* Chopina naprzykład, kto wie, czy nie miał swoich wizyi i on także, czy tryumfalne sceny *Hołdu pruskiego* i *Wiednia*, czy proroctwa *Wernyhory* nie nabierały w oczach jego duszy stałych kształtów na odgłos i pod wrażeniem tych dźwię-

[1]) Warto by powieści te wydać w formie książkowej, na co ze wszech miar zasługują.

ków. Tarnowski, od tylu lat zaprzyjaźniony z księżną, najbardziej lubił te małe wieczory u niej, przypominające mu ów goethowski *Kreis edler Gemüther*. Takie małe wieczory były, jego zdaniem, od licznych nierównie milsze: nietylko dla muzyki, ale i dlatego, że w dużem zebraniu, chcąc być uprzejmą dla wszystkich, księżna rozdawała swoją rozmowę zdawkową monetą krótkich zwykłych frazesów. Kiedy zaś miała osób tak niewiele, że można je było skupić i utrzymać we wspólnej rozmowie, nie miała umiejętniejszej od siebie pani domu [1]). Jak u księżnej Marcelliny, tak i w innych arystokratycznych domach, bywał teraz Tarnowski, gdy bawił w Krakowie, dość wiele, gdyż wynikało to poprostu z jego sytuacyi społecznej; od czasu zaś, gdy hołdował bywaniu w świecie, jako student uniwersytetu, bardzo się zmieniła jego rola na tle salonów: dawniej ginął wśród innej młodzieży, teraz wyróżniał się wśród innych, jako *une célébrité*. Bo nie każdy w jego wieku, w 32-gim roku życia, był już i znakomitym krytykiem literackim, i członkiem Towarzystwa Naukowego, i posłem na Sejm, i deputowanym do Rady Państwa!

Od jesieni zaś r. 1869, do tych wszystkich tytułów przybył mu jeden jeszcze: docenta Uniwersytetetu Jagiellońskiego. Jak w życiu Szujskiego, który w tym samym czasie, d. 24 listopada, wygłosił swą pierwszą prelekcyę, jako profesor historyi polskiej, podobnie i w życiu Tarnowskiego, od chwili, gdy po raz pierwszy stanął na katedrze uniwersyteckiej, jako docent historyi literatury polskiej, zaczęła się nowa epoka. Skończyły się jego *Lehrjahre*. Przyszła kolej na lata nauczania [2]). Niestety tło, na którem się odbywało to nauczanie, nie przedstawiało się świetnie, gdyż wszechnica krakowska, w owych latach, gdy jeszcze nie istniało piękne *Collegium Novum*, mieściła się

---

[1]) *Księżna Marcellina Czartoryska*, str. 282—3.

[2]) We wspomnieniu pośm. o *Arcybiskupie Jerzym Szembeku* uprzytomnia sobie Tarnowski w pamięci swe pierwsze wykłady w uniwersytecie. »Przy wielkiem nieszczęściu publicznem — czytamy tam — nie powinnyby odzywać się mniejsze żale i osobiste wspomnienia, ale cisną się tłumnie, czci zmarłego nie uwłaczają, niech więc będzie miejsce i dla nich. To na katedrze pierwsze lekcye początkującego docenta Uniwersytetu, a na ławkach między uczniami jeden, ośmnastoletni, zwracający na siebie uwagę szlachetnemi rysami twarzy i jej myślącym wyrazem. Pilny bardzo, słucha, uważa, a widać, że się zastanawia i sądzi. Z oczów, z nachylenia głowy, z postawy, można poznać, kiedy ten chłopiec godzi się w swojej myśli z tem, co słyszy; z odmiennego wyrazu widzi się, że on myśli inaczej, że ma jakieś zdanie swoje, które zapewne wyrobiło się poprzedniem myśleniem. To, co słyszy, to dla niego rzeczy może w części nowe, ale nie obce; on już o nich wie, już się w nich rozpoznał«. Słowa te mogą jednocześnie służyć za dowód, jak Tarnowski z katedry w czasie wykładu obserwuje swych słuchaczy i pilną zwraca na nich uwagę.

w budynkach, które pod względem okazałości wiele pozostawiały do życzenia. Tarnowski dał nawet raz temu wyraz w pierwszym tomie *Z Wakacyi*, gdy na myśl o innych, świetniej uposażonych uniwersytetach, o kijowskim zwłaszcza, »wszystkie pokusy zazdrości wzbudziły się w jego profesorskiem sercu«. »Jak pomyśleć, w jakich budach, w jakich jamach, w jakich wstydliwych zakątkach nasza biedna *Alma Jagellonica* dusi swoich uczniów, swoją mądrość i swoje pięć wieków historyi, jak wspomnieć o naszem strasznem *Juridicum*, o naszem sromotnem *Collegium Minus*, to aż żal i wstyd i zazdrość bierze! Cóż robić? Nieraz tak bywa na świecie! Niedawno temu żyły jeszcze w Wenecyi dwie stare panny Foscari, ostatnie ze swego domu, i trzęsły się z zimna i głodu w jednym pokoju swojego chwiejącego się pałacu, a naprzeciwko pani Taglioni rozpierała się w Casa d'Oro: podobnie wygląda los naszego uniwersytetu przy kijowskim. Zresztą miałem zawsze wielką sympatyę i uszanowanie dla tych gołębi z bajki, co nie chciały się gnieździć w nowym gołębniku, ale gdyby z naszego starego zrobiono nam nowy porządniejszy, doprawdy nie byłoby nic złego«. Ale choć ramy były nader skromne i niepozorne, ba, nawet biedne, to jednak obraz literatury polskiej, jaki z katedry roztaczał młody docent, tak był pociągający pod względem treści, a przytem odznaczał się tak wykwintną szatą zewnętrzną, że odrazu, jako jeden z najlepszych wykładów w uniwersytecie, zaczął ściągać znaczną ilość słuchaczy. Co prawda, to rzadko który profesor tak sumiennie przygotowywał się do swych prelekcyi, jak Tarnowski, który każdą lekcyę, zanim stanął na katedrze, spisywał najprzód, by ją następnie wygłosić z pamięci. To też, pomimo pamięci fenomenalnej i niezwykłej łatwości pisania, co mu niezmiernie ułatwiało stosowanie tak pracowitej metody, opracowywanie w ten sposób wykładów uniwersyteckich, jako wymagające wiele czasu — bo i czytać z natury rzeczy musiał bardzo wiele — odciągało go od innych zajęć literackich. A że i Szujski znajdował się w podobnem położeniu, więc najgorzej na tem wychodził *Przegląd polski*. Wogóle rok 1869 był dla pisma tego bardzo znaczącym i ważnym. Naprzód przez *Stańczyka* podniósł jego znaczenie: w niektórych jego poważanie, u innych jego nienawiść. Ale zarazem przyniósł mu i znaczne szkody. Z trzech głównych jego redaktorów na skutek objęcia katedr w uniwersytecie przez Tarnowskiego i Szujskiego ubyło mu dwóch, a jeżeli dla nich — powiada Tarnowski — było to szczęściem, to dla pisma było stratą, bo obowiązki profesorskie nie dozwalały im poświęcać *Przeglądowi* tyle czasu, uwagi i pracy, ile mu dać mogli przedtem. Trzeci zaś z jego redaktorów, Koźmian, zwłaszcza odkąd

został kierownikiem teatru krakowskiego, również *Przeglądowi* całego swojego czasu poświęcać nie mógł. »Nastąpiło też pewne osłabienie w piśmie, nieszczęśliwe dla niego w chwili właśnie, kiedy tak wzrastająca jego niepopularność, jak i wzrastający wpływ, nakazywały właśnie wytężyć wszystkie siły, żeby je zrobić coraz lepszem, coraz bardziej zajmującem, coraz potrzebniejszem. Było przeciwnie. Naprzód po zajęciu, jakie obudził był Stańczyk, rozprawy naukowe lub literackie, z bieżącem życiem mniej związane, musiały wydawać się blado, a pismo, któremu właściwi współpracownicy nie mogli już całej swojej pracy poświęcać, musiało i pomijać wiele rzeczy, o których mówić mu należało, i w wyborze artykułów być mniej trudnem« [1]).

Tymczasem zaczął się rok 1870, *l'année terrible*, jak go nazwał Wiktor Hugo. W lipcu wybuchła wojna prusko-francuska, wojna epokowego znaczenia, po której zawalił się świat kultury łacińskiej, a na jego gruzach wzniósł się świat inny, świat »siły przed prawem«, świat żelaza i krwi, świat Bismarcka! Jednocześnie w Krakowie zaszło drugie trzęsienie ziemi, małe, miejscowe, światu nie znane, jednak takie, że w niem zawaliło się wiele, a mogła się ziemia zawalić i pod *Czasem:* bankructwo Kirchmayera. On był właścicielem; ktoś musiał zostać nowym właścicielem, i jako taki być zapisanym, na to, by dziennik mógł istnieć. Dać upaść *Czasowi* było niepodobieństwem. Adam Potocki, Henryk Wodzicki, oraz kilku innych, w tej liczbie Aleksander Kurtz i Stan. Tarnowski, zawiązali spółkę, która nabywała dziennik od masy wierzycieli. Od tej chwili zacieśniły się jeszcze bardziej i tak już dość bliskie węzły, łączące Tarnowskiego z redakcyą *Czasu.* Zaprzyjaźniony z nią oddawna, z jej głównymi współpracownikami, z Mannem i Siemieńskim zwłaszcza, teraz przychodził tu z prawem głosu. Delikatność jednak nakazywała mu z prawa tego korzystać jak najmniej, z nadzwyczajną oględnością. O tym swoim stosunku do redakcyi *Czasu* w roli współwłaściciela tak opowiada sam Tarnowski: »W redakcyi oczywiście nie zmieniło się nic, wszystko zostało na swojem miejscu. Ale stosunek do właściciela musiał się trochę zmienić. Ten nowy zbiorowy właściciel nie myślał w niczem krępować redakcyi, ale jednak musiał wiedzieć, co się w dzienniku dzieje. Jeden Kirchmayer znosił się z *Czasem* w potocznej rozmowie; spółka tak robić nie mogła: musiała wybrać z pośród siebie kilku, których upoważniła do znoszenia się z redakcyą. Był więc komitet! jeszcze jeden, do wszystkich niezliczonych komitetów w Galicyi! Zdawało się jemu, zdawało się wielu w mieście i w kraju, że *Czas* po-

[1]) *Studya polityczne*, I, 136. Obrachunek *Przeglądu polskiego*.

trzebowałby niejakich zmian i odnowień. Komitet miał więc robić uwagi redakcyi, a ona mogła je przyjmować lub nie przyjmować, podług własnego uznania. Po takiem zgodnem porozumieniu z redakcyą, komitet, czujący się w prawie, a gorliwy z obowiązku, jak zwykle nowa miotła, przesłał raz jakieś uwagi. Polityczne robił Aleksander Kurtz, literackie Stanisław Tarnowski. Te odnosiły się głównie do krytyk teatralnych; jedne i drugie były, jak nam się zdawało, grzecznie i po przyjacielsku napisane. Ale na punkcie *Czasu* Mann był niezmiernie drażliwy. Kiedy go doszło w rozmowie, że *Czas* bywa nudny, lub coś podobnego, cierpiał, ale się i gniewał. Dostaliśmy też na nasze uwagi odpowiedź ostrą, tak, że położywszy uszy po sobie, woleliśmy uwag zaniechać, jak Manna drażnić« [1]).

Co się tycze Tarnowskiego, to wogóle tak był zaabsorbowany wykładami w uniwersytecie, że nietylko *Czasem*, ale i *Przeglądem polskim* nie mógł zajmować się dostatecznie. Najlepszy dowód, że cztery pierwsze zeszyty *Przeglądu polskiego* z r. 1870 nie przyniosły ani jednej pracy, ba, ani jednej recenzyi pióra swego głównego redaktora i wydawcy. Dopiero w majowym zeszycie znalazło się obszerniejsze »wspomnienie o pismach« świeżo zmarłego w tym czasie Leona Rzewuskiego. Nie we wszystkiem godząc się na jego teorye społeczne i polityczne, Tarnowski był przejęty głębokiem uwielbieniem dla tego niepospolitego umysłu i charakteru i dał temu wyraz w swym szkicu o nim, przedstawiając go, jako jedną z tych prawdziwie tragicznych postaci, których przed innemi dostarczyła ta świetna generacya ludzi, młodych około roku 1830. »Błyszczała ona zdolnościami pierwszego rzędu, chowała w sobie ludzi, którym, a przez nich krajowi, wszystko rokowało wielką przyszłość, miała wyborne materyały na polityków i dyplomatów, na wojskowych i ekonomistów, na uczonych i mówców, na wszystko, co narodowi życie daje, zapewnia i rozwija, a z tych wszystkich nadziei, z tych wszystkich niezawodnych zdawało się weksli na przyszłość, żaden nie wypłacił się tak, jak był powinien, bo żaden nie mógł. Wojskowi marnieli, politycy i dyplomaci targali siły w smutnej robocie mitologicznych Danaid; poeci jedni spełnili wszystko, co spełnić mogli, bo do spełnienia tego nie potrzebowali wypadków niezależnych od siebie, jako tła i warsztatu swojej pracy«.

Na początku roku 1870 ukazał się w Paryżu, nakładem księgarni Luxemburskiej, tom I *Korespondencyi Mickiewicza*, zebranej sta-

---

[1]) O *Czasie* i jego redaktorach, str. 67—8. Jako wydawca i redaktor odpowiedzialny podpisywał wtedy *Czas* Stanisław Tarnowski.

raniem dzieci poety, a zwłaszcza jego najstarszego syna, Władysława. Gorący wielbiciel twórcy *Pana Tadeusza*, Tarnowski, wziąwszy te świeżo wydane listy wieszcza, jako punkt wyjścia, napisał na ich podstawie — i z uwzględnieniem świetnej pracy Klaczki z r. 1861 o *Korespondencyi Mickiewicza* — studyum literackie, w którem pokusił się o naszkicowanie charakterystyki autora *Dziadów*, jako człowieka, kreśląc jego moralny wizerunek. Chodziło mu także i o to, by nasz czytający ogół, tak mało skłonny do czytania rzeczy poważniejszych, zachęcić do przestudyowania tych listów największego z poetów, jakich wydała Polska, jednego z wielkich ludzi wieku, którego poezya jest arką, w której porozbiorowa Polska złożyła broń swego rycerza, swych myśli przędze i swych uczuć... ciernie. »Przez wiele lat, na wiele pokoleń rozlewały się z tej arki i jeszcze rozlewają zdroje siły, pociechy i miłości ojczyzny: a jeżeli nie była ona dla nas źródłem, z którego płynie życia pierwiastek, bo źródło to nie jest nigdy w ludzkich rękach ani dziełach, to była przynajmniej śpichlerzem, skąd braliśmy ten życia kordyał, który pierwiastek życia wzmacnia i krzepi«.

Na ostatnich kartkach swej rozprawy dodał Tarnowski »z przykrością« kilka słów sprostowania w sprawie, o której, jak sam przyznaje, wolałby milczeć, »ale skoro wydawca listów w przypiskach swoich wytoczył proces i wystąpił z oskarżeniem, odpowiedź na jego zarzuty stała się dla sprawozdawcy koniecznością i obowiązkiem«. Chodziło o Klaczkę, któremu zarzucono, że ogłaszając w swej *Korespondencyi Mickiewicza* listy poety do żony w czasie jej pobytu w domu zdrowia, wykroczył przeciw delikatności i moralnemu uczuciu. Zdaniem Tarnowskiego, zarzucając coś podobnego Klaczce, wielką wyrządzono mu krzywdę. »Gdyby ogłoszenie tych listów było w czemkolwiek ubliżyło jednej lub drugiej stronie, gdyby bez ubliżenia było wykryciem tajemnicy, pojmowalibyśmy żal. Ale nie: człowiek przejęty najwyższą i najgłębszą czcią dla Mickiewicza, a mówiący o nim tak, że lepiej, jak każdy inny, rozumieć i czcić go każe, ogłasza z upoważnienia opieki listy, które odnosząc się do znanej powszechnie choroby żony, ukazują Mickiewicza w świetle rozrzewniającej dobroci, dodaje do nich uwagi własne, nad które nie wiem gdzie i kiedy coś lepszego i piękniejszego o Mickiewiczu napisano; przy wydaniu dzieł zadaje sobie trudu i pracy niemało, robi edycyę, jakich w Polsce nie bywało, robi ją, nie kładąc nawet swego podpisu, nie żądając nawet śladu ani pamięci tego, że on ją robił, a za to musi słyszeć, że... obraził delikatność i moralne uczucie«. Była to krzycząca niesprawiedliwość i niewdzięczność, ale nie można też po-

wiedzieć, żeby jej Tarnowski nie powetował, gdy nietylko, że odparł wszystkie nieusprawiedliwione zarzuty, jakie wydawcy *Korespondencyi Mickiewicza* uczynili Klaczce, ale nadto sam im wytknął rażący brak delikatności...

Z Klaczką, który od pierwszych miesięcy roku 1869, jako radca dworu, mieszkał w Wiedniu, powołany tu przez hr. Beusta do pracy w ministeryum spraw zagranicznych, widywał się Tarnowski w tych czasach dosyć często, albowiem autor *Préliminaires de Sadova* został w r. 1870 wybrany z grona większej własności ziemskiej na posła z okręgu tarnowskiego do sejmu galicyjskiego we Lwowie. Sejm ten obradował właśnie w chwili, gdy w *Przeglądzie polskim* ukazał się artykuł Tarnowskiego o *Korespondencyi Mickiewicza*, a gdy z Francyi dochodziły coraz bardziej hiobowe wieści, zapowiadające upadek drugiego cesarstwa, a tem samem hegemonię Prus i Bismarcka, Klaczko, prawie w przeddzień bitwy pod Sedanem, wypowiedział w sejmie, z powodu obrad nad adresem do cesarza Franciszka Józefa, pamiętną mowę o zwrocie dziejowym, mowę, która, jak błyskawica w duszną noc letnią, rozjaśniła i oświetliła widnokrąg polityczny. Tarnowski, będąc naocznym świadkiem tego wystąpienia Klaczki, zapisał jeden charakterystyczny epizod z tej sesyi, epizod smutny, bo dający poznać stopień uznania, jakiem we własnem społeczeństwie cieszył się znakomity współpracownik *Revue des deux Mondes* i *Wiadomości polskich*. Gdy Klaczko zszedł z mównicy — opowiada Tarnowski — jeden z kolegów posłów, wzruszony i zachwycony jego mową, rzekł doń, ściskając mu rękę: »Nie wiedziałem, że pan dobrodziej umie tak dobrze po polsku!« Wiedział, że Klaczko był Hofratem; nie wiedział, że był Klaczką i co pisał![1])

Coprawda, to Klaczko od roku 1861, od owego studyum o *Korespondencyi Mickiewicza*, pisał wyłącznie po francusku, w *Revue des deux Mondes:* po polsku przestał pisać zupełnie. Korciło to Tarnowskiego, który choć rozumiał szlachetne pobudki Klaczki, dla których pisywał po francusku, to jednak pragnął również, by znakomity pisarz nie zrywał i z polską prozą, która mu przed rokiem 1860 zawdzięczała tyle kart prześwietnych. Jakoż przy każdej sposobności, o ile tylko mógł użyć swojego wpływu, Tarnowski wciąż namawiał Klaczkę, by coś oryginalnie po polsku dla *Przeglądu polskiego* napisał. Namowom tym uczynił Klaczko zadość, gdy w marcu r. 1871, po wyjściu z ministerium hr. Beusta, znalazł się w Brukselli, a następ-

---

[1]) *Ksiądz Waleryan Kalinka*, oraz przedmowa do *Szkiców i Rozpraw literackich* Klaczki.

pnie w oblężonym przez wojska pruskie i gorączką komuny trawionym Paryżu. Z wrażeń, jakich tam doznawał, powstały mistrzowskie *Notatki z podróży*, które Tarnowski z chlubą drukował w *Przeglądzie polskim*. Notatki te, pisane krwią serdeczną, przynosiły cały szereg obrazów tego tragicznego, a równie nagłego, jak niespodziewanego zawalenia się nietylko politycznego, ale i moralnego świata w Europie, a konstatując przegraną Francyi, ponuro patrzyły w przyszłość wszechmocy Prus i Rosyi. Uczucie, w jakiem Klaczko kreślił te notatki, było wspólne bodaj że całej generacyi w Polsce, bo ta generacya wzrosła w wierze we Francyę i w Napoleona III. »Zimno będzie w Europie«, wyraził się z powodu tryumfów pruskiego oręża Adam Potocki, a jak wielu innych, tak i Tarnowski w tych czasach zrobił smutne odkrycie, że wszystko, co się kochało, w co się wierzyło, że wolność, że postęp, to złudzenie i fałsz, skoro wiedzie do komuny, że nawet miłość ojczyzny i uczucie honoru znikają ze świata, skoro po największem narodowem nieszczęściu i upokorzeniu możliwe jest jeszcze większe, mianowicie tryumfalne ognie petrolu, oświecające zwycięstwo siły przed prawem. W tem uczuciu była napisaną broszura Kalinki o *Przegranej Francyi i przyszłości Europy*, a zdający z niej sprawę w *Przeglądzie polskim* Tarnowski w taki sposób oddawał ówczesny nastrój umysłów: »Dotąd my wszyscy, cała Europa może, jesteśmy jak człowiek, który zleciał z wysokości, i odurzony wstrząśnieniem wie, że się z nim stało coś strasznego, wie, że jest na dnie jakiejś nieznanej przepaści, ale ani jej dobrze rozpoznać, ani pomyśleć o tem nie miał czasu, jak w niej żyć będzie i którędy się z niej wydostanie. Okropność zwycięstw pruskich, okropność gorsza wojny domowej we Francyi, instynktowe uczucie, że dziś Europa jest na łasce Prus i Rosyi, oto, co wiąże i przykuwa do siebie wzrok, myśl i strach każdego, jak wielki constrictor małego ptaszka poświęconego zgubie. Co zrobimy, żeby w tem strasznem położeniu Laokoona, w śmiertelnych uściskach tych dwóch wężów nie skonać, nie mieliśmy ani dość czasu, ani dość przytomności, żeby się nad tem namyśleć. A jednak myśleć i przewidywać zawczasu, to wielka mądrość, to jedyna polityka prawdziwa«. W przewidywaniu tej tajemniczej przyszłości Europy, ks. Kalinka poruszył między innemi także kwestyę niepodległości Polski, a gdy się zastanowił nad pytaniem, czy dobrze by było, gdyby ta niepodległość była kwestyą już niedalekiej przyszłości, doszedł do smutnego wniosku, że w najbliższym czasie, dopóki się nie pozbędziemy naszych wad narodowych, a nie nabierzemy nauki i cnoty, niepodległość byłaby owocem zawczesnym. Rozwijając tę myśl autora broszury, którego

współpracownictwo — jak pisał w zakończeniu swego artykułu — »liczymy do wielkich zaszczytów naszego pisma, a przyjaźń do wielkich zaszczytów naszego życia«, Tarnowski nie mógł się opędzić smutnym refleksyom na ten temat...

W tym samym zeszycie, co sprawozdanie z broszury Kalinki, znalazło się i *Kilka słów o Chopinie*, które Tarnowski w marcu r. 1871 wygłosił jako odczyt [1]) na korzyść komitetu bratniej pomocy uczniów Uniwersytetu Jagiellońskiego. Było to w poście, gdy wogóle i inni profesorowie wygłaszali podobne prelekcye. W liczbie prelegentów był i Szujski, który w tym roku odczytał świetną rzecz o *Dawnej Rzeczypospolitej i jej pogrobowcach*. Odczyt Tarnowskiego uświetniła grą swoją księżna Marcellina Czartoryska, która mu też dostarczyła wszystkich do studyum tego materyałów. Oto, co o niej z tego powodu pisze sam Tarnowski: »Uczyła, co mam mówić i jak, dała do ręki wszystkie pozostałe po nim listy i notatki. Jednego tylko wzbroniła: najmniejszej wzmianki o sobie«. W taki to sposób powstał ten mistrzowski szkic o Chopinie, prawdziwa perła w literaturze chopinowskiej. Piękniejszej i trafniejszej charakterystyki twórcy *Mazurków* niepodobna wskazać, choć tyle o nim pisano u nas i za granicą... Muzyka Chopina, zdaniem Tarnowskiego, ma wiele wspólnego ze współczesną poezyą polską, z poezyą Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego, zgodną z nią nietylko przez ogólne uczucie narodowe, przez swoją właściwą cechę polską, ale nawet zgodna w wielu, prawie we wszystkich odcieniach tego uczucia. »A jak charakterem, duchem, rodzajem natchnienia, wdziękiem, tak i kolejami przez jakie przechodziła, muzyka ta podobna jest do tej poezyi. Jak tamta idzie na emigracyę, jak tamta myśli i marzy ciągle o kraju, tęskni za nim, jak tamta pod wpływem tych wypadków, przegranej roku 1831 i emigracyi, wydała swoje najpiękniejsze dzieła, tak ta pod wpływem tych samych uczuć i wypadków wydaje swoje inspiracye najwyższe i najbardziej polskie duchem i formą, i jak tamta, przez cały ciąg swego życia smutna i tęskna, jak ona także kończy akordem ufności i nadziei«. [2])

---

[1]) Już poprzednio (w r. 1870) wygłosił Tarnowski w Krakowie dwa odczyty: *1. O tragedyach Tołstoja i 2. Angielska parafraza Nieboskiej komedyi*, (drukowane w *Kronice rodzinnej*). We Lwowie zaś obrał sobie na temat prelekcyi: *O upadku literatury polskiej w XVIII w. i powodach jej odrodzenia za Stanisława Augusta*. (Zob. *Kłosy* z 23 marca 1876 r. w sylwetce St. Tarnowskiego).

[2]) Studyum to o Chopinie zostało przez znaną pianistkę Natalię Janothównę przełożone na język angielski: *Chopin. by Stanisław Count Tarnowski, Translated from the polish by Natalie Janotha, 1899.*

Tą nadzieją i ufnością zawsze się odznaczała i powieść polska, która począwszy od *Pana Podstolego*, a kończąc na powieściach współczesnych, stale była pisaną, jak Trylogia Sienkiewicza, »dla pokrzepienia serc«. Nie inaczej też miała się rzecz na początku XIX wieku, kiedy księżna Wirtemberska pisała *Malwinę*, kiedy Niemcewicz tworzył *Jana z Tęczyna* lub *Lejbe i Siorę*, kiedy Bernatowicz puszczał w świat *Pojatę*. Romansom tym, jako poniekąd pierwszym w naszej literaturze, poświęcił Tarnowski w *Przeglądzie polskim* z lutego 1871 roku osobne studyum, zatytułowane *Romans polski w początku XIX wieku*,[1]) a w którem scharakteryzowawszy cały szereg poszczególnych utworów powieściowych z epoki Królestwa Kongresowego, przy sposobności wypowiedział swoje zapatrywania i poglądy na powieść wogóle. Otóż, zdaniem Tarnowskiego, jeżeli żyjemy w epoce panowania romansu, to dzieje się to na skutek niezaprzeczonego spowszednienia, zdrobnienia literatury, która rozciągając się na znacznie większą przestrzeń, niż dawniej, tem samem stała się płytszą, cieńszą, gatunkowo lżejszą. »Gdziekolwiek spojrzeć, na poezyę, na umiejętność, na sztukę, wszędzie bogowie znikli. Są jeszcze wielkie imiona, ale należą do innych pokoleń, i już dogasają, a między młodszymi nie widać takich, którzyby zapowiadali, że ich godnie zastąpią. A zdaje się nawet, jakżeby nie tylko talenty zmalały, ale jakżeby zdrobniało samo pojęcie rzeczy, jakżeby nietylko nie było nas stać na nic wielkiego, ale jakżebyśmy się rzeczy wielkich bali. Mówimy o nich z uszanowaniem, ale czujemy się z niemi jakoś nie swoi i obcy; wygodniej i swobodniej nam z mniejszemi a przystępniejszemi, lżejszemi«.

Jak powieść polska z czasów *Malwiny* doskonale oddaje ten nastrój wewnętrznego spokoju i zgody, któremi w początkach XIX wieku odznaczało się nasze społeczeństwo, podobnie z *Dworzanina* Górnickiego dowiedzieć się można, jakim był Polak XVI wieku w stosunkach prywatnych, jakiem było jego życie towarzyskie, jak wtedy w Polsce rozumiano grzeczność, przyzwoitość, takt w postępowaniu. Dla Tarnowskiego, który *Dworzaninowi* poświęcił obszerne studyum literackie, wydrukowane w *Przeglądzie polskim* z grudnia 1871 roku, jest to jedna z najładniejszych, a może i najbardziej zajmujących książek, jakie nam wiek XVI zostawił. »Zapewne, gdyby przyszło wybierać, cobyśmy z naszej literatury stracić woleli, czy naszych historyków, czy poezyę Kochanowskiego, czy kazania

---

[1]) Rozprawa ta powstała z dwóch prelekcyi na korzyść Tow. Bratniej pomocy uczniów Uniw. Jagiell. wygłoszonych d. 10 i 17 grudnia 1870 r.

Skargi, czy statystów jak Modrzewski, albo *Dworzanina*, nikt by się nie wahał: wszystko tamto jest ważniejsze, potrzebniejsze, należy do wyższego porządku rzeczy. Ale w *Dworzanimie* przechowała się cała jedna strona życia, której napróżno szukalibyśmy w kronikach, w dyaryuszach sejmowych, albo w natchnionych słowach wielkiego kaznodziei. Te wielkie źródła historyczne, wielkie pomniki literackie, dają nam poznać Polskę polityczną, moralną, naukową wreszcie; niezawodnie czynią przez to zadość potrzebie największej; jednak jest poza życiem publicznem i umysłowem inne jeszcze życie, nietylko zajmujące i ciekawe, ale do dobrego poznania naszych przodków potrzebne, bo dające zawsze miarę cywilizacyi narodu i wieku, t. j. życie towarzyskie. Otóż wiek XVI zostawił w Polsce bardzo mało śladów tej strony swojego życia, a najobfitsze i najwyraźniejsze, jakie zostawił, złożone są w *Dworzaninie* Górnickiego. Humanizm, który wiek ten wziął sobie za hasło, nie ten naturalnie, który pozostał w jego pismach, ale ten, który przeszedł w jego obyczaj i życie, odbija się, jak w zwierciedle, w tej książce, która jest jakżeby pomnikiem, dziełem pamiątkowem, na uwiecznienie i uwidocznienie związku ówczesnej cywilizacyi w Polsce z zachodnią, a mianowicie włoską«. Nadto, poza swą historyczną ważnością i wartością, jest to, zdaniem Tarnowskiego, jedna z książek najpiękniej po polsku napisanych, jedna z przedziwności języka polskiego, klasyczny wzór doskonałości i wdzięku stylu, tak, że bez względu na treść, dla samej tylko formy, całość jest jednym z klejnotów naszej literatury.

W styczniu roku 1872 wystawił teatr Krakowski *Konfederatów* Mickiewicza. Tarnowski, który wogóle w *Przeglądzie polskim* raz po raz zdawał sprawę z przedstawień teatralnych — choć nie wszystkie sprawozdania podpisywał swem nazwiskiem — napisał obszerny artykuł o tem przedstawieniu,[1]) artykuł, w którym dzieląc się wrażeniem, jakiego doznał tego niezapomnianego wieczoru, jednocześnie wypowiedział swój pogląd na sam dramat. Wrażenie, jakie te dwa akty uczyniły na widzach, było wielkie, a przedewszystkiem dziwne i jedyne w swoim rodzaju, zważywszy, że właśnie w tym roku 1872, po stu latach, odsłonił się obraz tego, co było przed stu laty. »Nam — opowiada Tarnowski — przedstawienie *Konfederatów* robiło takie wrażenie, jak żeby w teatrze zetknął się był początek tej wiekowej epoki z jej końcem: przedzielone tylko lampami stanęły naprzeciw siebie przeszłość i teraźniejszość. Jedna była na scenie, druga w sali,

[1]) W artykule tym zdał Tarnowski sprawę jeszcze z dwóch wybitnych przedstawień w teatrze Krakowskim: z *Wallensteina* Schillera i z *On ne badine pas avec l'amour* Musseta.

i patrzyły na siebie ze strachem i zgrozą, jakżeby jedna w drugiej poznawała siebie, jakżeby obie mówiły: jakżeśmy do siebie strasznie podobne! To akt pierwszy. A drugi? Akt drugi jeszcze bardziej przejmujący i jeszcze smutniejszy. Pułaski, ksiądz Marek, Francuz ochotnik, kilkudziesięciu ludzi ze strzelbami: to pierwsze powstanie, z tych samych pierwiastków i z tym samym charakterem, co wszystkie późniejsze. To naprzeciw Jenerał-Gubernatorów i wielkorządców rosyjskich wielki ideał niepodległości: i ten stanął przed nami także w całej swojej wzniosłej postaci, a w całem przecież swojem do rzeczywistości podobieństwie, jakżeby się chciał skarżyć, że po stu latach jest tylko ideałem, i pytać, dlaczego po latach stu zawsze jest tylko ideałem. Boleśniejszego nic nigdy w żadnym teatrze nie było. Antygona żegnająca słodkie światło słoneczne, Orest ścigany przez Eumenidy, żona Makbetha ścierająca krwawą plamę z ręki, Egmont wiedziony na śmierć bohaterską, i ten w *Hamlecie* zgniły świat, który sam na sobie wykonywa sprawiedliwość niechcący: wszystko to jest wielkie i przejmujące, rozdzierające; ale tu u nas nie może być tak rozdzierającem, jak ten dramat, który się nie na scenie odgrywa, w którym aktorami są wszyscy, a bohaterem nie człowiek, jeden Pułaski, Marek lub ktokolwiek inny, ale naród i jego sprawa. Kiedyś, gdy ludzie na tym świecie, albo będą szczęśliwi, albo spodleją i zapomną, może wtedy *Konfederaci* staną się dla nich dramatem, dziełem sztuki, pamiątką, obrazem i pomnikiem czasu; i może wtedy będą na nich patrzali spokojnie, jak my patrzymy na Hamleta albo na Wallensteina. Ale dziś są one rzeczywistością tak żywą, tak bliską serca, że widoku i wrażenia ich prawie znieść nie można«. Szczególnie patrząc na Pułaskiego, z którego poeta zrobił idealny typ powstańca, wciąż się miało na myśli krwawe sceny z roku 1863. Tarnowski, któremu ten pełen zapału Pułaski z pewnością przypominał jego młodszego brata, Juliusza, i niejednego z przyjaciół, jak młody Jabłonowski, których w roku 1863 odprowadzał na różne punkty zborne nad granicą, doznawał bardzo bolesnego wrażenia. Ten poetyczny Pułaski z sumieniem »czystem jak to źródło« zbyt wiele mu napędzał smutnych wspomnień z przed lat dziewięciu...

»Widzieliśmy takich, którzy na jego widok oczy zasłaniali z żalu, i pojmujemy ich zupełnie: widok jest rozdzierający. On robi to, co od lat stu robiło już tylu, on pójdzie i przegra, i sprowadzi, przyspieszy przynajmniej pierwszy rozbiór, jak w sto lat po nim inni sprowadzą dzisiejszy stan Królestwa, Litwy i Rusi! On, kiedy mówi, że gdy wyjdą za nim w pole, łudzi się, jak się tylu w dobrej wierze łudziło, jak inni w złej wierze obiecywali! a my, my dziś nawet złudzeń nie mamy, i wiemy, że na tupnięcie nogą legiony nie wychodzą z pod

ziemi... myśmy tyle razy tupali! I dlatego on jest tak bolesny do widzenia, że wiemy, jaki będzie koniec; dlatego słuchać go tak przykro, że słowa podobne do tych, które on mówi, słyszeliśmy nieraz, a niekiedy nawet z ust niegodnych! że ten powstaniec pierwszy ma pewne podobieństwo z następnymi, ten prawdziwy z niejednym samozwańcem, ideał z niejedną parodyą, że tacy, którzy uciekali i udawali, wołali także: śmierć wrogom i hura!... Ale cóż z tego? Dla nas niejedno wspomnienie gorzkie i rozdzierające, prawda. Ale w czemże to jego zmienia, lub jemu uwłacza? Nie o tych myślmy, którzy szli, wywołując takie hasło głośno, a potem wracali, ale o tych, którzy je sobie powtarzali cicho i nie wracali: wtedy będziemy w prawdzie, i wtedy ten Pułaski wyda nam się typem smutnym zapewne, ale pięknym...

Na scenie jest powstanie w całej swojej idealnej wzniosłości, z całą swoją pięknością dążeń, uczuć, zapału, wiary: i z całą rzeczywistością także, z całem podobieństwem do tego, co się widziało. Kilkudziesięciu ludzi, jedni niby w mundurach, drudzy w siermięgach, inni, jak się zdarzy, uzbrojeni rozmaicie; rozdawanie broni i ładunków, przemowy naczelników, okrzyki »hurra! naprzód!« i podobne. W tem wszystkiem jest taki realizm, takie podobieństwo do wszystkich »punktów zbornych«, że nie jest się w teatrze, ale gdzieś w jakimś lesie na granicy: widzi się nie Pułaskiego i jego towarzyszy, ale różne twarze znajome. Odzywają się wszystkie wspomnienia, i odzywa się swoim szyderczym głosem doświadczenie, wtórując słowom Francuza: »Ostatni Polacy idą na śmierć!« A między tem, co się dzieje na scenie, a tem, co się wie z życia, jest taka straszliwa sprzeczność, serce jest tak rozdarte pomiędzy ich zapałem a naszem smutnem doświadczeniem, rzeczywistość tak ideałowi urąga, tak go przedrzeźnia, że wrażenie staje się innem zupełnie, niż zwykle w teatrze...

Bo ten Pułaski i jego górale, my wiemy, że oni idą na śmierć, myśmy ich idących widzieli! Ich nadzieje: »pójdziem aż do Warszawy, choć liczbą my karły«, myśmy je słyszeli, a wbrew Pułaskiemu my musimy powiedzieć, że nie »myśl olbrzymia tylko« ale więcej, bo myśl sprawiedliwa, »stoi na liczbie!« Nas tam wszystko boli i rani, bo każdemu z tych słów wzniosłych rzeczywistość zadała fałsz. Kiedy Francuzi wołają »Idziemy z wami«, dobywa się z serca odpowiedź: nie! nie poszliście z nami, a za to tak się sprawdziło to, co wam Choisy przepowiadał, że dziś nie wiedzieć kto komu, Francuz Polakowi czy odwrotnie, mógłby powiedzieć: »zakochałem się w jednej obłąkanej«. Kiedy Pułaski mówi, że przykłady były, że nie na liczbie myśl olbrzymia stoi, w głębi serc naszych głos jakiś odpowiada: nie, takich przykładów nie ma, są tylko przykłady Sadowy i Sedanu. Kiedy mówi, że dojdzie do Warszawy, ten głos mu odpowiada: nieprawda, Prusak zajdzie do Paryża, ale ty do Warszawy, skąd? a kiedy Marek z taką pewnością i z taką wiedzą mówi, że »Bóg nie ślepy i nie głuchy«, to ten głos przeklęty, ta hydra pamięci stawia nam w oczach całe stuletnie pasmo dziejów od Dybicza do Murawiewa, od Fryderyka do Bismarka, i jak szatańska pokusa szepcze straszliwe pytanie: a kto wie? bo po stu latach to wszystko zawiodło, wszystko pokazało się złudzeniem, a prawdą tylko to, co mówi Moskal: »Że rosyjskie państwo, przeważa Polskę w sile i ogromie« to drugie że »Europa kona«, i to przekleństwo, które rzuca Choisy na cywilizacyę. To treść historyi tych stu lat, to ich nauka m o r a l n a. To smutne jak śmierć: dajcie nam pokój, nie każcie nam klaskać, bo nam się chce płakać. A chciałoby się może i rozpaczać, gdyby nie pokrzepienie i pociecha w tej prawdzie ostatniej, która uczy, że »na moc złego jest moc dobrego«.

Jako dzieło sztuki poetyckiej, jako utwór dramatyczny, uznał

wtedy Tarnowski *Konfederatów* za arcydzieło, za świadectwo geniuszu Mickiewicza, jeżeli nie najwyższe, to nie mniejsze od *Wallenroda* i *Dziadów*, może nie mniejszem od *Tadeusza*, słowem, za najpiękniejszy dramat polski, który gdyby był całością, nie fragmentem, byłby jednem z arcydzieł dramatycznych świata.[1])

Ale nietylko o sztukach tej miary, co *Konfederaci* lub *Wallenstein* pisywał w tych czasach Tarnowski sprawozdania teatralne w *Przeglądzie polskim*. Gdy w maju roku 1872 wystawiono na scenie krakowskiej *Pozytywnych* Narzymskiego, Tarnowski, pod wrażeniem tej sztuki, którą zaliczał do lepszych, do głębszych komedyi polskich, poświęcił jej obszerną recenzyę, zakończoną entuzyastycznem choć nie bezkrytycznem sprawozdaniem z gościnnych występów Modrzejewskiej. Jak cały Kraków, tak i Tarnowski należał do szczerych wielbicieli wielkiej artystki, a że w tym roku, jak to nawet »przedewszystkiem« zaznaczył w swym artykule, »niepospolita piękność artystki doszła właśnie teraz do zenitu, jest w całej pełni«, co ją doskonale usposabiało do ról t. z. »wielkich kokietek«, nie dziw więc, że choć na dworze nęciły »powaby wyjątkowo pięknego Maja, z zapachem bzów i śpiewem słowika«, sala teatralna, gdy Modrzejewska występowała w roli *Dalili*, *Frou Frou*, *Maryi Stuart*, *Księżnej Jeżowej*, w *Naszych Najserdeczniejszych* lub w *Pojęciach pani Aubray*, stale bywała przepełnioną. Tarnowski również nie opuszczał żadnego przedstawienia, bo »występy te — pisał w swem sprawozdaniu z nich — zawsze są jeszcze uroczystością, która zapełnia teatr, ożywia atmosferę, pobudza publiczność, w szał wprowadza wielbicieli artystki, od zmysłów odprowadza, i tak już nie zbyt na umyśle silną, lokalną krytykę i wywołuje chór zużytych, niestety, konwencyonalnych wykrzykników. Aby te wszystkie objawy wywołać, trzeba niezawodnie być prawdziwą artystką i trzeba mieć ten urok i wdzięk, któremi bez zaprzeczenia sowicie uposażoną jest pani Modrzejewska. I dla nas występy pani Modrzejewskiej są uroczystością, której nigdy nie opuszczamy, w której z wielką przyjemnością bierzemy udział, lecz na której staramy się zachować trzeźwo: modlimy się na tem

[1]) Przedrukowując rzecz o *Konfederatach* w r. 1895 w t. I, swych *Rozpraw i sprawozdań*, poprzedził ją Tarnowski następującem zastrzeżeniem: »Odczytawszy (rzecz o *Konfederatach*) przekonałem się, nie bez pewnego pobłażania dla siebie samego, że pod pierwszem wrażeniem uniosłem się w podziwieniu do oczywistej przesady, skoro stawiałem *Konfederatów* na równi z *Wallenrodem*, a pod jakimś względem nawet niby wyżej od *Pana Tadeusza!* Przekonałem się (z przerażeniem i zawstydzeniem), że pisząc, nie porównałem nawet przekładu z oryginałem i nie spostrzegłem, że przekład, rozwijając i parafrazując niejedną myśl oryginału, nieraz znacznie od niego odstępuje...«

nabożeństwie, ale nie biczujemy się, a szczególniej staramy się nie biczować zdrowego rozsądku, logiki i estetyki, jednem słowem, chronimy się od fanatyzmu i pozostajemy w roli moderantów«.

W tym samym »cudnym miesiącu maju«, gdy Modrzejewska budziła taki nieumiarkowany zapał wśród publiczności krakowskiej, na wystawie podziwiano *Batorego* Matejki. Na obrazie tym, jednem z najwspanialszych dzieł mistrza, Tarnowski przedstawiony jest, jako Żółkiewski, w pysznej zbroi husarskiej ze skrzydłami u ramion. Snać artykuł Tarnowskiego o *Unii* trafił do przekonania Matejce, skoro go prosił, by mu pozował do rycerskiej postaci bohatera z pod Kluszyna. Zaszczyt to był podwójny: figurować na obrazie Matejki, a cóż dopiero w roli Żółkiewskiego! Jakoż chwile, spędzone w pracowni Matejki, pod każdym względem miło zapisały się w pamięci Tarnowskiego. »Tych kilka posiedzeń, opowiada, dały we mnie początek lepszej znajomości Matejki; a kiedy o nim jest mowa, to lepsza znajomość znaczy zarazem rosnące uszanowanie i podziwienie dla jego niezmiernej szlachetności. Dobrze też zapisać i to, że dla ludzi, którym siedzieć kazał, był bardzo miły. Małomówny z natury, ciągle wynajdywał nowe przedmioty do rozmowy, żeby się jego model nie znudził. Czasem mówił nawet o sobie...; zawsze zaś był zajmujący, rozumny, a często i bardzo bystry w swoich uwagach. Malując Żółkiewskiego, wykładał mi raz swój sposób rozumienia *Balladyny* Słowackiego, a komentarz, choć może niezupełnie przystający do dzieła, był bardzo uderzający i oryginalny». [1]) Co się tyczy samego obrazu, to należy on, zdaniem Tarnowskiego, do najlepszych Matejki, albowiem i okazały jest, i wspaniały, a niemniej zrozumiały: owszem, ze wszystkich wielkich płócien Matejki, *Batory* jest może tym, w którym jego zwykła tendencyjność, jego skłonność do historyozoficznych wykładów, występuje najdyskretniej. Uczucie zaś, w jakiem mistrz tworzył ten obraz, z jakiem malował tych posłów moskiewskich, korzących się przed Batorym, było podobnem, w jakiem malował *Unię*, z tą różnicą jedynie, że tam przypomniano chwałę wielkiej cnoty narodu i jego wzniosłej zasługi, tu chwałę jego zwycięstwa.

W tym samym czasie, co z Matejką, nastąpiło pierwsze serdeczniejsze zbliżenie Tarnowskiego z Asnykiem, a gdy wyszedł tom II *Poezyi* El...ego, w *Przeglądzie polskim* w zeszycie za wrzesień r. 1872, ukazało się obszerne i nader pochlebne sprawozdanie o nich, pióra Tarnowskiego. W artykule tym, napisanym z »zupełną szczero-

---

1) *Matejko*, str. 154.



STANISŁAW TARNOWSKI
(w zbroi husarskiej ze skrzydłami)
jako hetman Stanisław Żółkiewski
na »Stefanie Batorym« Matejki.



ścia«, krytyk skorzystał ze sposobności, by wypowiedzieć swój pogląd na ówczesny stan poezyi polskiej, na poetów drugorzędnych, którzy także być muszą, boć trudno wymagać, by się rodzili sami geniusze. Po »epoce wielkiej poezyi«, która u nas wydała Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego, musiała przyjść kolej na okres poezyi w mniejszym stylu. Z tą koniecznością należało się pogodzić, zwłaszcza, że czytający ogół bynajmniej nie gardzi taką poezyą niższego lotu.

Poezya El...ego należy właśnie do tego mniejszego rodzaju. Mistrzowska pod względem formy wiersza, choć nie wolna od wpływów Musseta i Heinego, a zwłaszcza Słowackiego, poezya ta, zdaniem Tarnowskiego, ma jedną ogromną wyższość nad utworami innych współczesnych poetów *minorum gentium*, odznacza się prostotą. »Dowodzi to naprzód delikatnego smaku, ale dowodzi i czegoś lepszego jeszcze, delikatności uczucia, a zwłaszcza jego prawdy. Poeta widocznie chciał mówić to tylko, co czuł i wiedział, a ta skromna wstrzemięźliwość wyszła mu na korzyść i chwałę. Uczucie tu nie jest ani udane, ani kłamane, ani przesadzone, ale rzetelne, rzeczywiste, i czysto takie, jak było w jego sercu. Żadnych pretensyi, żadnych szumnych a pustych frazesów, żadnych wykrzykników! Wogóle co do formy, to istotnie jest tak zgrabna i lekka, tak harmonijnie zawsze do rozmiarów i tonu przedmiotu zastosowana, że sama wystarczyłaby za dostateczny dowód talentu, a wierszom zapewniłaby wdzięk. [1])

[1]) Tylko pseudonim poety nie trafiał jakoś Tarnowskiemu do przekonania. »Nie jeden powie, pisał w tej kwestyi, że to kaprys, i może słusznie: czujemy sami, że zarzutu tego robić nie mamy prawa, ale powiedzmy w rzadkiej chwili zupełnej szczerości, że nas trochę korci pseudonim. Nie lubimy pseudonimów: najczęściej zasłania się niemi nieśmiałość, pod którą siedzi nerwowa bojaźń krytyki i odpowiedzialności, nerwowo-trwożliwa miłość własna. Wiemy dobrze, że w tym przypadku tak nie jest, ale dlatego właśnie w tym przypadku pseudonim dziwi nas bardziej, niż w każdym innym. Czy zrobiłem trochę lepiej czy trochę gorzej, zrobiłem jak mogłem i umiałem najlepiej, czemuż nie mam się do swojej roboty przyznać? po co ta maska, która nigdy na długo prawdziwej twarzy nie zakryje? Zresztą, nie znając powodów, które autora do ukrywania swego nazwiska skłoniły, i szanując je zupełnie, musimy się poskarżyć na to, jakie sobie przybrał, bo pisać o niem jest bardzo trudno i niewygodnie. W języku francuskim, niemieckim, angielskim, nie byłoby tej niewygody, ale w polskim, w którym nazwiska odmieniają się przez przypadki, jak proste rzeczowniki, pisać i mówić: pana Elego, panu Elemu, i tak dalej, brzmi bardzo niezgrabnie, a i tę możność przypadkowania chociażby niezgrabnego odejmują nieszczęśliwym recenzentom tego autora fatalne kropki, które dzielą początek pseudonimu od jego końca, i nie dają nam nawet wiedzieć napewne, czy mamy do czynienia z przypadkiem pierwszym albo też z drugim jakiegoś imienia, którego pierwszy

Prawie żadnej z tych zalet, które podkreślił w poezyach Asnyka, nie mógł Tarnowski, pomimo najszczerszych chęci, dopatrzeć się w utworach poetyckich Stefana Garczyńskiego. Przyznając, że w autorze *Wacława* było wiele myśli, refleksyi, twierdził z całą stanowczością, że w tym przyjacielu Mickiewicza »materyału na poetę nie było nigdy«, a kiedy poetą być zechciał, poszedł złą drogą, rozminął się ze swojem powołaniem. Z tego najgłębszego przekonania powstało studyum, p. t. *Stefana Garczyńskiego »Wacław« i drobne poezye,* wydrukowane w *Przeglądzie polskim*, w marcu r. 1872.

Z pomiędzy artykułów Tarnowskiego, ogłoszonych w ciągu roku 1872 w *Przeglądzie polskim* — a znalazło się wśród nich także i obszerne wspomnienie pośmiertne o Adamie Potockim — niepoślednie miejsce zajmował *Sedan francuskiej poezyi*, poświęcony rozbiorowi liryków patryotycznych Wiktora Hugo, zatytułowanych *L'Année terrible.* Był to, w mniemaniu autora, »jęk poezyi francuskiej po Sedanie i Komunie«. Całe piekło, cały ocean nieszczęść, cierpień, grzechu, wstydu, cały ten ogrom smutku i upokorzenia, jaki człowiek może znieść, ale nigdy pojąć nie zdoła, jakim sposobem go zniósł, wszystko to pragnął tu poeta francuski objąć, wypowiedzieć, na wszystko znaleść łzę, krzyk, przekleństwo, grom, pociechę, znaleść słowo na wszystkie te niewypowiedziane uczucia, które po owym »roku straszliwym« szarpały duszę każdego wiernego syna Francyi. Zadanie trudne nad wyraz, bo choć poezya ma prawo, a nawet obowiązek, zawodzić lament nad zburzoną Jerozolimą, to jednak są zadania, przechodzące jej siły, są rzeczy, których żadne słowo ludzkie nie wypowie, są nieszczęścia, w których narody, *nolentes consolari*, milczą. »Wstydu pierwszego, rozpaczy dwóch ostatnich rozbiorów, nasza poezya nigdy wyrazić nie próbowała: późniejsze wszystko próbowała wyrazić i potrafiła, tego jednego nie. Ależbo żeby znaleść słowo tym uczuciom równe, trzeba więcej niż talentu, więcej niż geniuszu, więcej niż natchnienia, trzebaby, żeby duch więcej niż ludzki ludzkiego wspomógł, żeby anioł jaki rozżarzonym węglem otworzył człowiekowi usta, na to, by one nad upadłą ojczyzną wydały krzyk Izajasza, jedyny godny rozlegać się nad gruzami Jeruzalem«. Dlatego, gdy o tym »roku straszliwym« wydał spory tom poezyi Wiktor Hugo, Tarnowskiemu »sam widok tej książki był nieprzyjemnym«. Jakoż rozbiór szczegółowy, jakiemu polski krytyk poddał to dzieło

— —

przypadek kończy się na *a*. Pierwotny pseudonim autora, Jan Stożek, choć zdaniem naszem nie był bardzo ładny, był przynajmniej łatwiejszy do używania w mowie i pisaniu«.

francuskiego poety, wypadł prawie tak samo, jak ocena pewnej mowy Mierosławskiego w *Katechizmie nie-rycerskim* Klaczki. Ostateczny wniosek: że rzadko kiedy proza jest tak prozaiczną, jak ta poezya, a ten *Rok straszliwy* jest »tak zimny, tak pełen osobistych i narodowych przechwałek, stronniczej nienawiści i miłości własnej, tak nadęty i szumny, a tak czczy, tak pełen próżności, a tak próżny natchnienia, tak wstrętny udaniem i frazesem, tak obcy prostocie i prawdzie, że jest istotnie straszliwym, jest straszną przegraną, jest zaiste Sedanem francuskiej poezyi«.

Artykuł ten o utworze literatury francuskiej, i to utworze poety, dla którego Tarnowski mało żywił sympatyi, zdaje się pozostawać w bliższym związku z jego podówczas częstemi wycieczkami do Paryża, dokąd go ciągnęły sprawy natury sercowej: bo starał się o swoją przyszłą żonę, pannę Różą Branicką [1]. Bardzo być może, że w niejakim związku z temi konkurami, (w których pani Eliza Ludwikowa Krasińska, wdowa po Zygmuncie, odgrywała wybitną rolę) pozostaje również charakterystyka autora *Irydiona*, którą Tarnowski, w formie wstępu, poprzedził *Wyjątki z listów Zygmunta Krasińskiego*, ogłoszone przezeń w *Przeglądzie polskim*, w lutym r. 1873. Bądź co bądź, pierwszy to jego szkic o wieszczu *Psalmów przyszłości*, szkic, otwierający cały długi szereg prac o Krasińskim, a napisany zarówno z uwzględnieniem świetnego studyum Klaczki, jak i na podstawie ustnej tradycyi, na podstawie informacyi, których źródłem najprawdopodobniej była pani Eliza. »Im dalej w lata, czytamy tam między innemi, im dalej zasuwamy się w ciemnię wypadków, tem jaśniej, tem oczywiściej okazuje się wielkość Krasińskiego, wielkość wyjątkowa, fenomenalna. Wypadki straszliwie przyznają słuszność jego słowom, fakta wyraźnie a nieraz co do litery sprawdzają jego przewidywania«. Krasiński bowiem, jak się to teraz dopiero miało okazać, tak rozumiał naturę rzeczy, idei i społeczeństw, tak umiał obliczyć bieg historyi, jak astronom oblicza konieczny, na fizycznych prawach oparty obrót ciał niebieskich.

Jak rok 1872, który w krótkich odstępach zabrał Adama Potockiego i Jerzego Lubomirskiego, tak i rok 1873 zaznaczył się obfitem żniwem śmierci, a wpośród zmarłych w tym czasie, między

---

[1] St. Koźmian w swym *Dzienniku z wystawy Wiedeńskiej*, spisanym dla St. Tarnowskiego, pisze z powodu wystawionej w *Carl Theater* sztuki Al. Dumasa syna, *Żony Klaudiusza*: »Przypominam sobie, że mi opowiadałeś o znakomitej grze panny Desclé w tytułowej roli (w teatrze Gymnase)«. Mimo to, Tarnowskiemu nie podobała się ta sztuka. »Znajduję (pisze Koźmian do Tarnowskiego), że wszystko, coś o niej mówił i pisał, było jeszcze zbyt łaskawem«.

którymi nie brakło i najstarszego z synów Zygmunta Krasińskiego. Władysława, znaleźli się i dwaj przyjaciele Tarnowskiego, dwaj ludzie niezwyklej miary, którym wiele miał do zawdzięczenia, którzy nań wywarli wpływ niepośledni: ksiądz Hieronim Kajsiewicz i Leon Kapliński. Szczerze przywiązany do obydwóch, Tarnowski obu poświęcił obszerne wspomnienia pośmiertne, z których jedno zwłaszcza, o księdzu Kaysiewiczu, urosło do rozmiarów wyczerpującego studyum.

W Księdzu Kajsiewiczu, pisał Tarnowski pod świeżem wrażeniem jego zgonu, tracimy, czujemy to dobrze i niemylnie, największego z naszych mówców religijnych obecnego wieku, mówcę, który liczyć się będzie zawsze do wielkich potęg i chwał naszej literatury, tego, który ze wszystkich kaznodziei polskich wszystkich wieków, Birkowskiego nie wyjmując, potęgą słowa, natchnieniem religijnego i patryotycznego uczucia, najbardziej zbliżył się do Skargi... Dziś on poszedł za wielkimi współczesnymi: za Mickiewiczem, Adamem Czartoryskim, Krasińskim, za tyloma innymi, między którymi, potomność przyzna, nie był ostatnim. I on, jak tamci, »dźwigał ciężkich krzyżów brzemię«, i on, widząc się sądzonym niesprawiedliwie, mógł myśleć, że »może kiedyś zapomnianym będzie«, i on, jak tamci, widział z daleka obiecaną ziemię, i on do tych nie miał wejść przestrzeni.

W dniu 7 maja 1873 r. nastąpiła uroczysta inauguracya Akademii Umiejętności w Krakowie. Zaraz na pierwszej liście kandydatów na członków wydziału filologicznego, obok Maurycego Manna, J. I. Kraszewskiego, Stanisława Koźmiana i innych, znalazło się i nazwisko Stanisława Tarnowskiego. Jakoż w dniu 7 lipca, został wybrany na członka tej najwyższej instytucyi naukowej polskiej. Na krótko przedtem, po trzech latach docentury na katedrze historyi literatury polskiej w Uniwersytecie Jagiellońskim, otrzymał tytuł profesora nadzwyczajnego.

W tymże samym czasie ukazały się w *Przeglądzie polskim*, w zeszycie za miesiąc czerwiec, słynne a tak niemiłosiernie dowcipne *Wędrówki po Galilei*. Napisał je Tarnowski do spółki z Anczycem, którego pióra są arcydowcipne kuplety wierszem (na nutę różnych śpiewek z operetek Offenbacha, głównie z *Pięknej Heleny* i *Życia paryskiego*), przeplatające prozę dyalogu. Był to, jakby dalszy ciąg *Teki Stańczyka*, napisany w formie komedyowej *Jasełek Galicyjskich* Szujskiego, które autorowi służyły za wzór. Nawet je tak samo, jak Szujski, nazwał »komedyę nieprzyjętą na deski«, co wyraźnie wskazuje, że w nich uznawał o kontynuacyę dzieła przyjaciela. Jak w *Tece*

Stańczyka i w *Jasełkach Galicyjskich*, tak i tu chodziło o satyryczne przedstawienie stosunków galicyjskich, stosunków na tle autonomii, z której społeczeństwo tak nie umiało korzystać... Treść była następująca: Czterech Polaków z różnych stron uciemiężonej Polski, mianowicie Warszawiak, Litwin, Wołyniak i Poznańczyk, zapragnęło poznać Galicyę, jako tę jedyną część dawnej Rzeczypospolitej, która się cieszy wolnością. Ułatwia im to Twardowski, który ich cudem przenosi do Krakowa, a stamtąd im ciceronuje po całym kraju. Kończy się na tem, że po długich wędrówkach, obfitujących w najkomiczniejsze epizody i przygody, podróżni gruntownie się rozczarowują wolnością galicyjską, nabierają przekonania, że i w Warszawie, i w Poznaniu, i na Podolu, pomimo niewoli i ucisku, lepiej się dzieje, bo więcej się robi dla sprawy narodowej, niż w wolnej Galicyi, gdzie się dużo gada i warcholi, i na tem koniec. Jakoż proszą Twardowskiego, by im pozwolił znaleść się z powrotem w domu: dość mają tej wolności galicyjskiej. Gdy ich Galicyanie nie chcą puścić, Twardowski taką wypowiada moralną naukę, zwracając się do braci Galileuszów: »Wy więc dowiedzcie się, że Ci bracia wasi, od was nieszczęśliwsi, waszego losu wam nie zazdroszcząc, ale słysząc, że wam lepiej niż im się dzieje, tęsknili za tem, żeby poznać wasz kraj swobodniej żyjący, a waszym widokiem pokrzepić się i zbudować. Ulitowałem się ich tęsknoty i sztuką moją przeniosłem ich tu do was. Ale cóż tu zobaczyli? Co? wy to sami najlepiej wiecie: rzeczy tak mało pocieszające i budujące, tak mało dające nadziei na przyszłość, że sami zostać tu nie chcą i proszą mię smutno, żebym ich napowrót wziął do domu. Piękną widać u was znaleźli pociechę i otuchę«.

W tymże roku 1873 w Wiedniu była wystawa powszechna. Tarnowski pojechał na nią w sierpniu, a z wrażeń, jakich tam doznał w pawilonie sztuki, zdał sprawę w *Przeglądzie polskim* w obszernym artykule p. t. *Artyści polscy na wystawie wiedeńskiej*. Wystawa ta, choć świetna, jako popis całego cywilizowanego świata, nastroiła go melancholijnie. Czemu?... Na tym wielkim popisie całego świata widziało się złocone jaskrawe tablice z nazwiskami wszystkich narodów zachodu i wschodu: najdalsze, najmniejsze, historyi nieznane i obojętne, miały swój kąt własny, a nad tym kątem napis, świadczący, że one są; brakowało tylko imienia Polski. To gorzkie przeświadczenie, że my jedni wydziedziczeni połykać musimy ten wstyd, że nam »do godów życia zasiadać« nie wolno, mąciło spokój Tarnowskiemu, zatruwało mu i mąciło wszystkie wrażenia. Dlatego eż i cała wystawa była dlań przykra do widzenia, a trudna do

opisania. Mimo to wyszukiwał, o ile się dało starannie, rzeczy polskich, przyczem nie mógł się obronić wrażeniu, że w tym kraju bez imienia robi się jednak nie mniej i nie gorzej, niż w niektórych innych szczęśliwszych, że jakaś praca, jakaś produkcya, jakiś ruch, jakieś życie, jest tam pomimo wszystkiego, coby się pokazało jawnie, widocznie i niezaprzeczalnie, gdyby tylko polską wystawę w jedno połączyć. Ze szczególną pociechą i chlubą zwiedzało się pawilon sztuk pięknych, gdzie obrazy artystów polskich, a szczególniej zbiorowa wystawa obrazów Matejki, dowodziły najwyraźniej, nie nam samym tylko, lecz wszystkim, że ten kraj bez imienia nie jest krajem bez duszy i życia.

Omówiwszy po kolei wszystkie obrazy polskich artystów, znajdujące się na wystawie, począwszy od *Jawnogrzesznicy* Siemiradzkiego, a skończywszy na akwarellach Kossaka, a były tam i portrety Rodakowskiego, i *Warszawa* Grottgera, i *Bitwa pod Wiedniem* Brandta, i mistrzowskie utwory Maxa Gierymskiego, Tarnowski trzy czwarte artykułu poświęcił Matejce, zarówno jego portretom, którym to i owo miał do zarzucenia, jak i jego obrazom historycznym, którym przyznawał wyższość nad wszystkiem, co w zakresie sztuk pięknych było do oglądania na wystawie.

Pochlubić się czemś polskiem, być z tego dumnym, odbierać jeżeli już nie hołdy, to przynajmniej sprawiedliwość, ah! to uczucie tak rzadkie, a dla deptanych i poniewieranych tak słodkie, tak upajające, że rozkosz ta z niczem w świecie porównać się nie da; szczęśliwy, kto jej choć raz w życiu doznał, szczęśliwy, prawdziwie błogosławiony, kto ją sprawił. Te obrazy to nasz tryumf, i coś milszego jeszcze od tryumfu, to nasza... zemsta! Nie znacie nas, udajecie, że z waszych wyżyn naszej małości dojrzeć nie możecie, nie ma dla nas osobnego kąta między wami, dobrze; ale otóż właśnie, pomimo waszej zuchwałej dumy, pomimo waszej nienawiści, pomimo waszej złości, musicie nas zobaczyć i uznać, i pokłonić się przed nami: przed jednym z nas tylko? być może. Ale w tym jednym są wszyscy. Mieliśmy chwilę nieopisanej rozkoszy na tej wystawie, uczuliśmy się pomszczonymi za upośledzenia i upokorzenia, któremi tam Polak jest pojony.

W Krakowie, z chwilą powstania Akademii Umiejętności, Tarnowski w jej czynnościach i pracach, zwłaszcza na sesyach wydziału filologicznego, nader czynny brał udział. W posiedzeniach tych, którym zazwyczaj przewodniczył Lucyan Siemieński, uczestniczyli oprócz Szujskiego, wybranego na sekretarza Akademii, Karol Estreicher, Józef Kremer, Karol Mecherzyński, często Antoni Małecki i inni. Na jednem z takich posiedzeń, w dniu 4 listopada 1873 r. Tarnowski odczytał pierwszą część swej pracy o *Krzysztofie Warszewickim*, przeznaczoną do Pamiętnika Akademii. Odtąd, jako stały uczestnik posiedzeń wydziału filologicznego, którym niekiedy przewodniczył także, raz po

raz na nich czytywał swe rozprawy, które następnie były drukowane w *Rozprawach i sprawozdaniach z posiedzeń Wydziału filologicznego Akademii Umiejętności*. Były to przeważnie studya z zakresu literatury politycznej. Taką była charakterystyka *Andrzeja Maksymiliana Fredry* [1]), taką była rozprawa o *Poezyi politycznej a mianowicie konfederackiej, w XVIII wieku* [2]); takiem było studyum o *Królu Stanisławie Leszczyńskim jako pisarzu politycznym* [3]). Ale były między niemi i prace o czysto literackim charakterze, jak n. p. studyum *O niewydanych poezyach Franciszka Wężyka* [4]), lub też rozprawa *O komedyach Franciszka Zabłockiego z uprzednim przeglądem prac dramatycznych polskich w XVIII wieku* [5]). Skoro się utworzyła »komisya dla zadań z zakresu historyi literatury i oświaty w Polsce«, Tarnowski niejednokrotnie przewodniczył jej posiedzeniom. Wogóle z wielką gorliwością zawsze się przykładał do wszystkich prac Akademii, stale w nich idąc ręka w rękę z Szujskim.

Równocześnie, poza wykładami uniwersyteckiemi, wygłaszał odczyty publiczne, z których dochód zasilał różne instytucye filantropijne. Prelekcye te, zorganizowane przez grono profesorów uniwersytetu, z Szujskim na czele, bardzo były uczęszczane, a szczególnem powodzeniem cieszyły się prelekcye Tarnowskiego, jako najświetniejsze pod względem formy. Do takich należał odczyt o *Arturze Grottgerze*, wygłoszony w listopadzie roku 1873 na korzyść ubogich studentów uniwersytetu, a następnie, w znacznie rozszerzonych ramach, wydrukowany w *Przeglądzie polskim* [6]). Osnuty na materyałach, udzielonych przez b. narzeczoną Grottgera, panią Młodnicką, szkic ten — rodzaj *pendant* do odczytu o Chopinie — jako charakterystyka twórcy *Lithuanii*, człowieka i artysty, jest prawdziwą ozdobą naszej niebogatej literatury o Grottgerze, którą rozpoczyna. Zdaniem Tarnowskiego, jest Grottger, wśród naszego pokolenia, postacią jedną z najsympatyczniejszych i najszlachetniejszych, jest jedyną może postacią poetyczną; a przez to, czem był, i przez to, co zrobił, jest

---

[1]) Wydrukowane w Rozprawach Wydz. filolog. Ak. Um. za rok 1876.

[2]) Odczytana na posiedzeniu Wydz. filolog. z dnia 11 listopada 1876. (Tarnowski na posiedzeniu tem nie był obecny).

[3]) Odczytane na posiedzeniu Wydz. filolog. dnia 2 marca 1878.

[4]) Drukowane w Rozprawach i Sprawozdaniach Wydz. filolog. Ak. Um. za rok 1875.

[5]) Odczytane przez Tarnowskiego na posiedzeniu Wydz. fil. Ak. Um. dnia 7 lipca 1876.

[6]) W zeszycie styczniowym z r. 1884. Szkic o Grottgerze, wraz ze szkicem o Chopinie, wyszedł w Krakowie w r. 1892 w osobnej książce p. t. »*Chopin i Grottger.* Dwa szkice«.

w tem pokoleniu jednym z najwyższych i najlepszych. Jakoż ma on dla nas wyjątkowe znaczenie, gdyż zaprzeczyć się nie da, jest to jedyny poeta, jakiego wydały wypadki r. 1863, jako taki zaś rysunkami swemi rozwiązał wielkie w sztuce zagadnienie malarstwa patryotycznego. »W tej mierze i zakresie, w jakim ta sztuka patryotyczną być może, nie gwałcąc swojej natury i nie przestając być sztuką, obrazy Grottgera są tem, i to w najwyższym dotąd znanym stopniu, w najwyższej dotąd potędze patryotycznego bólu i natchnienia«.

W tymże samym styczniowym zeszycie *Przeglądu polskiego*, co szkic o Grottgerze, znalazł się słynny artykuł Tarnowskiego o *Królowej Opinii*, artykuł, o którym powiedziano słusznie, że w arsenale naszej literatury politycznej zajmuje on pierwsze miejsce po *Katechizmie nie-rycerskim*. Wystąpienie to, dowodzące niesłychanej odwagi cywilnej Tarnowskiego, godziło w dwa »demokratyczne« pisma lwowskie i ich redaktorów, w *Gazetę Narodową* i *Dziennik polski*, ale jak wykazywało brak jakiejkolwiek opinii wogóle, nietylko u nas, lecz i w świecie całym, tak piętnowało nietylko galicyjskie dziennikarstwo, zwłaszcza lwowskie, lecz z małemi wyjątkami prawie całe dziennikarstwo współczesne europejskie, dziennikarstwo, które ksiądz Kaysiewicz słusznie »rozbójniczemi zameczkami« nazywał. Artykuł, stylistycznie świetny, trafiał w sedno rzeczy, a że wszędzie, gdzie się rozpalonem do białości żelazem wypala gnijącą ranę, musi powstać przykry swąd, tak i w tym razie musiało zaskwierczeć w prasie galicyjskiej, na co zresztą autor *Królowej Opinii* z pewnością był przygotowany. Gdzie się wszczyna taką akcyę, tam się nie może obyć bez koniecznej reakcyi. A że taki policzek dla dziennikarstwa, jak *Królowa Opinia*, musiał poruszyć dziennikarskie mrowisko, dziwić się nie można. Takich gorzkich prawd, wypowiedzianych z taką bezwzględnością, nie słyszano dawno, a bodaj czy słyszano kiedykolwiek!

Opowiedziawszy dzieje smutnego zatargu pomiędzy *Gazetą Narodową* a *Dziennikiem polskim*, zatargu, w którym sobie wzajemnie zarzucano przekupstwo i jeszcze gorsze rzeczy, Tarnowski nie mógł się pozbyć jednej dręczącej myśli: oto, że niski musi być poziom umysłów a zwłaszcza charakterów, niski stopień publicznego sumienia i godności, w kraju, w którym takie zgorszenia zajść mogą między sługami, a właściwiej może rzec panami, między t. zw. organami publicznej opinii. »Bo nie dzienniki stwarzają opinię, lecz przeciwnie, jaka opinia, takie będą w kraju dzienniki«. Niestety, najwięcej, zdaniem Tarnowskiego, winno społeczeństwo galicyjskie, jeżeli ma taką prasę. Przedewszystkiem nie żądało od niej nigdy uczciwości i prawdy.



RÓŻA Z HR. BRANICKICH
STANISŁAWOWA HR. TARNOWSKA



Czy mówiła o ojczyźnie czy o ludziach, o polityce czy o sprawach prywatnych, zawsze jej pozwalano naciągać, przekręcać i kłamać. A na domiar złego jeszcze się i bano dzienników, więc pobłażano ich oszczerstwom i potwarzom, pozwalano krzywdzić ludzi zasłużonych, nikt się nie ujął za pokrzywdzonymi, a oszczercom schodził z drogi, żeby się im nie narazić.

Po ogłoszeniu *Królowej Opinii*, zajęty swemi sprawami sercowemi, które go raz po raz wzywały do Paryża, Tarnowski mniej się zajmował sprawami *Przeglądu polskiego*, a przynajmniej sam na pisanie nie miał czasu. Najlepszy dowód, że w ciągu sześciu miesięcy napisał zaledwie dwa dorywcze sprawozdania [1]. Tymczasem zbliżał się dzień, w którym miał stanąć na ślubnym kobiercu.

Był to dzień 16 kwietnia 1874 roku. Ślub odbył się w Paryżu, w kościele St. Philippe du Roule [2].

Córka Konstantego hr. Branickiego, herbu Korczak, i Jadwigi z hr. Potockich, herbu Pilawa, z linii prymasowskiej, urodzona dnia 3 sierpnia 1854 r., hrabianka Róża Marya Augusta Anna Alexandra Branicka otrzymała nadzwyczaj staranne wychowanie, które, choć odbywało się na obczyźnie, w Paryżu, niemniej było prowadzone w duchu patryotycznym polskim, bardzo gorącym nawet. Oto, co o niej, jako o małej dziewczynce, pisał w roku 1861, dnia 10 września, w liście do rodziny, Andrzej Edward Koźmian: »Mieliśmy dziś na obiedzie całą rodzinę Hermana Potockiego i panią Jadwigę Branicką z jej anielską córeczką Imcią, która w szóstym roku życia jest już Polką i Polką zapaloną«. W parę zaś dni później, w liście z 17 września, znów się znalazła wzmianka o »anielskiej Imci«, brzmiąca jak następuje: »Mieliśmy dziś na obiedzie panią Jadwigę Branicką z uroczą Imcią, to jest Różą-Maryą. Rzadkiego to rozsądku i wdzięku dziecię, a takie polskie, że dziśby poszło na kule moskiewskie« [1].

Po weselu zjechano do Krakowa, gdzie odtąd państwo Stanisławowie Tarnowscy mieszkają stale, zajmując w parę lat po ślubie nabyty od rodziny Rzewuskich t. zw. Pałac na Szlaku, dawny dom Montelupich, zbudowany w XVI wieku.

Dla autora *Królowej Opinii* zaczęło się od tej chwili nowe ży-

---

[1]) O *Wspomnieniach z przeszłości* Stan. Wodzickiego i o *Rozbójniku salononowym* Dom. Magnuszewskiego.

W pracy niniejszej, wymieniając główne prace krytyczne i polityczne Tarnowskiego, zupełnie pominąłem jego artykuły sprawozdawcze, bez których prawie niema zeszytu *Przeglądu polskiego*.

[2]) Żychliński, *Złota księga szlachty polskiej*, t. 6.

[3]) *Listy Andrzeja Edwarda Koźmiana* (1829—1864) t. IV, str. 357, 361.

cie, a to samo, co z czasem napisał z powodu ożenienia się Szujskiego, odnosił osię i do niego także [1]). Kto wie nawet, czy tych słów nie pisał z myślą i o sobie również, o swojej młodości. »Młodym on być nie przestał — w latach trzydziestu sześciu — ale młodość pierwsza, ta nieodpowiedzialna jeszcze, ta, która ma prawo na los swój nie zważać, na jutro być obojętna, ta z dniem ślubu kończyć się musi. Zaczyna się życie inne. Ten, komu przedtem wolno było i przystało bawić się i kołysać marzeniem, musi teraz rzeczywistość znać i nią się zajmować; kto mógł według upodobania sobą rozrządzać, ten to prawo traci, bo nie jego jednego los na jego głowie. Zmienia się jego obowiązek, jego stanowisko, a przez to zmienia się, choć się nie kończy, jego młodość. I dlatego to każdy z nas swój wdzięczny tytuł młodziana słyszy po raz ostatni przy zapowiedziach. Odkąd stał się mężem poślubionej żony, ma być mężem, nie młodzieńcem, w całem swojem życiu [2]).

---

[1]) *Szujskiego młodość*, str. 502.

[2]) Związek ten pobłogosławił Bóg trojgiem dzieci: dwiema córkami i synem. Najstarsza córka, Elżbieta, ur. 19 listopada 1875, wyszła za hr. Esterhazego (zmarłego w r. 1905), młodsza, Jadwiga, ur. 20 czerwca 1879 r., poślubiła hr. Bnińskiego; jedyny syn, Hieronim Jan, urodził się 12 sierpnia 1884 roku.

ROZDZIAŁ II.

Rector Magnificus.

(1874—1890).

Sylwetka St. Tarnowskiego w *Listach z Krakowa* St. Koźmiana. Zapiski *Z Kijowa. Rząd pruski i kardynał Ledóchowski.* Mowa nad trumną Andrzeja Zamoyskiego. *Porcye* i ich następstwa. Tarnowski składa poselstwo. Studyum o *Niepoprawnych.* Wycieczka do Moskwy. Życie towarzyskie w Krakowie: salon państwa Tarnowskich. Trzy odczyty w Warszawie o komedyach Fredry. Dziesięciolecie *Przeglądu polskiego.* Tarnowski wraca do Sejmu. Artykuł o stosunkach wiejskich. Nad trumną Maurycego Manna. Odczyt o Krasińskim. Odczyty w Warszawie *O poezyi romantycznej.* Odczyty o *Panu Tadeuszu.* Studyum *O pośmiertnych komedyach Fredry.* Artykuł z powodu *Wojny Rosyi z Turcyą. Szekspir w Polsce.* Nad trumną Lucyana Siemieńskiego. »Exposé« i *po Kongresie berlińskim.* Wrażenia *Z Wilna.* Dwa wystąpienia przeciwko Hausnerowi. Studyum o *Koryolanie* Szekspira. Rozprawa o *Horsztyńskim* Słowackiego. Jubileusz Kraszewskiego. Krytyka dzieła Lisickiego o Aleks. Wielopolskim. Protest Zygmunta Wielopolskiego. Przekład *Wieczorów florenckich* Klaczki. Zjazd historyczny im. Długosza. Franciszek Józef w Krakowie i we Lwowie. Wrażenia *Z Kołomyi.* Sprawozdania *Z najnowszych powieści polskich.* Pielgrzymka słowiańska do Rzymu. Wrażenia *Z Prus Królewskich.* Studyum *O Kolędach.* Matejki *Hołd pruski.* Śmierć Szujskiego. Rocznica zwycięstwa pod Wiedniem. *O listach króla Jana z wyprawy wiedeńskiej. Tajemnica roku 1688.* Sprawa *Sobieskiego* Matejki i udział w niej Tarnowskiego. Oddawanie Ojcu św. Leonowi XIII daru narodowego z obrazu Matejki. Różnorodne czynności »wydawcy i redaktora odpowiedzialnego« *Przeglądu polskiego.* Wykłady o Schillerze. Pierwsze sprawozdanie sekretarza jeneralnego Akademii Umiejętności. Zjazd historyczno-literacki im. Jana Kochanowskiego. Referat Tarnowskiego. *Co u nas o Kochanowskim pisano.* Odczyt w Tarnowie o *Szujskiego latach szkolnych.* Tarnowski w Paryżu. Recenzya o *Mickiewiczu* Chmielowskiego. Tarnowski rektorem Uniwersytetu. Nad grobem X. Waleryana Kalinki. *Pisarze polityczni XVI wieku.* Głosy krytyki. Pogrzeb Kraszewskiego. Tarnowski o *Kraszewskim* Chmielowskiego. Wspomnienie pośmiertne o Zyblikiewiczu. Uroczystość otwarcia *Collegii Novi.* Rozmowy z Matejką i pertraktacye z nim Tarnowskiego z powodu *Dziewicy Orleańskiej.* Arcyksiążę Rudolf w Krakowie. Książka o *Księdzu Waleryanie Kalince.* Wrażenia *Z Wakacyi.* Pielgrzymka do Rzymu. Jubileusz Uniwersytetu Bolońskiego. Dzieło o *Janie Kochanowskim* i jego krytyka. Koniec stosunku z Asnykiem. *Próby rozstroju.* Mowa wyborcza.

Począwszy od roku 1875 zaczął Stanisław Koźmian zasilać warszawską *Gazetę polską* listami z Krakowa o *Galicyi i jej ludziach* [1]), w których między innemi, opisując skład redakcyi *Przeglądu polskiego*, skreślił także i sylwetkę Stanisława Tarnowskiego, sylwetkę, która, choć wyszła z pod pióra serdecznego przyjaciela, odznaczała się niesłychaną objektywnością. Jakoż jest to niezaprzeczenie doskonały wizerunek autora *Królowej Opinii*. Takim był on naprawdę w owym czasie, szkic bowiem, mistrzowski w uchwyceniu rysów charakterystycznych, o ile znakomicie oddawał podobieństwo, o tyle nie pochlebiał w niczem. Oto słowa Koźmiana:

»Hrabia Stanisław Tarnowski piórem i kieszenią najczynniejszy współpracownik *Przeglądu polskiego*, zdobył sobie od czasu założenia pisma tak głośne i wybitne stanowisko w piśmiennictwie, że jeżeli zawdzięcza to po części *Przeglądowi*, to bezsprzecznie *Przegląd* jemu zawdzięcza możność nadawania rozgłosu. Tak pod względem serca, jak umysłu, jest wyjątkowo bogato uposażony: jest to jeden z tych ludzî, którzy czynią zaszczyt każdemu społeczeństwu, którzy w takich, jak tutejsze, stosunkach i okolicznościach, są jego ozdobą i stają się drogocennemi czynnikami życia umysłowego i wogóle wszelkiego życia. Hr. Tarnowski znanym jest, jako mówca... Nabrał on w ostatnich czasach wielkiej wprawy w wymowie, na której zbywało mu w początkach. Mówi łatwo, zajmująco, pociągająco, czasem w dykcyi trąci nieco przesadą, aczkolwiek sam ceni wysoko prostotę. Lekki odcień wymuszoności, który można by mu zarzucić, nie jest mu wrodzonym, pochodzi raczej z nieśmiałości, której, pomimo tylu publicznych wystąpień, nie mógł się dotąd całkiem pozbyć. Jako krytyk, hrabia Tarnowski włada niezrównanie piórem; to, co pisze, jest często zabawniejszem i więcej zajmującem, niż to, o czem pisze. Umie rozciekawić, nawet roznamiętnić do przedmiotu, o którym mówi. Widzi zawsze wszystkie piękności dzieła i umie je roztoczyć przed czytelnikiem, czasem upatruje błędy, których niema lub których nie warto podnosić. Obok wspaniałego sposobu wykazania dodatnich stron, zanadto jest drobiazgowym w odszukiwaniu usterków. Nienawiść do mierności stała się u hr. Tarnowskiego namiętnością, która, jak każda namiętność, zaślepia i skłania do przesady. Uznaje tylko to, co stoi u szczytu piękna, i umie to po mistrzowsku ocenić; pomija lub pastwi się nielitościwie nad całą skalą, łączącą szczyty z poziomem, zbytecznie nieubłaganym jest dla poziomu. Dlatego ocena jego, kiedy opuszcza szczyty, przemienia się w niezrównany dowcipem i szyderstwem pamflet, ale w pamflet. Z temi zaletami pierwszorzędnemi i samorodnemi wadami, hr. Tarnowski jest niezaprzeczenie jednym z najświetniejszych u nas krytyków: czyta się go, już nie dlatego, aby zapoznać się z przedmiotem, który rozbiera, ale ażeby dowiedzieć się, co on o nim myśli. Jako publicysta, hr. Tarnowski ma niesłychaną, może zbyteczną łatwość pióra; przejęty zawsze stroną duchową przedmiotu, rzuca świetnie na papier zdrowe myśli; czuć w tem, co pisze, sumienie! Czuć, że spełnia obowiązek, w ważnych sprawach niknie literat wobec obywatela. Ta gorąca miłość rzeczy publicznej może go czasem popchnęła niebacznie za daleko, lecz zawsze w dobrej wierze, w najszlachetniejszych zamiarach, bez myśli o sobie, z miłością dla rzeczy. Wielka odwaga, znamionująca

---

[1]) Listy te znajdują się obecnie przedrukowane w *Pismach politycznych* Koźmiana, wydanych w Krakowie w r. 1903, str. 45—288.

Przegląd, jest także wybitnym rysem hr. Tarnowskiego, jako publicysty: posuwa ją nieraz do bezprzykładnej śmiałości. Jest to rycerz, który walczy dzielnie, czasem nawet zapamiętale, bo walczy zawsze z przekonania. Połączenie uzdolnienia umysłowego, daru literackiego, z pierwszorzędnemi zaletami i, powiem nawet, wadami człowieka, stanowi jego urok. Czytając świetne rozprawy hr. Tarnowskiego, pełne zapału, dowcipu, szyderstwa, czasem namiętne, mało kto mógłby się domyśleć, że pierwszym początkiem jego zawodu literackiego nie było co innego, jak głębokie poczucie obowiązku; przecież tak jest, i hr. Tarnowski jest przedewszystkiem człowiekiem obowiązku. Należy do tych, dla których imię i stanowisko są tylko wskazówkami Opatrzności, iż im przypada zadanie pracowania dla innych i za innych! Tem uczuciem powodowany, szukał on zawsze sposobności do pracy i okazał się w niej niezmordowanym. W dojrzałym już wieku, nie zadawalniając się pracą w *Przeglądzie*, Sejmie, Radzie Państwa, postanowił zostać profesorem Wszechnicy Jagiellońskiej, i w przeciągu roku zdał liczne, trudne egzamina, które potrzebne były do zajęcia katedry; zdał je z podziwem egzaminatorów, przy oklaskach całej zdrowej i uczciwej publiczności. Dziś, jedyną ujemną stroną jego zawodu jest, iż zbytecznie jest obciążonym i zbyt wiele bierze na swe barki. Hr. Tarnowski za wiele pisze i o zbyt rozmaitych przedmiotach; powszechność jest dla tego pięknego zjawiska pisarskiego szkopułem, którego strzedz się powinno. Nie należy drobnemi pieniędzmi roztrwaniać tak drogocennej, rzadkiej u nas gotówki, nie należy o wszystkiem przemawiać, kiedy się ma przywilej przemawiania skutecznie w ważnych sprawach i rozstrzygających chwilach. Lecz ten wyjątkowy człowiek, ten człowiek obowiązku, ten nielitościwy krytyk, ten Jowisz piorunujący na mierność, ten smok, połykający na śniadanie tuziny tuzinkowych poetów i artystów, a nigdy nie nasycony, ten Kato czy Skarga we fraku, chłoszczący największe i zbyt drobne zdrożności naszego społeczeństwa, jest najlepszym i pełnym serca człowiekiem. Niczego odmówić nie umie, od wielkiej usługi do drobnej, od mów pogrzebowych nad mogiłami znakomitych ludzi do życiorysu o zupełnie nieznanym człowieku; nie umie zaś przedewszystkiem usunąć się od żadnej pracy, i dlatego obarczają go nią zbytecznie. Hr. Tarnowski jest zbyt znakomitym mężem, aby miał być *La bonne à tout faire*«.

Takim był świeżo ożeniony autor *Królowej Opinii*, takim pozostał na całe życie: człowiekiem serca i obowiązku, a przedewszystkiem *in every eanch* gorącym patryotą.

Jako taki też, gdy mu w lecie r. 1874 w czasie wakacyi wypadło pojechać na Ukrainę, skreślił dla Stanisława Koźmiana swoje wrażenia *Z Kijowa*, wydrukowane następnie w *Przeglądzie polskim*. Było to wywzajemnienie się za *Sześć listów z Pesztu* oraz za *Dziennik z Wystawy Wiedeńskiej*, które niedawno Koźmian dla Tarnowskiego napisał i jako takie w tymże *Przeglądzie polskim* ogłosił. W słowie wstępnem, poprzedzającem te »zapiski«, a zwróconem do Stan. Koźmiana, znajdowało się zastrzeżenie pod jego adresem, by się nie spodziewał »ani historyi, ani polityki, ani spostrzeżeń ekonomicznych, ani najmniej ze wszystkiego poezyi i k o l o r y t u l o k a l n e g o«. »Albowiem przejadły ci się zapewne te miejscowe nazwy i wyrażenia, któremi ludzie opisują tę krainę, w miłem złudzeniu, że gdy wspo-

mną kilkanaście razy o kozakach, czumakach i sumakach, o kurhanach, bużanach, atamanach i basztanach, o jarach, czekarach i... szerokich szarawarach, już napiszą conajmniej *Dumkę* Zaleskiego, jeżeli nie drugą *Maryę* Malczewskiego. Tego się nie bój: zużytemi stereotypowemi frazesami nudzić cię nie będę«. Autorowi chodziło o to poprostu, by czytelnik dowiedział się z jego zapisek, »jak po wierzchu wygląda Kijów w roku Pańskim 1874«. Tak postawione założenie całkowicie zostało osiągniętem, a nadto złożyło się na dowód, że Tarnowski, gdy tego zachodziła potrzeba, znakomicie umiał się posługiwać stylem beletrystycznym, że go było stać nietylko na plastykę stylu, przy wielkiej prostocie, ale i na źdźbło tej poezyi, której się tak zarzekał na początku. Czytając te bezpretensyonalne zapiski, doskonale widzi się wszystko, co opisuje autor, a jeżeli w dzienniku jego, obejmującym wrażenia z trzech dni tylko — od 3 do 5 września — znalazło się i trochę polityki, i odrobina historyi, i cokolwiek spostrzeżeń ekonomicznych, a nawet umiarkowana przymieszka kolorytu lokalnego, to obraz Kijowa »w roku Pańskim 1874« tylko na tem zyskał.

Na krótko przed wyjazdem Tarnowskiego na Ukrainę, bo w sierpniowym zeszycie *Przeglądu polskiego*, ukazał się jego artykuł polityczny, p. t. *Rząd pruski i ksiądz prymas Ledóchowski*, artykuł, któremu za ponure tło służył słynny w tych czasach, a przez Bismarcka wszczęty w Poznańskiem *Kulturkampf*. Artykuł kreślił przebieg zaciekłej walki »żelaznego księcia« z polskimi księżmi, a szczególniej apoteozował — w bardzo wymownych słowach niekiedy — niezłomne męstwo arcybiskupa, w którym »odżył duch Św. Wojciecha«. Przed oddaniem artykułu tego do druku, dał go Tarnowski w manuskrypcie do przeczytania księdzu Kalince, który, dawszy mu swą aprobatę, dopisał w nim, w końcowym ustępie, kilkanaście wierszy w formie podniosłej modlitwy, rozwijając poprzednio wyrażoną myśl autora, że patryotyczna przyszłość poznańskiego ludu polskiego, tak dobrze, jak jego religijna wytrwałość i wierność, zawisły od religijnej wierności, wytrwałości i gorliwości szlachty wielkopolskiej. »A na tę czy ze wszystkiem liczyć można?« To nieco sceptyczne pytanie Tarnowskiego, ta pewna wątpliwość z jego strony, czy tym razem szlachta znajdzie się na wysokości zadania, by ludowi dać należyty przykład, ten brak pewności, że w danym wypadku można liczyć na szlachtę wielkopolską, pobudził autora *Sejmu Czteroletniego* do skreślenia następujących słów, prawdziwie natchnionych:

O Boże! daj, żeby tak było! Po raz to pierwszy od lat i wieków dajesz tę sposobność, ten »jeden tylko, jeden cud«, że »z szlachtą polską polski lud«

znaleźć się może na jednem polu walki, i to najwyższem, znaleźć się może zupełnie, całem sercem, całą siłą, a jak się raz tak spotkają, tak obok siebie ujrzą, to się już i nie rozłączą, bo w Tobie, Panie, będą złączeni! Po raz pierwszy także kiedy już ziemskich środków i nadziei zabrakło, zstąpiłeś do walki Ty sam, który zwyciężonym być nie możesz! O, daj nam tej sposobności zwycięstwa z rąk nie puścić, daj nam uchwycić się Twojej tarczy i Twojej chorągwi, z mocą, ze stałością, z wiarą; daj nam wszystkim razem stanąć przy Tobie i cierpieć za Ciebie; daj nam, o Panie, »świętemi czynami wśród sądu Twego samych zbawić siebie«!

Z powodu rzeczonego artykułu otrzymała redakcya *Przeglądu polskiego* list z Poznania, ze sfer duchownych, w którym to liście, wydrukowanym we wrześniowym zeszycie, pisano między innemi, co następuje:

Z artykułu, który hr. Tarnowski Stanisław w ostatnim numerze *Przeglądu* zamieścił, widzę, że znamienity ten pisarz pojął gruntownie i rzetelnie ocenił tak przebieg spraw naszych kościelnych, jak równie całe postępowanie księdza prymasa Ledóchowskiego. Wielka mu się za to wdzięczność należy. W czasach zakłóconych, jak niniejsze, nieocenioną wyrządza przysługę, kto prawdę głosi śmiało, bieg spraw uczciwie rozjaśnia, i wskazuje, gdzie obowiązek. My jesteśmy przekonani, że chociaż dzisiaj nie wszyscy rozumieją i oceniają, jak należy, wielkie usługi, przez księdza Prymasa oddane, przyjdzie i to niedługo, chwila zupełnej sprawiedliwości. Chwilę tę wyprzedził pan Tarnowski. Niechże mu będzie za to cześć, na jaką zasłużył.

W październiku r. 1874 zmarł w Krakowie, gdzie był osiadł na ostatnie lata swego smętnego życia, Andrzej Zamoyski. Tarnowskiemu przypadł zaszczyt przemówienia nad grobem. Była to pierwsza z jego mów pogrzebowych, a zarazem jedna z najwspanialszych. Ale bo też i wspaniałym był człowiek, którego zasługi podnosiła.

— Niedawno jeszcze — były słowa mówcy — kiedy przemawiał do nas, słuchaliśmy go, jak nie słuchaliśmy żadnego ze współczesnych, a kiedy za nas przemawiał, każdy był spokojny, każdy wierzył, że on powie to, i tak, jak czuł naród, którego był nie urzędowym, ale przyjętym i uznanym przedstawicielem. Jako taki miał on piękne chwile, kiedy był moralnym naczelnikiem kraju, ale nigdy nie był bardziej budującym, bardziej chwytającym za serce, jak w ostatnich latach. Wyrzucony z dawnej kolei, pozbawiony swej działalności, owdowiały, rozłączony z synami, przerzucony w wielką ciszę, z możnego prawie ubogi, wyglądał między nami smutno, jakżeby siedział na ruinach własnego życia«.

Takim był, gdy od roku 1862 mieszkał w Krakowie, w domu swej córki, Cecylii, i zięcia, Jerzego Lubomirskiego, takim go tu widywał często Tarnowski, aż w końcu przyszła chwila, że miał przemówić nad jego trumną, jako nad wiernym sługą pokutującej Polski.

Na ostatniej sesyi sejmowej z roku 1874, zakończonej w październiku, obok wielu innych spraw poruszono także i kwestyę lichwy, będącej przyczyną przerażającego postępu wywłaszczenia ludu wiejskiego z ziemi. Okazało się jednocześnie, że lichwę uprawiają nietylko żydzi, ale i szlachta, i że wyzysk włościan, uprawiany przez szlachtę, pod postacią t. zw. »porcyi«, był wołającym o pomstę. Tarnowski, który zupełnie nie był świadom tych stosunków, a o istnieniu »porcyi« nie słyszał[1]), gdy go objaśniono, na czem one polegały, oburzony, napisał artykuł, w którym nieslychanie gwałtownie napiętnował rzecz całą, nazywając rzeczone *Porcye* — taki też był tytuł artykułu — w »ćwierć wieku po zniesieniu pańszczyzny c z e m ś b a r d z o d o p a ń s z c z y z n y p o d o b n e m«.

Kiedy dawno temu, przed stu laty może, książę jenerał Czartoryski, oceniając mądrze i słusznie nasze stosunki poddańcze, mawiał z gorzką ironią, że »nie potrzebujemy Peruwiańskich kopalni złota, bo skóra chłopska to najlepsze Peru«, zdawało się, że ten szyderczy wyraz odnosił się do przeszłości, do epoki, która wraz z Sejmem Czteroletnim zamknąć się miała, do Polski Saskiej, do tej dawniejszej, której poprawę przysięgał przed ołtarzem Jan Kazimierz, nauczony straszną lekcyą Chmielnickiego. Ale żeby dziś jeszcze, w Polsce, po wszystkich naukach historyi, po Humańszczyźnie, po wszystkich powstaniach, upadłych dlatego, że nie miały siły liczebnej i podstawy w ludzie, żeby w Galicyi zwłaszcza, po roku 46-tym, w tym stanie społecznego rozkładu, w jakim się ten kraj znajduje, wobec wszystkich niebezpieczeństw, jakiemi nam grożą centralistyczne i świętojurskie propagandy, byli jeszcze ludzie, którzy z chłopskiej skóry ciągną zyski nieprawe, żeby jeszcze byli ludzie, nie pojmujący, co robią, do czego prowadzą, jak ojczyźnie służą, krzywdząc chłopa i na swoją korzyść biedę jego wyzyskując, ażeby tak robiąc, mieli się jeszcze za dobrych Polaków, to jest zaiste więcej, niż zrozumieć, więcej, niż wytrzymać można, to jest fakt, po którym

---

[1]) W *Przeglądzie politycznym* z dnia 31 grudnia 1874 tak w tej kwestyi pisał w *Przeglądzie polskim* Stan. Koźmian: »O *Porcyach* ani Redakcya *Przeglądu polskiego*, ani autor artykułu nigdy przedtem nie słyszeli, lecz naraz, pod koniec ostatniego sejmu, i redakcya, i autor usłyszeli o nich wiele, bardzo wiele, usłyszeli z ust osób najpoważniejszych w kraju, zajmujących ważne stanowiska, usłyszeli z oburzeniem, objawiającem się, jeżeli nie w tych samych, to w równie ostrych wyrazach, jak słowa artykułu; usłyszeliśmy od takich osób, iż wobec ich świadectwa, wszelkie sprawdzenie faktu było zbytecznem, niepotrzebnem, dziecinnem; a jeżeliby tym ludziom nie można zawierzyć i zaufać, to komuż nareszcie wierzyć i ufać u nas? Skąd oni powzięli wiadomość o nieszczęsnym fakcie, nie potrzebowaliśmy nawet badać, gdyż ich oburzenie, zmartwienie i obawy patryotyczne, starczyły nam za najlepszą rękojmię, a byli to ludzie tego znaczenia, że lepiej pomylić się z nimi, niż, im nie ufając, swoją miłość własną ocalić. Rzecz musiała się przedstawić dość groźnie tym mężom politycznym i tym poważnym umysłom, skoro, ich zdaniem, powinna się była stać przedmiotem rozpraw sejmowych, a że tak było, na to mamy dowody, aczkolwiek nikogo nie wymieniamy... Nietylko więc obowiązkiem naszym, ale koniecznością dla nas było odezwać się w tej sprawie, obowiązkiem naszym podnieść ją i wyświetlić«...

doprawdy możnaby o nas, o naszem podniesieniu się z upadku, o naszej przyszłości zwątpić do reszty. I dziwić się potem, że nam chłop nie wierzy, że nas podejrzywa, że powtarza ciągle ze strachem: »panowie chcą przywrócić pańszczyznę!« Musi podejrzywać, musi nienawidzieć, musi się bać, a po niektórych naturalnie sądzi wszystkich.

W takim tonie utrzymany był cały artykuł. Cóż dziwnego więc, że gdy się to napiętnowanie *Porcyi* ukazało w *Przeglądzie polskim*, w zeszycie listopadowym, natychmiast powstała istna burza protestów, zapytań, oświadczeń i wezwań drukowanych, listów prywatnych, podpisanych i niepodpisanych, burza, żywo przypominająca czasy *Teki Stańczyka*. Klątwy i pioruny posypały się na Tarnowskiego, zarzucano mu zdradę, posądzano o denuncyacyę, a nawet szlachta, która mu nie mogła darować tego wystąpienia w obronie chłopów, nie pozostała w tyle za demokratami z *Dziennika polskiego* i *Gazety Narodowej*. Jakoż niebawem urosła cała literatura *Porcyi*, literatura, pełna nienawiści i zemsty, bałamuctw i złej wiary. Tymczasem okazało się, że Tarnowski, niedostatecznie obeznany ze stosunkami wiejskiemi, zbyt gorąco, może i trochę nierozważnie podjął sprawę porcyi, nadając jej rozmiary, których nie miała. Bo choć złe istniało, ale istniało zaledwie w zalążku, a przedewszystkiem istniało tylko gdzieniegdzie, kiedy Tarnowski rozciągnął je niemal do ogółu. Twierdzenie to, choć wypowiedziane w dobrej wierze, domagało się sprostowania. Do tego zmierzały wszystkie owe odezwy i protesty, tylko zamiast to uczynić poważnie i spokojnie, wzięto się do rzeczy namiętnie, obcesowo, gwałtownie, rozpoczęto wichrzenie, puszczono wodze najgorszym namiętnościom, a wszystko to w widocznym celu, nie sprostowania rzeczy, nie wyjaśnienia prawdy, ale dokuczenia Tarnowskiemu, skruszenia jego świetnego pióra i wykolejenia go z życia publicznego. »Z podziwienia godnym spokojem, opowiada Koźmian, znosił Tarnowski wszystkie te następstwa swojej rozprawy, a nawet, nie czekając na publiczne protesty, groźby i burze, lecz ufając zdaniu osób poważnych, a obeznanych ze stosunkami, które prywatnie zwróciły się do redakcyi *Przeglądu polskiego*, pospieszył cofnąć to, co okazało się pomyłką w jego artykule, a uczynił to w *Czasie*, w liście do p. Hoppena, przekonany, że tym sposobem zadowolni tych, na których zadowolnieniu mu zależało. Lecz właśnie wtedy najgwałtowniejsza zerwała się burza, najsilniejszy przypuszczono szturm do redakcyi *Przeglądu polskiego*, a do tego powszechnego ataku tyle weszło czynników, tyle wmieszało się żywiołów, że już nie mogło być mowy, by się miało do czynienia z samą dobrą wiarą«. Że jednak w tym chaosie niesfornych głosów odzywały się także głosy uczciwe,

a tem samem doniosłe, z których najdonioślejszym było wystąpienie Bartłomieja Rozwadowskiego, wystąpienie, wymagające wielkiej odwagi cywilnej, bo wprost stające w obronie Tarnowskiego [1]), a które Tarnowski i jego przyjaciele umieli od innych rozróżnić i uszanować, postanowili więc, aby im zadosyć uczynić i uspokoić je, raz jeszcze przemówić. Nie szło im wcale o samą rzecz — zapewnia Koźmian — bo od chwili, w której się przekonali, w czem zaszła pomyłka, nie było nic łatwiejszego, jak cofnąć ją najzupełniej i z całą stanowczością, ale szło o sposób cofnięcia jej... Jakoż uczynił to Tarnowski w liście otwartym do Rozwadowskiego, ogłoszonym w *Czasie*, w któ-

[1]) List Rozwadowskiego, datowany z Babina d. 10 grudnia 1874 r. a wydrukowany w *Czasie* z d. 15 grudnia 1874., kończył się następującemi słowy: »Nie wątpię, że hr. Tarnowski zarzut swój zmodyfikuje, a może to uczynić snadno, bo celem jego był pożytek kraju: cel ten osiągnął. Pożytek kraju usprawiedliwia postępowanie hr. Tarnowskiego zupełnie, a śmiałe wystąpienie zdobi go w zasługę, płynącą z szlachetnej odwagi, która jest u nas cnotą bardzo rzadką«.

Gdy w r. 1882 umarł Bartłomiej Rozwadowski, Tarnowski poświęcił mu w *Przeglądzie polskim* gorące wspomnienie pośmiertne, w którem między innemi tak pisał: »Osobiste uczucia nie mają miejsca w pismach publicznych: tracąc najbliższych i najdroższych nie pisze się nekrologów i nie mówi o swoim żalu przed wszystkimi. A jednak w tym razie od osobistego uczucia zacząć musimy, i wyznać, że mało kto zobowiązał nas do takiej wdzięczności, jak zmarły świeżo Bartłomiej Rozwadowski. Jak jałmużna dana ubogiemu w czas najgorszej nędzy, jak kawałek chleba zgłodniałemu dodaje pokrzepienia i siły, tak w innych stosunkach, w innym porządku rzeczy bywają takie pomoce, które człowieka dźwigają i wspierają, a w bolesnej chwili dane stają się dobrodziejstwem, tem większem, tem droższem, że niespodziewanem. Nie chcemy przypominać tych przejść przykrych; jednego w nich wszakże zapomnieć nie możemy (i tego nikt, sądzimy, za złe nam nie weźmie, raczej wziąćby mógł, gdyby było inaczej), tego, że za takim, przeciwko któremu byli wszyscy, on jeden się odezwał, jeden dał świadectwo, za nieznanym do tego i zupełnie sobie obcym. Gdyby sprawa ta nie była osobistą i własną, jak łatwo byłoby powiedzieć, ile trzeba mieć w duszy odwagi, żeby wbrew wszystkim wystąpić ze zdaniem przeciwnem, ile trzeba mieć szlachetności, żeby bez koniecznej potrzeby, bez obowiązku, bez tych stosunków przyjaźni i przywiązania, które ułatwiają poświęcenie, bez wezwania i prośby, z własnego popędu dla drugiego się poświęcić, stanąć przy nim, zasłonić go sobą. Ani chcemy, ani nam wypada rozwodzić się nad tą sprawą, a chcąc owszem, kiedy już dotknąć jej musimy, dotknąć jak najlżej, kończymy na tem, że żołnierz, który na ochotnika idzie w gorący ogień, na całym świecie uchodzi za bohatera, że taki, który drugiego w ogniu ratuje na własnych barkach, uchodzi za niego także, i że nie na strzały wprawdzie i nie na śmierć, ale na rzeczy bolesne bardzo narażał się Rozwadowski dobrowolnie, sam jeden, i z podniesioną przyłbicą, z odkrytą głową i piersią. A jakąkolwiek była sprawa, i cokolwiek kto o niej myśli, na jedno zapewne zgodzi się każdy, że on postąpił i wyglądał w niej szlachetnie i pięknie... O tem, co jest zawsze najlepszą miarą wartości człowieka, o tej zdolności przekonania i nadstawiania głowy za swoje przekonanie, która się nazywa charakterem, męskością i męstwem, dał wyobrażenie w sprawie, do

rym to liście cofnął stanowczo, lojalnie, dobitnie, z przytoczeniem ustępów, wszystko, co zgodnie z wyświeconą prawdą, było do cofnięcia, a co mogło słusznie obejść uczciwych, poważnych i poważanych. Poszedł nawet dalej, bo usiłował usunąć podejrzenie o myśli, których nie miał nigdy, a które mu podsunięto, a wogóle stwierdził ostatecznie, że aczkolwiek lichwa pod formą najmu zaczęła okazywać się w niektórych miejscowościach, przecież omylił się, gdy się lękał w chwili pierwszego przerażenia, że ogarnęła już całe powiaty, że tem samem nie można czynić za nią odpowiedzialnem obywatelstwa żadnej części kraju, nie mówiąc już o tem, że nigdy nie myślał, ani on, ani redakcya *Przeglądu polskiego*, rzucać rękawicy ani szlachcie wogóle, ani obywatelstwu wschodniej części kraju. Takie było znaczenie listu do Rozwadowskiego, listu, w którym szczerze, otwarcie, bez ogródek, naprawiona została popełniona omyłka. Ale nie pomógł i list do Rozwadowskiego [1]). Niesforna burza, rozhukana nad Tarnowskim i *Przeglądem polskim*, nie ustawała. Mnożyły się szumne protesty — po dziennikach podejrzanej wartości moralnej — a choć nieraz zdarzały się i głosy uczciwe, to jednak górę brały niegodziwe, pełne jadu i nienawiści: były i domagania się, by autor *Porcyi* złożył mandat poselski, grożono bowiem, że mu nikt nie poda ręki, że raczej wszyscy wyjdą z sejmu! Rozwinięto niebywałą agitacyę, wichrzenie nie ustawało, oświadczenia, zaprzeczenia i obelgi wciąż się sypały jak z rogu obfitości, bo nie szło o rzecz, ale o osobę. Wszyscy — powiada Koźmian — którym pismo takie, jak *Przegląd polski*, narażać się musiało przez dziesięć lat swego istnienia, uchwycili tę sposobność, aby przeciw niemu wyruszyć i zemścić się. Wyruszyły więc w pole zawiść i zazdrość, obrażona miłość własna autorska, odepchnięta zarozumiałość studencka, wyśmiana głupota, zdemaskowana niesumienność dziennikarska, zniweczone ambitne a samolubne zamiary; wyruszyły w pierwszym szeregu dzienniki lwowskie, a te miały za co się mścić. Cóż dziwnego, że w takiej ciżbie znikli ludzie

———

której wracać już nie chcemy, a która, jak każdy zrozumie, zostawić nam musiała i pamięć niewygasłą, i święty obowiązek wdzięczności i uszanowania dla niego. Tego spłacić, nawet gdybyśmy mogli, nie chcielibyśmy, bo nie jest ciężki; owszem nic w życiu milszego, jak przez całe życie dźwigać wdzięczność i cześć dla szlachetnych. Ale uznać go głośno i publicznie, ale nad grobem jego przypomnieć się i powiedzieć : »Oto ja jestem ten, względem którego on spełnił uczynek wielkiej odwagi, wielkiego poświęcenia i wielkiego miłosierdzia; niech za mnie odda Bóg jemu na tamtym świecie, a na tym jego pozostałym i osieroconym!« — to jest nietylko wrodzony popęd i potrzeba sumienia i honoru, ale i zaszczytne prawo, z którego z chlubą robimy użytek«.

[1]) Wydrukowany w *Czasie* d. 19 grudnia 1874.

uczciwi i dobrej wiary, że w tym zajeździe, w tem »hajże na Soplicę« nie mogli utrzymać ładu, porządku, przyzwoitości. Nadmieniać zbyteczna, że nie przebierano w środkach, że niezawsze walczono uczciwą bronią, że zwłaszcza uciekano się do fortelów, które nie dziwiły wśród pewnych koteryi, ale z któremi szlachcie niekoniecznie było do twarzy. Ale co już wywołało prawdziwe zdumienie, to, że człowiek, jak hr. Agenor Gołuchowski, piastujący najwyższy urząd w kraju, przez swój organ, *Gazetę Lwowską*, brał czynny udział w tej zaciętej walce przeciw Tarnowskiemu, w walce, w której jeżeli już nie rozjemcze to przynajmniej neutralne zająć powinien był stanowisko. Ale Gołuchowski wogóle nie bardzo był rad »Stańczykom«, choćby dlatego, że byli niezależni, a Tarnowskiemu podobno przebaczyć nie mógł nielitościwego wyśmiania hrabiów galicyjskich w *Królowej Opinii*[1]). Kto również — ku zdziwieniu wielu — podsycał wichrzenie przeciwko Tarnowskiemu, to książę Adam Sapieha, przezwany »czerwonym księciem«. Rzecz dziwna, ale dwa prądy, dwa obozy, zawsze sobie przeciwne, pałac namiestnikowski i pałac Sapiehów, połączyły się w tym wypadku, przyłączyły się do akcyi, prowadzącej ostatecznie do tego, by, jak powiada Koźmian, »osłabić i zniszczyć znaczenie człowieka, nietylko z nieskalaną, ale pełną zasług przeszłością, publicystę świetnego a niezależnego, słowem, znakomitość, jakiej drugiej w pewnym kierunku i w tych warunkach Galicya z pewnością w danej chwili nie posiadała«. Myliłby się jednak, ktoby sądził, że namiestnik hr. Gołuchowski i książę Adam Sapieha, przykładając ręce do zdyskretowania Tarnowskiego, działali solidarnie. Miało się całkiem przeciwnie, bo dwaj ci ludzie pu-

---

[1]) W swoich odczytach o *Panu Tadeuszu*, wygłoszonych w parę lat po tej całej aferze *Porcyi*, analizując księgę siódmą, Tarnowski tak mówił między innemi, jakby czyniąc aluzyę do swojej sytuacyi w roku 1875: »Może Tadeusz jest historyą ostatniego w Litwie zajazdu, ale jego księga siódma z pewnością nie jest obrazem ostatniego w Polsce sejmiku. Wszystkie, ile ich było, wszystkie od pierwszych Jagiellońskich jeszcze, aż do tych biednych sejmików pogrobowych, do naszych dzisiejszych zjazdów, wyborów, rad i narad, wszystkie są takie, w swojej całości, w swoim przebiegu, w swoich głównych typach: a jeżeli dziś więcej znać w nich regulaminu i jeżeli nie kończą się zajazdami, to nawet dziś jeszcze kończą się nieraz powszechnem »hajże« na jakiegoś Soplicę, na jakąś niewinną ofiarę uprzedzeń i niechęci, jakiś niezasłużony przedmiot niełaski, podniesiony do wielkiego znaczenia drobnemi uchybieniami, drobnemi żalami, wyzyskanemi tak zręcznie przez innych mających swoje widoki w powaleniu nieszczęśliwej ofiary, że biedny Soplica, *avilito* i *calpestato*, sam nie wie, jak i za co staje się reprezentantem jakiejś zasady i kierunku, podniesionym do godności sztandaru, człowiekiem niebezpiecznym, Bóg wie co myślącym i czego chcącym«. *Pan Tadeusz.* Uwagi, str. 35.

bliczni, wprost sobie przeciwni i nie lubiący się wzajemnie, choć spotkali się w jednem uczuciu, jako antagoniści Tarnowskiego, działali każdy z innych względów i każdy w innym celu. Co się tycze ks. Adama Sapiehy, to chodziło mu głównie o odwrócenie uwagi od bardzo głośnego wtedy procesu Offenheima, przedsiębiorcy kolei czerniowieckiej, procesu, w który zwłaszcza był wmieszany marszałek ks. Leon Sapieha, a także o to, by na rumaku *Porcyi* wyjechać na prezesostwo galicyjskiego Towarzystwa Rolniczego we Lwowie. Gdy na początku roku 1875 zebrało się Towarzystwo Rolnicze, nieszczęsna sprawa *Porcyi,* od miesiąca już uśpiona, znowu została wskrzeszona, a podniesiona z zapałem, godnym lepszej sprawy, została przeprowadzona z niebywałą dzielnością. Albowiem, bez poprzedniej narady, orzeczono jednogłośnie, że zarzuty, uczynione w *Porcyach* Tarnowskiego, Towarzystwo »odpiera, jako niezgodne z prawdą«. W odpowiedzi na ową uchwałę, Tarnowski złożył poselstwo sejmowe, a uczynił to w liście do wyborców obwodu Rzeszowskiego, doniosłym, pełnym godności, a co więcej, zręcznym [1]. »To złożenie poselstwa — pisał w tej sprawie Koźmian w jednym ze swych listów do *Gazety polskiej* — było ze strony Stańczyków rozumnym czynem politycznym i niemałą, nieprzyjemną niespodzianką dla całego wichrzenia, któremu odbierało powód bytu. Krok ten natychmiast też skutkował, bo opartym był na psychologicznej znajomości społeczeństwa, którego współczucie i uznanie przechodzą zawsze na stronę tego, który z jakiegokolwiek schodzi stanowiska. Złożenie poselstwa przez hr. Tarnowskiego, ostatecznie w skutku błahej sprawy, w dziwnem świetle postawiło marszałka sejmu, ks. Leona Sapiehę, który, acz wmieszany w sprawę Offenheima, nie składał laski marszałkowskiej. Skorzystały z tego natychmiast dzienniki nieprzyjazne księciu i jaskrawo przedstawiły różnicę postępowania posła Tarnowskiego i marszałka Sapiehy; położenie tego ostatniego z każdym dniem stawało się niemożliwem, aż wreszcie naprężona struna pękła, przyjęciem przez cesarza **dawniej** podanej, jak się wyraziła *Wiener Zeitung*, prośby o uwolnienie księcia i powołania hr. Alfreda Potockiego na stanowisko marszałka sejmowego. Stańczyki, usuwając się w tej chwili od działania politycznego, okazali swoją wyższość i niemałą zręczność, żeby nie powiedzieć przebiegłość. Wnosząc z listu hr. Tarnowskiego do wyborców, i z pobocznych objawów, będą oni na razie czynnymi na innych polach i w innym kierunku, a opuszczą niewdzięczny grunt

[1]) List ten p. t. *Do moich wyborców*, datowany z Krakowa d. 2 marca 1875 r., został wydrukowany w marcowym zeszycie ***Przeglądu polskiego***.

wielkiej polityki austryacko-polskiej, pozostawiając jego uprawę tym, którzy go zjałowili. Taki więc ostatecznie miało skutek to bezrozumne wichrzenie! Oto wyrzuciło chwilowo z życia publicznego zdolnych i niezależnych ludzi, o jakich zbyt trudno, ludzi, których zapatrywań można było nie podzielać, lecz których wartość polityczna, społeczna i umysłowa zaprzeczyć się nie da; i wyrzuciło z sejmu jednego z najznakomitszych posłów, który zacnością i zdolnościami niepospolite zajmował tam miejsce, którego, mianowicie w Komisyi szkolnej, niełatwo będzie zastąpić« [1]).

Że ludzie bezstronni, poza partyami politycznemi stojący, stali w sprawie *Porcyi* po stronie Tarnowskiego, o tem wymownie świadczył następujący wiersz Karola Estreichera, wydrukowany w ultrademokratycznym *Dyable* Krakowskim, w Nr. 134 z dn. 30 marca 1875 roku:

DO STANISŁAWA HR. TARNOWSKIEGO.

Resumé.

Tam gdzie hetmanił książę-marszałek
Posłom z pałkami w herbach, bez pałek,
Brat-obywatel w biesiadnem kole
Głosił, iż chama tak wywiódł w pole,
Że sam mu *Porcye* swe niesie.

Głosił to swoim — nie dla publiki!
Skoroś więc o to wzniósł alarm dziki,
Słusznie ci sami, którzy z oklaskiem
Wczoraj chełpili się wynalazkiem,
Dziś słów swych przeczą w adresie.

Choć Towarzystwo agronomiczne,
Rad powiatowych adresy liczne,
Galilejczyków ze Wschodu grono,
Chórem, w duetach i unisono,
Porcyom tym dało odprawę;

Choć *Krukowiecki* (lecz nie jenerał,
Co ongi swoją cześć sponiewierał)
Z *Czerwonym księciem* w spółkę się wiąże
(Ale nie z firmą: »Offenheim-książę«)
Krzycząc: »Odszczekaj! pod ławę!«

[1]) St. Koźmian, *Pisma polityczne*, str. 48—89. List datowany z Krakowa 27 marca 1875. Nadto cały przebieg walki przeciwko Tarnowskiemu z powodu *Porcyi* opisał St. Koźmian w *Przeglądzie polskim*, w zeszycie styczniowym z r. 1875, poświęcając tej sprawie cały *Przegląd polityczny*. W innem miejscu pisze tenże Koźmian: »Mógł Tarnowski, pisząc *Porcye*, zbłądzić w szczegółach i przesadą, ale miał najzupełniejszą słuszność, kładąc palec na ranę, może następując na nagniotek«. *Pisma polityczne*, str. 240.

I choć spisali protokularny
Wyrok, iż *Porcye* to postrach marny,
Choć *Dzieduszyccy* dwaj, ojciec z synem,
Twym heretyckim gorszą się czynem,
Ten w *Szkole*, tamten w *Gazecie*;

Choć anonymów piorunowe listy
Mogły ci dowód dać oczywisty,
Że umią walczyć z zakrytą twarzą
Ci, których prawdą twe *Porcye* rażą,
Że więc coś w porcyach jest przecie...

Choć tylu przeciw! nie głoś: »*Peccavi!*«
Bo w walce odwrót sprawy nie zbawi;
Ale twe pióro, co gromy ciska,
Trzymaj, by razić z góry i zbliska
To, co choroby ma zaród.

Wyszukuj »*Porcye*« wśród nas, po drodze,
Dobrym ku cześci, złym ku przestrodze,
Rozświeć ciemności prawdy pochodnią.
A choć ci wezmą dziś to za zbrodnią
To jutro uczci cię Naród!

Wystąpiwszy z sejmu, Tarnowski dał folgę swej pracowitości w innym kierunku. Usuwając się z jednego pola — pisał w liście do swych wyborców — pragnę zapewnić Panów, że na innem robić będę to samo, co robiłem, a przynajmniej robić chciałem na tem, z którego schodzę«. Już w kwietniu ukazał się w *Przeglądzie polskim* — bezimiennie — artykuł Tarnowskiego o *Prześladowaniu Unii na Podlasiu*, artykuł, pełen grozy, przedstawiający w szeregu scen męczeńskich, w jaki to sposób Rosya »oderwanych przemocą« Unitów »łączyła miłością« z kościołem prawosławnym.

Z innych prac Tarnowskiego, ogłoszonych w ciągu roku 1875, na wyróżnienie zasługuje subtelne studyum literackie *O „Niepoprawnych" Juliusza Słowackiego*, uprzednio w formie odczytu wypowiedziane publicznie, studyum, o którem nawet tacy antagoniści Tarnowskiego, jak Chmielowski, nie zawahali się orzec, że równie świetnych rzeczy mało posiada nasza literatura krytyczna.

Dramat ten, jak zazwyczaj u Słowackiego, nie jest, zdaniem krytyka, bez wad; owszem ma ich wiele. »Szczęściem, piękności, jakie tam są, pomimo, że sztuka jest zepsuta, zostały, i kiedy się nad niemi płakać chce, że ich poeta lepiej nie użył, używa się na nich zawsze«. Figury wszystkie dobre i jednolite, a sytuacye i sceny niektóre śliczne. Lecz ponad wszystkiem »górują dwie postacie pierwszego rzędu, dwa typy istotnie nieśmiertelne, doskonałe, i jako po-

myśl, i jako wykonanie, wymyślone z niezmierną bystrością, utrzymane konsekwentnie z najściślejszą psychologiczną prawdą, a odmalowane z najsubtelniejszą, najmisterniejszą delikatnością pędzla: Fantazy i Idalia«. Te dwa typy pierwszorzędnej doskonałości zapewniają prawo do wielkiej sławy dziełu skądinąd bardzo wadliwemu, przez nieszczęśliwy, a u autora zbyt niestety częsty brak zastanowienia i rozwagi, zupełnie zepsutemu. »Na grobie skończonej, zamkniętej epoki, na grobie romantyczności byronizującej i chciwej wielkich dramatycznych efektów w życiu, stoją te dwie postaci, jak posągi, z których potomność pozna ducha i fizyognomię tej epoki. Nie brak tam niczego. Poetyczne porywy, coraz nowe zachcenia wyobraźni, skłonność i zdolność wmawiania w siebie i przesadzania uczuć i wrażeń, a obok tego i wierność temu poetycznemu ideałowi, naśladowanie go w życiu, staranie się o oczywistą piękność życia, wzniosłość uczuć, zdolność poświęceń, usposobienie istotnie artystyczne, wszystko aż do wykwintności arystokratycznych natur i przyzwyczajeń, wszystko w nich jest, i wszystko tak po mistrzowsku połączone, że śmieszność i zdrożność udawana jest widoczna, a nie zasłania piękności i szlachetności wrodzonej natur, a poetyczna i piękna strona tych dusz nie zamiera, nie zmniejsza śmieszności i zdrożności ich złego nałogu. Figury to na wielką skalę, figury, które reprezentują cały jeden psychologiczny genus ludzi XIX wieku, i nawet figury, w których mieści się i moralna nauka dobra do rozważenia: dla ludzi skłonnych do dramatyzowania własnego życia przestroga, dla innych, zbyt na tę nierzetelność niecierpliwych i zawziętych przypomnienie, że pod komedyą fałszywej poetyczności może się przecież kryć prawda rzeczywistej, a przez to i poetycznej piękności uczuć i woli« [1]).

Z nadejściem wakacyi, podobnie, jak w roku zeszłym, Tarnowski lato spędził na Ukrainie, a zawadziwszy o Kijów, postanowił puścić się dalej, za Dniepr, poznać serce Rosyi, Moskwę. »Chęć dzi-

---

1) W tym samym czasie, kiedy się drukowało pomienione studyum o *Niepoprawnych*, na t. zw. »stałej wystawie w pałacu biskupim« Matejko wystawił swój *Dzwon Zygmuntowski*, a Pryliński wystąpił ze swym planem restauracyi Sukiennic. Tarnowski obu poświęcił w *Przeglądzie polskim* obszerne sprawozdanie, a zachwycony nowym obrazem krakowskiego mistrza, który w tem dziele »zajaśniał swemi dawnemi zaletami może świetniej, niż kiedykolwiek«, z gorącem uznaniem wyraził się o projekcie Prylińskiego, przy tej sposobności wypowiadając pragnienie, by w jaknajkrótszym czasie rozpoczęły się roboty około odnowy Sukiennic. Projektu, żeby je zburzyć wogóle, a na ich miejsce zrobić nowomodny *square* z dużym trawnikiem i małym wodotryskiem pośrodku, nie pochwalał, owszem sprzeciwił mu się stanowczo.

waczna? Zapewne: żaden z nas nie pojedzie tam w nadziei wrażeń przyjemnych, a pocóż dobrowolnie szukać przykrych? Ale czy nie warto zadać sobie chociażby przykrość na to, by widzieć ten świat tak nas bliski, tak wpływający przeważnie na nasze losy, a tak daleki przecież, tak od naszego różny, jakżeby oddalony nie pewną liczbą mil tylko, nie większą od tej odległością moralną uczuć i zdarzeń, żalów i nadziei, ale jakżeby położony gdzieś na innym planecie. Słyszymy o Rosyi od dzieciństwa, myślimy o niej do śmierci, pewnie więcej, niż o każdym innym kraju pod słońcem, natężamy nieraz wyobraźnię, żeby odgadnąć, jak ona może wyglądać, tworzymy sobie fantastyczne wymysły, straszniejsze może, lecz poetyczniejsze od rzeczywistości, jakąś ponurą ziemię smutku i nudnej jednostajności, jakąś dziką i groźną poezyę natury, w której pustka i jednostajność, dochodząc do najwyższego możliwego stopnia, do ideału, nabierają przez to jakiejś odrębnej, swojej własnej, strasznej, ale niezaprzeczonej wielkości: czemuż więc przestawać na tych wymysłach i domysłach, w których każdy z nas przerabia tylko na swój sposób Mickiewicza *Drogę do Rosyi* albo *Pochód na Sybir* Grottgera? Czemu własnemi oczyma nie zobaczyć, jakiem to jest w istocie, czemu, jeśli się ma sposobność po temu, nie postarać się o obraz prawdziwy tego, o czem się myśli i myśleć będzie tak wiele?« Tą ciekawością party, ciekawością, którą w tym razie nazwać można patryotyczną, Tarnowski puścił się do Moskwy, a po sześciodniowym tam pobycie, zwiedziwszy wszystko, co w tem półazyatyckiem mieście jest godnego widzenia, a niezbudowany jego osobliwościami, wrócił do Kijowa, szczęśliwy, że tu mógł odetchnąć inną atmosferą. Z wrażeń, doznanych w starożytnej stolicy Rosyi, powstał nader interesujący artykuł p. t. *Z Moskwy*, napisany w formie dziennika dla Stanisława Koźmiana, o wydrukowany w listopadowym zeszycie *Przeglądu polskiego* z roku 1875.

Z końcem wakacyi, spędzonych na Ukrainie, gdy zaczął się nowy rok szkolny, państwo Tarnowscy znów się znaleźli z powrotem w swojem krakowskiem *home*, a gdy się zaczął sezon towarzyski, rozpoczęły się u nich »środy«, które w karnawale stawały się nawet tańcującemi. Wogóle salon hrabstwa Tarnowskich, na równi z innemi wielkoświatowemi domami arystokratycznemi, zaczął grać wybitną rolę w życiu towarzyskiem Krakowa. O tem życiu towarzyskiem, które właśnie w tym czasie biło nieco żwawszem tętnem, tak pisał w swych listach do *Gazety polskiej* St. Koźmian: »W poniedziałki, w obszernym domu naprzeciw teatru, okna oświecone *al giorno:* to wznowione zebrania u prezydenta miasta Zyblikiewicza. Jeżeli ten

burmistrz nie ożywi Krakowa i nie wyrwie go z gnuśności, to doprawdy trzeba będzie zwątpić o starym grodzie. Jednym ze środków są owe poniedziałki, które dotąd licznie bywają uczęszczane... Od prezydenta udaje się zwykle większa część gości na ulicę Sławkowską do księżny Marcelliny Czartoryskiej, która zaprasza na tańcujące poniedziałki do nowo, wspaniale odnowionego dawnego pałacu pani starościny Wolbromskiej, znanej także niegdyś z wielkiej gościnności. Pałac ten urządzony został przez księżnę z wykwintnym smakiem artystki, z pięknym przepychem wielkiej pani i z wygodą prawdziwej Paryżanki. Przyjęcie zaś w nim nie krakowsko-uprzejme. W tymże samym pałacu, co środa, zbiera się szczupłe grono znawców i miłośników muzyki i dla nich dostojna księżna-artystka nie skąpi czarów swego wyjątkowego, znakomitego a poważnego talentu. Są to prawdziwe biesiady, lecz przypuszczani są do nich tylko nieposzlakowanej wiary muzykalnej biesiadnicy. W te same środy odbywają się u hrabstwa Tarnowskich wieczory prawie tańcujące. W przyszłą zaś sobotę rozpoczną się wieczory najzupełniej tańcujące *Pod Baranami* u hrabiny Arturowej Potockiej. Pani ta, acz złamana wiekiem, nie usuwa się od niczego, co tylko może przyczynić się do dobra, szczęścia, lub nawet przyjemności bliźnich«.

Tak było w karnawale. W poście nastąpił wyjazd do Warszawy, z trzema odczytami o Fredrze, które, wygłoszone w wielkiej sali ratuszowej na rzecz Osad Rolnych, zdobyły Tarnowskiemu w stolicy Królestwa niesłychany rozgłos. Był to jego pierwszy debiut w Warszawie, gdzie dotąd mało był znany, debiut, który od pierwszej chwili zamienił się w tryumf na całej linii.

Wszystkie odczyty odbyły się w przepełnionej sali, w obliczu dwóch tysięcy przeszło słuchaczy. »Nigdy jeszcze podobno — pisała *Gazeta polska* nazajutrz po pierwszej prelekcyi — sala ratuszowa, w której odbywają się odczyty na dochód Osad Rolnych, nie mieściła tylu słuchaczy, ilu zebrało się ich wczoraj na wykład prof. Stanisława Tarnowskiego o Fredrze ojcu. Wszystkie bilety oddawna już były zamówione, a chociaż gościnność Zarządu Osad zdołała jakoś rozszerzyć ściany przybytku, stwarzając znaczną liczbę miejsc przedtem nieistniejących, »o kącik jednak było dość trudno«, i nie każdy, kto chciał, mógł go sobie zapewnić«.

Po pierwszym odczycie, który się odbył dnia 30 marca, sprawozdawca *Kuryera Warszawskiego*, lawirując pomiędzy stronnictwami, a nie chcąc zbyt gorąco chwalić głośnego pisarza z obozu konserwatywnego, ba, głośnego »stańczyka« — bo stańczykami krakowskimi straszono wówczas małe dzieci w Warszawie — chwalił go wprawdzie,

ale, jak to mówią, półgębkiem, każdą pochwałę miarkując jakiemś drobnem zastrzeżeniem, niezawsze smacznem:

Stanisław hr. Tarnowski posiada w wysokim stopniu dar mówienia *ex cathedra*. Odczyt jego wczorajszy, o Fredrze (ojcu), zapoznał nas z zręcznym, wytwornym, dowcipnym, chociaż może trochę zimnym mówcą. Odnaleźliśmy w nim znanego pisarza, z wszystkiemi dodatniemi stronami barwnego i żywego stylu, błyszczącego się, jak dyamant, rżnięty w drobne i iskrzące się ogniem różnokątne powierzchnie. Oratorskie jego słowo, równie jak pisane, nosi na sobie cechy trochę francuskie; nie jest ono jednak ani naśladowanem ani tłomaczonem; znać tylko w językowych zwrotach, tak, jak i w akcencie dykcyi, że autor i prelegent myśli i mówi często nadsekwańskiem narzeczem. Pomimo tego sposób ten wyrażenia się nosi na sobie cechy oryginalności bardzo indywidualnej, nawet czasem jaskrawej. Głos dźwięczny, o nizkich tonacyach, pełen wyrobienia, chociaż nie wzrusza, posiada brzmienia przekonywające i sam przez się jest zajmującym dla ucha. Wielka swoboda przy wielkiem umiarkowaniu w ruchach pozbawionych wszelkiej giestykulacyi; powierzchowność ujmująca, błyskawice inteligencyi wyższej, niezwyczajnej w oczach, dopełniają mile opisanej powyżej zewnętrznej materyalnej charakterystyki... Stanisław hr. Tarnowski zna wykładany przez siebie przedmiot do głębi i jest panem samowładnym. Myśl nie buja, ale wyżłobioną koleją sunie to żwawiej, to wolniej, tylko w granicach założenia.

Streściwszy następnie zawartość pierwszej części prelekcyi, sprawozdawca musiał przyznać, że prelegent, gdy przeprowadził porównanie między Fredrą a Molierem i Beaumarchaisem, ujawił »głębokie studya nad trzema komedyopisarzami, zapoznanie się z nimi zupełne i zrozumienie ich, jakiem nie wielu krytyków poszczycić by się mogło«. Rozbiór szczegółowy trzech komedyi Fredry, »pełen werwy a zarazem wnikający w myśl, treść i formę, dyssekujący z wielką bezparcyalnością i odsłaniający niedopatrzone dotąd przymioty i wady, obudził ciekawość do wysokiego stopnia«. Ostatecznie przegląd dzieł Fredry »tak świetnie, żywo i głęboko rozbieranych«, wywołał zapał wśród publiczności, i sprawozdawca musiał przyznać, że grzmiące oklaski, powtarzające się dwukrotnie, a któremi zgromadzona publiczność pożegnała schodzącego z katedry prelegenta, »były ze wszech miar zasłużone«.

Punktem kulminacyjnym prelekcyi Tarnowskiego o Fredrze był wykład drugi, wygłoszony w niedzielę d. 2 kwietnia. To też i ostrożny sprawozdawca *Kurjera Warszawskiego*, ukrywający się za literą *Q*, mniej się osłaniał zastrzeżeniami, otwarciej zdając sprawę z doznanych wrażeń.

Rozgłos wywołany pierwszym odczytem Stanisława hr. Tarnowskiego przepełnił powtórnie wielką salę ratuszową, jak to mówią, po brzegi. Sala warta była milionów, bo na miliardy nie stać nas jeszcze. Nie dlatego, że obok nazwisk rodowej arystokracyi, widzieliśmy nazwiska uświetnione przez naukę, talent

i zasługę, nie dlatego także, że całe rzędy krzeseł zapełnione były przez przedstawicieli naszego rolnictwa, finansów i przemysłu... ale... ponieważ wszyscy zgromadzeni słuchali z tem zajęciem i zrozumieniem, jakie tak pięknie cechuje mieszkanki i mieszkańców syreniego grodu, ile razy pozbywszy się swej północno-francuskiej lekkości i lekkomyślności, pragną na seryo nad czemś zastanowić się i odnieść korzyść moralną z uwagi.

...Wszystkie zalety krasomówcze i krytyczne, które scharakteryzowaliśmy w pierwszem naszem wstępnem sprawozdaniu, w niedzielnej prelekcyi zarysowały się energiczniej, wydatniej i silniej, utrwalając w nas przekonanie, że autor jej posiada wszystkie czarowne środki nowożytnego oratorstwa, umiejącego chwytać za serca i przekonywać umysły. Tym razem nawet chłód dykcyi stopił się w gorącym potoku myśli i wyrazów, a skąpany w sympatycznem odczuciu słuchaczów, jak w wezbranej lawie wulkanu, płynął po niwie, która o tyle tylko była retoryczną, o ile przedmiot wymagał literackiej ścisłości i głębokości krytycznej.

Zaznaczywszy »krytyczną świetność poglądu hr. Tarnowskiego« na cztery komedye Fredry, podkreśliwszy »niewymowny dowcip i wdzięk«, z jakim prelegent umiał odtworzyć i uwydatnić w *Damach i Huzarach* całe bogactwo komiczności w sytuacyach tej komedyi i całą flamandzką szczegółowość malowidła jej charakterów, i podniósłszy »pyszne ujęcie się za Dyndalską, wybornie i trafnie określonej mianem porządnej kobiety«, sprawozdawca przeszedł w końcu do rozbioru *Pana Jowialskiego*, rozbioru, który bez zaprzeczenia był »koroną wieńczącą tryumfalnie cały odczyt«.

Tu prelegent dał nam świetny obraz swej przenikliwości, swego zbratania się z przedmiotem, znajomości doskonałej i twórczości krytycznej, która tak rzadko bywa udziałem krytyków naszych z profesyi. Wytworne słowo, którem tak zręcznie włada, z równin dowcipu, żartu, dysekcyi literackiej, podnosząc się na wyżyny myśli, przenikującej istotę utworu, zmężniało, uszlachetniło się, shartowało. Wdzięk gawędowy ustąpił miejsca obywatelskiej dyskusyi z sumieniem głównej postaci sztuki. Tarnowski sięgnął do głębi jej duszy i w misternie obrobionym dziejowym wywodzie naznaczył i odkrył jej dzień urodzin i chronologiczną datę jej bytu w historyi społeczeństwa. Wesołość jej i zabawną dobroduszność napiętnował wyrazem bezmyślności ; zasklepienie się w egoizmie, zadomowienie wygodne, zapomnienie o świecie i o tem, co na nim się dzieje, ochrzcił mianem surowem, ale sprawiedliwem. Artystyczne rozumowania swoje i badania rozesłał jak ilustracye na tle namalowanem po mistrzowsku. Jeden wniosek wypływał z drugiego, a światło, jakie rzucił na *Pana Jowialskiego*, było tak olśniewającem, że zgromadzeni słuchacze jednomyślnym oklaskiem przerwali mu na chwilę tę prześliczną krytykę. Jesteśmy pewni, że gdyby sędziwy Fredro, wielki komedyopisarz znajdował się wpośród nas, jego dłonie wyciągnęły by się naprzód do uścisku, on sam dumnym by się uczuł, że znalazł takiego komentatora, co umie go w ten sposób tłomaczyć i tak subtelnie go pojmuje. Straszną chociaż krótką genealogię rodu Jowialskich, z herbarza komedyi, wyczytał prelegent. Bezmyślny Jowialski ma syna, szambelana-idyotę, kretyna. Ten zaś nie ma już potomstwa. Nad faktem tym rozmyślać i zastanawiać się powinni ludzie, rodziny i całe społeczeństwa.

...Przeciągłe i długotrwające oklaski, któremi zgromadzeni słuchacze obsypali schodzącego z katedry prelegenta, nie miały tym razem znaczenia zdawkowej monety grzeczności; był to raczej hołd wdzięczności i uszanowania oddany zasłudze, nauce i talentowi.

I trzeci odczyt o *Ślubach panieńskich* i *Zemście*, równał się jak dwa poprzednie, »snopowi ogni sztucznych, blasków i promieni zręcznego i barwnego słowa«, a odbył się 4 kwietnia »wśród przepełnionej sali, raz po raz przerywany grzmiącemi oklaskami«. Jakoż sprawozdawca *Kurjera Warszawskiego* »przyznał z przyjemnością, że rozbiorowa jego strona była świetną, że forma, styl, słowem wszystkie dodatnie strony talentu Tarnowskiego, złożyły się na owe światło błyskawiczne, które jaskrawo i promiennie odrysowało się na ciemnem tle naszej codziennej, powszedniej działalności literackiej, w jej pospolitem, trudnem i mozolnem znaczeniu... I my wraz z publicznością żegnamy odjeżdżającego dziś, wyrazami »do widzenia« i ...szczerym oklaskiem«.

Inne sprawozdania, nie wyjmując nawet pism »postępowych«, wypadły niemniej pochlebnie dla prelegenta, a sprawozdawca *Gazety polskiej*, reasumując wrażenie z wszystkich trzech prelekcyi, temi słowy scharakteryzował krytyczną rozprawę Tarnowskiego:

Mając teraz jej całość, widzimy, że przedstawia ona działalność naszego komedyopisarza w zarysach tak dosadnych, a niekiedy tak malowniczych nawet, że prawie zapomina się o jednym z najważniejszych jej przymiotów: o subtelnej analizie, przewodniczącej ciągle wykładowi. Słuchacze zamieniają się niejako w widzów, rozpościera się przed nimi obraz ciekawy, oglądają oni, bez żadnego ze swej strony wysiłku, rozmaite jego części składowe, zdaje się im, że nikt ich nie prowadzi, nikt nie toruje drogi, że to, na co patrzą, samo rzuca się w oczy, że inaczej to wszystko rozumieć i sądzić byłoby niepodobieństwem. Ale czyż istotnie powtórzono im rzeczy znane? Doprawdy, trudno to już teraz rozstrzygnąć: należało dowiedzieć się o tem wcześniej, nim wygłoszone zostały uwagi prof. Tarnowskiego, które może poprzednio słuchacze sami zrobili, a może też i nie zrobili, tylko... ot, tak jakoś, były one blisko ich myśli, lubo dotychczas nie weszły i nie wiadomo, czy weszłyby do niej kiedykolwiek bez cudzej pomocy. Wątpliwość ta, jeśli ją bliżej rozważymy, przemawia znakomicie na korzyść odczytów, bo dowodzi, że mówca umiał uczynić swój przedmiot prostym i trafić do przekonania publiczności. Praca myśli, poprzedzająca wnioski krytyki, znikła z widowni, jak usunięte zostają przyrządy, których użyto do wytwarzania pięknego dzieła; cieszymy się widokiem budowy, oswobodzonej ze wszelkich rusztowań, jednolitej i estetycznej; stąpamy po wygodnych schodach, windujemy się w mgnieniu oka na jej szczyty; jakim zaś sposobem ją wzniesiono, i czy wiele kosztowała mozołów, należy to już do budowniczego.

Wogóle zdawało się, że nie było człowieka w Warszawie, którego by te prelekcye nie rozgrzały, nie podnieciły. Jakoż sława ich, o ile gruchnęła odrazu, o tyle nie przebrzmiała prędko; przeciwnie,

zamieniła się w tradycyę, która przetrwała aż po dziś dzień. Ale bo też dla Warszawy była to zupełna nowość. Wszyscy prelegenci, jacy kiedykolwiek w Warszawie, stawali na katedrze, bardzo tracili na porównaniu z Tarnowskim. »Było prelegentów wielu«, ale żaden z nich, pod względem uroku wymowy, nie mógł mierzyć się z Tarnowskim, czy to był Spasowicz, czy Pawiński, czy Brandes. Nawet Chmielowski, choć tak uprzedzony do Tarnowskiego, nie zawahał się napisać o tych prelekcyach: »Urok imienia, a przedewszystkiem świetna wymowa, o jakiej w Warszawie wyobrażenia nie miano, podziałały na ogół tak elektryzująco, że sala znajdowała się w formalnem oblężeniu, że chcąc posłyszeć głos złotoustego mówcy, przebojem się niekiedy do niej wdzierano«.[2]) Wrażenie zaś, jakiego tam doznano, było »potężne, wstrząsające«. Szczególniej druga prelekcya wstrząsnęła umysłami wszystkich. »Rozbiór zwłaszcza *Pana Jowialskiego* — jak się wyraził *Tygodnik ilustrowany* — był arcydziełem wytwornego słowa i głębokiej oryginalnej krytyki, przeplatanej trafnemi uwagami czysto społecznej już natury, w których uwydatniało się zacne i gorące poczucie obywatelskie«.

Prócz tego uświadomiono sobie, co dotąd nie dla wszystkich było jasnem, że »krakowski profesor«, nietylko jako mówca z katedry, ale i jako krytyk literacki, zajmuje pierwszorzędne stanowisko, znacznie wybiegające po nad poziom »krytyków i recenzentów warszawskich«, z których żaden — co nawet bez ogródki wypowiedziano w paru pismach — nigdy by się nie zdobył na podobne rozbiory krytyczne, jak te trzy prelekcye Tarnowskiego o Fredrze. Przy tej sposobności starano się scharakteryzować i inne prace znakomitego krytyka. Oto n. p. co o nich pisał w *Tygodniku illustrowanym* St. M. Rzętkowski:

Prace te wszystkie, wytworne co do formy, głębokie co do poglądów, stawiają Tarnowskiego w szeregu pierwszorzędnych krytyków naszych. Autor nie obwija w nich prawdy w bawełnę, nie słodzi gorzkich opinii cukrowemi słówkami, chociaż wszędzie jest umiarkowany, względny, wykwintny w wypowiadaniu zdań, nawet przykrych. Nie trzeba jednakże sądzić, aby Tarnowski, gdy czuje zadraźnienie najświętszych swoich zasad i uczuć, nie umiał rzucić gromu tam, gdzie to uważa za stosowne. W takim razie i elegancya, i wykwintność wyrażenia, ustępują słowom gorzkim, dobitnym... Niejedno takie słówko

---

[1]) Nawet pozytywiści, z *Przeglądem tygodniowym* na czele, bardzo pochlebnie osądzili odczyty Tarnowskiego, przyznając im, że »były w swoim rodzaju produkcyą niepospolitą, a na naszej katedrze publicznej zjawiskiem nowem i zajmującem«.

[2]) *Zarys najnowszej literatury polskiej* (1864—1897) wyd. czwarte, str. 136.



STANISŁAW TARNOWSKI
w r. 1875.

podniosło przeciw niemu wrzawę oburzenia; dla nas jest to tylko objawem silnych przekonań, z któremi Tarnowski ukrywać się nie lubi i nie chce.[1])

Odczyty Tarnowskiego o komedyach Fredry ukazały się w *Bibliotece Warszawskiej*[2]), w zeszytach za maj i czerwiec, czyli, że je sędziwy twórca *Ślubów panieńskich* jeszcze mógł przeczytać. Gdyby ich druk odłożono choćby o miesiąc później, jużby to było niemożliwe, albowiem w lipcu 1876 roku stary poeta już nie żył. Odbył się uroczysty pogrzeb. Tarnowski w nim uczestniczył, a z uczuć, których doznał w czasie tej żałobnej uroczystości, wyspowiadał się w feljetonie *Czasu* z dnia 23 lipca. »Zmarły — pisał tam między innemi — żył w odosobnieniu, ludzi mało, a w ostatnich czasach wcale do siebie nie przypuszczał, do publicznego, a nawet do towarzyskiego życia należeć nie chciał; zdawałoby się więc, że z jego śmiercią nic nie

[1]) Pomiędzy słuchaczami tych warszawskich prelekcyi Tarnowskiego, którzy go oklaskiwali z takim zapałem, nie brakło też z pewnością i jego serdecznego przyjaciela z czasów uniwersyteckich, krakowskich i wiedeńskich, Józefa Kasznicy, który w tej chwili, w swoich latach męzkich, na stanowisku profesora uniwersytetu warszawskiego, zmuszony wykładać po rosyjsku, nie różowych był myśli... Tarnowski oczywiście, zarówno teraz, jak i za innych pobytów swoich w Warszawie, widywał się z nim raz po raz, a nawet któregoś dnia był na wykładzie Kasznicy. Ale jakże na ogół smutnemi były te rozmowy dwóch dawnych kolegów szkolnych, jakże ich bolał ten kontrast, że gdy jeden, mógł przed młodzieżą »nieść oświaty kaganiec« wykładami w ojczystym języku, drugi zaś, choć również wykładał dla polskiej młodzieży, musiał się posługiwać znienawidzoną mową ciemięzców! Że to było męką dla Kasznicy, że te wszystkie nieznośne udręczenia, które są nieodzownym udziałem każdego polskiego patryoty na stanowisku profesora uniwersytetu warszawskiego, i że Kasznica, w rozmowach z Tarnowskim, boleśnie się skarżył na swą dolę, tego się pozwala domyślać wspomnienie o nim, skreślone przez Tarnowskiego, a odnoszące się do tych czasów właśnie: »Widywaliśmy go i my (choć rzadko i nigdy na długo) z tym kielichem goryczy w ręku; widzieliśmy, jak go pił odważnie i cierpliwie, choć mu zęby trętwiały, a szpik kości ścinał się z bólu. Widzieliśmy naprzykład, jak on, uczeń i doktór europejskich, świetnych, sławnych uniwersytetów, musiał jechać do Petersburga, żeby tam brać potwierdzenie swego dyplomu, bo wiedeński nie był dość dobry w tem państwie wyższej oświaty i nauki! ah! widzieliśmy także i słyszeli, jak przez całą godzinę wykładał uczniom po rosyjsku, a czy jego, czy ich widok na tej lekcyi był straszniejszy, któż to rozpozna? Takich godzin, takich lat, wiele było w jego życiu? Ale trzymał swój kielich w zaciśniętem ręku i pił go, bo dla drugich, dla młodych, w tę gorycz i w ten jad mógł sączyć jaką kroplę osłody, prawdy, antidotu przeciw truciźnie. Pił go też do dna, aż się nim otruł...« Zob. *Przegląd polski*, 1887, listopad, 423—4.

[2]) Dwa wielkie czasopisma ilustrowane warszawskie, *Kłosy* i *Tygodnik illustrowany* uczciły tę gościnę Tarnowskiego w Warszawie specyalnemi artykułami o nim, z oceną jego działalności literackiej i politycznej. Oba pisma zamieściły też przy artykule portret Tarnowskiego, ryty (według współczesnej fotografii) na drzewie.

powinno się było zmienić we Lwowie. Przecież, może to tylko skutek osobistego wrażenia, a raczej instynktowego uczucia, ten sam Lwów wydaje mi się innym dziś, kiedy w nim niema Fredry... Nie mogło się zmienić i nie zmieniło się nic we Lwowie, a jednak on nie ten co był wczoraj. Ubyła mu jego ozdoba największa, i taka, jakiej w tej chwili nie miało żadne inne polskie miasto...« Bo ani Warszawa, ani Kraków, ani Poznań, nie mogły się poszczycić posiadaniem takiego drugiego człowieka, jak Fredro, któryby jednoczył w sobie chwałę rycerską z chwałą pisarską, a łączył czasy Napoleońskie z naszemi, jedne i drugie przez żywą w sobie tradycyę z dawniejszemi jeszcze, takiego, który by był takiem wcieleniem, takiem doskonałem przypomnieniem naszej historyi od początku stulecia. »Wyobrażał on ją i przypominał przez czynność swojego młodego wieku, wyobrażał i przypominał późniejszą, każdemu, kto myśleć i jego zrozumieć umiał, przez smutek swojej starości, ten smutek głęboki i ciężki, który odzywał się rzadko, ale zawsze tak, że młodszym zdawało się, jak żeby duch Polski samej zapytywał ich, co z nią robią?... I więcej nawet: nie porozbiorowa tylko, nie napoleońskich lub późniejszych czasów, ale dawna, niepodległa jeszcze Polska żyła w tym człowieku, który, bliższy jej, znał i rozumiał ją lepiej od nas. W jego sztukach żyją jej postacie, jakich by dziś już nikt nakreślić, i nikt tak jasno, tak zupełnie wyobrazić sobie nie potrafił; w jego wyobrażeniach odzywały się czasem echa, jak żeby z tamtego świata, jak żeby mówił nie dzisiejszy Aleksander, ale dawny Maksymilian Fredro z epoki Jana Kazimierza i Sobieskiego. On sam, ze swojem ognistem okiem, z tym wyrazem twarzy orlim i rycerskim, wyglądał pośród nas pigmejczyków, jak jaki wskrzeszony senator lub z grobowca zdjęty kamienny rycerz dawnej Rzeczypospolitej«.

W lipcu r. 1876 upływało lat dziesięć od chwili, gdy ukazał się pierwszy zeszyt *Przeglądu polskiego*. Dało to asumpt Tarnowskiemu do napisania artykułu, który, wydrukowany w zeszycie lipcowym, był rodzajem obrachunku *Po dziesięciu latach* z czynności tego pisma i ludzi, grupujących się przy niem. Niestety, ogólny wynik, jaki dał ten obrachunek, wypadł bardzo smutnie, a Tarnowski sformułował go krótko, jako jeden z redaktorów *Przeglądu* imieniem całego redakcyjnego grona, imieniem ludzi, wyznających zasady pisma: »Jesteśmy pobici«. Wszystko, co sobie pismo postawiło w programie, wszystko zawiodło. »Z myśli i zasad, których broniliśmy przez te lat dziesięć, żadna nie weszła w życie, z nadziei, które żywiliśmy, żadna się nie spełniła, z walk, jak nam prowadzić się zdarzyło, ża-

dna nie skończyła się zwycięstwem!« W tych słowach zamykała się treść artykułu, w tych słowach streszczała się dziesięcioletnia historya *Przeglądu*. Wobec tego czy nie było by najlepiej, najpraktyczniej, zamknąć pismo? Bo na cóż je wydawać, kiedy następne dziesięciolecie, podobnie, jak i pierwsze, wcale nie rokowało zwycięstwa; owszem, należało być przygotowanym na dalsze porażki. A czyż warto walczyć, kiedy się wie, że ostatecznie będzie się pobitym? Zwłaszcza, że *Przegląd*, jako pismo, zawsze prosperował fatalnie: nie miał poparcia ze strony ogółu, który go nie prenumerował, ani mógł liczyć na poparcie prasy, która go szkalowała regularnie. A więc zawiesić wydawnictwo? Nie! A dlaczego? Na to pytanie Tarnowski tak odpowiedział w zakończeniu artykuła:

»Jakkolwiekbądź, bez wpływu, bez czytelników, bez pieniędzy, oszkalowany, oczerniony, oplwany, tak, że nie zostało na nim jednej suchej nitki, jednego zdrowego, niezranionego, nieobitego miejsca, cóż on ma robić? zwiesić głowę chyba, opuścić ręce i przestać wychodzić? O mało też, że nie przestał. Ale nie: wychodzimy i nadal wychodzić chcemy! wychodzimy, bo pamiętamy, że główna myśl polityczna, którą wyznajemy, związek polityki polskiej z austryacką, żyje jeszcze, a my mogliśmy się przecież do utrzymania tej myśli przyczynić; wychodzimy, bo mówimy sobie, że jeżeli kraj nie zaszedł dalej na drodze agitacyi, demonstracyi i bezwzględnej opozycyi, a nie przeszedł na blisko leżącą drogę konspiracyi, to może przecież poczęści i naszą także to jest zasługą. Myślimy więc, może mylnie, żeśmy czasem przecie służyli i byli pożyteczni; a przypuszczamy, że w przyszłości jeszcze zdarzyć się mogą chwile, w których usługi oddawać i pożytek przynosić będziemy mogli. Skłania nas prócz tego do wytrwania w przedsięwzięciu wzgląd jeszcze jeden: oto ten, że nad wszystkie niebezpieczne wpływy, nad wszystkie gorszące przykłady, boimy się jednego: zniechęcenia. Ten nietylko na drugich źle działać, ale i nas samych mógłby zepsuć: bo kto się w jednem zniechęcić dał, ten pomału może zniechęcić się do wszystkiego; kto raz stracił odwagę i energię i ręce opuścił, ten może przywyknąwszy opuszczać je zawsze i z nich puszczać wszystko: a kto raz dobrowolnie jedną broń złożył, ten może później wszystką rzucić o ziemię. A więc nie: z obawy niebezpiecznego złego wpływu na siebie samych i na drugich, nie ustajemy i wydajemy *Przegląd* dalej. Nadewszystko zaś z jednego powodu. Doraźnego, zupełnego, wielkiego skutku, nie spodziewaliśmy się po nim nigdy, nawet w samych początkach; tem mniej dziś, po tylu latach i tylu doświadczeniach. Dziś wiemy, że co się robi dziś, to nie na dziś, ani na jutro nawet, które jest w ręku Prus, Rosyi i prawdopodobnie rewolucyi; ale na to pojutrze dopiero, które jest w ręku Boga; a temu pojutrze może przecież choć trochę przydać się zdołamy. Na dziś, słudzy i cząstka najmniejsza sprawy przegranej, nie mamy dla siebie innego pragnienia, innej ambicyi, jak z tą sprawą razem być tą przegraną, której cel daleki, i z nią razem, i w niej, wygrać, choćby po wiekach, ale i na wieki! Nie mamy innego hasła, tylko: *fais ce que dois, advienne qua pourra*.

Dlatego nieczytani, niesłuchani, pozbawieni niby racyi bytu, wychodzimy jeszcze! dlatego pobici zawsze i wszędzie, na całej linii i na wszystkich jej punktach, dajemy się bić dalej!

Oczywiście, że artykuł tej miary, tej doniosłości politycznej,

nie mówiąc już o pierwszorzędnej wartości literackiej, nie przeszedł niepostrzeżenie, a byli i tacy, których ujął swą szczerością, swym »cichym smutkiem«, tem swojem żałosnem przyznaniem się do przegranej na wszystkich punktach, a zwłaszcza tą gotowością walczenia w dalszym ciągu, bez względu na doraźny skutek tej mozolnej walki. Jednym z takich ludzi, którzy oceniając zasługi *Przeglądu polskiego* i jego redaktorów, chętnie ich zasilali swem poparciem, a którym obecnie artykuł Tarnowskiego niemało dał do myślenia, był Paweł Popiel; to też, gdy mu w liście otwartym do Stanisława Koźmiana[1]) wypadło wyrazić zdanie swoje o przyszłych wyborach do sejmu, nie omieszkał przy tej sposobności wypowiedzieć opinii swej w kwestyi, poruszonej w artykule Tarnowskiego.

Niezrównany ten artykuł — pomijam czy w pierwszej części zupełnie polityczny, albo nie, pełen, nie mówiąc już o talencie pisarskim, trafności, podniosłości, i jak zawsze, dobrej wiary i odwagi, szczególne na mnie zrobił wrażenie. Tarnowski przyznaje, że byliście pobici wszędzie i zawsze. Kto był pobity? Wy, może i zasady, w imieniu których mówiliście, bynajmniej. *Przegląd* stanął jako organ kilku ludzi dobrej woli, którzy poświęceniem i odwagą chcieli popełnione w najlepszej wierze odpłacić błędy: *Przegląd* bronił zdrowych zasad, choć sam zwolna do nich przychodził, ale bronił, jako organ jakiegoś koła, czy kółka, zacnego, ale wyłącznego, które rozumiało, że dlatego, że miało talenta, środki i dobrą wolę, potrafi opinię krajową poprowadzić, owładnąć i uzdrowić. To się nie powiodło, i w tem byliście pobici; jak będzie zawsze z każdym, co z indywidualnym wystąpi programem, co na indywidualną, choćby największą rachuje siłę, co powiada ja, albo my. Może chcieliście iść sami, nie znając, mimo genialnej trafności, niektórych warunków działania na opinię i społeczeństwo. Warunki te tylko są dwojakiego rodzaju: można posługiwać się namiętnościami, albo zasadą. Każda społeczność, choćby niewiem jak upadła, ma ludzi zasad; tych zszeregować, na tych się oprzeć, a tak pozyskać szerszą podstawę, tego *Przegląd* dla swej wyłączności nie potrafił, bo trochę, jak Sowietnik na balu u senatora, chciał sobie tańczyć sam, i dlatego zachwiał się; ale jeżeli prawda, że był pobity, to zasady, do których przychodził, które wyznawał, pobite nie zostały i tryumfują, bo wszystko, co na nich nie oparte, obraca się w nieszczęście albo śmieszność, bo co tylko zasady te wyznaje, w chwili niebezpieczeństwa stanęło obok *Przeglądu*, nie pytając, czy taką koleżeńską wysługę wywołał swojem postępowaniem, albo nie. Oto skutki zasad, które przeszły w krew i kości. Takie doświadczenie, jak już posłużyło, tak posłuży *Przeglądowi*, i słusznie robi, że dalej wychodzić będzie, bo wielką byłoby szkodą, gdyby w tak pięknem ustał przedsięwzięciu.

Na list ten Pawła Popiela odpowiedział imieniem swego kolegi redakcyjnego Józef Szujski, który, nawiasem mówiąc, w swych zapatrywaniach na kwestyę porażki *Przeglądu polskiego* w dziesięcio-

---

[1]) List ten Pawła Popiela *O Wyborach* ukazał się we wrześniowym zeszycie P*rzeglądu polskiego* z r. 1876.

letniej walce politycznej, zasadniczo się różnił z Tarnowskim. Zdaniem Szujskiego

Przegląd polski, chociaż marzący zawsze o potężnym batogu, którymby woźnica jakiś piastowski niesforne nasze stadko do lepszych zagonił przeznaczeń, był o tyle w wewnętrznym swoim ustroju prawym synem Rzeczypospolitej, że przyjaciele jego i redaktorzy, związani raczej wspólnością pewnych antypatyi, a pewnych rzeczy gorącą i szczerą miłością, niż jednolitym systemem środków politycznych, szli współcześnie razem i osobno, wyrozumiali dla siebie na tę odmienność pomysłów, chwilowych zapatrywań, wrażeń, którym jeden i drugi mógł ulegać, złączeń tylko wiarą wzajemną, że każdy chce jaknajlepiej dla publicznej sprawy, że stanie za zdaniem swojem i kolegów, że mu nie o chwilowy poklask, ale o rzecz samą chodzić będzie. Tak i dzisiaj, nie waham się wcale zgodzić z zdaniem wyrażonem przez Ciebie, Szanowny Panie, że zasady, których broniliśmy w *Przeglądzie*, pobitemi nie zostały, a dodać nawet więcej, że i *Przegląd* pobitym nie został, chociaż twierdzenie to pozostaje w niezgodzie z tem, co mój zacny kolega, p. Stanisław Tarnowski, twierdził w ostatnim politycznym artykule swoim«.

List powyższy Szujskiego ukazał się jako *Jeszcze słowo przed wyborami*, albowiem znajdowano się właśnie w przededniu wyborów do sejmu, wyborów, podczas których i Tarnowski — puszczając w niepamięć aferę *Poezyi* — ubiegał się o mandat w okręgu Tarnobrzeskim, z grona przedstawicieli mniejszej własności. Jakoż, na 178 głosujących, został wybrany 110 głosami.[1])

Wybory te dały wynik nadspodziewanie pomyślny. Oto, co pod ich świeżem wrażeniem pisał Tarnowski[2]) w listopadowym zeszycie *Przeglądu polskiego:* »Rezultat wyborów jest tak dobry, tak świetny, że przechodzący wszelkie najśmielsze nadzieje, że nad radością samą góruje zdziwienie, a po obojgu następuje strach przed wielką, uroczystą, stanowczą ważnością tego sejmu, roli, jaką Bóg daje w ręce, i jej skutków. We wszystkich bez wyjątku okręgach wyborczych całej jednej połowy kraju włościanie wybierają do sejmu szlachtę! W drugiej połowie, ruskiej, co o wiele jeszcze dziwniejsze i szczęśliwsze, wybrali włościan zaledwie paru, a zresztą wszędzie prawie Lachów i szlachtę! Swiętojurcy, przednia straż schizmatyckiej i rosyjskiej propagandy, *der Geist, der stets verneint*, wszystko co polskie i dla kraju dobre, pobici tak, że ich ledwo kilku wejdzie do sejmu! Czyżby się Bóg zaczynał nad nami litować, czy przepaść otwarta między nami wiekami adskrypcyi, jurysdykcyi i pańszczyzny, a zalana krwią w roku 1846, zaczynałaby zarastać i równać się, czy doprawdy bylibyśmy przecie zrobili jaki postęp i byli na drodze do

[1]) Zob. *Czas* z d. 26 października 1876.

[2]) Artykuł ten ukazał się jako przegląd polityczny z podpisem *Od Redakcyi*. Że go pisał Tarnowski, łatwo poznać po stylu.

zbliżenia, do pojednania, do harmonii społecznej i harmonii uczuć? Nie śmie się wierzyć, a jednak fakt jest dotykalny, niezaprzeczony, a w tym fakcie symptom znaczący: zwycięstwa niema, ale nieprzyjaciel się zachwiał, niema końca, ale jest początek. Zrobili go chłopi, może nie wszędzie, choć po większej części z świadomością rzeczy, ale zrobili w całym kraju. Reszta należy do nas i od nas zależy, od tego przyszłego sejmu, żeby to był naprawdę trwały i silny początek ufności i zgody między chłopem a szlachcicem w Galicyi«.[1]) A na to potrzeba, żeby poseł-szlachcic, poseł-pan, przydał się chłopu w sejmie bardziej od posła-chłopa, słowem, żeby szlachta-posłowie chłopscy bronili dobra chłopów lepiej i skuteczniej od chłopów samych. Dlatego też, nawoływał Tarnowski, »starajmy się wszyscy, starajmy się wszelkiemi siłami, żeby po latach sześciu lud nas znowu do sejmu posłał, i nie już na próbę, jak teraz, ale na dowód, że nas ma za swoich posłów prawych i prawdziwych: reprezentujmy go rzetelnie i rzeczywiście, żeby nam w przyszłości reprezentować się dawał; zdobądźmy miejsce w jego ufności i poszanowaniu (oby kiedyś w jego przywiązaniu!), żebyśmy jego miejsca w sejmach zatrzymać mogli aż do czasu, w którym on wszystkie nasze uczucia i pragnienia podzieli, a wtedy będziemy mogli z miejsc tych ustąpić mu się z sercem wzruszonem i podniesionem, szczęśliwi, że możemy »odejść w pokoju, bo oczy nasze oglądały zbawienie.« Taki był program Tarnowskiego i *Przeglądu polskiego*, takiem było jego marzenie. Czy rzeczywistość dorówna marzeniu? Niestety, już w chwili pisania tego artykułu, nie mógł się opędzić smutnej refleksyi, że szlachta nie stanie na wysokości zadania, że sejm ten, pewny ogromnej większości polskiej, pofolguje różnym opiniom i odcieniom opinii, że interes polski, o którym wszyscy mówić będą, zmarnuje się na gadaniu. »Czyżby tak źle być miało? Nie: nie wierzymy i nie spodziewamy się. Ale znając naszą naturę, znając wady i nałogi naszego charakteru, znając historyę naszych przedrozbiorowych i porozbiorowych sejmów, zaprzeczyć nie możemy, że smutne doświadczenia przeszłości usprawiedliwiają te czarne wróżby na przyszłość.«

W najściślejszym związku z tym sejmem, który niebawem miał rozpocząć swoje obrady, stał programowy artykuł polityczny Tarnowskiego, wydrukowany w grudniowym zeszycie *Przeglądu polskiego* p. t. *Do „Reformy stosunków wiejskich“*, a mający za przed-

[1]) Niemniej pomyślnie, zdaniem Tarnowskiego, wypadły i wybory miejskie, »a nie najmniej z tego powodu, że w sejmie będzie kilku posłów Izraelitów, wybranych nie dlatego, jakoby byli reprezentantami odrębnej całości, ale dlatego, że są zdolnymi szanownymi ludźmi, dobrymi Polakami i obywatelami«.

miot główny reorganizacyę administracyjną kraju. Artykuł mówił potrosze o wszystkiem: o administracyi i o stanie ekonomicznym kraju, o rządzie i o samorządzie, o szkołach i o wywłaszczaniu, o stosunku naszym do żydów i o stanowisku duchowieństwa, o wszystkiem, co autorowi wydawało się potrzebnem i pomocnem do naprawy stosunków wiejskich w Galicyi, o wszystkiem, co, jego zdaniem, nie będąc dobrem, wymagało rady i zmiany. A za takie złe uważał nietylko zakres autonomicznego zarządu i jego organizacyą, czy to w gminie, czy w powiecie, czy wreszcie w statucie Wydziału Krajowego, ale i całą ustawę gminną; złym i przestraszającym zdawał mu się proces przechodzenia gruntów włościańskich w obce ręce, który, jeżeli potrwa, skończyć się może chemicznem przetworzeniem kraju i jego ludności; za złe uważał te ustawy, które nie zupełnie sprawiedliwie jedną czy drugą stronę zbyt obciążające, utrzymują podejrzliwość i niechęć wzajemną; a już za najgorsze złe uważał dwie plagi, zabójcze dla ludu, lichwę i pijaństwo. Dopiero gdy to wszystko ulegnie zasadniczej reformie, można się spodziewać unormowania stosunków wiejskich, stosunku chaty z dworem; dopiero wtedy będzie mogła być mowa o harmonii społecznej, o prawdziwej organizacyi społeczeństwa. »Czemkolwiek byliśmy dawniej, to pewna, że dziś jesteśmy organizmem rozprzężonym, elementami, składowemi częściami, z których naród i państwo być mogły, i jeszcze (wierzymy) być mogą, ale nie możemy dziś z dobrą wiarą powiedzieć, żebyśmy w tej chwili byli narodem prawdziwym t. j. zupełnym. Że zaś z natury i od początku naszego życia jesteśmy narodem osiadłym głównie na wsi, że lud wiejski jako najliczniejszy jest pierwszym czynnikiem naszej siły materyalnej i narodowej, że ziemianin (szlachcic lub nie), właściciel większego majątku jest z mocy całej przeszłości reprezentantem i przechowawcą nietylko większego światła ale i narodowego ducha, i że te dwa żywioły w tej części Polski więcej niż w innych są od siebie oddalone, przeto w dziele przywrócenia (lub może nadania dopiero) rozłożonym częściom narodu tej organicznej jedności, bez której niema całkowitości, dwa te żywioły i ich do siebie stosunek mają największe znaczenie; od nich, ale od nich obydwóch, musi się począć, z nich tylko może wyjść harmonia i siła«. [1])

[1]) Pisząc to, nie zapomniał autor bynajmniej o miastach, ani o ich ważności, ani o koniecznej potrzebie ich wzrostu, ani wreszcie o tem, co w ich stanowisku w narodzie jest złem, czy to nie wykształconem jeszcze, czy też już skrzywionem. Ale miasta, jego zdaniem, są u nas w tem szczęśliwem położeniu, że niema żadnej sprzeczności pomiędzy niemi a jakimkolwiek interesem narodowym, ani inną jaką częścią narodu.

Tymczasem, dnia 13 listopada, zmarł w Krakowie człowiek, który przez długie lata był gorącym rzecznikiem społecznej harmonii i siły: Maurycy Mann. W dniu 15 listopada, po nabożeństwie z kazaniem księdza Goliana, odbył się pogrzeb, w którym nietylko najbliżsi przyjaciele zmarłego, nietylko cała redakcya *Czasu*, ale wszystko, co było inteligencya w Krakowie, niezależnie od stronniczego zabarwienia, wzięło serdeczny udział. Nad grobem przemówił Tarnowski, a to jego ostatnie pożegnanie równało się — jak to następnie podniósł *Czas* — pierwszemu publicznemu uznaniu i ocenieniu sprawiedliwemu Maurycego Manna, jego działań, zdolności i żywota. W pokoleniu, któremu przypadła cieżka dola prowadzenia spraw polskich między klęską roku 1846 a klęską 1863, i które zapisało pamięć swoją w historyi przez kierunek, jaki po tej klęsce polskim dążeniom i działaniom nadało, będzie Maurycy Mann — mówił Tarnowski — zajmował miejsce wielkie, a obok tych ostatnich może »Panów w żupanie«, w których widać jeszcze było »lwią śmiałość i senatorską wspaniałość«, obok takich jak Adam Potocki, Jerzy Lubomirski, Leon Rzewuski, stać będzie ten ich przyjaciel od serca, a towarzysz od prac i pragnień, ten pierwszy w całem słowa znaczeniu publicysta polski, rozumem zdolny, a charakterem godzien być obrońcą, stróżem, przewodnikiem tej sprawy, której służył w najgorszej doli, jak rycerz nowego rodzaju, ale jak rycerz prawdziwy, zawsze na każdem miejscu i w każdej potrzebie *sans peur et sans reproche.* [1])

W grudniu, jak poprzednich lat, tak i w tym roku, wygłosił Tarnowski, na korzyść bratniej pomocy uczniów uniwersytetu krakowskiego, odczyt publiczny. Tym razem, w dniu 17 grudnia, wobec »przepełnionej sali« miał dwugodzinny wykład o listach Zygmunta Krasińskiego do Adama Sołtana, które otrzymał od hr. Michała Sołtana wraz z pozwoleniem zrobienia z nich użytku, o ile się temu inne względy nie sprzeciwiają. Odczyt ten, rozszerzony do rozmiarów literackiego studyum, przynoszącego najbardziej charakterystyczne i interesujące wyjątki z listów autora *Irydiona*, ukazał się w styczniowym zeszycie *Przeglądu polskiego*, a był, śmiało to można powiedzieć, pierwszym snopem światła, rzuconym na koleje życia Krasińskiego, rozjaśniających w niemałym stopniu »przepustne krainy« jego ducha, dotychczas w zupełnym mroku pogrążone. Był to pierwszy i od razu nader obfity materyał do biografii bezimiennego poety.

---

1) *Czas* z 15 sierpnia 1876 r.

Na wiosnę, w poście, zachęcone zeszłorocznem powodzeniem odczytów Tarnowskiego, warszawskie Towarzystwo Osad Rolnych znów go zaprosiło na kilka prelekcyi w sali ratuszowej. Tym razem za temat miała mu posłużyć *»Poezya romantyczna«*, którą przed niedawnym czasem ks. Franciszek Krupiński w głośnym artykule w *Ateneum* warszawskiem o *Romantyzmie i jego skutkach* nazwał narodowem nieszczęściem, jej przypisując zwichnięcie zdrowego i naturalnego rozwoju naszego ruchu umysłowego. Artykuł pomieniony narobił wiele wrzawy, wywołał cały długi szereg artykułów i polemik, a że sprawa wciąż jeszcze zaprzątała umysły, więc i Tarnowski ze swej strony zabrał w niej głos w swych prelekcyach, wymownie stając w obronie romantycznej poezyi Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego, i dowodząc jej uszlachetniającego wpływu na społeczeństwo. Prelekcyi tych było cztery.[1]) Powodzenie ich było niesłychane, tak dalece, że nawet przeciwnicy nie zawahali się przyznać, że prelegent »jest niezaprzeczenie jednym z najzdolniejszych krytyków naszych przez wzgląd na wszystkie dodatnie strony jego talentu, że jest znakomitym mówcą, nie mającym może sobie równego w kraju, a niewielu po za krajem, że jako pożyteczny członek naszego społeczeństwa pięknym przykładem i pracą swoją zasłużył sobie na zupełne uznanie, że wreszcie, jako człowiek i obywatel, godzien jest szacunku nawet przeciwnego mu stronnictwa. A godzien przedewszystkiem dlatego, że wszystko, co czyni, i jak czyni, jest tylko wypływem silnych i niezachwianych przekonań i zasad, ugruntowanych na prawym charakterze, czem niezaprzeczenie wyżej stoi od wielu wielkości...[2]) Wprawdzie znaleźli się i oponenci, którzy nie mogli darować Tarnowskiemu, że tak wysoko stawiając Mickiewicza, jednocześnie obniżał Goszczyńskiego i Pola, ale tà opozycya, ujmująca się za pięknościami *Zamku Kaniowskiego* i *Mohorta*, objawiła się tylko w niektórych sprawozdaniach dziennikarskich; publiczność, natłoczona w sali ratuszowej, grzmiącemi oklaskami objawiała swój zapał dla prelegenta. Zapał ten osiągnął swój punkt kulminacyjny po czwartej prelekcyi. Oto, co w tym przedmiocie pisała *Gazeta polska:*

Skończyły się więc w zeszłą sobotę odczyty prof. Tarnowskiego, którym zawdzięczamy tyle przyjemnych wrażeń, połączonych z korzyścią umysłową

---

[1]) Odczyty te p. t. *O początkach poezyi romantycznej* ukazały się w *Bibliotece Warszawskiej* i w *Kronice Rodzinnej*, gdzie w Nr. 8 z d. 15 kwietnia 1877 roku została wydrukowaną prelekcya czwarta, będąca wymownym protestem przeciwko wywodom ks. Krupińskiego o *Romantyzmie i jego skutkach*.

[2]) *Goniec* Nr. 13 z 29 marca 1877 roku.

i moralną. Zaledwie przebrzmiały z mownicy ostatnie słowa prelegenta, rozległa się prawdziwa burza oklasków, wyrażających uznanie jego niepospolitych zdolności i wdzięczność za podjętą pracę. Zdawało się, że publiczność pragnie oznakami serdecznego zapału choć na kilka chwil jeszcze zatrzymać mówcę i przedłożyć ten miły stosunek moralny, zawiązany pomiędzy nim a gronem słuchaczy w ciągu wykładów. Trudno jej było w istocie rozstać się z tem pięknem słowem, ożywionem najlepszemi chęciami, zajmującem ciągle, a pełnem uroku wtedy, gdy publiczność i mówca znaleźli się na wspólnem stanowisku przekonań i sympatyi. W takich razach myśl słuchacza, ogarniając horyzont, rozwidniony światłem rzucanem przez mówcę, biegła z ufnością za przewodnikiem, który ją pociągał ku sobie lub z sobą unosił.

Sprawozdawca *Wieku* tak rzecz swoją kończył:

Co się działo po skończeniu tej prelekcyi, opisać trudno. Prelegent cztery razy już ukazał się był na katedrze, przywoływany przez publiczność, a oklaskom nie było końca, aż nareszcie dopiero oświadczenie przewodniczącego w zarządzie osad rolnych, prof. Białeckiego, że hr. Tarnowski już odjechał do siebie, zdołało uspokoić rozentuzyazmowanych słuchaczy i do rozejścia się ich nakłonić.

Gdy prelegent odjechał do domu, grono słuchaczy, pomiędzy którymi znajdowali się także przyjaciela Mickiewicza, Odyniec, Suzin, Kowalewski i inni, ofiarowali mu piękne album pamiątkowe, opatrzone następującym napisem (pewno pióra Odyńca):

Świat na wielkich ludziach stoi,
I ten także wielkość znaczy,
Kto ich sławę tu podwoi,
Kto ją światu wytłomaczy.
Tak wysokoś wzniósł olbrzyma,
Że już wyższej miary niema:
Aż duch Jego tam w obłoku
Odbłysł w Twej myśli potoku.
A my wszyscy tu na ziemi
Sercem łączymy się z niemi.

Po roku 1877 przyjeżdżał jeszcze Tarnowski kilkakrotnie z odczytami do Warszawy i zawsze czynił niemi wielkie wrażenie na przepełniającem salę audytoryum. Punktem kulminacyjnym tych odczytów były niewątpliwie trzy prelekcye o *Panu Tadeuszu.* [1]) Zdając z nich obszernie sprawę w *Niwie*, Chmielowski tak przy tej sposobności scharakteryzował właściwości umysłu i talentu Tarnowskiego. Sąd to zasługujący na tem baczniejszą uwagę, że wyszedł z pod pióra krytyka, z obozu pozytywistów warszawskich, a więc stronniczo usposobionego względem »pana Tarnowskiego«, jako konserwatysty-arystokraty, współautora *Teki Stańczyka!*

---

[1]) Wygłoszone w wielkiej sali ratuszowej, d. 9, 11 i 12 kwietnia 1879 r.

P. Tarnowski posiada nadzwyczaj wyrobione poczucie piękna i ogromną zdolność nietylko odszukiwania go w utworze poety, ale nadto tak umiejętnego, tak przekonywającego przedstawienia go innym, że ci obudzają w sobie też same uczucia, też same myśli, o jakich dopiero co słyszeli, potęgują je w sobie i zamieniają na treść umysłowości własnej do tego stopnia, że później sami już nie wiedzą, czy one w niej były dawniej, czy też potem dopiero do niej się dostały. Obszerne wykształcenie estetyczne, obeznanie się z dziełami największych geniuszów świata, pogląd obejmujący bardzo dalekie widnokręgi, sąd samodzielny i pewny siebie, urok głosu, zupełne niemal panowanie nad nim i posługiwanie się nim tak, jak wypróbowanem narzędziem muzycznem: oto główniejsze warunki tego potężnego oddziaływania na umysły słuchaczów, tego wielkiego powodzenia, jakiego odczyty p. Tarnowskiego u nas doznawały. P. Tarnowski uważa widocznie odczyt, jak mowę każdą, za dzieło sztuki, którego celem nie jest i być nie może rozumowe przekonanie słuchacza, ale zachwycenie go, porwanie za sobą, ze swojemi myślami i uczuciami: nie pomija więc, nie lekceważy żadnego środka, żadnego efektu: ani przemilczenia, ani przestanku, ani nagłej zmiany głosu, ani symetryczności pewnej w układzie części swej mowy, ażeby skutek ten osiągnąć. Przemawiając wobec publiczności mięszanej, która, jak każda publiczność, nie chce i nie może łamać sobie głów nad rozwiązywaniem zagadek, nad zgłębianiem myśli zaledwie napomkniętych, nad rozważaniem idei głębokich, prelegent stara się wszystko, co mówi, mówić jaknajprzystępniej, najdotykalniej, i jeśli potrzeba, jaknajrealniej; pojęcia wyższe, abstrakcyjniejsze, rozkłada na pierwiastki składowe, bardziej zrozumiałe dla ogółu, bo konkretne; powtarza kilkakrotnie, a zawsze nieco odmiennemi słowami to, co uważa za rzecz główną, za myśl ważną i przydatną do zrozumienia i ocenienia całości, unikaześrodkowania, koncentracyi poglądów, woląc je raczej ułamkowo, niż zbyt ściśle i zwięźle przedstawić.[1])

---

[1]) *Niwa*, 1879, tom XIII, str. 795. Odczyty prof. Stanisława Tarnowskiego o *Panu Tadeuszu*.

W roku 1880, w marcu, wygłosił Tarnowski w Warszawie seryę odczytów o *Pieśniach miłosnych i Trenach Kochanowskiego*, a już w kilka tygodni później, d. 9 i 11 kwietnia, na dochód powodzian Sandomierskich, nastąpiły dwa odczyty o Słowackim, o jego poemacie *W Szwajcaryi* i *Ojcu Zadżumionych* (ogłoszon drukiem w *Kronice Rodzinnej*). W roku 1881 przyszła kolej na trzy prelekcy o *Nieboskiej komedyi* Z. Krasińskiego (ogłoszone później w *Niwie*). O tych prelekcyach pisał w *Słowie* H. Sienkiewicz w jednej ze swych *Kronik tygodniowych:* »Sala ratuszowa, w której odbywały się prelekcye, przedstawiała w końcu trzeciego odczytu niezwykły widok. Jasnowidzenie poety, który tak uprzednio, a tak wyraziście streścił w potężnych a krótkich zarysach jakoby dzieje lat ostatnich, i nierozwiązane a groźne zagadnienia, na które sami patrzymy, jasnowidzenie to, uprzytomnione wymową prelegenta, wywarło wrażenie czegoś nadzwyczajnego. Sam też prelegent, doszedłszy do konkluzyi, do nauki płynącej z poematu, począł mówić z niezwykłym zapałem, który z kolei udzielił się słuchaczom. Wzruszenie odbiło się też na wszystkich twarzach i cały odczyt przybrał charakter prawdziwej biesiady duchowej...«

Zmuszony z czasem, na skutek zakazu Hurki, zaniechać wygłaszania odczytów w Warszawie, nie przestał Tarnowski, jak to zresztą czynił od samego początku swej profesorskiej karyery, wygłaszać odczytów (zawsze na cele dobroczynne) we Lwowie, w Krakowie i w Poznaniu, a nawet w niektórych prowincyonalnych miastach galicyjskich, jak n. p. w Tarnowie.

We Lwowie w r. 1877, podczas sesyi sejmowej, wygłosił na dochód młodzieży akademickiej, trzy odczyty o *Irydionie*, pamiętne przykrą demonstracyą ze strony tejże młodzierzy uniwersyteckiej. Oto, co o demonstracyi tej pisała warszawska *Niwa:* »W chwili, gdy zakończyliśmy nasze sprawy i oddaliśmy je do druku, doszła nas ze Lwowa smutna wieść o wstrętem przejmującej scenie, jaką pewna część tamtejszej inteligencyi urządziła przemawiającemu z katedry prof. Stanisławowi Tarnowskiemu. P. Tarnowski przyjechał z Krakowa do Lwowa

Po śmierci Fredry, po którym, jak już o tem za życia wiedziano, została obfita spuścizna literacka, rodzina powierzyła ją kilku zaufanym ludziom pióra, ażeby zapoznali się z nią, a następnie zajęli się jej spopularyzowaniem. W liczbie tych zaufanych, obok Małeckiego, Siemieńskiego, Paszkowskiego i Koźmiana, znalazł się i Tarnowski, który też gorliwie wraz z swymi towarzyszami zabrał się do powierzonej sobie czynności. Ponieważ okazało się, że autor *Dam i Huzarów* zostawił aż piętnaście niedrukowanych, a zupełnie wykończonych komedyi — niezależnie od całego szeregu innych utworów wierszem lub prozą — więc przedewszystkiem, zaraz po ich przeczytaniu, rozdzielono je na trzy grupy, które kolejno przez trzy lata, po pięć komedyi co roku, iść miały na scenę (bo tylu nowościom, rzuconym na nią odrazu, nie podołałby żaden teatr, a zaszkodziłby tylko im, sobie i sztukom innych autorów); następnie ułożono porządek, w którym komedye te po sobie następować mają; aż w końcu zaczęto je po kolei wystawiać w teatrze. Skoro zostały odegrane, Tarnowski napisał o nich studyum, będące dalszym ciągiem jego prelekcyi warszawskich, a które, zatytułowane *O pośmiertnych*

---

w charakterze posła, dla przyjęcia udziału w obradach świeżo zwołanego sejmu. Uproszony przez lwowską akademicką młodzież, postanowił szanowny profesor urządzić na jej korzyść trzy odczyty o *Irydionie*, i w chwili właśnie, gdy wstąpił na katedrę, by rozpocząć swój świetny wykład, przywitany został sykaniem, gwizdaniem, okrzykami p r e c z i wielu słowami obelżywemi, których tu powtarzać nie będziemy przez szacunek dla profesora i naszych czytelników. Zimny i szlachetnie dumny, nie ustąpił Tarnowski z katedry, aż kilku poważnym ludziom udało się zażegnać skandal haniebny. Odczyt odbył się jak zwykle świetnie i zakończony został grzmotem oklasków, lecz hańba niesłychanego pośród cywilizowanych społeczeństw nadużycia zawisła nad miastem, w którem żywioły przewrotu i anarchii wegetują bujnie jak chwasty na stepie. Jakie być mogły pobudki nędznego afrontu i publicznej zniewagi wyrządzonej człowiekowi, który jako profesor, mówca i publicysta, jako mąż publiczny i obywatel, zjednał sobie powszechny szacunek i pod każdym względem okazał się godnym zaszczytnego imienia, które nosi? Czy hr. Tarnowski zmazał się nieobywatelskim czynem, lub nadużył publicznego stanowiska? Bynajmniej. Pan Tarnowski stoi tak wysoko ponad podobnemi zarzuty, że sama myśl obrony byłaby dla niego obrazą, lecz p. Tarnowski należy do jakości stanowiących mniejszość liczebną i wyznaje zasady zbyt niebezpieczne dla wichrzycieli, aby mu je wybaczyć można było, pan Tarnowski wraz z towarzyszami swymi inaugurowali pierwsi pośród swego społeczeństwa system cywilnej odwagi i praktykowali ją systematycznie, bez względu na nierówną walkę, zdzierając śmiało maski z obłudników i wyzyskiwaczy sztucznie syconych namiętności, kusicieli społeczeństwa, gotujących mu nieustanne klęski. Walka podjęta przez Tarnowskiego i towarzyszy w obronie prawidłowego rozwoju społeczeństwa i rozumu stanu, trwa już z górą lat dziesiątek, postępy jej mimo nierównych liczebnie sił wielkie być muszą, jeżeli przeciwnicy ujrzeli się zredukowani do ultima ratio nędznego oszczerstwa i obelg, do zaprzeczenia wolności słowa posłowi i profesorowi Jagiellońskiej Wszechnicy. Jakżeż nisko upadli ci przeciwnicy, jeżeli nie gardzą środkami, któremi tylko pospólstwo uliczne posługiwać się zwykło, jakżeż mało dla samych siebie mają szacunku, w jak wielkiej cześć własną trzymają poniewierce, jeżeli ślepo i bez upozorowania nawet targają się na cześć i charakter ludzi zasługi i cnoty«.

O całej tej kampanii dziennikarstwa lwowskiego przeciwko Tarnowskiemu najlepiej informuje broszura (Bernarda Kalickiego) p. t. *Dążności rosyjskie prof Stanisława hr. Tarnowskiego*, Lwów, 1877.

komedyach Fredry, ukazało się w *Przeglądzie polskim* w kwietniu r. 1877 i w kwietniu r. 1878. W pracy tej, która wraz z odczytami o dawniejszych komedyach Fredry, składa się na krytyczny rozbiór i ocenę całej twórczości dramatycznej ojca komedyi polskiej, postanowił Tarnowski »nie zajmować się trudną do rozwiązania a podług niego i marną kwestyą, czy te pośmiertne komedye są wyższe od dawnych, czy takie same, lub słabsze«; uważał bowiem, że »nie są to wielkości matematyczne, żeby dokładnie i z pewnością obliczyć i zmierzyć się dały; każdy sam sądzić musi i każdy sam tylko osądzić może, które z dawniejszych czy nowych podobają mu się więcej, i dlaczego«. Jemu chodziło wyłącznie o jedno: »żeby bez porównywania i przymierzania opowiedzieć, co w tych komedyach jest, i dać wyobrażenie o tem, jakie są same w sobie«. Ale że porównanie tych »pośmiertnych« komedyi Fredry z dawniejszemi nasuwało się mimowoli, więc i tu zaznaczoną być musiała różnica rodzaju jednych i drugich, mianowicie, że jeżeli dawniejsze mają widoczne cechy pokrewieństwa z Molièrem, to pośmiertne tracą to podobieństwo, a bardzo się zbliżają do nowoczesnej komedyi Sandeau i Augiera. Który rodzaj komedyi wyższy, dawny czy dzisiejszy? tego krytyk nie próbował sądzić i rozstrzygać, ale wolno mu było »widzieć i podziwiać wielką siłę i elastyczność talentu Fredry w tem, że w podeszłych już latach, zamiast, jak się zwykle dzieje, sztywnieć i kostnieć w formach, do których przywykł, talent ten sam z siebie, zapewne bez powziętego z góry zamiaru, tak się nagina do form innych i z siebie je wydaje, a wyobraźnia, obfita i żywa zawsze, tworzy nietylko pomysły nowe, ale je tworzy odmiennie, w innym rodzaju, niż za młodu«.

W chwili, gdy na krakowskiej scenie grano pierwszą seryę komedyi pośmiertnych Fredry, na półwyspie bałkańskim z powstania Bułgarów i z wojny w Serbii rozwinęła się wojna Rosyi z Turcyą, wojna, która niezależnie od bohaterstwa armii tureckiej powoli obracała się na korzyść Rosyi, ta zaś — jak się na to należało przygotować — ostatecznie z tej wojny wyjdzie z pozornym tryumfem, może z rzeczywistemi nabytkami. Wobec takiej sytuacyi, jakie mogą być nasze życzenia, interesu i konieczności postępowania ze względu na własną sprawę? Czy, wobec chwilowych opałów Rosyi, jest chwila po temu, by Polacy oficyalnie przypomnieli się Europie, by się upomnieli o swoje prawa? Wiele pism, galicyjskich i poznańskich, gorąco propagowało tę myśl, dowodząc, że jeżeli kiedy należy mówić o Polsce, to teraz. Innego zdania był Tarnowski i jego przyjaciele polityczni, a wyrazem tej odrębnej opinii, mniej popularnej oczy-

wiście, był artykuł Tarnowskiego p. t. *Wojna Rosyi z Turcyą i nasz do niej stosunek*, artykuł, który ukazał się w *Przeglądzie polskim* w sierpniu r. 1877, »bez podpisu, w myśli, że przez to łatwiej ujdzie niejakich niechęci, a znajdzie lepsze przyjęcie«. Artykuł bronił tezy, że »wszelkie dziś otwarte i oficyalne mówienie o Polsce, choćby zalecane przez najbardziej doświadczonych i wytrawnych ludzi, choćby godzili się na nie ludzie znaczący z różnych części Polski, byłoby niezręcznem i szkodliwem«. Okazało się jednak, że po upływie roku Tarnowski pod tym względem zmienił swe zapatrywanie.

Zanim do tego przyszło, ukazało się w r. 1877 kompletne wydanie wszystkich dzieł dramatycznych Szekspira w przekładzie polskim Koźmiana, Paszkowskiego i Ulrycha, pod redakcyą i z objaśnieniami J. I. Kraszewskiego. Jako zapalony wielbiciel Szekspira, czego dał tylokrotne dowody (ostatnim było ogłoszone przed dwoma laty w *Przeglądzie polskim* obszerne streszczenie książki Rümelina, p. t. *Najnowsze sądy o Szekspirze*), Tarnowski, biorąc asumpt z tego pomnikowego wydania, napisał obszerne studyum p. t. *Szekspir w Polsce*, które mu najprzód dostarczyło tematu do szeregu odczytów w Krakowie, a które następnie, wydrukowane w czterych zeszytach *Przeglądu polskiego*,[1]) bezwarunkowo należy do najcelniejszych rzeczy, jakie u nas napisano o Szekspirze, śmiało wytrzymując porównania z analogicznemi pracami Spazowicza i Matlakowskiego. W rozprawie tej, równie pracowitej jak subtelnej w poszczególnych wywodach, zwłaszcza w krytyce samego przekładu, omówioną została cała literatura szekspirowska w Polsce, od połowy XVIII wieku aż po r. 1877, od unieśmiertelnionego przez Słowackiego przekładu księdza Kefalińskiego, w którym »znika Szekspir«, aż do prób przekładów Szujskiego. Ostateczny wniosek, *der langen Rede kurzer Sinn*, do jakiego Tarnowski doszedł po drobiazgowej analizie przekładów Koźmiana, Ulricha i Paszkowskiego, był ten, że »jakkolwiek pod względem poetycznego wrażenia przekład oryginału nie dochodzi (a tłómacze, którzy swoim wzorom są zupełnie równi, liczą się na palcach w literaturze świata), to przecież ma on prawo liczyć się do najlepszych w Europie«, nic nie ustępując n. p. słynnym tłomaczeniom niemieckim.[2])

[1]) Zob. *Przegląd polski* za wrzesień, listopad i grudzień z r. 1877 i luty 1878.

[2]) Z pomiędzy artykułów, ogłoszonych przez Tarnowskiego w *Przeglądzie polskim* w ciągu roku 1877, wyróżnia się »dziennikarskie sprawozdanie« z dwóch wybitnych faktów, zaszłych w *Galicyi we wrześniu 1877 roku:* z uroczystego obchodu koronacyi cudownego obrazu w kościele OO. Jezuitów w Starej Wsi (majątku księcia Wlad. Czartoryskiego), obchodu, uświetnionego bytnością

Dnia 28 listopada 1877 roku zmarł w Krakowie w 68-ym roku życia Lucyan Siemieński. Nad grobem przemówił Tarnowski, poniekąd uczeń autora *Portretów literackich*, a w każdym razie jego wielbiciel i przyjaciel. Jakoż mowa, którą go pożegnał imieniem kolegów po piórze, nietylko równała się nader plastycznemu portretowi literackiemu tłomacza *Odyssei*, ale nadto drgała wyjątkowem ciepłem uczucia, uczucia podziwu i wdzięczności, podziwu dla literata, dla swego mistrza w wielu razach, a wdzięczności dla człowieka, dla przyjaciela rodziny. Stąd wyjątkowa świetność tej mowy, stanowczo jednej z celniejszych Tarnowskiego, a z pewnością jednej z najgłębiej odczutych. Ale bo też »wszystko, co ludzkie, przemawiało do jego umysłu, co piękne, do jego wyobraźni, co polskie, do jego serca«. — Pisał wiele i w wielu rodzajach, były o nim słowa mówcy. Ale jak niegdyś na pytanie: »kto u was hetmanem?« odpowiedziano Zamoyski, a kto kanclerzem? Zamoyski; tak dziś, gdyby nas cudzoziemiec jaki zapytał, kto u was najlepiej znał myśl waszą, zamkniętą w księgach i jej dzieje, odpowiedzielibyśmy Siemieński. Kto znał najlepiej i sądzil najmądrzej, co inne narody pięknego wydały od przedwiecznych Indów aż do wczoraj? Znowu Siemieński. Kto z pozostałych szczątków myśli najlepiej odgadywał dusze ludzi dawno zmarłych i kreślił ich wizerunki? Siemieński. Kto piękność wszelką, jakikolwiek jej rodzaj, charakter, czy forma, czcił najgoręcej, pojmował najgłębiej i dawał czuć i poznać najlepiej? Zawsze Siemieński. A kto był u was tym umysłem jaśniejącym zdolnością, wyostrzonym nauką, nawskróś oświeconym i na wszystkie strony oświecającym, wykwintnym w smaku, pewnym w sądzeniu, świetnym w wyrażeniu, jednym z tych, w których się kochał dawny Ateńczyk, Rzymianin za Augusta, lub Włoch z dobrych czasów, ozdobnymi je nazywając? Kto z waszych mógłby bez wstydu stanąć przed Platonem rozprawiającym o piękności i wtrącić swoje słowo w Fedrusa? Żaden jak on i chyba tylko on jeden. [1])

---

nuncyusza papieskiego, Mgra Jacobiniego, oraz *z lwowskiej Wystawy Rolniczo-przemysłowej*, której dział sztuk pięknych został w pomienionym artykule omówionym najobszerniej.

[1]) Mowa ta, drukowana w *Czasie*, wyszła w formie osobnej broszury. W tym samym roku, dnia 14 października 1878, przemawiał Tarnowski podczas wyprowadzenia z Krakowa zwłok Józefa Badeniego. Mowa ta, drukowana w feljetonie *Czasu*, wyszła jako osobne odbicie z tego dziennika. W tej samej formie jako przedruk z *Czasu* ukazało się w tymże roku 1878 wspomnienie o *Leonie Sapieże*, napisane pod świeżem wrażeniem śmierci b. marszałka.

O zmarłym w tym czasie Leopoldzie Kronenbergu napisał Tarnowski w *Przeglądzie polskim* ciepłe wspomnienie pośmiertne, pełne najwyższego uznania

Przez śmierć tę został Wydział filologiczny Akademii Umiejętności pozbawiony swego przewodniczącego. To też na posiedzeniu z d. 16 stycznia zaproponował prezes Majer, by wydział ukonstytuował się na nowo. Po krótkich naradach zostali wybrani: Estreicher na dyrektora, Tarnowski na sekretarza.

Jako taki, wygłosił Tarnowski d. 3 maja 1878 r. na dorocznem posiedzeniu Akademii rzecz o Lucyanie Siemieńskim, która, jako studyum, jako portret literacki, jako krytyczna ocena prac tłomacza *Sonetów* Michała Anioła, jako charakterystyka człowieka i pisarza, przez nikogo do dziś dnia, choć wielu pisało o Siemieńskim, nie została prześcignioną. W rozprawie tej, pełnej kultu dla Siemieńskiego, a jednak nie przeceniającej jego stanowiska w literaturze, znalazła się także w zakończeniu, po rozbiorze wszystkich główniejszych pism autora *Obozu Klasyków*, wzmianka o *Dwóch Juliuszach*, w krótkich słowach malująca osobisty stosunek przyjaźni Siemieńskiego do rodziny Tarnowskich. »A po tych dziełach, które chwałę swego autora utrzymają tak długo, jak długo będzie język polski na ziemi, niech nam wolno będzie wspomnieć jedno jeszcze, które do takiego rozgłosu prawa sobie nie rości, choć pisane ze zwykłym Siemieńskiemu wdziękiem, a rzewniejszem może niż zwykle uczuciem, to, w którem opowiedział krótkie żywoty i koniec podobny dwóch młodych ludzi, połączonych krwią, jednem imieniem i jednakim losem, dwóch ochotników z dwóch pokoleń tej samej rodziny, ginących na polu bitwy, w trzydzieści lat jeden po drugim. Wspominać o tej książeczce może najmniej przystoi tym blizkim, którzy, mówiąc o niej, wyglądać mogą tak, jakżeby się chwalić chcieli i stroili się w zasługę tej krwi przelanej, tej ofiary życia nie swojego. Ale nie wspomnieć znowu, czy nie było by to zawahać się przed należnem i słusznem wyznaniem wdzięczności, przemilczeć a poniekąd sprzeniewierzyć się łaskawej przyjaźni Siemieńskiego, która, jak za jego życia była zawsze zaszczytem i ozdobą, nieraz oświeceniem, pomocą i radą, a w tym

---

dla zasług nieboszczyka: »Ze krwi Polakiem nie był, mógł więc, miał wszelkie prawo nie być nim z uczucia i przekonania. A jednak był całą pracą, całą dążnością i wszystkiemi rezultatami swego życia, całą wytrwałością swojej woli, całą energią swego charakteru, całą śmiałością swoich pomysłów i przedsięwzięć... Dlatego żegnając ze czcią i wdzięcznością ś. p. Leopolda Kronenberga, jako prawdziwie wielkiego, a w tym rodzaju pierwszego w ojczyźnie naszej obywatela, pragniemy gorąco, żeby nie był ostatnim, żeby on dał początek i przykład zbogacenia kraju przez bogacenie się ludzi, i żeby ci, którzy na tem polu po nim działać będą, jak on umieli działać a jak on służyć chcieli, i żeby podobni jemu zdolnością i skutkiem swoich działań, podobni mu byli równie ich środkami i celem«.

razie dobroczynną pociechą, tak po jego śmierci zostaje jedną z drogich i chlubnych życia pamiątek? Niech więc wolno będzie wyznać tę wdzięczność, wspomnieć tę przyjaźń, i po wszystkich jego dziełach wielkich i głośnych wymienić tę, przyjaźnią natchnionych, z niej napisanych *Dwóch Juliuszów*«.[1])

Dnia 13 lipca 1878 roku zakończyły się obrady kongresu berlińskiego, a już sierpniowy zeszyt *Przeglądu polskiego* przyniósł z sobą doniosłego znaczenia artykuł Tarnowskiego, zatytułowany *Po kongresie berlińskim*. Artykuł ten miał swoją historyę następującą. Kiedy po skończonej wojnie rosyjsko-tureckiej zebrał się z inicyatywy Bismarcka kongres w Berlinie, kilku wybitniejszych członków stronnictwa krakowskiego, ze Stanisławem Tarnowskim w ich liczbie, w porozumieniu z Ludwikiem Wodzickim, podówczas Marszałkiem Sejmu Krajowego we Lwowie, i Kazimierzem Grocholskim, wtedy prezesem Koła Polskiego w Wiedniu, wspólnie z wieloma innymi poważniejszymi obywatelami z innych dzielnic Polski, postanowili wygotować pismo o położeniu i stosunkach w krajach polskich pod panowaniem rosyjskiem. Chodziło o to, żeby przypomnieć sprawę polską, żeby ją ponownie wytoczyć przed forum Europy. Ale jak to uczynić? Zadanie było trudnem niezmiernie, bo przedewszystkiem kongres miał tak wiele do czynienia z urządzeniem i podpisaniem pierwszego rozbioru Turcyi, że z góry wykluczył z obrad swych wszystkie sprawy bezpośrednio do tej jednej nienależące. Najbardziej zaś ze wszystkich wykluczył tę, o której nie mówił, tę, co ze wszystkich pośrednio związanych najbardziej bezpośrednio związana jest z kwestyą wschodnią: sprawę polską.

Jeżeli niegdyś — słowa są Tarnowskiego — ambasador austryacki podniósł się ze swego miejsca i chciał wychodzić, kiedy imię Włoch wymówionem było na kongresie paryskim, cóżby dziś zrobił pełnomocnik Rosyi, co prezydent kongresu a kanclerz niemieckiego cesarstwa,[2]) gdyby kto był śmiał wyszepnąć to imię, wywołać tego ducha! Z jakim strachem byłby się od niego odżegnywał pełnomocnik francuski, i włoski, i angielski, i austryacki, i wszystkie te w areopag zebrane »półśrodków sztucznych pany!« O wprowadzeniu sprawy polskiej na kongres nie można było nawet marzyć; a że o politycznych sprawach nie marzyć, ale rozważnie myśleć trzeba,

---

[1]) Studyum o Lucyanie Siemieńskim, wydrukowane zrazu w Rozprawach Akademii Umiejętności, znalazło następnie pomieszczenie w t. II. *Rozpraw i sprawozdań* St. Tarnowskiego.

[2]) Bismarck.

więc pomyślawszy, że na kongresy dostają się tylko takie sprawy, które się im koniecznie siłą swoją nałożą, wypadło przygotować się, że teraz mowy o tej sprawie być nie może, i znieść to, jak się już wiele rzeczy zniosło, zapisując to tylko na *Debet* naszej epoki i cywilizacyi. Ależ znowu czy może być, żeby poza kongresem przynajmniej, podczas kongresu, mowy o Polsce nie było wcale? Jakikolwiek jest, ten kongres reprezentuje Europę i stanowi o najważniejszych jej sprawach. Jakiekolwiek będzie to prawo, które on podpisze, choćby miało trwać dzień jeden i chociażby przez jeden dzień nawet nikt w nie nie wierzył, zawsze ono będzie zapisane w prawie narodów. A więc wobec tego nie odezwać się wcale? nie przypomnieć, co się z nami dzieje pod rządem rosyjskim? nie porównać tych zasad wolności religijnej, politycznej i cywilnej, w których imię Rosya poszła oswobodzić Słowian Południowych, z tą wolnością, którą ona praktykuje w Polsce? Więc kiedy wszyscy, Serbowie, Czarnogórcy i Rumuni stają i wołają o to, co im się należy, Polska jedna... nie chcemy przypominać ile od nich nieszczęśliwsza i ile więcej warta, żeby nie porównywać, jedna ma milczeć i milczeniem narazić się na posądzenie, że *qui tacet consentire videtur?* Kiedy jakieś mniejsze czy większe prześladowania żydów w Rumunii wywołały krzyk i upomnienie wszystkich ich współwierców w Europie, a ta skarga bogatych przyjętą była przez kongres z najsłodszym uśmiechem i uprzejmością najbardziej ujmującą, więc prześladowanie katolików, więc tyle kościołów zamkniętych, tylu biskupów i księży wygnanych, tyle tysięcy gwałtem przechrzczonych i tyle krwi wylanej, do Boga tylko ma wołać o pomstę, a przed ludźmi milczeć? A nie! O pomstę, której wykonać niezdolni, o sprawiedliwość, której udają, że nierozumieją, wołać do nich niewarto. Ale dla siebie, dla ojczyzny, dla prawdy, dla honoru i sumienia, dla przestrogi tych biednych oswobodzonych Słowian, dla zawstydzenia tych wszystkich innych, dlatego, żeby się siebie samych i Boga samego nie zaprzeć, trzeba było, w tej stanowczej chwili trzeba było koniecznie, dać znak życia i przemówić, czy będą słuchali czy nie. Jak? przez kogo? to pytanie, i to był sęk. Kto miał prawo mówić za Polskę całą i w jej imieniu? Posłowie wielkopolscy lub galicyjscy, jako jedyni dziś z narodu polskiego wybrańcy? Nie, bo naprzód są oni posłami jednej tylko prowincyi, powtóre, nie chcąc przekraczać swego charakteru urzędowego, mogliby udać się do jednego tylko pełnomocnika tego państwa, do którego należą; a wreszcie, gdyby ci mówili, Rosya miałaby gotową odpowiedź: »Moi poddani są spokojni i szczęśliwi, to tylko tamci Polacy krzyczą i swoim krzykiem ich podburzają,

a wam się przykrzą«. A więc emigracya? Ktoś z emigracyi? Książe Władysław Czartoryski naprzykład? I to nie, bo naprzód akt taki wychodzący z emigracyi podlegałby temu samemu zarzutowi: bo powtóre, bez wezwania, bez mandatu, którego nikt oczywiście dać nie mógł, nikt w imieniu drugiego przemawiać nie powinien; bo wreszcie wyrzucano emigracyi tyle razy, że kierunek spraw krajowych dla siebie uzurpowała, że ona dziś służyć zawsze gotowa, inicyatywy brać za kraj i występować za niego nie chce. W tem położeniu upaść musiała sama z siebie, jeżeli jaka była, myśl memoryału podać się mającego kongresowi. Naprzód nie było tego, ktoby go był przyjął, bo kongres z góry milczkiem sprawę polską, a choćby tylko sprawy polskie wykluczył, i Prezydyum byłoby akt taki rzuciło pod stół. Powtóre nie było tego, ktoby mógł był oddać. W takich warunkach zgłaszać się do kongresu, byłoby to narażać się daremnie na nowe upokorzenie, a doprawdy było ich już dosyć. Ci, co dowodzili, że bądź co bądź, przebojem, trzeba koniecznie odezwać się do kongresu, jako takiego, i narzucać mu kwestyę, choćby jej nawet nie rozbierał, zapominali o tem, że takie narzucenie nie jest możebnem, nie da się zrobić; że kongres sam tylko, a nikt inny, wprowadza sprawy na kongres, a te, których programem nie objął i nie wprowadził, ignoruje, nie widzi ich, nie zna; niema ich i nigdy ich nie było. Wszelka zatem odezwa do kongresu, choć przez pocztę wiernie oddana, byłaby ugrzęzła w loży portyera, może w kieszeni woźnego, w najlepszym razie w koszu, do którego urzędnicy biura prezydyalnego rzucają niepotrzebne papiery...[1]) Do tej więc trudności, że nie było ani komu, ani do kogo mówić, przybywała jeszcze druga: co mówić? O Polsce niepodległej mówić Rosyi, Prusom, Austryi i całej tej dzisiejszej Europie? O Polsce podległej jakiemu innemu, nie rosyjskiemu panowaniu? Kto nie chciał sam siebie oszukiwać, ten o tem oczywiście myśleć nie mógł. A więc mówić o traktatach roku 1815, albo choćby tylko o zmianach najkonieczniejszych, choćby żądać powrotu do tego, co było przed rokiem 1863? A któż ma prawo stawiać żądania za wszystkich i kłaść im granice? O tem już nie mówiąc, że na tej drodze układów można wiele przyjąć, ale nie żądać; i nie otrzymać nawet, jeżeli się kto niepytany z żądaniami i warunkami wyrywa. A więc była konieczność odezwania się, a trudność odezwania się dobrze, tak, żeby i głos był

---

[1]) Mimo to, demokraci lwowscy, z Janem Dobrzańskim, właścicielem *Gazety Narodowej*, na czele, złożyli w kancelaryi kongresu... protest przeciw rozbiorom Polski. Jak sam pomysł, tak i redakcya tego protestu, choć popularna w pewnych kołach, przecież była wysoce niepolityczna.

słyszany, i wszystkie formy i pozory prawności zachowane: i żadna zasada, żeby nie była poświęconą, i żadna, choćby najmniejsza ulga, odepchniętą.[1])

Wszystko to było przedmiotem długich i wyczerpujących narad politycznych, które przez szereg dni odbywały się częściowo u Pawła Popiela w Ruszczy, częściowo u Stanisława Tarnowskiego na Szlaku. W końcu, po rozmaitych debatach, znaleziono formę, która wszystkie pomienione sprzeczności godziła, a z wszystkich trudności wychodziła zwycięzko, a zredagowane w ten sposób t. z. *Exposé*, którego głównym autorem i tłomaczem na język francuski był Paweł Popiel, stało się ważnym, historycznym i politycznym aktem, który rzeczywiście odpowiadał wszystkim potrzebom, nie narażał żadnych interesów, nie poświęcał żadnej zasady. *Exposé*, wydrukowane w Berlinie, zostało — dzięki osobistym staraniom Artura Potockiego — wręczone członkom kongresu, a także rozesłane do główniejszych dzienników europejskich. Wszędzie spotkało się z dobrem przyjęciem, wszędzie było omawiane z powagą, ale bo też inaczej być nie mogło, zważywszy, że ta bezimienna broszura, która przecież pod tym skromnym pozorem była rzeczywistą skargą na Rosyę, zaniesioną do całej Europy, była w treści zarówno jak i w formie obmyśloną roztropnie, a zastosowaną do potrzeby chwilowej.

Zdaniem Tarnowskiego, który w swym artykule *Po kongresie berlińskim* poświęcił temu *Exposé* szereg uwag, największą pisma tego zaletą było to, że dając obraz zupełny, a tak dokładny, tak sumiennie nie przesadny naszych stosunków, że nikt jednego słowa zaprzeczyć ani nawet sprostować nie może, nie stawiało żadnej konkluzyi, żadnego żądania.

Ale nic nie żądając, nie skarżąc się i nie lamentując, nie formułując żadnych próśb ani warunków, powiedzieć: »Oto dzieje się u nas tak i tak, Rosya, która walczy za prawa ludzkości, wolności i narodowości, tak w nie wierzy i tak je szanuje, a wy, którzy radzicie o Bułgarach i Serbach i na stan ich nieznośny szukacie lekarstwa, zamykacie umyślnie oczy na bezprawia i okrucieństwa, które z tamtemi ani w porównanie iść nie mogą.« Do tego każdy z nas miał prawo, bo w tem mu każdy Polak musi przyświadczyć, żaden nieprzyjaciel nie może zaprzeczyć, a choćby był najskromniejszym z ludzi prywatnych, ma taką, mówiąc to, powagę i siłę prawdy, że go każdy z uszanowaniem słuchać musi, nawet najdostojniejsze i najmniej do szanowania drugich skłonne zebranie wielkich ludzi i wielkich panów.

Po krytycznem omówieniu całego *Exposé*, artykuł Tarnowskiego,

---

[1]) St. Tarnowski, *Pisma polityczne*, I, 269—271.

wobec zmienionej sytuacyi europejskiej *Po kongresie berlińskiem*, przynosił szereg wskazań politycznych, zalecając »legalne i jawne postępowanie w każdej części Polski, w każdej tak, jak miejscowe warunki wskazują, a w każdej z jednością celu w sercu i na oku«. Każdy za siebie, a każdy dla wszystkich. A przedewszystkiem nie rozpaczajmy, bo do rozpaczy naprawdę nie mamy powodu, a raczej do czego innego, do odwagi i nadziei.

W chwili, kiedy artykuł powyższy drukował się w *Przeglądzie polskim*, Tarnowski, wraz z małżonką, bawił na Litwie, głównie w Wilnie. Z wrażeń, doznanych w czasie tej podróży, z pobytów w Grodnie, Wilnie i Kownie, powstały zapiski *Z Wilna*, z czasem wcielone do dwutomowego zbioru szkiców *Z Wakacyi*, z pośród których bodaj czy nie są najwymowniejsze, najbardziej krwią serca — serca polskiego — pisane. Cóż dziwnego! Kto, jak Tarnowski, »był ciekawy poznać Wilno Giedymina i Jagiełły, Zygmunta Augusta i Barbary, św. Kazimierza i Mickiewicza« a zobaczył »Wilno Murawiewa, wywieszane, wystrzelane, wyludnione i obdarte, Wilno Siemiaszki, zasiane prawosławnemi cerkwiami, Wilno Katkowa, Milutyna, Aleksandra II i wszystkich innych, którzy zadekretowali, że tu Polski nigdy nie było i niema, a chcą zadekretować, że jej nie będzie«, ten oczywiście musiał doznać uczucia niewysłowionej goryczy, ten musiał się dławić łzami żalu i wściekłości. W tem uczuciu, a z myślą o Mickiewiczu, o Trzeciej części *Dziadów* i *Panu Tadeuszu*, oglądał Tarnowski, co w Wilnie jest ciekawego do widzenia, od Ostrej Bramy począwszy, a skończywszy na dawnym klasztorze Bazylianów. A cokolwiek zwiedzał, wszędzie myślał o świetnej przeszłości tych miejsc, o Zygmuncie Auguście, o Batorym, o Skardze, o Mickiewiczu, o Filaretach. A jak na Wilno patrzył przez pryzmat Trzeciej części *Dziadów*, tak na Kowno, którego także zwiedzić nie omieszkał, patrzył przez pryzmat *Wallenroda*. Zwiedził też »cudną dolinę przy Kownie«, którą Litawor z *Grażyny* zwie »najpiękniejszą w świecie«.

Błądząc po tej dolinie, która w naszej poezyi odegrała tak ważną rolę, i myśląc o tym, który ją unieśmiertelnił, mimowoli pomyślało się i o poecie-przyjacielu z Krakowa, którego tak chętnie podejmowało się w swoim domu, którego poezye, choć nie na wysokości mickiewiczowskich, ale pełne artyzmu i wdzięku, czytały się tak mile: o Asnyku. Jakoż, żeby mu dać dowód, że się o nim pamiętało, zwiedzając dolinę Mickiewicza, pani Tarnowska zerwała gałąskę, którą zabrała dla sympatycznego autora *Wierzby na pustkowiu*. W zamian za tę »gałązkę z Kowieńskiej Doliny« poświęcił Asnyk

pani Tarnowskiej *Album pieśni*, wcielone do wydanego w roku 1880 trzeciego tomu swych poezyi.

Tymczasem we wrześniu roku 1878 zaczął się sejm we Lwowie, na którym między innemi zebrało się koło sejmowe, by potępić uroczyście, prawie jednomyślnie, trzech posłów, mianowicie pp. Ottona Hausnera, Kornela Ujejskiego i Ludwika Skrzyńskiego, którzy, odłączywszy się od solidarności Koła Polskiego, na własną rękę chcieli występować w Radzie Państwa. Ale po sejmie znów się zebrała Rada Państwa, a w tej Lewica niemiecka wnosiła adres, naganiający okupacyę Bośnii i domagający się jej cofnięcia. Delegacya polska głosowała przeciw takiemu adresowi. Wtedy Otto Hausner, nietylko głosował inaczej, niż cała delegacya, ale wystąpił z mową, która mu zjednała wielką sławę mówcy, a w której otwarcie zajął stanowisko inne, niż cała reprezentacya polska. Zaraz potem, na wniosek red. Dobrzańskiego z *Gazety Narodowej*, Rada miasta Lwowa nadała Hausnerowi obywatelstwo honorowe. Był przytem i bankiet dla Hausnera, w którym nawet niektórzy posłowie wzięli udział... Oburzony tem karygodnem zerwaniem solidarności, Tarnowski napisał w *Przeglądzie polskim* artykuł p. t. *Posejmowe wypadki w Galicyi*, w którym bez ogródki napiętnował czyn Hausnera. Prócz tego napisał broszurę p. t. *Z Sejmem*, która, wydana bezimiennie, w myśli, że tym sposobem może zrobi więcej wrażenia, jeszcze bezwzględniej rozprawiała się z Hausnerem a zarazem i z temi dziennikami lwowskiemi, które piały hymny na jego cześć. Wykazawszy wszystkie zgubne następstwa tego »złego uczynku« Hausnera, który wywodził wprost od *liberum veto*, Tarnowski nie szczędził gromów potępienia, to też, zarówno w artykule, jak w broszurze, znalazło się niemało ustępów, które, jako siła inwektywy, nie ustępują namiętnym oskarżeniom *Katechizmu nie-rycerskiego* Klaczki.

Oto n. p. co się dostało prasie lwowskiej, rozentuzyazmowanej »patryotycznym czynem« Hausnera:

Mickiewicz znał tylko »heroizm niewoli« i to u Moskali. Od jego czasu dano nam poznać inny i lepszy, heroizm podłości! i to między... czy Polakami może? Nie! tylko między polskiemi reptiliami z dzienników lwowskich!

Z powodu zaś listu Kornela Ujejskiego do wyborców, w którym autor *Chorału*, olśniony mową Hausnera, napisał patetycznie: »Dał nam Bóg możność wypowiedzenia naszego polskiego słowa, dał nam człowieka, odda nam wkrótce Ojczyznę!« zgorszony bezmyślnością tych słów, Tarnowski tak je zmiażdżył:

Czy czytelnik pamięta w poemacie Słowackiego ten ustęp, gdzie dyabel

tłomaczy Kordyanowi bieg historyi, dzieli ją na sześć dni stworzenia, mówi, że Bóg »w szóstym dniu stworzył człowieka — Napoleona«, a dziś dzień siódmy i Bóg »odpoczywa po pracy, nikogo nie stworzył«. Widać, że od tego czasu już sobie odpoczął, a nawet dobrze nowych sił nabrał, skoro po człowieku zdobył się na stworzenie olbrzyma![1]) Jest Bóg, jest jego prorok, dwóch proroków nawet, bo Mahomet (który także mógł się cieszyć i dziękować) a drugi Jeremi! i »jest człowiek posłany od Boga, któremu było imię« (a nie poślednie, Bismarckowskie imię) Otto: oczywiście będzie wkrótce i ojczyzna! Ale nie żartujmy z rzeczy smutnych i ze smutnego widoku człowieka, który nam wszystkim może stanąć za naukę i przykład, że uczucie samo, choćby i wzniosłe nawet, nie wystarcza i bardzo pomylić może, jeżeli go roztropność i męska rozwaga nie wspiera.[2])

Styczniowy zeszyt *Przeglądu polskiego* z roku 1879 przyniósł z sobą obszerne studyum krytyczne o *Koryolanie* Szekspira, o tym dramacie, który nie należy do najwięcej u nas znanych i sławnych, a który do wielkiej sławy ma prawo. *Koryolan* to jedna z ulubionych postaci Tarnowskiego, to też mało o którym utworze pisał tak *con amore*, jak o tej tragedyi, której arystokratycznego bohatera przedewszystkiem pragnął zrehabilitować w opinii. Jak *Nieboska komedya*, tak i *Koryolan* z bardzo bliska dotyka kwestyi arystokracyi i demokracyi: te dwie siły, te dwa pierwiastki, ich nienawiść i walka są treścią szekspirowej tragedyi. Problem to, nad którym Tarnowski zawsze przemyśliwał niemało; stąd jego słabość do *Koryolana*. »Imię jego słyszy się tak często, nasi pisarze dziejów polskich tak lubią je wspominać, kiedy mówią o rokoszach, o konszachtach z zagranicznymi panami, że ten hardy patrycyusz mszczący się urazy swojej na Rzeczypospolitej wyszedł niemal na uosobienie tego pierwiastka oligarchicznej dumy, który w całym ciągu historyi polskiej burzy, fermentuje, rozkłada i rozsadza, na patrona naszych Zborowskich, Zebrzydowskich i wszystkich innych urażonych królewiąt polskich. To też z niechęcią i z gniewem myśli się o nim i mówi, jakżeby on był przykładem i wzorem do złego, i każdy z nas, kiedy go przypadkiem wspomni, rzuca na niego złe słowo, jak żydzi w dolinie Józefata kamień na grób tego Absalona, co dał przykład buntu. Ale właśnie dla tego gniewu na *Koryolana*, ze szczególnem zajęciem bierze się do ręki dramat, którego on jest bohaterem; a otwiera się

---

[1]) Złośliwa aluzya do słów listu Ujejskiego: »...może nie byłoby mowy Hausnera. Ziarnko piasku byłoby wstrzymało olbrzyma!«

[2]) W obwodzie samborskim, gdzie w tym czasie był jakiś wybór uzupełniający, Tarnowski wraz z pięciu innymi wyborcami, podali do publicznej wiadomości, że tym razem nie głosowali na dawnego i jednomyślnie dotąd wybieranego posła tego obwodu, Piotra Grossa, dlatego, że był na bankiecie dla Hausnera... St. Tarnowski, *Pisma polityczne*, I, 456—7.

go z myślą, że znajdzie się w nim coś polskiego nieledwie. Znajduje się w nim coś więcej i nie przystosowanie lub podobieństwo do poszczególnych osób, faktów lub narodów, ale świat cały, ale człowieka i ludzkość, ale te wielkie odłamy, na które się ludzkość rozpada i dzieli, ich naturę, ich wzajemny stosunek, ich namiętności, ich walki«. Na pytanie zaś, czy i co polskiego jest w *Koryolanie*, jakie przystosowanie do naszych dziejów lub natur? odpowiedział Tarnowski, co następuje: »Nasze sejmy, nasze konfederacye, nasze najzbawienniejsze polityczne myśli i nadzieje, udaremnione przez podejrzliwość, przez intrygę, przez zazdrość, te poznaje się w tej sprawie doskonale. Jednego tylko w historyi naszej dojrzeć nie można, to *Koryolana*«. Bo ci wszyscy, co u nas robili rokosze lub spiski z innemi państwami, nie byli warci miana *Koryolanów*; oni wszyscy byli gorsi od niego. Ale nie mogąc się pochwalić ani jednym *Koryolanem*, niemożemy się skarżyć na brak trybunów. *Koryolan*, zdaniem Tarnowskiego, taki, jakim go maluje Szekspir, to piękny typ arystokraty w najlepszem znaczeniu wyrazu, i gdyby nie nadmierna duma, która go zresztą zgubiła, byłby bliskim ideału. Tak go pojmuje i przedstawia Tarnowski, ustępy zaś, w których charakteryzuje »idealne principia wszelkiej arystokracyi«, nietylko należą do najcelniejszych w rozprawie, ale nader subtelnie i trafnie tłomaczą wiele właściwości sfer arystokratycznych... Wogóle psychologiczna analiza charakteru *Koryolana*, z jego wszystkiemi zaletami i wadami, jako urodzonego arystokraty, jako patrycyusza w stosunku do plebejuszów, to najbardziej oryginalna i nowa strona tego studyum, najmniej rozwinięta przez poprzedników. O ile Spasowicz, w swem głęboko pomyślanem studyum o szekspirowskim *Koryolanie*[1]) przedstawia go bez ogródek, jako »człowieka ograniczonego umysłowo przez swe kastowe przesądy, niesłychanie zapalczywego i butnego«, jako »arystokratę z przekonań i przyzwyczajeń, o ciasnych i jednostronnych poglądach«, o tyle Tarnowski stara się wytłomaczyć, dlaczego *Koryolan* jest takim, a nie innym, jakie wpływy »arystokratycznego Olimpu«, na którym był zrodzony i wychowany, złożyły się na niepowszednią indywidualność dumnego syna Wirginii.

Gdy w kwietniu roku 1879 wystawiono na scenie krakowskiej *Horsztyńskiego*. Dało to asumpt Tarnowskiemu do napisania studyum krytycznego o tym polskim Hamlecie. Studyum to ukazało się w *Przeglądzie polskim* z maja. »Przez głęboką tragiczność sytuacyi,

---

[1]) *Pisma*, tom VIII, str. 87.

przez oryginalność i wierną psychologiczną konsekwencyę charakterów, przez wierną historyczną fizyognomię ludzi i czasów, przez postacie nakreślone z wielką siłą, jak Horsztyński i Hetman, z wielkim poetycznym urokiem, jak Salomea i Amelia, nadewszystko przez głęboko pomyślaną i mistrzowsko wykonaną figurę Szczęsnego, genialnie postawioną w tak smutnej a tak oryginalnej sytuacyi, *Horsztyński*, gdyby był skończonym, byłby tragedyą pierwszego rzędu«. A gdyby do tego był napisany wierszem, byłby najpiękniejszą tragedyą, ze wszystkich, jakie są w naszej poezyi. A przytem, jako najbardziej oryginalny z pośród dramatów polskich, byłby może i najbardziej specyficznie polskim. Wszystko tu polskie, wszystko własne. »Szczęsny przypomina Hamleta, niektóre sceny są z niego naśladowane ślepo, a mimo to przecież dramat w swoich głównych zarysach i pierwiastkach nie zbliża się ani do typu Szekspira, ani do Schillera, ani do dramatów francuskich, jest samoistny, od wszystkich odmienny i odrębny«.

Dnia 12 marca 1879 r. zmarł w Poznańskiem, w swej rodzinnej Turwi, jenerał Dezydery Chłapowski. Był to ostatni z jenerałów polskich. Wprawdzie żyli jeszcze tacy, do których się mówiło po tym pięknym tytule, ale ich stopnie były z obcego wojska, a w polskiem służyli w niższych. Ostatnim, który był jenerałem w wojsku polskiem, ostatnim, który w polskich bitwach dowodził, był Chłapowski. I to był *Leitmotiv*, na którym Tarnowski osnuł swe wspomnienie o Chłapowskim, wydrukowane w kwietniowym zeszycie *Przeglądu polskiego*. »Nad jego grobem — pisał — łamie się serce z żalu na myśl, że kończy się już nie Kościuszkowska, ale późniejsza Polska, Napoleońska i roku 1831, kiedy znikają ostatnie jej zabytki i że młodsze pokolenie już żadnego prawdziwego jenerała widzieć nie będzie, że ostatnie blaski dawnych walk nadziei i chwały gasną, ostatnie ich relikwie rozsypują się w proch. Zgon ten, zabierając ostatniego z naszych jenerałów, przykłada niejako pieczęć na dawno skończoną epokę rycerskich dusz i żywiołów, a nam zostawia smutek w sercu i pytanie: Kto Polskę taką jak była zobaczy? nie już taką, jak była za dni swej niepodległości, ale choćby taką jeszcze, jak była w r. 1831. Aż do owej chwili niepodległość stracona przeżyła choć po części sama siebie w nieprzerwanej odrębności polskiego wojska, Orzeł Biały żył choć jednem zewnętrznem widomem życiem, na sztandarach, a ci, co sztandary nosili i pod niemi służyli przeciągnęli do naszych czasów, jakżeby resztki niepodległości częściowej, łączącej się z zupełną. Z ich ubytkiem zrywają się nici tej ciągłości, nikną jej widoczne materyalne znaki: dla nas były rzeczywistością, teraz staną się

tradycyą tylko. Dlatego te zgony tych starców tak smutne, dlatego ma się takie wrażenie, jakżeby na grobie tego jenerała łamać się miały ułańskie lance i chorągiewki!« [1]).

Tymczasem, w październiku 1879 roku, przeżyto chwilę, która, jako wyjątkowo podniosła, na długie lata zapisała się w pamięci Krakowa i całej Polski. Tej niezapomnianej chwili dostarczył uroczysty 50-letni jubileusz Kraszewskiego, urządzony w Krakowie, a połączony z uroczystem otwarciem świeżo odrestaurowanych Sukiennic. O takiem publicznem uczczeniu zasług Kraszewskiego, jako znakomitego pisarza, już radzono oddawna. Tarnowski, jak i jego przyjaciele polityczni, trzymali się zdaleka od tych obrad, albowiem mieli cały szereg zastrzeżeń w tej kwestyi. »Zdawało nam się — słowa są Tarnowskiego — że jak zapomnienie rocznicy takiej świadczyłoby o nas źle i dowodziłoby oschłości, zobojętnienia dla rzeczy ważnych i ludzi znaczących, tak znowu uczczenie jej bardzo głośne, bardzo liczne, także nie byłoby dowodem zdrowia i posiadania się w sobie. I kiedy zaniosło się na to, że ze wszystkich części Polski i z różnych części świata staną w Krakowie deputacye z życzeniami i pamiątkami, że co więcej, kto żyje i może, ciągnąć tam będzie jak pospolitem ruszeniem, nie mogliśmy obronić się od pewnego smutku. Czyż nigdy, pytaliśmy, nie potrafimy utrzymać właściwej miary? czy nie wytrzeźwiejemy nigdy z tej skłonności do upajania i odurzania się, z tej potrzeby silnych wrażeń, która ludziom i sprawom tyle u nas częstokroć szkodziła? Literatura jest wielką życia narodowego częścią i siłą; Kraszewski jest pisarzem tak wpływowym, że nie sama literatura tylko, ale i historya naszych pokoleń będzie go musiała znać i pamiętać; ale ani literatura nie jest najwyższym w naszem życiu porządkiem rzeczy, ani on w tej literaturze najwyższym. My tymczasem spieszymy składać mu hołd, jakiego nie odebrał od nas ani Mickiewicz, ani żaden nigdy z dziejopisów, mówców, uczonych, i gotujemy pisarzowi obchód tryumfalny, jakiego nie miał Czarniecki po wojnach szwedzkich, ani Sobieski po Chocimie i Wiedniu. Źle jest, myśleliśmy, kiedy naród jaki dziełom pióra od-

---

[1]) Z nekrologów, które Tarnowski napisał do *Przeglądu polskiego* w ciągu roku 1879, najważniejszem było niewątpliwie wspomnienie pośm. o *Horacym Delaroche*, zmarłym w Wersalu d. 3 maja. Ponieważ zmarły należał do najserdeczniejszych przyjaciół Tarnowskiego, więc nie była to śmierć, nad którą by po napisaniu rzewnego nekrologu, przechodziło się do porządku. W innym rodzaju był nekrolog, napisany pod wrażeniem śmierci Piotra Moszyńskiego, bardzo podniosły w tonie, a pełen głęboko odczutych refleksyi na temat patryotyzmu polskiego.

daje cześć należną samym tylko czynom szabli i berła; i gdyby to był nie Kraszewski, ale sam Mickiewicz, jeszcze bylibyśmy pomyśleli, że to za wiele, bo poetom i mistrzom sztuki i natchnionym wieszczom nawet należą się słusznie wieńce na Kapitolu, ale tryumfy na Forum zwycięzcom tylko, założycielom i zbawcom«. I nie był to wzgląd jedyny: były i inne, politycznej natury, niemniej ważne; i to były powody, dla których, w mniemaniu Tarnowskiego, obchód w zakresie skromniejszym może byłby właściwszym. Ale zdanie to było prawie odosobnione, a że argumenty, któremi zwolennicy możliwie uroczystego obchodu — Zyblikiewicz między innemi — starali się przekonać Tarnowskiego, także miały swoją wagę, więc zajął stanowisko wyczekujące. Ale w ostatniej chwili, gdy już nie widział racyi do trzymania się zdala, przyłączył się do powszechnego, prawdziwie wszechpolskiego obchodu. Jubileusz pod każdym względem wypadł świetnie, zjazd był olbrzymi, wszystko, co w Polsce było wybitniejszego, przybyło do Krakowa, uroczystość, której nastrój przeszedł wszelkie oczekiwania, przeobraziła się w prawdziwie narodowe święto; Kraków miał kilka dni niezrównanych, które na zawsze zostaną pamiętne w jego historyi. Po skończonym jubileuszu, gdy się okazało, że wszystkie przewidywania, żywione przez Tarnowskiego i jego przyjaciół, były mylne, Tarnowski wystąpił w *Przeglądzie polskim* z artykułem, w którym z przyjemnością przyznał się do omyłki. »Dziś, kiedy się stało wbrew temu zdaniu, szczęśliwi jesteśmy — pisał — że ze szczerego przekonania powiedzieć możemy: stało się dobrze! Z naszych obaw nie sprawdziła się dzięki Bogu żadna«. Stąd i usposobienie, w jakiem Tarnowski uczestniczył we wszystkich uroczystościach tych dni pamiętnych, było nadzwyczaj radosne, widział bowiem, że ta pierwsza narodowa uroczystość od czasu naszych ostatnich nieszczęść, a może wogóle pierwsza w tym rodzaju, przerosła zwykłą miarę obchodów i uroczystości, a miała dla nas znaczenie jeżeli nie historycznego faktu, to przynajmniej drogiego i pięknego wspomnienia. Jakoż i artykuł Tarnowskiego, pisany pod świeżem wrażeniem przeżytych chwil, był wiernem odbiciem tego podniosłego nastroju. Oto n. p. jak w nim scharakteryzowaną została cała uroczystość: »Sięgając myślą w przeszłość, spotykaliśmy w niej wiele chwil weselszych i świetniejszych, ale nie wiemy, czy kiedy na tych miejscach odbyło się coś podobnego. Weselej zapewne było na sercu tym, co w r. 1809 w tych samych Sukiennicach przyjmowali księcia Józefa i wojsko polskie, świetniej było, kiedy »do hołdu pruski książę klękał«, albo kiedy aż czterech podobno królów ucztowało u Wierzynka... Że tamci byli szczęśliwsi, któżby przeczył. Ale tego, co

teraz, nie było ani za księcia Józefa, ani za Jagiellonów, ani za Kazimierza; wtedy zawsze kogoś, jakiegoś bohatera lub gościa, a teraz przyjmował Kraków Polskę całą, która się ze wszystkich stron umyślnie na to do niego zjechała... Był to fest, który Polska dała dla siebie samej, i lata, pokolenia przejdą, może i wieki, a jak my dziś bale księcia Józefa i uczty Wierzynka, tak niegdyś potomni, daj Boże szczęśliwsi, wspominać będą, jak w czasach straszliwie czarnych, Polska znękana przyszła tu odetchnąć, poczuć się w sobie i oddać cześć przeszłości swojej pod figurą dźwignionego z gruzów budynku, teraźniejszości w osobie człowieka, który przez pół wieku (najcięższe z wszystkich) wszystkie jej cierpienia brał w serce i wiernym jej był zawsze, i przyszłości wreszcie oddać świadectwo i obietnicę, że przeszłość pamięta, co w teraźniejszości jest. Wspomnienia te, nie tak pogodne, ale niemniej rzewne; goście nie tak uwieńczeni chwałą i nadzieją, jak żołnierze księcia Józefa, ale niemniej od nich mili, a milsi od Duńskich i Cypryjskich królów«. W artykule tym nieomieszkał też Tarnowski dać wyraz swemu pogodzeniu się z Kraszewskim, z którym od czasu artykułu o *Rachunkach z r. 1867* był poróżniony, a który teraz pierwszy wyciągnął rękę do zgody. Oczywiście, że musiało to być w odpowiedni sposób zaznaczone w artykule. Zdaje się, że piękniej, bardziej po rycersku, nie dało się to uczynić, jak to uczynił Tarnowski, kiedy pisząc o tych, którzy w obchodzie osobami swemi znaczyli, z pomiędzy wszystkich wymienił »tego naprzód, który był jego powodem i bohaterem, a który jakżeby nie chciał, nie przyznawał sobie prawa wziąć dla siebie całą cześć, jakiej tyle złożono mu dowodów, powtarzał tylekroć, że się niemi choć uszczęśliwionym, ale i upokorzonym czuje«. Pojmujemy — były słowa Tarnowskiego — że tak myślał i to całem swojem zachowaniem wyrażał, ale jeżeli jemu to było wolno, to nam znowu przystoi powiedzieć, że i najskromniejszy chlubić się ma prawo, kiedy odbiera takie dowody wdzięczności i przywiązania od swego narodu, że w ręce Kraszewskiego, dziś jednego już z najstarszych, a zawsze jednego z najwytrwalszych między naszymi pisarzami, składaliśmy niejako podziękowanie dla tego piśmiennictwa, któremu tyle jesteśmy winni, bo jedno żyło i życie krzewiło, kiedy wszystko inne obumierać musiało, że przytoczone przez niego w przemówieniu przysłowie »niezasłużony ale szczęśliwy« przed ludzkim sądem ostać się nie może, bo musiał być zasłużonym, kto był tak szczęśliwym, komu Bóg dał, że imieniem swojem ściągnął ziomków ze wszystkich stron świata i dał powód do szczęśliwego ich spotkania się i pobratania, daj Boże, trwałego. To pismo — *Przegląd polski* — nie należało nigdy

do bezwzględnych wielbicieli Kraszewskiego, do przeciwników raczej, a piszący te słowa raz nawet był jego napastnikiem; niechże nam dziś wolno będzie życzyć mu długiego jeszcze zawodu i tej pociechy, żeby przez resztę życia widział nas tak pobratanych i moralnie przynajmniej zjednoczonych, jak przez te dni kilka, a powinszować z całego serca, że miał tak piękną w życiu chwilę i że przez niego mieliśmy ją wszyscy« [1]).

W ciągu roku 1878 i 1879 ukazały się w Krakowie cztery olbrzymie tomy monografii Henryka Lisickiego o *Aleksandrze Wielopolskim*. Należało z nich zdać sprawę w *Przeglądzie polskim*. Zadanie wcale nie należało do łatwych, bo dzieło było owocem niezwykłej pracowitości, a przytem oparte na dokumentach z pierwszej ręki. Kwestya była tem drażliwsza, że dzieło w przedstawieniu faktów grzeszyło nieraz niedokładnością, w sądach czesto niesprawiedliwością. »Po jednej stronie wszystkie winy, wszystkie błędy i cała odpowiedzialność; po drugiej same doskonałości i nieomylność«. Na domiar złego autor dzieła należał do współpracowników *Przeglądu polskiego*. Ale Tarnowski się tem nie dał zrazić: *Amicus Plato, magis amica veritas*. Tej prawdzie należało uczynić zadość, i to było główną pobudką, którą powodowany, Tarnowski napisał swój obszerny i bez-

[1]) *Przegląd polski*, 1879, listopad, *Zjazd krakowski z powodu jubileuszu J. I. Kraszewskiego*. W recenzyi z książki Chmielowskiego o Kraszewskim tak pisze Tarnowski o tym jubileuszowym obchodzie: »O obchodzie jubileuszowym Kraszewskiego w roku 1879 mówi pan Chmielowski na podstawie opisu p. Włodzimierza Spasowicza (*Ateneum* 1879), bo sam nie był jego naocznym świadkiem. Czy ten obchód nie przechodził miary człowieka, który był jego bohaterem, tego pytania p. Ch. nie porusza. Zmusza nas za to w tem miejscu do osobistej obrony. »Stronnictwo Stańczykowskie, mające urazę do jubilata od czasu *Rachunków*, usiłowało wprawdzie o ile możności zdusić zapał... i dopiero w ostatniej chwili, gdy Cesarz Franciszek Józef uczcił Kraszewskiego orderem, przystąpiło do złożenia swego zimnego hołdu«. Stronnictwo Stańczykowskie — jeżeli o takiem mówić można — sądziło, że obchód nie był do miary człowieka i jego zasług, a nie mogąc tego przekonania udzielić innym, miało sobie za obowiązek nie należeć do obchodu, którego w swojem przekonaniu nie pochwalało. Jak Stańczycy tę sprawę rozumieli, to powiedzieli głośno i wyraźnie, tu, na tem miejscu, w *Przeglądzie*, w listopadzie 1879 r. Obchód na cześć Kraszewskiego, pisarza, uważali za właściwy i sprawiedliwy, i dlatego na obiedzie danym Kraszewskiemu przez literatów, był Szujski i był niżej podpisany. To jest ten »zimny hołd«, o którym pan Ch. wspomina. Nie do orderu, danego przez Cesarza, ale do własnego przekonania i rozumu stósowaliśmy nasze postępowanie. Posądzać nas o własne urazy, a dopieroż mówić, żeśmy się oglądali na ten order, by wiedzieć, co mamy myśleć i robić, nie było ani prawdziwie, ani pięknie. Przywykliśmy wprawdzie od lat dwudziestu do tego, że taką bronią walczą z nami tacy, co innej nie mają; ale zobaczyć ją w ręku pana Chmielowskiego, to nam było trochę dziwno«. *Przegląd polski*, 1888, wrzesień, str. 541—2.

względnie szczery rozbiór dzieła Lisickiego, rozbiór, który, jako ogólny sąd o książce, wcale nie wypadł pochlebnie, owszem, bardzo surowo [1]). Zdaniem krytyka, Margrabia sam przedstawiony jest w dziele jednostronnie, czasy zaś, wypadki i ludzie, na których tle postać jego rysować się miała, czasem niedokładnie, a co gorsza, często z uprzedzeniem. Co szczególniej niepodobało się Tarnowskiemu, i przeciwko czemu też z całą siłą zaprotestował, to sposób, w jaki w książce przedstawiona została rola emigracyi, rola skupiających się koło Hotelu Lambert i *Wiadomości polskich*. Władysław Zamoyski także stał się, niewiadomo z jakiej racyi, ulubioną ofiarą p. Lisickiego. Toż i książę Adam Czartoryski, dobra dusza, ale głowa... Podobnież osądzoną została rola Komitetu Towarzystwa Rolniczego, rola duchowieństwa, i t. d. Wszystko to domagało się sprostowania i odparcia, a Tarnowski z pewnością nie był tym, którył nie powiedział wszystkiego, co myśli: niech boli, jako chce! I powiedział! A czy znowu sam *in der Hitze des Gefechtes* w niektórych razach nie poszedł za daleko, czy jako zwolennik Andrzeja Zamoyskiego nie był zbyt wymagającym wobec Margrabiego, trudno przesądzać. W każdym razie Spasowicz, który z czasem zajął stanowisko superarbitra w tej sprawie Tarnowski *contra* Lisicki, w ten sposób, w przedmowie do swego dzieła o Wielopolskim, wyraził się o niej: »Nie odpowiadały moim przekonaniom ani kadzidła pochwalne, jakie p. Lisicki przyniósł w darze Margrabiemu, ani pełne wrogiego nastroju, silnie namiętne poglądy Stanisława hr. Tarnowskiego. Sądziłem, że człowiek rzeczywisty był znacznie prostszy i bardziej określony«. W każdym razie nie był taką uosobioną doskonałością, taką bierną ofiarą zawiści i intryg, jak go przedstawił Lisicki, a czem, według Tarnowskiego, wątpliwą przysługę wyświadczył Margrabiemu. »Czy on był takim naprawdę, czy tylko współczucie biografa takiem otacza go światłem, ale w żywocie swoim Margrabia ma charakter i wyraz biernej ofiary raczej, niż czynnego walczącego człowieka; to nie człowiek z ciała i kości, z ludzkich cnót i przywar w tytanicznych tylko proporcyach, to baranek bez zmazy, który idzie na ofiarę łagodnie, cicho i smutnie! W postaci mytologicznego Syzyfa z kamieniem, albo Atlasa dźwigającego ciężar nie na ludzkie siły, wyobrażaliśmy sobie dotąd Margrabię. P. Lisicki maluje go w postaci Izaaka albo Ifigenii w Aulis! Czy mu ta postawa jest właściwą, czy z tamtą nie było mu bardziej do twarzy? Nie chcemy sądzić; dość, że wszyscy go krzywdzą, wszyscy przeciw niemu spiskują,

---

[1]) *Przegląd polski*, 1879, listopad, 1880, styczeń.

wszyscy go biorą za cel wszelkiego rodzaju pocisków, wszyscy o tem tylko myślą, jak go zgubić, a on usiłuje tylko przekonać, przejednać, a kiedy nie może, przebacza i poświęca się dalej. Ten męczennik jest świętszy zapewne, i dla Margrabiego lepiej, jeżeli był takim; ale żal nam przecież rozstać się z tym, do któregośmy przywykli, z tym, który moralnie nie tak doskonały, psychologicznie i historycznie był bardziej zajmujący i bardziej nauczający przez to właśnie, że bardziej ludzki, bardziej polski. Doskonałości jest więcej w tym wizerunku Margrabi, jaki skreślił p. Lisicki; wielkości politycznej, tragicznej, bohaterskiej, więcej w tym, który dotąd mieliśmy wszyscy w pamięci, w tym obrazie człowieka, który nie biernie znosi, ale wstępnie działa; nie czeka i odpiera, ale idzie na przebój; a ma do walczenia nie ze swoimi tylko, albo z rządem rosyjskim, ale i z sobą samym, z tym nieprzyjacielem najtrudniejszym do pokonania, bo najtrudniejszym do poznania«.

Artykuł Tarnowskiego, zbijający cały szereg twierdzeń Lisickiego, a często, gdzie autor oskarża innych, przypisujący wiarę właśnie Margrabiemu, wywołał replikę ze strony Zygmunta Wielopolskiego, który w liście otwartym *Do JW. hr. Stanisława Tarnowskiego*, przysłanym do *Przeglądu polskiego*, a także wydanym w osobnej broszurze, usiłował wywody Lisickiego, tak bez zastrzeżeń apoteozujące Margrabiego, utrzymać w całej mocy. List był cierpki w tonie, czasem zjadliwy; mimo to Tarnowski wydrukował go z całym spokojem na pierwszem miejscu w styczniowym zeszycie *Przeglądu polskiego* z r. 1880, zaznaczywszy tylko w przypisku, między innemi co następuje: »Mamy sobie za obowiązek, o ile to od nas zależy, ułatwić p. Margrabiemu Wielopolskiemu odezwanie się w tej sprawie. Głos jego bowiem, pomijając już względy najszanowniejsze, które go powodują, jest i dla rzeczy samej tak ważny, że z największą gotowością dajemy mu miejsce w naszem piśmie, jakkolwiek różni się od naszych na tę sprawę zapatrywań«. List był bardzo długi, napisany stylem bombastycznym, a jako skreślony od początku do końca *pro domo sua*, grzeszył namiętną stronniczością, która czasami rozmijała się nawet z formą wykwintną.

Oto n. p. jeden z ważniejszych, bardziej zasadniczych ustępów:

Z zamiłowaniem dramatyczności charakterów, przeobrażasz JW. Pan Margrabiego, człowieka niezłomnych zasad i człowieka czynu, w tragicznego bohatera. Henryk Lisicki skreślił żywot Margrabiego dla pamięci i nauki współziomków, wystawił go takim, jakim go znali wszyscy, z którymi go bliższe łączyły stosunki. JW. Pan robisz z niego bohatera nader dramatycznego, ale w którym trudno mnie było własnego poznać ojca. Chciej zatem JW. Pan przebaczyć, jeśli w tym jednym szczególe, powodowany zarówno uczuciem synow-

skiem, jako i zamiłowaniem prawdy historycznej, zaprotestuję głośno przeciwko niewątpliwie krasomówczym i efektownym, lecz z faktami tak sprzecznym zarzutom, jakie JW. Pan czynisz Henrykowi Lisickiemu. Wyznać muszę JW. Panu, i wyznania tego proszę za złe mi nie brać, że w sądach swych o owych czasach, których świadkiem niestety nie byłeś, a na których stronne podania, ból poniesionej straty może JW. Pana czynić szczególnie czułym, robisz na mnie wrażenie przypatrującego się pogorzeli domu, ze wszech stron podpalonego, który spokojnie rozprawia nad różnemi systemami sikawek. Margrabia z toporem w ręku, bo sikawek odmawiają mu różne ówczesne solidarności wzajemne towarzystwa, rąbie, gdzie tylko płomień wybucha. Jeśli gdzie drzazgą draśnie podpalaczy, powstaje na Margrabiego wielka wrzawa nie od Odry do Dźwiny, ale od Sekwany do Dniepru, a JW. Pan piszesz pod wpływem jeśli nie wrzawy, to wspomnień pojedynczych podpalaczy«.

Zdaniem Z. Wielopolskiego, ani Tarnowski, ani nawet Lisicki, nie wykazali rzeczywistych błędów Margrabiego. »Zbłądził Margrabia w tem, że wierzył podówczas w dojrzałość polityczną swoich; że mniemał, iż Polak Polaków do dobra Polski z prawem w ręku prowadzić może«. A co się tycze Henryka Lisickiego, będącego »poniekąd uczestnikiem życia, które opisuje«, to mu za jego dzieło należy się najgoretsza podzięka. Dlatego, w końcowym ustępie listu, znalazły się następujące słowa: »Pozwól JW. Pan, abym tutaj — to jest na łamach *Przeglądu polskiego* — wbrew jego sądom, w imieniu prawdy historycznej, o ile ją znam, w imieniu własnem i całej mej rodziny za dzieło *Aleksander Wielopolski* złożył hołd wdzięczności Henrykowi Lisickiemu«.

Pierwsze zeszyty paryskiej *Revue des deux Mondes* z r. 1880 przyniosły swym czytelnikom słynne od tego czasu w literaturze dantejskiej *Causeries florentines* Juliana Klaczki, dzieło mistrzowskie, zupełnie wybiegające ponad zwykły poziom studyów tego rodzaju, na Zachodzie nawet, a cóż dopiero u nas. Zdaniem Tarnowskiego, »odkąd w Polsce pisać zaczęto, nigdy jeszcze w kwestyach literatury zagranicznej lub sztuki nie było przez Polaka napisanem nic, coby wagą swoją, głębokością nauki, przenikliwością myśli, wykwintnością krytycznego i artystycznego zmysłu, a wreszcie układu doskonałą proporcyą i stylu świetnością, choćby zdaleka bardzo przybliżało się do tych *Florenckich Wieczorów*«. Ale rzecz była napisana po francusku, a tem samem mogła być kwestyonowaną jej przynależność do polskiej literatury. Tarnowski nie podzielał tej obawy, ani miał za złe Klaczce — choć wielu było innego zdania — że nie po polsku napisał swą książkę: rzeczy, do powszechnego użytku przeznaczone, powinny się pisać w języku powszechnie zrozumiałym. Dlatego to nasi dzielni pisarze XVI wieku, gdy obrabiali przedmioty powszechnego zajęcia i znaczenia, pisali o nich po łacinie. Dla tych samych powo-

dów napisał Klaczko swoje studyum o Dantem po francusku. »Ale jak *Respublica* Modrzewskiego, jak Goślickiego *Senator* lub Warszewickiego *Poseł*, choć w obcym języku do polskiej literatury należał, tak i ta, innego porządku i zakresu praca naświetniejszego dziś z polskich pisarzy staje się z natury własnością i ozdobą naszego piśmiennictwa, które winno jest jej i sobie samemu wziąć ją coprędzej w posiadanie, przenosząc ją w swój własny język«. Jak Bazylik Modrzewskiego traktat o Rzeczypospolitej, jak Brodziński Kochanowskiego łacińskie elegie, tak i Tarnowski — jako duchowy uczeń Klaczki — miał sobie za obowiązek przetłómaczyć te jego *Causeries Florentines*. Przetłómaczył je, jako *Wieczory florenckie*, a przekład ten, drukowany w *Przeglądzie polskim* [1]), a następnie wydany w książce, tak umiał odtworzyć wykwintność stylu Klaczki, że niczem nie ustępuje oryginałowi.

W tym samym czasie, gdy ten mistrzowski przekład *Wieczorów Florenckich* wychodził w *Przeglądzie polskim*, odbyło się w Krakowie, dnia 14 maja, uroczyste przeniesienie popiołów Jana Długosza z urny w krypcie kościoła św. Stanisława na Skałce do ustawionego tamże sarkofagu, poczem, z inicyatywy Akademii Umiejętności, a za przewodem Szujskiego, odbył się Zjazd historyczny imienia Długosza. Tarnowski, (który przed kilku miesiącami, d. 22 listopada, został mianowany profesorem zwyczajnym) brał czynny udział w przygotowaniach do tych uroczystości, a jako ich uczestnik od początku do końca, przeżył cały szereg chwil podniosłych i niezapomnianych. »Taką chwilą był przedewszystkiem powtórny uroczysty pogrzeb. Kiedy wśród półcienia podziemnej krypty, z wielkim a surowym smakiem odnowionej, tej samej krypty, którą wraz z kościołem Św. Stanisława sam Długosz fundował i na grób sobie przeznaczył, grono duchownych, uczonych i ludzi poważnych wiekiem i stanowiskiem w kraju, z prawdziwą *pietas* dla zmarłego przed wiekami, kości jego do nowej składało trumny, każdy tam obecny, czuł i widział, że wszystko to i lepiej i piękniej, i poważniej odbywać się nie może, i cieszył się tylko, że nareszcie do tego przyszło« [3]). Tego samego uczucia musiał doznawać wtedy i Tarnowski, zwłaszcza w chwili, gdy wraz z innymi profesorami Uniwersytetu ze wszystkich czterech wydziałów, oddawał należny hołd szczątkom wielkiego dziejopisa, odnosząc je z kościoła na nowe miejsce spoczynku. »Obok tego religijno-kościel-

---

[1]) W zeszytach za marzec, kwiecień, maj i czerwiec 1880 r.
[2]) Od tego czasu ukazały się już *Wieczory florenckie* w trzeciem wydaniu.
[3]) *Przegląd polski*, 1880, czerwiec, str. 447.

nego wstępu — pisał sprawozdawca *Przeglądu polskiego* — miał zjazd historyczny także i wstęp swój publiczny, naukowy, Akademia bowiem dla niego o dwa tygodnie opóźniła w tym roku swoje coroczne pełne posiedzenie, łącząc je z Kongresem i otwierając go niejako pod swoją egidą. Na posiedzeniu tem zaś wspaniałym odczytem swoim o stanowisku Długosza, jako historyografa, wobec zagranicznych dziejopisarzy średniowiecznych, poprzedzających go i jemu współczesnych, połączył je już widocznie Sekretarz Akademii — Szujski — z mającym nazajutrz rozpocząć się Kongresem. Walne to posiedzenie, tak liczne i świetne, jakiego Akademia od chwili swego otwarcia podobno jeszcze nie miała, odbyte w pięknie przystrojonej i na Kongres już przygotowanej wielkiej sali Sukiennic, u stóp kolosalnego popiersia Długosza, uwieńczonego wawrzynem, nosiło na sobie wybitną cechę niezwyczajności. Wszyscy niemal członkowie zasiadali swe kurulne krzesła, kilku nawet po raz pierwszy, przemówienie zaś prof. Roepella, którego echo w słowach: »Umiejętność nie dzieli, ale łączy narody«, brzmiało przez wszystkie te dni w uszach wszystkich i nad wszystkiemi uroczystościami i pracami zjazdu się rozlegało, wywołało wśród wszystkich obecnych nietajony zapał i serdeczne podziękowanie dla sędziwego gościa«. Zjazd trwał dni cztery, a pod każdym względem wypadł bardzo świetnie. Tarnowski, w miejsce zapowiedzianego referatu w sekcyi historyczno-literackiej, na temat: *Jak uczcić rocznicę śmierci Jana Kochanowskiego?* [1]) wystąpił z mową na bankiecie w Sukiennicach, a poprzednio, na posiedzeniu Akademii, odczytał wiersz A. E. Odyńca, wysławiający pamięć Długosza.

Jak przed rokiem jubileusz Kraszewskiego i otwarcie odno-

---

[1]) Przyszły autor wyczerpującej monografii o *Janie Kochanowskim* zajmował się w tym czasie więcej, niż zwykle Janem z Czarnolasu, albowiem w lutym roku 1880 miał w Krakowie odczyty o poetach z czasów Odrodzenia w Polsce. Oto, co w tej kwestyi czytamy, w jednym z przypisków do 15-go tomu dzieł Szujskiego: »W tym samym czasie (w końcu r. 1879), na koleżeńskiem zebraniu u Szujskiego, powstała myśl zbiorowego cyklu odczytów o wieku Odrodzenia w Polsce. Temata rozebrali między siebie: prof. Morawski (wstępny odczyt: Odrodzenie), prof. Tarnowski (Poeci), prof. Sokołowski (Sztuka Odrodzenia w Polsce), prof. Bobrzyński (Literatura historyczna i polityczna w wieku Odrodzenia); rdzeń całego cyklu stanowić miały odczyty Szujskiego, którym on sam dał tytuł następujący: *Wpływ Odrodzenia na stan religijny, społeczny i polityczny Polski XV i XVI wieku.* Wstępny odczyt miał prof. Morawski d. 14 stycznia 1880 r., z kolei nastąpiły odczyty Szujskiego: pierwszy odbył się 18 stycznia, drugi zapowiedziany był na 21 stycznia. Tymczasem Szujski się rozchorował, drugi odczyt nie mógł już odbyć się w dniu oznaczonym, 25 stycznia wreszcie prof. Tarnowski odczytał rzecz z rękopisu Szujskiego, aby nie dopuścić dłuższej przerwy w rozpoczętym cyklu«.

wionych Sukiennic ściągnęły do Krakowa gości z całej Polski, tak w r. 1880 na ten sam czas przypadł przyjazd cesarza Franciszka Józefa, który odbywając podróż po Galicyi, trzy dni spędził w Krakowie. Że ten przyjazd monarchy, będący wyrazem i uwieńczeniem obustronnej, stałej i statecznej dążności, wypadł niesłychanie świetnie, że swą świetnością i uroczystością przeszedł wszystkie krakowskie obchody, jakie w ciągu ostatnich paru lat widziano w Krakowie, to było naturalnem zupełnie. Całe trzy dni przeszły na szeregu wspaniałych festynów, począwszy od uroczystego wjazdu przez Bramę Floryańską — uwiecznionego następnie pędzlem Juliusza Kossaka — a skończywszy na balu w górnych salach Sukiennic. Tarnowski należał do tych szczęśliwych wybranych, co prawie przez cały czas mieli sposobność być najbliżej cesarza, czy to przy jego powitaniu przez prezydenta Zyblikiewicza, czy to, gdy monarcha przyjmował deputacyę szlachty, której imieniem przemawiał Paweł Popiel, czy to, gdy cesarz zwiedzał Uniwersytet i Bibliotekę Jagiellońską, czy na balu w Sukiennicach, czy podczas słynnego wesela chłopskiego na Rynku. To chłopskie wesele, to była, zdaniem Tarnowskiego, najpiękniejsza, najbardziej malownicza i oryginalna ze wszystkich scen z pobytu cesarza, i jako taka też z pewnością przejdzie do historyi Krakowa. »A jak dziś czytamy o dawnych krakowskich pochodach, o tym olimpie naprzykład, co ciągnął temi miejscami przed Batorym i królową Anną na wesele Zamoyskiego z Gryzeldą, tak po wiekach czytać będą o chłopskich weselach, ciągnących przed Franciszkiem Józefem. My dziś mówimy, że tamto było może ostatniem widowiskiem w świetnym stołecznym Krakowie, może, da Bóg, iż kiedyś powiedzą o tem, że to był zadatek i początek nowej jego świetności i lepszych czasów. Ale było także coś nauczającego bardzo, coś nieledwie symbolicznego w tem, że udział ludu wiejskiego nadał uroczystościom krakowskim największy wdzięk i największą siłę. Bez premedytacyi, przypadkiem może, ale słusznie się stało, że w przyjęciu Cesarza lud tyle znaczył, a dobrze się stało, że przy Cesarzu pokazał się naprawdę z szlachtą polską polski lud«. W dniu 4 września po trzecim dworskim obiedzie w pałacu Pod Baranami, podczas t. zw. *cercle*, Cesarz rozmawiał także z Tarnowskim, którego przy sposobności zapytał, czy młodzież akademicka pilnie się uczy? na co Tarnowski dał wysoce polityczną odpowiedź: że lepiej, niż kiedy on był uczniem (to znaczy, kiedy wszystkiego uczyć się musiał po niemiecku, nie w ojczystym języku). »Masz pan prawdziwą zasługę —

9*

rzekł mu na zakończenie Cesarz — robiąc, co robisz, i oddając się temu, czemu się oddajesz« [1]).

Z Krakowa udał się Franciszek Józef do Lwowa, gdzie mu znowu cztery dni przeszło na świetnych uroczystościach. Tarnowski, jako poseł sejmowy, pojechał tam również, i znowu, jak w Krakowie, tak i tu raz po raz miał sposobność być pod jednym dachem z Cesarzem, czy to na wspaniałym wieczorze w Ratuszu, czy w gmachu Sejmu, czy na galowem przedstawieniu w teatrze, czy na balu szlacheckim. Wszystko, co widział w czasie tej bytności cesarskiej w Krakowie i we Lwowie, a czemu tak dobrze mógł się przypatrzeć, opisał Tarnowski w *Przeglądzie polskim*, w osobnym, nadzwyczaj barwnym artykule, politycznym w nastroju ogólnym, a iście beletrystycznym w całej części opisowej, zatytułowanym *Cesarz w Galicyi* [2]).

Ze Lwowa udał się Franciszek Józef do Kołomyi dla obejrzenia tamtejszej wystawy etnograficznej. Znalazł się tam i Tarnowski, tak, że wystawie w dniu 15 września przyglądał się równocześnie z Cesarzem, w jego obecności. Po zwiedzeniu Kołomyi i jej okolic, z jakiem takiem wyobrażeniem o Pokuciu, napisał Tarnowski, dla przyjaciela swego, Władysława Przybysławskiego, za którego »namową i pomocą« wybrał się w te strony, artykuł w formie dziennika z podróży p. t. *Z Kołomyi* [3]), odznaczający się temi samemi zaletami, co wrażenia z poprzednich wycieczek do Kijowa i Wilna.

Rok 1881, rozpoczęty dwoma odczytami w Poznaniu, wygłoszonemi dn. 4 i 6 stycznia, a poświęconemi rozbiorowi *Balladyny* i *Lilli Wenedy*, przyniósł dwie obszerniejsze rozprawy literackie Tarnowskiego, obie drukowane w *Przeglądzie polskim*: krytyczny rzut oka na bardziej wybitne *Z najnowszych powieści polskich* [4]), oraz charakterystykę twórczości poetyckiej Kajetana Koźmiana [5]).

W pierwszej z tych rozpraw, poświęconej głównie Sienkiewiczowi, jako noweliście, a po raz pierwszy stawiającej go na bardzo wysokim piedestale, znalazły się spokojne, lecz nader trafne uwagi i zastrzeżenia o świeżo podówczas wydanych utworach Morzkowskiej, Orzeszkowej, Konopnickiej i Świętochowskiego. Ogólny wstęp, poprzedzający te krytyczne refleksye, surowo potępiał naturalizm powieści francuskiej, Zoli przedewszystkiem, przyczem wyrażał poważną wątpliwość, czy wogóle rodzajowi temu, któremu na imię powieść, nie ma się już

---

1) *Czas* z d. 5 września 1880.

2) *Przegląd polski*, 1880, październik.

3) *Przegląd polski*, 1880, listopad.

4) *Przegląd polski*, 1881, czerwiec.

5) *Przegląd polski*, 1881, sierpień

pod koniec. Bo że w tej Danii »jest coś zgniłego«, że na korze »pęknięcie serca znać«, tego, zdaniem krytyka, dowodziła współczesna powieść francuska, której nawet wielki mistrz, Alfons Daudet, zniósł jakby naumyślnie powieść swoją do rzędu dziennikarskich kroniczek i skandalików. A powieść polska? Cokolwiek by na jej pochwałę powiedzieć można, jedno zdaje się nie ulegać wątpliwości, wnosząc z najnowszych powieści polskich, że i ona nie jest zdrową, że i ona zdaje się być produktem i wyobrazicielem społeczeństwa wyrzuconego z równowagi, niepewnego swojej podstawy, zachwianego w świadomości swego celu, a przynajmniej dróg do niego wiodących. »I dlatego smutno się robi na sercu każdemu, kto porówna romans polski w początku naszego wieku i na jego schyłku. Tamten z literackiego i artystycznego stanowiska nierównie słabszy, niewyrobiony a często niedołężny, miał jasną świadomość swego ideału, spokojną pewność swoich uczuć i dążeń, jedność i jędrność ducha, jakiej dzisiejszy świetniejszy mógłby mu pozazdrościć. Niema się czemu dziwić, ani kogo obwiniać, jest to naturalnym i nieuniknionym skutkiem okoliczności. Ale jeżeli powieść, jeżeli to, co ludzie co dnia bez namysłu dla rozrywki czytają, jest jednym z symptomatów, po których stan zdrowia tego społeczeństwa poznać można, to ten symptomat zgodnie z wieloma innemi, wskazywałby, żeśmy dziś nie tak zdrowi i czerstwi, jak dawniej«.

Charakterystyka »starego Koźmiana«, będąca przedmową do jego wierszy lirycznych, pobłażliwa w tonie i wolna od entuzyazmu, na ogół wypadła dla niezłomnego klasyka wcale pochlebnie. Zdaniem Tarnowskiego, »byłoby nietylko słusznie, ale pożytecznie, gdybyśmy po tęczowych fantazyach Słowackiego, lub Krasińskiego mistycznych zachwytach, brali czasem do ręki i w pamięć sobie wbijali te wiersze nie tak ponętne, ale surowsze w gruncie i bardziej wymagające, a hartowne i męzkie. Co formą przypomina rzymską treściwość i poprawność, a dążnością rzymski ideał *virtutis*, to zawsze zdrowe i dobre do zapamiętania«.

W lipcu 1881 roku, z powodu wielkiego *Triduum* na cześć św. Cyrylla i Metodiusza, przybyła do Rzymu wielka pielgrzymka słowiańska, w której obok Czechów, Morawian, Słowaków, Kroatów, Bułgarów, Dalmatyńców, Serbów, Bośniaków i innych »braci Słowian«, północnych i południowych, nie brakło i Polaków, głównie z Galicyi i z Poznańskiego. Zjazd był bardzo liczny, przeszło 1400 osób, a choć przeważnie byli to włościanie, to jednak nie brakło i przedstawicieli innych stanów, o księżach nie mówiąc. Z Polaków przybyło i wielu przedstawicieli szlachty i arystokracyi, w ich liczbie i ks. Adam Sa-

pieha. Przyjechał i Tarnowski. Uczucie, w jakiem tym razem jechał do wiecznego miasta, tak sam określił: »Kto do Rzymu przyjeżdża po raz pierwszy, ten doznaje wielkiej niecierpliwości i niepokoju; ale większego może doznaje, kto do Rzymu powraca, kogo ciągnie nie ciekawość rzeczy i wrażeń nieznanych, tylko za znanemi tęsknota i pragnienie. A jeżeli nie był oddawna, jeżeli w pamięci ma Rzym dawny, papieski, a nie widział zmian, jakim uledz musiała stolica włoskiego Królestwa, doznaje i pewnej ciekawości przykrej, bo się boi, czy nie zastanie miasta innego z nowym od dawnego zupełnie różnym charakterem«. Na szczęście, obawy te okazały się płonnemi, bo miasto, w swych dawnych dzielnicach, zachowało pierwotną fizyognomię. A jeżeli chodziło o znajomych, to ich tu Tarnowski miał wielu, żeby wymienić tylko księżnę Odeschalchi, kardynała Ledóchowskiego, kardynała Czackiego, O. Semenenkę i Zmartwychwstańców, nie mówiąc o tych, co przyjechali z pielgrzymką, jak biskup krakowski Dunajewski, jak X. Golian, i wielu innych, zarówno księży, jak świeckich. Z pomiędzy tych ostatnich dla Tarnowskiego najbardziej interesującą osobistością był sędziwy Bohdan Zaleski. »Dla obcych to tylko poważny starzec, jak gołąb siwy z siwą aż do pasa brodą; ale dla nas ta postać lirnika do Wernyhory podobna, to czcigodny zabytek i świadek żywy dawnych lepszych czasów, to świetne pokolenie z pierwszej ćwierci naszego wieku, to wielka epoka naszej poezyi, ta, która tyle na ducha polskiego działała, zjawia się w żyjącym swoim reprezentancie stanąć przy nas na dobrej drodze i patrzeć, czyśmy z niej nie zboczyli: to rok 1831, to początki katolickiego życia na emigracyi, którego dalszym skutkiem jest to, co się dziś w Rzymie dzieje, a którego on i ksiądz Semeneńko są jedynymi znowu dziś żyjącymi uczestnikami«. Dnia 5 lipca, o 12-ej w południe, pielgrzymka miała posłuchanie u Ojca Świętego. O 11-ej już wszyscy byli zgromadzeni w wielkiej sali audyencyonalnej, a w ich liczbie, z polskimi pielgrzymami, i Tarnowski, w kontuszu, w żupanie i pasie. Wodząc okiem dookoła, zachwycony malowniczością strojów niektórych południowych Słowian, których rozmaitość i jaskrawość podnosi się jeszcze, kiedy się miesza z przepysznemi mundurami szwajcarów, z płaszczami i frezami *camerierów*, z purpurą kardynalskich płaszczów, Tarnowski przyznawał z rozkoszą, że i jego rodacy nie wyglądali najgorzej. »Nasze kontusze znajdują chyba łaskę w oczach Włochów, bo się przypatrują bardzo. A polskie miny? czytelnik nie zdziwi się temu, że postawa i głowa ks. Adama Sapiehy odznaczała się wśród tych tysięcy i ciągnęła ku sobie oczy i uwagę; niechże się dowie do tego, że między książętami Kościoła,

w zbiorze trzydziestu przeszło kardynałów, nie było doprawdy ani jednego, któryby wyglądał tak dostojnie i szlachetnie, jak kardynał Ledóchowski; że i w Rzymie trudno o postać biskupią, którąby z biskupem krakowskim równać się mogła«. Nareszcie ukazał się Papież. Tarnowski tak opisuje tę chwilę: »Od drzwi słyszeć się daje stuk halabard o posadzkę, widać, jak w tłumie gną się kolana i chylą głowy, jak w kościele na odgłos dzwonka, »jak kłosy na łanie« wedle doskonałego porównania Mickiewicza, i wjeżdża, wpływa raczej do sali Leon XIII niesiony na tronie. »Na majestacie«, mówiło się niegdyś po staropolsku, a nigdy może trafna, dosadna obrazowość tego wyrażenia nie dawała się zrozumieć i ocenić lepiej, jak na widok tej unoszącej się nad głowami klęczącego ludu postaci. Leon XIII wygląda prawdziwie, jakby nie był z tego świata, nie taki człowiek, jak my wszyscy. Nie żeby był tak znużony, słaby i omdlewający, jak go przeciwnicy opisywać lubią: bynajmniej; stary, prawda, i wątły, jest pełen życia, i w ruchach, i w słowie, ma energię zadziwiającą. I nie dlatego, żeby w kontemplacyi nadziemskich rzeczy pogrążony, ziemskiemi gardził lub się niemi trudnić nie umiał: przeciwnie, umysł trzeźwy, praktyczny, polityczny, żyje w rzeczywistości i w nieustającej nad nią pracy. Tylko nie można sobie wystawić człowieka, któryby wyglądał tak niemateryalnie, któryby miał mniej ciała, bryłowatości, ciężaru; zdaje się, że go ma tyle tylko, ile koniecznie potrzeba na to, by był jakiś widomy kształt, przez który moglibyśmy widzieć duszę, słyszeć jego myśl. Wysoki bardzo, nie pochylony przecież, owszem prosto się trzymający, chudy tak, że biała sutanna zdaje się w sobie nic nie mieścić, na twarzy nie blady, ale biały, wydawałby się cały z jednej sztuki marmuru, gdyby białe włosy nie miały srebrzystego połysku, i gdyby oczy, niezmiernie żywe i błyszczące, nie świeciły w tej jednostajnej białości. Ręce bardzo ruchliwe, często drżące (bardzo piękne), mają wyraz osobny i ze spokojnym wyrazem twarzy niezupełnie zgodny, świadczą może o usposobieniu nerwowem, o potężnych, namiętnych prawie nadziejach i pragnieniach. Ci, którzy wiele Piusa IX widzieli, mówią, że w oczach jego był wyraz nieopisany bezdennej, gorącej, świętej miłości; Leon XIII z tą postacią nieziemską, z tym wzrokiem patrzącym gdzieś daleko przed siebie i wysoko nad siebie, z tem słowem, które na teraźniejszość prawie się nie skarży, a zamykać się zdaje tajemnice przyszłości, z myślą, która dniem dzisiejszym się zajmując, w jutro zdaje się cała zwrócona, wygląda jak uosobienie pewnej siebie męskiej i świętej nadziei, która się z ziemi nie wyrywa, tylko ją chce porwać w górę i wierzy, że porwie«. Takim wydał się Tarnowskiemu,

gdy zasiadł na tronie i, wzruszony bardzo, powiódł okiem po spełnionem jednem z wielkich swoich pragnień, po dokonanem, a przynajmniej rozpoczętem dziele swojem, po ludach słowiańskich, zgromadzonych przed stolicą swoją. Po bardzo pięknej mowie biskupa Strossmayera, który przemówił za wszystkich i od wszystkich (żałował Tarnowski, że ten zaszczyt nie przypadł w udziale Polakowi, biskupowi krakowskiemu n. p. lub biskupowi Janiszewskiemu), powstał Ojciec Święty, a mowa jego, wypowiedziana nie bez trudu, ale dobitnie bardzo, zrobiła swoje wrażenie. A gdy po silnie zaintonowanem przezeń *Sit nomen Domini benedictum*, wszyscy kardynałowie, wszyscy biskupi, wszyscy księża zaśpiewali chórem *respons*, a wyciągnięta ręka Ojca Św. znaczyła krzyż na wszystkie strony świata, same zgięły się wszystkie kolana, wszystkie głowy pochyliły się ku ziemi. Znużony bardzo, z bladego czerwony, Papież usiadł na tronie, obstąpili go asystenci, poczem zaczęła się ceremonia całowania nogi. Kardynał Ledóchowski podszedł do tronu, ażeby wywoływać deputacye. Najpierw podeszli ci, których *deputatami* nazywano, t. j. ci, którzy mieli składać adresy, a z nimi pewna liczba innych, stanowiących niejako ich orszak. Tarnowski szedł w orszaku, który postępował za biskupami Dunajewskim i Janiszewskim, Adamem Sapiehą i Kazimierzem Chłapowskim na czele. Chwilę tę tak opisuje Tarnowski, któremu udało się zająć miejsce niedaleko papieskiego tronu: »Kardynał, który tym razem znał każdego, nie potrzebował pomocy, żeby każdego Papieżowi nazwać a nieraz zalecić, a widać było na nim, i na Ojcu Świętym, szczególne przejęcie i wzruszenie, kiedy przedstawiał niektórych, kiedy naprzykład opowiadał, jak doktor Bojanowski z żoną odsiadywał więzienie za sprawy kościelne, a Papież klęczącego objął ramionami, przyciągnął do siebie i uściskał. Albo kiedy ze łzami w oczach zbliżył się Bohdan Zaleski! Nie zdołałem dosłyszeć, co kardynał mówił, ale musiał dobrze wytłómaczyć, że to świadek i zabytek świetnej przeszłości, wygnaniec, poeta, Słowianin serdeczny a katolik całe życie wierny i gorący, bo na klęczącego przed sobą starca patrzał Papież z większem niż na innych rozrzewnieniem. A dla każdego prawie miał jakieś słowo łaskawe, niezapomniane, czasem prawie wesołe; z postawy bardziej niż Pius IX imponujący, z obejścia niby na pozór zimniejszy, jest przecież zarazem chyba łaskawszy, przystępniejszy jeszcze, niż poprzednik; a co powie, to zawsze ma jakąś wagę, jakieś znaczenie; stojąc blisko i długo, starając się dosłyszeć, co mówi do różnych po kolei, nie dosłyszałem jednego słowa marnego, jednego powiedzianego dlatego tylko, żeby coś powiedzieć«.

Nazajutrz dnia 6 lipca, w Watykanie, w sali przezwanej *Aula Clementina*, w obecności Papieża, pod jego niejako prezydencyą (po raz pierwszy podobno od czasu, jak stoi świat, Rzym i Watykan), odbyła się *Akademia* t. j. uroczyste posiedzenie, na którem się czytają rozprawy lub wiersze, a na którem tym razem miały być czytane wiersze we wszystkich językach słowiańskich, mające za przedmiot główny św. Cyryla i Metodego. O godzinie 10-tej rano wszyscy już, oprócz Papieża, zajęli swe miejsca w sali. »Zebranie — opisuje Tarnowski — nie tak liczne, jak wczoraj na audyencyi. Nie licząc dworu papieskiego, pięćset tylko osób dostało karty wstępu. Sala jest pyszna, imponująca, a malowidła jej bez uczucia malarzy XV wieku, bez geniuszu i ducha Rafaela i Michała Anioła, nawet bez tego talentu, z jakim Caracci malował wielką salę pałacu Farnese, zrobione są bardzo zręcznie i jako dekoracye wspaniałe. Zazwyczaj pusta zupełnie, dziś cała zastawiona jest krzesłami dla słuchaczy; tron papieski w głębi, na podniesieniu, po jego dwóch stronach krzesła dla kardynałów, z boku mała estrada z stolikiem dla tych, co mają czytać; pod ścianą na ławce siedzą i oni, osobno, jak oskarżeni w sali sądowej«. Tarnowski siedział pomiędzy nimi właśnie, albowiem on miał odczytać wiersz polski, napisany przez Szujskiego. Gdy wreszcie Papież zasiadł na tronie, zaczęła się Akademia. Po śpiewach, po rozprawie o Cyrylu i Metodyuszu, odczytanej przez kardynała Alimonda, po włoskim wierszu Mgra Rotelli, sławiącym zasługi Leona XIII. przyszła kolej na wiersz polski. Tutaj dwóch mistrzów ceremonii podeszło do Tarnowskiego, wzięli go między siebie, zaprowadzili przed Papieża, gdzie przykląkł, potem na dwie strony oddał ukłon kardynałom — wszystko według z góry ułożonego ceremoniału — i dopiero potem wszedł na estradę. Chwilę tę on sam tak opisuje: »Tutaj niech będzie wolno piszącemu zrobić osobiste zwierzenie, że o ile zaszczyt był wielki występować w tylu panów, w tylu szlachty gronie, o tyle było pewne uczucie wstydu występować przed nimi z wierszem nie swoim (jak sojka w pawich piórach), a nadewszystko strach był wielki, żeby się wiersze dobrze wydały. Włosi nie zrozumieją, Słowianie zrozumieją piąte przez dziesiąte, więc piękności wiersza nie ocenią. A tymczasem choć głos polski nieraz słyszany był w Watykanie, to polski język publicznie nie był słyszany nigdy od początku świata; trzeba więc, trzeba koniecznie, żeby się wydał dobrze, i to komu jeszcze? tym Włochom, przywykłym do języka dźwięcznego jak muzyka i wybrednym! trzeba, żeby w najgorszym razie nie wydał się gorzej od innych słowiańskich! trzeba przed tymi, co zrozumieją, autorowi wstydu nie zrobić; student przed egzami-

nem, panna, kiedy pierwszy raz w życiu idzie na bal, nie mają większej tremy. Nie chcemy, a po części nie możemy sądzić, czy ten *Głos z Polski* był najlepszym ze wszystkich, jakie się na uroczystość świętych Cyryla i Metodego odezwały, ale że Polak czytał go z duszą, z przekonaniem, że jest ciężki od myśli a uczuciem wzniosły, zgodny z tym tonem *Dobrej Woli*, na który wieszcze nasi poezyę polską wysoko nastroili, za to możemy ręczyć«.

Po powrocie do Krakowa zdał Tarnowski w *Przeglądzie polskim* sprawę *Z pielgrzymki słowiańskiej do Rzymu* [1], poczem, wraz z rodziną, udał się przez Warszawę, Gdańsk, do Zoppot, a stamtąd do Waplewa, do hr. Sierakowskich, gdzie kilka dni, od 22 do 26 lipca zabawił. Przy sposobności zrobił szereg wycieczek, do Malborga, do Elbląga, do Frauenburga, do Pelplina, do Oliwy. Z wrażeń, doznanych w ciągu tych wakacyi, powstały zapiski *Z Prus królewskich* [2], które, przypisane hr. Maryi z Potockich Sierakowskiej, należą jako obrazy z podróży, do najlepszych rzeczy w tym rodzaju, jakie są w naszej literaturze. Opis Gdańska n. p. choć, jak wszystko w tych zapiskach, zupełnie bezpretensyonalny, odznacza się nietylko niepospolitą plastyką, tak, że czytelnik rzeczywiście widzi wszystko, co z taką prostotą opisuje autor, ale jest owiany jakąś poezyą, która chwyta za serce, zwłaszcza, jeśli to jest polskie serce! Kartki zaś, poświęcone opisowi Malborga, odznaczają się siłą, w której jest jakiś wallenrodyczny nastrój!

Na początku roku 1882, w styczniu i w lutym, wychodziło w szeregu feljetonów *Czasu* studyum Tarnowskiego *O Kolędach*, studyum, które możnaby nazwać literackim hołdem dla polskiej pieśni kościelnej, stanowiącej część najbogatszą, a w każdym razie najbardziej oryginalną naszej pieśni ludowej. Ujmująca prostotą i naiwnością, swoim humorem, często charakterystycznym i typowym, zasługuje kolęda, zdaniem Tarnowskiego, na uwagę i ma swój wdzięk przez to zwłaszcza, że jest bezwiednym ale nieomylnym wyrazem uczuć dobrych, szlachetnych, czasem zupełnie wysokich, czasem delikatnych; że natura polska, w tem zwierciedle czy wizerunku odbita, pokazuje się dobrą i sympatyczną. Dlatego szanujmy szopkę, a zwłaszcza szanujmy kolędę. »Niema jednego ucha, któreby nie witało z radością i nie słuchało ze wzruszeniem jej prostej nuty, kiedy ona się odezwie; niema jednego serca, któreby na głos jej nie biło sympatycznie; niema jednego umysłu, któryby w niej nie widział i nie

---

[1]) *Przegląd polski*, 1881, sierpień i wrzesień.

[2]) *Przegląd polski*, 1881, grudzień, 1882, styczeń.

uznawał rzeczy prawdziwie i zupełnie swojej, krwi ze krwi i kości z kości. Własność narodowa niezaprzeczenie, pieśń i obyczaj razem, ona jest niezawodnie jednym ze znaków wspólnego pochodzenia, wspólnej natury, wspólnego ducha w narodzie. A kto wie, czy nie ma jakiego znaku lub symbolu i w tym fakcie, że z całej literatury ludowej lub pisanej jedyną własnością wspólną całego narodu, jedyną poezyą, która się znajduje wszędzie, do każdego serca trafia i na każdy umysł wywiera wrażenie, jest pieśń pobożna, kościelna, i ta w szczególności, która przynosi światu dobrą nowinę i obwieszcza pokój ludziom dobrej woli«.

Z innych rozpraw, ogłoszonych w ciągu r. 1882 przez Tarnowskiego w *Przeglądzie polskim*, wyróżniały się dwie: obie, choć każda w innym rodzaju, natchnione przez Matejkę. Pierwsza, to rozprawa o *Rzeczypospolitej Babińskiej*, napisana — z wyraźną myślą o obrazie Matejki — na podstawie cennego manuskryptu biblioteki ks. Czartoryskich w Krakowie; druga, to studyum o świeżo wystawionym wtedy *Hołdzie pruskim* Matejki. Obraz ten, jeden z najwspanialszych Matejki, szczególniej sobie zaskarbił względy Tarnowskiego. A dlaczego? to on sam wyjaśnił w następujących słowach: »Okoliczność, która, choć nie wpływa na jego artystyczną wartość, robi go w naszych oczach droższym, to dwa razy w nim powtórzony wizerunek Matejki, i wizerunek Szujskiego. Bartłomiej Berecci, to Matejko, jakim był dla ludzi, jakim się wydawał: poważny, zamyślony, ale nie odkrywający głębi swych uczuć i myśli. Stańczyk, to Matejko, jakim był sam z sobą, kiedy »obracał w zwiędłej głowie utrapień ciężary«, kiedy sam »z Bogiem i myślami« dumał nad pytaniem, co z tego wszystkiego będzie? Opaliński znowu, tak trzyma mocno w ramionach małego Zygmunta Augusta, tak chciałby całą mocą swojej myśli i duszy wlać w to serce miłość ojczyzny, w tę główkę zrozumienie jej stanu, że patrząc na nich, ma się przed sobą całe życie Szujskiego: to on, i te młode umysły, które uczył słowem, pismem, przykładem. W tych dwóch głowach zaś, Opalińskiego i Stańczyka, jest wyraźna tragedya tego pokolenia, które myślało, cierpiało i działało po roku 1863, tak, jak w duszy Szujskiego i Matejki skupiły się najpotężniej wszystkie jego boleści« [1]). Czy tylko Szujskiego i Matejki? Czy nie należałoby tu wymienić i ich wspólnego przyjaciela, który ze skrzyżowanemi na piersiach rękoma, niczem jakiś książę niezłomny, również jest sportretowany na obrazie, i to wcale nie w jakiejś podrzędnej roli? Albowiem nie godzi się zapominać — co

---

[1]) *Matejko*, str. 214.

Tarnowski przez skromność pominął milczeniem — że na tym obrazie Matejki, w orszaku królewskim, tuż obok Konstantego Ostrogskiego, a w pobliżu Bony i Kmity, znajduje się i hetman Tarnowski, do którego »zamyślonej i pochmurnej« postaci w hełmie z pióropuszem, w zbroi i z buławą w ręku, pozował nie kto inny, tylko Stanisław Tarnowski.

Nie przeczuwał on, patrząc na obraz Matejki, na którym obok swojej oglądał i podobiznę Szujskiego, że nie upłynie rok, a nie stanie Szujskiego. Wobec zbliżającej się rocznicy wyprawy wiedeńskiej, rocznicy, na którą Matejko przyrzekł namalować *Sobieskiego pod Wiedniem*, cały rok 1883 zapowiadał się pod znakiem króla Jana, a Szujski — o czem Tarnowski najlepiej był poinformowany — bardzo wiele sobie obiecywał po tej rocznicy. Zapowiedziano cały szereg uroczystości, a między innemi szykowała się cała odpowiednia literatura, której duszą i natchnieniem był Szujski. Niestety, zdrowie jego, »kulawe zdrowie«, jak je sam nazwał w czerwcu r. 1882 w swym Liście Otwartym do Leona Bilińskiego, psuło się coraz bardziej, aż w końcu, w lutym w 1883 autor *Odrodzenia i Reformacyi* był umierającym. Przyjaciele, a w ich liczbie najbardziej przywiązany z nich, Tarnowski, nie odstępowali od łoża chorego, ten zaś, przytomny niemal do ostatniej chwili, jeszcze na parę godzin przed śmiercią mówił o bliskiej rocznicy zwycięstwa pod Wiedniem, o zamierzonych obchodach [1]). Chodziło o to, żeby obchodząc tę rocznicę najpoważniej i najgodniej, nie obchodzić jej źle, niewłaściwie, t. j. nie w duchu uwielbienia dla siebie samych, zaślepienia na siebie samych. »Nie róbcie z Sobieskiego cukierka, mówił Szujski na kilka jeszcze godzin przed śmiercią, bo to nie jest cukierek, bo pomimo — ta była jego myśl — pomimo zwycięstwa, zasługi i chwały, jego historya jest smutna i obowiązuje nas do wejścia w siebie samych i do skruchy. A zwracając się do Tarnowskiego, zażądał od niego, by w Akademii, na dorocznem posiedzeniu, starał się rozjaśnić tę smutną tajemnicę, jaka się kryje w historyi sejmu grodzieńskiego z r. 1688, a którą był spisek przeciwko Sobieskiemu

Dnia 8 lutego zmarł Szujski. Dnia 10 lutego przy licznym udziale świata naukowego i politycznego, odbył się uroczysty pogrzeb z domu przy ulicy Krupniczej. Na cmentarzu przemówił Tar-

---

[1]) W sprawozdaniu z tomu I *Dramatów* Szujskiego zapisuje Tarnowski, że »w ostatnich już godzinach życia (Szujskiego), kiedy w stanie niezupełnej przytomności wyrywały się z duszy jedne po drugich najdroższe jej uczucia, odzywały się między niemi wspomnienia dramatycznych prac, zapał dla tego poetycznego ideału« *Przegląd polski*, 1886, marzec, str. 546.



STANISŁAW TARNOWSKI
(w hełmie z pióropuszem)
jako hetman Jan Tarnowski
w »Hołdzie pruskim« Matejki.

nowski. »Nad grobowcem — pisał sprawozdawca *Czasu* — stanął Stanisław Tarnowski, najbliższy zmarłemu myślą, sercem, działaniem całego życia, drżący od wzruszenia. Rozległy się słowa mistrzowskiego dźwięku i harmonii, w których Tarnowski zaznaczył tylko stanowisko, jakie Szujski zajmie po epoce poezyi, i w przejściu z historyi do polityki streścił jego ducha w kilku głównych rysach«. Oto, co mówił między innemi:

— Każdemu byłoby trudno o tym zmarłym mówić, bo chciałby chyba morze wyczerpać rękami ten, ktoby liczył, ile dobrego było w nim i z niego; ale temu najtrudniej, kto był jego blizkim. Od takiego żąda się więcej: mówisz, żeś go znał lepiej i kochał bardziej, niż drudzy, a więc powinieneś dać go poznać najlepiej. A nie można. Wie się więcej, niż się da wypowiedzieć, czuje się więcej, niż się wyrazić zdoła. Tylko średnie smutki umieją mówić — wielkie milczą.

Bądź co bądź, to jedno o Szujskim powie każdy bezstronny a świadomy jego duchowych głębin, że gdyby zapytać, kto najgodniejszy i najbliższy tych wielkich poetów, co w przeszłem pokoleniu byli najwyższym wyrazem narodowego ducha i życia, tedy z ręką na sercu, szczerze, jak gdyby się stało przed sądem Boga, ale śmiało trzebaby odpowiedzieć: Ten! »Jako poeta im nierówny, był przecież na swój czas, jak oni na swój, streszczeniem historycznej chwili, cierpień i dążeń i potrzeb narodu. I w jego sercu biły najsilniejsze i najwyższe tego narodu uczucia, w jego głowie skupiały się najgłębsze i najpotężniejsze myśli. A w zdrowem i surowem pojęciu naszych obowiązków on był od tamtych wielkich większy. Rodzaj był inny, bo czasy inne. U tamtych nadzieja zasadzała się na wierze, że co słuszne to zwyciężyć musi; u tego na przekonaniu, że zwyciężyć może, jeżeli dobrem się stanie; tamci wzrośli i żyli w czasach, kiedy nasz świat europejski miał jeszcze prawo nie wątpić o sobie; ten działał w takich, które o ludziach już rozpaczać pozwalały; tamci jak królowie ze Wschodu do Betleemskiej stajni przynosili narodowi kadzidło i złoto; i tego ta sama prowadziła gwiazda, ale w darze niósł on gorzką mirrhę: uboższy, nie taki król wielki i błyszczący, jak tamci, ale mędrzec podobno nie mniejszy«.

— Kiedy po klęsce, której mierzyć nie chcę, upadło wszystko, na co liczyli, czem żyli przez pół wieku nasi ojcowie; kiedy się pokazało, że ani własna siła nie wystarczy, ani cudza nie wspomoże, ani cud nie przyjdzie i nie zbawi, i kiedy wszyscy, nawet ci, co najbardziej gęstą miną nadrabiali, pytali: »co teraz, co począć?« — wtedy podniósł się głos mało jeszcze znany i zawołał: »czas uderzyć w strunę drugą, w czynów stal« — czynów, których stal prawdziwa

i hartowna nie prysłaby, jak dotąd, od pierwszego cięcia, ale cięcia nieprzyjaciela wytrzymać i na sobie stępićby mogła. Takich czynów żądać? i od kogo? żądać od Joba, żeby jak Samson walił kolumny? od Łazarza, którego żaden cud z grobu nie wywołał, żeby sam rozpętał się z całunów i wyszedł? Tak właśnie! Wiele żądał, to prawda, i prawie cudownych rzeczy: żądał. żeby Job poznał, co go wyrzuciło z domu na śmiecisko i na pośmiewisko ludziom; żeby Łazarz »czynami potrafił wskrzesić sam siebie«. Tej znajomości siebie żądał od Joba historyk, tej siły woli od Łazarza żądał polityk. Jak śmiał żądać takiego cudu? Śmiał, i miał prawo: bo wyciągnął i podał, jako historyk, takich *Kilku prawd z dziejów naszych*, z któremi znajomość siebie i przyczyn swego upadku, zatem środków odrodzenia, była już każdemu łatwą i jasną, a nie widział ich ten tylko, kto nie chciał, kto umyślnie oczy zamykał. Jako polityk zaś, żądać miał prawo, żeby Łazarz nabrał tchu i siły do życia, bo mu wskazywał sposoby, bo go uczył słowem i przykładem, co to jest być »strojem« w naszym odwiecznym a coraz gorszym rozstroju.

Zaraz po śmierci Szujskiego zabrał się Tarnowski do uczynienia zadość ostatniemu jego życzeniu: opracował studyum historyczne o *Tajemnicy roku 1688*, którego powstanie, tak sam usprawiedliwiał: »Kto historykiem nie jest, kto badać źródeł i faktów składać nie uczył się i nie umie, ten nie ma prawa zrywać się na zadanie nad siły i naraża się na naganę tak słuszną, jak szewc kiedy zarozumiale sięgał *ultra crepidam*: a byłby i bez wymówki zupełnie, gdyby opłakiwany, a nigdy dosyć, jeneralny sekretarz tej Akademii jednem z ostatnich swoich życzeń i poleceń nie był wymógł na nim przyrzeczenia, że na najbliższem posiedzeniu Akademii zwróci uwagę słuchaczy na ten fakt ciekawy a mało znany, gdyby nie był wskazał, jakiemi środkami i w jaki sposób zadanie to rozwiązanem być może. Bez nadziei rozwiązania i tylko w poczuciu spełnienia tej ostatniej woli, podjętą była niniejsza praca, której niech to wyznanie wytłómaczy nietylko błędy, ale i samo istnienie«.

Oprócz tej *Tajemnicy roku 1688*, odczytanej w dniu 5 maja na dorocznem posiedzeniu Akademii, której d. 4 maja został obrany na Sekretarza generalnego, napisał Tarnowski, z powodu zbliżającej się dwóchsetnej rocznicy »europejskiego czynu« Sobieskiego, interesujące studyum *O Listach Króla Jana z wyprawy wiedeńskiej*. Studyum to, rzucone na szeroko podmalowane tło historyczne, równa się subtelnie wycieniowanemu wizerunkowi moralnemu zwycięzcy z pod Wiednia, przyczem nietylko jest doskonałym komentarzem do jego listów, które uzupełnia na podstawie różnych współczesnych relacyi, ale po-

siada jeszcze niemałą wartość, jako obraz całej wyprawy wiedeńskiej, jej przebiegu od początku do końca, dzień po dniu [1]).

Tymczasem zbliżał się 13 września, na który był wyznaczony obchód wiedeńskiej rocznicy. Tu przypomniano sobie również, że w tym roku 1883 kończy się lat 25, od chwili, gdy Matejko wystawił swój pierwszy obraz. Stąd myśl, żeby uczcić jego ćwierćwiekową pracę, a to uczczenie połączyć z uroczystościami na cześć Sobieskiego. W tym celu utworzył się komitet, na którego czele, w nieobecności marszałka krajowego, stanął Artur Potocki. Tarnowski również wszedł do komitetu. Postanowiono urządzić wystawę obrazów Matejki, o ile możności wszystkich, jakie wymalował, od najpierwszych aż do *Sobieskiego*, a ta wystawa miała się mieścić na Zamku, »w tych murach i izbach, gdzie od lat chłopięcych wyobraźnia Matejki przebywała więcej może, niż na naszym świecie, gdzie tylekroć od pierwszego zjawienia się aż do poufałej znajomości i ustalenia ich kształtów, przesuwały się przed tą wyobraźnią postacie Zygmuntów, Barbary, Bony, Zamoyskich i Zborowskich, i tylu, tylu innych, aż do Stańczyka!« Prócz tego, w komitecie, który zbierał składki na zakupno obrazu, było postanowione, że przed samem otwarciem wystawy, komitet będzie prosił Matejkę, żeby *Sobieskiego* ustąpił na rzecz kraju. Potrzebne fundusze były zebrane. Ułożono także program uroczystości, z nabożeństwem na Zamku, z oddawaniem adresów lub darów pamiątkowych, z odpowiedniemi przemówieniami, i wreszcie z uroczystem przedstawieniem w teatrze. Jednocześnie czyniono przygotowania do obchodu wiedeńskiej rocznicy.

---

[1]) W tym samym zeszycie kwietniowym *Przeglądu polskiego*, co rzecz *O listach Króla Jana*, znalazło się i wspomnienie pośmiertne o świeżo zmarłym Józefie Baumie, jako »jednym z najlepszych w naszym czasie i kraju synów polskiej ziemi«. Rzecz dziwna — czytamy tam między innemi — ten Polak doskonały jak mało, a przytem zbiór i wzór wszystkich dobrych pierwiastków i przymiotów polskiej natury, nie był Polakiem z krwi. Jego ojciec był Niemcem; szczycił się nawet szczególnem zaufaniem Cesarza Franciszka, który jako Cesarz Austryacki miał niezaprzeczone zalety, ale u nas dobrego wspomnienia nie zostawił. Dziwna jest ta niewytłómaczona nasza zdolność do asymilowania sobie niektórych Niemców, adoptowanych synów, którzy tak poślubiają polską sprawę i polskie życie, że ich od rodzonych rozpoznać nie można, a nigdy może nie objawiła się ona wyraźniej i pożyteczniej, jak w tym razie, kiedy syn Niemca nie w polskich tradycyach i obyczajach chowany, swoją miłością Ojczyzny i zasługą stanął w pierwszym rzędzie między samym wyborem naszego obywatelstwa. Bóg, który »z kamieni może sobie wzbudzić czcicieli«, daje snać sprawom dobrym tę moc przysposabiania sobie z pośród obcych obrońców najdzielniejszych i sług najwierniejszych, a w tym ustawicznym ubytku staropolskiego żywiołu, adopcye takie czy aneksye są otuchą i błogosławieństwem, kiedy przysparzają nam Polaków podobnych, choćby nierównych Baumowi«.

Na parę dni przed 12 września otrzymał Tarnowski ćwiartkę papieru, na niej dwa razy zrobione dwa odmienne pierwsze rzuty *Sobieskiego*, szkice, widocznie w jednej chwili rzucone; na nich znany monogram J. M. z datą 1880 i napis: »Szarada na dzień 12 września. Droga daleka — Bohatera i was czeka«. Że Tarnowski nic z tej szarady zrozumieć nie mógł, dziwić się nie można. Co to ma znaczyć? Szarada naprawdę. Szkic przyjmuje się wdzięcznie; ale co Matejko myślał, czego chciał, kiedy na szkicu pisał te wiersze? Wydały się one niezrozumiałym jakimś konceptem... Jeszcze bardziej niezrozumiałym wydała się Tarnowskiemu decyzya Matejki, o której mu w wilię obchodu przyniósł wiadomość Artur Potocki.

— Matejko nie chce sprzedać obrazu! były pierwsze jego słowa.

— Jak? co? dlaczego?

— Tak, że nie chce. I nikt go w tem nie przekona.

— Ale to dziwactwo, i katastrofa! Cóż my zrobimy z temi zebranemi pieniędzmi?

— Ani dziwactwo, ani katastrofa! Zobaczysz, zrobi on coś nierównie lepszego, niż to, cośmy chcieli, tylko nie chce o tem naprzód mówić.

— Cóż przecie?

— Nie mogę ci powiedzieć, ale coś takiego, że jak się dowiesz, nie będziesz mógł przyjść do siebie, tak, jak ja nie mogę. Trzeba być Matejką, żeby mieć takie myśli. Nic piękniejszego! A ty się przygotuj, bo będziesz musiał jutro coś o tem powiedzieć.

— Przygotować się do mówienia, kiedy nie wiem, o czem mam mówić?

— No, więc powiem ci ogólnie, że znowu chce obraz darować narodowi, ale z pewnym warunkiem, w którym dopiero jest cała piękność rzeczy. Co to jest, to ci powiem jutro, jeżeli mi Matejko pozwoli. A tymczasem nie piśnij nic nikomu, gotuj się do gadania, i bądź zdrów [1]).

Obchód wiedeńskiej rocznicy — opowiada w dalszym ciągu Tarnowski jako naoczny świadek wszystkich uroczystości — był bardzo piękny. Zaczął się dnia 11 września żałobnem nabożeństwem za Jana III, które odprawiał biskup Dunajewski, na które zjechał Marszałek krajowy Zyblikiewicz i delegaci z całego kraju; potem otwarcie wystawy zabytków XVII wieku i Muzeum Narodowego; wieczorem okolicznościowa sztuka w teatrze. Dnia 12-go, w sam dzień zwycięstwa, procesya z kościoła na Piasku, skąd także przed wy-

---

[1]) *Matejko*, str. 263—4.



STANISŁAW TARNOWSKI
w todze profesorskiej
(r. 1883).

prawą wychodził król na obchód kościołów, na Zamek, i znowu nabożeństwo; popołudniu odsłonięcie pamiątkowej płaskorzeźby na wieży Maryackiej. Ludzi tłumy, a tłumy wzruszone, rozrzewnione. Nazajutrz 13 września obchodzono ćwierćwiecze pracy Matejki. Biskup krakowski odprawiał mszę na Zamku, przed wielkim ołtarzem. Matejko, otoczony czworgiem dzieci, słuchał jej w tem samem presbiteryum, w którem przed laty dwudziestu oczyma duszy widział Skargę i króla Zygmunta, Zamoyskiego i Zebrzydowskiego; towarzyszyło mu miasto całe, można śmiało mówić kraj cały. Po mszy wszyscy przeszli na wielki dziedziniec zamkowy i pod jego arkadami, na dole, w ganku wiodącym do głównych schodów, odbyć się miały przemówienia i wręczenia upominków. Na małem, skromnie przystrojonem wyniesieniu zajął miejsce Matejko, X. Biskup krakowski, prezydent miasta Weigel; w krużganku umieścili się członkowie komitetu — z Tarnowskim w ich liczbie — Rada miejska, uczniowie Szkoły Sztuk Pięknych, artyści, i delegaci różnych i licznych stowarzyszeń; wielką część dziedzińca i ganki obu piąter Zamku zapełniła bardzo liczna publiczność. Imieniem komitetu przemówił Artur Potocki, kończąc swe przemówienie prośbą o *Sobieskiego*. Wtedy zaszło to, co było niespodziewane, a najwznioślejsze. W odpowiedzi swej Matejko rzekł między innemi: »Tam, dokąd z pod Wiednia bieżał goniec z listem królewskim i chorągwią proroka, tam ślijmy obraz chwilę tę uprzytomniający. Tam, z Watykanu, wymowniej, niż skądinąd przypominać on będzie nieprzedawnione nigdy zasługi, prawa i boleści nasze. U stóp Namiestnika Chrystusowego obraz Sobieskiego kładąc, kładziemy tam zarazem nasze nadzieje«. »Najrzadsze, najszczęśliwsze chwile — pisał o tem pod świeżem wrażeniem Tarnowski — są te, kiedy się na tym biednym świecie coś wielkiego spotka i zobaczy. Taką nam chwilę sprawił Matejko. Jak jego obrazom, czy im kto to czy owo zarzuca, jednego nikt zaprzeczyć nie może, że jest w nich geniuszu siła, tak w nim wielkości duszy ten chyba nie widzi, kto jej zgoła poznać niezdolny. On uczuł, on odgadł, on za nas wszystkich zrobił to, co nas w tej chwili do Sobieskiego zbliżyć mogło, co za nas mówi i świadczy, żeśmy jego dzieci i poddani, co nas za takich po podobieństwie duszy poznać daje; on nas podniósł i znalazł to, co obchód ten cały podniosło, co z pamiątkowej uroczystości zrobiło akt życia, a obchód europejskiego czynu przeniosło na szerszą europejską widownię, co było jawnem przyznaniem się i wyznaniem, że się po dobrej stronie, po stronie Sobieskiego stoi i trwa, a i jawnem także wyznaniem, a przynajmniej wyrzeczeniem się tego, co złe. Kiedy miesiącami naprzód my-

śleliśmy z góry, że ten obchód miałby pokazać przecie, że to naród ten sam, i że duch szlachetny, duch Sobieskiego żyje w nim, a przy Boskiej pomocy do wielkich rzeczy zdolnym jeszcze być może, czuliśmy, że coś takiego byłoby potrzebne, ale nie wiedzieliśmy, co wymyśleć i zrobić. Matejko wymyślił, znalazł natchnieniem wielkiego serca: zrobić przy dwóchsetnej rocznicy to, co zrobił po bitwie Sobieski: pomyśleć o Rzymie, posłać do Papieża. Co posłać? Nie chodzi o przedmiot, ale o oświadczenie się i wyznanie. Sztandaru Mahometa nie mamy; niech będzie to, co ową chwilę przypomina, niech idzie ten obraz. Bez przesady podobno powiedzieć można, że ten czyn ma nietylko narodowy, moralny, religijny, ale i polityczny charakter, bo wyraża wszem wobec tę zasadę, której się trzymał Sobieski, której trzymać się winniśmy i chcemy, zasadę z Zachodem przeciw Wschodowi. Co zaś rzeczy już wzniosłej dodało wzniosłości, to objaśnienie, jakie Matejko do czynu swego dodał. Zdawało nam się zrazu, że on chce obraz swój papieżowi ofiarować, i to było już dość piękne. Ale on wytłómaczył, że był źle zrozumiany, że dar od niego samego, to rzecz mała i bez znaczenia, że on wprawdzie obraz swój daje, ale w tej myśli, żeby był od wszystkich, od narodu ofiarowany«. Oświadczenie to wywołało entuzyazm wśród zgromadzonych, gruchnęły wiwaty, a odgłos ich, obijając się o arkady zamkowego dziedzińca, choć rozlegał się tryumfalnie, brzmiał i rzewnie zarazem. Były łzy i w męskich oczach. Zrozumiano widocznie, o co chodziło, i co się stało, a dusza polska, zadrgawszy radośnie, uczuła, że stało się jej zadosyć.

Zaraz potem oświadczył Matejko, że z tym darem trzeba będzie do Rzymu pojechać, i wyraził życzenie, żeby z nim, oprócz innych, jechali Artur Potocki i Stanisław Tarnowski. Tak się rozwiązała owa szarada, wypisana na szkicu, owa »droga daleka«, która czekała obdarowanego.

Wypadło dowiedzieć się w Rzymie, czy Ojciec Święty dar przyjmie, a jeżeli, to w jakim czasie. Odpowiedź, nader uprzejma, obiecywała audyencyę na grudzień, przed Bożem Narodzeniem. Skoro dar miał być złożony w imieniu narodu, wypadało, żeby go złożyli ludzie nietylko z różnych części Polski, ale i z różnych warstw ludności, żeby prócz szlachty byli reprezentowani włościanie i mieszczanie. Sam Matejko zażądał uczestnictwa włościan, i to obu obrządków, Polaka i Rusina. Skoro się temu życzeniu stało zadość, deputacya, z Matejką na czele, pojechała do Rzymu. Z Krakowa, oprócz Potockiego i Tarnowskiego, pojechali: Zygmunt Cieszkowski, który nawet z Matejką wyjechał o parę dni wcześniej (bo Matejko chciał

zatrzymać się po drodze we Florencyi) i X. Chotkowski. Z Paryża przyjechał książe August Czartoryski. Cała deputacya składała się z ośmiu osób...

W jaki sposób upłynęły te pamiętne dni, które Tarnowski spędził teraz w Rzymie z genialnym twórcą *Sobieskiego*, o tem najlepiej informuje jego własny opis, skreślony w artykule p. t. *Oddawanie Ojcu św. Leonowi XIII daru narodowego z obrazu Matejki.*[1]) Oto, co tam czytamy: »Stanęliśmy w Rzymie 12 grudnia, a wezwani przez Kardynała Ledóchowskiego, udaliśmy się zaraz do Watykanu. Chodziło o to, by się dowiedzieć i porozumieć o szczegółach audyencyi, a naprzód, by postanowić, kto ma przemawiać lub odczytać adres. Co do tego, jedno było między przyjezdnymi zdanie. Skoro to dar od narodu, więc nikt nie ma prawa go oddać, nikt tytułu do dopełnienia tego aktu, tylko ten, kto w narodzie, a z narodu w Kościele najwyższe piastuje dostojeństwo, Kardynał-prymas Ledóchowski. Przystał on na to, a mając innych i tak wprowadzać i Papieżowi przedstawiać, przyrzekł, że przemówi i obraz imieniem narodu ofiaruje; żądał wszakże, żeby po nim odezwał się kto drugi, z powodu, że sam zamieszkały w Rzymie do deputacyi tej właściwie nie należy, i że ci, co bezpośrednio z Polski przyjeżdżają, powinni sami Ojcu św. wyrazić uczucia, które ich tu przywiodły. Sądzili wtedy niektórzy, że skoro jest między nami Matejko, twórca i dawca obrazu, to znowu żadnemu innemu przy nim odzywać się nie przystoi. On wszakże przez zbyteczną może, ale nader piękną delikatność uczucia, nie chciał się do tego skłonić, utrzymując, że jako twórca i dawca właśnie nie powinien się wysuwać naprzód i oddawać rzecz, która już nie była jego, kiedy ją narodowi darował. Stanęło więc na tem, że podług jego woli adres przeczytany będzie przez kogo innego... Po załatwieniu tej małej trudności, przyszła większa: ustawienie obrazu. Obraz był jeszcze zwinięty na walcu, z ustawieniem czekano na autora. Ramy tylko stały już złożone, a w nich świeciły dwa medaliony papieży: Innocentego XI i Leona XIII, portrety, które Włochów wprawiały w zdumienie. »Niema takiego poprostu Papieża — powtarzali — i nikt by dziś takiego nie zrobił, a sam Velasquez, kto wie, czy zrobiłby lepiej.« Gdzie miał stać obraz? Nietylko dyrektorowie papieskich muzeów, nietylko wielki burgrabia watykańskiego pałacu, margrabia Sacchetti, i kardynał Ledóchowski, ale sam Ojciec św. nawet przemyśliwał nad wyszukaniem najgodniejszego miejsca. Wybrano najzaszczytniejsze, jakie na naszej kuli ziemskiej

[1]) *Przegląd polski*, 1884, styczeń i *Matejko* str. 271—295.

być może. Na drugiem piętrze Watykanu, obok *Stanzów* Rafaela, jest sala, w której Pius IX umieścił kilkanaście nowszych obrazów. Przeznaczono ją dla *Sobieskiego*, którego imię odtąd ma nosić. Ogromne ramy zajmowały już całą tylną ścianę sali; obraz leżał jeszcze na ziemi. Trudna i niebezpieczna robota rozwijania i naciągania, przy której płótno tych rozmiarów i tego ciężaru najłatwiej może się uszkodzić, odbyła się z zadziwiającą zręcznością i szybkością. Innym niż u nas praktykuje się sposobem, co pewnym niepokojem przejmowało Matejkę; ale widoczna biegłość robotników zmusiła rychło do ufności i do podziwienia. W obecności autora i jego towarzyszy, a z Polaków prócz tych p. Welońskiego i prałata msgra. Meszczyńskiego, w obecności wspomnianych wyżej mniejszych i wyższych urzędników papieskiego dworu, zaczął *Sobieski* pomału dźwigać się w górę. Strach było patrzeć, jak na drabinach o nic nie opartych, tylko pionowo ludzkiemi rękami trzymanych, a tak długich, że po dwie razem sztukować musiano, stali ludzie całem ciałem na bok przechyleni i na powrozach płótno ciągnęli w górę, aż weszło w ramy. A kiedy ta gimnastyczna sztuka odbywała się z niesłychaną zręcznością i siłą, schodzić się zaczęli do sali dygnitarze, których posłańcy czekali na chwilę, kiedy obraz będzie już do obejrzenia. Z ciekawości przyszli najwyżsi urzędnicy papieskiego dworu, duchowni i świeccy, z ciekawości innego rodzaju i z widocznem wzruszeniem kardynał Ledóchowski: z innej jeszcze bardzo w Rzymie znany i ceniony niemiecki malarz Seitz. Ten patrzał długo i do jakiegoś towarzysza swego mówił: *Es ist nichts zu sagen, er ist der erste Maler unserer Zeit*, a potem prosił, żeby go zaprowadzono do Matejki, bo chciałby módz powiedzieć, że go choć raz w życiu ścisnął za rękę. Włosi milczeli: czasem tylko słyszeć się dał wykrzyknik jaki: *Cosa stupenda!* albo *Che vita immensa!...* Nam robiło się dziwnie na sercu, kiedy w tem miejscu, pierwszem na świecie, stanął nam w oczach Jan III tak wielki spokojem i pewnością siebie, jakżeby nie siebie tylko i swego zwycięstwa był pewien... Jakie były uczucia i myśli tego, który o swojej chwale nie myślał, ale chwałę i wielką chwilę w życiu miał? Wpatrywał się w swoje dzieło niedługą chwilę, ale całą duszą, całą wytężoną myślą, jakżeby siebie samego sądził, a odchodząc, rzekł tylko: Jeżeli mnie w Polsce zechcą poniewierać i szarpać, to to mnie zawsze obroni. Na niedzielę 16 grudnia, na 12-tą godzinę w południe, naznaczona była audyencya. Sala przystrojona, tron ustawiony, koło niego kilkunastu dygnitarzy duchownych, arcybiskup Sembratowicz w ich liczbie, po prawej ręce wzdłuż sali rząd pań polskich: Księżna Zofia Odeschalchi, Księżna Maciejowa Radzi-

wiłowa, hr. Taida Rzewuska, pani Okraszewska, panna Skirmunt, i kilka Włoszek, hrabina Pecci n. p. żona synowca Papieża. Nawprost tronu grupa księży polskich i wychowańców polskiego Kollegium, i grupa artystów: Siemiradzki, Welońki, Bakałowicz, Schiller, Wiesiołowski i t. d.; po lewej stronie tronu kardynał Ledóchowski i przy nim ci ośmiu, którzy składali deputacyę (Tarnowski, Potocki i jeszcze paru w kontuszach i przy karabelach). Sala bardzo zapełniona. Zamiar okazałości i uroczystości był widoczny, skoro nietylko dwór papieski występował jak przy wielkich ceremoniach, ale czterej kardynałowie-palatyni (ministrowie) odebrali wezwanie, żeby aktowi asystowali. Oprócz tych, z własnego już popędu, przybyło kilku innych; ten tylko dla złego zdrowia przybyć nie mógł, którego widzieć byłoby tak miło: kardynał Czacki. Wszedł Leon XIII. Zawsze ten sam wyraz głęboki, to spojrzenie przejmujące a łaskawe, ten ruch ręki nerwowy, drżący a majestatyczny, ten sam sposób mówienia, i głos, im dalej, tem silniejszy i pełniejszy«.

Kiedy usiadł na tronie i wszystkich dokoła przeżegnał, zbliżył się Kardynał-Prymas i w krótkim przemówieniu dopełniwszy aktu ofiarowania obrazu, prosił Papieża, aby pozwolił przemówić jednemu z delegatów.

Zaszczyt przeczytania adresu przypadł w udziale Tarnowskiemu, który też adresu tego, napisanego po polsku, a następnie przetłomaczonego na język łaciński, był autorem. W jakiem uczuciu, stanąwszy przed Papieżem, czytał rzeczony adres, o tem sam pisze w następujący sposób: »Zaszczyt, ale i cierpienie zarazem. Byliśmy i mieliśmy z czego być dumni; po raz pierwszy oddawna stawaliśmy nie w proszącej, ani skarżącej postawie, przychodziliśmy z darem, na równy któremu nie wiedzieć ktoby się dziś zdobył, z popędem uczucia i pomysłu, na jaki podobno nie zdobyłby się dziś nikt; nie było to naszą zasługą, ale było naszą chlubą. Staliśmy tam więc nie bez dumy. Ale znowu stać wobec tego króla, który na nas z obrazu patrzał, i zgadywać czyściec, jaki on na tamtym świecie przebywa, jeżeli nas biednych widzi, myśleć o tych poselstwach, co w tym samym Watykanie do dawnych papieży za Polskę mówiły, a przypomnieć, w jakim stanie jest ta Polska, za którą mówi się dzisiaj, to był w tej dumie i w tem szczęściu ból, na który jedną znajdowało się ulgę, w przekonaniu, że wszyscy ci dawni, i ten Sobieski, i Czarniecki, i Żółkiewski, i Batory, i Jadwiga, i wszyscy, ilu ich było dobrych i wielkich, jeżeli nas w tej chwili widzą, to się nas nie wstydzą, ale się do nas przyznają i nami cieszą«.

Mowa, wypowiedziana po łacinie przez Tarnowskiego, brzmiała, jak następuje:

»Ojcze Święty! Obchodziliśmy niedawno dwuchsetną rocznicę zwycięstwa Króla naszego Jana nad Turkami pod Wiedniem. Rocznica to była wielkiej narodu naszego około chrześciaństwa zasługi i ostatniego zwycięstwa; w żałości też rozpamiętywana, bo wiadomo, jak jest gorzko *ricordarsi del tempo felice nella miseria.* Ale im cięższy smutek, tem świętszy był obowiązek donieść, że większa jest u nas czasów i rzeczy, niżeli ducha różnica, a poważnym aktem sobie i drugim przypomnieć, żeśmy naród ten sam, Sobieskiego rycerzy synowie, mniej od ojców chwalebni, ale ich przecież nie ze wszystkiem niegodni. Czem to ducha dziedziczne podobieństwo okazać? Zwyciężać nieprzyjaciół wiary i Kościoła, jak dwa wieki temu, nie możemy; tem chyba Bogu służyć, że wiarę w sobie, wedle sił naszych, a z ciężkim, Bóg świadkiem, trudem utrzymujemy. Tej też tylko wierności i jedności dowód na dziś, przyrzeczenie na przyszłość, złożyć możemy, i tem pochodzenie nasze i z ojcami podobieństwo stwierdzić. Dwieście lat temu, Król nasz zwycięzki jeszcze ze znoju bitwy nie wytchnął, kiedy już o tem pomyślał, żeby Bogu wdzięczności, a Namiestnikowi Jego na ziemi wierności i posłuszeństwa hołd oddać, i sztandar Mahometa, tureckiej potęgi znak i palladium, u stóp poprzednika Świątobliwości Waszej, tego, za którego sprawą panowie chrześciańscy wojnę tę podjęli, którego ona była dziełem i chwałą, u stóp Innocentego złożyć polecił. Dziś pośród nas znalazł się człowiek, który uczuł, że jeżeli tożsamości naszej z dawną Polską dowieść chcemy, powinniśmy, jak ona niegdyś wśród bitwy, wśród obchodu rocznicy myśl naszą do Rzymu, do tej Stolicy Świętej zwrócić i Jej wiernymi synami się wyznać, i uczuć tych znak widomy dać Jej, chrześciańskiemu światu i sobie. Trofeów zwycięstwa nie mamy, którebyśmy u grobu Apostołów na pamiątkę mogli zostawić. Ale ten oto mąż, sztuki malarskiej mistrz, skończył był właśnie obraz wiedeńskiej wiktoryi, a gdyśmy prosili, żeby nam go w ojczyźnie zachować pozwolił, jako drogą jego i naszej dawnej chwały pamiątkę, odrzekł nam, że inne być winno obrazu tego przeznaczenie. Niech w Watykanie złożony, on będzie przypomnieniem nietylko zwycięstwa Króla Jana, ale i jego zamiaru i ducha, naśladowaniem jego przykładu; niech on będzie dowodem, że nie możemy tyle, co wtedy, ale czujemy i myślimy, jak wtedy; niech świadczy, że i dziś do Rzymu obracają się nasze serca, a głowy nasze przed Głową Kościoła się kłonią. »Ja go wam — rzekł — narodowi polskiemu daruję na to, by od narodu Ojcu Świętemu był dany, na

pamiątkę naszych dawnych zasług, na zakład naszej wierności, da Bóg niewzruszonej i nieodmiennej na zawsze«. Stajemy więc przed Tobą, Ojcze Święty, z tym obrazem i od narodu naszego ofiarę z niego u stóp tronu Twego składamy. Przyjmij go, Ojcze Święty, jako hołd czci, wierności, posłuszeństwa i wszystkich naszych synowskich ku Tobie i tej Stolicy świętej uczuć. Przyjmij go, jako znak, żeśmy z ojcami naszymi, z wielkim naszym Królem zawsze duchem połączeni. A jako niegdyś przez półtrzecia wieku z nieprzyjaciółmi wiary świętej walcząc, zasłużyliśmy na chlubne przedmurza chrześciaństwa miano w wspólnym tryumfie, tak dziś, kiedy na tę świętą wiarę, na Kościół Chrystusowy, na Ciebie, Głowę Jego widomą, i na nas samych wreszcie, niemniej ze wszech stron nieprzyjaciół się sprzysięgło, my we wspólnym ucisku i prześladowaniu, w tej burzy, która światem wstrząsa, trzymać się chcemy tej łodzi, która zatonąć nie może, i w niej ratunku szukamy. Ty zaś, Sterniku i Pasterzu, uproś nam i pobłogosław nas, abyśmy małowierni i bojaźliwi nie byli, abyśmy pokusą żadną, strachem żadnym, zwątpieniem żadnem, słabością żadną oderwać się od tej łodzi nie dali, a w odmęcie klęsk naszych nie stracili nigdy z przed oczu i z serca tego znaku krzyża, który jest jedynym znakiem zbawienia i zwycięstwa«.

Gdy Tarnowski skończył czytanie, Papież kazał sobie oddać adres na zwykłym papierze pospiesznie i niepięknie pisany i przywołał do siebie Matejkę. Mówił do niego dość długo, cichym głosem, z ręką położoną na jego głowie; potem podniósł się z tronu, i o poręcz jego na jednej ręce oparty, zaczął mówić... Gdy skończył, nastąpiło przedstawienie uczestników deputacyi przez kardynała Ledóchowskiego. Matejko, przywołany powtórnie do tronu, odebrał od Ojca Świętego Krzyż Komandorski orderu Piusa z gwiazdą. Po nim przystępowali kolejno inni, w ich liczbie przed innymi Tarnowski. Papież jednych łaskawie przypominał, że dawniej był widział, drugich wypytywał o znajome osoby z ich rodziny... Po powtórnem pożegnaniu wszystkich obecnych skończyła się audyencya, a zaczęło oglądanie obrazu. Papież zasiadł naprost niego, zawołał Matejkę do siebie i kazał sobie opowiadać i tłomaczyć. Wypytywał o każdą niemal figurę z osobna, wstawał wiele razy, podchodził bliżej, przyglądał się; ceremonialne posłuchanie zamieniło się niemal w towarzyską rozmowę, w ciągu której Matejko, a przez odbicie i drudzy, odbierali liczne i nader pochlebne powinszowania i podziękowania kardynałów i dworu. Gdy Papież odszedł, deputacya — a z nią i Tarnowski — udała się za swoim przewodnikiem-kardynałem do jego mieszkania na pierwszem piętrze Watykanu, złożyć mu dzięki i za

przewodnictwo i za łaskawość niezrównaną, jaką jej ciągle okazywał. Akt był skończony, pisze Tarnowski: *Sobieski* został w sali' oddany już na własność watykańską, a jego poddani skupili się około tego, który i obraz i dzień ten stworzył, nie wiedząc, jak mu za tę chwałę, za tę wielką dla siebie chwilę a wielki w narodzie czyn dziękować.

Dnia 18 grudnia była deputacya raz jeszcze na posłuchaniu u Papieża. »Był dzień audyencyi dla wszystkich — opowiada Tarnowski — ludzi mnóstwo. Wszystkie pokoje, od sali Szwajcarów począwszy, zapełnione takimi, którzy czekali na słowo i błogosławieństwo Papieża; pomiędzy nimi wielkich jakichś figur świecących gwiazdami i wstęgami wiele, więcej jeszcze pań. Wielkie panie i orderowi panowie nie bez zdziwienia może ujrzeli, że kiedy oni czekać musieli i na publicznej audyencyi poprzestać, nas zawołano zaraz do prywatnego pokoju Papieża. Zamiar wyszczególnienia nas był widoczny, a widoczniejsza od niego łaskawość i dobroć Ojca Świętego. Nie można było nieszczęściem spisywać tego, co mówił; niejeden szczegół mógł wypaść z pamięci, a gdyby i nie to nawet, to powtórzyć dokładnie, co mówił, byłoby trudno. W suchem tylko streszczeniu zapisać można, że zaczął od podziękowania za obraz, podziękowania, które wszystkim, narodowi całemu, zanieść od siebie polecił. Przyrzekł potem, że obraz, jako dar narodowy polski, jako pamiątka Sobieskiego, Matejki, i dzisiejszej chwili, przechowywanym będzie w Watykanie zawsze, i cieszył się, że cały świat cywilizowany widzieć go i podziwiać będzie. Wypytywał potem o przyszłą Matejki pracę i z wielkiem zajęciem słuchał o pomyśle i szkicu *Dziewicy Orleańskiej;* w końcu zeszedł na przedmiot niewyczerpany i przykładami stwierdzony, wiary, która uzdrawia i zbawia. Więcej było, i rzewniej, goręcej, aniżeli na pierwszej publicznej audyencyi. Przeszło blisko pół godziny, kiedy się podniósł i podszedł do stołu, mówiąc, że nie chce, żebyśmy odeszli bez jakiejś od niego pamiątki. Przyniósł i własną ręką oddał każdemu medal złoty, ze swoim wizerunkiem po jednej stronie, po drugiej z wyobrażeniem świętych, za jego panowania kanonizowanych. Potem jeszcze kilka słów najdroższych: »Nie mogę nic, tylko się modlić, ale mi wierzcie i powiedzcie swoim, że niema dnia, żebym się za wasz naród nie modlił, że go nie opuszczę i nie zapomnę nigdy, że w czem mogę, i jak tylko mogę, bronię go, i bronić będę do śmierci«. Wreszcie, kiedyśmy po ostatniem błogosławieństwie wszyscy już u drzwi byli, zawołał jeszcze raz Matejkę, uścisnął za głowę i błogosławił jego, jego rodzinę, jego



STANISŁAW TARNOWSKI
przemawiający do Leona XIII przy oddawaniu obrazu Matejki »Sobieski pod Wiedniem«.
(Fresk Dominika Torti w Galeryi Kandelabrów w Watykanie).

szkołę, i jego przyszłe prace. On zdawał się rad nam, i temu, co się stało; my byliśmy szczęśliwi, jak mało kiedy w życiu.

Zabawiono jeszcze kilka dni w Rzymie, dni bardzo miłych, bardzo pięknych. »Ranki — słowa są Tarnowskiego — schodziły zwykle w Watykanie, gdzie *custodi* poznali nas prędko i pozwalali chodzić, gdzie nam się podobało; popołudnie, krótkie niestety, na chodzeniu po Rzymie; wieczory na rozmowie między sobą, do której zawsze należał Wełoński. Matejko był pogodny, chwilami nawet wesół... Czy mówił co o Rzymie i o swoich wrażeniach? Nic. Jedno tylko słowo przypominam sobie i zapisuję. Pewnego dnia byliśmy w kaplicy Sykstyńskiej. On odszedł od nas, położył się na wznak na jednej z ławek i wpatrywał się w sklepienie. My, zbici w kupkę, trzymaliśmy się zdaleka, i mówili cicho, żeby mu nie przeszkadzać. Leżał tak długo; potem przeszliśmy prosto do *Stanz*. Zatrzymał się znowu przed *Dysputą* i powiedział tyle tylko: »Jeżeli kto myśli, że to mniejsze od tamtego, to się grubo myli«. Wreszcie, przechodząc przez Salę Konstantyna, wskazał ręką na allegoryczną figurę ze strusiem, *Mansuetudo*, i rzekł: »Gdyby Rafael nie był nic wymalował, tylko to jedno, to już byłby największym malarzem«.

Że ten dar od narodu polskiego i chwila z nim związana były miłe Leonowi XIII, tego niebawem dał wymowny dowód, kiedy, przy ozdabianiu Galeryi Kandelabrów freskami, zapragnął, by w jednej lunecie wymalowana była scena oddawania *Sobieskiego*, ta jej chwila mianowicie, w której Tarnowski odczytuje adres. Zadanie to powierzono malarzowi włoskiemu Domenico Torti, a choć nie można powiedzieć, by wymalowany przezeń fresk był mistrzowskim, to jednak przyznać trzeba, że dominująca w nim figura Tarnowskiego stanowczo jest ze wszystkich najlepszą. Zapisać należy, że po powrocie do Krakowa, Matejko ofiarował Tarnowskiemu, jako »oratorowi w Watykanie«, szkic *Zamoyskiego pod Byczyną*, czem mu chciał wyrazić swą wdzięczność za udział w wyprawie do Rzymu. Arturowi Potockiemu w tem samem uczuciu ofiarował *Zmartwychwstanie*. [1]

Pracowitość, to był zawsze jeden z najbardziej charakterystycznych rysów Tarnowskiego: pracowitość i obowiązkowość, wynikające z chęci służenia! Ale nigdy może tej pracowitości nie dawał tyle dowodów, co właśnie w tych latach ośmdziesiątych, kiedy prawie, że zasługiwał na zarzut, że zbyt wiele brał na swoje barki, co stanowczo musiało mieć swój ujemny wpływ na jego studya literackiej natury. Bo czego on wtedy nie robił! Przedewszystkiem

---

[1]) *Matejko*, str. 302.

wykładał na uniwersytecie, co już samo zabierało mu parę godzin dziennie, jeśli się zważy, że do godzinnego wykładu trzeba się przygotować, cóż dopiero, jeśli ktoś przygotowywał się tak sumiennie, jak on! A prócz wykładów należało prowadzić seminaryum historyczno-literackie, należało uczestniczyć w kolloquiach i w egzaminach doktorskich, co znowu raz po raz zabierało po parę godzin dziennie. A nie należy zapominać, że każdy profesor uniwersytetu, ma po za wykładami, jeszcze i różne sesye fakultetu lub senatu, sesye natury administracyjnej najczęściej, a więc mało zajmujące, od których jednak uchylać się nie można. Prócz zajęć, związanych ze stanowiskiem profesora uniwersytetu, a które każdemu innemu dostatecznie przeszkadzają w pracy naukowej, Tarnowski już od lat pełnił cały szereg czynności, które mu stale pochłaniały mnóstwo czasu. Pod tym względem najlepiej informuje o jego szerokim zakresie pracy *Skład Uniwersytetu Jagiellońskiego*, n. p. z r. 1884, z którego okazuje się, że Tarnowski już wówczas, obok innych godności uniwersyteckich, piastował urząd Członka c. k. Komisyi egzaminacyjnej dla kandydatów na nauczycieli gimnazyalnych, że w roku szkolnym 1882—1883 był Dziekanem Wydziału Filozoficznego, w roku zaś 1883—1884 Prodziekanem tegoż Wydziału, że już wtedy był radcą miejskim Krakowskim, że będąc członkiem c. k. Rady szkolnej Krajowej, zasiadał w niej, jako Delegat miasta Krakowa;[1]) słowem był obarczony czynnościami najrozmaitszej natury, z których wszystkie razem wzięte wobec jego wrodzonej obowiązkowości, sprawiały, że nigdy nie miał wolnego czasu, a zawsze był przeciażony nadmiarem zajęć. Jako członek Rady Szkolnej, w której pracował pospołu z niektórymi ze swych dawnych przełożonych, jak n. p. z Zygmuntem Sawczyńskim, raz po raz musiał jeździć do Lwowa, gdzie również co roku po kilka tygodni lub parę miesięcy spędzał w roli posła sejmowego, nie cofającego się przed żadną pracą w komisyach, co często, zwłaszcza przy jego sumienności, wcale się nie równało — jak dla wielu — pracowitemu próżnowaniu. Prócz tego, po skończonej sesyi sejmowej, któż miał pisać sprawozdanie o niej do *Przeglądu*

---

[1]) Ażeby mieć przybliżone pojęcie o sumienności, z jaką Tarnowski wywiązywał się z obowiązków członka Rady szkolnej Krajowej, wystarcza przeczytać jego liczne *Sprawozdania delegata Rady miasta Krakowa do Rady szkolnej krajowej za lata 1889—1897*, sprawozdania, z których każde jest wyczerpującą broszurą. Sprawozdanie za rok 1889 zaczyna się od słów: »Zaszczycony przez świetną Radę miasta powtórnym wyborem na członka Rady szkolnej krajowej...« Tutaj też wspomnieć należy o broszurze Tarnowskiego z r. 1891 p. t. *Michał Bobrzyński w Radzie szkolnej.*

polskiego? Póki żył Szujski, nikt tego nie potrafił czynić lepiej od niego. Ale po śmierci Szujskiego? Bobrzyński doskonale umiał się wywiązać z tego zadania, ale był tak zajęty zawsze, że najczęściej czynił to w tych czasach sam Tarnowski, jak o tem świadczy obszerne sprawozdanie z *Sesyi sejmowej z r. 1883* i z r. 1884. Kiedy w roku 1883 został sekretarzem jeneralnym Akademii Umiejętności, znaczyło to, że mu znów, oprócz zwykłych dotychczasowych, przybyło mnóstwo nowych zajęć, niemniej absorbujących, a bardzo odpowiedzialnych. Prócz tego, jako przewodniczący wydziału filologicznego Akademii, musiał uczestniczyć we wszystkich posiedzeniach tegoż wydziału, czyli, że mu przybyła jeszcze nowa sesya posiedzeń, których nie mógł opuszczać, choćby dlatego tylko, że na nich zwykle musiał przewodniczyć. Poza Akademią należał do różnych komitetów, które wtedy obradowały nad różnemi sprawami, a z których dwa szczególniej mu leżały na sercu, a więc pochłaniały wiele czasu: to[1]) komitet, który się utworzył zaraz po śmierci Szujskiego w celu zbiorowego wydania dzieł autora *Odrodzenia i Reformacyi*, i 2) komitet zajmujący się zorganizowaniem zjazdu historyczno-literackiego im. Jana Kochanowskiego. W obu tych komitetach Tarnowski był nadzwyczaj czynny: w komitecie dla wydania dzieł Szujskiego, pod przewodnictwem profesora Zolla, podjął się opracowania i przygotowania do druku całej Seryi I, t. j. wszystkich poezyi, oryginalnych i tłomaczonych, dramatów, po-

[1]) Wystarcza przejrzeć Sprawozdania Wydziału filologicznego Akademii z tych lat, by widzieć, jak dalece Tarnowski był czynny, jako przewodniczący tegoż wydziału. Oto parę przykładów: Dnia 6 grudnia 1883 na posiedzeniu Wydz. filolog. na podstawie opinii Majera, Estreichera i Tarnowskiego uchwalono ogłosić dzieło biskupa Ad. Krasińskiego, *Słownik synonimów polskich*. D. 7 grudnia t. r. na posiedzeniu komisyi hist. oświaty i literatury w Polsce w czasie dyskusyi z powodu projektowanego zjazdu hist. liter. im. Jana Kochanowskiego, zabierał głos Tarnowski... D. 7 maja 1884 na posiedzeniu wydz. filolog. proszono Tarnowskiego i Wisłockiego o ocenienie nadesłanej na konkurs imienia Kaspra Bieleckiego pracy p. t. Jan Kochanowski na Uniwersytecie Jagiellońskim podług metryk uniwersyteckich (nagrodę przyznano J. Kallenbachowi). Dnia 10 czerwca t. r. na posiedzeniu kom. hist. ośw. i liter. omawiano sprawę wydawnictwa Biblioteki pisarzów polskich. Tarnowski wybrany do komisyi. Dnia 26 czerwca t. r. na posiedz. Wydz. filolog. omawiano kwestyę konkursu z zapisu Bieleckiego dla uczniów Un. Jagiell... Wydział, na wniosek Tarnowskiego, postanowił ogłosić zadanie: Studyum nad jednym z poetów bezpośrednio następujących po Kochanowskim, n. p. nad Szymonowiczem, Piotrem Kochanowskim, Grochowskim lub innymi. D. 17 stycznia 1885, na posiedz. wydz. filolog. Tarnowski zdawał sprawę z pracy Bruchnalskiego: *Legenda aurea w literaturze polskiej XV. wieku*. D. 12 lipca t. r. Tarnowski zdawał sprawę z pracy Manteufla: *Rzut oka na pieśni gminne łotewskie.*

wieści, rozpraw z zakresu literatury polskiej lub obcej, wreszcie przemówień i sprawozdań Szujskiego, jako sekretarza jeneralnego Akademii Umiejętności. Praca nielada! W komitecie, urządzającym Zjazd im. Kochanowskiego, Tarnowski był przewodniczącym, a więc z pewnością miał sporo do roboty. Jednocześnie, obok tych wszystkich, tak różnorodnych zajęć, na jego głowie spoczywał cały ciężar redagowania *Przeglądu polskiego*, który w tych latach wychodził podpisany przez Tarnowskiego, jako wydawcę i redaktora odpowiedzialnego.[1]) Dawniej ten ciężar rozkładał się na trzech: na Tarnowskiego, który zawsze był duszą pisma, na Szujskiego i Koźmiana (bo Wodzicki nigdy nie brał czynniejszego udziału w pracy redaktorskiej); później ubył Koźmian, odkąd został dyrektorem teatru krakowskiego; w końcu, gdy jeszcze śmierć zabrała Szujskiego, został się sam Tarnowski. I nietylko dawał sobie radę, jako redaktor, ale prócz tego bodaj czy nie on był najpilniejszym z współpracowników pisma. Nie było numeru *Przeglądu*, żeby w nim nie znajdowało się paru rzeczy pióra Tarnowskiego, począwszy od sprawozdań literackich, podpisywanym inicyałami S. T., a skończywszy na recenzyach teatralnych, ukazujących się bez żadnego podpisu (które jednak łatwo poznać po stylu). Nawet przeglądy polityczne, pochodzące *Od redakcyi*, często były jego pióra. Niektóre artykuły, wymagające specyalnego objaśnienia lub oświetlenia, n. p. *Pamiętniki Murawiewa*, lub *Wspomnienia o Paulinie Felińskiej*, ukazywały się poprzedzone przedmową Tarnowskiego. On też pisał prawie wszystkie wspomnienia pośmiertne, nieraz dosięgające rozmiarów artykułów, jak o Bernardzie Kalickim. Każdy świeżo wystawiony obraz Matejki, jak każdy świeżo wydany tom dzieł Szujskiego, zawsze był omówiony w *Przeglądzie polskim* przez Tarnowskiego, a że obrazy Matejki, które w tych czasach wystawiał, były wielkich rozmiarów, więc i relacye o nich, jeżeli miały być gruntowne, rosły pod piórem. Że Tarnowski w takich warunkach, wobec takiego nawału zajęć, jeszcze mógł znaleść czas na krytyczne rozbiory najnowszych powieści polskich, z pomiędzy których szczególnie wysoko podniósł *Ogniem i mieczem* Sienkiewicza, to już się tłomaczy tylko jego wyjątkową pracowitością, no i łatwością pisania. Myliłby się jednak, ktoby sądził, że tu już koniec działalności Tarnowskiego, jako profesora i literata. Tymczasem w nim, obok niestrudzonego pracownika, tkwił jeszcze człowiek uczynny, który, gdy go proszono o coś, rzadko umiał odmówić. Tym sposobem

---

[1]) Począwszy od r. 1885 zaczął podpisywać *Przegląd polski*, jako wydawca i redaktor odpowiedzialny, Dr. Jerzy Mycielski.

niedość, że raz po raz uproszony przez różne instytucye filantropijne, wygłaszał odczyty, w Krakowie, we Lwowie, w Warszawie, w Poznaniu, ale od czasu do czasu musiał wygłaszać jeszcze i mowy pogrzebowe, które niezawsze są najłatwiejszem zadaniem. Tak w listopadzie r. 1884 przemawiał nad trumną Henryka Wodzickiego, w kwietniu zaś r. 1885 przemawiał w Brodnicy, w Poznańskiem, na pogrzebie Stanisława Koźmiana, prezesa poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

Ale jakby tego wszystkiego jeszcze było mało, kiedy po ustąpieniu profesora literatury niemieckiej, Bratranka, a przed zamianowaniem jego następcy, Uniwersytet Jagielloński przez parę półroczy był pozbawiony wykładów tego przedmiotu, wydział filozoficzny, chcąc jakkolwiek na brak ten zaradzić, zwrócił się do Tarnowskiego, czy by się nie podjął, przez jeden kurs, dodatkowo i zastępczo, wykładów z literatury niemieckiej. Kto inny na miejscu Tarnowskiego, gdyby był tak, jak on, obarczony, tyloma zajęciami, z pewnością by odmówił; on zgodził się. A że z całej literatury niemieckiej, jak sam powiada, najlepiej zna Schillera, więc zdecydował się wykładać o Schillerze, jako dramaturgu. Z tych to wykładów powstało dzieło *O dramatach Schillera*, którego pojedyncze rozdziały, nim całość wyszła w książce, przez szereg lat, począwszy od lutego 1884 roku drukowały się w *Przeglądzie polskim*.

Tymczasem d. 28 maja odbył się w Krakowie, pod przewodem Akademii Umiejętności, zjazd historyczno-literacki im. Jana Kochanowskiego. Po nabożeństwie w kościele św. Anny, celebrowanem przez biskupa krakowskiego, odbyło się doroczne posiedzenie Akademii, które dla wielkiej liczby uczestników urządzono nie w sali Akademii, lecz w Sukiennicach, w pięknej sali Muzeum Narodowego, na niepospolitem tle *Świeczników Chrześciańcistwa* Siemiradzkiego. Na estradzie, obok Alfreda Potockiego, Józefa Majera i Karola Estreichera, zajął miejsce Tarnowski, który też, jako sekretarz jeneralny Akademii, po przemówieniach Potockiego i Majera, odczytał zwykłe w takich razach *Zdanie sprawy z ruchu naukowego Akademii Umiejętności* za rok ubiegły. Z całego sprawozdania najbardziej znamiennym był jego początek, który brzmiał, jak następuje:

— Po raz pierwszy przypada mi zaszczyt zdawania sprawy z całorocznych czynności Akademii Umiejętności; pierwszy raz Szanowne zgromadzenie widzi przed sobą nie tego jeneralnego sekretarza, którego od założenia Akademii widzieć było przywykło, który był jej, a powiedzmy śmiało narodu naszego chlubą i podporą. Nie dziw, że ku niemu — zgodnie zapewne z myślą tego zgromadzenia —

zwraca się myśl następcy, i że pierwszem słowem, jakie on z tego miejsca i w tym swoim nowym charakterze głośno wypowiada, jest słowo: »nastąpić łatwo, po każdym zawsze drugi nastąpić musi; ale godnie zastąpić trudno, a są tacy, których godnie zastąpić zgoła nie można«. Czujemy to wszyscy, osieroceni śmiercią Szujskiego, i wiemy, że żadnego z równych mu wiekiem lub młodszych nie stać na to, by był dla społeczeństwa, dla nauki, dla tej instytucyi, tem, czem był tamten. Ale pozbawionym jego światła, jego pracy, i tej siły, jaką każdy czerpał w jego wielkiej duszy, pozostała jego pamięć i jego przykład. Te nam przypominają, że ustawać się nie godzi; uczą, że gdzie jeden ubył, tam szereg ścieśnić się winien, a z połączonych, zespolonych sił mniejszych starać się otrzymać zbiorową sumę, która by na ten sam punkt Archimedesowy działanie swoje bez przerwy wywierała.

Po odbytem posiedzeniu Akademii, tegoż dnia po południu, w tejże sali Sukiennic, rozpoczął się właściwy Zjazd. Zagaił go Tarnowski, jako przewodniczący komitetu, obszerną mową, »wykwintną, jak zawsze, co do formy, a zarazem pełną jędrnych i głębokich myśli«. Wspomniawszy o zjeździe historycznym im. Długosza, przedewszystkiem zwrócił uwagę na różnicę, jaka zachodziła pomiędzy temi dwoma zjazdami. »Przed czterema laty — mówił między innemi — z miejsca tego odzywał się Szujski: pierwsza najsmutniejsza różnica, której wskazywać nie trzeba, bo ją każdy czuje, ale której przemilczeć się nie godzi«. Ale jakiekolwiek mogły być różnice pomiędzy tamtym a tym zjazdem, jedno nie ulegało wątpliwości, że oba dopełniały się wzajemnie, że i jeden i drugi był nader pożądanym, bo potrzebnym, korzystnym dla nauki polskiej.

— Przypadkowe to, ale szczęśliwe zdarzenie, były słowa mówcy, że pierwszym, który uczonych polskich na wspólne narady zgromadził, był historyk, pierwszy u nas nauczyciel tej życia mistrzyni, z której teraźniejszość uczy się na przeszłości, jak przyszłość gotować. Surowa, jak prawda, ale jak ona zbawcza, historya ma tę naturę i ten skutek błogosławiony, że zmusza prawdę znać i mówić, ale i miłować ją uczy. Źle się stało, żeśmy przed wiekami głos jej chropawy i twardy w bawełnę obwijali i do pieszczonych dźwięków ją zmuszali; gorzej było by, gdybyśmy go dziś słuchać lub rozumieć nie chcieli. W przeszłości naszej i w dziejach naszej literatury zdarzają się głębokie nauki. Tej w samych początkach, zanim jeszcze swoim językiem pisać się nauczyła, dała Opatrzność historyka i polityka pierwej, niż poetę, jakoby na znak i przestrogę, że to najpotrzebniejsze nam w życiu nauki. Aniśmy z jednego, ani z dru-

giego dosyć się nie uczyli, i jakżeby za karę, aniśmy z doświadczeń przeszłości dość korzystać, ani z zasobów naszych stosownie silnego organizmu rozwinąć nie zdołali. Ale słusznie jest po historyku złożyć cześć poecie, bo jeżeli mistrzynią życia społecznego jest historya, a jego warunkiem polityka, to jego kwiatem jest cywilizacya, a tej znamieniem i dokumentem literatura i sztuka. I dziki naród może mieć swoje śpiewy lub swoje bałwany: ten, który miał poezyę, literaturę i sztukę, nawet gdy zniknął, ma świadectwo, że był oświeconym — i przed Grecyą korzy się dotąd świat cały. Obchód dzisiejszy poświęcony jest tej wielkiej w dziejach naszych chwili, kiedy w dniu narodzenia swojej poezyi Polska przyjęła ten niezmazany charakter, ten widomy znak dojrzałej zupełnej cywilizacyi, kiedy jej geniusz, dotąd spowity, pierwszy raz rozwinął skrzydła, kiedy jej język, który dotąd *loquebatur ut parvulus*, pierwszy raz przemówił, jak mąż, i znalazł słowo na wszystko, co w duszy ludzkiej być może; kiedy ten naród, z tą gałązką lauru między oświeconymi narodami stając, miał prawo powiedzieć *anch'io*, bo za Grekami i Rzymianami starymi, za Włochami, a od innych bądź niewiele później, bądź wcześniej, »wdarł się i on na skałę pięknej Kaliopy«.

Po mowie, zagajającej zjazd, zaproponował Tarnowski, imieniem komitetu urządzającego, by przystąpiono do wyboru biura, przyczem odczytał listę osobistości, które proponował komitet. Tym sposobem całe biuro zostało wybranem przez aklamacyę, mianowicie: Kazimierz Jarochowski na prezesa, Włodzimierz Spasowicz na pierwszego wiceprezesa, Zygmunt Węclewski na drugiego wiceprezesa; na sekretarzy zaś: Roman Pilat, Piotr Chmielowski i Kazimierz Morawski. Bezpośrednio potem, po mowie Jarochowskiego, rozpoczęło się pierwsze posiedzenie zjazdu, przystąpiono do czytania referatów.

Tegoż dnia, po skończonem posiedzenia, w pałacu państwa Tarnowskich, zgromadzili się wszyscy uczestnicy zjazdu. »Zetknięcie gości z dalekich stron — pisał *Czas* o tym wieczorze — ożywiało zebranie, a obecność biskupa krakowskiego i wielu duchownych dodawała mu powagi, a liczne grono dam, uroku. Gościnne przyjęcie przypominało nastrojem ów wykwintny wiek odrodzenia, tak wybornie rozumiejący łączność literatury i sztuk pięknych z życiem towarzyskiem«.

Nazajutrz, po pracowicie spędzonym dniu na dyskusyi w sali Muzeum Narodowego, zgromadziło się o godz. 8-ej wieczorem, w sali Towarzystwa Strzeleckiego, około stu uczestników zjazdu, dla spożycia wspólnej wieczerzy. Tarnowski i Bobrzyński pełnili rolę gospodarzy. Oczywiście, że podczas uczty wygłoszono szereg toastów.

Po mowie Majera zabrał głos Tarnowski, wnosząc zdrowie gości, a między innymi i zdrowie Matejki, który swym wizerunkiem Kochanowskiego, przysłanym na świeżo otworzoną wystawę zabytków z XVI wieku, niesłychanie uświetnił tę uroczystość zjazdu. Za to należało mu się szczególne podziękowanie. Stąd w przemówieniu Tarnowskiego, pijącego na cześć tych wszystkich, co zjazdowi nadali blasku, znalazł się taki ustęp na cześć twórcy *Grunwaldu:*

— Wszystkim, których imię Kochanowskiego tu zgromadziło, te same dzięki, te same życzenia. Ale wśród przyjezdnych jednego wymienię miejscowego. My pracujemy i mozolnie po cegiełce znosimy na rekonstrukcyę przeszłości, żeby ją ktoś kiedyś po nas opisał i odtworzył. Są inni, którzy mają w sobie takie środki i odrazu odgadnąć i odtworzyć umieją. Pokolenia przejdą, nim historya zbada wiek XVI, a tymczasem wymownie będą mówić z obrazów chwały Wielkich Łuk i pruskiego Hołdu, Babińska wesołość i Dworska pomna zawieszenia dzwonu, czarne przeczucie Stańczyka i Skargi przepowiednie, cały wiek XVI z nich mówi. Historya literatury długo będzie pracowała, nim zbada i wytłomaczy postać Kochanowskiego, ale jego wymalowana głowa, ta, którą od dwóch dni znamy, powie rozumnemu widzowi, co w tej głowie i duszy było; da poznać jeszcze na drugie lat trzysta, jak mógł »wyglądać ów boski lutnista«. Mielibyście panowie żal do mnie i słuszny, gdybym przy tym obchodzie na cześć XVI wieku i Kochanowskiego nie wspomniał Matejki.

Trzeciego dnia rozpraw, na piątem posiedzeniu, przyszła kolej na referat Tarnowskiego: *O stanie obecnym literatury polskiej i jej potrzebach.* Referat ten, i tak już obszerny, w swym ustnym wykładzie Tarnowski jeszcze rozszerzył, przedewszystkiem podnosząc konkluzye swego referatu, a więc 1. rozwijając wskazówki w celu podniesienia badań nad historyą literatury polskiej, 2. stwierdzając potrzebę systematycznego nauczania literatury polskiej w szkołach średnich galicyjskich i 3. domagając się utworzenia katedry dziejów literatury powszechnej na uniwersytetach krajowych. Dyskusya, jaka się wywiązała z powodu tego referatu, przybrała takie rozmiary, jakich nie miała przy żadnym z referatów poprzednich: trwała przeszło dwie godziny, a udział w niej wzięło więcej, niż dziesięciu mówców, którzy korzystając z dogodnej sposobności, jaką im referat tego rodzaju nastręczał, wplątali w dyskusyę niektóre momenta i życzenia, w słabej tylko łączności z rozprawą będące. Wytycznemi jednak zdaniami referatu i dyskusyi były trzy napomnienia i dezyderata. Naprzód to, że w pracach naszych literackich tak mało jest ścisłości



STANISŁAW TARNOWSKI
(r. 1883).

i filologicznej metody, że nie opanowywują one dostatecznie drukowanych i rękopiśmiennych źródeł, i dlatego mają najczęściej zakrój i nastrój feljetonu. Dalej zdanie, że spójnia i związek ze współczesną historyą bywa najczęściej słabo lub zaledwie narysowanym: a wreszcie wyrażono życzenie, aby wpływy ościenne bardziej były w literaturze naszej uwzględniane, niż to dotychczas się działo. Monografie sumienne mogą tym brakom zaradzić i przyspieszyć żółwi postęp dotychczasowej na tem polu pracy, to też wołanie o monografie było ostatecznym wynikiem tego obfitującego w trafne prawdy referatu.[1] Po skończonej dyskusyi w odpowiedzi wszystkim, którzy w niej zabierali głos, stwierdził Tarnowski, że liczni mówcy, rozwijając swoje zapatrywania w pewnych szczegółach, zaznaczyli ogólnie, że zgadzają się z postulatami, które referat sformułował.

Z kolei, gdy wyczerpano wszystkie punkty referatów, prezes Jarochowski zamknął zjazd, przyczem, po podziękowaniu prezesowi Akademii, rzekł między innemi, co następuje:

— Istotnymi inicyatorami i gospodarzami w najbezpośredniejszem znaczeniu tego wyrazu, są: prof. Tarnowski i prof. Bobrzyński; niech mi więc będzie wolno w imieniu wszystkich wyrazić im podziękowanie; pozwólcie Panowie, że nie wyrażę tutaj zdania osobistego i jestem przekonany, że mówię w imieniu wszystkich, całego kraju i społeczności naszej. Przyjmijcie Panowie dzięki z moich ust w imieniu zgromadzonych i całego kraju: jest to zasługą z Waszej strony, nietylko naukową, ale i obywatelską: *utraque cives!*

Po rozprawach tak wysokiej miary, jak te, któremi zakończył się kongres imienia Kochanowskiego, po przedstawieniu w teatrze *Odprawy posłów greckich*, wzbudzającem niezmierne zajęcie, pożegnalny wieczór u państwa Michałów Bobrzyńskich, na którym oczywiście nie mogło brakować i Tarnowskiego, był godnym epilogiem trzechdniowych zebrań. »Jeśli chwila obecna na Uniwersytecie i Akademii — pisał *Czas* — przypomina ruch naukowy z czasów humanizmu i odrodzenia, to pod względem towarzyskiej wykwintności i staropolskiej gościnności prześciga te tradycye, a dla porównania wczorajszego wieczoru trzeba by sięgnąć poza koła mistrzów owej epoki, zakonne pędzących życie, do takich ognisk, jakim był dla świata humanistów dom Bonarów. Liczne zebranie miało dwa ogniska: salonu dam, wśród których błyszczała urokiem młoda Wielkopolanka, i zebrania starszych mężczyzn, gdzie w długiej pogadance

[1] Ludwik Ćwikliński, *Zjazd historyczno-literacki im. Kochanowskiego*, w księdze p. t. *W trzechsetną rocznicę Jana Kochanowskiego*, str. 300—301.

w jednem kole widziano biskupa krakowskiego, mistrza Matejkę, gości z dalekich stron, jak Spasowicz i Jarochowski, otoczonych mężami politycznymi i naukowymi krakowskiego społeczeństwa. Raut przedłużył się ponad zwykłą miarę, bo też miał wyjątkową cechę i urok«.

Jeden z najbliższych zeszytów *Przeglądu polskiego*, który wyszedł po zjeździe, cały został poświęcony Kochanowskiemu, przynosząc cały szereg poważnych prac o Janie z Czarnolasu, a w tej liczbie i obszerny artykuł Tarnowskiego: *Co u nas o Kochanowskim pisano.* Był to krytyczny przegląd całej trzechwiekowej literatury o autorze *Trenów*, literatury, która wprawdzie zrobiła niemało, zwłaszcza w ostatnich czasach, ale po której jeszcza więcej zostawało do zrobienia. Taki był ostateczny wynik tego przeglądu prac i opinii: a wniosek praktyczny? »Ten, żeby nie ustawać, nie zasypiać na laurach, zdobytych przez poprzedników, ale szukać, dochodzić i odkrywać dalej«.

Tymczasem, z inicyatywy dyrektora gimnazyum w Tarnowie, Trzaskowskiego, zakrzątnięto się około wzniesienia tamże pomnika Szujskiemu. Chodziło tylko o znalezienie potrzebnych funduszów. Dla przysporzenia ich, Tarnowski wygłosił w Tarnowie, jako rodzinnem mieście Szujskiego, dnia 20 lutego 1885 r. odczyt o *Szujskiego latach szkolnych*, odczyt, który, znacznie rozszerzony następnie, złożył się na obszerny artykuł pod tymże tytułem, wydrukowany w trzech najbliższych zeszytach *Przeglądu polskiego.* Przystępując do pisania tej pracy na podstawie własnych wspomnień z czasów szkolnych, Tarnowski, o ile czuł, że ją napisać powinien, jako żywy świadek tej epoki życia Szujskiego, o tyle miał pewne skrupuły, które choćby dlatego, że on sam był *pars magna* tych dziejów, bardzo go krępowały: bo trudno w takim razie nie wspominać o sobie, trudno uniknąć posądzenia, że się tego właśnie chciało. A jeżeli z tego powodu nieśmiało — jak się sam przyznał na samym wstępie — przystępował do tego przedmiotu, to w niemałe pomięszanie wprawiał go nadto sam przedmiot »Tyle rzeczy od tego czasu przeszło, tak się świat zmienił, że człowiek patrzy na swoją własną przeszłość, jak na coś przedwiecznego, a zarazem tak ją w sobie nosi i żywo czuje, jak żeby ona jeszcze trwała; i kiedy o niej myśli, ma takie uczucie, jak żeby razem jeszcze chodził do szkoły i już szedł za swoim własnym pogrzebem. Kamień, z którym igra dziecię, kładzie się, jak mówi Mickiewicz, pod głowę w trumnie przyjaciołom i sobie. Trzeba też było zadać sobie pewien przymus, stoczyć pewną walkę między pociągiem a wstrętem, żeby złamać tę pieczęć, pod którą złożone są

drogie pamiątki lat minionych i prawie święte po zmarłych relikwie. Ale są między niemi pamiątki po jednym, których za własne uważać się nie ma prawa, po takim, że jego pamiątki to naprawdę jak relikwie wielkiego a bodaj czy nie umęczonego wyznawcy. I te należy wydobyć. Pierwsze lata Szujskiego powinny być znane, bo kiedyś powinien być napisany jego żywot, potrzebny znowu kiedyś temu, kto pisać będzie historyę naszą w tej połowie wieku. A tej potrzebie okoliczności dodały zachęty. W mieście, gdzie na świat przyszedł, gdzie przeżył pierwsze lata, przed szkołą, gdzie pierwsze nauki pobierał, stanąć ma jego pomnik. Myśl ta, to miasto i szkoła, kolebka jego życia, budzą dawne wspomnienia, wiodą do tego same, prawie każą mówić o życia tego początkach; a pomnik przypomina, że kto wie co i pamięta, ten niech się nie ociąga a powie, bo niedługo jeszcze, a mogłoby i tych żywych świadków zabraknąć«. Z tych pobudek powstała ta pierwsza praca o Szujskim, która, snać w szczęśliwej godzinie poczęta, miała zainaugurować wcale obfitą literaturę o autorze *Halszki z Ostroga.*

Stale mieszkając w Krakowie, Tarnowski, wraz z rodziną, raz po raz wyjeżdżał za granicę, a najczęściej do Paryża, do rodziny żony. W Paryżu, zarówno w tamtejszym świecie francuskim, jak polskim, miał sporo przyjaciół, żeby tylko wymienić Klaczkę, który tam do roku 1880, dopóki się nie przeniósł do Wiednia, mieszkał stale. Do roku 1882 mieszkał tam, jako nuncyusz apostolski, Włodzimierz Czacki, z którym Tarnowskiego, oprócz węzłów pokrewieństwa, łączyły nader przyjazne stosunki. To też, gdy Czacki mieszkał w Paryżu, Tarnowski, ile razy bawił nad Sekwaną, należał do częstych gości w nuncyaturze. Świadczy o tem jego wspomnienie o *Kardynale Czackim,* gdzie między innemi znajduje się taka charaktarestyka nuncyusza, skreślona z pewnością *de visu,* na podstawie osobistej obserwacyi: »Leon XIII wysłał Czackiego do Paryża w przekonaniu, że on będzie najzdolniejszym do prowadzenia spraw tak trudnych i zaufania najgodniejszym. Przy pożegnaniu zdjął z głowy swoją białą czapeczkę i darował ją nuncyuszowi mówiąc: wziąłeś moje serce, weźże i głowę Czapeczka ta stała pod szklem na osobnym stole w tronowym salonie nuncyatury paryskiej. *Il a mis beaucoup d'eau dans son vin,* mówili o nim Francuzi, którzy go pamiętali człowiekiem świeckim i młodym, namiętnym i absolutnym, a teraz zobaczyli wyrozumiałym, spokojnym, cierpliwym. Co pewna, to, że na jego przykładzie można było uczyć się, jaka powinna być postawa posła przy zagranicznym dworze. On reprezentował dwór pierwszy, najpoważniejszy ze wszystkich, a jego powagi tem silniej musiał

przestrzegać, że ją ze wszech stron naruszać chciano. Nie dał naruszyć. Czuł się, i okazywał się, i był pierwszym wśród ciała dyplomatycznego w Paryżu. Ale ścisłe zachowanie godności swego dworu łączył z życzliwością wszelką dla tego, do którego był posłany, z uprzejmością niestrudzoną dla wszystkich, z gotowością do wszelkich towarzyskich stosunków, choć te trudziły go niezmiernie i zdrowiu jego bardzo szkodziły. W godzinach przyjęcia dzień w dzień pokoje były pełne: od różnych urzędowych figur lub wygnanych, a w Paryżu zamieszkałych królów, aż do najskromniejszych wiejskich księży, wszystko go szukało, potrzebowało, co dziwniejsza, lubiło. Dyplomatycznej zdolności służył i pomagał dobrze jakiś instynkt człowieka światowego i z wielkiego świata, instynkt wrodzony, skoro zdrowiem od tego świata oddalony, praktyką nabyć go nie mógł. Poważny, jak przystało na księdza i reprezentanta Głowy Kościoła, był grzeczny i uprzejmy, jak wielki pan z XVIII wieku i jak ten także umiał w potrzebie być najgrzeczniej w świecie nieprzystępnym. Nikt naprzykład z większą od niego sztuką i naturalnością nie potrafiłby, będąc w tym samym pokoju, siedząc przy tym samym stole, nie widzieć osoby, której spotykać mu nie wypadało. Nikt również nie umiał lepiej od niego ujmować ludzi obejściem miłem i uprzejmem«.[1])

Z pośród domów polskich, z którymi Tarnowski, bawiąc w Paryżu, pozostawał w bliższych stosunkach, należy wymienić przedewszystkiem Hotel Lambert, na którego czele stał ciągle ks. Władysław Czartoryski, nie mówiąc już o domu *Biblioteki polskiej*, gdzie mieszkał Bronisław Zaleski, gdzie wciąż mieściło się *Towarzystwo historyczno-literackie*, gdzie często przemieszkiwała — o ile nie bawiła w Kurniku — wdowa po jenerale Zamoyskim.

Z uczonych francuskich, z którymi Tarnowski komunikował się w Paryżu, pierwsze miejsce należy się niewątpliwie Albertowi Sorelowi. Omawiając w r. 1885 tom I jego dzieła *L'Europe et la Revolution Francaise*, Tarnowski przy tej sposobności nakreślił krótką sylwetkę autora *Kwestyi Wschodniej w wieku XVIII*, przyczem nie omieszkał napomknąć, że Sorel był także i współpracownikiem *Przeglądu polskiego*, do którego w r. 1874 pisał bezimiennie o *Próbie restauracyi monarchicznej we Francyi*. Oto, jak go pokrótce charakteryzuje Tarnowski, z pewnością na podstawie stosunków osobistych: »Lat temu piętnaście, był to młody chłopiec, który po ukończeniu nauk myślał o dyplomatycznym zawodzie, a w pisarskim próbował

[1]) *Przegląd polski*, 1888, kwiecień, str. 170—172.

sił mniejszemi rozprawami, nawet i powieściami. Ale nawet pisząc powieści, myślał o tej przemianie, jaką Francya przebywała w końcu zeszłego wieku: romans rozwijał się na tle nowych stosunków, wytwarzających się podczas rewolucyi i przez nią, wpływów, jakie te wypadki wywierały na losy i położenie osób. Po wojnie pruskiej młodzieniec zdolny, energiczny i bardzo wykształcony, miał tę zasługę, że między rówiennikami swymi był jednym z tych, co najżywiej wzięli do serca nieszczęście, zastanawiali się nad niem najgłębiej, najprędzej wzięli się do nabywania tego, czego Francyi brakło. Dojrzał pod działaniem tego nieszczęścia: powieściom dał pokój, jak marnej zabawce, a doszedłszy do wniosku, że jednym z powodów nieszczęścia była nieznajomość zewnętrznego świata w przeszłości, czy w teraźniejszości, dawnego czy dzisiejszego stosunku państw europejskich do Francyi, lub między sobą wzajemnie, wziął się do badania tych stosunków, do historyi i polityki ze stanowiska głównie dyplomatycznego. W tej samej myśli, zaznajomienia młodego pokolenia z Europą i z warunkami i podstawami polityki, założona była wkrótce po wojnie prywatnemi środkami szkoła, której celem jest zaradzić na zbyt widoczne pod tym względem braki nauki uniwersyteckiej: *Ecole libre des sciences politiques*. W szkole tej, pod dyrekcyą pana Boutmy, a w towarzystwie takich kolegów, jak Taine, Funck-Brentano, Thureau-Dangin, Pigeonneau, zajął zaraz i młody Sorel katedrę Historyi Dyplomacyi. Wykłady te, jak pisma, zwróciły na niego uwagę i otworzyły mu drogę do politycznych nawet wpływów, skoro zajmuje od lat kilku stanowisko znaczące Sekretarza Prezydyum Senatu, a z tego niewątpliwie wyjdzie i wyżej. Ale te obowiązki nie przeszkadzają bynajmniej pracy naukowej; raczej jej pomagają i uzupełniają. Dwa koła wozu, ale kolej ta sama. Dzisiejszy stan rzeczy musiał oczywiście być rezultatem przyczyn dawniejszych; tych śledząc, historyk czy polityk, musiał naturalnie iść w górę, pytać, jakim sposobem to, co jest dziś, wynikło z tego, co było wczoraj; tą drogą doszedł do studyów nad wiekiem XVIII«.[1])

W r. 1885, gdy Tarnowski bawił w Paryżu, zmarł tam Wiktor Hugo. Odbył się pamiętny pogrzeb autora *Legendy wieków*, pogrzeb, jak i poeta sam, bardzo wspaniały, niesłychanie pompatyczny. Tarnowski, z okien jednego z pałaców przy polach Elizejskich, przypatrywał się temu pogrzebowi. »Przypominamy sobie przed pięciu laty — pisał w roku 1890 z powodu pogrzebu innego narodowego wieszcza — ten pogrzeb Wiktora Hugo. Trumna poety stała przez

---

[1]) *Przegląd polski*, 1885, listopad, str. 378—9.

dwa dni pod arkadą Łuku Tryumfalnego, pod którym nic stać nigdy nie powinno, aż dopóki nie przejdzie pod nim zwycięzca, otoczony zdobytemi sztandarami i działami... Tłumy, zalegające plac dniem i nocą, bawiły się wesoło, a czasem rubasznie; zmarły poeta był pretekstem do demonstracyi dla myślących i rządzących, do spektaklu i festynu dla ludu... Pod pompą była obojętność, sceptycyzm, sarkazm ze wszystkiego, z Wiktora Hugo, z pogrzebu, z siebie samych. Widok był niezrównany: pośród milionowego tłumu posuwający się wśród wspaniałej dekoracyi Pól Elizejskich orszak stu tysięcy ludzi, i tysięcy wozów z kwiatami; ale wrażenie było przykre, przygniatające. Naprzód ten pogrzeb bez krzyża, bez księdza, bez modlitwy, jakżeby ten człowiek i poeta był bez duszy — zuchwała demonstracya bezbożności tryumfującej; potem ten karawan, idący prosto ku miejscu, gdzie były Tuillerye, a pozostała po nich ziejąca próżnia w głębi! *Ceci tuera cela*, mówi Wiktor Hugo o drukowanej książce, i o wierze, która wzniosła kościół Panny Maryi w Paryżu. *Ceci a tué cela,* myślało się, kiedy trumna tego poety urągała zwalonemu przybytkowi i pomnikowi tylu chwał Francyi. Te dażności, którym on pochlebiał na to, by pochlebiały mu wzajem, zabiły wielkość Francyi i jej stanowisko w świecie. I ludność to czuła instynktem, bo wobec tych zwłok była zimna, ironiczna, sceptyczna. Barbarzyńcę z północy raziło to i gorszyło; ale kiedy odezwał się z tem przed Francuzami, odrzekli mu, ruszając ramionami, że na całym świecie byłoby tak samo.

— A co to, to nie! Jeżeli nam się uda kiedy chować Mickiewicza w Krakowie, przekonacie się, że będzie inaczej! [1])

Tymczasem, w roku 1886, upływało trzydzieści lat od śmierci Mickiewicza, rocznica, o której dobrze pamiętali zarówno członkowie *Komitetu budowy pomnika Mickiewicza w Krakowie*, Tarnowski w ich liczbie, jak i rozmaici badacze literatury. Z tych pierwsze miejsce w danym razie należało się Piotrowi Chmielowskiemu, który na tę rocznicę przygotował swoją dwutomową monografię o Adamie Mickiewiczu. Tarnowski napisał o niej recenzyę w *Przeglądzie polskim*, recenzyę, która choć napisana życzliwie i z pobłażaniem, jednak w gruncie rzeczy wypadła bardzo niepochlebnie dla omawianego dzieła«. Z książki Chmielowskiego, zdaniem krytyka, każdy dowie się doskonale, gdzie, kiedy Mickiewicz był, co robił, z kim się wdawał, ale nikt nie pozna, jaki ten Mickiewicz był, jak i dlaczego w ten lub ów sposób się zmieniał i wyrabiał. Przecież ten człowiek miał

[1]) *Przegląd polski*. 1890, sierpień, str. 206. *Z pogrzebu Mickiewicza.*

jakąś duszę, jakąś wolę, przecież te zdarzenia na tę duszę i wolę jakoś działać musiały? Lewes nie pisał fantastyczniej »psychicznej« historyi Goethego, a jak jego Goethe żyje, występuje z tła swoich stosunków! Małecki nie pisał psychicznej historyi Słowackiego, a jak każda zmiana, każdy zwrot w myśli i duszy Słowackiego, każdy zakąt jego serca, każdy zmarszczek jego twarzy, jest w książce tej widoczny, wyraźny, objaśniony w swoich powodach, zmierzony w swojej głębokości. Mickiewicz p. Chmielowskiego stoi nieruchomy, kładą się na niego różne okoliczności i wypadki życia, jak różne suknie na figurę do przymierzania sukien, ale on sam jaki jest, co czuje, co myśli, jak te różne wpływy bierze do serca, jak pod ich działaniem rośnie, potężnieje, albo się zaćmiewa, tego tam niema«. Zaprzeczyć się nie da, że była to prawda, gorzka prawda, która szczególniej krytykowanemu musiała się wydać gorzką podwójnie. Zwłaszcza, że ostateczny wniosek, do jakiego Tarnowski doszedł po przeczytaniu książki Chmielowskiego, był fatalny. »Właśnie dochodzi lat dwadzieścia — brzmiało zakończenie recenzyi — gdy p. Małecki wydał swojego Słowackiego. Przedmiot był mniejszy, a wrażenie większe; przedmiot mniejszy, a sposób jego traktowania szerszy; natura człowieka i talentu, choć mniejsza, może zawilsza, a jednak człowiek i talent tak się tam dawał widzieć wyraźnie, że od tego czasu znamy go i rozumiemy doskonale. Dziś dostajemy Mickiewicza, przedmiot największy i najciekawszy, jaki jest w naszej literaturze, a ten Mickiewicz nasuwa pytanie, czyśmy w rozumieniu i umiejętności traktowania kwestyi literackich, czyśmy w sztuce pisania przez te lat dwadzieścia postąpili naprzód, lub się cofnęli?« Podobna wątpliwość była zabójczą dla książki, zwłaszcza, że jednocześnie powstała plotka, w której nie wiedzieć ile było prawdy, że Tarnowski po przeczytaniu książki Chmielowskiego miał się o niej wyrazić: tu mieszka Mickiewicz, ale go niema w domu. Że Chmielowski bardzo sobie tę opinię Tarnowskiego wziął do serca, nadmieniać zbyteczna; a że się uważał za współzawodnika Tarnowskiego, więc postanowił czekać okazyi, w której by mógł się mu odpłacić pięknem za nadobne...[1])

Tymczasem Tarnowski, który niedawno[2]) został dożywotnim członkiem austryackiej Izby Panów, ogłosił w *Przeglądzie polskim*

[1]) Prócz recenzyi o *Mickiewiczu*, pomieścił Tarnowski w tych czasach w *Przeglądzie polskim* kilka sprawozdań o książkach Chmielowskiego, o jego *Autorkach polskich*, o *Studyach* i *Szkicach*, na ogół oceniając je życzliwie i pochlebnie, z należnem uznaniem, choć oczywiście nie bez poważnych zastrzeżeń.

[2]) 19 września 1885.

szkic literacki o *Michale Czajkowskim*, który w tych czasach starzec blisko 80-letni wystrzałem z rewolweru odebrał sobie życie w Kijowie. Jakkolwiek smutne, bo w końcu pełne hańby były koleje tego człowieka, który z katolika został mahometaninem, a skończył na prawosławiu, to jednak należało przypomnieć rolę, jaką w swoim czasie odegrał, jako jeden z najbardziej wziętych powieściopisarzy, jako autor *Wernyhory*, *Kirdżalego*, a zwłaszcza *Stefana Czarnieckiego*. Jako taki, Czajkowski zajmuje jedno z najwybitniejszych miejsc w naszem piśmiennictwie, a jeśli może być mowa o »szkole ukraińskiej« w poezyi, to on przeniósł ten kierunek do prozy, w której niezaprzeczenie jest jego najświetniejszym reprezentantem. »Między naszymi pisarzami powieści zajmuje on miejsce nie ostatnie wcale. Nie jest z nich najgłębszym, ale wyobraźni poetyckiej ma więcej od wielu: od Rzewuskiego naprzykład, lub Korzeniowskiego. Jest oryginalny, od obcego romansu w pomysłach swoich niezależny. Jego figury kozackie, jego stepowe obrazy mają rzeczywiście poezyi więcej, niż kreacye niektórych wierszem piszących, niż naprzykład Nebaby i Orliki Goszczyńskiego. Powieść historyczną napisał jedną bardzo ładną; w gawędach miał dużo humoru; w małych powiastkach nieraz szczęśliwie obrobił jakieś ciekawe miejscowe podanie; figurom swoim nadawał dużo życia i typowej fizyognomii. A przytem, może dlatego, że sam bił się w r. 1831, figury żołnierskie kreśli lepiej od wszystkich swoich kolegów, daje im jakąś tęgość i fantazyę, której nawet jego maniera zupełnie zatrzeć nie zdoła«. Taki był ostateczny wniosek, do jakiego o Sadyku Paszy, jako o powieściopisarzu, doszedł w swym szkicu Tarnowski.

W tym samym czasie spadł na Tarnowskiego, jako na profesora Wszechnicy Jagiellońskiej, wielki zaszczyt: został obrany rektorem na rok szkolny 1886—1887. Zaszczyt był zupełnie wyjątkowy: raz dlatego, że wybór nastąpił jednomyślnie, a powtóre, że w ciągu tego roku miało się odbyć uroczyste otwarcie *Collegii novi*.

Uchwałą senatu akademickiego postanowiono w tym roku wznowić stary obyczaj otwarcia kursów uniwersyteckich uroczystym aktem wręczenia insygniów władzy rektorskiej przez ustępującego nowo wybranemu rektorowi. Wznowienie to pięknej tradycyi z najświetniejszych czasów, zaniedbanej w czasach upadku przypadło w chwili, gdy stara *alma mater* nowem i świetnem zajaśniała życiem, rzucając w pomrokę dzisiejszych, tak ciężkich dla społeczności polskiej stosunków, promień ożywczy i krzepiący. Obyczaj i tradycya wzmacnia tę łączność wiekową, która z dziejów uniwersytetu udziela się dziejom politycznym narodu. Dlatego — zdaniem *Czasu* — dobrą

i zdrową podjęto myśl, gdy postanowiono powrócić do zaniedbanego obyczaju, który rok rocznie miał odtąd naznaczać ciągłość i postęp w pracach i życiu uniwersyteckiem.

W myśl tego postanowienia, d. 6 października 1886 r., gremium profesorów w liczbie przeszło 50 zebrało się w oznaczonej godzinie w *Collegium phisicum*, skąd z uderzeniem 9 godziny ruszono *processionaliter* do uniwersyteckiego kościoła św. Anny. Pochód poprzedzali bedele uniwersyteccy z berłami, dwóch bedeli, również z berłami, szło przed profesorami prawa; tak samo trzech przed rektorem i dziekanami. Na samym czele pochodu szedł wydział filozoficzny w togach z wyłogami fioletowemi, dalej lekarski w togach czerwonych, po nim prawno-polityczny w togach z czarnemi wyłogami, na końcu teologiczny w togach z wyłogami fijołkowego koloru. Tuż przed rektorem Tarnowskim, przybranym w purpurowy strój rektorski, zdobny gronostajami, i prorektorem Łepkowskim, postępowali tegoroczni dziekani wydziałów, profesorowie Wróblewski, Browicz, Zoll i X. Lenkiewicz, przybrani w oznaki dziekańskiej godności. Przybywszy do kościoła, zajęło kollegium profesorskie przygotowane dla siebie miejsca przed wielkim ołtarzem. Publiczność — wśród której nie brakło wielu członków rodziny i przyjaciół Tarnowskiego — i licznie zebrani słuchacze uniwersytetu zapełnili kościół. Po skończonem nabożeństwie, odprawionem przez X. Pelczara, udał się orszak do nowodworskiego gmachu. Dwaj rektorzy, ustępujący i nowowybrany, zajęli miejsca na estradzie, obok nich dziekani i członkowie senatu; profesorowie czterech wydziałów zajęli krzesła z dwóch stron. Doborowa — zaproszona — publiczność obu płci zapełniła ławy amfiteatralnego wzniesienia: w pierwszym rzędzie, wprost rektora, zasiadł X. Biskup Krakowski, biskup Adam Krasiński, Paweł Popiel i inni dostojnicy. Młodzież akademicka otoczyła zwartem kołem zgromadzenie zaproszonych gości. W zebraniu tem, któreby mogło dostarczyć wdzięcznego tematu dla illustratorów, panował podniosły i uroczysty nastrój.

Prorektor Łepkowski otwarł posiedzenie przemową, w której najprzód zdał sprawę z czynności uniwersytetu w ciągu ubiegłego roku szkolnego, poczem, zwracając się do Tarnowskiego, jako nowoobranego rektora, uchyliwszy biretu, rzekł:

— Magnifice! Obrany jednomyślnie przez kolegów Rektorem Uniwersytetu Jagiellońskiego, przynosisz z sobą oświadczone Ci tym wyborem uznanie, z koleżeńską miłością złączone. Gdy Cię mam oblec w oznaki władzy i godności, powinszować Ci powinienem, że je piastować będziesz w roku, w którym *Collegium novum* otworzysz.

Przeniesieniem klejnotów naszych do tego nowego przybytku zaznaczysz nowy okres, który, oby Bóg dał, aby zarówno świetniał duchowo, jak się materyalnie rozwielmożył. Przyjm serdeczne życzenia moje.

Accipe sceptra regiminis
Catenam dignitatis
Annulum sponsialem.
Quod felix faustumque sit!

Z kolei powstał Tarnowski, widocznie wzruszony, i z wielką powagą wygłosił mowę, której początek brzmiał, jak następuje:

— Panie Prorektorze, Panowie! Najwyższa w uniwersytecie godność, którą w moje ręce na ten rok składacie, jest do noszenia nietylko najzaszczytniejszą, ale — Polakowi rozumieć to łatwo — i najmilszą. Czas tyle przewrócił i zburzył, a ona stoi od pięciu wieków bez przerwy. W Kościele chyba, albo na niektórych tronach Europy i to rzadkich, znajdzie się taka wiekowa trwałość, takie nieprzerwane pasmo następstwa ludzi na tensam zawsze niezmienny urząd i obowiązek. Czuć się następcą tych wszystkich, co to miejsce zajmowali, od owego pierwszego, co z rąk Jagiełły odebrał przywilej fundacyjny, aż do najchwalebniejszego z niedawno zmarłych, Szujskiego, nosić na sobie ten charakter i to dziedzictwo, wyobrażać przez jeden rok zbiorową sumę tych wieków, tych zasług, tych smutków i tych dążeń w górę, to chluba, nad którą słodszej być nie może. Robiąc mnie jej uczestnikiem, raczyliście Panowie dodać to, co mi ją jeszcze droższą czyni, zaszczyt jednomyślnego wyboru, i chęć zbyt łaskawą, przywiązania mojej pamięci do znacznego w dziejach uniwersytetu wypadku, otwarcia nowego gmachu, które oby było wróżbą nowych pięciu wieków jego bytu. Za ten zaszczyt, za to wspomnienie chlubne nie dla jednego człowieka tylko, ale dla wszystkich przyszłych pokoleń jego rodziny, pozwólcie Panowie złożyć sobie dzięki gorące, które przecież dobrym wyrazem mojej serdecznej i rzewnej wdzięczności być nie zdołają.

Po skończonem przemówieniu Tarnowskiego, wstał jeszcze raz Łepkowski, i rzekł:

— Zwyczaj dawny żąda, aby akt otwarcia uniwersytetu rozpocząć wykładem.

To powiedziawszy, zaprosił Tarnowskiego na katedrę. Tarnowski odczytał ustęp z dziejów uniwersytetu, sięgający do jego początków, kiedy jeden z pierwszych rektorów Wszechnicy Jagiellońskiej, Paweł z Brudzewa syn Włodka, wystąpił przed soborem w Konstancyi z pismem zwróconem przeciw uroszczeniom krzyżackim.

»Rzecz z dziejów uniwersytetu — pisze *Czas* — wzbudziła najsilniejsze wśród słuchaczów wrażenie, gdyż przypominała nietylko pierwszorzędne stanowisko, jakie polski episkopat zajmował na tym soborze, ale także znaczenie i powagę młodej Krakowskiej Akademii; a dotyczyła nadto tych dążeń krzyżackich, które do dziś dnia nie uległy zmianie i dają się srodze braciom naszym odczuwać«.

We dwa miesiące po tej uroczystości, d. 7 grudnia 1886 roku, nastąpiła — w *Collegium juridicum* — immatrykulacya nowych uczniów uniwersytetu, przy której to sposobności Tarnowski, jako rektor, wygłosił mowę do młodzieży, mowę, w której zgromadzonym dał szereg nauk moralnych, wskazując drogę, którą, jako Polacy, kroczyć powinni, zarówno w uniwersytecie, jak i w dalszem życiu. Oto początek tej mowy:

— Zwyczaj nam dawny niesie, że Uniwersytet wita przez usta swoich Rektorów nowo wstępujących uczniów, i uroczyście im prawo obywatelstwa u siebie nadaje. Panowie odbieracie ten indygienat w uroczystszej, niż inni, nie formie, bo ta zawsze jednakowo i właściwie skromna, ale w uroczystszej chwili, bo wasze wstąpienie do tego Uniwersytetu przypada na rok dla niego pamiętny. Pięćsetna rocznica ślubu Jadwigi, który był początkiem wielkiej epoki naszej historyi, pośrednio także początkiem niewiele późniejszej organizacyi naszego Uniwersytetu, schodzi się z zamierzonem otwarciem nowego przeznaczonego mu gmachu. Przypadkowe spotkanie tych dat przypomina pięciowiekową przeszłość, a upomina, że przyszłość powinna i musi jej być godną; że nowy przybytek ma być nie materyalną tylko budową, ale wzmocnioną, utrwaloną, rozszerzoną budową nauki, przez nią cywilizacyi, powagi i siły narodu: że z tego nowego gmachu wychodzić mają ludzie podobni do wszystkich najzasłużeńszych i najchwalebniejszych, jakich wydały nasze stare Collegia. Ten obowiązek jest tak zrozumiały, ta uwaga tak naturalna, że koniecznie musi nasunąć się każdemu, kto w te progi wstępuje z głową zdolną myśleć, z sercem zdolnem czuć, jak należy. To zaś, co ten Uniwersytet w przyszłości wyda, dla przyszłości przyniesie, czy więcej na ilość i na jakość światła w rozumach, powagi w charakterach, dla narodu całego więcej oświaty i siły, albo też ospałe przestawanie na małem, które nigdy długo w mierze nie stoi, ale zawsze podupadaniem się kończy: to wiem, że zależy w jednej części od nas, waszych nauczycieli, ale w takiej samej lub większej zależy od was, uczniów.

Mowa ta przypadła na bardzo ciężki dla Tarnowskiego moment, bo przedzielała sobą dwie śmierci dwóch znakomitych ludzi,

a jego serdecznych przyjaciół: w drugiej połowie listopada 1886 roku zmarł w Rzymie O. Piotr Semenenko,[1]) a w niespełna miesiąc później, d. 16 grudnia, rozstał się z tym światem ks. Waleryan Kalinka. O ile śmierć pierwszego z nich była bardzo smutną wiadomością dla Tarnowskiego, który dla zmarłego, od czasu pobytu swego w Rzymie w r. 1862 żywił najwyższą cześć, jako dla niepospolitego człowieka, a przytem najserdeczniejszego przyjaciela O. Kajsiewicza, o tyle zgon autora *Sejmu Czteroletniego*, należącego do tych kilku wybranych ludzi, co na Tarnowskiego, na jego umysł, charakter i przekonania, wywarli wpływ najsilniejszy, była wprost ciosem najboleśniejszym, jaki nań spadł od śmierci Szujskiego. A była to nietylko niepowetowana strata dla niego osobiście, który Kalinkę liczył do swych serdecznych przyjaciół, ale i dla *Przeglądu polskiego*, jako pisma. Oto, co w tej kwestyi, na czele styczniowego zeszytu pisał Tarnowski: »Strata X. Waleryana Kalinki dla *Przeglądu polskiego* jest jego własnem nieszczęściem. Nie mówiąc o przyjaźni, która w różnych stopniach, ale wszystkich redaktorów naszego pisma ze zmarłym łączyła – a przyjaźń jego była z tych, które wiele w życiu człowieka ważą i wpływ nań wywierają znaczny — pismo samo, od początków swego bytu, doznawało jego życzliwości, było przedmiotem jego bacznej uwagi, często troskliwej opieki. Jego wskazówki i rady, jak jego krytyka, były nieocenione, bo nacechowane zawsze wielkiem politycznem, naukowem i dziennikarskiem doświadczeniem; jego współpracownictwo było naszą chlubą. Nikt nam nie weźmie za złe, jeżeli z dumą tu przypomnimy, że X. Kalinka żadnego z pism polskich tak często, żadnego tak chętnie pracami swemi nie wspomagał. Z tego *Przeglądu* zapoznawał się świat czytający polski z rozdziałami *Ostatnich lat Stanisława Augusta* i *Czteroletniego Sejmu*, zanim te dzieła wydane mógł poznać; w tym *Przeglądzie* czytał po raz pierwszy *Żywot Jenerała Chłapowskiego*. Zaszczyt to i znaczna część wartości tego pisma, ale i wartości jego dowód«.[2])

Pogrzeb Kalinki odbył się we Lwowie d. 18 grudnia. Nad grobem przemówił Tarnowski, a mowa, którą pożegnał wielkiego pisarza, była nietylko wyrazem czci dla zmarłego, ale i jego zwięzłą charakterystyką, jako człowieka, jako polityka, jako publicysty, jako historyka, jako kapłana, jako patryoty. W tem

---

[1]) W *Przeglądzie polskim* z grudnia 1886 poświęcił mu Tarnowski gorące wspomnienie pośmiertne.

[2]) *Przegląd polski*, 1887, styczeń, str. 2.

»prawdziwie wspaniałem« przemówieniu »skrystalizował się — jak powiedziano pięknie — i żal po odchodzącym nas w najcięższej próbie szermierzu, i ból przygodny obecnej chwili, i pokusy rozpaczne dnia dzisiejszego, zwalczone przypomnieniem słusznych powodów otuchy i nadziei«. »Znana i uznana powszechnie wymowa hr. Tarnowskiego chyba nigdy w bardziej porywający nie odezwała się sposób«. [1])

Przemówienie Tarnowskiego, wydrukowane następnie w *Przeglądzie polskim*, a »śmiało mogące być policzonem do najpiękniejszych kart tego nieposzolitego pióra« — jak się o niem przy sposobności wyraził Maryan Morawski — było jakby treściwym szkicem do życiorysu Kalinki, który Tarnowski napisać zamierzył, który nawet czytelnikom *Przeglądu polskiego* zaraz pod świeżem wrażeniem zgonu autora *Sejmu Czteroletniego* uroczyście przyobiecał. »Że nam przystoi — pisał — że na nas pierwszych spada obowiązek zebrania wiadomości o życiu X. Kalinki i ocenienia jego dzieł, to czujemy i wiemy. W jaki sposób uczynimy temu zadosyć, w jednej większej czy w kilku mniejszych pracach, tego dziś jeszcze sami wiedzieć nie możemy. Ale przyrzekamy naszym czytelnikom i sobie samym, zrobić pod tym względem co tylko będziemy mogli, na co tylko będzie nas stać«. [2]) Jakoż, nie zwłócząc, przystąpił do zamierzonej pracy. Wprawdzie nie mogła to być monografia wyczerpująca, bo takiej nie sposób pisać bezpośrednio po śmierci człowieka tak czynnego na tylu rozmaitych polach pracy społecznej i naukowej, jak Kalinka, ale chodziło o to, żeby tymczasem o Kalince została napisana książka przez współczesnego i naocznego świadka, żeby ten świadek napisał o nim co wie, »dopóki pamięć świeża a wiadomość pewna, dopóki szczęśliwa chwila pozwala mówić otwarcie i swobodnie. *Wer weiss was uns die nächste Stunde schwarzverschleiert bringt*«. A i o to chodziło żeby dla dzisiejszego pokolenia uczynić zadosyć powinności i potrzebie. Temi pobudkami powodowany, przystąpił Tarnowski »do tego, co naprędce z własnych wspomnień i uczuć, bez pomocy źródeł i dokumentów, da się powiedzieć o człowieku, którego historya, polityka i religia, każda z równem prawem, uważa za swego i za znakomitego, a o którym Polska może powiedzieć, że niewielu takich wydała, że nie wielu było, co jej tak służyli«.

W chwili, gdy Tarnowski zabierał się do pisania książki o Kalince, ukończył się druk jego pierwszego dzieła większych

---

[1]) *Przegląd powszechny*, 1888, XVII, 88, 89.
[2]) *Przegląd polski*, 1887, styczeń.

rozmiarów, mianowicie *Pisarzy politycznych XVI wieku.* Naprawdę była to pierwsza książka Tarnowskiego, bo tak samo, jak w swoim czasie nie spieszył się z drukowaniem swych prób literackich, tak, że z pierwszą drukowaną rzeczą wystąpił prawie w trzydziestym roku życia, tak i teraz, choć już od lat dwudziestu należał nietylko do najświetniejszych, ale i do najpłodniejszych pisarzy polskich, książki aż dotąd nie wydał ani jednej. Bo choć wychodziły różne »osobne odbicia« jego rozpraw, drukowanych w *Przeglądzie polskim*, w *Czasie*, w *Bibliotece Warszawskiej*, to jednak były to dopiero broszury, nie książki. Pierwszą książką, pierwszem *l'oeuvre*, było to drukowane dzieło o *Pisarzach politycznych XVI wieku*, wydane teraz w grudniu roku 1886, a więc w chwili, gdy jego autor liczył już sobie lat pięśdziesiąt blisko! Książka powstała z wykładów uniwersyteckich, w których Tarnowski, obok literatury pięknej, szeroko uwzględniał i literaturę polityczną, oraz z pojedynczych studyów o poszczególnych pisarzach, drukowanych bądź w *Przeglądzie polskim*, bądź w *Rozprawach Akademii Umiejętności.* W przedmowie wytłomaczył Tarnowski, dlaczego mu zależało na tem, by książka wyszła właśnie w roku 1886. »Akademia Umiejętności, której pierwszy wydział raczył przyjąć niniejszą książkę między swoje wydawnictwa, ogłasza z okazyi trzechsetnej rocznicy śmierci Stefana Batorego zbiór dokumentów, odnoszących się do jego panowania. Jest to zapewne śmiesznością łączyć rzecz tak małą, jak ta, z wielką pamięcią króla. Przecież, kiedy bardzo szczupłe środki nie pozwalają Akademii na nic więcej, jak jeden tom *Batorianów*, to niechże wolno będzie jej Sekretarzowi wydać w tym samym czasie książkę, która się wiąże z wiekiem Stefana, a mówi o kwestyach, dążnościach i sprawach, z któremi on miał do czynienia; i bez zuchwałego przypisywania jej pamięci króla, dodać ją do tego, co się w Akademii z myślą o nim, z gorącą dla niego miłością robiło. Będzie przynajmniej choć na liczbę coś więcej. Dlatego chciałem, żeby książka wyszła w tym miesiącu, na który przypada tej śmierci nigdy nieodżałowanej trzechsetna rocznica«.

Jeśli się dzieje zazwyczaj, że autor, wydając swoje dzieło, jest mniej lub więcej przeświadczony o jego doskonałości, to Tarnowski stanowił rzadki wyjątek w tej regule: a że doskonale zdawał sobie sprawę ze słabych stron swojej książki, tego dowodzi przedmowa, w której, uprzedzając recenzentów, sam wskazał jej niektóre braki: tyle tylko, że na ich usprawiedliwienie przytoczył parę okoliczności łagodzących.

Oto jego własna krytyka książki:

Czego jej brak, wiem dobrze. Poznałbym się na tem może i sam, a widzieć to muszę tem lepiej, że mi nieraz wskazano. Więc naprzód — żeby od mniejszego zacząć — długości i powtarzania: wada wrodzona, a rozwinięta i do poprawienia bardzo trudna u człowieka, co zawsze pisywał tylko do pism peryodycznych, i zawsze w pośpiechu na pewien termin gotów być musiał. Tego bliski zarzut drugi: brak organicznej jedności, zbiór rozpraw raczej, niż książka. Przewiduję ten zarzut i odpierać go nie śmiem: tłomaczę się długiem nawyknieniem do pisania samych tylko małych rzeczy: biegłość w większych formach i planach nie mogła się przytem wyrobić ani nabyć. Ważniejszy jeszcze będzie zarzut braku należytej naukowej metody: kto w niej za młodu wyćwiczony nie był, w późniejszym wieku już jej nabrać nie potrafi, chyba, że ma, jak Szujski, szczególne po temu dary bystrości i wytrwałości. Nas zaś za młodu nikt tu w tym kierunku nie ćwiczył, a na uniwersytetach zagranicznych nie byłem. Oto wszystko, co w tej mierze na swoją obronę mogę powiedzieć.

Mimo te obawy, krytyka osądziło dzieło Tarnowskiego bardzo pochlebnie, a choć mu w drobiazgach to i owo miała do zarzucenia, to jednak na ogół zarejestrowała je do szeregu prac polskich pierwszorzędnych.

Z pomiędzy licznych recenzyi, jakie się pojawiły w pismach, a które wszystkie brzmiały przychylnie, wyróżniały się trzy, jako napisane przez ludzi, których zdanie musiało mieć wielką powagę: to recensye Bobrzyńskiego, Nehringa i Zakrzewskiego.

Najtrafniej, z największą znajomością przedmiotu, ocenił *Pisarzy politycznych* Bobrzyński, który o nich w feljetonie *Czasu*[1]) między innemi pisał, co następuje:

Książka p. Tarnowskiego mogła by się słusznie nazwać literaturą polityczną z drugiej połowy XVI wieku, skoro dopiero od połowy tego wieku rozpoczyna się w niej ciągłe i nieprzerwane opowiadanie. Tak jest, opowiadanie. Chociaż bowiem autor dziełu swemu dał tytuł: *Pisarze polityczni*, to na osobistości pisarzów nie położył wcale nacisku, biografią wcale się nie zajął, pisma żadnego z nich nie ściągnął w jednę całość i nie stworzył z nich odrębnych sylwetek. Pytaniem, które go głównie zajmuje, jest: jak historya i wypadki jej odbijały się w spółczesnej literaturze politycznej, i jak literatura polityczna wpływała na współczesną jej historyę. Autor szkicuje więc bieg historyi naszej od połowy XVI wieku i na jej tle rozprawia o wszystkich pisarzach politycznych w porządku chronologicznym ich powstania, zestawiając ze sobą pisma różnych autorów, które się do jednego przedmiotu i wypadku odnoszą. Wśród tego opowiadania znajdują się dopiero pewne punkta specyalne, w których autor poprzednie uwagi swoje w jedną całość ściąga i ogólne charakterystyki pisarzy politycznych nam podaje. Że ta metoda jest jedynie właściwą, że to połączenie literatury z historyą nadaje pracy istotną doniosłość, a sądom autora podstawę i powagę, zbyteczna zupełnie dowodzić.

---

[1]) Z 12 i 14 czerwca 1887 r.

Na postawione sobie pytanie: co dzieło Tarnowskiego przynosi nowego? odpowiada Bobrzyński wprost, że przynosi ono więcej niż się na razie przypuszcza.

Kto zna poprzednie rozprawy p. Tarnowskiego o pismach politycznych XVI. wieku, ten biorąc obecną książkę jego do ręki, mógłby przypuszczać, że ona jest tylko połączeniem i uzupełnieniem tych pojedynczych rozpraw, ten ciekawy jest najpierw, co też autor powiedział o tych pisarzach, o których dotychczas zdania swego wypowiedzieć nie miał sposobności. Znalazło się takich pisarzów niemało, a niektórych z nich p. Tarnowski pierwszy bliżej zbadał i pierwszy stanowisko ich określił. Prawdziwą zdobyczą dla nauki naszej są też w książce jego mianowicie dwa rozdziały: jeden o Jakóbie Przyłuskim, drugi o Sebastyanie Petrycym Z różnych powodów wstrzymywano się dotychczas od pisania o tych autorach Petrycego komentarz polityki i ekonomiki Arystotelesowej odstraszał swoim ogromem. Prof. Tarnowski był też może pierwszym, który tę encyklopedyę wiadomości i pomysłów politycznych XVI wieku w całości przeczytał i streścił. Przyłuskiego projekt i wykład praw polskich odstraszał nie tyle ogromem, ile trudnością ocenienia jego istotnej wartości. Niejeden. mianowicie prawnik, czytał już i studyował dzieło Przyłuskiego, które wszystkim następnym pisarzom dostarczało podstawy i treści. ale na monografię o tem dziele nikt dotychczas się nie odważył. Prof. Tarnowski nie mógł go w książce swojej dla całości pominąć; chociaż nie prawnik. poddał je bliższemu rozbiorowi i sformułował sąd swój o jego politycznej doniosłości i tendencyi. Wdzięczni mu jesteśmy za tę odwagę, wdzięczni tem więcej, że rzecz wypadła znakomicie i rozdział ten o Przyłuskim, chociaż najtrudniejszy, do najlepszych w całej jego książce się liczy. Nie jest to zasługą erudycyi i moralnej pracy, lecz zasługą prawdziwego talentu. Oprócz tych dwóch gigantów literatury politycznej XVI wieku, opracował p. Tarnowski po raz pierwszy cały szereg drugorzędnych pisarzów i drobniejszych pism, jak Solikowskiego, Wolana, Goślickiego, Zamoyskiego, Mycielskiego, Karnkowskiego i t. d., którzy do całości obrazu koniecznie należą, a o których luźne tylko w pracach historycznych można było napotkać wzmianki. Na osobne o nich rozprawy długo jeszcze bylibyśmy czekali, a sąd o każdym z nich osobno, pozbawiony porównania i związku, nie byłby z pewnością wypadł lepiej.

Że w dziele są i pewne opuszczenia, że niektórzy pisarze zostali pominięci, że wogóle zakres pracy, ograniczonej jedynie do pisarzów politycznych, dałby się jeszcze rozszerzyć, to wszystko jest prawdą, ale ostatecznie są to szczegóły. A nie szczegóły stanowią, zdaniem Bobrzyńskiego, o niepospolitej wartości dzieła Tarnowskiego. Książka jego przynosi coś więcej. »Jest w niej sąd ogólny o całym ruchu politycznym Polski w ciągu XVI wieku. Snuje on się jak nić przewodnia i utrzymuje wątek całego opowiadania, streszcza się zaś w ostatnim rozdziele«. Sąd taki, czyli pogląd ogólny na dzieje nasze XVI wieku wypowiedzieli przed Tarnowskim: Szujski, Zakrzewski i Bobrzyński; przyczem pogląd Szujskiego prawie zasadniczo się różnił od zapatrywań na tę kwestyę dwóch



STANISŁAW TARNOWSKI
około r. 1884.

jego kolegów. Chodziło głównie o kwestyę stworzenia t. z. »rządu«, kwestyę aż dotąd sporną i nierozstrzygniętą.

Po czyjej stronie stanie w niej p. Tarnowski, nie można było na jedną chwilę wątpić, można się było jednak obawiać, czy on, który uznanie dla Szujskiego manifestuje ciągle i potęguje aż do rodzaju kultu, nie pójdzie bezwarunkowo za zdaniem Szujskiego i jeszcze go nie prześcignie. Tak się nie stało. Oparty na własnych studyach, na obszernym materyale źródłowym, którym są pisarze polityczni XVI wieku, przechylił się p. Tarnowski na stronę Szujskiego tylko o tyle, o ile własne przekonania ten mu kierunek wskazały, uchronił się od jednostronności i przesady, od której nie jest wolną genialna zresztą praca Szujskiego *Odrodzenie i Reformacya*. Trudno jest Szujskiego w głębokości sądu prześcignąć, ale sąd p. Tarnowskiego jest we wszystkich szczegółach spokojniejszym i szerszym, jest sprawiedliwszym dla pojedynczych faktów i osobistości, jest dla nich nawet wyrozumiałym, o ile się to tylko z ogólnym kierunkiem poglądu dało pogodzić.

Taką, zdaniem Bobrzyńskiego, jest treść i taką doniosłość książki Tarnowskiego. »Można jej program rozszerzyć, można wskutek dalszych badań jej treść i objętość podwoić, ale w tym programie, jaki sobie autor zakreślił, spełnia ona zadanie swoje w zupełności, podaje rzecz, która i bogactwem swoich spostrzeżeń, i metodą badania stoi na wysokości nauki naszej obecnej. Dla formy swojej zdobędzie sobie ona niewątpliwie szerokie koło czytelników, a społeczeństwu polskiemu w chwilach ciężkich, które obecnie przechodzimy, dostarczy zdrowego i ożywczego pokarmu«.[1])

Dla Władysława Nehringa, który o *Pisarzach politycznych* pomieścił wyczerpujące i nader drobiazgowe sprawozdanie krytyczne w świeżo założonym wtedy *Kwartalniku historycznym*, jest dzieło to »ze wszech miar pożądanym i pożytecznym dla literatury nabytkiem«.

Nie było dotąd w literaturze naszej dzieła o politycznych pisarzach XVI wieku... Taką pracę teraz otrzymujemy. Jeżeli kto, to p. Tarnowski był powołany do napisania takiego dzieła, który oddawna pracował na tem polu i zbogacał swoją i innych wiedzę coraz to nowemi nabytkami. Niejedna rozprawa już dawniej była ogłoszona...; teraz dawne rozprawy, przejrzane i uzupełnione. i nowe z niemi spojone, dają poznać całość prac uczonych polskich XVI wieku, na polu nauk politycznych, a całość ta przedstawia się tak, że w ogólnej literaturze politycznej europejskiej tego wieku zajmuje nie ostatnie miejsce.

Możnaby wprawdzie, zdaniem wrocławskiego profesora, co do przedstawienia całości i jej układu mieć odmienne zdanie i życzenia, którym się jeszcze w dziele Tarnowskiego nie stało zadość, można by powiedzieć, że przedmiot nie jest jeszcze wyczerpany, ale na razie wystarcza poprzestać na tem, co książka przynosi.

---

[1]) *Czas* z 12 i 14 czerwca 1887 r.

A jest w czem się rozczytywać, jest w dziele dużo zalet, przedewszystkiem jest wyborny początek do prac dalszych, jest stworzenie zupełnie nowego działu w naszej literaturze. Autor obrał porządek chronologiczny. Porządek taki ma swoje dobre i mniej dobre strony: mniej dobre są rozerwania przedmiotów, trudne zoryentowanie się w ciągłości, koniecznej w biegu czasów lub niekoniecznej zmienności, powtarzanie; dobra strona jest w tem, że obraz rozsłania się sam przez się i sam niejako kreśli wytyczne, oznacza punkta zwrotne i stanowcze w pewnych dążeniach i kierunkach, i ten zysk jest widoczny przez całe dzieło: czytelnik, jeżeli jest odpowiednio przysposobiony, w należytym porządku idzie za biegiem i postępem spraw, wytkniętym przez historyę.

Nie brak także, jak to spodziewać się można u krytyka, jak prof. Tarnowski, uwag i rozstrząsań krytycznych co do źródeł, porównań z autorami i dziełami współczesnemi innych krajów i t. d., o ile takie kwestye nastręczały się same z siebie, autor sam wznosi także pewne ważne kwestye. Nie jest jego zadaniem rozstrzygać te kwestye wyczerpująco, bo dokładna reprodukcya treści jest jego głównym celem, ale uwagi te i roztrząsania są bardzo pożądane i stanowią tło naukowe, bez którego dzieło całe choć nie z głównej wartości, ale z doniosłości straciłoby wiele. Co zaś szczególniej zdobi dzieło prof. Tarnowskiego od początku do końca, to gorące zajęcie się przedmiotem, zamiłowanie rzeczy, zacne i obywatelskie sądzenie spraw, wyrozumiałe, szlachetne, przytem trafne sądzenie ludzi; i to jest jedną z głównych zalet dzieła... Autor dotyka miejscami bardzo żywotnych kwestyi, i tak twierdzenie, że wiek XVI przyszedł do Polski nie w porę, że zastał społeczeństwo polskie nieprzygotowanem, i nowemi fermentami szkodliwy nadał zwrot jej życiu wewnętrznemu, jest uwagi godnem, i przyznać trzeba, że niepokój, sprawiony nowemi rzeczami, które później bez śladu minęły, w życiu politycznem dobrych skutków nie wywarł... Bardzo godna uwagi i czytania jest rozprawa o kazaniach Skargi, jedna z najlepszych o tym przedmiocie; domysł, że kazania sejmowe wypowiedziane były w czasie sejmu inkwizycyjnego, jest tak do prawdy podobny, że łatwo dałby się uzasadnić.[1]) Wybornym komentarzem do całego dzieła jest rozdział ostatni.

[1]) Wręcz odmienne zdanie w tej kwestyi wypowiedział w swej recenzyi dzieła Tarnowskiego prof. W. Zakrzewski, który »ma wątpliwość, czy *Kazania Sejmowe* Skargi były kiedykolwiek naprawdę kazaniami, t. j. czy je Skarga wobec jakiegoś sejmu powiedział. Że mówił to wszystko sejmującym, co się mieści w jego kazaniach sejmowych, o tem nie wątpimy ani na chwilę. Ale czy to mówił za jednym razem w tej formie, w takim układzie systematycznym, jak to tu spisał przed Nowym Rokiem 1600, »za onem wtórem i krótkiem odjechaniem« Króla Zygmunta »do Szwecyi«? Temu, muszę się przyznać, trudno mi bardzo uwierzyć. Tego też sam Skarga nigdzie zgoła nie mówi: owszem, właśnie przedmowa jego zdaje się być świadectwem, że tak, jak je spisał, tak ich nigdy nie mówił. W tej dedykacyi Królowi Skarga wciąż mu powiada, co w tych kazaniach znajdzie; gdyby już Król przedtem je słyszał, chybaćby choć słowem o tem kaznodzieja napomknął. A właśnie sam układ i rozkład, systematyczność i porządek w przeprowadzeniu całego przedmiotu, utwierdzać musi w przekonaniu, że to opracowano w spokoju, z rozmysłem, porządkując gorące słowa, do których podobne, albo nawet te same, płynęły przedtem z ust wymównego Kaznodziei, ale bardziej dorywczo, nie tak obmyślane i w niezupełnie tym samym związku z innemi«. Kwestyę tę rozstrzygnął w r. 1904 w przedmowie do nowego wydania *Kazań Sejmowych* Ignacy Chrzanowski, który dowiódł, że kazania te istotnie były mówione w czasie sejmu r. 1597, a nawet pokusił się o oznaczenie dni, w których je Skarga wygłaszał. »Pierwsze kazanie przypadłoby na dzień otwarcia sejmu t. j. na poniedziałek 10 lutego 1597; drugie, trzecie, czwarte, piąte, szóste i siódme na cztery niedziele i na dzień świętego Marcina; ósme na niedzielę 23 marca. Nazajutrz sejm zerwano. Po sejmie, aby utrwalić swoje słowo, przyłożył Skarga ostatnią rękę do kazań, »wyprawił« je może, jak to miał zwyczaj, jeszcze »doskonalej«, wsunął w nie umyślnie, na smutną rzeczy

Tego samego zdania o tym końcowym rozdziale był i prof. Zakrzewski, który w swej obszernej i wyczerpującej recenzyi o *Pisarzach politycznych* nazywa rozdział ten »może najlepszym w całej książce, pełnym spostrzeżeń pięknych i trafnych«. A co się tyczy całej książki, to lubo w szczegółach miał jej niejedno do zarzucenia, w całości uważał ją za »piękną i pożyteczną niezmiernie«.

Pierwsze opracowanie ogólne przedmiotu tak ważnego i ciekawego, nie jest ostatniem słowem o nim, ale jest wybornym jakby programem do głębszych a ponownych na tem polu studyów i powinnoby do nich pobudzić, zwłaszcza, że już się prąd w tym kierunku idący dosyć wyraźnie ukazuje.

Co się tycze sposobu opracowania przedmiotu, to autor, zdaniem recenzenta, w pojmowaniu historyi literatury ma wiele pokrewnego z Taine'm, z jego metodą, której trzymał się przy pisaniu swej rozgłośnej *Historyi literatury angielskiej*.

Metoda jednak ta nie jest jeszcze i w obcych literaturach rozpowszechnioną i przyjętą wyłącznie; a u nas ledwo są pierwsze próby pisania o literaturze w ten sposób. Są wprawdzie, acz nie nazbyt liczne, monografie tego rodzaju o pojedynczych osobistościach; żeby jednak była praca znaczniejszych rozmiarów o całej seryi pisarzów, o całym ciągu objawów na pewnem polu literackiem, tego, o ile wiemy, dotąd niema w literaturze polskiej, a stąd pożytek takiej książki wielki i zasługa jej autora niemała. Do tego zaś rodzaju książek zalicza się nowe dzieło p. Tarnowskiego, który literaturę polityczną polską i politycznych pisarzy polskich obrabia już oddawna... Autor jest, jak wiadomo, przedewszystkiem estetykiem; z estetycznego głównie stanowiska i z moralnego zwykł oceniać utwory polskiej literatury pięknej; przy pisarzach zaś politycznych wieku XVI ocenia przedewszystkiem ich pism wartość moralną,

---

pamiątkę, trzy wzmianki o zerwanym sejmie, i oddał do druku«. (str. 45). Tym sposobem pierwotne przypuszczenie Tarnowskiego, że kazania sejmowe były wypowiedziane przez Skargę w czasie sejmowym, okazuje się prawie pewnikiem; argumenty zaś, przytoczone przez Chrzanowskiego, przekonały Tarnowskiego zupełnie. Oto, co w tej mierze pisze o pracy Chrzanowskiego: »Wszystkie dowody wewnętrzne, logiczne, historyczne i tekstów, przemawiają za twierdzeniem pana Chrzanowskiego i pozwalają wierzyć, że *Kazania Sejmowe* były mówione, że na jednym sejmie i na którym. Kwestya, dla historyi literatury nie obojętna, a dla postaci Skargi i jego znajomości bardzo ważna, jest podług naszego przekonania rozstrzygniętą. Niżej podpisany nie mógł nigdy naprawdę uwierzyć, żeby Skarga nie był tych kazań wypowiedział, chował w głębi serca uczucie, że one były, że musiały być mówione. Ale nie znajdując u współczesnych żadnego świadectwa, żadnego śladu wrażenia, znajdując u uczeńszych od siebie takie powątpiewania i przypuszczenia, nie śmiał odezwać się otwarcie ze swojem uczuciem nie opartem na materyalnych dowodach i poddał się zdaniu, którego powagi nie mógł przeczyć. W *Historyi literatury* przypuścił i on, że Zakrzewski może mieć słuszność, że Skarga mówił przed sejmami to, co jest w *Kazaniach*, ale mógł mówić inaczej, a dzisiejszą formę nadał Kazaniom dopiero w druku. Znowu nie prawda: na szczęście nie prawda! A w tej pociesze zostaje podpisanemu tylko żal, że nie mógł czytać rozprawy p. Chrzanowskiego przed drugiem wydaniem swojej *Literatury*, że nie mógł sprostować tego, co napisał w wydaniu pierwszem, i stwierdzić głośno to, co w skrytości serca miał zawsze za rzecz pewną«. *Przegląd polski*, 1904, kwiecień, str. 141.

pyta o ich praktyczny pożytek. Wzgląd historyczny przychodzi u niego dopiero w drugim rzędzie; ale uznaje widocznie jego potrzebę, stara się i stronę historyczną uwzględnić znacznie i czyni to nieraz bardzo dobrze, prawie wyczerpująco, a niczego, coby na uwzględnienie zasługiwało, nie pomija milczeniem... Tembardziej i tem stanowczej z góry należy stwierdzić, że p. Tarnowski, jeśli nie pierwszy, to jeden z pierwszych u nas, pisząc o literaturze, traktuje ją jako rzecz organiczną; że jego dzieło jest pierwszem i jedynem o tym przedmiocie i w takich rozmiarach; że toruje tu drogę wszystkim na przyszłość, zwraca uwagę na całość literatury politycznej, jak już zwracał dawniej na jej pojedynczych reprezentantów, na tę gałąź tak bujną wtedy, a tak zaniedbywaną pospolicie. Już to samo sprawia, że jego dzieło jest zjawiskiem w literaturze naszej i ważnem i znaczącem, które nie powinno przeminąć bez wrażenia i wpływu.

W poście roku 1887 wygłosił Tarnowski we Lwowie trzy odczyty publiczne o Henryku Rzewuskim. Tekstu tych prelekcyi, zwłaszcza w tej formie — z natury nieco retorycznej — w jakiej zostały wypowiedziane, zrazu nie przeznaczał do druku, ale »zniewolony ustąpić namowom i życzeniom tych, którzy ten odczyt chcieli mieć ogłoszonym« wydrukował go ostatecznie. Gdy rzecz ukazała się na półkach księgarskich, zdał z niej sprawę w *Kwartalniku historycznym* Władysław Łoziński. Oto jego opinia:

Jest rzeczywiście w tej najnowszej pięknej rozprawie hr. Tarnowskiego coś z improwizacyi, ale improwizacya to świetna; w rozbiorze talentu i charakteru Rzewuskiego widać może tu i owdzie, że to *fermenta coquitionis*, ale uderzają w nim co chwila spostrzeżenia pełne niepospolitej bystrości, uwagi prawdziwie oryginalne i głębokie, wielka subtelność analizy, zwłaszcza psychologicznej, a to wszystko w formie mistrzowskiej, miejscami porywającej. Przedewszystkiem rozbiór problematycznego charakteru, jakim uderza Rzewuski, jako pisarz i jako człowiek, jest doskonale przeprowadzony: wszystkie sprzeczności tego niepospolitego ale krzywego umysłu, autor wykazuje, a co więcej, tłomaczy z głębokiem wniknięciem w indywidualność pisarza, którego nie bez racyi nazywa »psychologicznem monstrum«. Do najświetniejszych kartek książki prof. Tarnowskiego należy niewątpliwie polemika z zasadami, głoszonemi przez Rzewuskiego. W polemice tej, patryotycznie natchnionej, prof. Tarnowski z niepospolitą siłą logiki odkrywa wszystkie sprzeczności i wszystkie fałsze moralne, w jakich się plątał ustawicznie paradoksalny umysł autora *Listopada*. Niemniej oryginalne i przekonywujące jest wykazanie pewnego rodzaju atawizmu, owej »bezwzględnej solidarności familijnej«, która jakby klątwą zaciężyła nad Rzewuskim i całym jego publicznym charakterem... W całości rzecz biorąc, najnowsza praca hr. Tarnowskiego jest prześliczną: autor wzbogaca literaturę prawdziwie mistrzowską charakterystyką jednej z najwybitniejszych, a zarazem najtrudniejszych do ujęcia postaci naszych umysłowych dziejów.

Dnia 19 marca 1887 r. zmarł w Genewie J. I. Kraszewski, a w miesiąc później, d. 18 kwietnia, odbył się jego pogrzeb w Krakowie, pogrzeb uroczysty niezmiernie, narodowy, porównywany ze

słynnym pogrzebem Wiktora Hugo, poczem trumna ze śmiertelnemi szczątkami autora *Starej Baśni* spoczęła w »grobie zasłużonych« na Skałce. Tarnowski, na wiadomość o zgonie piewcy *Witołdowych Bojów* napisał o nim w najbliższym zeszycie *Przeglądu polskiego* pełne powagi i spokoju »wspomnienie pośmiertne«, w którem bez superlatywów, ale z całem szczerem uznaniem, podniósł to, co rzeczywiście było zasługą długoletniej pracy pisarskiej Kraszewskiego, ostateczny sąd o nim, o jego miejscu w literaturze, zostawiając potomności. Po pogrzebie, w którym wraz z Uniwersytetem i Akademią wziął udział, podzielił się Tarnowski w *Przeglądzie polskim* wrażeniem, jakie na nim uczyniła mowa ks. Chotkowskiego, wypowiedziana nad zwłokami twórcy *Dwóch światów* w czasie nabożeństwa żałobnego w kościele Panny Maryi. »Mówić nad trumną Kraszewskiego — czytamy w tem sprawozdaniu — była to dla każdego mówcy, ale dla kościelnego zwłaszcza, i trudność wielka, i sposobność doskonała do zajrzenia w głąb duszy narodu i w stan jego sumienia, jego moralnego zdrowia. Ksiądz Chotkowski rozwiązał trudność, a sposobność uchwycił śmiało, jak mu kazało jego uczucie polskie i jego kapłańskie powołanie«. A rezultat był ten, że »mową swoją usposobił słuchacza dla Kraszewskiego lepiej, niż wszystkie żale i panegiryki, których pełne były gazety... Prawda i miara, to była cecha, wielka zaleta tej mowy, o ile się odnosiła do Kraszewskiego samego; miała ona ten przymiot, w mowach pogrzebowych najrzadszy, że nie przesadzała, nie robiła zmarłego większym, niż był«.

Tym samym przymiotem, również rzadkim w monografiach literackich, odznaczała się, zdaniem Tarnowskiego, książka Chmielowskiego o *Józefie Ignacym Kraszewskim*, która się ukazała w niespełna rok po jego śmierci. Dziełu temu poświęcił Tarnowski w *Przeglądzie polskim* obszerne sprawozdanie,[1]) które o ile wypadło spokojnie i objektywnie, a w ogóle pochlebnie dla książki, o tyle w szczegółach zawierało ustępy, które, choć nie nazywały rzeczy po imieniu, były przykre dla Chmielowskiego: czyli, że po pewnej urazie, której źródłem stała się recenzya książki o Mickiewiczu, jeszcze dolały oliwy do ognia.[2])

---

[1]) *Przegląd polski*, 1888, wrzesień, str. 581—594.

[2]) Krytyka Tarnowskiego, choć na ogół utrzymana w tonie życzliwym i spokojnym, zawierała ustępy, które dla krytykowanego były niesłychanie gorzką prawdą. Tak n. p. gdy Chmielowski w zupełności zdaje się podzielać zdanie Kraszewskiego, z niechęcią malującego »strupieszałość i zgniliznę« sfer szlacheckich i arystokratycznych, Tarnowski, świadom złego małżeńskiego pożycia Kraszewskiego, takim krytym sztychem odparowuje insynacyę. »Co zaś

Bardzo rad z tego, że ta książka jest, i szczerze za nią dziękując autorowi, Tarnowski nie dziwił się wcale, »że nie jest ona ostatniem słowem o Kraszewskim, skoro jest naprawdę pierwszem«. Nie dziwił się również, że go wiele rzeczy raziło w książce...

Kiedy przed dwoma laty pisaliśmy na tem miejscu o pana Chmielowskiego *Mickiewiczu*, wyraziliśmy zdanie, że jego zaletą i zasługą główną jest porządne, dokładne zebranie wszystkich okoliczności życia poety. Część biograficzna *Zarysu* wydała nam się lepszą od części krytycznej, czy literackiej. Wrażenie takie samo odnieśliśmy i z niniejszej książki o Kraszewskim, z tą wszakże na korzyść nowszej pracy różnicą, że autor głębiej, zdaniem naszem, wnika

---

do zepsucia obyczajów, luźności związków małżeńskich i podobnie, które Kraszewski wyrzuca arystokratom, grzechy takie nie między nimi tylko się trafiają — a między nimi trafiają się właśnie, dzięki Bogu, daleko rzadziej, niż przed rokiem 1830 a nawet 1840. Oczywiście, nie wątpimy ani na chwilę, że Kraszewski miał prawo do kazań tego rodzaju, że sam był przykładnym i wiernym małżonkiem! Inaczej, byłoby w tych jego kazaniach coś bardzo nieprzyjemnego«. »Druga uwaga — czytamy kilka wierszy niżej — odnosi się już do pana Chmielowskiego samego. Wolno było Kraszewskiemu ogłaszać w *Tygodniu* **Listy Soborowe** pana Władysława Kulczyckiego, wolno mu było traktować, jak chciał, kwestyę nieomylności Papieża, wolno mu było wierzyć w oskarżenia, rzucane przez tegoż p. Kulczyckiego na księży Zmartwychwstańców, i wolno, choć nie godziwie, pisać o *Ultramontanach*, że »nie brak im ani terroryzmu, ani denuncyacyi, ani moralnej gilotyny. Ci panowie nie wahali by się kraj rozedrzeć, oddać go pierwszemu lepszemu, byle na swojem postawić. Idzie o to, by Polakom wyperswadowawszy narodowe mrzonki, przyprowadzić ich związanych i skruszonych właściwym władzom. Religia ma być tym sznurkiem, który ich spęta. Chrystus jest dla nich pachołkiem, który oprawcom pomoże«. Pan Chmielowski powiada słusznie, że to zarzuty straszne; ale dodaje, że »wiedzieć niepodobna, o ile prawdziwe«. Otóż właśnie, wiedzieć jest rzecz podobna, a nie wiedzieć, jest rzecz nie pozwolona. Tem próżno się zasłaniać, że Kraszewski nie wymienia osób. Naprzód, gdyby i tak było, to i wtedy jeszcze nie można było i należało zapytać i wiedzieć, czy zarzuty takie zrobione katolikom, w ogólności są słuszne. Ale i tego nie trzeba; znamy się między sobą i wiemy, że kto w owych latach mówił o głowach katolicyzmu w Polsce, ten myślał o księżach Kajsiewiczu i Semenence w Rzymie, o Koźmianach, księdzu Janie i p. Stanisławie, w Poznaniu. Dla pana Chmielowskiego jest rzeczą niepodobną wiedzieć, co to byli za ludzie, i czy mogli na takie zarzuty zasłużyć? Jeżeli ich pan Chmielowski nie zna, to ma wszelką łatwość poznania z pism i z działań, które już z samego obowiązku swojej pozytywności powinien był znać i na świadectwo powołać. I jako wyznający pozytywność, i jako człowiek i pisarz uczciwy, miał obowiązek dowiadywać się i przekonywać. Jeżeli to zrobi, dowie się i przekona, że to wszystko, co tam o nich napisano, to nieprawda«. Ale »kto zna pana Chmielowskiego, ten wie, że jest u niego ten zwyczaj, czy doktryna, pochodzące z bardzo niedokładnej znajomości Polski, jaką była między rokiem 1830 a 1863, zwyczaj dzielenia jej na stronnictwo »wsteczno-ultramontańskie i demokratyczno-postępowe». W książce niniejszej naturalnie występują one ciągle, i jak zwykle bez wytłomaczenia, w czem i przez co jedno jest wstecznem, a drugie postępowem«.

w duszę Kraszewskiego, lepiej ją zna i daje poznać, aniżeli myśl i duszę wielkiego poety. Czy to zamiar i usilne staranie? czy przypadek? czy może skutek tego, że dusza to łatwiejsza do przejrzenia i zgruntowania? Nie wiemy, tylko z przyjemnością zapisujemy fakt. Nie twierdzimy przeto, żeby charakterystyka Kraszewskiego była głęboką, albo we wszystkiem słuszną; owszem, nieraz tak się nam wydaje, jak żeby pan Chmielowski mógł, a nie chciał rysów portretu uwydatnić, jak żeby się cofał przed logicznemi wnioskami z własnych twierdzeń; ale pomimo to wydaje nam się rzeczą niewątpliwą, że w tej książce więcej się i wyraźniej widzi Kraszewskiego, aniżeli Mickiewicza w tamtej.

Drugą, a podług nas może największą zaletą książki, jest śmiałość i otwartość zdania. Albo panu Chmielowskiemu trudno było wyswobodzić się z pod wpływu sławy i wziętości Kraszewskiego, albo może nie wypadało mu być zupełnie chłodnym i krytycznym tak rychło po jego śmierci, dość, że delikatny w swoich sądach jest bardzo, i nie obruszy na siebie, sądzimy, żadnego fanatyka Kraszewskiego; owszem, będzie mu raczej przyjemny. Ale tem różni się od wszystkich, którzy dotąd o Kraszewskim pisali, że pozwala sobie krytykować a nawet ganić, że jego książka wolna jest od tych oklepanych uniesień i rozczulań, których zaklętego koła nikt dotąd nie śmiał przestąpić, że otwiera dyskusyę i pokazuje, że można Kraszewskiego poddać krytyce. Jest to wiele jak na początek; tym śladem ktoś w przyszłości dojdzie do jądra kwestyi i do ostatecznego, prawomocnego wyroku.

Kto zna pisma pana Chmielowskiego, ten wie, że on z zasady, ze szkoły, stara się o trzeźwość, o pozytywność swoich sądów i podań, że wypowie zdanie, ale ma sobie za obowiązek nie wyjawiać się ze swojemi uczuciami (które mimo jego wiedzy lub woli pokazują się przecież niekiedy). Tego sposobu postępowania trzyma się i teraz przy Kraszewskim. Chce być bezstronnym i ostro nieraz wyraża się o dziełach; nie zataja nawet słabych stron człowieka, ale uczucie własne, choć starannie na wodzy trzymane, objawia się wyraźną sympatyą do pewnych Kraszewskiego tez lub obrazów... Trzeźwość zaś i pozytywność tak zda się opanowała umysł i wolę pana Ch., że do przedmiotu swego żadną miarą jakoś zapalić się nie może. Mówi o »naszym pisarzu« z najgłębszem uszanowaniem, poświęca mu książkę, czem oczywiście dowodzi, że go wysoko ceni; ale nic nie wskazuje, żeby miał do niego pociąg lub przywiązanie, żeby go nie już kochał, ale tylko lubił. Gani Kraszewskiego nieraz słusznie: chwalić nieraz chce, ale mu to nie idzie. Z jego książki dowiemy się niemało o gorszych pierwiastkach talentu i natury Kraszewskiego, lepsze zostają gdzieś w cieniu; dowiemy się, że napisał wiele książek słabych; nie dowiemy się, co napisał bardzo dobrze, i dlaczego był wielkim pisarzem albo za takiego uchodził.

Uważając książkę o Kraszewskim, niezależnie od jej poważnych braków i usterek, za bardzo pożyteczną i potrzebną, niemniej zarzucał jej Tarnowski, »że spisuje dokładnie i wiele, ale docieka i sprawy zdaje za mało«. »Konstatuje, ale przyczyn nie dochodzi, a przynajmniej nam nie tłomaczy; powie chwiejność, wrażliwość, lub inny jaki rys tego charakteru, a o więcej się nie troszczy; nie pyta, w czem źródło i powód tej chwiejności czy wrażliwości, czy niejednego, co w postępowaniu Kraszewskiego wydaje się autorowi mniej dobrem. Życie opisane obszernie i dokładnie, człowiek

lepiej, aniżeli był w swoim czasie Mickiewicz, ale także nie dosyć«. Ostateczny wniosek był gorzki.

Po przeczytaniu książki, wyznajemy, zrobiło nam się smutno. Nie należeliśmy nigdy (jak dobrze wiadomo) do wielbicieli Kraszewskiego, ale wiedząc, jak człowiek łatwo się uprzedza i przy swojem zdaniu upiera, mieliśmy cokolwiek nadziei, że pan Chmielowski niejedno nasze zdanie zbije i sprostuje, że nam wykaże przesadę i niesprawiedliwość; mieliśmy nadzieję, że Kraszewski przez okulary drugiego ukaże nam się większym, niżeśmy go własnemi oczyma widzieli. Niestety, nadzieja zawiedziona! Pan Chmielowski (tak od nas różny i daleki, wiekiem, rodzajem umysłu, drogą kształcenia, przekonaniami) potwierdza nasze własne o Kraszewskim wrażenia i sądy prawie we wszystkiem, a nieraz wskazuje słabe w nim strony, którychemy nie byli dostrzegli.

Tymczasem w parę miesięcy po Kraszewskim, w czerwcu r. 1887, rozstał się z tym światem Zyblikiewicz. W liczbie tych, co najgoręcej odczuli stratę, jaką przez ten przedwczesny zgon poniósł kraj, był Tarnowski; to też, gdy w Krakowie kroczył za jego pogrzebem, miał całą świadomość uczucia, jakiego doznawał w tej chwili, a w którem, »troska o to, co będzie, nie zmniejszała tęsknoty za tem, co było, ani serdecznego żalu za tym, kto ubył«. »Kiedy przed tygodniem — pisał pod wrażeniem tego pogrzebu — trumna Zyblikiewicza szła pod Floryańską bramę, stawał w oczach jego zaprzęg krakowski przed pojazdem Cesarza, jego błękitny kontusz, i jego wzrok rozradowany, błyszczący chlubą z tego, co się działo...« A teraz? Teraz przyszło pisać o nim wspomnienie pośmiertne. Cóż dziwnego tedy, że uczucie, z jakiem Tarnowski zabierał się do pisania tego nekrologu, było dziwnie żałosne, co zwłaszcza odbiło się w początkowym ustępie artykułu, lirycznym i rzewnym. »Przeszłość ich zagarnęła, nikt ich nie wydrze przeszłości! Słowa te z *Irydiona* — pisał Tarnowski — stają smutno w myśli, na widok, że nie już ci, co nas łączyli z Kościuszkowskiemi i Napoleońskiemi czasami, nie ci, co się bili w roku 1831, ale ci zaczynają należeć do historyi, co działali i znaczyli w ostatnim okresie naszego życia. Zda się niedawno, jak się zaczynały Sejmy we Lwowie, a wielu już niema z tych, co rozumem, talentem, charakterem, stali w pierwszym rzędzie walczących i zasłużonych, co tworzyli nasze dzisiejsze położenie: Leon Sapieha, Kraiński, Gołuchowski, Adam Potocki, Helcel, Lubomirski, Krzeczunowicz, Henryk Wodzicki, Paszkowski, Ludwik Skrzyński, Dietl, Szujski, głowy, na które zwracało się oko i uwagę w Sejmie, z których wychodziły te rozprawy, których skutkiem były nasze dzisiejsze prawa i stosunki, a niektórzy z nich same filary, na których spierało się nasze życie publiczne, wszyscy poszli... nikt ich nie wydrze przeszłości. A teraz i Zybli-

kiewicza przeszłość zagarnęła; tego, którego przez te wszystkie lata widziało się zawsze na przodzie, w każdej walce, w każdej sprawie czy rozprawie; tego śmiałego, który się nigdy niczego nie uląkł; tego gotowego, który był zawsze pierwszy do apelu; tego dzielnego, który nigdy nie słabnął na siłach; tego gorącego, co nigdy nie ostygał w zapale; tego prawego, co nigdy ust ni serca fałszem nie zmazał; i ten już leży, i ten przestał być siłą naszego życia, a stał się tradycyą, jednym pomnikiem narodowego pamiątek kościoła«.

W tym samym czasie mniej więcej [1]), skończył Matejko *Portret Szujskiego*, co oczywiście Tarnowskiego tem częściej musiało sprowadzać do pracowni mistrza. Istotnie była to epoka, gdzie Tarnowski raz po raz zachodził do Matejki, ażeby się przypatrzeć jego świeżo powstającym obrazom, ażeby z nim podzielić się niektóremi wrażeniami. Czasami znów, jako członek komitetu dla zakupna *Sobieskiego*, bywał razem z Arturem Potockim. Że go Matejko wyróżniał szczególnem zaufaniem, że z nim, jak rzadko z kim innym, był wyjątkowo otwartym, dowodzi następujący fakt, zapisany przez samego Tarnowskiego, w jego książce o Matejce: »Sobieski był darowany Papieżowi, ale w ręku komitetu zostały pieniądze na kupno jego złożone. Ogłoszono, że każdy, kto zechce, może wkładkę swoją odebrać: nie odebrał nikt. Po drugim zaś darze tak wspaniałym i kosztownym, jak był dar *Hołdu*, tem wyraźniej dawała się czuć potrzeba i powinność, żeby Matejko raz przecie zrobił jaki wielki obraz nie za darmo. Poszliśmy prosić, żeby malował *Kościuszkę*. Nie odmówił, nawet obiecał; ale zastrzegł się odrazu, że zaraz malować go nie będzie. Musi pierwej zrobić inny obraz, a potem dopiero, jeżeli dożyje, weźmie się do *Kościuszki*. Ten obraz to *Dziewica Orleańska*. Przypominam sobie, jak raz w jego pracowni, o zmierzchu, kiedy już malować nie mógł, próbowałem go skłonić, żeby raczej ten swój zamiar odłożył na później. Przedmiot piękny, niezawodnie; ale *Kościuszko* bliższy, będzie nam milszy, a szkoda byłaby większa, gdyby ten wymalowanym być nie mógł. Wtedy Matejko — co ze mną nie zdarzało się prawie nigdy — wywnętrzył się zupełnie, wytłómaczył swój powód, i opowiedział, jak pojmował swój zawód, swoje dzieło, jako całość. Malował *Skargę*, jako zapowiedź i groźbę upadku, *Reytana* jako jego spełnienie. Ale jak kary za złe Bóg nie może darować, tak nie może odmówić i zmiłowania temu, kto na nie zasłuży. Sam powiedział *nationes sanabiles*, a do tego uzdrowienia dał im moż-

---

[1]) W pierwszych miesiącach r. 1886.

ność i środki. Z najgłębszego upadku podnieść się można, byle chcieć i środki mądrze wybierać. Jakie one są? Boga słuchać i bliźniego miłować. Wzniosłość duszy w narodzie jest jego mocą, pierwiastkiem i zadatkiem jego przyszłości; a jeżeli ją miał a nie zatracił, on mógł być i może być Bogu potrzebnym, jako pracownik w tem wielkiem dziele chrześcijańskiej cywilizacyi, które nazywamy Królestwem Bożem na ziemi, a które jest celem i powołaniem wszystkich narodów. Ten z nich, który ku temu celowi w czynach swoich się zbliżył, ma i zasługę i zarazem wskazówkę, dowód, że może i siebie i drugich wyżej podnosić. W tej myśli wymalował on *Unię,* jako wielką cnotę i chwałę Polski dawnej, jako przykład dla dzisiejszej. Ale cnota sprawiedliwości i miłości nie jest zupełną, jeżeli niema w niej poświęcenia. W Unii tego nie było. Była cnota łatwa, bo uszczęśliwiająca i nawet po ludzku mówiąc korzystna. Ten naród dopiero spełnia zakon Chrystusa Pana, który czuje się drugiemu narodowi bratem, i w ucisku, w niebezpieczeństwie, spieszy mu z pomocą, nie bacząc na własny trud, a choćby szkodę. Dawna Polska miała i tę cnotę; ją chciał Matejko sławić, jej obowiązek przypomnieć przez *Sobieskiego.* Ludzka, przyrodzona cnota już wyżej nie idzie, więcej zrobić nie może; heroiczne poświęcenie jest jej ostatecznym kresem. Ale gdzie ona się kończy, tam dopiero zaczyna się cnota nadprzyrodzona, która niebo otwiera i z niego cud sprowadza: ta wiara, która nie zachwieje się nigdy, ta nadzieja wbrew nadziei, która nigdy nie przestaje prosić, ta miłość, która wszystko przyjmuje, nawet męczeństwo, która przyjmuje je z rozkoszą, bo wie, że kiedy od Boga pochodzi, to i męczeństwo musi być dobrem, być szczęściem. Taką cnotą wojowało chrześcijaństwo przez trzy wieki w katakombach, i zwyciężyło; jego Święci radowali się na męki i śmierć. W świeckich dziejach przykładów tak wyraźnych niema, ale jest jeden tamtych bliski: to ta dziewczyna, która tak wierzy i ufa, że kiedy wszystko stracone, rwie się bronić, a tak miłuje, że niesprawiedliwość i męczeństwo sama znosi z rozkoszą, bo wie, że męka i śmierć sprawiedliwego musi poruszyć i ściągnąć zmiłowanie. Z ziemskich historycznych postaci, tę nadziemską cnotę miała *Dziewica Orleańska* jedna. Spłonęła na stosie, ale zwyciężyła, oswobodziła i, umierając, mogła mówić: »Puść Panie sługę Twoją w pokoju, bo oczy moje oglądały zbawienie Francyi«! Męczeństwo, cierpliwe przyjęcie męczeństwa, miłość męczeństwa, jako zrządzenia woli Boskiej, to dopiero jest ta cnota nadludzka, nadnaturalna, która uświęca nawskróś, do szpiku kości: najwyższa, najtrudniejsza, ale i najskuteczniejsza! Tę cnotę Matejko wymalować chce, wymalować koniecznie

musi. Gdyby tego nie zrobił, dzieło jego życia nie byłoby zupełne, jego program niespełniony, on sam sprzeniewierzyłby się temu, co kiedyś za młodu sam sobie, jako swoją przyszłość zakreślił i przyrzekł. Mylił się czy nie, czy obrazami mógł dawać takie nauki, czy nie mógł? Przekonywać go i od umiłowanej myśli odwodzić było rzeczą próżną. Była zaś w tej jego myśli taka wzniosłość, w jego przekonaniu taka siła, w jego duszy taka wielkość, że występować przeciw byłoby zuchwalstwem« [1]).

Lecz przyszła chwila, gdzie ta wzniosłość miała pójść za daleko. Skończywszy malowanie *Dziewicy Orleańskiej*, Matejko powziął myśl, która o ile była szlachetną, o tyle nie miała żadnej podstawy realnej. Oto postanowił on — a było to już w rok po ukończeniu obrazu — obraz ten ofiarować Francyi. Jeżeli zamiaru tego nie wykonał, jeżeli obraz został w kraju, to pozostanie to na zawsze zasługą Tarnowskiego. Zadanie było niełatwe, a w jaki sposób mu podołał, o tem on tak opowiada: »Przy uroczystym obchodzie otwarcia *Collegii novi*, Matejko, mianowany honorowym doktorem filozofii, chciał po wręczeniu dyplomu zabrać głos, ale że program obchodu z góry był ułożony, wszystkie przemówienia nim objęte, a Matejko nie przestrzegł nikogo, że chce przemówić, było już zapóźno, i swego zamiaru na tę chwilę odstąpił. Zamiar był taki, żeby przy tej okazyi darować *Dziewicę Orleańską* Francyi od narodu polskiego, na spłacenie różnych dawnych długów wdzięczności, a zarazem na przypomnienie, że sama kiedyś podbitą była, a wybawiła się mocą i łaską Boga; na naukę, że i teraz tylko przez Niego podźwignąć się może. O tym zamiarze jednak nie wiedział nikt, prócz samego Matejki i może paru jego najbliższych przyjaciół. W kilka dni później przybiegł do mnie Smolka, mocno zafrasowany, żądając rady albo pomocy. W czem? co się stało? Matejko wpadł na myśl, od której potrzeba go odwieść koniecznie. Jak niegdyś darował *Hołd pruski* Zamkowi, później *Sobieskiego* Papieżowi, tak teraz chce darować *Joannę d'Arc* Francyi od Polski! Napisał nawet odezwę tej treści; a że Smolka był wtedy redaktorem *Czasu*, przysłał mu ją z żądaniem, żeby była drukowana zaraz dziś, natychmiast. Trzeba go wstrzymać, bo ani obraz ocenionym, ani zamiar zrozumianym nie będzie! Francuzi, którzy drwili z *Grunwaldu* i z *Hołdu*, w tym obrazie jeszcze mniej znajdą upodobania. Ich usposobienie, ich smak, jest tego rodzaju, że podoba im się tylko to, co przejrzyste, łatwo zrozumiałe, porządnie i symetrycznie ułożone. Eschyla i Szekspira znoszą dopiero wtedy,

---

[1]) *Matejko*, 300—302.

kiedy go Dumas poprawi. Matejko także nie trafi im nigdy do uczucia, czy do wyobraźni. Prócz tego u nich sztuka podlega modzie, a moda dziś krzywi się na historyczne malarstwo. Prócz tego zwłaszcza, i dopiero najbardziej, w ich dzisiejszych politycznych pojęciach i sympatyach (dla Rosyi), wielki dar polski będzie przyjęty źle, a że dar i podobać się nie będzie, więc z rozkoszą, *cum libidine servitii* będą się z obrazu i z malarza i z Polaków naśmiewać i natrząsać, żeby się przypodobać, pochlebić i zasłużyć... komu innemu. Jeżeli Matejko swój zamiar wykona, sprowadzi tylko bolesne upokorzenie i sobie i Polsce. Ale jak mu to wytłómaczyć? Smolka już robił co mógł, bez żadnego skutku. Przekładał sam, potem przez X. Skrochowskiego, napróżno. Prosił o dzień zwłoki. Na to odebrał odpowiedź listowną tej osnowy:

Po rozmowie z Panem przypuszczałem, co się stanie. Taić nie mogę, że mnie to bardzo boli. Ale wiem, że szczera względność na mnie kierowała pańskiem postanowieniem. Przebaczać nic nie mogę, bo może sam postąpiłbym podobnie w wypadku takiej natury. Postanowienia mego jednak nikt ani nic nie zmieni. A jeżeli redakcya *Czasu*, którą bardzo szanuję, nie zechce z mojej odezwy zrobić użytku podług mojej myśli, to postąpię, jak będę uważał za odpowiednie.

Jak chciał postąpić, dowiedzieliśmy się później: chciał odezwę swoją plakatami na rogach ulic ogłosić. Wobec takiego listu co robić? Matejko widocznie zaciął się, łudził się, że takie przypomnienie własnego upadku i oswobodzenia, i przypomnienie Polski zarazem, nie może nie zrobić wrażenia, wstrząśnie ich, otrzeźwi, upamięta. Artura Potockiego nie było ani w Krakowie, ani w Krzeszowicach, a nie było też czasu do tracenia, bo Matejko był gotów swoją myśl wykonać zaraz. »Idź, próbuj, rób co możesz!« nalegał Smolka. Miał słuszność zupełną; trzeba było koniecznie przynajmniej próbować: odwrócić szlachetny zamysł, który musiał skończyć się upokorzeniem. Poszedłem rano; zastałem Matejkę jeszcze w domu, nie w pracowni. Wezwawszy szczerze Boga na pomoc, zacząłem odradzać, przekładać, prosić. Rozmowa trwała ze dwie godziny; jedynym jej świadkiem był p. Maryan Gorzkowski. Znalazłem człowieka, który mi dał niejakie wyobrażenie o tem, jak mógł myśleć i mówić Mickiewicz, kiedy w epoce towianizmu wpadał w swoje złudzenia. Czyta się w jego i w Towiańskiego listach, że chcą robić lub robią wyzyw do ducha francuskiego, do ducha Papieża, Towiański nawet do ducha Mikołaja. Wrażenie, jakie Matejko spodziewał się sprawić we Francyi swoim darem, przypomina te wyzywy. Przekonany był głęboko. Niepodobna, żeby się w tej Francyi nic nie odezwało, nie zadrgało! Tłó-

maczył, dowodził, prosił, chwilami nawet nie bez łez w oczach, żeby mu nie przeszkadzać. Gniewał się potem; wyrzucał brak polskiego uczucia, i znowu prosił. Mieć przed sobą tego człowieka tak przekonanego, tak przywiązanego do swojej myśli, człowieka, który tyle poświęcił, który znosił tyle udręczeń i nieszczęść, i takiego jeszcze, którego podziwiało się nietylko szczerze, ale pokornie, jako nierównie większego i lepszego od siebie, i takiemu zadawać przykrość, dręczyć go, odrywać go od myśli, do której przylgnął całą duszą, odbierać mu tę pociechę, a choćby tę illuzyę, to było uczucie nieznośne, człowiek sam sobie wydawał się niemiłosiernym, okrutnym. Obecny Gorzkowski płakał, jak dziecko. W końcu Matejko ustąpił; a to ustąpienie, to zrzeczenie się człowieka takiego, jak on, było jednem z bardzo budujących i bardzo wzruszających wrażeń, jakich doznałem. Ludzie mówią i może zawsze będą mówić o jego zarozumiałości i dumie. Ja po tem przejściu mam prawo i obowiązek świadczyć, że dumnym nie był, i mówić, że owszem nie dumę miał, ale pokorę. A u takiego człowieka, jak on, jest ona niewątpliwie trudniejszą, większą cnotą, niż u nas, zwykłych ludzi. W kilka dni później, on, który nie miał zwyczaju odwiedzać Smolki, przyszedł do niego, niespodzianie. Siedział długo, rozmawiał przyjaźnie, o różnych rzeczach, nie o *Dziewicy Orleańskiej*. Ale to przyjście niezwykłe, to obejście serdeczne dowodziło, że przyznał mu słuszność i może był wdzięczny. Wystawa obrazu w Paryżu, zdania o nim, dowiodły, że słuszność mieli ci, co się bali złego przyjęcia zamierzonego daru« [1]).

Tymczasem d. 14 czerwca miało się odbyć uroczyste otwarcie nowego gmachu uniwersyteckiego, pod który przed czterema laty położono kamień węgielny. »Są uroczystości — pisał *Czas* — które charakterem swoim wznoszą się ponad sztywność oficyalnych i banalność demonstracyjnych obchodów, bo wiążą one to, co się nie przerwało w łańcuchu dziejowym, z tem, co nas ku przyszłości wiedzie. Taką uroczystością była niewątpliwie uroczystość poświęcenia *Collegii novi*, nowej siedziby dla starej *Almae Matris*, uroczystość, która spajała nowem ogniwem pięć wieków ubiegłych z wiekami przyszłemi. [2])

---

[1]) *Matejko*, str. 329—333.

[2]) W *Czasie* z d. 15 czerwca 1887 r. w Kronice miejscowej pod datą d. 14 czerwca, czytamy, co następuje: »Wczoraj o godz. 9-ej przybył na dworzec J. E. p. Namiestnik Zaleski wraz z przedstawicielami władz rządowych i autonomicznych, oraz profesorowie uniwersytetu z rektorem hr. Tarnowskim. W sali I klasy oczekiwał J. E. p. Namiestnik wraz z zebranymi nadejścia pociągu wiedeńskiego, którym jechali do Krakowa ministrowie Dr. Gautsch i Dr. Duna-

Dzień to był uroczysty niezwykle, dla całego Krakowa wogóle, a dla Tarnowskiego w szczególności.

Od samego rana — a dzień był pogodny i słoneczny — chorągwie państwa, kraju i miasta na pięknej gotycko-renesansowej fasadzie *Collegii novii* zlewały się w kolorostyczną — i historyczną — harmonię z tarczami herbowemi, zdobiącemi fronton gmachu, a tłumy ludu zalegały tę część Plantacyi, która stąd wiedzie do kościoła św. Anny. Jednocześnie w kościele, wysłanym od progu aż po wielki ołtarz kobiercami, zgromadziło się mnóstwo młodzieży uniwersyteckiej, oraz publiczności obojej płci. Tymczasem w Bibliotece Jagiellońskiej, w Sali Obiedzińskiego, zebrali się profesorowie obu uniwersytetów krajowych. O oznaczonej godzinie przybył tu minister Gautsch, a gdy się zapoznał z obecnymi, których mu Tarnowski, jako Rektor, przedstawiał kolejno, udano się do kościoła św. Anny na nabożeństwo. Tutaj, w presbiterium i głównej nawie, młodzież wskazywała miejsca profesorom, przybyłym dostojnikom, członkom korporacyi i zaproszonym gościom (wśród których rodzina i przyjaciele Tarnowskiego licznie byli reprezentowani). Po nabożeństwie, celebrowanem przez Biskupa krakowskiego, utworzono orszak, który uroczyście wyruszył w następującym porządku. Przodem szła młodzież akademicka, za nią zarząd budowy, przedstawiciele szkół ludowych, dyrekcye seminaryów nauczycielskich, szkoły realnej, gimnazyów, profesorowie Szkoły Sztuk Pięknych, deputacye młodzieży akademickiej z Krakowa i Lwowa. Z kolei postępowali byli profesorowie Uniwersytetu Jagiellońskiego, za nimi reprezentacya szkoły politechnicznej lwowskiej, za nią rektor uniwersytetu lwowskiego, Pilat, oraz towarzyszący mu profesorowie: Małecki, Kasznica, Wojciechowski, Żmurko, Wielowiejski, Paliwoda, oraz były profesor warszawskiej szkoły Głównej, Dr. Paweł Popiel; za nimi kroczyli doktorowie *honoris causa:* biskup Krasiński, Jan Matejko i Julian Klaczko; poczem dopiero następował cały zastęp profesorów i docentów uniwersytetu. Za prorektorem Łepkowskim bedele nieśli berła, a sekretarz

---

jewski. Gdy zbliżenie się pociągu zostało sygnalizowanem, wyszedł J. E. p. Namiestnik na peron i wraz z całym orszakiem udał się ku wagonowi, wiozącemu ministrów. Powitanie z ministrami było krótkie. Ministrowie w towarzystwie J. E. p. Namiestnika i rektora hr. Tarnowskiego przeszli przez peron wśród szpaleru publiczności i udali się do sali I klasy, skąd zaraz wsiedli do pojazdów i udali się na raut do rektora uniwersytetu. Raut ten zgromadził w apartamentach pałacu na Szlaku liczne i świetne zebranie. Gospodyni domu na schodach witała przybywających gości. Pełne zgromadzenie profesorów, wraz z gronem dam i licznym zastępem dygnitarzy, tworzyło całość, świadczącą, że Kraków pod względem towarzyskim zachował charakter prawdziwej stolicy«.

uniwersytecki, Cyfrowicz, niósł dyplom erekcyjny Kazimierza Wielkiego; dalej postępowali dziekani czterech wydziałów, a dopiero za nimi szedł w purpurze i w gronostajach Tarnowski, jako *Rector Magnificus*, przy nim szedł Józef Majer, jako prezes Akademii Umiejętności. Za nimi postępowała Kapituła Krakowska i grono kapłanów, a w ich otoczeniu, w pontyfikalnych szatach, X. Biskup Krakowski. Z kolei szli dwaj ministrowie, Dunajewski i Gautsch, tudzież namiestnik Zaleski, marszałek Jan Tarnowski — starszy brat Stanisława — prezydent miasta Szlachtowski, za nim członkowie Rady Miejskiej, za nimi prezes Towarzystwa Rolniczego, Artur Potocki, Paweł Popiel, delegat namiestnictwa Borkowski, prezydenci sądu, naczelnicy władz, instytucyi, korporacyi i t. d. i t. d. »Pochód ten — pisał sprawozdawca *Czasu* — w którym przesuwały się naprzemian togi szkarłatne rektorów i togi profesorskie o czterech barwach, szaty pontyfikalne biskupa i asysty, mundury dostojników władz, delie i kontusze, wspaniały przedstawiał widok. W czasie pochodu rozlegająca się pieśń: *Kto się w opiekę poda Panu swemu*, głębokie i rzewne wzbudzała wrażenie«. Po wyjściu z ulicy św. Anny i okrążeniu części plantacyi, przed gmachem uniwersyteckim pochód cały rozsunął się w półkole, poczem X. biskup poświęcił fasadę gmachu, a *Rector Magnificus*, otrzymawszy klucz od reprezentantów władzy, otwarł drzwi *Collegii novi*, poczem cały orszak wkroczył w podwoje nowego przybytku nauki polskiej, a wreszcie do wspaniałej auli, przybranej w wybór obrazów i portretów. Nad wzniesieniem zawieszono *Kopernika* Matejki, który jakby był symbolem najwyższego tryumfu nauki w tej wszechnicy. Po bokach Kazimierz Wielki i Jagiełło, naprzeciw okien portret Franciszka Józefa. Na przeciwległej ścianie, wśród dawnych rektorów, pyszne matejkowskie portrety Dietla i Szujskiego. Rozpoczęła się właściwa uroczystość. Po przemówieniach X. Biskupa Krakowskiego i ministra Gautscha, zabrał głos Tarnowski, który najprzód zwróciwszy się do ministra, powitał go krótkiem przemówieniem w języku niemieckim, a następnie w podniosłej mowie polskiej roztoczył wspomnienia dawnej świetnej przeszłości Uniwersytetu, określił jego zadania w chwili bieżącej, oraz wytknął drogi, które się otwierają przed nim.

— Sławna jest przemowa tego wodza — mówił między innemi — co żołnierzy swoich zagrzewał do boju wspomnieniem czterdziestu wieków patrzących ze szczytu piramid. Na nas nie tyle: na nas z otaczających murów starych Kollegiów i miasta, Kościołów i Zamku, patrzy szereg wieków nie tak długi, lecz nie tak odległych. Nie czterdzieści zapomnianych, zastygłych, obojętnych: pięć tylko,

ale takich, które były naszem własnem życiem. A te mury, to nie kolosy gmachów Bóg wie przez kogo i kiedy w górę piętrzone, to także pamiątki żywe: nie martwy kamień, ale perły łez i zasług jaśniejące brylanty. To zaś, co z nich patrzy, to nie bezimienna masa wspomnień, w których się głów i imion ludzkich nie rozeznaje, ani o nie pyta: to głowy najdroższe, to imiona największe, serca bohaterskie i święte, to Jadwigi poświęcenie, Zygmuntów mądra miłość, Batorych hart, Żółkiewskiego zgon, Czarnieckiego trud, Sobieskiego europejski czyn:[1]) wszystko, czem byliśmy i z czego jesteśmy, patrzy na nas i pyta: Jacy będziecie, co zdołacie, czy warto było na to żyć i za to umierać, byście wy czemś byli? czyście godni i usposobieni snuć dalej pasmo dziejów i, ciężar ich dźwigając, pchać naszym śladem, w naszej myśli, która się z Bożej myśli poczęła, jej była wierna, do jej urzeczywistnienia dążyła? Na to pytanie jak odpowiemy?

Po odczytaniu i podpisaniu aktu otwarcia *Collegii novi*, zwrócił się Tarnowski do ministra Dunajewskiego i wręczył mu księgę pamiątkową, jemu dedykowaną, jako zawsze szczeremu opiekunowi, a dawniej zasłużonemu profesorowi *Almae Matris*. Po odpowiedzi Dunajewskiego, który podziękował za ten miły zaszczyt, nastąpiło promowanie doktorów honorowych przez dziekanów poszczególnych wydziałów. I tak wręczono dyplomy: ministrowi Gautschowi, biskupowi Krasińskiemu, Matejce i Klaczce. Z kolei nastąpiły przemówienia prezydenta miasta, Szlachtowskiego, i przedstawiciela młodzieży uniwersyteckiej, Jaworskiego, który złożył na ręce rektora *Pamiętnik słuchaczy uniwersytetu Jagiellońskiego*. Tarnowski, podziękowawszy mówcom, a szczególnie młodzieży, proklamował otwarcie gmachu.

Tegoż dnia, o 6 ej popołudniu, w pięknej sali Tow. Wz. Ubezpieczeń odbył się wspaniały bankiet uniwersytecki, do którego zasiedli zaproszeni dostojnicy, profesorowie i docenci uniwersytetu, oraz reprezentanci młodzieży akademickiej. Przy honorowym stole, na pierwszem miejscu, pomiedzy ministrami Gautschem i Dunajewskim, zasiadł Tarnowski, jako *Rector Magnificus*, a dalej zajęli wyznaczone miejsca X. Biskup Krakowski, Namiestnik, Marszałek Krajowy, biskup Krasiński, Dr. Pilat, Paweł Popiel, Klaczko i inni. Pierwszy toast, na cześć Cesarza Franciszka Józefa, wzniósł Tarnowski, zaczynając od pięknych słów Kalderona: »Szlachetność błyszczy w Królewskich sumieniach...« Po tym wstępnym toaście nastąpił szereg innych.

[1]) Krasiński.



STANISŁAW TARNOWSKI
w r. 1887.

Wieczorem, w sali strzeleckiej, odbyło się zebranie młodzieży uniwersyteckiej, w którem i całe ciało uniwersyteckie stawiło się prawie in *corpore*. »Sala była przepełniona — pisze sprawozdawca *Czasu* — ożywienie wielkie i ogólne. Rektor hr. Tarnowski, przywitany przy wejściu burzą oklasków, okrzykami, muzyką, zajął pierwsze miejsce przy honorowym stole, mając po prawej ręce prezesa Majera, po lewej rektora Pilata«. Na prośbę przewodniczącego *Towarzystwa wzajemnej pomocy uczniów Uniwersytetu Jagiellońskiego*, Tarnowski objął przewodnictwo, poczem nastąpiły liczne przemówienia, zarówno przedstawicieli młodzieży, jak profesorów. Dopiero po północy zaczęto się rozchodzić.

Nazajutrz przyniósł *Czas*, obok innych, i następującą wiadomość urzędową: »Najj. Pan postanowieniem z d. 7 czerwca b. r. z okazyi otwarcia nowego gmachu uniwersyteckiego w Krakowie nadał zwyczajnemu profesorowi i obecnemu rektorowi Uniwersytetu Jagiellońskiego, Drowi Stanisławowi hr. Tarnowskiemu, krzyż komandorski orderu Franciszka Józefa z gwiazdą«.

W dziesięć dni po tych uroczystościach przyszła kolej na nowe: dnia 28 czerwca przyjechał do Krakowa objeżdżający właśnie kraj cały Arcyksiążę Rudolf z małżonką swą Stefanią, Kraków przeżył znów kilka dni wyjątkowo uroczystych i świetnych. Jednym z najświetniejszych momentów było przyjęcie arcyksiążęcej pary w gmachu uniwersyteckim, gdzie Tarnowskiemu, jako Rektorowi, przypadła dominująca rola. W auli *Collegium Novum* — pisał *Czas* — zgromadziło się przed godz. 2-gą popołudniu gremium profesorów Uniw. Jag. w togach, oraz setki młodzieży uniwersyteckiej. Gdy oznajmiono zbliżanie się Najdostojniejszych Gości, udał się Rektor z senatem na powitanie u wrót gmachu Arcyksiążęcej pary. Wśród wznoszonych przez młodzież akademicką okrzyków »Niech żyją!« weszli arcyksięstwo do auli i wstąpili na estradę, ustawioną przed portretem Cesarza. Namiestnik, Marszałek krajowy — Jan Tarnowski — i świta Arcyksiążąt, zajęli miejsca po bokach estrady. Wtedy to, zwracając się do Arcyksięcia, zabrał głos po niemiecku Tarnowski, ażeby mu ofiarować zaszczytny tytuł doktora filozofii *honoris causa*.

— Niechaj on będzie — mówił między innemi Tarnowski — oznaką czci, jaką z całym światem cywilizowanym przejęci jesteśmy dla udziału Waszej Ces. Król. Wysokości w pielęgnowaniu nauki; dowodem należnego hołdu, jaki składamy synowi naszego Dobroczyńcy; pamiątką dnia, w którym Wasza Ces. Król. Wysokość po raz pierwszy wstąpiłeś w mury tego miasta, w którem niegdyś nie-

jedna córka Domu Austryackiego jaśniała w blasku korony i cnoty. Nasz Uniwersytet, który przez szereg stuleci był ogniskiem życia naukowego na Wschodzie Europy i piastunem cywilizacyi, on, któremu było dane rozległe kraje od Wschodu dla oświaty zdobyć i cały naród wychować w duchu zachodniej cywilizacyi, tak, że przeszła w krew i kości naszego charakteru; Uniwersytet Jagielloński świadom jest swego powołania i obowiązku, świadom, że ma pozostać wiernym i wiernie służyć tym tradycyom, w których tkwi jądro, istota polskiej historyi, które nas w naszych losach i w naszych usiłowaniach wiążą z Zachodem. Odkąd zwłaszcza, dzięki sprawiedliwości i łasce Najjaśniejszego Pana, mowa nasza ojczysta odzyskała swe prawa przyrodzone, możemy mieć nadzieję, że zadaniu naszemu sprostamy, z otuchą i odwagą zatem przystępujemy do dzieła.

Po przemówieniu Tarnowskiego odczytał prof. Wróblewski, jako dziekan wydziału przyrodniczego, brzmienie wręczonego Arcyksięciu dyplomu honorowego na stopień doktora filozofii, poczem Arcyksiążę Następca Tronu, dziękując rektorowi i profesorom za przyjęcie i za chlubne zaliczenie go do sławnej Jagiellońskiej Wszechnicy, życzył jej długich lat rozwoju i rozkwitu. Z kolei, po trzykrotnych wiwatach, przedstawił Tarnowski wszystkich członków uniwersyteckiego senatu, Arcyksiążę wdał się z nimi w rozmowę, poczem, wśród głośnych okrzyków »Niech żyją!« opuścili Arcyksięstwo wraz dworem, poprzedzeni przez Rektora, gmach uniwersytecki.

Tegoż dnia, o g. 6-ej, w pałacu pod Baranami — gdzie mieszkali Arcyksięstwo — odbył się obiad dworski, w którym w liczbie 52 zaproszonych osób uczestniczyli i oboje państwo Tarnowscy. W dniu 30 czerwca, o wpół do 11-ej rano, zwiedzali Arcyksięstwo gmach i zbiory Akademii Umiejętności. U bramy witali Arcyksiążęcą parę Majer i Tarnowski. Oni też, gdy Arcyksięstwo opuszczali gmach Akademii, odprowadzali ich aż do powozu.

Tegoż dnia wieczorem odbył się u państwa Tarnowskich raut na cześć Arcyksięstwa, raut, będący świetnym epilogiem ich pobytu w Krakowie, a który nazajutrz tak został opisany w *Czasie:*

Zakończeniem przyjęć, które na zawsze zostaną pamiętne w naszem mieście, był wczorajszy raut w pałacu hr. Tarnowskich. Szeroko otwarły się podwoje tego domu, tak zaszczytne zajmującego miejsce w naszem społeczeństwie, bo skoro program nie obejmował wielkiego balu w imieniu miasta, dostojni gospodarstwo, zaszczyceni odwiedzinami Arcyksięstwa, pragnęli otoczyć swych gości jak najliczniejszem zebraniem ze wszystkich sfer towarzyskich, obywatelskich i naukowych naszego miasta. O 8-ej zaczęto się zjeżdżać. Obszerny ogród na Szlaku prześlicznie był przybrany w lampiony kolorowe, rozwieszone na klombach drzew, jako festony, i rozłożone na gazonach w piękne desenie świa-

teł różnobarwnych. Apartamenta pałacu, zapełnione dziełami sztuki i cennemi zabytkami, przyozdobiono jeszcze wspanialej. Wnet hala na dole, piękne atrium schodowe i cztery obszerne salony na pierwszem piętrze zapełniły się zebraniem kilkuset osób, które rozlewały się swobodnie w szerokich i zdobnych przestrzeniach. Muzyka wojskowa, ustawiona w ogrodzie nie głuszyła rozmów, a dźwiękami swemi dodawała uroku świetnemu zebraniu. Przed godziną 9-tą gospodarstwo wezwali mężczyzn, aby udali się do hali na dole dla powitania przybywających Arcyksięstwa; damy pozostały w salonach na piętrze. Przed wejściem do ogrodu ugrupowali się gospodarz domu wraz z małżonką i dwiema córeczkami niosącemi kwiaty, pp. namiestnikostwo Zalescy, marszałkowstwo hr. Tarnowscy, X. Biskup Krakowski, prezydent miasta i kilka dam. Oddaniem kwiatów przez małe panny Tarnowskie powitani Arcyksięstwo, zamienili kilka słów z gospodarstwem i zebranemi osobami, poczem Arcyksiężna wsparta na ramieniu hr. Stanisława Tarnowskiego, i Arcyksiążę, prowadząc gospodynię domu, przeszli dolną halą do głównego salonu na górze. W wielkim salonie pani rektorowa Tarnowska przedstawiała damy, które dotąd nie miały tego zaszczytu. Równocześnie w sali jadalnej zgromadzili się wszyscy profesorowie uniwersytetu; rektor-gospodarz domu zapoznał obecnych z ochmistrzem dworu, hr. Bombelles, który następnie przedstawił Następcy Tronu: prorektora Łepkowskiego, X. kan. Spissa, obranego rektorem na rok przyszły, dawnych rektorów, prof. Kuczyńskiego, X. kan. Pelczara i Dr. Rydla, nadto kilku profesorów. Następnie Arcyksiążę powrócił do głównego salonu, gdzie hr. Tarnowski przedstawił redaktora *Czasu*, hr. Ludwika Dębickiego, z którym przez chwilę Arcyksiążę rozmawiał o stosunkach dziennikarstwa polskiego. Oboje Arcyksięstwo zawiązywali rozmowę z wieloma osobami już sobie znanemi, wyrażając uczucie zadowolenia z pobytu w Krakowie. O godz. $10^1/_2$ Arcyksięstwo opuścili salony, odprowadzeni przez gospodynię domu do schodów, przez gospodarza, Namiestnika i Marszałka krajowego do pojazdu. Świetne zebranie przedłużyło się do 12-ej godziny. Wieczór ten, w którym gospodarstwo umieli wkoło roztoczyć atmosferę piękna estetycznego, powagi i polskiej serdeczności, był kwiatem zebrań krakowskich na powitanie i uczczenie Najdostojniejszych Gości Cesarskich.

Nazajutrz rano, dnia 1 lipca, Arcyksięstwo opuścili Kraków, udając się w dalszą podróż po Galicyi.

We dwa tygodnie po bytności arcyksiążęcej pary w Krakowie, kiedy się skończył właściwy rok szkolny, Uniwersytet Jagielloński, w dowód uznania i wdzięczności, ofiarował Tarnowskiemu, jako swemu zasłużonemu i tak świetnie go w tym pamiętnym roku reprezentującemu Rektorowi, wspaniałe berło srebrne. Wręczono mu je dnia 21 lipca, o czem *Czas* nazajutrz pisał w następujących słowach: »Otwarcie *Collegii novi* wypadło nadspodziewanie uroczyście i świetnie, a powszechny głos wśród Uniwersytetu przyznawał, że się ma to do zawdzięczenia w przeważnej mierze temu, który umiał go tak godnie reprezentować. To też w celu podziękowania i wyrażenia wdzięczności swemu Rektorowi, postanowili profesorowie i docenci ofiarować prof. Tarnowskiemu na pamiątkę tej uroczystości godło jego władzy, to jest berło rektorskie. W tym celu postanowiono zro-

bić podobiznę jednego z trzech bereł uniwersyteckich i wybrano z nich berło Oleśnickiego, ponieważ na tem tylko wije się po trzonie wstęga z napisem. Berło składa się z gałki, trzonu, rozdzielonego pierścieniami na cztery części, a w środku wystającym krążkiem, i z korony. Na dwu górnych częściach trzonu wije się wstęga. Berło jest, jak w oryginale, srebrne, wstęga zaś, pierścienie i korona, grubo pozłacane. Poniżej korony są cztery tarcze; w oryginale jedna z nich nie ma herbu, na tej więc pomieszczono Leliwę hrabiów na Tarnowie, z dewizą: *Tendite in astra viri.* Na wstędze zaś wyryto napis pięknemi renesansowemi literami: *Rectori magnifico Stanislao comiti a Tarnov Universitatis Jagellonicae magistri grata prosequentes memoria diem XIV-am mensis Junii anni MDCCCLXXXVII.* Wczoraj o g. 5-ej popołudniu udali się członkowie Uniwersytetu bardzo licznie do domu p. Tarnowskiego na Szlak, gdzie w prostych a serdecznych wyrazach prorektor Łepkowski w ich imieniu przemówił i pamiątkę tę Rektorowi wręczył« [1]).

Tymczasem w lipcowym zeszycie *Przeglądu polskiego* zaczęła się drukować ukończona już w ciągu ubiegłego półrocza monografia o *Księdzu Waleryanie Kalince*, której dokończenie przyniósł zeszyt październikowy. Gdy praca ta, jeszcze przed końcem roku 1887, wyszła w książce, ocenił ją w *Kwartalniku historycznym* Oswald Balzer [2]). Zdaniem jego, »można to uważać za dodatni objaw dzisiejszych naszych stosunków, że piękne życie doczekało się tak wcześnie pięknego pomnika, jaki książką swą wystawił hr. Tarnowski pamięci nieodżałowanego ks Kalinki«. Zdanie zaś swe o tym »pięknym pomniku« sformułował zasłużony autor *Genealogii Piastów* w następujący sposób:

Ujęcie całej życiowej działalności Kalinki w jedną organiczną całość, w jeden przejrzysty obraz, wyjaśnienie genezy rozmaitych zwrotów tej działalności, mogło sprawiać niemałą trudność; pokonał ją z właściwym sobie talentem hr. Tarnowski, i oto dał nam książkę, z której przeziera dokładny a prawdziwy wizerunek Kalinki. Nie jest ta książka wyczerpującym zbiorem dat z życia Kalinki. Pisano ją zaledwie w kilka miesięcy po jego śmierci, kiedy nie było jeszcze czasu, a po części możności zgromadzenia całkowitego materyału biograficznego. Pod tym względem uzupełnienia są tedy możliwe, a i pożądane bardzo. Wszelako już nawet tutaj znajdujemy wiele nowych, dawniej nieznanych szczegółów, zaczerpniętych ze wspomnień osobistych, z owego długotrwałego stosunku, jaki łączył piszącego ze zmarłym. Co jednak ważniejsza, to tło ogólne, które autor pod żywot Kalinki szeroko podłożył: owo powiązanie faktów z jego życia

---

1) *Czas* z 23 lipca 1887.

2) Rocznik II, str. 429—430.

z wypadkami w narodzie, z prądami i dążnościami, którym społeczeństwo nasze w ostatniem czterdziestoleciu ulegało, wykazanie, co Kalinka z tych dążności przyjął za swoje, w czem znowu od nich odstąpił i nowe wskazał drogi. Praca hr. Tarnowskiego jest nietylko żywotem Kalinki, ale także cennym przyczynkiem do dziejów ostatniego pół-wieku naszego porozbiorowego życia. Głównie też i przedewszystkiem wyjaśnia ona działalność publiczną Kalinki. Rozbiera autor wprawdzie także i pracę jego naukową, rzuca sporą garść pięknych, oryginalnych poglądów na rozwój historyografii polskiej ostatnich czasów, wyjaśnia stanowisko, jakie pośród niej zajmował Kalinka, ale i tutaj znowu nietyle zastanawia się nad ściśle naukową stroną jego metody badania, ile raczej nad dzieł jego politycznem znaczeniem, a przedewszystkiem nad wpływem, jaki nowe poglądy historyczne Kalinki wywarły i wywrzeć mogą na społeczeństwo polskie. Dopełnia całości subtelna analiza psychologiczna człowieka, rozbiór jego pierwiastków duchowych, wytłómaczenie pobudek, które czynnościami jego kierowały. Książka, myśli pełna, zasługuje na pilną uwagę czytającego ogółu. Piękna, wykwintna forma, nadana zajmującej całości, podnosi jej wartość jeszcze bardziej.

Niemniej korzystnie ocenił dzieło o Kalince w *Przeglądzie powszechnym* Maryan Morawski. Książka ta, jego zdaniem, »na ciężkie dni dzisiejsze przynosi kordyał prawdziwy, dźwignię serdeczną i najwyższą podnietę, ucząc nas mianowicie, jak nie należy nigdy wątpić ani zwątpić o pożytku i skuteczności pracy najbliższej, usiłowań pojedynczych, osobistych trudów i poświęceń«. Autor, jako »świadek, wielbiciel, a nieraz i uczestnik prac i trudów zmarłego, w szlachetnem uczuciu, iż brak jednego i najlepszego wynagrodzić należy sojuszem wielu mniejszych, lecz chętnych, spieszy w głównych rysach podać współczesnym wzór do naśladowania i obraz pełnego zasług zawodu«. A w tym zawodzie najszerzej omówione zostały »dwie przewodnie roboty, dwa główne zadania owych lat ostatnich, w których ks. Kalinka mnożył swe trudy, jakby w przeczuciu, że skrócone życie nie da mu czasu do zebrania wszystkich zasług i plonów, z jakiemi pragnął stanąć przed Panem«. Najlepsza to bodaj, zdaniem recenzenta, cześć książki Tarnowskiego.

Wytrawny znawca rzeczy polskich, profesor Jagiellońskiej Wszechnicy, znakomicie ocenia i rozbiera *Sejm Czteroletni*, wskazuje na nowy kierunek nadany historycznym studyom i pracom, pod wpływem Kalinki i Szujskiego, opowiada, jaką męką serca dziejopis ostatnich lat Stanisława Augusta okupywał podboje prawdy, dokonywane w dziedzinie najsmutniejszej i najmętniejszej epoki naszej przeszłości, jak nietylko chciał być owej przeszłości malarzem, ale i »spowiednikiem i sędzią«, nie samej ucząc historyi, lecz zarazem »i polityki i katechizmu«, ażeby co było w nas złego poznać, poprawić, wyrzucić z siebie. A obok tego apostolstwa pióra, snuło się apostolstwo czynne, ogarniające wszystkie dziedziny narodowego ducha i pracy, aby wyłączniej poświęcić się Rusinom, tej zawiłej kwestyi, którą jedni nienawiścią chcą rozciąć, drudzy, jak ks. Kalinka, miłością chcą załatwić. Historya internatu lwowskiego, oraz streszczenie poglądów ks. Kalinki na sprawę bratniego ludu, oto co wypełnia ostatnie rozdziały pięknej pracy p. Tarnowskiego, a powiedzielibyśmy, że jak życie apostolskiego

męża coraz się wyżej podnosiło, w miarę przybliżania się do kresu, tak i pióro biografa coraz mu lepiej służy, coraz cieplejszem przy końcu ożywione tchnieniem, wymowniejsze z obranego przedmiotu wysnuwa nauki. Jaśniejszego i roztropniejszego przedstawienia kwestyi ruskiej i chrześciańskiego rozwiązania trudności z nią połączonych, bodaj nie zdarzyło nam się spotkać. Oczywiście ostatnie słowo o ks. Kalince przez to jeszcze wypowiedzianem nie zostało. Wczesny biograf musiał z natury rzeczy potrącić o mnóstwo ludzi i rzeczy pobocznych, stworzyć ramy i tło konieczne do naszkicowania postaci współpracownika zrazu, następnie kierownika tylu rozlicznych zadań. Ale i szerszemi rysami dokonany wizerunek dziś starczy, by obudzić w czytelnikach gorącą cześć dla tak znakomitego kapłana-historyka, szczerą wdzięczność dla jego najpierwszego biografa, a co najlepsza, chęć naśladowania podobnych wzorów, tak ofiarą całego życia, jak i każdodzienną pracą, byle współpracować w dziele zbawienia nietylko własnej duszy, lecz i duszy polskiej, zbiorowej, duszy narodu, podnoszącej się i doskonalącej w miarę przyrostu indywidualnego poświęcenia i uświęcenia, zasługi i posługi, czynności i czystości, do ogólnej sumy i kapitału cnoty, rozumu i pokuty.

W najściślejszym związku ze śmiercią Kalinki pozostawało wydanie w książce szeregu zapisek z podróży, drukowanych innemi czasy w *Przeglądzie polskim*, a które teraz, w roku 1887, Tarnowski zebrał w dwa tomy i puścił w świat p. t. *Z Wakacyi.* Dlaczego teraz dopiero decydował się na ich edycyę książkową, to sam objaśnił w krótkiej przedmowie, która, równając się uczczeniu pamięci Kalinki, brzmiała, jak następuje: »Czuję potrzebę wytłómaczyć się przed czytelnikiem z wydania niniejszej książeczki. Człowiek, na którego zdaniu polegałem zawsze bardzo, ksiądz Kalinka, namawiał mnie na to wiele razy, utrzymując, że te zapiski z wakacyjnych podróży mogą nie być bez pożytku. Odmawiałem zawsze, sądząc, że to rzecz błaha, która raz w piśmie peryodycznem ujść może, ale osobnego wydania nie jest warta. I teraz sądzę tak samo: ale teraz księdza Kalinki już niema. Miło mi jest po jego śmierci spełnić to, co było jego życzeniem, i jeszcze raz pójść za jego zdaniem. Rzecz mała, ale zawsze przecie jakiś dowód wiernej pamięci i wdzięczności«. Na dzieło to złożyły się cztery artykuły, przedrukowane bez zmian: wrażenia *Z Kijowa*, *Z Moskwy*, *Z Wilna* i *Z Prus Królewskich.* Pracę tę, wydaną jednocześnie z książką o Kalince, a »którą nasza literatura w odnośnej dziedzinie zaliczyć musi do najcelniejszych publikacyi«, ocenił w obszernem sprawozdaniu recenzent *Przeglądu powszechnego*, charakteryzując ją temi słowy:

Z luźnych, skrzętnie w podróży notowanych wrażeń, z pobieżnie na papier rzucanych zapisków, powstało dzieło poważne rozmiarami, doniosłe treścią i myślą, którego ogłoszeniem zasłużony autor niemałą ogółowi polskiemu oddaje przysługę. Wrażenia notowane pospiesznie, dorywczo, a przecież z niezrównaną lekkością i barwnością stylu, nie mają wprawdzie, jako osobiste wrażenia tury-

sty, pretensyi do naukowego znaczenia i wartości, jako lektura jednakże przedstawiają przedmiot niesłychanie wdzięczny i zajmujący. Jak we wszystkich dotychczasowych pracach, tak i w tej prof. Tarnowski jest przedewszystkiem gorącym patryotą i katolikiem. Notując wrażenia, wzrok swój kieruje głównie w tę stronę i na te punkta, gdzie spostrzega ślady naszej dziejowej przeszłości. Te odsłania z całą miłością i entuzyazmem dla wszystkiego, co polskie, dla każdego choćby najdrobniejszego objawu istnienia myśli polskiej, śladów jej cywilizacyi i jej panowania. Ta szczera i serdeczna nuta, to ciepło i ta miłość do wszystkiego, co polskie, jakie wieją z każdej z tych kart, stanowią najgłówniejszą zaletę książki i zapewnić jej winny jak najszersze rozpowszechnienie pomiędzy polską publicznością [1]).

Uczciwszy w styczniowym zeszycie *Przeglądu polskiego* pięćdziesiątą rocznicę kapłaństwa *Leona XIII* obszernym artykułem, w którym na tle współczesnej epoki, na tle jej prądów umysłowych i socyalnych, odmalował niepospolitą indywidualność następcy Piusa IX, Tarnowski w kwietniu tegoż roku 1889 przyłączył się do pielgrzymki, która, z Galicyi głównie, podążała na odpust do Rzymu. »W roku 1300 — pisał w zakończeniu swego artykułu o Leonie XIII — chodził na pierwszy wielki jubileusz Łokietek, wydziedziczony, wygnany, bez żadnych przed sobą widoków lepszej przyszłości: a potem jakoś mu Bóg poszczęścił. Nie trzeba upatrywać naciąganych podobieństw, a tem mniej z naciągniętych wyciągać pociechę czy wróżbę; ale można pragnąć i Boga prosić, żeby ten ówczesny pielgrzym był figurą narodu, który w sześćset prawie lat po nim w podobnym stanie i na podobny odpust wybiera się *ad limina Apostolorum*". Tylko, że w tym roku okoliczności, towarzyszące tej polskiej pielgrzymce, były o tyle smutniejsze, że właśnie — jak głosiła fama powszechna — toczyły się układy pomiędzy Watykanem a Petersburgiem, układy, które nic dobrego nie wróżyły dla katolicyzmu w Polsce. Na szczęście, jak się o tem Tarnowski przekonał na miejscu, sprawa nie przedstawiała się tak źle, jak mówiono, przeciwnie, jak dotąd, nie było absolutnie żadnej zmiany na niekorzyść. Obawy pierzchły, otucha powróciła. Wobec tej pewności, usposobienie pielgrzymów, w jakiem szli pokłonić się Ojcu Świętemu, było lepsze o wiele, niż to, w jakiem puszczali się w drogę do Rzymu. Po audyencyi pielgrzymki austryackiej, do której przyłączyli się i pielgrzymi polscy, a która z powodu wielkiego natłoku ludzi w ogromnej ale stosunkowo za

---

[1]) Gdy w r. 1895 książka ta ukazała się w drugiem wydaniu, pisał o niej z powodu ponownej edycyi, w *Kwart. hist.* z r. 1896 A. Szarłowski między innemi, co następuje: »Piękny język, dalej gorące uczucie polskie, z jakiem w swych opisach podnosi rozwój narodowy Prus Królewskich, poszukuje zabytków przeszłości polskiej w Kijowie lub wita liczne jej ślady na Litwie... wszystko to razem czyniło ponowne wydanie tych podróży nader pożądanem, wypełniając dotkliwą lukę w naszej literaturze podróżniczej«.

małej sali, nie robiła dostatecznego wrażenia, bo większość pielgrzymów zaledwo mogła dojrzeć Papieża, a mowy jego nie mogła dosłyszeć, odbyła się w kilka dni później — co znowu dało powód do różnych pesymistycznych komentarzy — specyalna audyencya pielgrzymki polskiej, którą Tarnowski tak opisuje: »Od 11-ej zaczęto się schodzić do *Sala Ducale.* Nie było ani ścisku, ani gwaru, choć był tłum mnogi, a ci nawet, co stali w samej głębi sali, jeszcze dobrze i wygodnie wszystko widzieć mogli. Przez czas tego czekania odbywała się u Ojca Św. prywatna audyencya ks. Adama Sapiehy. Około pół do 1-ej wszedł Ojciec Św. w orszaku kardynałów. Przed tronem stanęło w rzędzie trzech arcybiskupów lwowskich; arcybiskup łaciński stał po środku i odczytał adres, a metropolita Sembratowicz wręczył go Ojcu Św. Potem powstał Leon XIII i przemówił. Nie było po tej mowie okrzyków, bo o to wyraźnie proszono, bo one Ojca św. męczą; zresztą łacińskich słów większość rozumieć nie mogła. Ale ci, co zrozumieli, odrazu poznali, a po głębszem zastanowieniu utwierdzili się w przekonaniu, że była znacząca, a o ile oględnie, o tyle z widocznym zamiarem ułożona. Nie mógł Ojciec Św. ani o swoich sprawach i zamiarach, ani o naszych świeżych obawach, ani o szerzonej przeciw niemu nieufności i niechęci mówić otwarcie, ale dał poznać, że o wszystkiem wie, że w nasze uczucia wchodzi, że ufności żąda, a przyrzekł, że opieka jego i obrona nigdy nas nie opuści, ani zawiedzie. W formie zwykłej przemowy było to niejako uroczyste, urzędowe zapewnienie i uspokojenie. Tak też było zrozumiane przez wszystkich«. Po przedstawieniu osób nastąpiło oddawanie darów. »Wreszcie Ojciec Św. znużony bardzo, już się podnosi do odejścia, i wtedy jak na komendę cały ten lud zgromadzony żegna go wielkanocną pieśnią: *Wesoły nam dziś dzień nastał, którego z nas każdy żądał.* Śpiew ten z kilkuset piersi naraz, i zgodny, i nie fałszywy, robił efekt wspaniały, a wrażenie bardziej przejmujące, niżby zdołały najhuczniejsze wiwaty. Leon XIII wzruszony, ze łzami w oczach, wysłuchał do końca, jeszcze raz przeżegnał wszystkich; audyencya była skończona. Chwilę później, znaczna część pielgrzymów znalazła się u św. Piotra; paręset włościan na kolanach, ksiądz pośród nich stojący, odmawiają pacierze; po nich, jak obietnicę złożoną na pożegnanie Apostołom, wszyscy chórem *Wierzę w Boga.* Potem podnoszą się, ksiądz intonuje pieśni do Matki Boskiej, i wychodząc z kościoła, jeden po drugim całują nogę posągu św. Piotra. Ten śpiew polski, wiejski, odpustowy, nad tym grobem, pod tą kopułą, wydaje się dziwnie, rzewnie i błogo. Gdyby go był mógł słyszeć Zygmunt Krasiński, coby on pod tem wrażeniem był napisał! Przypomina się jego

widzenie z *Legendy:* kopuła zawalająca się i polskie szable, nie dość silne, by ją podtrzymać. Widzenie fałszywe! Kopuła, podkopywana, trzęsie się może, ale nie runie; a kiedy szlacheckie szable w pochwach, ten polski śpiew wskazuje, że na dnie duszy narodu żyją Żółkiewskiego i Sobieskiego uczucia. Miecz stępiał, ale serce nie zgasło, kiedy tak głośno Bogu odpowiada na hasło; a skoro nie zgasło, to, da Bóg, że swoją siłę kiedyś i ramię pokrzepi«.

Ale choć pielgrzymka udała się na ogół, w powietrzu czuło się jakaś duszność, jakiś ciężar, który nie dawał spokoju. Po głowie snuły się różne myśli, niezawsze różowe, bo sytuacya, ze względu na przewidywane układy Watykanu z Rosyą, bądź co bądź była niepokojąca. A tu jak na nieszczęście umarł kardynał Czacki, który tak był potrafił przeciwdziałać akcyi Izwolskiego. Wszystko to na Tarnowskiego działało przygnębiająco. »Chodząc po Rrzymie z umysłem i sercem ciężkiem od myśli podobnych, znaleźliśmy się niechcący u Najświętszej Panny in Trastevere, przed grobem Hozyusza. Ten znał stosunki, i troski, i walki podobne, ten jeszcze w wiecznym odpoczynku pamiętać musi, jak ciężko jest i źle narodowi, w którym się sumienia i głowy różnemi o wierze myślami i przeciw niej nienawiściami zawichrza. Nasze dzisiejsze wewnętrzne religijne różnice są mniej głośne, mniej groźne, niż za jego czasów, ale nad niemi wisi przemoc i prześladowanie dwóch potęg największych na świecie, a tego niebezpieczeństwa i ucisku on nie znał. To też patrząc w oczy jego pięknemu popiersiu, prosi się, żeby nas swoim dzielnym, wielkim duchem wsparł i natchnął, żeby wśród młodych duchownych Hozyuszów wzbudził; widząc zaś wyryte na nagrobku słowa jego własne, *hi sunt, qui decipiunt vos*", doznaje się uspokojenia i radości, żeśmy się złudzić nie dali, zamiaru nie odstąpili i tu przyjechali. Doznaje się uczucia, że Hozyusz pochwaliłby pielgrzymkę i byłby z niej rad. Oby ona w swoim małym zakresie przyniosła skutki podobne, jak niegdyś jego wielkie działanie!« [1]).

Tymczasem w Krakowie kończył się druk nowej książki Tarnowskiego, jego monografii o *Janie Kochanowskim.* Na powstanie i napisanie dzieła tak bardzo potrzebnego, złożyły się następujące okoliczności. W roku 1884, po sumiennem przestudyowaniu wszystkiego, *Co u nas o Kochanowskim pisano*, doszedł Tarnowski do przekonania, że choć wiele już zrobiono w tej dziedzinie, to jednak niemało jeszcze pozostaje do zrobienia. »Żywot cały — pisał wtedy Tarnowski — tak po wierzchu tylko, tak niedostatecznie znany, a przecie szukając

---

[1]) Pielgrzymka polska w Rzymie. *Przegląd polski*, 1888, maj, 332—344.

pilnie, możeby co więcej o nim dowiedzieć się udało. A osobistość czy kolegów i dobrych towarzyszów młodości, czy późniejszych opiekunów i przyjaciół poety, czy jego krewnych? a cały ten niejasny pobyt za granicą i na dworze? a jego miłostki i miłości? Lydie, Hanny, Pasifile? a stosunek poety do politycznych dążności i wypadków jego czasu? do religijnych i filozoficznych tego czasu, wyobrażeń, częściowo zaledwie i nie napewno wyjaśniony? a stosunek jego do poezyi współczesnej francuskiej lub włoskiej, do współczesnej i wcześniejszej nieco łacińskiej humanistycznej? Co do starożytnych rzecz jest jeżeli niezupełnie zrobiona, to w każdym razie daleko posunięta; ale Włosi? ale ten Ronsard, którego wpływ na naszego poetę raz przyjmowany za pewny, drugi raz zaprzeczany, ściśle nigdy dotąd docieczonym i oznaczonym nie był? A wreszcie to, co najtrudniejsze i najistotniejsze, tło, na którem on stoi, stan cywilizacyjny Polski jego wieku, jej życie towarzyskie, jej obyczaj i kultura; a na tem tle dopiero on sam, jego natura, jego różne z biegiem czasu zmiany, różne rodzaje i stopnie jego uczuć i ewolucye jego wyobrażeń i przekonań?« [1]). Wszystko to było jeszcze do zbadania, wszystko to były kwestye nierozjaśnione dostatecznie; a jednak ostatniemi czasy — głównie w epoce zjazdu im. Kochanowskiego — przybyło tyle nowych prac o Kochanowskim, nie mówiąc już o pomnikowem wydaniu jego dzieł z drobiazgowemi komentarzami, tyle nagromadzono drobnych szczegółów i przyczynków, że choć do kompletnego obrazu brakowało jeszcze niemało, a nawet — jeżeli chodziło o dane biograficzne — bardzo wiele, to jednak już było dosyć materyału, aby na jego podstawie pokusić się o odtworzenie całokształtu życia i twórczości poety. Jakoż pokusił się o to Tarnowski. »Przed czterema laty — pisał sam w tej kwestyi — kiedyśmy obchodzili pamiątkę trzechsetnej rocznicy śmierci Kochanowskiego, kiedy w Warszawie ukazało się pomnikowe wydanie jego dzieł, a wszędzie wiele prac krytycznych dziełom tym poświęconych, wydało mi się rzeczą naturalną i pożyteczną zebrać razem wszystko, co nam dotąd o Kochanowskim jest wiadome, i na podstawie tych prac szczegółowych ułożyć książkę, któraby była i opowiadaniem jego żywota, o ile nam jest znany, i ocenieniem jego pism. Ale praca, zrazu ponętna, im dalej, tem się okazywała trudniejszą. Na każdym kroku odkrywały się coraz nowe i coraz większe niepewności i wątpliwości, które musiały osłabiać, jeżeli nie odbierać zaufanie do wła-

[1]) *W trzechsetną rocznicę Jana Kochanowskiego* (1584—1884), Kraków, 1884, str. 276 (zeszyt lipcowy *Przeglądu polskiego*, osobne odbicie).

snych wniosków i sądów, a w końcu sprowadzić i zniechęcenie do samej tej pracy, której rezultaty rzadko kiedy dają się ująć w stanowcze twierdzenia, ale zostają zbyt często warunkowemi przypuszczeniami«. Dlatego też, choć pracy dokończył, postanowił Tarnowski nie ogłaszać jej drukiem: może czas przyniesie nam jeszcze nowe i pewniejsze wiadomości o życiu Kochanowskiego, a jeżeli nie, to może zdarzy się kto szczęśliwszy, który z tych, jakie mamy, lepiej złożyć potrafi całość tego żywota. Tymczasem, z nadejściem r. 1888 należało odstąpić od powziętego zamiaru i pozostające w ukryciu dzieło wydobyć na światło dzienne. Jakie się na to złożyły przyczyny od Tarnowskiego niezależne, o tem on sam dał objaśnienie w przedmowie. »Okoliczności nieprzewidziane sprawiły, że książka wychodzi z druku mimo wszystkiego, czego jej, zdaniem autora, niedostaje. Uniwersytet Boloński obchodzi ośmsetną rocznicę swego założenia, a gdy wiele innych poświęca mu dzieła na tę pamiątkę wydane, Krakowskiemu nie przystało pozostać za niemi w tyle. Sam wiek jego, i wdzięczność, jaką oświata polska winna jest uniwersytetom włoskim, kazały mu owszem zająć należne miejsce między tymi, którzy święcą rocznicę w dziejach cywilizacyi tak ważną. Gdy więc Senat Akademicki uchwalił ogłosić na ten cel prace niektórych profesorów krakowskich, i gdy uznał, że Kochanowski, jako doskonały wyraz wpływów włoskich na oświatę polską nadawałby się dobrze do takiego wydawnictwa, powolny jego życzeniu oddałem pracę moją do druku«.

W maju druk książki był ukończony. Po dedykacyi łacińskiej dla Uniwersytetu Bolońskiego następowała obszerna przedmowa łacińska, przełożona z polskiego przez prof. Kruczkiewicza, poczem dopiero następowała krótka przedmowa polska, w której Tarnowski, »oddając tę pracę pod sąd ludzki, bez zarozumiałości, owszem, z niejakiem poświęceniem miłości własnej«, bo z jej niektórych braków doskonale sobie zdawał sprawę, mimo to wyrażał nadzieję, że przecież »są w niej zdania i sądy, które i krytykę wytrzymają i może nawet po nowych odkryciach, jeżeli takie będą, zmianie nie ulegną«. W czerwcu, Kazimierz Morawski i Jerzy Mycielski, jako delegaci Uniwersytetu Jagiellońskiego, powieźli dzieło Tarnowskiego do Bolonii, gdzie je uroczyście wręczyli rektorowi [1]), w kraju zaś, pomiędzy uczonymi historykami literatury, toczyły się żywe dyskusye na temat najnowszej pracy ich krakowskiego kolegi. Niebawem też posypały się krytyki. Z wyjątkiem jednej — Chmielowskiego — wszystkie recenzye

[1]) Jerzy Mycielski, *Bolonia i jubileusz jej Uniwersytetu*, str. 136.

brzmiały bardzo pochlebnie: zarzucały to i owo, lecz w ogóle całe dzieło sądziły z wielkiem uznaniem.

Najwytworniej napisanem było sprawozdanie w *Przeglądzie polskim*, pióra Kazimierza Morawskiego.

Że co w głowie miał, to mógł i wymówić snadnie:
Nie każdemu to dwoje zarazem przypadnie,

powiada Kochanowski w epitafie, spisanym na cześć jednego z najprzedniejszych hetmanów XVI wieku. Dodawszy do słów tych wyraz wypisać, moglibyśmy wierszyki Kochanowskiego przystosować do autora niniejszej książki. Mamy bo dziś przed sobą nowy dowód niezmordowanej jego pracowitości i gorliwości w zawodzie, za którą najlepiej plony ostatnich dwóch lat przemówią, a więc monografia o *X. Kalince*, dzieło dwutomowe o *Pisarzach politycznych*, wydanie szkiców *Z Wakacyi*, a wreszcie ta obszerna o *Kochanowskim* praca. Wyszła ona szczęśliwie w roku jubileuszowym bolońskim, aby ten wykwintny szkół włoskich wychowaniec, najpiękniejszy wykwit polskiego odrodzenia, choć nie chciał przyjaciela za życia »do Włoch drugi raz prowadzić«, teraz choć w niemej roli złożył przy tamtejszych obchodach wymowny dowód naszej świetnej przeszłości, aby mówił za siebie i za nas, a trochę i o nas, tym mianowicie, którzy o nas zapomnieli lub chcą zapomnieć, których widmo Polski kłuje w oczy albo też w sumienia.

Dzieło zaś Tarnowskiego chlubnie świadczy o naszej kulturze w teraźniejszości. Że nie jest wolnem od różnych drobnych usterek — które krytyk subtelnie wytknął wszystkie — że posiada swoje braki, którym zaradzić mogą dopiero dalsze badania w danym przedmiocie, to trudno: każde dzieło ludzkie, obok zalet, musi mieć i swoje wady; chodzi tylko o to, żeby wad było mało, a zalet dużo; a właśnie takiem jest dzieło Tarnowskiego, które — cokolwiek mu w szczegółach zarzucić można — jest pięknem.

Jest ono pięknem w tem pojęciu Greków, którzy jednym wyrazem często zdrowie fizyczne i moralne obejmowali. Jest to dzieło, które z jednej strony najlepiej dotychczasowe badania streściło, a z drugiej strony w wielu kierunkach nowe poruszyło kwestye, rzecz posunęło naprzód, do nowych zachęca poszukiwań. Czytaliśmy je z wielką przyjemnością i z wielkim pożytkiem, z wdzięcznością dla autora za ciepło, z którem poetę traktuje, a którego i nam udziela. Jeżeli pewien Platończyk, Kleombrotos z Ambracyi, przeczytawszy *Fedona*, rzucił się odrazu z dachu na ziemię, aby jak najprędzej zażyć rozkoszy pozagrobowych, o których Platon rozprawia, to nas przeczytanie książki p. Tarnowskiego do mniej karkołomnych skłoniło kroków: do odczytania dzieł Kochanowskiego. Zdawałoby nam się, że piękniejszego skutku książka nowa pożądać nie może, jak zachęcić czytelnika do bliższego zapoznania się z jej bohaterem. Odczytaliśmy tedy Kochanowskiego z większą jeszcze miłością, ciesząc się, że tak piękny wystawiono mu pomnik, że otrzymał nagrodę »za swe hojne dary«, że »nie umarł, ani go czarnemi Styx niewesoła zamknie odnogami swemi«.

Jeden z najlepszych u nas znawców Kochanowskiego, prof. Nehring, wypowiedział się o dziele Tarnowskiego w *Kwartalniku histo-*

rycznym. Ocena wypadła bardzo pochlebnie, a w zakończeniu »referent, z pewnością w myśl bardzo wielu, dziękował autorowi za obdarzenie literatury o Kochanowskim już ożywionej i wszystkim tak bardzo miłej, dziełem równie pouczającem, jak pięknem«.

Że w książce jego nie znajdujemy jeszcze wykończonego obrazu życia i działania Kochanowskiego, jest rzeczą naturalną, już z tego powodu, że dzieło samo jest głównie streszczeniem prac dotychczasowych; jednakże winniśmy dodać, że autor w niem pomieścił własnych poszukiwań dość dużo: ustępy o erotykach, łacińskich i polskich, z których całość zajmującą ułożył, ustęp o Ronsardzie, rozdział o Myszkowskim, rozdział o *Odprawie posłów*, i inne. Ustęp o Ronsardzie jest bez zaprzeczenia wyczerpującym, co w prostych słowach zaznaczam: w tej kwestyi, podejmowanej kilkakrotnie, autor wypowiedział zapewne ostatnie słowo; o innych rzeczach nie da się to powiedzić, ale z obowiązku sprawozdawcy nadmienić należy, że autor złożył obraz życia i zasług Kochanowskiego wiernie ale i samodzielnie według dotychczasowego stanu naszych wiadomości.

Do najlepszych rozdziałów należą te, w których jest mowa o miłościach Kochanowskiego.

Bo ułożywszy następstwo elegii padewskich i paryskich wedle zwykłej w miłości uczuć kolei, treść ich przedstawił autor w ujmującem opowiadaniu. Wszystko zaś w sposób tak wdzięczny, tak zręczny, a z takiem żywem odczuciem, że już lepiej nie można posunąć domysłów do stopnia prawdopodobieństwa; wszystko to czyta się jak rzeczywiste listy miłosne z komentarzem poufnym. A choć można jeszcze co do pewnych miłosnych poezyi Kochanowskiego różnego z autorem być zdania, choć możnaby zdanie jego z oględnością wypowiedziane, że Kochanowski, choć może nie kochał, to bardzo ładnie i szczęśliwie o miłości pisał, zastosować do największej części jego erotyków, to za dobre autorowi poczytać należy, że erotyczne wiersze Kochanowskiego ujął w całość bardzo nadobną.

Już to wogóle, zdaniem Nehringa, »ustępy o dziełach Kochanowskiego skreślone są ze znanem mistrzostwem; każdy z nich daje żywy obraz dzieła z wybornym komentarzem i z zupełną znajomością literatury«.

Inaczej osądził dzieło to Piotr Chmielowski, który, nie rozbrojony recenzyami Tarnowskiego o jego wydanych temi czasy książkach, o *Naszych powieściopisarzach*, o *Zarysie literatury polskiej*, o *Studyach i szkicach*, o *Autorkach polskich*, recenzyami, które na ogół wszystkie były pochlebne i pełne uznania, koniecznie pragnął się zrewanżować za ocenę swych książek o Mickiewiczu i Kraszewskim. Stąd obszerna krytyka, jaką *Janowi Kochanowskiemu* poświęcił w *Ateneum* [1]), w całości brzmiała negatywnie, rozwodziła się nad usterkami,

[1]) Charakterystycznem jest, że o *Pisarzach politycznych* Chmielowski nie zabrał głosu. Widocznie mu to dzieło nie nastręczało pola do rewanżu!

zresztą drobnemi, które aż musiała rozdymać, a natomiast okazywała się skąpą w przyznaniu zalet, których zresztą nie odmawiała. Mimo to, *der langen Rede kurzer Sinn* był ten, że zarzuty czepiały się drobiazgów, ba, wyrażeń nawet! a zalety, nawet te, które przyznał Chmielowski, były wielkie.

Wady dzieła, zdaniem krytyka, pochodziły stąd głównie, że »p. Tarnowski jest przedewszystkiem świetnym mówcą«.

W mowach, jak wiadomo, idzie nietyle o przekonanie rozumu słuchacza, ile o wzruszenie i zjednanie go dla danych poglądów. Im wyrazy będą silniejsze, im więcej obrachowane na wrażliwość, im ogólniej, lecz zarazem im barwniej rzecz jakąś przedstawiają, tem łatwiej dostają się do umysłu, tem skuteczniejszy wywołują efekt. Nie cieniowanie myśli, nie ścisłość faktyczna i logiczna, lecz stopniowanie retoryczne wyrazów i wyrażeń jest tu przymiotem głównym. Kto rozbiera na mównicy szczegóły zbyt skrupulatnie, może wywołać ziewanie — najstraszniejszy objaw dla krasomówcy. Wszystko na mównicy zależy od umiejętności skorzystania z chwili, od zdolności utrzymania audytoryum w ciągłem naprężeniu uwagi. Superlatywy na dół i w górę są tu pożądane, a nawet konieczne, by nie mrozić uczucia, by przytrzymać uwagę. Właściwości, które p. Tarnowski z takiem powodzeniem rozwija na katedrze, przeniósł i do dzieła, nie zważając, że to dzieło, jako obszerne i szczegółowe musi być czytane częściami, rozważnie, chłodno, że od niego żąda się dokładności i ścisłości, że w niem nie o to iść powinno, żeby autora podnieść pod niebiosa lub podeptać, lecz o to, ażeby go dać dokładnie i wszechstronnie poznać na podstawie dokumentów, krytycznie roztrząśniętych. Wynikiem takiego zastosowania zdolności przeważnie retorycznych do pracy umiejętnej jest, że dzieło o Kochanowskim czyta się z zajęciem, utrzymuje istotnie uwagę czytelnika w natężeniu, czaruje niekiedy świetnemi zestawieniami i porównaniami, ale nie zadawalnia wymagań naukowych.

Ale jak pisarz bez talentu, choć jego prace będą zadawalniały wymagania naukowe, nigdy się nie zdobędzie na dzieło niepospolite, cóż dopiero piękne, tak znowu człowiek z talentem, choć jego prace mogą szwankować pod względem metodyczności, mimo to potrafi stworzyć dzieło mistrzowskie. A że Tarnowskiemu nikt nie mógł odmówić talentu, więc i dzieło jego o Kochanowskim odznaczało się zaletami, o których przemilczeć nie mógł i najbardziej uprzedzony krytyk. Przyznał je też Chmielowski.

Atoli nawet bez metody ściśle naukowej pisarz utalentowany może dokonać rzeczy pięknych, rozumnych i godnych uznania. I takich w dziele p. Tarnowskiego nie brakuje. Przedewszystkiem ma ono tę zasługę, że co było dotychczas rozprószone, skupia w pewną całość, daje możność szerszemu ogółowi przyjrzenia się postaci i działalności Kochanowskiego zbliska i szczegółowo. Całości tej nie można wprawdzie nazwać doskonałą, gdyż są w niej błędy i usterki rażące, są rysy, które badacz krytyczny musi stanowczo usunąć, są inne, które będzie trzeba zmodyfikować; ale bądź co bądź istnieje już przez nią w literaturze naszej wizerunek poety malowany ładnie i dość starannie. Ale obok

tej zasługi ogólnej ma dzieło p. Tarnowskiego zalety szczegółowe. W niem pierwszem mamy dokładny obraz urządzenia uniwersytetu padewskiego, gdzie Kochanowski kilkoletnie studya odbywał; w niem pierwszem spotykamy wybornie odmalowane tło obyczajowe, na którem postać autora *Fraszek* daje się należycie zrozumieć; w niem pierwszem otrzymaliśmy zbiór estetyczny elegii łacińskich; w niem pierwszem wreszcie znajdujemy opowiadanie o życiu i twórczości poety z nieprzerwanem uwzględnieniem stosunków krajowych. Zdziwi się może czytelnik, że w powyższem wyliczeniu zalet dzieła niema wzmianki o rozbiorze estetycznym utworów polskich Kochanowskiego. Od takiego subtelnego znawcy piękności poetyckich, jak p. Tarnowski można było oczekiwać dobrej i wyczerpującej analizy *Pieśni*, *Odprawy posłów*, *Trenów*. Otóż pod tym względem spotyka nas niejaki zawód. Rozbiory i tych i wszystkich innych dzieł polskich są oczywiście w zajmującej nas książce, lecz nie zawierają takich uwag, takich poglądów, któreby zwrócić mogły na siebie baczniejszą uwagę.

Wogóle trzeba powiedzieć o tej krytyce Chmielowskiego, że nawet tam, gdzie przyznawał zalety książce Tarnowskiego, zaraz je osłabiał poważnemi zastrzeżeniami. »Ocena ogólna stopnia talentu Kochanowskiego jest zupełnie słuszna i trafna, l e c z t a k ż e n i e w o l n a o d r e t o r y c z n y c h s u p e r l a t y w ó w, k t ó r e m ą c ą j a s n o ś ć i ś c i s ł o ś ć c h a r a k t e r y s t y k i. Charakterystyka ta napisana pięknie i bardzo trafnie; a l e n i e t r a f n e m j e s t t o c o m ó w i n a s t ę p n i e a u t o r o s t w o r z e n i u j ę z y k a z n i c z e g o, n i e s ł u s z n e m t o, c o w y p o w i a d a o p o p r z e d n i k a c h K o c h a n o w s k i e g o, a z w ł a s z c z a o R e j u, i t. d. Niestety, Chmielowski w tym razie okazał się krytykiem stronnym, z góry źle usposobionym dla omawianej książki, której wartość pragnąłby obniżyć.

To też ostateczny wniosek, do jakiego — po długich wywodach — doszedł o pracy swego współzawodnika, był ten, że »autor dzieła o wieszczu z XVI wieku daje się unieść nastrojowi retorycznemu, nie liczy się ściśle z faktami literatury powszechnej i polskiej, nie zna dokładnie badań poprzedników swoich, przyjmuje wiele twierdzeń bezkrytycznie, a wiele opinii własnych bez żadnego dowodu za fakta podaje, a więc pod względem metodycznym popełnia błędy zasadnicze«. A motywując ten swój surowy sąd, Chmielowski przytaczał dowody, co do których jednak inni krytycy wyrazili wprost przeciwne poglądy. Przedewszystkiem, zdaniem krytyka, autor zbyt obszernie rozpisał się o Ronsardzie, którego wpływ na piewcę *Trenów* jest więcej, niż wątpliwy; następnie grzeszy tendencyjnością, kiedy z Kochanowskiego robi praktykującego katolika; po trzecie nie znał, a przynajmniej nie uwzględnił artykułu Br. Chlebowskiego, drukowanego w r. 1884 w *Tygodniku illustrowanym*, ani niemieckiej rozprawki Brücknera, drukowanej w r. 1885 w *Archiv für slavische Philologie;* po czwarte całkiem niepotrzebnie aż na 16 stronnicach skre-

ślił »portret« Myszkowskiego, kiedy daleko lepiejby zrobił, gdyby w tem miejscu podał zarys stanu literatury naszej w czasie wystąpienia Kochanowskiego na widowni poezyi, która nie była tak ubogą w formy, jak to się tego domyślać pozwala Tarnowski; i wreszcie, to, co napisał o wierszu *Czego chcesz od nas Panie*, dowodzi, że »autor nie zna rzeczywistego stanu badań naukowych«, t. j. owej rozprawki Brücknera w *Archiv für slavische Philologie!*

W parę tygodni później, a w każdym razie już po ukazaniu się krytyki Chmielowskiego, zabrał głos o książce Tarnowskiego w *Bibliotece Warszawskiej* redaktor jej, J. K. Plebański, wnioski zaś, do których doszedł w swej wyczerpującej a niesłychanie gruntownej recenzyi, biegunowo różniły się od konkluzyi redaktora *Ateneum*. Przedewszystkiem praca ta, zdaniem krytyka, »rozległem objęciem przedmiotu i umiejętnem jego oświetleniem, po wydaniu pomnikowem dzieł Kochanowskiego, bez zaprzeczenia w obecnej chwili zajmuje pierwsze miejsce w uczczeniu zasług poety«. Omówiwszy niektóre kwestye sporne, dotyczące strony biograficznej, przyczem na niejedną kwestyę rzucił całkiem nowe światło, Plebański, z wyraźną myślą o recenzyi Chmielowskiego, w ten sposób sformułował swą ostateczną opinię:

Co się tyczy oceny estetycznej utworów poety, to ta, jak zwykle we wszystkich krytycznych pismach prof. Tarnowskiego, najlepszą część dzieła stanowi. Szczególniej obszerny ustęp, odnoszący się do Ronsarda, jego znaczenia w literaturze francuskiej i możliwego wpływu, jaki na Kochanowskiego wywierał, obrobiony jest tak wyczerpująco i gruntownie. że każdy, kto tylko nad Kochanowskim podejmie pracę w przyszłości, zmuszony będzie z nim się ściśle rachować. Rozbiór pieśni: »Czego chcesz od nas Panie, za Twe hojne dary«, można jako wzór krytyki postawić i na nim wykazać, jaka zachodzi różnica pomiędzy zimną analizą, a gorącem ujęciem przedmiotu. Pierwszy sposób ułatwi bezwątpienia zrozumienie przewodniej idei; ale drugi obok tego da odczuć wszystkie piękności utworu. Zresztą nader ważnym przyczynkiem do życiorysu poety i charakterystyki osób, zostających z nim w bliższych stosunkach, są fakta zaczerpnięte z materyałów przez Komisyę rzymską zebranych, jak niemniej skorzystanie ze źródeł, na które nikt nie zwracał dotąd uwagi, jak to w ustępach odnoszących się do Piotra Myszkowskiego widzimy. Również z wielką bystrością prof. Tarnowski zestawił dowody, świadczące o katolickich przekonaniach poety, mimo pozornego przechylania się na stronę reformy. Wprawdzie o tej części studyów pewni recenzenci odzywają się z przekąsem; ale niech będą spokojni: ich przekonaniami religijnemi za lat 300 nikt się nie będzie zajmował; ci zaś, co bez powziętych z góry uprzedzeń doszukują się prawdy, przedmiotowe wyjaśnienie religijnych usposobień poety, na karb zasługi autorowi policzą. Wreszcie o samej formie tej pracy trudno coś nowego powiedzieć. Jest ona wytworna, jak to wszystko, co z pod pióra prof. Tarnowskiego wychodzi«.

Wśród licznych sprawozdań krytycznych, któremi Tarnowski od paru lat zasilał kronikę literacką *Przeglądu polskiego*, wyróżniała

się recenzya o książce Rostafińskiego *Ze świata przyrody*,[1]) wydrukowana w zeszycie za luty r. 1888, recenzya znamienna przez to, że w niej przypadkowo znalazł się obszerniejszy ustęp o trzecim tomie poezyi Asnyka, o tym samym tomie, w którym *Album pieśni* było dedykowane pani Tarnowskiej. Zdaniem recenzenta, w poezyi Asnyka »filozoficznej, czy kosmogonicznej, czy przyrodniczej (jak ją nazwać) znajduje się to, i tylko to, co się już zna z książek lub ze słuchu, nie przeniknione głębiej, nie dzielniej ujęte i sformułowane, jak tam. Ten też jest powód, dla którego ta część poezyi wydaje się nam najsłabszą, i ten, a nie apatya, obojętność dla wyższych porywów ducha, sprawił, że te właśnie wiersze nie zostawiły w oświeconych umysłach większego ani przyjemniejszego wrażenia«. Nie godząc się też, jakoby ta poezya miała być jakimś zwrotem, jakimś początkiem czegoś nowego w poezyi polskiej, ani chcąc wdawać się »w dyskusyę o poezyi p. Asnyka, ani nawet jego filozofii«, a tembardziej nie chcąc tykać pytania, »czy jego poezya jest zorzą nowego kierunku, czy też melancholicznym księżycem tego słońca poezyi, którem była jej wielka, niedawno skończona epoka«, Tarnowski zaprotestował tylko przeciwko twierdzeniu, jakoby *Sonety* Asnyka o *Morskiem Oku* wnosiły coś nowego do poezyi po *Sonetach Krymskich*, albo wytrzymywały z niemi porównanie pod względem sztuki opisowej. Ten negatywny i cierpki ton o Asnyku, jako poecie, o tym samym Asnyku, który przez tyle lat był współpracownikiem *Przeglądu polskiego*, któremu w r. 1878 pani Tarnowska przywoziła na pamiątkę »gałązkę z ko-

---

[1]) Był to czas, kiedy Tarnowski w Kronice Literackiej *Przeglądu polskiego* zamieszczał bardzo wiele sprawozdań (których tu wszystkich uwzględniać niepodobna), zarówno z polskich, jak i zagranicznych (głównie francuskich) książek. Sprawozdania są ciekawe przez to, że w nich Tarnowski raz po raz potrąca i o osobiste wspomnienia (z których wiele uwzględniłem zwłaszcza w pierwszym tomie niniejszej pracy). Tak n. p. w sprawozdaniu z *Etudes et Souvenirs* Adelaidy Ristori, którą w swoim czasie podziwiał na scenach teatrów europejskich, w ten sposób pisze o wrażeniu, jakie zrobiła jej kreacya *Maryi Stuart:* »Mając lat 18, w śmiertelnym strachu i czując się niedorosłą do tej roli, wystąpiła w *Maryi Stuart* Schillera. Tu przerywa wspomnienia, a opowiada, jak rozumiała i jak grała Maryę Stuart, nie tym pierwszym razem w Trydencie, ale później w czasach zupełnej dojrzałości swego talentu, kiedy grała tę rolę tak, jak nikt przed nią, jak dotąd nikt po niej. To studyum roli jest bardzo ciekawe. Takim, co ją widzieli, przypomina bardzo żywo każdą scenę, każdy szczegół, każdy ruch, każdy akcent lub wyraz twarzy; dla aktorek, mających grać Maryę Stuart, jest to wielka nauka, jak ją grać należy. Niestety, żadna nauka nie da im królewskiej postawy, posągowej piękności, wspaniałego głosu pani Ristori, a zwłaszcza tej poetycznej wyobraźni, która u niej genialnie stwarzała rolę, graną tak, że żaden opis nie może o niej dać wyobrażenia. Kto nie widział, ten wiedzieć nie będzie. *Ihren Ruhm bewahrt kein dauernd Werk!* Co ciekawe,

wieńskiej doliny«, ten ton świadczył o oziębieniu się stosunków autora *Królowej Opinii* z autorem *Baśni tęczowej*. Istotnie to oziębienie nastąpiło, a co dało powód do tego, o tem opowiada w swych wspomnieniach o redaktorach *Czasu* sam Tarnowski. Rzecz miała się tak. Profesor Rostafiński zawiadomił raz poufnie Tarnowskiego, że Asnyk jest w trudnem położeniu majątkowem, że nie należy go tak zostawiać, i że dobrze by było powołać go do *Czasu* na kierownika części literackiej i artystycznej. Powiedzieć łatwo, wykonać nie bardzo. Można było przypuszczać, że i polityczne i religijne wyobrażenia Asnyka zmieniły się z biegiem lat, ale zawsze do zasad *Czasu* było im daleko, a komitet, wybrany przez właścicieli, był pod tym względem tak ścisły i ostrożny, jak być był powinien. Udało się jednak nakłaniać go pomału, i w końcu nakłonić. Nawet Popiel zgodził się zupełnie. Tarnowski, który w owym czasie często Asnyka widywał, jego wiersze ogłaszał w *Przeglądzie*, i miał dla niego życzliwość szczerą, a w jego zachowaniu niejakie prawo do wierzenia w podobną z jego strony, prowadził tę negocyacyę. Przedłożył Asnykowi warunki, Asnyk je przyjął, rzecz była skończona. Zawiadomiwszy komitet *Czasu*, Tarnowski wyjechał na kilka dni do Poznania z odczytem. Ale zaledwo wrócił przekonany i uradowany, że zastanie Asnyka już instalowanym w *Czasie*, dowiedział się z jego własnych ust, że nie może wstąpić do redakcyi. Dlaczego? jeżeli przed kilkoma dniami mógł? Asnyk powodu jasno nie powiadał, mówił tylko, że nie może, że odbiera listy...! Na tem się rzecz skończyła. W rok czy półtora później Asnyk zostawał redaktorem *Nowej Reformy* [1]).

---

to że p. Ristori absolutnie nie chce wierzyć, iżby w życiu Maryi Stuart było jakiekolwiek, najlżejsze choćby zboczenie... Kto ma racyę? Oskarżyciele Maryi Stuart czy jej obronicielka, nie nam sądzić; ale trzeba może takiej ślepej wiary, takiego fanatycznego przywiązania do historycznej postaci, żeby zdołać być taką idealną inkarnacyą tej postaci, jak była p. Ristori«. W książce *O dramatach Schillera*, w rozdziale o *Maryi Stuart*, mówiąc o jej pożegnaniu z Lesterem, której to scenie jedno i drugie zarzucić można, Tarnowski wspomina, jak ją grała pani Ristori. »Pani Ristori, ze wszystkich wielkich aktorek najwspanialsza Marya Stuart, poprawiała w tem miejscu Schillera i podnosiła swoją heroinę do wysokości zupełnie idealnej. Kończąc to, co mówi do Lestera, przypominała sobie, że nie o nim i nie o tej miłości powinna myśleć w tej chwili, miała to sobie za grzech; chwytała prędko różaniec, i wpatrując się w wiszący przy nim krzyż, stała przez chwilę, nic nie mówiąc. I w tej cichej modlitwie twarz zmieniała się tak, że nabierała jakiegoś wyrazu świętości, wniebowzięcia, jaki się tylko czasem na włoskich obrazach widuje, i potem dopiero, z tym wyrazem, w którym była obok niebiańskiego zachwycenia, i skrucha za ziemskie życie, szła na śmierć, zostawiając widzom wrażenie, że idzie do nieba«.

[1]) O *Czasie* i jego redaktorach, str. 71.

Tymczasem z nadejściem roku 1889, przed nową sześcioletnią kadencyą Sejmu, zbliżała się chwila wyborów. Ażeby zwrócić uwagę na wewnętrzny stan kraju, na jego niebezpieczeństwa i potrzeby, Tarnowski, który z pewnym niepokojem patrzał na różne symptomaty niezdrowego fermentu społecznego w Galicyi, napisał artykuł p. t. *Próby rozstroju*. Artykuł ukazał się w *Przeglądzie polskim* z czerwca, poczem wyszedł w formie osobnej broszury [1]). Przez szereg lat, bo od roku 1879, milczał Tarnowski, jako pisarz polityczny. A dlaczego zamilkł, o tem sam z całą otwartością tak pisał na początku swej nowej broszury: »Dawno nie zabieraliśmy głosu w kwestyach politycznych, z wyjątkiem chyba koniecznych dla pisma bieżących sprawozdań sejmowych. Powody tego milczenia były następujące: Zdawało nam się, że po długiem i głośnem mówieniu lepiej ucichnąć na czas jakiś, bo powszednieje głos ustawicznie powtarzany i zużywa się jego wpływ. Lepiej przeczekać trochę, niech się odleży ta skiba: może skruszeje przez czas, a może znajdą się jakie nowe ręce, co ją odwracać zechcą. Do takiej nadziei uprawniał nas widoczny i szerzący się wpływ tych myśli i zasad, których byliśmy sługami i obrońcami, objawiający się tam nawet, gdzie nasze osoby lub pisma budziły zawsze jakąś nieufność i niechęć. Skoro tak, to lepiej nie narzucać się niechętnym. Jeżeli sami mniej lub więcej, ale ogółem wziąwszy bez znacznych zboczeń trzymać się będą drogi, którą my mamy za dobrą, to pocóż ich na nią nawoływać? a nawoływaniem naprzykrzać się lub może drażnić i gniewać! Bo i to wyrzucano nam czasem, z pomiędzy bliskich nawet przyjaciół, że zimnej krwi mamy niedosyć, a namiętnem, porywczem słowem szkodę przynosimy tam, gdziebyśmy służyć i pomagać chcieli. Od szkodzenia niech nas Bóg zachowa, jak nasza własna wola zawsze od niego była i jest daleką. Nieraz coprawda zauważyliśmy mowy lub uczynki, zdaniem naszem złe i potrzebujące odparcia; ale nie widząc nic takiego, na co sumienie i przekonanie byłoby nam koniecznie powstać kazało, woleliśmy milczeć, żeby oporem złego nie drażnić, a rzeczom małym nie przy-

---

[1]) W końcu kwietnia i na początku maja 1889 r. odbył się w Wiedniu *Zjazd katolicki*. Na zjazd ten podążył i Tarnowski. »Najmilszą chwilą — pisze d. 30 kwietnia korespondent *Czasu* — dnia dzisiejszego było zebranie Słowian katolickich celem zawiązania i rozszerzenia Stowarzyszenia śś. Cyryla i Metodego. Na przewodniczącego przez aklamacyę zaproszono hr. Stanisława Tarnowskiego i przyjęto przywódcę deputacyi polskiej prawdziwą i szczerą owacyą. W gorących słowach p. Tarnowski odpowiedział na te objawy braterstwa narodów słowiańskich, połączonych najsilniejszym węzłem wspólności wiary katolickiej«.

dawać większej wagi«. Niestety, to złe, w postaci »roboty rozkładowej« wzmagało się z dniem każdym, a w ciągu tych sześciu lat trwania ostatniej kadencyi sejmowej zrobiło niepokojący krok naprzód. Jakoż cała broszura Tarnowskiego wymierzona była przeciwko partyi uprawiającej »politykę przeczenia«, partyi, która może dlatego rosła w siły, że przedewszystkiem w walce z przeciwnikami, za których uważała szlachtę i wogóle żywioły konserwatywne, nie przebierała w środkach, a więc i nie gardziła środkami, do których oni nie uciekliby się nigdy. »Nie będziemy naprzykład chwalić i wystawiać za dobre czegoś, co wiemy, że jest złem, choć taka pochwała mogłaby nam posłużyć do popularności; nie będziemy ludzi uczciwych ogłaszać za łotrów, zdrajców albo złodziei (raczej o złych ludziach powiemy zaledwo małą część tego, co o nich myślimy); nie będziemy rozsiewać fałszywych wiadomości, przekręcać spraw i zmieniać ich natury, bo wiemy, że to kłamstwo, a kłamstwo jest brzydkie. Nie będziemy jątrzyć umysłów i uczuć, i utrzymywać ich w stanie sztucznego rozdrażnienia, bo nam na to nie pozwala miłość ojczyzny, szacunek dla społeczeństwa, i wzgląd na jego dobro«. Tymczasem stronnictwa t. zw. postępowe i demokratyczne, z całą świadomością szerzą rozstrój społeczny, podjudzają jedne warstwy przeciwko drugim, a raczej wszystkie przeciwko szlachcie, a wszystko to czynią rzekomo w imię demokratyzacyi społeczeństwa. »My, wsteczni i zacofani niby, a naprawdę postępowi, pojmujemy społeczeństwo, jako organiczną całość, której każda część ma swoje przeznaczenie, swoje prawa, swoje obowiązki, a każda o tyle całości dobrze służy, o ile drugiej nie zazdrości, nie nienawidzi, o ile drugiej szkodzić lub jej opanować nie zamierza. Demokracya zaś tych panów niby postępowych, w istocie swojej i zamiarach swoich, jest zapewne miłością warstw mieszczańskich, może jest (teoretyczną) miłością wiejskiego ludu, ale jest nienawiścią szlachty, i otwartym zamiarem zniszczenia do reszty jej znaczenia«. A przytem hasła, głoszone przez tych zwolenników demokratyzacyi społecznej, zaprawne teoryami socyalistycznemi, zawierają wiele czynników niebezpiecznych dla polskości, dla narodowości, a sprzyjających kosmopolityzmowi. Dotychczas zaznaczyły się teorye te w społeczeństwie polskiem próbami rozstroju, a że społeczeństwo nasze wogóle znajduje się w stanie przejścia, przeistoczenia, więc i cała jego przyszłość może zależeć od tego, czy z obecnego przeobrażenia wyjdzie ono zdrowszem i silniej polskiem, niż jest dziś, albo też słabszem i kosmopolitycznem. »Że się ono demokratyzuje, to konieczność, którą rozumiemy i przyjmujemy; ale to znowu jest koniecznością nie już

jednego czasu, lecz niezmienną, w naturze ludzi i rzeczy ugruntowaną, że żywotnem i trwałem żadne społeczeństwo być nie może, jeżeli nie jest uczciwem i organicznem. Naszej zaś formującej się demokracyi grozi to niebezpieczeństwo, że jak szlachta niegdyś, tak ona dziś popadnie w moc ludzi, którzy psychologicznie naturalnym sposobem przewodzić jej prawie muszą, a warunków i pierwiastków moralnie dobrego i organicznie zdrowego postępu w sobie nie mają«.

W tym samym duchu wypowiedział Tarnowski d. 8 lipca 1889 mowę na zgromadzeniu wyborców większej własności okręgu krakowskiego, z którego też został wybrany do Sejmu [1]). Mowa ta, wymierzona głównie przeciwko t. zw. postępowej demokracyi, była poniekąd streszczeniem *Prób rozstroju*, a głosiła hasła społecznego ładu i spokoju. Bardzo charakterystycznym był jej początek, czysto osobisty:

— Ja od lat dwudziestu trzech piszę, a od dwudziestu dwóch zasiadam w Sejmie. Jakkolwiek piszę (niektórzy mówią, że zbyt otwarcie), jedna rzecz pewna, że piszę, jak myślę. Jak w Sejmie głosuję, to wiadomo. Mój sposób myślenia jest więc tak znany, że opisywać go nie potrzebuję. Jakim byłem przed sześciu laty, takim samym jestem i widzicie mnie, Panowie, dziś. W moich przekonaniach i postępowaniu nie zmieniło się nic.

A przeciwstawiając stronnictwo, do którego należał od początku swej karyery poselskiej, stronnictwu, które się mianowało demokratycznem i postępowem, tak scharakteryzował tych, z którymi w Sejmie zawsze szedł ręka w rękę:

— Naprawdę jesteśmy tylko czujnymi stróżami i wiernymi sługami rzeczy publicznej, z których każdy stoi i trwa na miejscu, na którem go los postawił, bo się obawia, że gdyby z niego zeszedł, to miejsce jego zająłby inny, gorszy, mniej pewny. Jeżeliśmy doszli do jakiego-takiego wpływu i znaczenia, to czy kraj wyszedł źle na służbie tych, z urąganiem tak nazywanych, konserwatystów? Jest lat dwadzieścia i parę, jak ich polityka weszła na dobre w życie, a czy kraj był przed dwudziestu laty taki, jak jest dziś? Możnaby raczej pytać, w którym kierunku życia on nie postąpił? I z mocy dokonanych rzeczywistych postępów my mamy słuszne prawo, nie tamci, nazywać się stronnictwem postępu.

---

[1]) O pierwszej sesyi tego sejmu, bardzo znamiennej ze względu na nowe elementy, które tym razem zostały wybrane, rozpisał się Tarnowski szeroko w styczniowym zeszycie *Przeglądu polskiego* z r. 1890 w artykule politycznym p. t. *Początki nowego sejmu.*

ROZDZIAŁ III.

Prezes Akademii.

(1890—1906).

Dwie generacye. Portret Tarnowskiego przez Matejkę. Pogrzeb Mickiewicza. Drugi zjazd historyków polskich. Tarnowski prezesem Akademii Umiejętności. Setna rocznica Konstytucyi 3 maja. Dwudziestopięciolecie *Przeglądu polskiego*. *Z Doświadczeń i rozmyślań*. Uczta dla Tarnowskiego. *Dwie opinie*. Odpowiedź Ludwika Dębickiego i Pawła Popiela. Śmierć Pawła Popiela i dwa szkice Tarnowskiego o nim i jego pismach. *Szujskiego młodość*. Odczyt *Z powodu Panamy*. *Zygmunt Krasiński*. Studyum o Lenartowiczu. Śmierć Matejki. Szkic o Cieszkowskim. Pogrzeb kardynała Dunajewskiego. Bolesne straty. Nad grobem księcia Wład. Czartoryskiego. *Stanisław Koźmian o roku 1863*. *Lud wiejski*. *Nasze Dzieje w ostatnich stu latach*. *O dramatach Schillera*. *Rozprawy i Sprawozdania*. *Studya polityczne*. *Matejko*. *Henryk Sienkiewicz*. Zatarg z Chmielowskim. Setna rocznica urodzin Mickiewicza. *Adam Mickiewicz*. Odczyt w Akademii *O Mickiewiczu*. Odsłonięcie pomnika Mickiewicza w Krakowie. *Jeszcze cokolwiek o Wallenrodzie*. *Kornel Ujejski*. *O »Czasie« i jego redaktorach*. *Skutki rozstroju*. Tarnowski powtórnie rektorem Uniwersytetu. Jubileusz Uniwersytetu Jagiellońskiego. *Historya literatury polskiej*. Jubileusz Sienkiewicza. *Szujski jako poeta*. *Nowe kierunki dramatu*. Dwie recenzye. *Nowe odkrycia o Krasińskim*. Mowa w Sejmie do Rusinów. Pielgrzymka do Rzymu. Mowa w klubie konserwatywnym. Mowa na poranku Schillera. *Tom VI historyi literatury polskiej*. *Uwagi o »Panu Tadeuszu«*. Mowa w Sejmie o reformie wyborczej. *Księga pamiątkowa* b. uczniów Tarnowskiego. Ogólna charakterystyka.

W rzewnem wspomnieniu o Arturze Potockim, zmarłym w początkach roku 1890, skreślił Tarnowski zapatrywanie swoje na dwie generacye w Polsce, starszą i młodszą, tę, do której należał on sam, i tę, która następowała po niej, t. j. zaczynała myśleć i rozwijać się już po roku 1863, i tak scharakteryzował wzajemny ich do siebie stosunek: »My rośliśmy — pomimo wszystkich zdarzeń smutnych — w atmosferze nadziei, w wierze, że świat okropny jest tylko dziś, ale zmieni się na lepsze z pewnością i niedługo. Ta na-

dzieja i wiara zawiodła później, ale tak nam przeszła w krew za młodu, tak nam osiadła i ustaliła się w duszy, jako warstwa podstawna wszystkich pojęć i dążeń, że choć przyszły zawody a panowanie złego wzmogło się i rozszerzyło w naszych oczach, ona przecie została na dnie, jako fundament żywotów. Ci młodzi, którzy byli dziećmi, kiedy sprawa polska zapadła się w przepaść, a byli młodzieńcami, kiedy zawaliła się w roku 1871 Europa, i tylko Prusy z Rosyą zostały jako arbitry jej losów, ci żeby wierzyć w dobre i dobremu służyć, nie mieli żadnej z zewnątrz podpory ani otuchy, mieli tylko tę, jaką we własnej duszy znaleść mogli, z łaski Boga, z wpływu rodziców, i z własnej wreszcie zasługi. Oni potrzebowali więcej, niż my, hartu i cnoty, żeby walczyć, bo od dzieciństwa nie przypuszczali nigdy rychłego zwycięstwa, i w chłopięcych jeszcze latach musieli sobie powiedzieć, że cokolwiek zrobią, to skutek ich trudów i poświęceń będzie w najlepszym razie częściowy, nieznaczny, mały. W tym ślubie poświęcenia żywota na służbę ojczyzny, jaki każdy młody Polak składa w swojem sercu, kiedy do lat młodzieńczych przychodzi, dla nas tkwiły nadzieje szczęścia i tryumfu, dla nich był gorzki pierwastek wyrzeczenia się jednego i drugiego, była świadomość, że złe jest mocne, a oni słabi, i że czekać trzeba będzie długo, dłużej, niż ich życie, dłużej może, niż pokolenia całe, żeby złe przetrzymać i doczekać się tej chwili, w której ono rozpocznie samobójstwo swoje. Oni potrzebowali więcej odwagi i więcej ofiary, niż my, żeby ten ślub wykonać i żeby go dotrzymać, Ale mieli też, ci z nich, którzy dobrymi i wiernymi byli i zostali, przymioty zastosowane do swego czasu i położenia, jakżeby natura polska była się w tych zmienionych warunkach sama zmieniła, podobnie jak zmienia się budowa zwierząt podług warunków i potrzeb, w jakich żyją. Oni byli mniej lotni od nas, mieli mniej fantazyi i poezyi, może w uczuciu mniej tej zapalnej i namiętnej siły, która do nas dostała się od bezpośrednich poprzedników, a może właśnie od tej wiary w świat i ludzi, w którejśmy rośli. Ale ich głowy chłodniejsze, były od naszych trzeźwiejsze; ich charaktery, od młodości do wyrzeczenia się zmuszone i włożone, były i giętsze i zarazem hartowniejsze; oni nauczeni patrzeć na świat bez złudzeń, mieli łatwiejszą i jaśniejszą, niż my, świadomość rzeczywistości, ale ich uczucie, nie tak zapewne burzliwe i głośne, nie było ani mniej wytrwałem, ani mniej silnem, niż nasze. Oni niemniej dobrze wiedzieli, co być powinno, ale prędzej i bystrzej od nas przywykli dostrzegać to, co jest, rozumieć to, zdawać sobie sprawę z przesmyków, któremi można wymijać złe, jakie jest, żeby się gdzie o skałę nie rozbić,

lub na mieliźnie nie osiąść. Do praktycznego życia byli usposobieni lepiej, polityczny zmysł mieli wcześniej obudzony i bardziej rozwinięty, aniżeli ich poprzednicy w podobnym stopniu rozumu i zdolności«. Ale cokolwiek by się dało powiedzieć na korzyść młodszego pokolenia, które przecież nie wydało tylko samych Arturów Potockich, jedno zdaje się nie ulegać wątpliwości, że generacya, do której należy Tarnowski, a która wydała takich ludzi, jak Szujski, Kalinka, Klaczko, Matejko, Grottger, nie mówiąc już o działaczach politycznych i ludziach czynu, że generacya ta bardziej była na fidyaszową miarę, więcej miała wzniosłości w duszach, nawet wówczas, gdy się łudziła i popełniała błędy, niż pokolenie następne, bardziej pozytywne w swoich czynach, ale też i bardziej poziome w swych trzeźwych spekulacyach. I kto wie, czy nie lepiej jest mylić się i łudzić z takimi, jak Tarnowski i jego rówieśnicy, niż trafiać w sedno rzeczy z takimi, jak... Ach! tyle popularnych nazwisk nasuwa się pod pióro, a jednak niema się ich ochoty wymieniać!...[1])

Kto wie, czy nie to właśnie wyraża portret Tarnowskiego namalowany w roku 1890 przez Matejkę, portret, będący rodzajem pendant do portretu Szujskiego. Wyobrażony jest na nim Tarnowski w stroju rektorskim, a więc w purpurze i gronostajach, ze złotym łańcuchem na szyi, oparty na złotem berle uniwersyteckiem, które dzierży w ten sposób, jakby mu to berło zastępowało hetmańską buławę. Z całej postaci bije jakaś »senatorska wspaniałość«, a w twarzy maluje się niezłomna siła charakteru, który to rys bardzo być może, że wydał się Matejce, jako pierwiastek główny w Tarnowskim, obok silnej woli, energii i stateczności w przedsięwzięciu. Mówiąc o portretach, malowanych przez Matejkę, o ich najwybitniejszych cechach charakterystycznych, powiada Tarnowski, że w niektórych »podnosił osobę jakżeby na koturn i robił z niej raczej figurę jedną z jakiegoś historycznego obrazu, niż człowieka, jakim był zwykle w swojem powszedniem codziennem życiu i zachowaniu«. Określenie to, podnoszące pewien brak prostoty w portretach Matejki, da się odnieść między innemi i do portretu Tarnowskiego, o którym to samo powiedzieć można, co n. p. o portrecie księżnej Marceliny Czartoryskiej, któremu Matejko nadał przede-

[1]) Mimowoli przychodzą tu na myśl słowa Klaczki w zakończeniu *Wieczorów florenckich:* »W epoce takiego, jak nasza, obniżenia charakterów i pomieszania umysłów, najpewniej jeszcze, najbezpieczniej, trzymać się wiernie tego, co przeszłość kochała i czciła. Bo wtedy jedno przynajmniej ocalonem i całem zostaje: godność, honor. I lepiej jest zawsze z takimi, jak Dante, mylić się, a choćby i upaść, niżeli z takimi, jak Nogaret, tryumfować«.

wszystkiem cechę siły, »a to już z uwagi spuścił — słowa są Tarnowskiego — że naprzód ta siła nie była fizyczną i widoczną w tej postaci, że dalej ona nie była jedyną cechą czy stroną tej natury, ale łączyła się z wieloma innemi, których on w portrecie już nie oddał«. Dosłownie ten sam zarzut da się odnieść i do portretu Tarnowskiego, w którym Matejko doskonale uplastycznił siłę i niezłomność charaktaru, ten jakiś katoński pierwiastek, który jest Tarnowskiemu właściwy i to w bardzo wysokim nawet stopniu, ale nie uwydatnił innych cech jego szlachetnej natury, które wyrazić należało, jeżeli charakterystyka miała nie być jednostronną... Bądź co bądź, pozując Matejce do tego portretu, miał Tarnowski niemało okazyi do rozmawiania z nim właśnie na temat malarstwa portretowego, przy której to sposobności Matejko wyłuszczył mu dokładnie, jakie jest jego zapatrywanie w tej kwestyi. »Matejko sądził — opowiada na postawie tych jego zeznań Tarnowski — że wrażenia przelotne, że usposobienia przemijające, choćby trwające dłużej pod wpływem, dajmy na to, jakiegoś smutku, radości, niepokoju i podobnie, odbijają się zawsze na twarzy człowieka, i pod swojem działaniem zmieniają jej charakter, tak, że on nie jest już stałym i istotnym charakterem, ale takim przemijającym, okolicznościami wywołanym. Portret zaś prawdziwie dobry, powinien oddać człowieka, jakim jest stale, zawsze, jakim jest sam w sobie. Malarz powinien zatem odkryć, uchwycić i wymalować to, co w naturze człowieka jest najistotniejsze, najbardziej znamienne, sam grunt i rdzeń tej natury. Matejko zatem, zgodnie z tem pojęciem, brał sobie za zadanie odkryć i poznać same fundamentalne pierwiastki charakteru w swoim modelu. Do tego celu służyły mu te długie rozmowy, które zawsze z modelem prowadził, on zazwyczaj bardzo małomówny. Próbował najrozmaitszych przedmiotów, i uważał, studyował, który i jak, obchodzi tego człowieka, którego miał malować: co na niego robi wrażenie, co go porusza, o czem słucha lub mówi z zajęciem, o czem obojętnie, o czem rozumnie albo głupio, żywo albo leniwo. Z tego studyum wydobywał i oddawał w portrecie to, co wydało mu się rysem głównym charakteru danej osoby. Taki odkryty w człowieku pierwiastek główny jego charakteru, nawet kiedy odkryty trafnie — jak to ma naprzykład miejsce w portrecie Tarnowskiego właśnie — brał w portrecie górę nad wszystkiemi innemi; a z tego wynikała pewna jednostronność portretu, albo charakter osoby zupełnie zmieniony«. Że pisząc te słowa, Tarnowski między innemi miał i swój portret na myśli, to zdaje się nie ulegać wątpliwości, bo portret ten, choć mistrzowski, jako dzieło sztuki — lubo

nie stoi na wysokości portretu Szujskiego — przecież o Tarnowskim, jako człowieku, nie daje dostatecznego wyobrażenia, a nawet daje o nim wyobrażenie mylne; bo podkreślając z naciskiem charakteryzujący go wybitnie hart, jako człowieka silnej woli i charakteru niezłomnego, niczem nie daje poznać, że w nim nad wszystkiem góruje człowiek serca, człowiek, który wszystko, co robi, robi nietylko z przekonania, ale we wszystko kładzie swe gorące uczucie. A tego właśnie w portrecie Matejki brak.[1])

W tym samym czasie, gdy Matejko malował portret Tarnowskiego, Kraków gotował się do wielkiego narodowego święta: do uroczystego pogrzebu Mickiewicza, którego śmiertelne szczątki, z cmentarza w Montmorency, gdzie dotąd obok żony i rodziny spoczywały, miały być złożone w sklepach katedry na Wawelu, obok grobów Królewskich. Do komitetu, który się utworzył pod egidą Wydziału Krajowego, z marszałkiem Janem Tarnowskim na czele, wszedł między innemi, obok Matejki, Popiela i innych, także i Stan. Tarnowski, następnie wybrany również i do komitetu wykonawczego, mającego się zająć ułożeniem programu całej uroczystości...

Uroczystość odbyła się dnia 4 lipca 1890 roku, a Tarnowski, któremu w tym dniu pamiętnym przypadła bardzo wielka i zaszczytna rola, temi słowy zdał sprawę z wrażenia, jakie na nim,

---

[1]) Była to chwila, gdzie Tarnowskiego stosunek z Matejką był niezmiernie serdeczny. Gdy Matejko w tym właśnie czasie zajęty był polychromią w presbyterium Kościoła Panny Maryi, Tarnowski go tam odwiedzał na najwyższych rusztowaniach. Raz się tam spotkał z Pawłem Popielem, o którym tak z tego powodu pisze: »Kiedy już miał nogę złamaną i chodził o dwóch laskach, zastaliśmy go tak pod samem sklepieniem kościoła, kiedy malowano presbiterium. Jak potrafił tam wyjść, po wysokich, stromych, trzęsących się deskach, z tą złamaną nogą, z temi laskami? Potrafił, bo się palił do tego Kościoła, bo kochał ten Kościół, bo pragnął, żeby owa restauracya udała się jaknajlepiej, bo spierając się z nimi nieraz, unosił się nad ogniem i duchem malarza (Matejki) nad dzielnością i intuicyą architekty, nad sprawnością, energią, prawdziwym zapałem kamieniarza«. Te same uczucia w tym razie, co Popiel, żywił i Tarnowski, i to było powodem, że się wdzierał na te zawrotne rusztowania, by śledzić postęp robót malarskich, kierowanych przez Matejkę. Wtedy to, robiąc kartony do Panny Maryi, rzekł raz Matejko do Tarnowskiego: »Panna Marya, to miejska fara, kościół mieszczan, i trzeba mu tę cechę zostawić, nie robiąc go zbyt wspaniałym. Ale zamek to coś więcej, to sama chwała Królów, narodu i Świętych; tam potrzeba takiego blasku, takiego przepychu, któryby wszystko wyraził, wszystko przypomniał, wszystkiego był godny«. Bo marzeniem Matejki — o czem nieraz mówił z Tarnowskim — było malowanie wnętrza katedry na Wawelu. Co wymaluje? Wszystkich, patronów, Królów, bohaterów, i w takiej wspaniałości, w takiej gloryi, żeby znać było, że to kościół Królewski. Zob. *Matejko*, 334.

jako na jednym z głównych uczestników, sprawił ten prawdziwie narodowy obchód:

O innym marzyliśmy powrocie dla szczątków wieszcza, inne mu w duchu gotowaliśmy egzekwie. Zdawało nam się, że się nie godzi mącić spokoju wygnańczej drużyny, dopóki nie zaświta jutrzenka swobody, a za nią nie błyśnie zbawienia słońce, że ziemia ucisku zarównoby ciężyła tułaczym prochom, jak ziemia wygnania; owszem, że Mickiewicz zatęsknić by gotów za spółtowarzyszami niedoli, gdyby jego kości od nich odłączono, gdyby go wyrwano z cichego w Montmorency cmentarzyska, gdzie go otaczali dotąd najdrożsi, najbliżsi: stary Ursyn, boleśni bracia Józef i Bohdan Zalescy, ów Kniaziewicz »wzrostem najsławniejszy«, cała śpiewna rzesza poetów emigracyi, i ten Chopin, który dostrajał mistrza duszę do najszczytniejszych improwizacyi, i tylu, tylu innych. Śnił nam się nakształt Ezechielowego widzenia powrót tryumfalny kości tułaczów, śpiących pospołu na cichem polu śmierci pod Paryżem, do Polski, świetnej, wielkiej, potężnej, szczęśliwej. Inaczej się stało. Mijały lata, i całe lat dziesiątki, nie przynosząc zgoła spodziewanego i wyglądanego rozwidnienia. A coraz rosło jakoby pożałowanie tych zwłok, że leżą na obcej ziemi, pragnienie złożenia ich we własnej, uczucie, że skoro »w tych grobach jest życie«, przynajmniej jakaś część życia, to i Mickiewicz leżeć w nich powinien, a może zwiększy się przez to ten pierwiastek życia, jaki w nich jest, doda nam mocy i otuchy w tej najokropniejszej dobie naszego porozbiorowego żywota, gdy dusza polska »w uciskach prawie ustaje«, a odetchnienia szuka jedynie w szczupłej cząstce kraju... Skłoniły się umysły i serca do jednomyślnego zarządzenia uroczystości, której pierwszy pomysł trysnął z serca krakowskiego, wyszedł z Jagiellońskiej Wszechnicy...

»*Onorate l'altissimo poeta!* Chodziło o to, by hołd oddany, i uczucie, w jakiem go oddawano, były wysokością swoją godne przedmiotu«. Udało się to, jeżeli nie w zupełności, to przynajmniej w bardzo znacznej części. Pogrzeb wypadł wspaniale. Dla tych, którym było dane uczestniczyć w tym obchodzie, wrażenia, w ciągu dnia tego doznane, na zawsze wyryły się w pamięci, jako jedna z najpodnioślejszych chwil w życiu.

Tarnowski, który w całej uroczystości od samego początku aż do końca brał udział, jako jeden z jej najwybitniejszych uczestników, tak pogrzeb ten *de visu* opisuje:

Już od dni kilku stary Kraków krzątał się i uprzątał swoje ulice i place, odmładzał się wieńcami, zielenią, mnóstwem flag różnobarwnych o narodowych i miejskich kolorach, a więc czerwono-

białych i białych z niebieskiem, nieraz i z przymieszką żałoby. Powstawały, jak pod zaklęciem różdżki czarodziejskiej, pilony z urnami, pomniki, słupy, ozdoby różnokształtne. Nieszczęśliwe, choć nieuniknione trybuny dla widzów, jedynie szpeciły drogę, którą miał posuwać się pogrzebowy orszak, zwłaszcza widok rynku krakowskiego, jednego z piękniejszych placów na świecie. Świąteczność zaznaczyła się wszędzie, w ozdobie domów, w ruchu ulicznym, drgała poniekąd w powietrzu samem, a grała niezawodnie w duszach prawdziwych mistrza czcicieli. Nareszcie zaświtał dzień, na uroczystość naznaczony, piękny, jak owo święto z *Pana Tadeusza*, którego opis we wszystkich tkwi pamięciach: »Pogoda była prześliczna, czas ranny, niebo czyste...« Odświętnie przybrane tłumy spieszyły ku warszawskiej rogatce, szykowały się wzdłuż drogi, naznaczonej na przejście pochodu żałobnego.

Nie kusząc się o dokładny opis tego wspaniałego obrzędu, któremu przewodniczyło trzech książąt Kościoła, z kardynałem księciem-biskupem krakowskim Dunajewskim na czele, a w którym uczestniczyły wszystkie nasze instytucye i korporacye, wszystkie klasy społeczne, wszystko, co kraj ma wybitniejszego, świetniejszego lepszego, Tarnowski, kreśląc swe »wrażenia« dla czytelników *Przeglądu polskiego*, ograniczył się na chwytaniu zaledwie ogólniejszych rysów i momentów najważniejszych. Wyczerpujące opisy, pełne szczegółów, dały pisma codzienne krakowskie i lwowskie.

Nie brakło chwil — opowiada Tarnowski — potęgujących wzruszenie w tym dniu, w rzewne wrażenia bogatym. Najbardziej może przejmującą była ta, kiedy w skromnych drzwiach małego domu ukazała się niesiona od kolei trumna. Młodsze pokolenia, które Mickiewicza nigdy nie znały, wstrząsły się wrażeniem tego pierwszego, bezpośredniego z nim zbliżenia. Karawan był wspaniały i malowniczy, a między tą skromną ołowianą trumną a okazałością zgotowanego dla niej rydwanu był kontrast taki, jak między biednem życiem poety a wielkością jego wpływu i sławy. Za trumną postępowała rodzina, przybyła z nad Sekwany i z nad Niemna, z Paryża i z Mińska, z ogniska tulactwa naszego i z głównego środowiska najcięższego ucisku. Wzrok szukał przedewszystkiem dzieci wieszcza, w starszym synu rozpoznając ojcowską siwiznę i kształt głowy, w młodszym wiele rysów podobieństwa, jak mówią świadkowie, w córce najsłodszą pociechę najmroczniejszych lat poety, którego w przedziwnych wspomnieniach jedna z nich dała nam poznać ze strony najrzewniejszej i najzacniejszej. Ze wzruszeniem też widziało się wdowę i syna Tomasza Zana w gronie rodziny Mickiewicza.

Trumna spoczęła na posłaniu z polskich kwiatów, »z róż, lilii i tymianku«, z chabrów i maków ojczystych łanów. Władysław Mickiewicz oddaje w ręce Marszałka Krajowego skarb swój najdroższy; hr. Jan Tarnowski przyjmuje powierzony depozyt i w podniosłej mowie wita wracające do ojczyzny szczątki i wskazuje w nich zadatek i nawiązkę zgody i bratniej miłości, wspólnością posiadanych odtąd wśród nas relikwij... Uderza marsz Chopina, później bucha marsz Żeleńskiego i pochód powoli wyrusza w zdumiewającym porządku i ładzie. Płynie orszak żałobny wzdłuż Kleparza — tą samą drogą szedł pogrzeb Kościuszki, dawniej pogrzeby Królów! — zakręca się na prawo od Bramy Floryańskiej, zagłębia się w ulicę Sławkowską, jeszcze chwilę, a rozbije się w rynku. Choć dwie orkiestry znajdują się wśród pochodu, odstęp tak znaczny je dzieli, że niezwykła cisza panuje wśród pogrzebowej fali. Wietrzyk przeciwny odsuwa i oddala nawet dźwięki rozkołysanych dzwonów licznych krakowskich świątyń, i to uciszenie nadaje świetnemu orszakowi jakby zaczarowaną cechę widzenia zaziemskiego, snującego się sennie wśród płonących ogni. Wspaniały to zaiste poczet, łączący w sobie wszystko, cośmy ukochali. A więc na samym przodzie lud polski z przeróżnych okolic, w strojach krakowskich, huculskich, góralskich, podolskich, wielkopolskich... Niema końca sukmanom... Widnieją dalej znaki cechowe z różnych miast polskich, deputacye poszczególnych związków, instytucyi, zakładów, stowarzyszeń. Delegacyi poznańskich Przyjaciół Nauk przewodniczy sędziwy August Cieszkowski, bodaj ostatni druh plejady wieszczów i królewskich duchów z połowy bieżącego stulecia. Najróżniejsze dedykacye błyskają na szarfach, tu i owdzie Warszawa żałobą przysłania jasne wstęgi; są wieńce z zabranych krajów, z doliny Kowieńskiej, z powiatu nowogródzkiego; tu oko spoczywa na wieńcu z pod Smoleńska, tam z pruskich kresów z pod Grudziądza i Malborga, z okolic Wallenroda i Grażyny; przyszły kwiaty ze Wschodu, z Anglii, z Węgier, z Ameryki, gdziekolwiek się bieda polska i polska zabłąkała mowa. Nie uchylił się od hołdu nawet Izrael, przypominając, że »Jankiel Polskę poczciwie, jak ojczyznę, kochał«. Od prasy, od młodzieży, od dzieci nawet wieńce; wspaniały jeden z Czech, niesiony przez serdecznie witane grono starszych, zasłużonych ludzi i młodzieńców. Tu i owdzie trwalsze od kwiatów srebrne liście w laurowych splatały się wieńcach. Rady powiatowe uderzają mnogością strojów polskich Łączy się błysk karabel i hełmów strażackich, mienią się mundury Sokołów i *Harmonii* lwowskiej, wskrzeszając przed nami złudzenie rycerskiej przeszłości. Ale już ona przed nami staje w swem najpoważniejszem

uosobieniu, w poczcie nauczycieli jagiellońskiej szkoły, którzy przybrani w średniowieczne togi otaczają swego rektora, a z uniwersytetem lwowskim składają tem więcej imponujący orszak. Między nimi rozbitki byłej Szkoły Głównej w Warszawie; w końcu Akademia Umiejętności. W oddali ukazuje się karawan, dzieło polskich artystów, z wielkim smakiem i poetycznym nawet polotem stworzone. Sztandary zdobiące ulice chylą się i ścielą drogę nieśmiertelnemu, z okien sypią się kwiaty, cichość nie ustaje, wybuchając dopiero w progach Kościoła Panny Maryi chórem pieśni, rozniesionej po całym obszarze rynku, jakby przeciągłem wołaniem... Piękniejszą jest ta chwila pogrzebu, gdy okrom postępującego zwolna orszaku, cały rynek napełnia się tłumem, niby olbrzymiego kościoła nawa; najpiękniejsza, gdy pochód zaczyna wstępować na stoki Wawelu i stary Zygmunt jęczy przeciągle, żałobnie, a jednak gromko, hartownie i dźwięcznie... Przed drzwiami Kościoła trumna niesiona przez młodzież akademicką staje, i tu dwie mowy jeszcze. A podczas tego efekt dziwny, niespodziany i niezrównany. Rycerskim pogrzebom zwykło towarzyszyć ostrzeliwanie mogiły, salutowanie armat. Nie ozwały się milczące działa zamkowe; ale samoż niebo zdało się uczestniczyć w żałobnym obrzędzie. W chwili, gdy wnoszono trumnę na dziedziniec zamkowy, dały się słyszeć krótkie, urywane grzmoty, jakby zaziemskim odgłosem ziemskiego święta, i niebo na chwilę ciemną zakryło się chmurą. Zda nam się zaprawdę, że

Śpiewowi jego niebo odegrzmiało,

a po czarnych chmurach, po wichrze i grzmotach błysło słońce i rozjaśniło się niebo. Starzy Rzymianie byliby w tem widzieli dobrą wróżbę.

Stało się to podczas przemówienia Asnyka, po którym u wrót katedry zabrał głos Tarnowski.

— Wiek XVI na swoim schyłku — były pierwsze jego słowa — składał tu zwłoki Króla Stefana, XVII Króla Jana. Schyłek wieku XVIII nie złożył nikogo. Dziewiętnasty, kiedy i jemu z kolei do końca już blisko, ma tę chlubę, że przynosi tu on także zwłoki godne spocząć w sklepach »narodowego pamiątek Kościoła«. W początkach swoich, dwa razy odwalał on wieka tych grobów: dla księcia Józefa i dla Kościuszki. Dziś podnosi je dla Mickiewicza. Czyliż pióro równe jest berłu albo orężowi, a natchnienie czynom? Zaiste nie. Ale jak losy Królestw zmienne, tak różne są rodzaje Królowania: a ten, którego pod te sklepienia wnosimy, ma prawo do miejsca tego, bo i Król był nad państwem ogromnem, i bohater

wielki, a tych wszystkich, co przed nim tu spoczęli, był z ducha synem i spadkobiercą, ich chorągwi wiernym, choć w czasu przedziałach, towarzyszem. Król: bo jeden z wielkich na świecie duchów! Bohater: bo siebie i nas okrył chwałą! Zdobywca: bo podbił nowe państwa myśli i natchnienia! Odnowiciel: bo nam siły życia odnowił i pokrzepił, i słowo do nowej mocy obudził! Męczennik wreszcie: bo »miłość swoją widział przebitą, konającą, i męki tysiąców wcieliły się w jedno serce jego!

Określiwszy stanowisko, jakie twórca *Pana Tadeusza* zajął w poezyi polskiej, która w jego arcytworach znalazła wyraz na wszystkie stanu naszego uciski — choć takich uczuć oddać nie miała dotąd żadna poezya od początku świata — i wskazawszy jego tytuły do spoczynku w tych Królewskich grobach, tudzież po wskazaniu, co jest naszym narodowym obowiązkiem, jeżeli chcemy być wierni duchowi Mickiewicza, Tarnowski tak ciągnął dalej:

— Więc po latach siedmdziesięciu i dwu, pierwszy raz od Kościuszki pogrzebu, mają drzwi tej świątyni otworzyć się przed trumną, a groby jej przyjąć jednego więcej na wieczny spoczynek. Ten, który za życia nie był nigdy w tem mieście dziejów i pamiątek, ten ma nad Wisłą pod strażą trzech mogił spocząć, a na ostatnią drogę dzwoni mu swoim jedynym głosem Królewski Zygmunt, »co już wieków przedzwonił tyle!« Niech wchodzi! Znajdzie tam swoich i między swoimi spocznie! A jak w poety widzeniu, gdy tu Kościuszkę złożono, na jego przyjęcie

Szły parami duchy Królów w bieli
Z Królowemi
A za niemi biskupi w ornatach
I hetmani w swych wojennych szatach,

tak teraz przed oczyma duszy stają i przesuwają się oni wszyscy. Jak zaś w modlitwie przy konających Kościół wzywa Świętych różnych, żeby duszę chrześciańską u wrót Raju powitali, tak nam godzi się powiedzieć: »Niech Cię tu przyjmie i powita duch Łokietka, jedności Państwa odnowiciela, Ciebie, coś jaśniał niewidzianą przedtem u nas światłością i smugę jej po sobie zostawił! Niech Cię — Litwina — przyjmie pierwszy nasz Litwin, Jagiełło, i jego Jadwiga: Ciebie, coś jest znakiem, dowodem, stwierdzeniem i utwierdzeniem świętego Litwy z Koroną małżeństwa! Pięć wieków jest, jak tu, na tem samem miejscu polała się woda chrztu na czoło Litwina, a na ręku jego zabłysła ślubna złota obrączka. Po tych wiekach, z tej ochrzczonej i poślubionej ziemi przychodzi na to

miejsce i przy grobie tamtych się składa jeden, co był świadectwem i dowodem, że obie te przysięgi, chrzestna i ślubna, dotrzymały się wiernie i trwają w swojej mocy. Tych znamion sakramentalnych nie zmazać, tej wody chrztu nie zetrzeć, tej obrączki nie zdjąć; tak najgodniej, najwierniej, najlepiej, oddamy hołd Temu, który teraz idzie spocząć pośród naszych największych, najlepszych, najdroższych!

Po mowie Tarnowskiego, wysłuchanej w głębokiem skupieniu wśród niezmiernej ciszy, zabrzmiały śpiewy duchowieństwa, poczem młodzież, z trumną na barkach, okolona księżmi, poczęła wstępować po wschodach ku wnętrzu katedry. Moment ten, niezapomniany dla jego naocznych świadków, tak w swych *Wrażeniach* opisał Tarnowski: »Grzmoty i dzwony, pieśni i kwiaty, łzy i modlitwy, przeprowadzają wieszcza pod stopy katedralne, aż na katafalk wyniosły, z miłością przez artystów naszych własnoręcznie zbudowany i ozdobiony. Napełniła się świątynia wyborowym tłumem, a po nabożeństwie spłynęły ku obecnym słowa, wskazujące, jaki nam obrok duchowny z całej tej wynieść uroczystości... Po wzniosłej mowie ks. Chotkowskiego, rozstępują się wreszcie tłumy, kończą się pobożne obrządki, i drogie zwłoki zniesione są do grobu, gdzie odtąd spoczną w oczekiwaniu zmartwychwstania. Piasek niemeński, nowogrodzka ziemia, ostatnie dla trumny wieszcza tworzą posłanie; nad sarkofagiem strzedz będzie snu pielgrzyma obraz Panny Swiętej, co w Ostrej świeci Bramie... I oto Król-duch został sam w królewskich podziemiach, sam z przeszłością, którą czarem słowa nawiązał z przyszłością, wszystkie skarby jednej przekazując drugiej, mocą słowa, na skrzydłach pieśni, pieśni, co nigdy nie zniżała lotu, lecz brzmiała wieczną w górę pobudką i wołaniem: *Sursum Corda*. Temu to hasłu, związanemu z pamięcią i wpływem wieszcza, zawdzięczamy niezamąconą niemal pogodę uroczystości pogrzebowej, dostrojenie różnych żywiołów do jednej miary i harmonii. Żałobne to było, lecz zarazem i pogodne święto; nie smuciliśmy się, jak ci, co nadziei nie mają; owszem, w posłannictwie Mickiewicza, w uczczeniu i umiłowaniu jego pamięci, widzieliśmy dodatni objaw, pokrzepiającą rękojmię. Z podniesionem czołem mogliśmy stanąć wokoło tej trumny, nie rumieniąc się za żadne przeniewierstwa, ani odstępstwa. Pewne rozradowanie towarzyszyło żałobnym obrzędom. Nie płynęły łzy, jak po świeżej stracie, żywiej tylko biły tętna serc, od pół wieku głosem Mickiewicza poruszanych ku wszystkiemu, co piękne, i wzniosłe, i bolesne, i prawdziwe. Niezwykłem pogrzebowego dnia uzupełnieniem, rzęsistą illuminacyą wieczorem, zajaśniał gród Jagielloński, najuboższe okna błysnęły światłem, w urnach dopalały się niewy-

gasłe podczas pochodu ognie, roiły się ulice od barwnych tłumów. Przelotne było to ożywienie cichej stolicy; już nazajutrz każdy powrócił do trosk i trudów powszednich, wynosząc tylko w duszy pamięć dnia pięknego, może jedynego, którego odbicie sięgnie daleko, rozwidniając smutną teraźniejszość nieśmiertelnemi nadziejami, związanemi z imieniem tego, który do każdej polskiej duszy umiał właściwem przemówić słowem, aby ją podnieść, pocieszyć i uszlachetnić«.[1])

W niespełna dwa tygodnie po tym uroczystym pogrzebie, odbył się we Lwowie, rozpoczęty d. 17 lipca, Drugi zjazd historyków polskich. Zaraz pierwszego dnia zjazdu, po nabożeństwie w Kościele Katedralnym, gdy zaproszeni goście i uczestnicy, w liczbie około 150, zebrali się w wielkiej sali ratuszowej, i gdy przystąpiono do wyboru prezydium, Tarnowskiemu przypadł ten zaszczyt, że go obrano na prezesa funkcyonującego, obok dwóch prezesów honorowych, Augusta Cieszkowskiego i Włodzimierza Dzieduszyckiego. Między zgłoszonemi referatami, rozdzielonemi na trzy sekcye, w sekcyi pierwszej, w liczbie referatów z zakresu historyi literatury, znalazł się także obszerny referat Tarnowskiego: *Stan i charakter literatury politycznej polskiej w wieku XVII*. Od tego też referatu zaczęły się obrady zjazdu. Na podstawie zestawionych i omówionych bliżej utworów literackich wieku XVII, skreślił Tarnowski główne cechy ówczesnej naszej literatury politycznej, podnosząc, że przedewszystkiem uderza w niej brak dzieł na większe rozmiary zakreślonych, lub przynajmniej obejmujących jakiś obszerniejszy program reformy. Broszurowa i pobieżna pod względem formy, literatura ta rzadko kiedy dotyka kwestyi zasadniczych i ogólnych, a z praktycznych kwestyi bieżących zajmuje się często podrzędnemi, a milczy o najważniejszych, pomijając nawet dla Polski najdonioślejsze wypadki dziejowe, jak naprzykład bunty Kozackie, rozterki za Jana Kazimierza i Michała, traktat buczucki i t. d. Literatura ta nietylko nie zdołała wyrobić sobie własnej podstawy filozoficznej, lecz nie odczuwała nawet umysłowej rewolucyi, jaka się dokonywała na Zachodzie. Jeżeli w wieku XVI opierano się u nas zbyt na powadze filozofów starożytnych, to i wiek XVII na tej samej oparł się podstawie, lecz wzory swoje znał mniej i więcej powierzchownie. Tej zaś podstawy nowej, którą sobie świat europejski właśnie w wieku XVII wyrobił w samodzielnej własnej filozofii, tej literatura nasza ani nie znała, ani nie szukała. Ponieważ smutne te wnioski aż

[1]) *Przegląd polski*, 1890, sierpień, 203—211.

nazbyt były trafne, nikt więc z zabierających głos w dyskusyi, jaka się wywiązała z powodu tego referatu, nie stanął w obronie politycznego piśmiennictwa z danej epoki, tylko pp. Kubala, Korzon i Tretiak uzupełniali szereg podanych przez Tarnowskiego broszur, zwracając uwagę na utwory przezeń nie wymienione.[1])

Na ostatniem posiedzeniu ogólnem, poświęconem uroczystości zamknięcia zjazdu, przyczem uchwalono, że następny zjazd odbędzie się za lat dziesięć w 500 ą rocznicę reorganizacyi Uniwersytetu Jagiellońskiego, Tarnowski, jako przewodniczący, wygłosił dłuższą mowę, w której żegnając uczestników, a także dziękując tym, którzy się zajęli urządzeniem zjazdu, i miastu, które tak serdecznie ugościło przybyłych, podzielił się swemi refleksyami na temat naszego dziejopisarstwa, a głównie uderzającego postępu, jaki ono uczyniło w ciągu ostatnich lat dwudziestupięciu, które to refleksye brzmiały, jak następuje:

— Ten postęp stwierdzić — mówił między innemi — mówić o nim śmiało i głośno, mnie łatwiej, niż każdemu z was, Panowie, dlatego właśnie, żem nie historyk, tylko sługa nauki, która się szczyci tem, że historyi pomaga, ale do równości z nią prawa sobie nie rości. Mnie zaś bardziej, niż innemu, bo ze stanowiska tej mojej nauki właśnie i w jej imieniu, przystało i należy zaświadczyć, że od lat dwudziestu i kilku gałęzią najbujniejszą, najżywotniejszą naszego piśmiennictwa, jest dziejopisarstwo. Jak w poezyi przed pół wiekiem, tak dziś w historyografii największa liczba, i najwyższa miara zdolności. Kiedyś, jak nas wszystkich już nie będzie, historya literatury osądzi i orzecze, że właściwą cechą i główną wartością piśmiennictwa polskiego ku schyłkowi XIX wieku, jest wzrost i wzmożenie się dziejopisarstwa. To następstwo historyi po poezyi — mówię już nie z literackiego ale z obywatelskiego uczucia i stanowiska — jest dla nas szczęściem, jest dobrym znakiem. Przed dwoma dniami słuchaliśmy tu z żywem zajęciem nowych i bystrych spostrzeżeń o Krasińskim. Przypomnę więc Panom, że według niego ludzkość przebywała kiedyś epokę uczucia: z tej przeszła w epokę myśli, a przed sobą ma jeszcze przyszłość wyższą i lepszą, epokę trzecią, w której tamte dwie władze doskonale połączy i wyrobi z nich władzę trzecią, wolę. Nie wiem, jak jest w dziejach ludzkości, ale w naszych wydaje mi się to wyraźnem i pewnem, że przez większą część tego wieku byliśmy w epoce panującego nad wszystkiem uczucia. Ten zaś fakt,

[1]) Por. Dr. Władysław Abraham, *II Zjazd historyków polskich we Lwowie*, ***Przegląd polski*, *1890*,** **październik—listopad.**

że od ostatnich zwrotnych lat i nieszczęść, w piśmiennictwie naszem historya wzięła górę nad wszystkiem, uważam za znak (jeżeli nie za dowód), że weszliśmy w epokę drugą, w epokę myśli. Ta jeżeli potrwa, jeżeli zdoła wychować nowe pokolenia, może nas doprowadzić do epoki trzeciej, do epoki męzkiej dojrzałości, woli, działania. Musi być w historyi jakaś moc, ona jakąś bronią i tarczą, skoro nieprzyjaciel swoim niemylnym instynktem, ją, jedną z pierwszych — po wierze — prześladuje, zakazuje, fałszuje, przekręca, z prawdy kłamstwem ją robi, na to, by młodzież polska bez jej znajomości była — według wyrażenia Skargi — jak błędne sieroty, co ojca i matki nie znają. A są niestety poszlaki, że niezupełnie bez skutku jest ta praca psucia młodzieży, tępienia w niej dobrych wrodzonych uczuć, do czego nieznajomość lub fałszywa znajomość historyi polskiej znacznie pomaga i służy. Stąd też tem większy obowiązek, żeby jej bronić, i przez nią bronić siebie. I dlatego, jako obywatel, jako człowiek rozmyślający w ciężkim frasunku nad naszą teraźniejszością i przyszłością, i ważący dobre i złe warunki obudwóch, z głębi przekonania i uczucia winszuję naszemu społeczeństwu, że teraz właśnie historya wśród niego żyje, rośnie, kwitnie, wzmaga się, rozszerza i pogłębia.[1])

Na początku r. 1891 ustąpił, z powodu podeszłego wieku, prezes Akademii Umiejętności, Józef Majer, a na jego miejsce został d. 19 lutego obrany jednomyślnie Tarnowski.

W roku 1891 przypadała setna rocznica Konstytucyi 3 maja. Jak wszelkie rocznice tego rodzaju, tak i tę w Krakowie obchodzono uroczyście, a pisma wystąpiły z odpowiedniemi artykułami. *Przegląd polski* przyniósł artykuł Tarnowskiego: *Przed trzecim maja i po nim.* Artykul byl optymistyczny w konkluzyi, bo kończył się wiarą w przyszłość, w poprawę narodu naszego, o ile w nim nad zastarzałemi narowami weźmie górę »prawdziwy duch Trzeciego Maja«, ale ogólny ton był smutny, o ile szło o refleksye na temat przeszłości i teraźniejszości. »Przez trzy wieki powtarzano anarchii, że musi doprowadzić do rozkładu; anarchia robiła swoje, i sprawdziło się też, że ostatni jej akt, ostatni jej tryumf, był ostatnim ciosem zadanym niepodległości. Co smutno, to że w czasach porozbiorowych natura została taką samą i idziemy po tej samej kolei. Demokracya dzisiejsza, rozszerzona, ma niemal wszystkie cechy rodowe dawnej demokracyi szlacheckiej; jej przywódcy i organa wyzyskują ją tak samo, jak dawna oligarchia wyzyskiwała młodszych braci, i prze-

---

1) *Czas* z 24 lipca 1890.

mawiają tym samym, co tamci językiem, używają tych samych sposobów«. Jakkolwiekbądź, choć warunki wogóle były niekorzystne, bo cała Europa w ciągu XIX wieku przechodziła ciężką kryzys polityczno-społeczną, co nie mogło pozostać bez ujemnego wpływu na naród prześladowany, jak polski, mimo to przez ten chaotyczny wiek przeszliśmy względnie szczęśliwie: nie daliśmy się strawić. Ciężka droga, którą przebyliśmy, przypomina, zdaniem Tarnowskiego, tę, którą *in mezza del camin* odbył Dante. »Jak on nie wiedział, gdzie iść, bo gdzie się zwrócił, widział śmierć, tak my między politycznym rozbiorem, społecznym rozkładem, i ogólnym stanem szarpanej walkami Europy, jak Dant możemy powiedzieć, że niełatwo jest zdać sprawę, jak trudną i straszną była ta wędrówka. Jednak był duch wyższy, taki Wergiliusz, który stał przy nas wiernie i nie opuścił, i tak za rękę prowadził, że z niebezpieczeństw wyszliśmy nie cało wprawdzie, ale z życiem. Tym wyższym duchem była prawdziwa i bądź co bądź zawsze żywa miłość ojczyzny, i niezatracone uczucie narodowej jedności«.

Prawie jednocześnie z tą rocznicą, czczoną przez cały naród, przypadała inna, nierównie skromniejsza, ale nie obojętna dla Tarnowskiego i jego przyjaciół: w lipcu 1891 roku upływało 25 lat od wyjścia pierwszego zeszytu *Przeglądu polskiego*. Rocznicę tę upamiętnił Tarnowski, jako główny założyciel, wydawca i kierownik pisma, broszurą polityczną, a raczej książką, która, zatytułowana *Z doświadczeń i rozmyślań*, wypełniła cały lipcowy — jubileuszowy — zeszyt *Przeglądu polskiego* o 320 stronnicach. W pracy tej, będącej rezultatem ćwierćwiekowych medytacyi i refleksyi na temat przeszłości, teraźniejszości i przyszłości polskiej, złożył Tarnowski — śmiało to o nim powiedzieć można — »swych myśli przedzę i swych uczuć kwiaty«.

O intencyi zaś, w jakiej broszura była poczęta i napisana, objaśniało następujące wyznanie osobiste, umieszczone w słowie wstępnem:

Jest zwyczaj, że w małżeństwach po dwudziestupięciu latach zamienia się srebrne obrączki na pamiątkę ślubu, na znak wdzięczności za miłość wzajemną i szczęście, na przypomnienie, że z latami nie zmieniają się ale wzmacniają uczucia, związki, przysięgi. My, kiedy przed laty, jako ludzie młodzi, zabieraliśmy głos po raz pierwszy w sprawach naszych i o naszej sprawie, ślubowaliśmy tej sprawie w szczerości serca, prostocie ducha i czystości zamiaru: miłość, wiarę i uczciwość (a przez uczciwość rozumie się prawda zawsze, kłamstwo i oszukaństwo nigdy). Dotrzymaliśmy, Bóg widzi, wiernie; i niema skazy na naszej przysiędze, na naszem sumieniu, ani na tem piśmie. Dziś pod siwym włosem, po stracie nigdy nie przebolałej tych, co z nami kiedyś pracę tę zaczynali, zeszyt ten *Przeglądu polskiego*, pisany w tej samej istocie ducha i woli,

co wszystkie poprzednie, składamy czytelnikom naszym, jak srebrną obrączkę, na pamiątkę, na podziękowanie, na zakład wiernego dotrzymania ślubu — aż do śmierci. Tak nam Panie Boże dopomóż!

Prócz wstępu, zawierającego charakterystykę Europy w ciągu ostatnich lat 25-ciu, lat prawdziwie epokowych i brzemiennych nieobliczalnemi następstwami, składały się te »rozmyślania« z sześciu ksiąg, zatytułowanych: 1. *Nasze położenie polityczne*, 2. *Opinie i stronnictwa*, 3. *Usposobienia i skłonności polityczne*, 4. *Usposobienia religijne*, 5. *Niektóre złe zwyczaje*, 6. *Wnioski i przestrogi*. Wszystko zaś, co poruszono w tych sześciu księgach, podzielonych na poszczególne rozdziały, było jakby streszczeniem, zebraniem w jedno, powtórzeniem tego, co przez ćwierć wieku stanowiło zasadniczą treść wszelkich prac, drukowanych w *Przeglądzie polskim*. Ale też Tarnowskiemu »nie o nowość chodziło, tylko o przypomnienie, streszczenie tego, cośmy wiele razy, cośmy zawsze mówili; nie o odkrycie rzeczy niewiadomych, tylko o powtórzenie prawdziwych, a nie spełnionych, nie wykonanych«.

Od jak dawna niewykonanych? Nie od jednej ćwierci wieku niestety! Trzeba by takich ćwierci dodać do siebie dwanaście, i więcej, żeby dojść do tych, co pierwsi przestrzegać i prosić zaczęli. Od Kalinki i Klaczki, najmłodszych; od Krasińskiego i Kajsiewicza, przez Staszyca i Konarskiego, przez Leszczyńskiego, ciągnie się ten smutny, wspaniały szereg, aż do Skargi; a za nim jeszcze w głębi czasów odzywa się ten głos gniewny, który przepowiada: »rozedrą was, jak psy flak« — i ten głos trzeźwy, który »narzeka na porządną niedbałość naszą«, i ten głośny, który kazał »obawiać się, aby jaka gwałtowna burza nie spadła, a nas wszystkich, i domów, i narodów, i samego imienia polskiego z gruntu nie wywróciła i nie potarła« — i tak dalej, aż do tego, który przy pierwszych zaledwo oznakach złego odzywał się *pro Reipublicae ordinatione*. Z nimi się równać, ani nam w głowie; a kiedy oni wszyscy, tacy! nie poradzili, tam my poradzić nie mamy zuchwałego uroszczenia. Ale za nimi stać, ale w tej co oni chorągwi służyć, ale w ich szeregu być najmniejszym, być najskromniejszym luzakiem przy tych towarzyszach! to była nasza myśl, nasz zamiar, to był nasz ślub przy założeniu tego pisma — a nasza nadzieja i ambicya jest, że nam to kiedyś przyznanem będzie.

Ta nadzieja ziści się z pewnością, tylko że w innym stopniu, niż tego — wnosząc ze słów powyższych — spodziewa się dla siebie Tarnowski: w tym »smutnym wspaniałym szeregu« statystów polskich, w którym, poczynając od Ostroroga, stoją Modrzewski, Górnicki, Orzechowski, Skarga, Leszczyński, Konarski i Staszyc, znajdzie się miejsce i dla Tarnowskiego, i to nie miejsce »najskromniejszego luzaka przy tych towarzyszach«, lecz stanowisko pierwszorzędne,

jako jednego z naszych najświetniejszych pisarzy politycznych XIX wieku, miejsce obok Szujskiego, Kalinki, Klaczki i Koźmiana!

A jaki będzie z działalności jego skutek? I to pytanie zadał sobie Tarnowski w zakończeniu swych »rozmyślań«.

Skutek? Któż odpowiada za skutek! »Człowiek strzela, Pan Bóg kulę nosi«: dobrze mierzyć, to wszystko, co człowiek może i powinien; a czy jego strzał »trafił do serca spółbraci«, to już nie od niego zależy. Kiedy patrzy na tylu i takich poprzedników, a takie z ich pracy skutki, następca biedny miałby wszelki powód do rozpaczy. A jednak? Słyszeliśmy niedawno uwagę, która nam trafiła do samej głębi serca i rozumu. Gdy deszcz pada, nikt nie widzi i nie wie, która jego kropla ożywi we wnętrznościach ziemi ziarno, które potem wyda plon; z dobremi chęciami i pracami jest podobnie. Niewidzialnie, bez naszej wiedzy, mogą tu i owdzie dobrą myśl obudzić, dobre serce wzruszyć, jakiś choćby mały, dobry skutek wydać. W rozpaczy i złości wyrzekamy sami na siebie, że nam Skarga nie zdał się na nic: a co wiemy, czy on narodowego sumienia nie wstrząsnął, i czy nie z jego posiewu mieliśmy potem Żółkiewskiego i Czarnieckiego? Bez Leszczyńskiego, bez Konarskiego, z pewnością nie bylibyśmy mieli tych co zrozumieli potrzebę poprawy Rzeczypospolitej, i wzięli się do niej w Czteroletnim Sejmie; bez ich ducha i dzieła, my znowu czy bylibyśmy zdołali nie dać się strawić przez tych ostatnich lat sto? Niezupełny, częściowy, choćby mały, ale przecież jakiś skutek z dobrego był zawsze. Może więc i z tego *Przeglądu* coś dobrego zostanie.

Nietylko zostanie, ale już teraz nie może być dwóch zdań pod tym względem, że posiew zdrowej myśli politycznej, której rzecznikiem jest *Przegląd polski*, już wydał swoje owoce, a jeżeli społeczeństwo galicyjskie dziś jest dojrzalsze i bardziej wyrobione politycznie, aniżeli niem było w roku 1866, to znaczna część zasługi przypada w tym razie *Przeglądowi polskiemu* i jego głównemu redaktorowi i wydawcy. Zadanie było trudne, a graniczące z poświęceniem, sposób jednak, w jaki się redakcya *Przeglądu* z niego wywiązała, dowodzi wymownie, że ofiara, natchniona duchem obywatelskim i podjęta *pro publico bono*, niezawsze idzie na marne. Nie mówiąc już o tem, że wydawanie pisma w takich warunkach, w jakich wychodzi *Przegląd polski*, jest zasługą, którą cywilizowane społeczeństwo powinno umieć ocenić... Powinno! Ale czy ocenia?...

Bądź co bądź, Tarnowski, gdy z swoich doświadczeń i rozmyślań wysnuł tak piękne, tak gorąco napisane przestrogi dla swego narodu — który mu za ten chleb tak często odpłacał kamieniem — zrobił swoje; to też mógł śmiało, jak bohater Schillera, zwracając się do swoich spółbraci, rzec do nich: *Ich hab das meinige gethan. Thun Sie das ihr'ge!* On wskazał drogę, a ostrzegł przed manowcami: którędy pójdzie społeczeństwo, to już nie leży w jego mocy.

A że to była droga ta sama, którą wskazywał Szujski, więc

też i książka, z jego ducha wiele czerpiąca światła, jemu — zdaniem autora — winna być poświęconą, a przynajmniej związana z jego wspomnieniem. Ale w zasadzie Tarnowski zawsze był przeciwny wszelkim dedykacyom. Dlatego zakończył pracę swą następującemi słowy: »Nie zwykliśmy prac własnych składać komukolwiek w ofierze na znak wdzięczności i czci, bo między małością tego znaku a wielkością tych uczuć niema dobrego stosunku. Ale gdybyśmy ten zwyczaj dedykowania mieli, przypisalibyśmy niniejszy zeszyt *Przeglądu polskiego Pamięci Józefa Szujskiego*".

Ukazanie się tego zeszytu było zarazem przypomnieniem, że z jego wyjściem kończyło się dwadzieścia pięć lat pracy pisarskiej Tarnowskiego. O rocznicy tej pamiętali niektórzy z jego przyjaciół, a w ich liczbie i Matejko. Oto, co z tego powodu opowiada sam Tarnowski: »Dla wielkiej wdzięczności znowu, której okazać innego sposobu nie mam, niech mi się godzi zapisać jedno chlubne i drogie wspomnienie. Widywałem *Królowę Korony Polskiej* w pracowni od r. 1887, i nie taiłem, że mam w niej szczególne upodobanie. W r. 1891 *Przegląd polski* kończył dwadzieścia pięć lat swego życia; niektórzy przyjaciele chcieli okazać jego założycielom, a mianowicie jedynemu podówczas obecnemu w Krakowie, że pamiętają o tej rocznicy. Wracając raz z lekcyi do domu, zdumiałem się, kiedy zastałem u siebie ten ulubiony obraz. Przysłał go Matejko, z napisem, który dla obdarowanego ma wartość większą jeszcze, niż dar, bo jest dowodem jego uczuć, i opinii, jaką miał o człowieku i jego pracy. Takie świadectwa, od najlepszych w narodzie i czasie, znaczą więcej, niż wszelkie odznaczenia, z wyjątkiem jednych chyba krzyżów wojskowych, na polu bitwy zarobionych, a czynią zadość za wiele goryczy, bronią przed potomnymi nie jedną dobrą sławę, szarpaną przez współczesnych« [1]).

Z okazyi 25-letniego jubileuszu *Przeglądu polskiego* grono jego współpracowników urządziło w sali Hotelu Saskiego d. 8 lipca ucztę na cześć Tarnowskiego. Do stołu zasiadło kilkadziesiąt osób. Honorowe miejsce zajął Tarnowski, między Pawłem Popielem a Józefem Majerem. Pierwszy toast wzniósł Paweł Popiel, podnosząc zasługi Tarnowskiego wogóle, a jako założyciela i redaktora i wydawcy *Przeglądu polskiego* w szczególności, człowieka, »który bez żadnego zwrotu na siebie spełnia, jakby od niechcenia, najtrudniejsze zadania, który jak z rogu obfitości sypie nowe prace, wkraczające w przyszłość spraw narodu, które prostotą chrześciańską podnosi aż do

---

[1]) *Matejko*, str. 363.

ideału«. Odpowiadając na ten toast, Tarnowski z właściwą sobie skromnością tak mówił między innemi:

— Zaszczytne dla mnie i niewypowiedzianie miłe to dzisiejsze zebranie, ale jest w niem powód i do wzruszenia i do smutnego zadumania. Dwadzieścia pięć lat to długi przeciąg czasu, i przeżyło się w nim dużo, co dziś staje żywo w oczach i w pamięci. A jeżeli z radością, z otuchą, z chlubą widzi się tych, co przez ten czas przybyli, to tych znowu nigdy odżałować nie można, których już niema, a mieli część największą w tej zasłudze, której Panowie raczycie oddawać chlubne świadectwo. W tem, co ja zrobiłem, szczerze mówiąc, zasługi sobie przypisywać nie mam prawa. Niema jej tam, gdzie własnej ochoty i popędu jest wiele, a w warunkach życia tyle ułatwień, że trudu i poświęcenia właściwie nie było. Moje zaś warunki życia były wyjątkowo szczęśliwe. Gdyby nic więcej, jak zdrowie, rzadko dobre, przy którem i praca i równowaga umysłu staje się łatwą. W życiu domowem — nie mówiąc o rodzinnem szczęściu nawet — brak, dzięki Bogu, trosk, niepokojów, kłopotów, chorób. W położeniu majątkowem wielka niezależność, wygoda, przyjemność życia, a bez tych rozlicznych niebezpieczeństw, jakie nosi w sobie wielkie bogactwo. Łatwość pracy przytem, aż zbyteczna, bo z większym trudem pisałbym z pewnością lepiej, ile to ułatwień i ile cyfr, które trzeba odciągać od mojej mniemanej zasługi. A cóż dopiero te wpływy moralne, które na mnie działały: to szczęście nieocenione, że od dzieciństwa byłem zawsze otoczony lepszymi, rozumniejszymi i wyższymi od siebie. Wymieniać ich byłoby za długo; niektórych pamiętają już tylko nieliczni, ale Szujskiego i Kalinkę naprzykład znaliście panowie wszyscy. Znany przed laty z dowcipu pan Oczosalski mawiał, że nie imponuje mu waleczność żołnierzy, idących do szarży: »nie sztuka iść naprzód, kiedy przedemną gniady, z tyłu pcha mnie kasztan, a koło mnie dwa deresze nie dają uciekać na bok«. Otóż przedemną, za mną i koło mnie były takie gniade i takie deresze, że między nimi zboczyć z prostej drogi, było daleko trudniej, niż się na niej utrzymać. A wreszcie ten wpływ najsilniejszy i stanowczy, ten, »co wykuwa żywot cały«, wpływ wielkiego narodowego nieszczęścia. Kto w niem nie zginął, a po niem obliczył, co się stało, ten przebył szkołę ciężką, Naprożno usiłował sam siebie uspokoić wymówką, że nie winien, bo przeszkodzić nie mógł; sumienie odzywało się zawsze i pytało, czy próbował, czy choćby chciał wstrzymywać, i twierdziło, że nikt od winy wymówić się nie może, że każdy choćby w najmniejszej, jednej milionowej części jest odpowiedzialny za ten nieszczęsny obrót losów narodu, za ten tryumf złego. A wtedy na-

turalne już i konieczne uczucie, postanowienie. To, co się stało, odstać się nie może: ani Litwie, ani Rusi, ani Warszawie, pomódz, ulżyć, nie w naszej mocy. Ale kiedy naprawić nie można, to przynajmniej ostatniego tchu z siebie dobywać na to, żeby kiedyś, w przyszłości mogło być lepiej. Jeżeli ci, co wtedy nie polegli, tego nie zrobią; jeżeli w zakresie swojej możności cokolwiek zaniedbają i opuszczą, to wtedy ci, co polegli, i na tamtym świecie będą mogli o swoją krew pozywać tych, co żywi zostali, bo w takim razie oni polegli zupełnie marnie. Takie zrozumienie swego obowiązku nie słabnie, takie postanowienie się nie zapomina. Gdyby się zapomnieć dało, to przypomniałby je każdy nowy gwałt i każdy nowy ból, każdy dzień i każdy numer dziennika, każdy cesarski ukaz i każdy list wywiezionego w stepy orenburskie chłopa-unity. Z takiego uczucia i postanowienia zrodził się i ten *Przegląd*.

Po Tarnowskim przemawiał jeszcze Józef Majer i kilku innych mówców, poczem odczytano cały szereg depesz gratulacyjnych [1]).

Wskazania Tarnowskiego *Z doświadczeń i rozmyślań*, wydane w książce, bardzo były czytane przez całe społeczeństwo polskie, tak, że niebawem, po wyczerpaniu się pierwszej edycyi wyszły w nowem popularnem wydaniu, które, choć drukowane w ogromnej liczbie egzemplarzy, znów się wyczerpało w krótkim czasie.

W prasie również były te »rozmyślania« omawiane szeroko i długo, zwłaszcza w prasie tak zwanej opozycyjnej. Ale ponieważ nie były to głosy idące pod niebiosy, a zła wiara uniemożliwia dyskusyę, więc i jedyną odpowiedzią na nie, tak ze strony Tarnowskiego, jak i jego politycznych przyjaciół, mogło być tylko dantejskie *Guarda e passa*. Wyjątek uczyniono dla *Dwóch opinii* Romano-

---

[1]) W pół roku po tej uczcie, w styczniu 1892 r. bawił Tarnowski w Poznaniu, gdzie d. 20 stycznia wygłosił odczyt o Zygmuncie Krasińskim. W wilię tej prelekcyi d. 19 stycznia, odbyła się w wielkiej sali bazarowej, staraniem Zarządu Towarzystwa Przyjaciół Nauk, uczta na cześć Tarnowskiego, jako prezesa Akademii Umiejętności. Podczas tej uczty, do której zasiadło około 80 osób, sędziwy prezes Tow. Przyj. Nauk, August Cieszkowski, wzniósł pierwszy toast na cześć krakowskiego gościa, podnosząc jego zasługi na tak różnorodnych polach. »Tem większa nasza radość — mówił między innemi — że wśród nas bawi tak znakomity mąż, który z taką sławą pracuje na rozlicznych polach, bo naukowem, społecznem i politycznem, a pracuje w myśli dawnego programu t. j. pracy organicznej, pracuje z wytrwałością, stanowczością i odwagą«. W odpowiedzi Tarnowski wzniósł zdrowie Cieszkowskiego, jako prezesa Towarzystwa Przyjac. Nauk, oraz jako przyjaciela Krasińskiego, jego »najzaufańszego powiernika i współpracownika«. Ob. *Czas* 1892 z d. 22 stycznia, w feljetonie: *Uczta na cześć hr. St. Tarnowskiego*.

wicza, na którego wywody, a raczej insynuacye pod adresem konserwatystów, odpowiedzieli Ludwik Dębicki i Paweł Popiel.

Zdaniem autora *Trzech pokoleń w Krakowie*, odczytać w całości książkę Tarnowskiego powinno być obowiązkiem każdego myślącego Polaka, albowiem jest to książka, mogąca wywrzeć tylko zbawienny wpływ na tych wszystkich, którzy ją z dobrą wiarą czytać i odczytywać będą, bo do głębi poruszy każde polskie serce, które pozostaje w zgodzie z sumieniem i rozumem. Jako taką, Dębicki w ten sposób scharakteryzował książkę Tarnowskiego:

W ćwierćwiekową rocznicę założenia pisma, które zaznaczyło okres w życiu umysłowem i literackiem Polski, a zaważyło w życiu publicznem naszego kraju, odezwał się do społeczeństwa polskiego jeden z założycieli *Przeglądu* i jego kierowników, ten, któremu słusznie należy się godło: »Mnóż się Ty jeden przez czyny żyjące, a będą z Ciebie jednego tysiące«... Autor tak szczerze, tak szczegółowo i szeroko rozwinął obrachunek ćwierćwiekowy i dalszy program, wszystko wypowiedział, co miał na sercu, boleści i obawy, i w pomrokę czarnej zaiste chwili rzucił promień wiary w przyszłość. Spojrzał on w przepaść obecnego stanu Polski, w jaką nas wypadki i własne wtrąciły winy i błędy, ale szukał skrzętnie ścieżek, któremibyśmy mogli z niej nieco się dźwignąć. Autor dzieła o *Pisarzach politycznych XVI wieku* w ostatniej swej pracy, jakby pod natchnieniem tych wszystkich, którzy ongi nawoływali do naprawy Rzeczypospolitej, i tych, co mówili narodowi prawdę według słów Skargi »niechaj boli jako chce«, i tych, co w epoce porozbiorowej znów podnosili głos wezwania do pracy, cnoty, pokuty, przeszedł ostatni ćwierćwiekowy okres najsmutniejszych dziejów porozbiorowych. Patryotyczne pióro Tarnowskiego, że wśród żyjących trudno mu znaleźć w tem uczuciu równego, potrąca o najsmutniejsze wypadki i najtrudniejsze problemata, lecz ma tym razem nastrój spokoju i ufności. Są rzeczy tego pióra, które rozdzierają serce, gdy się czyta taki opis dzisiejszego Wilna. W innych przeważa wyłącznie gorzka polemika, jak w *Próbach rozstroju*. »Po dwudziestu pięciu latach« autor oblicza straty i klęski, wytyka błędy i wady, nie pomija dodatnich cyfr tego obrachunku. Są rozprawy Tarnowskiego na ton *Psalmu żalu;* ta ostatnia ma ton *Psalmu dobrej woli* i jest jakby parafrazą wiersza *Resurecturis*. Na ironiczne pytanie, czy stronnictwo będzie wdzięcznem autorowi za tę książkę, moglibyśmy licznemi dowodami wykazać, z jaką wdzięcznością społeczność ją przyjmuje, czerpiąc obficie prawdę przewodnią i słowo wzmocnienia. Etyczna przedewszystkiem jest wartość tej książki, wszystko w niej wypłynęło z głębi sumienia i do sumienia narodu zwrócone. Etyczny też będzie jej wpływ nietylko na dziś, ale na dłuższy okres. Jak niegdyś w *Wieczorach pielgrzyma* Stefana Witwickiego, tak obecnie w czytaniu książki *Z doświadczeń i rozmyślań* każdy stan znajdzie określone swe wobec ojczyzny obowiązki i znajdzie przestrogi i upomnienia. Są miejsca, które przypominają *Katechizm nierycerski* Juliana Klaczki, świetną odprawę, daną ongi Mierosławskiemu na emigracyi; są miejsca, przypominające *Królowę Opinię*. I potrzeba było tych gromkich słów, bo złe się nie zmieniło, tylko wzmogło, bo te same dążenia, któremi Mierosławski bałamucił emigracyę, przeniosły się do kraju, ustaliły tu, choć odmienną nieco, ale równie zgubną przybrały szatę. Książka *Po dwudziestu pięciu latach* nie jest polemiczną, jest dodatnią, afirmatywną, zasadniczą, jeśli uderza na nasz anarchizm, który stanowi ciągłą przeszkodę wewnętrznego odrodzenia, skupienia sił, normalnego

postępu i rozumnego działania, czyni to tak, jak robi lekarz analizę choroby. Jest tam mowa o złych nałogach, o zgubnych zasadach i praktykach, ale żadne stronnictwo lub osobistość nie została wprost nawet nazwaną [1]).

Mimo to, za uderzeniem w stół odezwały się nożyce. A że ten ich odgłos równał się często potwarzy, przekręcającej wywody i twierdzenia Tarnowskiego, więc nawet sędziwy, już nad grobem stojący Paweł Popiel postanowił się ująć za »znakomitym obywatelem«, za jakiego uważał Tarnowskiego, i odparować niektóre zarzuty, któremi go w *Dwóch opiniach* starano się obrzucić. »Nie o p. Tarnowskiego mi idzie, pisał sam między innemi. Bronić go nie myślę; nie dlatego, aby mi był obojętnym, ale dlatego, że bronić sam się potrafi. Hr. Tarnowski obrony też nie potrzebuje, kiedy mimo tak zręcznych, jeżeli nie podstępnie usnutych zarzutów *Nowej Reformy*, książka jego rozszerza się i w najszerszych kołach czytelników znajduje uznanie. Publicysta *Nowej Reformy* p. Tarnowskiego zrozumieć nie może; zarzuca mu on ustawnie fanatyczne przywiązanie do swego stronnictwa. Publicysta *Nowej Reformy* zdaje nam się, nie zna, co to jest miłość zasad; aby to znać, trzeba mieć zasady. Otóż p. Tarnowski nie jest ani Stańczykiem, ani antagonistą demokracyi: jest poprostu człowiekiem zasad i dlatego nad wszystko je ceni, śmiało ich broni i do upadłego bronić będzie!« Zarzut zaś, jakoby Tarnowski walczył przeciwko demokracyi, jest niesłuszny, bo Tarnowski nie demokracyę zwalcza, z którą zawsze idzie zgodnie, czy w sejmie, czy w radzie miejskiej, czy na innych polach wspólnego działania, ale wichrzycielstwo i anarchię, nie demokracyę ale demagogię.

Z demokracyą ani p. Tarnowski, ani jego stronnictwo, nie walczą wcale; wiedzą dobrze, że nastrój ten polityczny jest konieczną obecnego społeczeństwa fazą; przyjmują wszystkie jej warunki, rozumieją, że społeczeństwo, obok warunków moralnych, w jej ramach żyć i rozkwitać może, a dziś nawet musi; nie demokracya przeto jest anarchią, albo do anarchii prowadzi, ale pewien rodzaj demokratów, którzy monopolizując opinię, dążą do przewagi osobistych ambicyi, a to za pośrednictwem niewytrawnej zawsze większości, pozyskiwanej pochlebstwem i obietnicami. Znana to, a nawet doskonale, autorowi artykułów historya, a ponieważ nie wiem, kto on jest, nie mogę odwoływać się do jego stanowiska, jak on ustawnie odwołuje się z przekąsem do godności p. Tarnowskiego. Demokratami jesteśmy wszyscy. Równość przed prawem, dostępność urzędów i stanowiska, to jest demokracya, niepodburzana sztucznie, każdemu zapewniająca miejsce wedle jego siły i zasługi. Anarchistami są ci demokraci, którzy wmawiają w mniej oświeconych, że bez tych warunków, tych usiłowań, mogą wszystkiego dostąpić, a jeżeli nie dostępują, winni temu arystokraci, zacofańcy. Dajcie nam wpływ, a dostąpicie wszystkiego!

Artykuł ten Popiela, zatytułowany jako *Słowo w długoletniej rozprawie* ukazał się w *Przeglądzie polskim* w lutym r. 1892, okoliczności

---

[1]) *Z teki dziennikarskiej*, str. 15—39.

zaś, jakie towarzyszyły jego powstaniu, tak opisuje Tarnowski: »Ale zdrowie, przez całe życie prawdziwie żelazne, (po śmierci żony) złamało się nagle. Pierwsza ustawać zaczęła władza w nogach i ubywała z każdym dniem. Lekarze mówili, że to sam pierwiastek życia wyczerpuje się i gaśnie. Umysł jednak zostawał w całej swojej sile, czerstwy, żywy, czynny, jak zawsze. Ale czy brakiem ruchu, czy postępującem rozprzężeniem organizmu spowodowane, przyszło zapalenie płuc. Popiel się położył i już nie wstał. Ale i teraz jeszcze, w tej ostatniej chorobie, nie ustał. Godzi się nam i przystoi wspomnieć tu o osobistej sprawie, bo mamy powód do osobistej wielkiej i czułej wdzięczności, obowiązek wyznania jej publicznie. Sposób to jedyny, jaki dziś pozostał, nie odwdzięczenia się, ale okazania, że się pamięta szlachetną a dobroczynną pomoc, jakiej się doznało. W połowie ubiegłego roku wyszła książka *Z doświadczeń i rozmyślań*. W ślad za nią ukazała się broszura pod tytułem: *Dwie opinie*. Jedna dowodziła, że polityka tajnych spisków i tajnych rządów sprowadziła na Polskę szereg klęsk i niebezpieczeństw zagłady, i przestrzegała przed nowemi tej samej polityki oznakami; druga twierdziła, że takie dowodzenie to tylko opór przeciw formom i koniecznościom nowszego społeczeństwa, że osądzenie powstań pobitych, jako Polsce szkodliwych, to jest przeczenie Polski samej, że powstania, choć pobite, przyniosły nam rzeczywiste i wielkie korzyści, że narzucający się narodowi rząd kilku ludzi niepowołanych i bezimiennych, i oddane jemu posłuszeństwo, nie jest anarchią, ale owszem dowodem i miarą organicznej jedności i politycznej wytrawności tego narodu. Ta odpowiedź nie powinna była zostać bez repliki. Wymagała jej prawda, wymagała przyszłość, wymagał wreszcie honor ludzi oskarżonych, i przekręconej, fałszywie wystawionej polityki. Popiel zaczął tę replikę pisać; a zaiste słusznie jest powiedzieć, że jemu to w całej Polsce najlepiej przystało, z wieku i z urzędu, bo najdawniej i najdzielniej bronił narodu od złej polityki i jej skutków, i nikt dziś z równą jemu powagą odezwać się w tej sprawie nie mógł. Zaczął pisać, ale choroba i śmierć żony (która go do tej pracy usilnie zachęcała, zapisujemy to na chlubę swoją i na pamiątkę rzewnej dozgonnej dla niej wdzięczności) przerwała pisanie. Zdawało się, że na zawsze. Ale z drugiem wydaniem ***Rozmyślań*** powtórzyły się napaści. Wtedy Popiel postanowił dokończyć i ogłosić. Już w ostatniej chorobie, literalnie na śmiertelnem łożu, dyktował ostatnie rozdziałki... Ta siła myśli, ta jędrność pióra, w starcu umierającym, to jest rzecz trudna do pojęcia; ta chęć i zdolność walki i obrony, to jest rzecz heroiczna. To przypomina konającego Chathama, zaniesionego do

Izby na rozprawę o koloniach amerykańskich, i padającego w środku mowy. Nie tak dramatyczne i effektowe, ale podobne. Być zaś powodem i przedmiotem tej obrony, być wziętym pod tarczę przez to ramię już omdlewające, to (nie każdy doświadczy, a nie życzymy nikomu, iżby doświadczyć potrzebował) to jest uczucie jedno z najrzewniejszych i najdumniejszych, jakiego doznać było nam dano. Jest w niem szczęście, i jest żal; jest chluba z własnej służby i pokora przed tamtą wyższością; pod tą zasłaniającą, broniącą ręką, schyla się głowę i zgina kolano, jak po błogosławieństwo i jak do przysięgi. Z takiem uczuciem przycisnęliśmy do ust rękę Popiela przy ostatniej z nim rozmowie, kiedy nas żegnał, i jak stary patryarcha, na dalszą drogę życia, ze wszystkiem, co nasze, błogosławił«.

W kilka tygodni później, dn. 6 marca 1892 roku, Popiel przeniósł się do wieczności. W kwietniu, ukazał się na naczelnem miejscu w *Przeglądzie polskim* szkic Tarnowskiego o *Pawle Popielu*, opisujący koleje życia nieboszczyka, jego działalność polityczną i społeczną, jego charakterystykę, jako człowieka i obywatela. Jako o pisarzu, było wyrażone życzenie, żeby pisma jego, bądź wydane w formie broszur, bądź ukryte w starych rocznikach wydawnictw peryodycznych, zostały zebrane i wydane razem. »Wtedy stanie i zostanie w literaturze pisarz, przez rozprószenie i przygodny charakter swoich pism tak mało znany, że prawie nieistniejący, a pisarz niepospolitej siły, i umysłu, i pióra«. Pragnieniu temu uczyniono zadosyć. *Pisma* Pawła Popiela, uporządkowane przez syna, prof. Pawła Popiela, tłómacza *Iliady*, zostały wydane w dwóch tomach. Na ich podstawie powstała wyczerpująca ocena *Pawła Popiela jako pisarza*. Nawiązując ją do swego szkicu o *Popielu*, napisanym bezpośrednio po jego śmierci, Tarnowski w ten sposób określił jej zadanie i cel, a zarazem i jej trudności: »Jak wówczas przypadło nam zaszczytne staranie o jaki taki, bodaj pobieżny, w przybliżeniu, szkic wizerunku człowieka, tak dziś przypada drugie: zdać sprawę z pism, określić własności i znaczenie pisarza. Zadanie razem i łatwiejsze, i trudniejsze od pierwszego. Łatwiejsze, bo nie miesza się już do niego wrażenie świeżej, tylko co poniesionej a bolesnej straty; niema tego przymusu do pisania, tej walki między powinnością, która pisać każe, a smutkiem, który do myślenia i pisania przeszkadza. Trudniejsze zaś jest to zadanie, bo kiedy tam z uczucia i pamięci tylko same dobywały się charakterystyczne rysy człowieka, tu myśl musi wnikać w myśl pisarza, rozum iść krok w krok za jego ścisłem rozumowaniem, wreszcie sąd podjąć odpowiedzialność niemałą (a podjąć

na niepewne oczywiście) oznaczenia tego stanowiska, jakie w literaturze pisarzowi temu pisma jego nadają«. Sąd ten wypadł pod każdym względem bardzo wyszczególniająco, a zamknął się w następujących słowach: »Pod formą publicysty lub sprawozdawcy jest Popiel statystą w całem znaczeniu słowa, statystą o wielkiem filozoficznem i politycznem wykształceniu, o pojęciu rozległem i bystrem, o wnioskowaniu śmiałem, trafnem, zmierzającem praktycznie do samego jądra, do istoty rzeczy«. Nie znaczyło to jednak, by Tarnowski we wszystkiem podzielał poglądy Popiela, choć naogół podzielał je prawie bez zastrzeżeń, a o jednem z jego pism, mianowicie w życiorysie Szujskiego, wypowiedział swe odmienne zdanie z silną domieszką goryczy.

O jednym wszakże, choć krótko, pomówić musimy: k r ó t k o, bo nam to bolesno, a m u s i m y, bo chodzi o obronę nie siebie samego tylko. Wspomnienie o Szujskim jest bardzo piękne; zrozumienie jego wartości a ocenienie zasługi takie, że czyta się z rozrzewnieniem i wdzięcznością. Ustęp o *Odrodzeniu i Reformacyi* zwłaszcza, jest imponujący głębokością, a porywający pięknością. Czemuż w tę rzecz, tak szlachetną, wkradły się przez nieuwagę, niedokładności niepotrzebne, do usunięcia łatwe, sądy z góry powzięte, niesprawdzone a niesłuszne. Rozumiemy doskonale, i podzielamy z uczuciem pewnego upokorzenia, ten żal ich tajony, ale przez to niemniejszy, jaki może mieć do swoich współczesnych człowiek, niedość przez nich ceniony i sądzony fałszywo. Ale kiedy Popiel przypomina Koźmianowi i Bobrzyńskiemu, że nie t. zw. Stańczycy pierwsi poznali się na niebezpieczeństwie tajnych spisków i organizacyi, Popiel źle ich myśl rozumie. Żaden z nich nie twierdził, jakoby przed Stańczykami nie było trafnego zrozumienia rzeczy; uważali tylko i wskazywali tę różnicę, że oni zwrócili uwagę na niebezpieczeństwo, zanim ono się stało groźnem, czego sam Popiel przed rokiem 1863 nie był zrobił, a co X. Kajsiewicz, Klaczko i Kalinka robili napróżno, bo byli w owym czasie tak mało znani i czytani, że nie mogli działać na większą liczbę tych sumień i umysłów, do których przystęp nie był im zamknięty zaślepieniem lub systematycznym zakazem spiskowej zwierzchności. Ważniejsze wszakże i od nas sprostowania się domagające jest twierdzenie, jakobyśmy »oszukiwali swoje sumienie mniemaniem, że biorąc udział w sprawie szkodliwej, potrafimy zgubność jej zmniejszyć«. Tego nie było, jak nie było później tego w duszach zwrotu i przełomu, jaki Popiel w nas odgaduje, ani jego potrzeby. W r. 1861 i 1862 wiedzieliśmy, że powstanie, gdyby przyjść miało, byłoby nieszczęściem; nie mogliśmy go odwrócić, bo nas młodych nikt nie byłby słuchał, pomagaliśmy tylko gorliwie tym, którzy starali się nie dopuścić do nieszczęścia. W r. 1863 przystąpiliśmy do rzeczy nie z zarozumiałości, ani miłości własnej, ale w nadziei, którą mieli i starsi, że przez akcyę trzech mocarstw coś dobrego z tego wyniknąć może. Po roku 1863 zmieniły się w nas dusze, ufne i szczęśliwe, na zbolałe, zmieniły się programy własnego życia, nie zmieniły się ani uczucia, ani przekonania. Czemuż Popiel pisze o nas inaczej, niż było? Czemu na domysł? Czemu, jeśli nie wiedział, cośmy myśleli i robili, nas o to nie zapytał? Przecież nie bylibyśmy ani ukrywali, ani oszukiwali: każdy byłby mu powiedział prawdę!... Potem *Teka Stańczyka:* była ironiczna! Słowo poważne i serdeczne byłoby wystarczyło i skutkowało. Gdyby był pomyślał choćby tylko o *Li-*

ście Szujskiego do Bilińskiego (który sam przypomina), to byłby w nim znalazł odpowiedź. Można zawsze satyry nie pisać; ale pisać satyrę bez ironii nie można, a przynajmniej nie warto. Co zaś do owych słów serdecznych a poważnych, czyż nie było takich, na jakie my zdobyć się nie zdolni — a na co się przydały? Czy wystarczył Krasiński? Czy skutkował Kajsiewicz, Klaczko, Kalinka, Popiel sam? Satyra skutkowała, przynajmniej na jakiś czas.

Rozbicie sejmowego klubu Reformy (rzecz bardzo istotnie szkodliwa) z winy Stańczyków? Z jakiej? Czy się z czem kryli? Czy klub nie wiedział, co oni robią lub chcą robić? Popiel, który (sam, w nawiasie mówiąc, dał przykład wystąpienia z klubu) tak zawsze dobrze wie, że złe rzeczy nie wyskakują znienacka, ale przygotowują się z planu, czy nie mógł w owym wypadku dostrzedz tego, co później stało się wiadomem i przyznanem?

Były więc twierdzenia mylne, względem nas niesłuszne, a do odparcia niemożliwe. Byliśmy bezbronni; bo jeżeli przeciwnicy mieli tę przyjemność, że czytali, co Popiel napisał na Stańczyków, to przynajmniej nie mogli mieć tej, żeby czytać, co Stańczyki napisały na Popiela. Jak się stało, że on, z tem usposobieniem szlachetnem i rycerskiem, jakie miał, nie pomyślał, nie odgadł, że my się bronić nie będziemy, nie możemy, wobec patrzącego i cieszącego się przeciwnika? jak mógł nie pomyśleć, że to jego pismo może się stać wodą na młyn polityki przeciwnej?

A wreszcie to, co ze wszystkiego najboleśniejsze i najniesłuszniejsze. »Szujskiego nie należy solidaryzowac ze Stańczykami. Był Stańczykiem, ale był czemś więcej; nie ograniczał się na działaniu negatywnem«. Że Szujski był »czemś więcej«, jak my, to my najlepiej wiemy; a czy Koźmian i niżej podpisany ograniczali się na negatywnem działaniu, nie nam sądzić. Ale Popiel nie powinien był mówić, że »nie należy Szujskiego sodalidaryzować ze Stańczykami«, bo się Szujski sam z nimi solidaryzował zawsze, niezmiennie, aż do śmierci. Jeżeli trzeba dowodów, jest *List do Bilińskiego*, pisany w ostatnim roku życia. Każdy sam stanowi, czem jest i czem być chce; a mówić po jego śmierci, że nie był tem, czem się przez całe życie wyznawał, to, w ustach Pawła Popiela, było — dziwnem, a dla nas w najwyższym stopniu przykrem![1]).

Nie było to wprawdzie niespodzianką dla Tarnowskiego, on bowiem, jak tego dowodzą ogłoszone w r. 1889 *Próby rozstroju*, już w bardzo krótkim czasie po zgonie Szujskiego miał powód do zanotowania podobnego faktu: »Nie wyszedł rok po jego śmierci, a tłómaczono nam i zaręczano, że nie należy Szujskiego łączyć i mięszać ze Stańczykami, bo on Stańczykiem nigdy nie był. Co zresztą sam przepowiedział, kiedy mówił: »jak ja umrę, to ze mnie zrobią zaraz kij, żeby nim bić was pozostałych«. Ale żeby i Paweł Popiel mógł znaleźć się w tym szeregu, tego się Tarnowski nie spodziewał. *Et tu Brute?*

---

[1]) Gdy rozprawa Tarnowskiego wyszła w osobnej broszurze, *Przegląd powszechny* zamieścił o niej recenzyę podpisaną literami *F. M.* »Rozprawa — czytamy między innemi — streszcza znakomicie wszystkie ważniejsze publikacye Popiela, przygotowuje, a co najważniejsza zachęca do ich czytania, gdy ten, co ich dostatecznie nie znał, przez nią nabiera świadomości, ile one warte, jak wiele z nich nauczyć się można«.

Tymczasem w maju r. 1892 zaczęła się ukazywać w *Przeglądzie polskim* część druga pracy Tarnowskiego o niezapomnianym i nieodżałowanym przyjacielu: *Szujskiego lata młodości*. Jako jej świadek naoczny, Tarnowski pragnął utrwalić na piśmie, co wiedział o tych ważnych i ciekawych latach przyszłego autora *Odrodzenia i Reformacyi*, latach, w których »z gorącego, rozżarzonego, ale płynnego metalu młodzieńczych uczuć odbywał się proces wykuwania przyszłego charakteru i żywota«. Okres to w życiu i rozwoju umysłowym Szujskiego nader doniosły i dlatego powinien być należycie rozjaśnionym. »Przyjdzie czas — słowa są w tej kwestyi Tarnowskiego — kiedy ludzie, zgłębiwszy dzieła historyka, spostrzeżenia i uwagi polityka, uczują z kolei smutny a silny urok natchnień poety, i wreszcie zaczną zajmować się ciekawie osobą człowieka, jego charakterem i dziejami jego duszy. Jakim był autor *Dziejów*, *Roztrząsań*, *Kilku Prawd* i *Niepoprawnych*, *Sługi Grobów* i *Roku Polskiego?* Przez jakie koleje przechodził, jakie przeobrażenia myśli i burze uczucia wstrząsały jego duszą, zanim ona dostała do tej głębokości rozumienia i sądu w naszych sprawach dzisiejszych i przeszłych? Jakie ogniowe próby przechodziła jego miłość ojczyzny? i jak nie tracąc w tych próbach nic ze swojej istoty, stawała się coraz doskonalszą przez połączenie wzniosłości z mądrością? Jaka była stopniowa formacya jego pojęć i zasad? Słowem, jaki był Szujski sam i jaka jego własna historya? Kto sobie kiedyś zada to pytanie, ten w dziełach znajdzie wskazówek wiele; będzie miał na czem opierać domysły, przypuszczenia, wnioski, i nieraz, z tą jedynie pomocą, dojść zdoła do prawdy. Jednak zadanie jego będzie znacznie łatwiejszem, rezultat jego dochodzeń pewniejszym, jeżeli współcześni zadadzą sobie pracę zebrania tych różnych i licznych szczegółów i faktów, które, im wiadome, dla przyszłych pokoleń znikną; jeżeli zrobi się dla niego to, czego nie zrobili dla nas, na wielką naszą szkodę i żal, współcześni Kochanowskiego, współcześni Skargi, nawet współcześni Krasickiego. Tacy żywi świadkowie przechowują depozyt ważny, czasem prawdziwe skarby wiadomości, które potomni gotowiby i radziby przepłacać, gdyby je nabyć mogli i mieli od kogo. Nie powinni się lenić; owszem, co wiedzą, niech podadzą do wiadomości powszechnej«. W tej myśli, po spisaniu wspomnień o Szujskim gimnaziście, spisał Tarnowski z kolei swoje wspomnienia o nim z jego lat uniwersyteckich.

Z obu tych prac, obejmujących czasy szkolne i »lata młodzieńcze« autora *Halszki z Ostroga*, złożyła się spora książka, którą też

Tarnowski, jako *Szujskiego młodość*, w r. 1892 wydał w formie osobnego tomu.

Dzieło to ocenił w *Kwartalniku historycznym* Zdzisław Hordyński, który je, jako »subtelny« obraz młodości Szujskiego, tak charakteryzuje:

Obok faktów z życia, dobrze autorowi znanych, znajdziemy tutaj nietylko ich właściwe wytłómaczenie i oświetlenie, ale nadto, co najważniejsza, szczegółowe i dokładne przedstawienie tych duchowych procesów, które się w umyśle i sercu Szujskiego w tych latach odbywały, a które go uczyniły takim, jakim go później widzieliśmy i znali. Materyały na to złożyły się liczne, bo i wiersze Szujskiego, i listy poufne do przyjaciół, i własne zapiski jego z lat późniejszych; ale najważniejszem, najgłówniejszem źródłem, z którego autor pełną czerpie dłonią, to wspomnienia własne z lat razem z Szujskim na ławach szkolnych spędzonych, zwierzenia jego ustne, myśli, któremi dzielić się lubił, słowem, dokładna znajomość człowieka, oparta na przyjaźni szczerej, serdecznej, która aż do grobu przetrwała, potęgując się i rosnąc ciągle, a która się właściwie w owych latach młodzieńczych zaczęła.

Streściwszy następnie całą pracę Tarnowskiego, recenzent w taki sposób zdanie swe o niej ostatecznie sformułował:

Wszystkie te prace, walki, przejścia Szujskiego przedstawia prof. Tarnowski na szerokiem tle ówczesnych stosunków krajowych z jednej, a osobistych Szujskiego stosunków z drugiej strony. Przed oczyma naszemi przesuwa się cała galerya typów młodzieży ówczesnej i jej profesorów, malowanych wprost z życia i rzeczywistości. Od poważnych tej młodzieży usiłowań, z których każde jest ściśle określone i osądzone, aż do owych niewinnych żartów, psot i małych wykroczeń studenckich, wszystko tu się znalazło, by nam dokładnie odtworzyć atmosferę, w której się poruszał, którą oddychał i żył młody Szujski. Podobnie ściślejszym i serdecznym przyjaciołom Szujskiego poświęcił prof. Tarnowski dłuższe wzmianki, określając stosunek ich do Szujskiego, tudzież wzajemne oddziaływanie tych młodych ludzi na siebie. Nie możemy w tem sprawozdaniu naszem podawać treści całej książki, za którą prof. Tarnowskiemu wielka się wdzięczność należy, nietylko bowiem ratował on od zupełnej niepamięci wiele szczegółów z życia Szujskiego, ale nadto dał go nam poznać takim, jakim był w swojej najgłębszej istocie.

Od 20 kwietnia do 20 maja 1893 roku obradował Sejm we Lwowie, sejm, podczas którego zabierał głos i Tarnowski, przemawiając przeciwko rozszerzaniu praw wyborczych ludności z miast. »Rzeczą jest, jego zdaniem, zupełnie niewłaściwą stawiać tę kwestyę na jakimkolwiek gruncie stronniczym, a cóż dopiero stanowym. To nie jest sprawa t. zw. konserwatyzmu, ani t. zw. postępu, ani szlachty, ani miast; to jest sprawa społeczeństwa całego, jak jest, jego wolności, jego praw, jego zdrowia i rozumu. Owszem, demokracya (skoro się tak nazywać lubi) interesowana jest pierwsza i głównie w tem, żeby na wybryki i zaburzenia przy wyborach nie

pozwalać, a gdy się zdarzą, występować przeciw nim energicznie i stanowczo. Interesowana i obowiązana naprzód dlatego, że mówi, iż lepiej od innych i gorliwiej dba o wolność i postęp, a wszelki gwałt przy wyborach jest obrazą i przeczeniem wolności, i nie postępem, lecz cofaniem się wstecz w sejmikowe czasy; powtóre dlatego, że jeżeli zacznie pobłażać, folgować lub pochlebiać żywiołom, które krzykiem i pięścią chcą wybory przeprowadzić lub je udaremnić, to prędzej czy później sama, pod przemocą takiej krzykliwej i pięściowej mniejszości, upadnie«.

Podczas trwania tej sesyi sejmowej wygłosił Tarnowski odczyt we Lwowie, będący szeregiem rozmyślań *Z powodu Panamy*, rozmyślań, które biorąc za punkt wyjścia stan Francyi w sto lat po wybuchu Rewolucyi, »tej Francyi, którą przywykliśmy uważać za szczyt i czoło naszej cywilizacyi, za naród od Wojen Krzyżowych najbardziej rycerski, najbardziej honorowy ze wszystkich«, za cel główny miały bezstronne zdanie sobie sprawy ze stanu naszego społeczeństwa w okresie tego chmurnego *fin de siècle'u*, a w sto lat po rozbiorze dawnej Rzeczypospolitej. Jedno, zdaniem Tarnowskiego, nie ulegało wątpliwości, że w całej Europie a we Francyi szczególniej, daje się zauważyć obniżenie moralności publicznej, stępienie honoru, przytłumienie publicznego ducha, co wszystko razem po latach sprowadza takie nagłe odsłonięcie korupcyi, taki wulkaniczny wybuch brudu, jak w skandalicznej sprawie panamskiej. A to zło zaczęło się od rewolucyi, w której, pod zbyt słusznemi często twierdzeniami i żądaniami, krył się zabójczy pierwiastek przeczenia, nienawiści. Jak to, co w r. 1879 słuszne i dobre, tak i ta nienawiść, ta zazdrość, z Francyi rozeszła się po świecie, stała się uniwersalną. Ona, zamiast do wolności i postępu, wiedzie nas przez socyalizm i anarchię do barbarzyństwa. Doszła ona i do nas, i po pięknym naszym roku 1791, rychło puściła pierwsze swoje żądła; a w wieku obecnym paraliżowała nasze siły, tępiła rozumy, udaremniała zamiary i usiłowania. We Francyi zakończyła się brudami panamskiego procesu. »W sto lat po potokach krwi — potoki błota; w sto lat po nienawiści — nikczemność; po zazdrości używania — oszustwo i kradzież; w sto lat po zbrodniach — wstyd; w sto lat po gilotynie — Panama!« U nas na szczęście jeszcze się nie zdarzyło nic podobnego. Na to zaś, żeby nie zdarzyło się nigdy, jedna rada: jak najwięcej porządnych, prawych ludzi, jak najmniej podejrzanych i nieczystych, we wszystkich kierunkach i czynnościach życia, a do tego dochodzi się tylko przez czujną, śmiałą, zdrową, niepobłażliwą opinię. »Jak zepsucie nie zna różnicy stanów i majątków, i może toczyć najwię-

kszego pana, jak i najnędzniejszego żebraka, tak cześć i zdrowie moralne jest potrzebą i powinnością zarówno t. zw. postępowych, jak t. zw. wsteczników; w obliczu tej powinności, jak i w obliczu zepsucia, niestety, równość jest zupełna, obowiązek ten sam. Tylko kto więcej do swoich przekonań i zasad jest przywiązany, im silniej przekonany, że w tych zasadach jest przyszłość i siła jego narodu, im rzetelniej kto kocha swój naród i swoją ojczyznę, tem żywiej będzie ten obowiązek czuł, tem czujniej i troskliwiej będzie go przestrzegał i pełnił«.

Mniej więcej w tym samym czasie, co ukazanie się w druku tego odczytu, zamieszczonego w kwietniowym zeszycie *Przeglądu polskiego*, znalazło się na półkach księgarskich obszerne dzieło Tarnowskiego o *Zygmuncie Krasińskim*.

Jak w roku 1861 studyum Klaczki o *Poecie bezimiennym*, tak obecnie w roku 1893 w literaturze o twórcy *Irydiona* książka Tarnowskiego stanowiła epokę, stała się w badaniach nad życiem i twórczością wieszcza *Psalmów* punktem zwrotnym. »Na schyłku wieku, kiedy gasnąć się zdają jedne po drugich te wielkie myśli, dążenia, nadzieje, które nad nim jaśniały, a świat nasz chciały wieść do lepszej przyszłości; kiedy pękają formy, w których wiek ten żył, a nierozwiązane leżą kwestye i sprawy, któremi się zajmował, i kiedy w miejsce ich wstępują inne myśli i dążenia i wykształcą sobie zapewne formy inne i inne porządki rzeczy; na tym schyłku wieku czas jest i potrzeba zebrać, co się wie i co się myśli o człowieku, który tych dążności szlachetnych, potężnych, nieurzeczywistnionych, był najwierniejszym, najdokładniejszym, a podobno i najwyższym wyrazem; który »na światach poczętych, na światach mających zginąć« przeczuwał, przenikał, wskazywał myśl Bożą w ludzkich dziejach: o Zygmuncie Krasińskim«. Czasy się zmieniają, zmieniają się i pojęcia, któż więc zaręczyć może, że przyszłe pokolenia zdołają zrozumieć należycie Krasińskiego, czy tak dobrze będą umiały przeniknąć jego myśl, jak to pokolenie właśnie, »które się jeszcze na Krasińskim chowało, z niego głównie wzięło ten zapas pojęć i przekonań, którym kierowało się w swojem życiu«. Jako należący do tego pokolenia, Tarnowski niemal od początku swego pisarskiego zawodu bardzo wiele zajmował się Krasińskim, a ten kult, który miał dla wieszcza *Resurecturis* ujawnił się przedewszystkiem w mistrzowskiej przedmowie do *Pism Zygmunta Krasińskiego*, wydanych we Lwowie w r. 1875, przedmowie, która śmiało może być przeciwstawioną rozprawie Klaczki o *Poecie bezimiennym*. W następnych latach raz po raz występował Tarnowski,

jako gorący rzecznik piewcy *Przedświtu.* W roku 1877 ogłosił w *Przeglądzie polskim* źródłowy artykuł o *Listach Krasińskiego do Sołtana;* w roku 1881 wygłosił w Warszawie trzy odczyty o *Nieboskiej Komedyi,* drukowane następnie w *Niwie;* w roku 1877 wygłosił we Lwowie seryę odczytów o *Irydionie;* w roku 1882 wydrukował w *Czasie* szereg feljetonów o listach Krasińskiego do Gaszyńskiego, w roku 1888 wydrukował w *Przeglądzie polskim* studyum o *Miłości w poezyi Krasińskiego;* w r. 1891 na wieczorze ku czci poety wygłosił we Lwowie odczyt *O Zygmuncie Krasińskim;* a wreszcie w swych wykładach uniwersyteckich, raz po raz poświęcał cały kurs Krasińskiemu.

Z tych wykładów, oraz z prac, ogłoszonych poprzednio, uzupełniona paru nowemi rozdziałami, napisanemi w ciągu roku 1892, powstała książka o *Zygmuncie Krasińskim,* pierwsza o nim obszerna monografia, która obok rozbioru dzieł, stara się złożyć i całkowity rys życia poety.

Samo się przez się rozumie, że gdy dzieło tej doniosłości — choć go autor nie uważał za dostateczną i wyczerpującą pracę o Krasińskim — wzbogacało literaturę, krytyka pokwapiła się z wypowiedzeniem swojego zdania o niem. Jakoż istotnie w stosunkowo niedługim czasie pojawiło się mnóstwo recenzyi, z których kilka urosło poprostu do rozmiarów studyów, a które jednomyślnie podnosiły niezwykle wysoką wartość książki Tarnowskiego.

Z pomiędzy krytyków, którzy o tem dziele wypowiedzieli swe zdanie, pierwszeństwo »z wieku i z urzędu«, należało się przyjacielowi Krasińskiego, sędziwemu Augustowi Cieszkowskiemu, który między innemi tak się wyraził o pomienionej pracy:

Jeżeli idzie o moje indywidualne zapatrywanie na to piękne dzieło, to chętnie dodam, że w miarę, jak mi je czytano, rosło u mnie przekonanie o jego nietylko naukowo-literackiej, ale zwłaszcza praktyczno-społecznej wartości i doniosłości, co — niech mi darują wyłącznie zwolennicy sztuki dla sztuki, albo nauki dla nauki, jest dla mnie przedewszystkiem i nadewszystko celnym i celującym względem, bo to dopiero podnosi dzieło, chociażby już doskonałe w sobie, do wyższej jeszcze godności i potęgi, nadając mu stanowcze piękno etycznego czynu. I przypomniało mi się przytem, com niegdyś Zygmuntowi na wiersz jego: »zgińcie me pieśni, wstańcie czyny moje«, krótko i węzłowato odpowiedział: »Mylisz się, a pieśni twoje nie zginą, bo już są czynami«, i zdawało mi się co chwila znajdować w ich krytycznym, organicznym komentarzu wymowne tego zdania udowodnienie. Z pociechą ciągle wzrastającą, a nieprzerywaną byle jaką różnicą zdania, śledziłem obok wykładu duchowej ewolucyi wieszcza, proces stawania się czynem jego pieśni i apoftegmatów, począwszy od pierwotnych tworów czynnej lub biernej intuicyi, następnie przez rozwój refleksyi i praktycznego rozumu, aż do stanowczego wkroczenia w stadyum czynu i społecznego działania. Bo cóż bardziej zasługuje na nazwę czynu, a nawet już zarodu i modły tych »świętych czynów«, do których prośbą i groźbą nawoływał braci, nad torowanie

drogi narodowi na ciężki dzień dzisiejszy, drogi pracy i zasługi, wytrwałości i poświęcenia; warunkowanie i obwarowywanie tej drogi przed wielką czyhającą przepaścią, obsiewanie jej brzegów złotemi myślami, które snać nie padły wszystkie na opokę, skoro coraz gęściej kiełkują w przysłowia, a więc dojrzeją niebawem i plonować poczną na przekorę przedrzeźniaczom niewidzącym w nich nic nad »receptę na zbawienie Ojczyzny«, a nareszcie opatrywanie tej drogi przy każdej mylnej albo rozstajnej w Chrystusowe na dzień jutrzejszy drogowskazy z pałającym na nich napisem: *in hoc signo vinces*. Otóż uprzytomnienie nam całego pasma tych robót w przeźroczej i wspaniałej syntezie, dobitne wykazanie, że ich twórca, narodowy wieszcz przyszłości, nowoczesny apostoł miłości, dobrej woli i staropolskiej ojców cnoty, acz chwalony i cytowany często, bywał przecie nieraz błędnie, bo jednostronnie, albo bezwarunkowo pojmowany, co jednych uwiodło, drugich zraziło, a wielu ze współczesnych w błahą wymówkę, że »mistyk« albo że »mglisty i ciemny«, zaopatrzywszy, odstręczyło i zobojętniło. Gdy tymczasem dziś, dzięki mistrzowi krytyki, który mistyce wręcz zaprzeczył, a mniemaną mglistość lub ciemność światłem analizy rozprószył, staje się już i coraz dzielniej stawać się będzie *clarus post genitis*; nareszcie samo wyrzeźbienie postaci naszego Zygmunta, nietylko jako poety europejskiego znaczenia i przeznaczenia, ale i jako myśliciela, jako bystrego, zdrowego, trzeźwego i jasno widzącego polityka (czem byli również w swoim czasie natchnieni Prorocy izraelscy, uwielbiani od swoich, a jednak mało słuchani, a jeszcze mniej rozumiani, aż przyszło, co przyjść miało... i nieprzygotowanych z pogasłemi lampami zastało): to wszystko razem stanowi dzieło niemałej pracy i społecznej zasługi, a więc znowu c z y n, z którego wpływu i wynikłości zawczasu się cieszę [1].

Jana Boloza Antoniewicza, który sam napisał kilka cennych rozpraw o Krasińskim, pobudziła książka Tarnowskiego do napisania obszernego studyum p. t. *Zygmunt Krasiński i dzieło Stanisława Tarnowskiego* [2]. W studyum tem, pełnem niepospolitych błysków myśli, znalazła się też — we wstępie — krytyczna ocena książki, dopełniona subtelną i nader trafną charakterystyką autora. O książce tak między innemi pisał wspomniany krytyk:

Charakteryzując ogólnie wzór dzieła biograficznego, podjętego przez umysł wybitny i potężny, który zamierza dziełem tem dojść do jednoczącej i łączącej całości, do affirmacyi, do syntezy, sądzę, że równocześnie scharakteryzowałem w najogólniejszym zarysie dzieło Stanisława Tarnowskiego o *Zygmuncie Krasińskim*. Jest ono ze wszech miar znakomitym reprezentantem swego rodzaju. Kto chce całość jego objąć, znaczenie jego w dziejach naszej nauki i kultury należycie i sprawiedliwie zrozumieć i osądzić, ten musi przedewszystkiem zrozumieć i uznać stanowisko autora. Dzieło to nie jest bynajmniej jedynie martwym i mechanicznie działającym łącznikiem między umysłem czytelnika a czarującą postacią Zygmunta Krasińskiego. Postać autora wsuwa się bardzo znacząco między czytelnika i poetę. On myślom czytelnika nietylko widomie przewodniczy, ale i niemi kieruje bezwiednie. Ile myśli, zdań i sądów autora, tyle etap, które czytelnik w tej wędrówce ku dziełom wielkiego poety przebywa.

---

[1]) *Czas*, Nr. 53 z d. 5 marca 1893 r.

[2]) *Przegląd polski*, 1896, kwiecień i nast.

Etapy te leżą czasem bliżej czytelnika, czasem znowu tuż przed dziełami samemi poety, ale zawsze na najkrótszej, bo prostej linii wiodącej do niego. Czytelnik nie potrzebuje nigdy do nich zbaczać, ale zawsze musi się u nich zatrzymać; po nich dopiero i przez nie dochodzi do dzieł poety, do objęcia całości tej przedziwnej postaci. A kiedy się dzieło to, pisane z myślą głęboką, z sercem wielkiem, też myśli i sercu swemu przyswoiło, gdy się ten gruby tom, zamykający koleje jednego z najwyższych duchów narodu naszego odkłada, wtedy wynurza się przed wzrokiem naszym, z zamętu niedawnej przeszłości posąg Zygmunta Krasińskiego, pierwszy pomnik, jaki wzniósł Zygmuntowi Krasińskiemu naród polski, przez jednego ze swych najlepszych synów.

A nie jest to pomnik jedynie w zdawkowem znaczeniu przenośnem. Dzieło prof. Stanisława Tarnowskiego o Krasińskim, o ile mi danem jest w jego najgłębsze właściwości wniknąć, zawiera tyle cech, ma tyle znamion wybitnych, że do tego porównania nietylko się nadaje, ale wprost wyzywa. Bo pierwszą, w oczach moich najwybitniejszą, w dzisiejszych czasach podwójnie cenną, bo tak odosobnioną zaletą tego dzieła jest jego monumentalność. Jest w tem dziele coś rzeźbiarsko skończonego, coś monumentalnie imponującego. Zastanówmy się nad tem, na czem to polega, że to dzieło czyta się z odmiennem wrażeniem i uczuciem, że się je kończy z inną konkluzyą, jak tyle innych wybitnych dzieł historycznych i biograficznych współczesnych. Zastrzegam się tu najwyraźniej, jak gdybym przez odłączenie tego dzieła od innych współczesnych chciał je równocześnie nad wszystkie współczesne wywyższyć. Nie gołosłownem podniesieniem na najwyższy stopień wartości, ale zrozumieniem jego zawartości takie dzieło sądzić się powinno. Autor tego dzieła i przedmiot jego nie potrzebują panegiryku i nie znoszą go. Panegiryk ostatecznie, z natury rzeczy, przedmiotowi swemu nieraz bardziej ubliża, bo go powierzchownie zbywa i mechanicznie załatwia. Dzieło to nie potrzebuje pochwały, ale żąda oceny.

Zdaniem krytyka, dzieło to całym swoim organizmem umysłowym różni się od innych, stoi bowiem jakby nietknięte wśród prądów, które dzisiaj literaturę i historyę na swych toniach unoszą. »Czemby dziś wśród migających — impresyonistycznych — efektów malarstwa była rzeźba wierna swoim warunkom a silna odrębnością swych środków i celów, tem jest wśród dzisiejszego kierunku umysłowego dzieło prof. Stanisława Tarnowskiego. Obok swej naukowej potencyi ma ono jeszcze przez sam swój organiczny skład, tak odrębny i samoistny, zupełnie wyjątkowe znaczenie i staje się jednym z najwybitniejszych punktów w rozwoju umysłowości polskiej w ostatniej ćwierci wieku«.

W dziele tem oddał autor wszystko z Krasińskiego, co tylko posągowa rzeźba oddać może. Nie widzimy go więc w pewnym wieku życia, ale staje on przed nami młodzieńczy i dojrzały zarazem, jeszcze jako twórca *Irydyona*, a już jako prorok z *Przedświtu*, z twarzą, nie mdło idealizowaną, ale niosącą na sobie cechy długoletniej pracy misternego dłuta, które w wyrazie chwilowym przeszłe i przyszłe lata łączy i przeciwważy. Nie przedstawia go nam autor w ekstazie proroczego uniesienia *Przedświtu*, lub w chwili, kiedy w *Psalmach* daje narodowi krew swoją, ani też w czarnej chwili omdlałego zgnębienia, lub strasznej rozpaczy, nie przedstawia go rozognionego miłością, lub buchającego nienawiścią, nie

widzimy go w żadnym przelotnym afekcie, w żadnym chwilowym nastroju. Wielka postać, raz skrystalizowana w monumentalnem dziele, wraża się w naszą pamięć i wyobraźnię, prawie tak jak bohater historycznego dramatu. Żadne dokumenty i tajne archiwa nie zamącą i nie odbiorą nam Schillerowskiego Wallensteina, mimo niewątpliwych dowodzeń o mistyczności Tella nie przestaniemy w niego wierzyć. Wątpię, żeby późniejsza, choćby wielotomowa biografia zdołała zatrzeć lub zamącić rysy postaci stworzonych rylcem Macaulaya. Nie jest to przypadkowem, że Stanisław Tarnowski pierwszemu poświęcił głębokie badania i że drugiego na język polski przełożył: obie prace stoją w najściślejszym związku z tokiem jego idei naukowych i etycznych. Macaulay niejeguo pominął z umysłu. Rzeźba nie może oddać ani namiętnego spojrzenia, ani nagłego rumieńca. I w posągu Krasińskiego musi niejedna myśl drgająca skryć się za spokojnie sklepionem czołem, a niejedno gwałtowne uderzenie serca chować się pod posuwistemi fałdami płaszcza. Tylko kosztem szczegółów daje się osiągnąć to, co Schiller i Wilhelm Humboldt za najwyższy cel umysłowej pracy uważali, to jest idealna całość — *die Totalität*.

Dwa momenty też górują w postaci Krasińskiego, odtworzonej przez Stanisława Tarnowskiego, nad wszystkiemi. To, co poeta uczynił z każdą cenną chwilą życia, z każdym czczonym umysłem, z każdem ukochanem sercem, uczynił pierwszy biograf z całem życiem poety: wydobył z niego przedewszystkiem narodowy i etyczny pierwiastek. Tu kongenialność największa, tu jedność między poetą a myślicielem, między bohaterem a jego biografem najzupełniejsza. To najtrwalszy, najcenniejszy, i w swej prostocie najpiękniejszy postument pod pomnik poety. Na tym fundamencie wznosi się, rośnie w oczach naszych, i wyrasta w olbrzyma postać geniusza. Na ścianach tego cokółu granitowego przyciągają oko medaliony z kilkoma misternie tchniętemi, delikatnie płaskorzeźbionemi popiersiami osób najbliższych myśli i serca poety. On sam z wyżyn spogląda na dzieła swoje, które, jak dzieci u stóp ojca, na stopniach pomnika się rozsiadły. U stóp posągu złożył autor wieniec uwity ze wszystkich wiar i przekonań, miłości i nadziei swoich. On też na to zasłużył, by na tym pierwszym pomniku pierwszy wieniec złożył.

Podobnie, jak prof. Antoniewicza, tak i młodego a przedwcześnie zmarłego uczonego lwowskiego Tadeusza Sternala, pobudziła książka Tarnowskiego do napisania obszernego studyum o twórcy *Przedświtu*, studyum, które poczęte *Z powodu dzieła Stanisława Tarnowskiego o Zygmuncie Krasińskim*, miało być jego pożytecznem uzupełnieniem. Studyum to, początkowo zamieszczone w lwowskim *Przewodniku naukowym i literackim*, wyszło także, w formie książki, która, przynosząc wiele ciekawych szczegółów o Krasińskim, zajmuje, jako przyczynek do jego życia i prac, poczestne miejsce w literaturze o nim.

Książka zaczyna się od krytycznej oceny dzieła Tarnowskiego, które w następujących słowach zostało osądzone:

Dzieło, którego tytuł wymieniliśmy u góry, nabrało odrazu niebywałego w literaturze znaczenia. Najpierw dlatego, że jest pierwszą większą pracą o wielkim poecie, powtóre dla osobistości autora, będącego nietylko znakomitym krytykiem, a najznakomitszym estetykiem, ale jak w tym wypadku ogólny głos przyznawał, jedynie uprawnionym a nawet obowiązanym do napisania mono-

grafii. Długo oczekiwane na pewno, jako rzecz, którą prędzej lub później otrzymamy, ukazało się ono nareszcie, wprawiając zaraz na pierwszy rzut oka w zdumienie swoją objętością... Dzieło nie mogło być innem, tylko takiem, jak je znaleźliśmy. Streszczenie, czasem rozszerzenie tego, co autor i inni o Krasińskim napisali, powiedziećby można słusznie, gdyby nie chodziło o dwie tak wybitne postacie, jakim jest w poezyi Zygmunt Krasiński, a we współczesnej historyi literatury Stanisław Tarnowski, a co dziełu nadało zupełnie osobne i z niczem innem porównać się i zestawić nie dające piętno, którego nie poznać i nie podnieść byłoby ciężkim krytycznym grzechem. Pierwszy, poeta, który, co nawet najbliżsi mu współcześnie spostrzegli, geniuszu swego nie poddał hasłu: sztuka dla sztuki, lecz najwyższym celom etyki społecznej a raczej politycznej, gdzie tendencya wszechwładnie opanowała każdą treść; w drugim któż nie pozna, że całe działanie żywota jego skierowane było w tych samych celach, w tych samych odcieniach, a tylko bronią i środkami się różnili. Powiedzieć, że pierwszy jako poeta zajmował to samo stanowisko, co drugi jako historyk literatury, maluje sytuacyę doskonale, a kto przeczytał i zrozumiał słowa przedmowy, gdzie jest wyznanie przejęcia się zasadami Krasińskiego, ten nie zaprzeczy, że maluje prawdziwie. Należy dodać, że malowałoby niepochlebnie bezstronność krytyka, gdyby nie jeden szczegół ogromnej doniosłości: nie za Krasińskim poszedł historyk literatury, ale z nim razem obaj zeszli się na stanowisku jednem i tem samem; poeta mógł się przyczynić do utwierdzenia chyba i wyklarowania tych zasad. Z tego stanowiska, z którego Krasiński patrzy prawie zawsze na najbardziej piekące kwestye, czy to społeczne, czy polityczne, patrzy i biograf jego, tylko ma nad nim tę wyższość, że z niego nigdy nie zeszedł i dlatego nieraz ma mu to lub owo do zarzucenia. Czy potrzeba mówić, że to stanowisko moralności, które nie dopuszcza żadnych wahań, lecz bezwzględnie piętnuje złe, a podnosi dobre. A jak Krasiński święcie wierzył, że w polityce, co dobre pod względem moralnym, na dobre obrócić się musi, a co niemoralne, to i niekorzystne, biograf jego na tej samej podstawie jest estetykiem: kryteryum piękna leży dla niego zupełnie tam, gdzie dla Krasińskiego kryteryum etyki. Zdaje się, że niema potrzeby rozprowadzać szerzej tych rysów charakterystycznych u poety i w dziele biografa, zwrócimy więc tylko uwagę najpierw, jak ciekawe jest, że poeta i myśliciel, wychodzący z punktu etyki, której bezwzględnie podporządkowywa życie narodów i politykę, znalazł podobnego biografa, a następnie wypowiadamy nasze zdanie, że pod tym względem, cokolwiek kto jeszcze o Krasińskim napisze, nie zmienią się nigdy sądy i poglądy tu zawarte, choćby nowe źródła okazały nawet całkiem odwrotny porządek chronologiczny dzieł poety.

W *Kwartalniku historycznym* napisał wyczerpującą krytykę dzieła Tarnowskiego prof. Józef Kallenbach, krytykę, która sama będąc raczej nowym przyczynkiem do rozwoju twórczości Krasińskiego, w ten sposób charakteryzuje monografię o nim:

Przedewszystkiem oddajmy hołd szczerości tej książki i jej sądów. Miłość zwykła zaślepiać. Miłość poety i jego arcydzieł widnieje na każdej stronnicy tej pięknej książki o Krasińskim, a przecież nigdzie dotychczas nie spotka się tylu sądów surowych o życiu człowieka, o usterkach poety. Pod tym względem praca prof. Tarnowskiego jest w najpiękniejszem znaczeniu wyrazu budującą. Nie sposób zestawiać tu wszystkich spostrzeżeń i nieubłaganych sądów autora. Są całe rozdziały, zwłaszcza ostatni, które trzeba czytać, odczytywać i znowu czytając

nowych się doczytywać prawd, nowych piękności. Są epizody okraszone najwykwintniejszym dowcipem, n. p. owa charakterystyka romantyczności »tandetnej«, romantyzmu drugorzędnego, która jest sama w sobie arcydziełem. Zarys religijnych i filozoficznych pojęć Krasińskiego jest pierwszą, bardzo cenną próbą ujęcia w pewien ład rozrzuconych, czasem zmiennych, mglistych, niedomówionych pojęć filozoficznych poety... Rozdziały, poświęcone rozbiorowi *Irydiona* i *Nieboskiej*, należą do najważniejszych, a są może najlepsze w dziele prof. Tarnowskiego. Mało mamy wogóle w całym naszym dorobku rozbiorów krytyczno-estetycznych, któreby mogły się mierzyć z temi mistrzowskiemi rozdziałami. Bodaj czy nie jest to już ostatnie słowo estetyki o obu tych arcydziełach... Ocena *Przedświtu* obok rozbioru *Psalmów* należy znowu do najlepszych rozdziałów książki. Ustępy *Przedświtu*, mogące ulegać fałszywemu lub naciąganemu tłómaczeniu, doczekały się tutaj stanowczego rozjaśnienia. Wykazał autor, w czem jest pierwiastek szkodliwy *Przedświtu*, w czem było wiele ideału złudnego; w *Psalmach* roztrząsnął najważniejsze zagadnienia chwili bieżącej i dowiódł niespożytej ich żywotności dla narodu. Do tych to kart żywota Krasińskiego stosuje się przedewszystkiem to, co powyżej nadmieniłem, tutaj biograf zapomina o żywocie, krytyk i estetyk wznosi się na wyżyny wszechpolskie i wszechludzkie, wzmacnia nas, pokrzepia, buduje. A tak, jak za życia Zygmunt Krasiński, roztaczając przed spółbraćmi złote malowidła świętego powołania Polski wśród ludów, budził nadzieję, wskazując wysokie szczytne cele, tak dziś, po śmierci jego, ta książka, nieśmiertelnym utworom poświęcona, budzi do znojnej pracy nad wyplenieniem chwastów narodowych, wzywa do przerobienia dusz naszych, miękkich i trwożliwych, na coraz twardsze, coraz hartowniejsze na twardą dolę, pewniejsze siebie i niezłomne.

Z pomiędzy różnych ocen i krytyk, wywołanych dziełem Tarnowskiego, niewątpliwie do najbardziej interesujących należałby obszerny list Teofila Lenartowicza, który, po przeczytaniu książki o Krasińskim, napisał Tarnowskiemu, co o niej myślał, a przy tej sposobności szczegółowo się rozpisał o autorze *Irydiona*, którego bardzo dobrze znał osobiście, wtajemniczony w jego życiowe przejścia. List ten, nieogłoszony oczywiście, między innemi rozwodził się o tem, co w życiu poety mniej dobre, o różnych jego romansowych stosunkach i przejściach. »Ale — tłomaczył go Lenartowicz — tego nie można wciągać w rachubę, za to nie można robić go odpowiedzialnym, b o to n i e o n! On, to to, co w nim piękne i wzniosłe, a co gorsze, to już nie on«.[1]) W parę miesięcy po napisaniu tego listu Lenartowicz już nie żył. W czerwcu odbył się w Krakowie uroczysty jego pogrzeb, poczem trumna autora *Lirenki* spoczęła w Grobie Zasłużonych na Skałce. We wrześniu ukazała się o nim w *Przeglądzie polskim* rozprawa Tarnowskiego, charakteryzująca człowieka i poetę, wyznaczająca mu miejsce na polskim Parnasie, miejsce zaszczytne, jedno z pierwszych między drugorzędnemi, w najbliższem sąsiedztwie Zaleskiego i Ujejskiego, między Polem a Syrokomlą. Uczucie, w ja-

[1]) *Rozprawy i sprawozdania*, II, 327.

kiem Tarnowski pisał to studyum, było bardzo rzewne, bo połączone ze szczerym żalem po człowieku, którego znał dobrze, z którym od wielu lat pozostawał w korespondencyi, dla którego miał wiele serdecznej sympatyi, a w którym czuł nietylko zacnego i prawego człowieka, ale jeszcze i »żywy pomnik« epoki emigracyjnej, ostatniego z poetycznej plejady. Wyrazem tego melancholijnego uczucia był początek artykulu. »Ze zmienionego świata schodzą jeden po drugim ludzie dawnych pokoleń, żywe pomniki Polski już porozbiorowej, a tak niepodobnej do tej, która jest dziś, że pojąć trudno, skąd różnica tak wielka w czasie tak niedługim, choć się to skąd, te powody różnic, zna i rozumie. Niedawno, kiedy umierali jeden po drugim starzy jenerałowie i pułkownicy, troszczyliśmy się z żalem o te pokolenia przyszłe, które nie zaznają ani jednego prawdziwego polskiego żołnierza. Dziś i żołnierzy niema, i ci, co po nich nastali, także już znikli. Po wojennej, napoleońskiej i roku 1831, przyszła emigracyjna i poetyczna epoka; po żołnierzu, który się za ojczyznę bił i nie zwyciężył, przyszedł poeta, który o niej marzył, za nią tesknił, ją w przyszłości widział i przepowiadał:

Z gór, gdzie dźwigali ciężkich krzyżów brzemię,
Widzieli zdala obiecaną ziemię,

a teraz poszli już także za tymi, co dźwigali brzemię karabinów i pałaszy, a obiecanej ziemi upatrywali nie z gór, ale z pola bitew. I jedni jak drudzy do godów życia nie zasiedli. A po tych późniejszych smutno, jak po tamtych, bo każdy nowy grób, to słup milowy, który wskazuje i przypomina, że coraz dalej odchodzimy od tego, co było. Byłaby otucha i pokrzepienie w tej myśli, że coraz bliżej przysuwamy się do tego, co będzie, gdyby wiedzieć można, co będzie!« A co się tycze Lenartowicza, to choć go się szanuje, lubi, nawet kocha, jako człowieka, a w niejednem uznaje się jego moralną wyższość, mimo to jego poezyi nie można podziwiać tak, jakby się chciało, ani jej potrzebować tak, jakby tego pragnęło to uczucie, jakie się ma dla poety. Czy dlatego, że nie był wielki i genialny? albo dlatego, że nie grzmiący i potężny, ale cichy i słodki? Nie. Ale dlatego, że w tych drobnych rodzajach i formach, w których się zamknął, nie zdołał ustrzedz się pewnych przesad, złych zwyczajów, do których ciągnęła go natura, a on nie trzymał jej dostatecznie na wodzy. Stąd zbytnie rozmiłowanie się w swoich własnych wadach, co z latami coraz bardziej przechodziło w manierę, w nadmierną czułostkowość i pieszczotliwość. Słowem, choć od chwili, gdy Klaczko tak surowo osądził *Gladyatorów*, upłynęło lat 35, bezstronny

krytyk, analizujący poezye Lenartowicza, musiał ostatecznie, pomimo najszczerszej sympatyi dla poety, dojść na ogół do tego samego wniosku. Doszedł do niego też i Tarnowski, któremu zresztą w sądzie o poezyach autora *Lirenki* krytyka Klaczki posłużyła za punkt wyjścia.[1])

W niespełna dwa miesiące po ukazaniu się tego studyum o autorze *Bitwy Racławickiej* wypadło Tarnowskiemu do wydrukowanego już zeszytu listopadowego *Przeglądu polskiego* kazać dokleić jedną jeszcze kartkę, która, okolona czarną obwódką, przynosiła pod datą d. 1 listopada 1893 r. następującą, nad wszelki wyraz bolesną wiadomość, (niewątpliwie pióra Tarnowskiego):

W chwili, kiedy zamykamy ten zeszyt, dowiadujemy się, że dziś o godz. 3 po południu umarł Matejko. Ta ostatnia choroba trwała tak krótko, że nawet w mieście nie miała czasu być wiadomą W tej pierwszej chwili czujemy tylko, że znowu duch wielki uleciał w niebiosa, a skończył się żywot, pełen szlachetności i boleści. Ostatnie słowa, na parę minut przed zgonem, były, jak słyszymy: »Boże, zbaw Ojczyznę moją«. Czem serce biło przez całe życie, czem tchnęła każda myśl i każda praca, to odezwało się w tej prośbie, ostatniej na ziemi, a dokończyło się pewnie, jako pierwsza prośba, na tamtym świecie. Na więcej dziś nas nie stać.

Śmierć Matejki zaskoczyła Tarnowskiego. Jeszcze przed jakiemiś dziesięciu dniami — w drugiej połowie października — odwiedził go w pracowni. Mówili o *Ślubach Jana Kazimierza*, które właśnie były na stalugach. Przypatrując się temu obrazowi, Tarnowski zrobił uwagę, że Marya Ludwika trochę za młoda na swoje lata, na co mistrz, oświadczył mu przy pożegnaniu, że nim drugi raz przyjdzie tutaj, ona się zestarzeje. Nie wiedział Tarnowski, że było to jego ostatnie widzenie się z Matejką. Już w parę dni potem rozeszło się w Krakowie, że Matejko słaby. »Ale to zdarzało się tak często — pisze Tarnowski — zdawało się, że zwykłe kurcze, że słaby tylko

---

[1]) Może nie od rzeczy tu będzie napomknąć, że począwszy od roku 1888 zamieszkał Klaczko na stałe w Krakowie, zaczem poszło, że z nim odtąd Tarnowski widywał się ciągle. W roku 1893 odczytał Tarnowski, na dorocznem posiedzeniu Akademii Umiejętności, studyum Klaczki o *Św. Franciszku z Asyżu i gotycyzmie włoskim*, które to studyum sam uprzednio z francuskiego na polski przetłomaczył, a następnie w *Przeglądzie polskim* w zeszycie lipcowym wydrukował.

W tymże roku 1893, w lipcu, odbył się w Krakowie, z inicyatywy ks. Chotkowskiego Wiec Katolicki, na którym w d. 7 lipca Tarnowski wygłosił mowę o *Niebezpieczeństwach grożących Kościołowi w naszym Kraju*. Mowa ta znajduje się przedrukowana w t. II *Studyów politycznych* str. 385—407. Niepodpisany artykuł *Po wiecu katolickim* zamieszczony w sierpniowym zeszycie *Przeglądu polskiego*, również jest pióra Tarnowskiego.

i cierpiący, nie bardzo chory. Dnia 1 listopada, była może trzecia po południu, dowiedziałem się dopiero o niebezpieczeństwie. Pobiegłem; już nie żył, skończył przed kilkoma minutami. Cierpienia były okropne, przytomność zupełna i świadomość końca. Żonie polecał: »Nie pozwól chować mnie na Skałce«. Chciał leżeć na cmentarzu, jak wszyscy, przy ojcu, przy małej córeczce, którą tam pochował. »Ale gdyby mi Zygmunt mógł zadzwonić, to byłoby mi miło«. I dzwonił też na pogrzebie ten *Zygmunt*, z polecenia Kardynała Dunajewskiego; żegnał go tym dźwiękiem, który do nikogo na świecie nie przemawiał rzewniej i wyraźniej, do którego nikt w naszych czasach nie miał większego prawa. Jedne z ostatnich słów Matejki były: »Boże, zbaw Polskę i błogosław moje dzieci!« Dziwnie podobne, prawie takie same, jak ostatnie słowa Szujskiego. Ten, kiedy na parę godzin przed śmiercią miał chwilę ulgi, a razem niezupełnej przytomności, myślał, że jest uzdrowiony, i kazał otaczającym kleknąć, »dziękować Bogu, że mi pozwala jeszcze żyć dla Polski i dla moich dzieci«. Ci dwaj ludzie duszą do siebie podobni, jak przez całe życie taką samą miłością żyli, tak ostatniem słowem, ostatnią modlitwą jeszcze jej świadczyli, jak żeby pieczęć przykładali na całym żywocie. Przystały im takie ostatnie słowa; mieli prawo z takiemi umierać«.[1]) W kilka dni po śmierci Matejki otrzymał Tarnowski od syna jego, Tadeusza, list z następującemi słowami: »Na kilka godzin przed śmiercią ojciec mój zawołał mnie do siebie i rzekł: Jak umrę, pójdziesz do pani Adamowej i do Stanisława Tarnowskiego i oświadczysz im moje ostatnie pożegnanie. Byli mi bliżsi, niż się komukolwiek może wydawać«.

Uroczysty pogrzeb odbył się w d. 7 listopada. Przed domem, gdy trumnę wyniesiono z sieni, przemówił Tarnowski; ci zaś, co otaczając mównicę, słuchali tego przemówienia, świadczą zgodnie, że była to nietylko jedna z najpiękniejszych mów Tarnowskiego, ale nadto była wypowiedziana z tak głębokiem przejęciem, że ci, co go nieraz słyszeli przemawiającego w podobnych okolicznościach, nie pamiętali, by kiedy mówił równie pięknie, z równą potęgą słowa.

Zaczął od wiersza, którym przed laty Wincenty Pol żegnał Zygmunta Krasińskiego:

Po bożym tym znoju
Spoczywaj w pokoju,
O wielki, natchniony, samotny!

— Bożym był naprawdę jego znój — mówił — bo nie na

---

1) *Matejko*, str. 433.

dobro i chwałę ojczyzny tylko podjęty, ale na to, żeby ta ojczyzna cała jak jest stała się jedną wielką w świecie, w dziejach, chwałą Bożą! Wielki był naprawdę, bo zdziałał wiele, zdziałał wszystko, co mógł; a w swoim narodzie ożywił, otworzył cały jeden kształt i kierunek życia, przed nim uśpiony i zamknięty. Natchniony był, bo gorejący wielką miłością; w niej dzieła swoje poczynał i dla niej je tworzył. Samotny: bo troski swoje, uciski swoje, dźwigał sam, własną siłą i wiarą, nie szukając, ktoby mu pomógł i ulżył.

Nic rzadszego w naszym świecie, jak człowiek, w którym jest wielkość prawdziwa. W tym ona była. Była w malarzu, była w człowieku i patryocie. A złożył się na nią, zdaniem mówcy, ten tajemniczy wpływ zbiorowych uczuć, tych, co rozlane wszędzie, w pewnych duszach skupiają się i tryskają, jak krynice, wybuchają jak wulkany; to te nagromadzone miłości, żale, skargi i błagania, które od stu lat podnoszą się z tej ziemi do nieba, a w różnych pokoleniach znajdują ludzi, co mają prawo o sobie powiedzieć: »Za miliony kocham i cierpię!« Z tej miłości wyszło całe malarstwo Matejki. Scharakteryzowawszy je, wytłomaczywszy, w jaki sposób powstały obrazy Matejki, co przez nie wyrazić pragnął, Tarnowski tak mówił pod koniec:

— Po bożym tym znoju, odpocznij w pokoju, ty, coś go nigdy nie miał za życia! I teraz dopiero, mówiąc o nim, chce się mówić z krzykiem, z płaczem, bo życie miał ciężkie i twarde! »Na ziemi pokój ludziom dobrej woli« zwiastowali aniołowie w Betleem! Pokój? W naszym czasie, w naszym kraju, dla ludzi dobrej woli pokoju niema! Jest tylko walka, tylko trud, tylko strach o to, co będzie, wędrówka straszliwa *in periculis, in labore et aerumna*, rozterka w świecie, w narodzie, w własnem sercu i myśli, a im większe to serce, im ta myśl głębsza, tem więcej bierze w siebie wszystkie boleści, tem więcej się trwoży, tem pełniejszy kielich goryczy... On wypił do dna ten, co mu był przeznaczony; ani jednej kropli nie zostawił, i ani jednej w kielichu nie brakło. Kto je zliczy? Domyślamy się męczarni Polaka, ale i tych dobrze nie znamy; a jakie mogły być męki człowieka, artysty, jakie walki pokory z dumą, wyrzeczenia się z pragnieniem, przebaczenia z oburzeniem?... Bóg jeden wie, i on sam wiedział, bo doznał. »Nie poznaliby ojce naszych bolesnych twarzy«. Żadna nie była od tej boleśniejszą, żadna nie nosiła w rysach, w wyrazie głębszego, wymowniejszego piętna cierpienia. A przy tej boleści i przy tem milczeniu, przy tem poświęceniu i wyrzeczeniu się siebie, przy tej pokorze przed Bogiem w wielkości dzieł dokonanych, jak się małym i lichym wydawał

każdy z naszych łatwiejszych, pogodniejszych żywotów! On czynił ciągle i bez wytchnienia, i miałby prawo powiedzieć o sobie, »że się palił wciąż ofiarą na ołtarzu swej ojczyzny« — aż spłonął. Nie zagasł! Świecić będzie na murach naszych świątyń i zbiorów, świecić w dziejach naszej oświaty, w czyścowych dziejach naszego tegowiecznego bytu; oby w naszych duszach także, jako przykład i wzór! I nie zagaśnie przed Bogiem, ale jak kadzidło palić się będzie płomieniem swojej wiary i miłości, swojej boleści i cnoty!... O wielki, natchniony, samotny! odpocznij w pokoju wiecznym, a światłość wiekuista niech po Tobie świeci na tej ziemi.

Mowa ta była jakby szkicem[1]) do obszernej monografii o Matejce, którą Tarnowski, wkrótce po jego śmierci, napisać postanowił, a do której miały wejść te wszystkie rozprawy i sprawozdania o obrazach twórcy *Kazania Skargi*, jakie w ciągu lat, zawsze pod świeżem wrażeniem wystawianych dzieł mistrza, umieszczał w *Przeglądzie polskim*. Do napisania podobnej książki, która by obejmowała całokształt życia i twórczości Matejki, Tarnowski czuł się powołanym, bo choć jego obrazów nie mógł oceniać fachowo, to jednak »tę indywidualność potężną (która od dzieł odłączyć się nie daje) i stosunek jej do swego czasu i społeczeństwa, mniemamy — pochlebiał sobie — rozumieć nieźle. Nie żebyśmy sobie szczególną przenikliwość przypisywali, ale że nieraz słyszeliśmy Matejkę mówiącego, i że należymy do jednego z nim pokolenia, a to ułatwia bardzo znajomość i rozumienie człowieka«.[2]) Jakoż z zapałem przystąpił do tej nowej pracy, tusząc — jak z właściwą sobie skromnością pisał w przedmowie — że to zeznanie naocznego świadka może się potomnym przydać do lepszej znajomości tego, o którym z pewnością wiedzieć będą chcieli jaknajwięcej. Czem jest Condivi dla Michała, tem on pragnął się stać dla Matejki, w którym wogóle widział wiele podobieństwa z Buonarottim. »A zresztą! Czyż trzeba daleko szukać powodów tego uczucia, które nam każe o Matejce pamiętać, myśleć, mówić? Jest ono wspólne wszystkim, i każdy nosi je w sobie. Kiedyśmy sypali mogiłę Kościuszki, nikt nie miał pretensyi podnieść ją znacznie swojemi własnemi rękoma; ale każdy dbał o to, żeby choć jedną taczkę ziemi przywieść i wysypać. Dziś chodzi o wielką

---

[1]) Sam Tarnowski dołączając do monografii swej o Matejce mowę swą wypowiedzianą na jego pogrzebie, pisze w odsyłaczu: »Niniejsza książka jest tylko rozwinięciem tych myśli, które w streszczeniu zawarte były w mowie pogrzebowej«.

[2]) *Przegląd polski*, 1891, październik, str. 181, w sprawozdaniu o książce Witkiewicza.

chwałę, i większą od chwały cnotę, której pamięć uwiecznioną być powinna. Każdy ma prawo, każdemu się godzi, nabrać w taczkę, co może, i zsypać ją na ten pomnik, który w pamięci narodu postawić się należy — oby godny człowieka!«

Ale tymczasem każdy dzień przynosił nowe zdarzenia, które Tarnowskiego raz po raz odrywały od zamierzonej, a w znacznej części już rozpoczętej pracy. W jesieni 1893 roku obchodzono w Poznaniu półwiekową rocznicę pierwszych prac Augusta Cieszkowskiego. Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk, wydając swój *Rocznik*, poświęciło go swemu Prezesowi, przyczem zwróciło się z prośbą do Tarnowskiego, by do rocznika tego napisał przedmowę, a w niej skreślił charakterystykę Cieszkowskiego, jako uczonego, i podniósł jego zasługi. Zadanie było niełatwe, zważywszy filozoficzno-metafizyczny charakter pism autora *Ojcze nasza*, ale jakże tu odmówić życzeniu Towarzystwa Przyjaciół Nauk, zwłaszcza, że to miał być hołd oddany sędziwemu druhowi Krasińskiego. A że chodziło to, by na ten hołd złożyły się różne polskie głowy i serca, różne zbiorowe ciała, żeby w zgodnym chórze nie brakło głosu starej Kaźmierzowskiej szkoły i jej najmłodszej odrośli, Akademii Umiejętności, żeby przeniesionemu na ziemię Piasta synowi Podlasia stara Jagiellońska stolica i stara ziemia Krakusa oddała pokłon, którego jawnie oddać nie mogą tacy, co w skrytości serc swoich niemniej o rocznicy i o zasłudze owej pamiętają, więc należało uledz wezwaniu, choćby nawet »z rzeczywistem zrzeczeniem się wszelkiej miłości własnej«. Ale obawy te, z góry wyrażone we wstępie, okazały się płonne, rozprawa bowiem, poświęcona Cieszkowskiemu, zupełnie stoi na wysokości zadania, odznaczając się wszystkiemi zaletami innych prac Tarnowskiego.[1]) Umieszczona na czele Rocznika Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, praca to, jako artykuł

[1]) Ustęp o dziełach ekonomicznych Cieszkowskiego jest w rozprawie tej prof. Józefa Milewskiego.

W miesiąc po ukazaniu się tego artykułu sędziwy autor *Ojcze nasza* już nie żył. Tarnowski poświęcił mu w *Przeglądzie polskim* krótkie ale wymowne wspomnienie pośmiertne, w którem tak pisał między innemi: »Żal ma swój pryzmat osobny, przez który widziani ludzie wydają się większymi po śmierci, niż za życia, a w Cieszkowskim schodzi nam wszystkim ostatni z tego pokolenia, któremu genialności w umysłach, wzniosłości w uczuciach, wielkości w charakterach nikt nie będzie śmiał zaprzeczać. On był ostatni; on stał między nami, jak towarzysz tamtych za ich życia, a exekutor ich testamentu po śmierci. On kiedy do nas mówił, to w jego słowach słyszeliśmy jeszcze głos i wolę tamtych. On jeden z żyjących (a w młodszem pokoleniu Matejko tylko) nosił na sobie blask chwały i na nas go rzucił!«

Z powodu półwiekowej rocznicy pierwszych prac Augusta Cieszkowskiego ukazała się także w marcowym zeszycie *Przeglądu polskiego* z r. 1894. W kwietniu tegoż roku przypadała setna rocznica bitwy pod Racławicami. *Przegląd polski* uczcił tę rocznicę opisem tej bitwy, opartym na nowych nieznanych materyałach, a poprzedzonym wstępem pióra Tarnowskiego, który w nim między innemi, rozpamiętując na temat kościuszkowskiej Insurrekcyi, pisał, co następuje: »Racławice są wspomnieniem smutnem, choć chlubnem; nie dlatego tylko, że po zwycięstwie nastąpiła przegrana, ale i dlatego także, że wojsko Kościuszki było małe, liczebnie słabe. Kościuszko, jak *Trzeci Maj*, był dowodem, że podniósł się w nas bardzo i duch publiczny i zmysł polityczny; ale jest także dowodem, że choć bardzo znacznie, nie podniósł się on jeszcze dostatecznie. Sejm Konstytucyjny zawiele mówił i rozprawiał, a działał niedość szybko i niedość roztropnie; Kościuszkowskie wojsko było zamałe, żeby uratować Rzeczpospolitę, uratowało tylko honor. Jedno i drugie uczy, że politycznego rozumu, że publicznego ducha, że warunków bytu w państwie nie marnuje się bezkarnie, ani nie odzyskuje na zawołanie, na poczekaniu; że czas tylko i usilna nad sobą praca mogą je narodom przywracać. Ale wszelki postęp na tej drodze jest już wielkiem dobrem; i dlatego skarbem narodu został i *Trzeci Maj* i *Kościuszko*«.

W kilka tygodni po tej rocznicy zmarł w Krakowie Kardynał Dunajewski. Tarnowski poświęcił mu w *Przeglądzie polskim* obszerne wspomnienie pośmiertne, przyczem, pod świeżem wrażeniem wspaniałego pogrzebu dał także wyraz smętnemu uczuciu, w jakiem wraz z innymi szedł za tą trumną: »Piętnaście lat temu — pisał — w samo południe pogodnego, słonecznego dnia czerwcowego prowadziliśmy Biskupa na Zamek. Tłumy wyległy, chorągwie powiewały, dzwony biły wesołym tryumfalnym tonem, a przynajmniej takie budziły wrażenie. W pochmurny dżdżysty dzień, czerwcowy także, ale zimny, jak jesień, tą samą drogą ciągnął pogrzebowy orszak. Jak wtedy, tłumy w dwóch rzędach, jak wtedy ludzie w oknach, ludzie na dachach, tylko ich twarze inne; jak wtedy, flagi, tylko czarne; jak wtedy, dzwony, tylko dźwięk ich ponury. W orszaku darmo upatrywać Szujskiego, Kalinki, Zyblikiewicza, Artura Potockiego, Pawła Popiela, Matejki. Żałobny ten dzisiejszy Kraków, jak ten pochód; bo gaśnie jedno po drugiem to, co w nim świeciło. Świeciła także, wyszczególniała go, ta kardynalska purpura, a jaśniej, niż ona, świeciła dusza Biskupa! I ten blask zagasł! I więcej, niż blask, bo gorejący płomień miłości Boga, Kościoła, Ojczyzny i bliźnich. Wydaje nam się też ciemno i zimno po jego zgonie, i py-

tamy, kiedy i skąd zajaśnieją nowe światła, rozniecą się nowe ognie dusz wielkich? Nie o jedno miasto nam chodzi, kiedy tak pytamy i wyglądamy...«

A tymczasem, dziwnem zrządzeniem opatrzności, los nieubłagany, jakby tych świateł, tych dusz wielkich, było za wiele w Polsce, gasił je jedne po drugich, a już szczególniej się zawziął na tych, którzy byli najbliżsi sercu Tarnowskiego. Dość powiedzieć, że w ciągu kilku miesięcy wypadło mu iść za trumną Zygmunta Sawczyńskiego, nad którego grobem we Lwowie, jako jego dawny i ulubiony uczeń, wypowiedział piękną mowę; następnie za trumną księżnej Marcelliny Czartoryskiej, o której następnie w *Przeglądzie polskim* napisał cenny szkic do wizerunku; i wreszcie za trumną Ludwika Wodzickiego, którego dość wyczerpujący życiorys, pełen wspomnień młodości, zamieścił w dwóch zeszytach *Przeglądu polskiego*. Dla człowieka, jak Tarnowski, który w każdą przyjaźń kładł tyle serca własnego, były to nader bolesne ciosy, tem boleśniejsze, że tak szybko następowały po sobie. Cóż dopiero, gdy po tylu przyjaciołach przyszło opłakiwać zgon jeszcze jednego: Stefana Zamoyskiego! A nie należy zapominać, że wśród tych, których Tarnowski utracił w tych czasach, był także i jego brat starszy, Jan Tarnowski z Dzikowa! »Kto długo żyje — pisał Tarnowski pod świeżem wrażeniem jednej z tych strat — a stracił dużo, ten przywyka do śmierci. Za młodu wydaje się ona czemś dziwnem, niby nienaturalnem; na starość stajemy się na nią wyrozumialszymi. Tak być musi; taki los ludzi i początek świata; darmo! Rezygnacya nie zmniejsza cierpienia, tylko przytępia wrażenie, jakie śmierć wywiera na wyobraźnię ludzi młodych. Tak jest! Tak być musi! Tamten umarł i ten umiera, i wszyscy pomrzemy jedni po drugich; to, co się za młodu wie, ale czego się nie czuje, to staje się wyraźniejszem, przechodzi głębiej w naszą świadomość i wydajemy się sami sobie, jak drzewa w jesieni, kiedy liście z nich opadają, każdego dnia więcej, aż drzewo zostaje ogołocone, suche, brzydkie, bez ozdoby, bez wdzięku, bez życia. Ale drzewu zapewne wszystko jedno, czy z niego mniej, czy więcej liści spadnie, a z tych, które spadają, żaden nie boli go więcej, nie oddziera się trudniej. Z ludźmi jest inaczej. Straciło się tych liści już wiele, towarzysze całego życia odchodzili jeden po drugim, człowiek coraz bardziej zostawał sam ze swego pokolenia pośród młodszych, a przecież oswoić się z tem nie mógł. Czasem zaś spadnie koło niego taki liść, którego nie spodziewał się widzieć uschłym przed sobą, który zdawał się jednym z tych, co najdłużej, najsilniej trzymać się będą na drzewie, z którym razem rozwijało

się z pączka i przebyło czerstwe lato; a wtedy zdziwienie i żal dobywają z pod twardej zgrubiałej kory jęk bolesny, jak z zaklętych drzew prochy, jak żeby człowiek był jeszcze młody, a śmierć dla niego nowością«. [1])

A właśnie takich liści spadało coraz więcej. Pogrzeby mnożyły się... Dnia 26 lipca 1894 roku odbył się w Sieniawie uroczysty pogrzeb księcia Władysława Czartoryskiego. Nad grobem przemówił Tarnowski, jako jeden z tej drużyny, co niegdyś kupiła się i walczyła pod sztandarem Hotelu Lambert.

O niezmiernie wysokim tonie, na jaki mowa jego — prawdziwie natchniona — była nastrojona, najlepsze wyobrażenie daje jej patetyczny początek:

— Gdyby nas tu — mówił Tarnowski — zobaczył stojących dokoła tej trumny jeden z tych, co dawno pomarli, żołnierz jaki, co padł pod Grochowem, Wileńczyk z czasów uniwersytetu, albo księcia Józefa i Kościuszki podkomendny, ach, a dopieroż uczeń Szkoły Kadetów lub poseł Czteroletniego Sejmu, gdyby usłyszał, kogo i gdzie chowamy, nie zrozumiałby, co się dzieje u nas i na świecie, a z piersi przerażeniem ściśnionej dobyłby tylko to pytanie: »Co z wami, ach z wami się stało?« Gdzie Puławy? Co w Wilnie i Krzemieńcu? Co w Warszawie, i tam gdzie pod Warszawą były Powązki? Co w sali sejmowej na Zamku? Co w Wołczynie? A choćby już tylko, co w tym paryskim pałacu, przytułku wygnańczym, co w powadze i smutku swoim był jak namiot na pustyni rozbity, namiot, pod którym wędrowcy upatrywali drogi do powrotu, i chwili powrotu czekali? Gdzie to wszystko? Po Puławach i Warszawie, po Krzemieńcu i Wilnie, zaorują się ślady, żeby nikt, czem one są, jakie, nie poznał: w zmienionym świecie nic tylko nad zwyciężonymi pastwi się i znęca zwycięzca, a przed zwycięzcą płaszczy się: wszystko, co żyje!... Pasmo półtora z góry wieku polskiej historyi urwało się z tym żywotem. Nie jej ciąg dalszy, nie to, co się jeszcze z »chaosu wywinie a z myśli Bożej zbuduje«, ale to, co było formą naszych

[1]) »My, zmysłowi ludzie — pisał Tarnowski w zakończeniu tego nekrologu — nie umiemy, z małemi wyjątkami, wyobrazić sobie nieba z jego nieznanym, niepojętym rodzajem szczęścia. Ale jest jedna myśl, jedna nadzieja, która w sercu najbardziej ziemskiem, najmniej wzniosłem, budzi tęsknotę za tamtym światem i jego pragnienie. Odzyskać wszystkich, których się straciło, nikogo już nigdy nie tracić! Rozkosze nieba muszą być wyższe, ale zwykły ludzki umysł nie może ogarnąć już tego niższego szczęścia i upaja się jego nadzieją. Po zimie wiosna i smutne suche drzewo odzyska znowu wszystkie swoje liście i żadna jesień już go z nich nie obedrze!«

usiłowań i walk, podstawą naszych rachub i planów, to się zmieniło, a grób ten zamyka się na epokę skończoną, na wszystkie przebyte »od chwały do niedoli stopnie«, od pierwszych prób i trudów około poprawy Rzeczypospolitej, do ostatnich nadziei ratunku. Schyłku Augusta II sięgają te pierwsze próby i trudy: a wszystkie następne, ile ich było, dźwigali, cały ten kielich goryczy spełnili do dna ci, co leżą w tym Sieniawskim grobie. Z kolei ojciec synowi krzepnącą ręką oddawał kielich, aż resztki z niego, na samym spodzie osiadłe, nie najbardziej gorzkie może, ale najbardziej mętne, najczarniejsze, dopił ten, którego dziś do ojców jego składamy, książę Władysław Czartoryski.

A podniósłszy niepospolite zasługi rodziny Czartoryskich, jakie położyli dla ojczyzny, żałując ich, że tyle cierpieli, zapragnął Tarnowski, imieniem całego dzisiejszego pokolenia »podziękować im za wszystko, za każdy trud poniesiony, za każdą gorycz doznaną, za każdą ofiarę spełnioną, za całą ich miłość, za całą ich wierność...« Lecz jak to zliczyć? jak za to dziękować? pytał w zakończeniu swej mowy.

— Jest jeden sposób. Miłować, jak oni; służyć, jak oni; i gdy ciała pomarły, ducha ich wcielić w siebie, żeby żył. Ich duch, to nie przeszłość tylko; a kto go pozna i przyjmie, ten uczuje, że i »w tych grobach jest życie«, bo jest przykład i nauka, co życie trzyma, wzmaga, podnosi. Kiedy tego jednego chowamy, zda się, jak żeby oni wszyscy patrzyli na nas z tego grobu, albo gdzieś z góry, i pytali żałośnie: »Co z wami, ach z wami się stanie?« A my co im odpowiemy. Odpowiemy, że na świątyni Sybilli błyszczał napis: *Przeszłość przyszłości*; że ten sam mógłby stać na tym grobie, bo to grób takich ludzi, »w których łonie przyszłość się wypracowuje«, i że my ten napis rozumiemy. On upomina, że kończą się czasy, ale nie kończą prawa i sprawy, że kończą się żywoty, ale nie kończą obowiązki. Tu przeszłość przekazuje swoją spuściznę przyszłości, i przykazuje, obowiązuje. Da Bóg, że nie będzie zawiedziona, a będzie zrozumianą i usłuchaną. W tej nadziei, w tej ufności do siebie samych, nasza na tym grobie pociecha; i w niej, ale w niej tylko, mamy prawo, żegnając ich, powiedzieć im śmiało: Pobici zawsze, nigdy nie zwalczeni, wierni do śmierci, a w życiu bez wytchnienia i spoczynku, możecie odpoczywać — w pokoju!

W ciągu roku 1894 [1]) i 1895 wyszła w Krakowie trzytomowa

[1]) W roku 1894 odbyła się we Lwowie powszechna wystawa Krajowa. Tarnowski uczestniczył w jej uroczystem otwarciu d. 5 czerwca, a z doznanych

Rzecz o roku 1863 Stanisława Koźmiana. Ponieważ dzieło to, równało się wyznaniu wiary stronnictwa, którego głową niewątpliwie był Tarnowski, więc też nie kto inny, tylko on mógł je z należytą powagą omówić krytycznie w *Przeglądzie polskim* i uzupełnić w niektórych zasadniczych punktach. Stało się to w obszernym artykule p. t. *Stanisław Koźmian o roku 1863*, którego druk rozpoczął się w zeszycie za lipiec r. 1895, a skończył się w następnym. Zadanie było trudne, a dlaczego, to sam Tarnowski wyjaśnił zaraz na wstępie: »Kto, jak niżej podpisany, związany jest z autorem *Rzeczy o roku 1863* całem życiem politycznej i osobistej przyjaźni, kto w ówczesnych wypadkach to samo myślał i robił, i to samo, co tamten, ma sobie do wyrzucenia, kto dalej znowu przez lat trzydzieści w tej samej wspólności pojęć i zasad politycznych chodził w tym samym zaprzęgu i ciągnął te same ciężary, temu trudniej może, niż innemu, oceniać i sądzić tę pracę, bo na jej przedmiot patrzy z tego samego punktu widzenia, co autor. Oprócz tego może, jako świadek, być podejrzanym, posądzonym, że mówi *pro domo sua*. Ale jeżeli znajdą się zapewne jedni, co tak pomyślą, to będą i inni, zdolni rozumieć i wierzyć, że gdzie chodzi o sprawy najważniejsze, a uczucia najświętsze, tam nie mówi z człowieka ani przyjaźń, ani miłość własna, ani stronniczy upór, ani nienawiść przeciwnika, ani nic zgoła, prócz przekonania, sumienia, i woli służenia prawdzie i dobrej sprawie«. Ale prócz tej pierwszej trudności, którą zresztą Tarnowski pokonał zwycięzko, okazawszy się nietylko sumiennym, ale i objektywnym sprawozdawcą, istniała jeszcze druga, większa nierównie, a tą była sama treść książki, równie ważnej, jak smutnej. »Sięga ona do samych głębin sumienia, rozum zmusza do uznania własnej niedostateczności, dumie zadaje gorzkie lekarstwo upokorzenia, najdotkliwszych, najczulszych stron serca dotyka, tak, że niepodobna z bólu nie syknąć, nie jęknąć, nie krzyczeć; stawia i obrabia pytania życia lub śmierci narodu w przeszłości i teraźniejszości, bada i mierzy, jakie są i wiele jest objawów i zarodów zdrowia i choroby, pierwiastków i warunków życia lub śmierci, a z tego badania wyciąga wniosek, co w przyszłości życie zabezpieczyć albo śmierć sprowadzić może«. Jako taka, książka jest nad wyraz bolesna, albowiem »wykazuje powody i skutki politycznych klęsk narodu, na tym fak-

wrażeń i nasuwających mu się refleksyi zdał sprawę we *Wstępie* poprzedzającym artykuły o tej wystawie — pióra specyalistów — których długi szereg zamieścił w r. 1894 i 1895 *Przegląd polski* (w tej liczbie artykuły Jerzego Mycielskiego o pawilonie sztuki, z których później złożyło się dzieło *Sto lat dziejów malarstwa w Polsce*).

cie, w którym powody, jak skutki, objawiły się w swoim stopniu najwyższym, tak wysokim, że fakt zmienił nie samo tylko stanowisko tego narodu w europejskim świecie, ale wszystkie, nawet wewnętrzne warunki jego bytu, odrobił i cofnął wstecz jego wiekową historyczną pracę, a w walce dwóch cywilizacyi zmusił jedną do odwrotu, przed drugą otworzył wolne i szerokie pole«. Na szczęście książka ta, choć daje psychologiczną dyagnozę usposobień, które były powodem błędów i nieszczęść, nie jest rozpaczliwą, jest zdrową, i choć jedna z najboleśniejszych, jest zarazem i jedną z najpożyteczniejszych; a jak wypadki roku 1863 były skutkiem i sumą naszych psychologicznych wad i politycznych błędów, tak dzieło, które z nich naukę wyciąga i podaje, jest jednem z najbardziej znakomitych i zasłużonych w całej naszej ogółem wziętej literaturze politycznej. »W goryczy serca — pisał Tarnowski w zakończeniu swego artykułu — piszą się takie książki, i w tej się czytają. W goryczy serca rozpamiętują się takie błędy: ale w spokoju serca biorą się takie postanowienia, w różnowadze woli się pełnią, bo z przekonaniem, że są dobre. A odważnie i statecznie spełnione, mogą sprawić, że w radości i chwale zbierze się kiedyś plon z tego, co siało się w pocie czoła, a gorzkiemi łzami skrapiało«.

W roku 1896 upływało lat sześć od wyjścia *Prób rozstroju*, napisanych przed rozpoczynającą się kadencyą sejmową. Gdy kadencya ta dobiegała końca, a miały się rozpocząć nowe wybory, mimowoli nasuwało się pytanie, czy »rozstrój«, którego wtedy dały się zaobserwować tylko »próby«, zrobił postępy, czy też złe wstrzymało się — albo wstrzymanem zostało — w swoim rozwoju. By wyjaśnić tę kwestyę, należało zrobić obrachunek. Sporządził go Tarnowski, w obszernym artykule, który, zrazu wydrukowany w listopadowym *Przeglądzie polskim*, następnie wyszedł w formie broszury, a którego już sam tytuł, *Lud wiejski między ładem a rozkładem*, wskazywał na wzrastające niebezpieczeństwo społeczne. Artykuł był wymierzony przeciwko agitacyi, jaką t. zw. »demokraci«, do spółki z socyalistami i księdzem Stojałowskim szerzyli między ludem wiejskim, który przedewszystkiem buntowano przeciwko dworom, w który za pomocą takich pism, jak *Przyjaciel ludu*, lub *Związek chłopski*, starano się wszczepiać nienawiść do szlachty, zachęcając go, by szlachty nie wybierał do sejmu, by nie ufał panom, którzy niby to »chcą lud utrzymać w wiecznej małoletności«. Starano się przeciwdziałać tej agitacyi, założono pismo ludowe, *Krakusa*, (w którym nawet i Tarnowski w r. 1891 wydrukował obszerniejszą i wielce pouczającą rzecz *O Rusi i Rusinach*), ale cała ta dodatnia robota szła na marne: roz-

strój szerzy się w dalszym ciągu, lud ulega agitatorom. Jak temu zapobiedz, zaradzić? »Gdybyśmy mogli się łudzić — pisał nie bez goryczy Tarnowski — że nasz głos dociśnie się na wsie, mielibyśmy niejedno do powiedzenia ludowi wiejskiemu wprost; ale gdyby się przypadkiem i docisnął, to pański i stańczykowski nie znalazłby tam wiary. Rzucamy jednak, na wiatr, jedno pytanie, które nam ta okoliczność właśnie nasuwa. Dlaczego lud wiejski nie chce ufać i wierzyć ludziom, których zna, którym w ogromnej większości nie może nic ważnego zarzucić, ani szacunku słusznie odmówić, a ufa i wierzy obcym, przejezdnym, wędrownym, których nie zna, o których przeszłości, uczciwości i zamiarach nie wie nic? Jeżeli jest podejrzliwym z natury, niechże będzie takim zarówno względem wszystkich. Ale posądzać i mieć za nieprzyjaciela tego pana, osiadłego na miejscu od lat, nieraz od wieków, a dać zaufanie nieznanemu człowiekowi z miasta, na wiarę jego słów, których rzetelności i prawdy nic nie dowodzi, to jest nierozwaga i niestateczność dziwna«. Wszystko to musi dawać do myślenia, musi budzić obawy o przyszłość. Wyrazem tych obaw, tego niepokoju o skutki dzisiejszego »stanu przetwarzania się«, była właśnie broszura Tarnowskiego.

Zbliżająca się setna rocznica ostatniego rozbioru Polski natchnęła Tarnowskiego do napisania *Naszych dziejów w ostatnich stu latach*. Potrzeba takiej książki, przystępnie opowiadającej porozbiorowe dzieje narodu polskiego, dawała się czuć oddawna, bo znajomość historyi u naszej młodzieży kończyła się, jeżeli wogóle była dostateczną, na dziejach naszych do roku 1795. Jak słusznie zauważył Kazimierz Morawski, dzieli już nas od tej chwili to pasmo stuletnie dziejów szarych, posępnych, w których nakładano kamienie na grób rozbioru. Młody chłopiec wiedział najczęściej dobrze, kogo ma w tych czasach nienawidzić; dolatywały go prócz tego jakieś wieści o dzielności naszej w r. 1831, aby mu tętno serca ożywić, ale zresztą słyszał tylko o syzyfowych robotach i syzyfowych upadkach bez nazwisk, nie umiał miłości swojej szczepić u postaci i imion, a przecie koło osobistości uwieszają się historyczne poczucia, miłość i napomnienia przeszłości. Trzeba było więc wreszcie rzucić sznur ponad otchłanią stu lat, związać nasze pokolenie z tymi wszystkimi, co przed niem się znoili i potykaniem dobrem się potykali, aby nie było *saltus* w tej historyi, jak go niema w naturze, abyśmy wiedzieli, że natchnień naszych brać nie możemy wyłącznie z przed stu lat, lecz od tych także, co w ubiegłym wieku ratowali, co mogli, i uratowali nam myśl i serce polskie. Ten ciąg i tę ciągłość mogły

nam dać jedynie dzieje stu lat ostatnich.[1]) W tej myśli skreślił je popularnie w książce swej Tarnowski, a że książka — obficie illustrowana — była na dobie, że odrazu trafiła do przekonania społeczeństwu, tego wymownie dowiódł fakt, że w kilka tygodni wyczerpało się całe pierwsze wydanie, że zaraz należało przystąpić do drugiej edycyi. Dziś już i trzecia edycya ma się ku wyczerpaniu. Ale bo też książka wypełnia dotkliwą lukę, a napisaną jest tak, że ją zestawić można z *Wieczorami pod lipą*, które znakomicie uzupełnia, pod żadnym względem im nie ustępując.

Dla Kazimierza Morawskiego jest praca ta przedewszystkiem dobrym uczynkiem. »Od początku do końca obrachowana ona na to, aby szlachetne rozniecać i umacniać uczucia. Napisana z tem wyrozumieniem, które daje miłość i zrozumienie. Ten spokój nie opuszcza autora nigdy; dały mu go prawda i cel w książce wytknięty. Aby drugich podnosić, trzeba samemu stanąć wysoko«.

Przez setkę lat od ostatniego rozbioru prowadzi nas autor po krwawej dziedzinie, po jej cierniach i rzadszych kwiatach, przechodzi z nami całe pielgrzymstwo ludzi i myśli, zmierzające zawsze do jednego celu, okupywanego tyloma już wysiłkami, tylu ofiarami ludzi i mienia. Szczęśliwe narody, jak mówią, nie mają historyi; tak nieszczęśliwy, jak nasz, powinien by jej nie mieć, a jednak w całym lat szeregu jedna myśl przewodniczy dotąd wszystkim zdarzeniom naszego istnienia pogrobowego, jeden sztandar przewodzi naszemu postępowaniu. Ta jednolitość celu nadaje i teraz ciąg historyczny naszym dziejom. I pisanie i czytanie słodyczy tu nie niesie; ma się czasem uczucie, że autor przez piekło Dantejskie nas wiedzie, w którem wszystkie żary z kolei nas dręczą, i gorszy od tego, jak na dnie Dantejskiej czeluści, mróz rosyjskiego prześladowania. Mimo tego daje jednak ta książka pewne ukojenie. Przesuwają się przed nami wszystkie nasze błędy, ale i taka suma szlachetności i podniosłości, że te postacie wytyczne, których nam dotąd nie zbrakło, stają przed nami, jak kapłani tradycyi i świętych naszych ideałów, podający ogień i miłość z ręki do ręki, od pokolenia do pokolenia. Prócz tego ciepło piszącego jest także dla czytelnika krzepiącem. Jeżeli po stu latach ciemiężenia, pióro w ręku pisarza drga jeszcze taką miłością, to to także jest protestem przeciw ciemiężycielom, reputacyą ich usiłowań, ukrzepieniem dla współczesnych.

...Są książki, którym autorowie wygórowane przypisywali znaczenie, i takich książek, których wpływ i znaczenie pozostało popod aspiracyami pisarza, jest aż nazbyt wiele; są inne, pisane w skromniejszym zakresie i ze skromniejszemi zamiarami, a doniosłość ich przerośnie niekiedy intencye autora. Do tej kategoryi należy rzecz niniejsza. Przeczytałem ją dwa razy i każdemu przeczytać ją radzę. Nie wątpię, że wywrze ona wpływ najzbawienniejszy w szerokich kołach społeczeństwa. A nie mówię tego, aby autora sławić, który przecie tą książką nie myślał sobie sławy literackiej przymnażać, ale ze szczerego osobistego doświadczenia i przekonania, i w interesie rzeczy, nie osoby.

[1]) *Przegląd polski*, 1895, listopad.

W *Kwartalniku historycznym*[1]) ocenił *Nasze Dzieje* prof. Alojzy Szarłowski:

Książka pod powyższym tytułem należy do wydawnictw popularnych, lecz nie do ludowych w powszechnie przyjętem znaczeniu tego wyrazu. Odczytać ją może z pożytkiem każdy człowiek inteligentny. Stylem pełnym prostoty i jasności opowiada St. Tarnowski bieg dziejów ostatniego stulecia, przyczem obszerniej i dokładniej mówi o losach Polski, a krócej, tylko o tyle, o ile to jest niezbędne do ich rozumienia, dotyka także i dziejów powszechnych. Sądy i opinie autora o najważniejszych wypadkach naszej stuletniej porozbiorowej przeszłości dobrze są znane z innych pism jego. Wiernym im pozostaje i w tem popularnem opowiadaniu dziejów naszych. Nie należy jednak z tego przypuszczać, aby w *Naszych dziejach w ostatnich stu latach* górowała jakaś tendencya natury politycznej lub społecznej. Z powagą pełną taktu, wyrozumiałości i spokoju, snuje autor przed nami wątek naszego niewesołego żywota w okresie porozbiorowym. W opowiadaniu samem pełno uwag i nauk, wysnutych z wydarzeń przeszłości, »z rozmyślań i doświadczeń«, ale nigdzie stronniczości lub wybuchu namiętności politycznych, mogących zaćmić zdrowy pogląd na wypadki lub wnioski z nich wysnuwane. *Nasze dzieje* Stanisława Tarnowskiego są doskonałym wzorem, jak pisać należy książki popularne, przeznaczone dla najszerszego intelligentnego ogółu. W tok opowiadania weszły wiadomości i fakty niepodlegające krytyce, a więc i sąd o nich opiera się na silnej, niezachwianej podstawie. Z nim się bez wątpienia zgodzić może każdy człowiek dobrej woli, kraj swój szczerze miłujący. Dla wypadków i ludzi z przeszłości — o ile czyny ich płynęły z pobudek szlachetnych, z prawdziwego przywiązania do ojczyzny — ma autor słowa uznania dla zasług, a przebaczenia za popełnione błędy, a tylko dla »podłych i faryzeuszów« zdobywa się na słowa słusznego potępienia, zachowując zawsze spokój prawdziwego historyka.

...Książka St. Tarnowskiego wychodzi w ciągu roku już w drugiem »poprawionem i uzupełnionem« wydaniu. Może to służyć za dowód, jak wielkie znajduje uznanie i jak licznych ma czytelników, na co niewątpliwie w pełnej mierze zasługuje. Po jej przeczytaniu wzmacnia się w czytelniku przekonanie — o którem autor mówi w przedmowie — że naród nasz »dzięki Bogu i dzięki swojej woli i zasłudze, nie stracił ani swej wiary, ani swej miłości ojczyzny, ani swego języka, ani swego życia«. A nietylko tego wszystkiego nie straci w przyszłości, lecz owszem będzie zdobywał coraz to lepsze warunki bytu narodowego, jeżeli zachowa w żywej pamięci naukę, jaką autor wyciągnął ze stuletnich dziejów naszych, że »niedosyć jest kochać ojczyznę bardzo; trzeba ją kochać mądrze, na to, żeby działaniem swojem na szwank jej nie narażać«.

We wrześniu 1895 r. ukazał się w *Przeglądzie polskim* ostatni rozdział rozprawy *O dramatach Schillera*, a niebawem wyszła gruba książka pod tym samym tytułem. Jeżeli o *Causeries florentines* Klaczki wyraził się Tarnowski, że nigdy jeszcze w kwestyach literatury zagranicznej lub sztuki nie było przez Polaka napisanem nic, co by wykwintnością krytycznego i artystycznego zmysłu, przenikliwością myśli i stylu świetnością, choćby z daleka bardzo zbliżało się do

[1]) Kwartalnik historyczny, 1896, str. 200.

tych *Florenckich Wieczorów*, to w każdym razie żadna z prac polskich, traktujących o literaturze powszechnej, nie zbliżyła się do nich tak, jak właśnie książka Tarnowskiego o twórczości dramatycznej Schillera, dzieło, któremu bezwarunkowo należy się pierwsze miejsce po *Wieczorach florenckich*, a raczej miejsce obok nich.

Przyznała to fachowa krytyka, która książkę Tarnowskiego jednogłośnie postawiła bardzo wysoko.

Zdaniem Feliksa Konecznego, dzieło *O dramatach Schillera* jest nietylko znakomitem, ale ze wszystkich swego autora najlepszem.[1])

Estetyka poetycka nie ma nigdzie tyle pola do rozwoju, jak w literaturze dramatycznej, bo tu ma do czynienia na każdym kroku ze wszystkiemi jej kryteryami; to też wielkie znaczenie autora, jako estetyka, okazuje się tutaj w całej pełni. Ta sama tu estetyka, jak w rozprawach o Słowackim, ale w krew literatury naszej wejdzie ona dopiero przez tę książkę o Schillerze. Oby weszła jaknajbardziej! Bogactwo treści jest tu tak wielkie, że, gdyby tę książkę pociąć i w odmiennym ułożyć porządku, powstać by mogła teorya zupełna poezyi dramatycznej... Autor ma jedną wielką zaletę, że w sądach estetycznych jest ścisły i surowy. Nie znalazł też Schiller najmniejszego pobłażania, jak n. p. w rozdziale o *Dziewicy Orleańskiej*. Ale też, gdy przy innych utworach nie brakowało sposobności podniesienia Schillera, równą miarką mierzono jego zalety i wady, ostateczny zaś wyrok o poecie oparty nie na wadach, lecz na zaletach. Wszystkie literacko-krytyczne prace Tarnowskiego to mają wspólnego, że szerzą kult wielkiej poezyi. On jest zresztą jedynym dzisiaj w Polsce estetykiem, który wie dobrze, a umie wyrazić dokładnie, na czem polega tej sztuki wielkość, czem się różni poeta wielki od średniego, średni od małego. Każda jego rozprawa jest bodźcem ku wyżynom, a miara estetyczna jego krytyk brana jest zawsze z wyżyn Olimpu, nigdy ze spodnich stoków boskiej góry. Przymioty te nigdy nie wystąpiły jednak tak jasno i tak organicznie, jak w dziele o Schillerze. To też pozostanie to dzieło dla potomności świadectwem, że krytyka polska nie zupełnie przestała chcieć dużo i sięgać daleko, wtenczas, kiedy w całej reszcie Europy porzucono miarę Fidyasza. Potomni wdzięczni będą prof. Tarnowskiemu, jako estetykowi, za to, że miał wielkie wymagania, budził ambicyę i zawsze pokazywał, którędy się idzie *ad astra*. Wygodnickim miernotom może to nie na rękę, ale kto kocha sztukę całem sercem, kto wyznaje zasadę, że nie ideał jest od tego, żeby go ku sobie zniżać, lecz artysta od tego, żeby się ku niemu wznosił, ten w surowej krytyce, byle jasnej i lojalnej, najlepszego znajdzie sprzymierzeńca i będzie mu ona szczeblem do dalszego wznoszenia się.

W *Ateneum* poświęcił książce *O dramatach Schillera* obszerne sprawozdanie, gruntowny znawca literatury niemieckiej, Dr. Witold Barewicz, który, poddawszy pracę Tarnowskiego szczegółowej analizie, w taki sposób ostatecznie sformułował swe uzasadnione zdanie o niej:

Nie wciągając do rozbioru dzieł nic prócz tego, co niezbędne było do zrozumienia rzeczy samej, wyróżnia się studyum niniejsze korzystnie wśród ca-

[1]) *Przegląd powszechny*, t. 53, str. 262—4.

lej powodzi dzieł i rozpraw niemieckich, które wiadomościami ściągniętemi ze wszystkich stron świata często starają się wyjaśnić nic: albo nie wiele do zrozumienia utworów przyczyniające się drobiazgi. Autorowi powiodło się szczęśliwie uniknąć tego szkopułu, a to, co stanowi jego niezwykłą w dzisiejszych czasach zaletę, trzeźwy sąd i wytworny smak, przebija się w każdem zdaniu. Innych zalet wspólnych wszystkim pracom autora, jako zbyt znanych, nie podnoszę.

W *Bibliotece Warszawskiej* poświęcił pracy tej obszerne studyum krytyczne Stanisław Kozłowski, sam gorący wielbiciel Schillera. Zdaniem jego, słusznie postawił sobie Tarnowski za cel wskazać i wytłomaczyć polskiemu czytelnikowi te poetyckie piękności, jakie tkwią w utworach największego z dramaturgów niemieckich, wskazówek bowiem takich ukształcony nasz ogół potrzebuje bardzo. Ważną też, zdaniem krytyka, jest ta okoliczność, że pierwsza obszerna książka o Schillerze w piśmiennictwie polskiem nie jest przekładem, lub przeróbką, lecz studyum oryginalnem. Niemcy w swym słusznym pietyzmie dla twórcy *Wallensteina* są za często bezkrytyczni: porywa ich nietylko młodzieńczy polot wyobraźni Schillera, ale zachwyca także jego mgliste marzycielstwo, mania filozofowania i nadmierna czułostkowość. Przesada taka z natury rzeczy nie grozi krytykowi, który nie jest niemcem. Stąd wyższość dzieła Tarnowskiego w stosunku do analogicznych prac niemieckich. »Przy całej niekłamanej czci dla Schillera, prof. Tarnowski bynajmniej nie przepuszcza jego brakom, śmiało wytyka wady, przez co zalety tem widoczniejszemi się stają«.

W dziele swem występuje prof. Tarnowski wyłącznie jako estetyk i sądzi artystę ze stanowiska sztuki, a nie filozofii, jak by to uczynił Taine, lub polityki, jak zawsze robi Brandes. To nie doktryner prawi o poecie, nie ideolog, podsuwający mu własne myśli, lub chłoszczący go za rzekome winy względem socyologii, fizyologii, anatomii lub hygieny; lecz piękno analizuje wytworny znawca piękna, estetyk, obdarzony subtelną wrażliwością, wyławia z utworów niemieckiego dramaturga perły natchnienia i ukazuje je czytelnikowi. Prof. Tarnowski należy do szczupłej liczby krytyków, zdających sobie jasno sprawę z istoty piękna i zadania sztuki, i wiedzących, czego należy wymagać od pisarza-artysty. Nie dał się także autor opanować modnej dziś, a tak ponętnej syntezie krytycznej. Oczywiście, że dla utalentowanego krytyka wdzięczniejsze to zadanie odtworzyć na podstawie utworów duchową postać ich autora, dać sylwetkę artystyczną pisarza, i badając siłę twórczą, tworzyć samemu. Nie wątpimy, że krytyk sprostał by takiemu zadaniu, gdyż nie obca mu metoda syntezy.[1] Ale wówczas polski czytelnik małą by odniósł korzyść, bo dowiedział by się, czem był sam Schiller, a nie czem są jego dzieła, których nie zna, i które przedewszystkiem uprzystępnić mu należy. Trafnie zatem wybrał autor drogę analizy

[1]) Uczynił to zresztą Tarnowski wielokrotnie w licznych swych pracach o poszczególnych pisarzach.

i w swej książce dał nam krytyczny rozbiór dramatów Schillera. Ani myślimy robić mu z tego zarzutu, że w książce jego nie znajdujemy śladu szeroko dziś stosowanych dociekań przyczynowości zjawisk literackich, tłomaczących, dlaczego dany utwór takim jest, a nie innym, dlaczego innym być nie może; przeciwnie, poczytujemy to krytykowi za zasługę, że pisząc o mało znanych u nas dramatach Schillera, po staremu podnosił zalety, wytykał wady, tłomaczył piękności, uczył, kształcił, oświecał czytelnika, i niemal za rękę wprowadzał go w niedostępną dlań krainę fantazyi. Może praca prof. Tarnowskiego nie jest wyrazem najnowszych zdobyczy naukowej krytyki literackiej, ale jest za to bardzo pouczającą, niezmiernie ciekawą i więcej wartościową od wielu głośnych dzieł, pyszniących się etykietą naukowości, a właściwie podszytych doktryną.

Najpiękniejszym rozdziałem w całej książce, szczytem, do którego się wzniósł krytyk, jest, zdaniem autora *Turnieju*, rozbiór *Wallensteina*.

Jeżeli *Wallenstein* jest arcydziełem Schillera, to rozbiór tej trylogii przez prof. Tarnowskiego śmiało nazwać można znakomitem studyum krytycznem. Przypomina ono najlepszą pracę, jaka dotąd wyszła z pod pióra krakowskiego krytyka: rzecz o *Nieboskiej*. Wytrawny smak estetyczny, gust wyrobiony na najlepszych wzorach, wielka wrażliwość artystyczna, bystre oryentowanie się w szczegółach i śmiałe objęcie przedmiotu, wreszcie jasna świadomość zadań sztuki, złożyły się na wytworne znawstwo, tak rzadkie dziś między nami, a cechujące prace głośnego krytyka. Zwłaszcza zaś w rozprawach o *Nieboskiej* i o *Wallensteinie* krytyk porwany wielkością przedmiotu, ujawnił wszystkie te zalety swego pióra w sposób, rzec bez przesady można, świetny. W rozprawie o *Nieboskiej* stosował krytyk trafnie metodę syntezy i poemat ten, będący właściwie genialnym szkicem, objaśnił, uzupełnił, odtworzył. Z *Wallensteinem* postąpił sobie inaczej. Tu miał do czynienia z dziełem pełnem, skończonem, wypracowanem w najdrobniejszych szczegółach. Poszedł zatem drogę analizy i dał mistrzowski rozbiór trylogii. Ta umiejętność stosowania właściwej metody według potrzeby świadczy o niepospolitym talencie krytycznym autora.

Streściwszy subtelne wywody Tarnowskiego o innych dramatach Schillera, recenzent sprawozdanie swe z jego cennej książki zakończył następującemi słowy:

Nie jest prof. Tarnowski krytykiem czasów najnowszych, doktrynerem rzucającym bałamutne hasła, lecz estetykiem wytrawnym, głębokim badaczem zjawisk literackich, dokładnie znającym ich istotę i prawa. Prof. Tarnowski przedewszystkiem uczy i kształci czytelnika. A kunsztowość wykładu i wielki talent pisarski sprawiają, że książka wysoce jest zajmująca. Język autora pełny, obfity, jasny, nierzadko świetny, połyskuje bogactwami mowy naszej. Często ta wytworna proza wzbiera, jak rzeka, i wylewa się za brzegi. Czasem wydaje się, że krytyk nazbyt szafuje zasobami języka, że się unosi nad miarę. Ale to przedmiot porywa krytyka, to tak nim miota fala natchnień poety, którego on odczuwa i rozumie, jak mało kto u nas.

Zdając sprawę z *Rzeczy teatralnych* Koźmiana, który w nich zebrał wszystkie znaczniejsze swe artykuły, w różnych czasach pi-

sane, a z teatrem pozostające w związku, Tarnowski w ten sposób zaczął swą recenzyę: »Starzy ludzie lubią czasem robić porządek w swoich starych papierach. Przeglądają nagromadzone przez całe życie stosy listów, kartek, rachunków, i drą, rzucają w ogień, choć im się nieraz łza w oku zakręci na widok zżółkłej kartki, która jest pamiątką po drogich ludziach lub po dobrych chwilach. Taką robotą wydaje się zajętym Stanisław Koźmian od lat kilku: porządkuje swoje stare papiery, przebiera w nich, co godne przechowania, a co nie. Ale nie rzuca w ogień tego, co ma za potrzebne, tylko owszem zabezpiecza to od zatracenia i zapomnienia. Robi przegląd pracy całego życia i pyta sam siebie, co z tego zniszczyć, a co może się przydać. Chce sam uregulować tę literacką spuściznę, jaka po nim kiedyś zostanie, bo sam najlepiej wie, sam jeden wiedzieć może, co w jego przekonaniu jest dobre i pożyteczne, a co może zaginąć bez szkody: ktoś inny jużby tego nie wiedział i przy najlepszej woli mógłby ogłosić rzeczy, do których autor nie przykłada wagi, wyrzucić takie, które on właśnie chciałby zachować«. Słowa te w bardzo znacznej części dadzą się zastosować i do Tarnowskiego samego, kiedy w r. 1895 przygotował do druku cztery tomy swoich *Rozpraw i sprawozdań* literackich, oraz dwa tomy swych *Studyów politycznych;* albowiem i na jedne i na drugie złożyły się prace dawniejsze, pisane w różnych czasach, pomiędzy rokiem 1868 a 1894, a więc w okresie lat 25-ciu mniej więcej.

O pierwszym tomie *Rozpraw i sprawozdań* pisał w *Pzeglądzie powszechnym* prof. Kallenbach, który je omówił po kolei, niektóre uzupełnił nowemi przyczynkami, a ze wszystkich najwyżej postawił rzecz *O Księgach pielgrzymstwa* Mickiewicza, »napisaną z niezwykłą, nawet u autora, świetnością stylu, a obmyślaną starannie i głęboko«. Dla Słowackiego, o którym w tej seryi znalazły się trzy rozprawy, o *Mazepie*, o *Niepoprawnych* i o *Horsztyńskim*, okazał się Tarnowski, zdaniem recenzenta, zbyt surowym niekiedy, zwłaszcza w sądzie o *Mazepie.*

O dwóch następnych tomach pisał w tymże miesięczniku Dr. Korneli Heck, który to zbiorowe wydanie *Rozpraw i sprawozdań* słusznie określił, jako wynik czynności reasumującej poprzednie dotychczasowe plony, jako dążenie do ujęcia w całość objawów pracy długoletniej, wydawanych w różnych okresach czasu i dlatego mniej przystępnych dotąd dla ogółu publiczności. »Jak niegdyś Jan Kochanowski po okresie najwyższej twórczości zapragnął jeszcze za życia obaczyć razem zebrane myśli, któremi współczesny świat polski obdarzył, tak zapewne i czcigodny autor chciałby skupić swą dziatwę

i razem zebraną przedstawić społeczeństwu i potomności, jako spuściznę swych myśli i dążeń«. Dla objaśnienia zaś, jakie były te myśli i dążenia, zawarte w pismach Tarnowskiego, recenzent pokusił się o jego ogólną charakterystykę, jako pisarza wogóle, a krytyka w szczególności.

Gdybyśmy szukali w dziełach hr. Tarnowskiego tej drogi, jaką szedł analityczno-przyrodniczy umysł Taine'a, przeważnie filozoficzny Brandesa, historyczny Scherera lub filologicznych niemieckich estetyków, to byśmy powyższej nie rozwiązali zagadki. Prof. Tarnowski ani nie idzie wprost ich śladem, ani nie posuwa się po stycznej do wytyczonych przez nich kierunków. Najwięcej może zbliżą się jeszcze do historycznej metody Scherera, ale różni się i od niego stanowczo subjektywnem zabarwieniem, małem uwzględnianiem poglądów innych pisarzy i brakiem mozolnego poszukiwania dotyczących źródeł... Faktem jest niezaprzeczonym, że od pierwszej chwili wystąpienia wywarł prof. Tarnowski niemałe wrażenie na całe inteligentne społeczeństwo nasze i pozyskał odrazu sławę znakomitego historyka literatury, towarzyszącą mu nieodstępnie aż dotąd.

Jako krytyk należy Tarnowski, zdaniem recenzenta, do tej samej grupy, co Siemieński, Tyszyński, Małecki, Klaczko, Spasowicz, Nehring, wiekiem najmłodszy z nich wszystkich. »Towarzyszom swoim zawsze wierny, pozyskał prof. Tarnowski odrazu wśród nich wybitne, niemal naczelne stanowisko, rozległem oczytaniem, delikatnem poczuciem piękna wykształconego człowieka, co wiele widział i wiele poznał, nadzwyczajną łatwością w tworzeniu i wreszcie dykcyą, nieco retoryczną wprawdzie, ale zawsze nie bez podniosłości i mocy w wyrażeniu. Dodajmy do tego i bystrość wzroku, pod wpływem którego rozsuwają się zapory, rozwiązują zagadki i odsłaniają rysy charakteru, a zrozumiemy należycie, dlaczego rozgłos i sława aż do najnowszych czasów przywiązane z całą słusznością do osoby prof. Tarnowskiego, choć tenże raz przyjętej przez siebie metody nigdy nie zarzucił, lecz przeciwnie z pewną stałością przekonań, odpowiednio do swej indywidualnej natury, pozostał wiernym tradycyi, wśród której za młodszych czasów żył i wychowywał się. Inaczej też być nie może i nie powinno, bo za hr. Tarnowskim leży już przeszłość bogata w działalność, przeszłość, w swoim czasie wielki krok naprzód i znamienity postęp oznaczająca...« Tutaj też, zdaniem autora monografii o Zimorowiczu, należy zwrócić uwagę na dwie okoliczności, których, gdy mowa o Tarnowskim, pominąć niepodobna.

Pierwsza z nich, to jego stanowisko, jako potomka jednej z naszych najznakomitszych rodzin o nieskazitelnej przeszłości i niemałej aureoli, stanowisko, jeżeli nie wyjątkowe w polskiej literaturze, to przecież dość rzadkie i zanadto charakterystyczne, by nie zwracało powszechnej uwagi. Z całą znaną bez-

interesownością oddał się hr. Tarnowski na usługi piśmiennictwa polskiego i nie szczędził nigdy ani pracy, ani trudu w kształceniu młodzieży i ciągłem informowaniu, zaznajamianiu szerszego społeczeństwa z objawami ruchu na polu literatury naszej za pomocą pism i odczytów. Nie dziw więc, że i społeczeństwo nawzajem nie szczędziło i nie szczędzi uznania temu, co podjął się bezinteresownie tak trudnych obowiązków. Za drugą okoliczność uważam wprowadzenie do historyi literatury naszej żywiołu polemiczno-politycznego dla dania wskazówki na przyszłość i pouczenia szerszych mas. Pomimo całej oryginalności nie tworzyłoby ono jednak zalety z historyka literatury i nie przyniosłoby mu sławy i uznania u współczesnych i potomności, gdyby nie odpowiadało warunkom, wytworzonym naturalnym porządkiem rzeczy przez stosunki porozbiorowe i nie zwracało ostrza przeciw poprzedniemu, nieraz mylnemu pojmowaniu rzeczy. Śmiało i otwarcie uderzył hr. Tarnowski na dotychczasowe poglądy i poparty nieraz niezbitą i przekonywującą słusznością razem z Szujskim zainaugurował nowy kierunek, który pod niejednym względem na polu lepszego poznania naszej przeszłości święcił i święci dotychczas niezaprzeczone tryumfy mocą trafnych argumentów i bijących w oczy wydarzeń. I jak Szujski nie bez pomocy innych rozpowszechnił nowe poglądy na polu właściwej historyi, tak prof. Tarnowski również nie bez udziału pomocników objaśnił inaczej niejeden objaw literatury naszej, szukając i badając skrzętnie, co było oznaką naturalnego rozwoju, a co prowadziło nas do upadku lub było na nasz grunt niewłaściwie przeszczepione, bez liczenia się z warunkami, wśród których rosnąć i dojrzewać miało. Że w tych poszukiwaniach i spostrzeżeniach idzie czasem za daleko i z swego punktu widzenia wydaje niekiedy sądy jednostronne, podnosząc nad miarę to, co tak potężnem nigdy nie było, lub obalając i potępiając, co niekoniecznie jeszcze było złem i fałszywem, to pewnie szczegół znamienny i charakterystyczny, ale właściwej podstawy nie zmieniający. Z uspokojeniem się namiętności, najnowsza szkoła pogłębi niezawodnie znajomość przedmiotu i sprowadzi rzecz na właściwe tory, będzie to jednak tylko dalszy ciąg pracy już dawniej rozpoczętej. Impuls i ogólne kontury już dane, a zasługa w tem niemała tego, kto zerwał z utartym szablonem, choć nawet może niekiedy pomylił się w przedstawieniu lub jaki szczegół oświecił nieodpowiednio.

Dlatego, zdaniem Hecka, zebranie w jedną całość rozrzuconych dotąd rozpraw i artykułów Tarnowskiego, było ze wszech miar pożądanem i pożytecznem.

Na tom trzeci tych rozpraw złożyły się tylko dwie prace: studyum o *Dworzaninie* Górnickiego — jedna z najwykwintniejszych rozpraw Tarnowskiego — i wizerunek księdza Kajsiewicza. O tym ostatnim szkicu tak pisał Jan Bystrzycki:

Przeczytawszy pracę prof. Tarnowskiego, ma się wyobrażenie o Kajsiewiczu jasne i pewne, bo postać kaznodziei, mimo pobieżnych, szkicowych pociągnień pióra, występuje z tła wyraźnie, *en haut relief*. Późniejsze obszerniejsze badania rozjaśnią wiele rzeczy, których autor nie rozjaśnił, rozszerzą i wytłómaczą wiele szczegółów, w książce p. Tarnowskiego zupełnie pominiętych lub pobieżnie wspomnianych, ale sama postać kaznodziei, jego charakterystyka, charakter jego pracy, talentu i zasług, te w pracy czcigodnego profesora są pojęte i przedstawione tak, że trudno coś z tego zmienić. Dodać wiele będzie można w miarę znajomości źródeł, ale ująć ani słowa. To jeden wielki przymiot

książki, a nie jest bynajmniej jedyny. Zdobi ją bowiem i bardzo mile przyciąga czytelnika uczucie autora, jego cześć dla wielkich zasług Kajsiewicza, jego usilność wydobycia na jaw wszystkiego, co te zasługi może w pełniejszem pokazać świetle, jego żałość nad naszą złą wiarą i apriorystycznem uprzedzaniem się, uniemożebniającem sprawiedliwy, bezstronny sąd. Spokojnie, przedmiotowo, nieraz z wielką żałością i tłumionym bólem przechodzi autor koleje ciernistego żywota, rozprasza skupione nad pewnemi faktami zadawnione uprzedzenia, żale i oszczerstwa, dowodząc prosto a niezbicie, jak właściwie rzecz się miała, a co z niej zrobiono i z jaką sławą lub opinią przechowała się do dziś [1]).

Z recenzyi i sprawozdań, jakie w poważnej prasie wywołały *Studya polityczne*, wyróżniał się świetnie napisany feljeton *Gazety lwowskiej*, feljeton, który jest zarazem doskonałą charakterystyką Tarnowskiego, jako człowieka, pisarza i obywatela. Szkoda, że autor nie podpisał się pod tym prawdziwie mistrzowskim feljetonem [2]). Oto kilka celniejszych z niego ustępów:

Biorąc do ręki te dwa tomy *Studyów politycznych*, rzucając jednocześnie okiem na ostatnie zeszyty *Przeglądu polskiego* zawołać się musi: Niezmużony! I istotnie ten przydomek należy się Stanisławowi Tarnowskiemu. Owe dwa tomy są zbiorem jego politycznych artykułów, ongi w *Przeglądzie polskim* drukowanych. Upłynie niebawem lat 30 od założenia tego pisma, a wszystkie świadczą do roku Pańskiego 1895, że Tarnowski był i pozostał nieznużonym. »Z przekonania«, mówił książę Roman Sanguszko, gdy go pytano o powód przystąpienia do walki narodowej. »Z obowiązku«, mógłby odpowiedzieć Tarnowski, gdyby kto chciał dowiedzieć się, dlaczego był i jest tak wyjątkowo w Polsce nieznużonym, zatem wytrwałym. Rzadka to u nas cnota, wytrwałość wogóle, tem dziwniejsza i cenniejsza, gdy idzie o pisanie, w społeczeństwie, które nie czyta. Co może ta cnota, dowiódł Tarnowski. Dwie ostatnie jego książki, *Zygmunt Krasiński* i *Z doświadczeń i rozmyślań*, rozeszły się w sposób niebywały w Polsce, nadprzyrodzony, bajeczny; dwie edycye wyczerpane zostały całkowicie. Nie liczył jednak na to przez lat 30 nieznużonej pracy, przecież nigdy nie ustał, nigdy nie stracił odwagi, dlatego, że pisał z obowiązku. Dodajmy, że nie stracił zamiłowania do pisania. Posiada on je w znacznej mierze, i ono ułatwia mu niezawodnie spełnienie pod tym względem obowiązku. Powiedziałbym nawet, że ten jedynie obowiązek spełnia z prawdziwem upodobaniem. Wszystkie inne, tak liczne, na tylu polach życia publicznego podjęte czynności, nie mają owej podpory i pomocy, a sposób, w jaki dokonywane są, świadczy wyłącznie o sile uczucia obowiązku, o jego czystości, które znowu tłómaczą, dlaczego wśród znękanych, rozczarowanych, zawiedzionych i zmęczonych Tarnowski pozostał nieznużonym; dlaczego zasługuje się: nietylko swoimi czynami i dziełami, ale także tym pięknym, podniosłym przykładem wytrwałości, najpotrzebniejszego w położeniu społeczeństwa polskiego przymiotu, bo tego, który jeden sprostać może jego zadaniom teraźniejszym, a otworzyć i zapewnić przyszłość. Tym sposobem Tarnowski stał się wśród nas kordyałem orzeźwiającym i życiodajnym. Jest to postać wśród naszych stosunków, której znaczenie i doniosłość są nieraz większe, niż jego pióra, co mu służy tylko za jedno z narzędzi spełniania obowiązku względem narodu.

---

[1]) *Przegląd powszechny*, t. 59, str. 100, lipiec, 1898.
[2]) *Gazeta lwowska*, 1895, nr. 207, z dn. 10 września.

I bardzo radbym dla zbudowania naszego i przyszłych pokoleń, aby w naszym okresie dziejowym to rozróżnienie utrzymało się i wyraźnie odrysowało. Bo zaprawdę jakżeż małem jest znaczenie pióra, choćby najświetniejszego, wobec człowieka, co całe życie poświęcił obowiązkowi. Ale i w zamiłowaniu pisania są u Tarnowskiego odcienia. Belletrysta, literat z powołania, talentem do pierwszorzędnych należący, pisarzem politycznym stał się znowu z obowiązku. Wierzył zawsze w to, co pisał, i dlatego wierzył w skuteczność tego, co pisał. Czuje się to — pomimo zastrzeżeń z jego strony — czytając jego polityczne prace; stąd też poczytywał je za obowiązek. Być może, iż nawet za wielkie wogóle znaczenie przypisywał artykułowi w polityce; wtedy, kiedy on sam przez się mało może, jeżeli nie poprzedza czynu. Drugim motywem w Tarnowskim, jako pisarzu politycznym, jest wielka szlachetność uczuć, zamiarów i celów. Przerzuca to nieraz jego utwory w dziedzinę idealną, niegodną realnej, rzeczywistej niestety, codziennej i każdego stulecia polityki. Więcej tam zmysłu moralnego, niż rachuby politycznej. Więcej zasad, niż sposobów i sposobików. Tarnowski jest chrześcijańskim pisarzem politycznym i zawsze znajdzie się w nim zbudowanie. Polemista wyśmienity i cięty, walczy z przeciwnikami, jak rycerze krzyżowi z niewiernymi: dla zbawienia zabija.

Nie mniemam, aby *Studya polityczne* dały wyczerpujące wyobrażenie o Tarnowskim, jako pisarzu politycznym, ani całkowity obraz szermierza i polemisty o sprawach publicznych. Najprzód zginie w znacznej części na zawsze to, co stanowiło siłę, wdzięk i zasługę największą tych jego walk: aktualność oraz odparcie chwilowego, grożącego niebezpieczeństwa. Następnie nie wszystko pomieszczone w tych dwóch tomach, co potrzebne do scharakteryzowania i ocenienia człowieka. Wreszcie Tarnowski jest niepospolitym mówcą i dopiero dołączając do jego pism politycznych zbiór jego mów, możnaby dokładnie przedstawić męża publicznego, statystę i publicystę.

W przedmowie poddaje się Tarnowski wątpliwości, ażali wydanie tych *Studyów politycznych* osiągnie skutek i pożytek, ażali mieć będzie i zachowa znaczenie. Ani skromność — zdaniem mojem nieraz zbyteczna — jednych, ani odsądzanie namiętne drugich, nie zatrą w najnowszych naszych dziejach faktu szkoły stańczykowskiej, ani zmniejszą jej znaczenia. Za wielkie z jednej strony zaparcie się siebie, jak u Tarnowskiego, zła wiara z drugiej, nie pomogą nic wobec tej prawdy, że szkoła ta wpłynęła i coraz bardziej wpływa na przeobrażenie pojęć narodu polskiego, zatem na jego życie. Wystarczyłoby to już, aby nadać *Studyom politycznym* znaczenie, o którem w przedmowie powątpiewa autor [1]). W nich bowiem widzi się najlepiej, jasno, nieraz olśniewająco, jak się wyrabiała dogmatyka szkoły. Te karty zapisane przez Tarnowskiego są dziejami przeszłości stańczykowskiej i dlatego są nieprzedawnionemi. Ożywia je wielki talent pisarski i dlatego nigdy przestarzałemi nie będą. Stąd ich wartość.

...Perłą *Studyów politycznych* jest i pozostanie *Królowa Opinia*. Tytuł i rzecz przez lat dwadzieścia i dwa nie przebrzmiały w naszem społeczeństwie. Tytuł stał się przysłowiowym; rzecz poruszyła i oby zawsze poruszała sumienia. Nie pokuszę się ani o streszczenie, ani o sprawozdanie z tego pysznego, zacnego, wytrawnego, patryotycznego studyum. Aby odnieść wrażenie i istotny pożytek, jeden jest tylko sposób: trzeba je odczytać, a czyta się je dziś, jak ongi, jednym tchem, tak dalece przywiązuje i porywa na przemian, to doniosłość przedmiotu, to wzniosłość poglądów. Jest to krzyk serca i sumienia prawego męża na widok

---

[1]) Najlepszy dowód, że cały nakład *Studyów politycznych* wyczerpał się w bardzo krótkim czasie.

spodlenia; jest to wstręt rozumu wobec głupoty. Stosunek naszego społeczeństwa do dziennikarstwa natchnął Tarnowskiego, jak może żaden inny objaw. Dał mu moc, dał siłę i wymowę. *Królowa Opinia* nie ma bezpośredniego związku ze szkołą stańczykowską. Utwór to, który na zawsze świecić będzie blaskiem talentu i jakimś dziwnym majestatem. To jak jedna z filipik Demostenesa, lub jedna z mów Cycerona przeciw Katylinie. Tam są odwieczne prawdy.

...Niepodobna mi w treściwych uwagach o dwóch tomach przedstawić szczegółowo ani też wyczerpująco ich zalet poszczególnych i wartości ogólnej. Chciałem tylko zwrócić uwagę na ich znaczenie, chciałem wykazać pożytek dla ludzi trudniących się sprawą publiczną z odczytania tych kart; chciałem, aby ci, których to obchodzi i zajmuje, skorzystali ze sposobności dla poznania lepszego, jednego z pierwszorzędnych pisarzy polskich naszych czasów, zarazem człowieka, jakich wśród nas mało.

...Tom drugi rozpoczyna rzecz, która pozostała w pamięci wszystkich — *Próby rozstroju* — a której intuicyjna siła, dziś właśnie, w tej chwili, należycie może i winna być ceniona. Jest to dowód tej wielkiej miłości kraju, która sprawia, że Tarnowski przewiduje zdala, co szkodliwem, zgubnem stać się może lub musi. Do charakterystyki człowieka posłużyć może oburzenie, jakiem przejęła go do żywego sprawa »Panamy«. Nie szło mu widocznie o tę, która się rozgrywała w Paryżu, jak o inne bliżej nas obchodzące. Wszystkie struny tej szlachetnej natury zadrgnęły na myśl, na przypuszczenie, iż gdzieś, kiedyś, i nasze społeczeństwo mogłoby się w ten sposób splamić...

W *Rozprawach w rzeczach kościelnych* występuje człowiek głębokiej wiary, gorliwy katolik, jakim przedewszystkiem i nieodmiennie jest Tarnowski we wszystkich swoich pismach. Wreszcie znajduje się sześć mów, powiedzianych w różnych okolicznościach. Zamało o wiele, na tyle wygłoszonych przez długi zawód publiczny, a zwłaszcza żałować należy braku mów sejmowych oraz pogrzebowych, z których wiele do najświetniejszych utworów Tarnowskiego należy. Jest to błąd wydania *Studyów politycznych*, ten, który sprawia, że nie dają całości obrazu. Nad pisarzem i człowiekiem góruje tam przeszłość stańczykowska, w której ten pisarz i człowiek tak przeważne, tak pełne zasług zajmuje miejsce. Widać z tych dwóch tomów, jak szkoła stańczykowska pod wpływem walk zewnętrznych i wewnętrznych, wyrabiała się, kształciła stopniowo; jak z początku nie była jeszcze tem, czem się w końcu stała, i jak długiego potrzeba było czasu i niemało mozołu, aby doszła do konkluzyi, znajdujących się w książce *Z doświadczeń i rozmyślań* i w *Rzeczy o roku 1863. Quocumque me verti, argumenti senectutis meae video,* jeżeli może dziś powiedzieć szkoła, to zarazem niewątpliwie wolno jej dodać: *Quod inter nos sit, ego illas posueram, ego illarum primum videram folium.* Bo zaprawdę trzeba być ślepym, żeby patrząc się wkoło siebie, nie widzieć i nie przyznać, że szkoła zasadziła drzewa, które okryły się liśćmi i niosą owoce. A wśród tych drzew najsilniejszemi i najzdrowszemi i najbardziej owocodajnemi pozostały zasadzone ręką Tarnowskiego, bo wybrał pod nie grunt płodny, w którym one najgłębiej zapuszczają korzenie, grunt zasad, a pielęgnował je z obowiązku.

Dnia 8 lutego 1896 r. skończyła się pierwsza sesya Sejmu w nowej kadencyi. Z wrażeń, doznanych w ciągu tych obrad sejmowych, kładąc główny nacisk na »usposobienia i kierunki«, zdał sprawę w *Przeglądzie polskim* Tarnowski, przyczem nie omieszkał wskazać na

próby wichrzeń anarchistycznych, szerzących się po kraju, a których skutki już się dawały odczuwać w Sejmie.

W maju ukazały się w *Przeglądzie polskim* pierwsze rozdziały dzieła Tarnowskiego o *Matejce*, o którym, wkrótce po jego śmierci, wygłosił szereg odczytów publicznych w auli *Collegii Novi*. W grudniu tegoż roku 1896 ukazały się rozdziały ostatnie, a jednocześnie, na krótko przed samem Bożem Narodzeniem, wyszła wspaniale wydana książka, ozdobiona blisko dwustoma reprodukcyami dzieł mistrza, a tekstem obejmująca całokształt życia i twórczości Matejki.

Zanim się ukazała jakakolwiek recenzya o tem nowem dziele Tarnowskiego, już publiczność rozkupiła olbrzymią część nakładu, pomimo, że książka, wydana kosztownie, wcale się nie mogła nazwać tanią. »Już to przyznać trzeba — pisał z tego powodu Stanisław Tomkowicz — że ta poczytność książek Tarnowskiego, magiczna siła atrakcyjna, jaką na szerokie koła czytelników wywierają rzeczy opatrzone nazwiskiem prezesa Akademii Umiejętności, jest niemałą pociechą w naszych ponurych czasach. Znać, że choć społeczeństwo coraz bardziej zapada w apatyę, we wstręt do czynów dodatnich, w brak energii cechujący epoki prawdziwego dekadentyzmu, że choć obojętnie patrzy na rozwielmożnienie brzydoty moralnej, bezładu i bezrządu, przecież lepsze zasady i zdrowe myśli całkiem uroku nie straciły, jest dosyć takich, którzy chętnie czytają pisma poważne i zacne, świadczące o szlachetnym poglądzie na świat i wyższych ideałach. A te zasady i te ideały trzeba ciągle przypominać ludziom, którzy coraz bardziej zaczynają żyć tylko wrażeniami i popędami, jakgdyby koniecznie wmówić w siebie chcieli, że między zwierzęciem a człowiekiem żadnej niema różnicy«.

Co się tyczy dzieła o Matejce, to stanowi ono, zdaniem Tomkowicza, nieoceniony materyał, źródło informacyi najbardziej wyczerpujące i najpewniejsze dla nas i dla długich po nas pokoleń.

To jest wartość książki, ale urok jej, to, że musi być chętnie czytana, polega w czem innem. Autor, który żył od młodości w tem samem mieście, co Matejko, z nim się znał, był nawet w długoletniej zażyłości aż do końca jego życia, patrzał zblizka na cały ten żywot i całą działalność artystyczną, nieraz z nim wspólnie występował publicznie i podróże odbywał, jak mało kto mógł poznać swój przedmiot i model, a jak mało kto umie obserwować. W portrecie literackim, który nakreślił, przemawia jako współczesny Matejki, który należał do tego samego pokolenia, oddychał tą samą atmosferą, doznawał tych samych lub pokrewnych wpływów i kochał te same ideały. Gdy uderzamy ton jakiś, odzywają się struny tak samo nastrojone. Odpowiedni też nastrój sprawia u Tarnowskiego czułość i wrażliwość na to, co poruszało umysłem i sercem Matejki. Obaj należą do epigonów epoki romantycznej, do ludzi, których żywo poruszają wzniosłe ideały ludzkości, idea piękna, moralnego poświęcenia, miłości ojczyzny.

Nie brak nawet rysów bezpośredniego pokrewieństwa tych dwóch natur. Jak Matejko nie poprzestawał na oddawaniu pędzlem wrażeń, lecz każdym obrazem przemawiał do rodaków, uczył ich, moralizował, uszlachetniał, podnosił poziom ich umysłu i rozgrzewał serca, tak Tarnowski przy każdem pociągnięciu piórem, czy pisze studyum literackie, czy książkę naukową, czy kreśli portret człowieka, czy rozbiór dzieła, zawsze myśli o pożytku czytających, nie o chwilowym efekcie, ale o korzyści dla sprawy publicznej. Jeden i drugi, artysta i uczony publicysta, są przedewszystkiem obywatelami, naturami nawskróś patryotycznemi. I jeszcze jedno podobieństwo. Mówiono o Matejce, że na przedmioty malowane patrzy zawsze zbliska, wykończa szczegóły, modeluje i rzeźbi każdą figurę, podnosi i potęguje jej plastyczność do najwyższego stopnia, niemal z ujmą dla ogólnego wrażenia całości. Tarnowski wprawdzie nie zawsze, ale w tym wypadku postępuje podobną metodą. Zbyt niedawno stracił z oczu Matejkę, aby na żywot jego i działalność mógł inaczej patrzeć, jak zbliska. Rozprowadza więc i wykończa szczegóły, rozpisuje się szeroko o każdym z kolei obrazie, poświęca detalom życia miejsca bardzo dużo. Nie gniewamy się o to. Na syntezę będzie jeszcze czas później; dziś, kiedy tak szybko mijają epoki, kiedy według własnego wyrażenia autora »nasz czas zaczyna już zasuwać się w przeszłość«, my i ci wszyscy, którzy tę przeszłość cenią, będą autorowi wdzięczni za skrzętne zebranie i uratowanie od zatraty tych szczegółów, z których bądź co bądź składa się wizerunek człowieka i obraz epoki, za nakreślenie rysów moralnych i intelektualnych artysty po Mickiewiczu, Słowackim, Chopinie, największego w Polsce, a człowieka od niejednego z nich większego, jako siła moralna i potęga ducha, największej chwały polskiej w dobiegającej do końca drugiej połowie XIX wieku. A nie jest to jakiś luźny zbiór szczegółów i materyałów. Choć malowany zbliska, jest to portret w całem znaczeniu wyrazu, portret, w którym prawdziwie po mistrzowsku podniesione i skreślone zostały główne cechy modelu: jego wrodzona i dominująca wzniosłość, cnota, harmonia wielkości i wielkość miłości narodu, i zaznaczony charakterystyczny brak równowagi. To, co do człowieka. A co do artysty? Niemniej świetnie schwycił i nakreślił autor czynniki, jakie się nań złożyły: samorodną oryginalność, potęgę twórczą i wyobraźnię, skłonność do nadmiaru, z której wynikła kolosalność rozmiarów i przesadna dramatyczność i ta zbyt częsta patetyczność. Wybornie uwydatnił wpływy zewnętrzne, wpływ Krakowa i zabytków jego i wpływ stosunków rodzinnych i bólów roku 1863. Z tych to składników wytworzył się kierunek talentu, program działalności artystycznej, już za młodu skrystalizowany i zakreślony, który potem spełniony został co do joty.

Zastrzegłszy się co do niektórych, poglądów autora, których nie podzielał, i co do samej faktury książki, w której go raziły ustępy z dawnych lat, wstawione nie jako cytaty, ale jako część integralna dzieła, Tomkowicz tak zakończył swe obszerne sprawozdanie:

Z temi może jeszcze i kilku innemi zastrzeżeniami, powiemy jednak szczerze, iż książka Tarnowskiego jest nieocenioną skarbnicą nietylko wiadomości o Matejce, ale źródłem poznania człowieka, jego przepięknej duszy, jego wielkiego serca i dzieła jego życia. Choć autor z całą skromnością uważa się za niekompetentnego i kilkakrotnie czytelnika za podjęcie tego zadania przeprasza, my mu w tem słuszności nie przyznamy, owszem mamy dlań głęboką wdzięczność za napisanie książki, która jest wielką zasługą, najwymowniejszym hołdem, złożonym wielkiemu człowiekowi, długiem, za społeczeństwo spłaconym przez jednego

człowieka, ale takiego, co w imieniu społeczeństwa przemawiać ma prawo i umie świetnie. Książka o Matejce, napisana z miłością, znajomością rzeczy i barwnie a z życiem, jak tylko dziś Tarnowski u nas pisać umie, czyta się jak mało książek po polsku pisanych i czytaną będzie długo i przez wielu, a pozostanie po latach jeszcze niezrównanym podręcznikiem dla pracujących nad Matejką lub chcących się dowiedzieć, jakim był wielki mistrz polski, jakie miał życie, co czuł, co myślał i co stworzył [1]).

Niemniej pochlebnie ocenił ją w *Ateneum*, w obszernej recenzyi, Mieczysław Offmański, dla którego ta »obszerna, szczera i sumienna praca, przedstawiona stylem jędrnym i potoczystym, sprawia, że *Matejko* jest prawdziwą ozdobą naszej literatury«.

W roku 1897 upływało lat dwadzieścia pięć, gdy Sienkiewicz rozpoczynał swój literacki zawód. Pragnąc przypomnieć i uczcić tę rocznicę [2]), Tarnowski zebrał wszystkie artykuły, które od roku 1881 pisywał o Sienkiewiczu, a w których kolejno omówił jego wszystkie dzieła, od pierwszych nowel aż do *Quo vadis*, i wydał je w książce, jako tom V swych *Studyów do historyi literatury polskiej*, p. t. *Henryk Sienkiewicz*. Wszystko, co się złożyło na ten spory tom, weszło w takiej formie, w jakiej było pisane pod wrażeniem każdej z powieści Sienkiewicza; autor nic tu nie zmienił, ani poprawił, ale poprostu przedrukował swe dawne sprawozdania; zostawił je, jak są, »żeby poprawieniem nie zepsuć, nie zatrzeć śladów świeżego, bezpośrednio doznanego uczucia, lub powziętego zdania«. Na nowo dopisanem było tylko zakończenie, zawierające ogólną charakterystykę twórcy *Trylogii*, oraz życzenie na dalsze lata żywota. A to życzenie streszczało się w słowach: »Aby do wszystkiego, co Bóg dał Sienkiewiczowi, dodał jeszcze jedno: widzieć plon z jego zasiewu, skutek jego pracy, i uradować się tym widokiem wśród lepszego, szlachetniejszego, wyżej podniesionego społeczeństwa polskiego«.

[1]) *Czas* z 21 marca 1897.

[2]) Dnia 6 listopada 1897 r. obchodzono w Krakowie rodzaj jubileuszu Juliana Klaczki. W deputacyi profesorów Uniwersytetu i członków Akademii, która sędziwemu jubilatowi wręczyła piękny adres (pióra Kaz. Morawskiego), nie brakło oczywiście i Tarnowskiego. W kilka dni po tej uroczystości Klaczko zapadł na zdrowiu, dotknięty częściowem porażeniem ciała, które nie ustąpiło aż po dziś dzień. Od tej chwili Tarnowski codziennie o godz. 12-tej w południe odwiedza swego starego przyjaciela i mistrza, a jeśli nie jest w Krakowie, czyni to pani Tarnowska. W ciągu ostatnich lat kilku wzrosło znacznie zainteresowanie się pracami Klaczki, a najcelniejsze z jego studyów literackich i dyplomatycznych francuskich wyszły w polskim przekładzie (Karola Scypiona). Wydano mianowicie: *Anneksyę w dawnej Polsce* (*Une Annexion d'autrefois*), *Studya dyplomatyczne* (*Etudes de diplomatie contemporaine*), *Dwóch kanclerzy* (*Deux Chancelliers*) oraz *Szkice i Rozprawy literackie* z lat 1854—1893 (w przekładzie Tarnowskiego, Jabłonowskiego i Potockiego). Każda z tych prac Klaczki, w polskim przekładzie, jest poprzedzona obszerną przedmową objaśniającą, pióra Tarnowskiego.

Obszerniejszą ocenę tej książki Tarnowskiego o Sienkiewiczu zamieścił w warszawskim *Głosie* Władysław Jabłonowski. Oczywiście, że krytyk, stojący na tak dyametralnie różnem stanowisku pod względem przekonań politycznych, nie może podzielać wszystkich wywodów i opinii współautora *Teki Stańczyka*, że mu ze swego punktu widzenia musi czynić mnóstwo zarzutów, mniej lub więcej uzasadnionych, że mu się nie wszystko podoba w książce przywódcy konserwatystów krakowskich, a bardzo wiele nie podoba się wcale, że nawet nie stara się być zupełnie bezstronnym, że się nie tai ze swą niechęcią i uprzedzeniem dla autora, że mu nie szczędzi przykrych i złośliwych docinków, i t. d. i t. d.; a jednak, niezależnie od tego, w głównych zasadniczych punktach, pomimo całej przepaści, jaka może dzielić recenzenta demokratyczno-postępowego *Głosu* od redaktora arystokratyczno-konserwatywnego *Przeglądu polskiego*, Jabłonowski godzi się z Tarnowskim, pisze się na jego sąd o Sienkiewiczu, z uznaniem wyraża się o książce samej, choć jej na ogół ma niemało do zarzucenia, a nawet w przeważnej części czyni zarzuty słuszne.

Co mu się spodobało przedewszystkiem, to, że »wyprzedzając najczujniejszych i najpracowitszych krytyków naszych, St. Tarnowski wystąpił ze sporym tomem, poświęconym dwudziestopięcioletniej pracy twórczej H. Sienkiewicza«, i że w tomie tym »mieści się wiele szczerego uwielbienia, odczutego i wyrozumowanego, stanowiącego jeden z pierwiastków sympatycznych tej książki«. Zdaniem recenzenta, »to rozkochanie się autora w przedmiocie podnosi wartość pracy i niekiedy zmniejsza odpowiedzialność jego za zbytnie wywyższenie ukochanego przezeń pisarza i upośledzanie innych, może nie równych mu zupełnie, w każdym razie jednak podobnych«.

Charakteryzując sposób pisania Tarnowskiego, przyczem robi ogólną uwagę, że »Tarnowski w krytykach swoich jest więcej mówcą, usiłującym powiedzieć wiele pięknych rzeczy, niż przenikliwym krytykiem, odrazu zmierzającym do celu, t. j. do określenia i ujęcia najbardziej istotnych i znamiennych rysów danego utworu«, Jabłonowski zarzuca mu między innemi, że do swych krytyk wplata zbyt wiele uwag pobocznych, moralizatorskich, które same w sobie są niekiedy »bardzo poważne i nie pozbawione wartości«, ale w artykule, nie będąc niezbędnemi, psują jego proporcye. Po tym podobnych uwagach, przeważnie zaprawnych sarkazmem, z powodu n. p. żżymania się krytyka na Litkę z *Rodziny Połanieckich*, przechodząc

wreszcie »do bardziej owocnych wyników krytyki Tarnowskiego«, recenzent pisze, co następuje:

Tarnowski streszcza naprzód — zanadto mówiąc nawiasem — utwory Sienkiewicza, ale streszcza po swojemu, barwnie, usiłując oddać to, co w nich najbardziej uderza i najwięcej rozkoszy sprawia czytającemu; następnie charakteryzuje każdą rzecz z jakiejś strony ogólnej, moralnej i artystycznej, i podług tego wnioskuje o ideałach samego autora; określiwszy ideał, wylicza zasługi twórcy. Takiego szematu używa prawie wszędzie. Po rozejrzeniu się w »małych powieściach« Sienkiewicza, bardzo słusznie powiada o nim: »Widzimy dotąd w jego powieściach uczucia i pragnienia, nie widzimy doktryn ani namiętności. Kto się zgorszył księdzem w *Szkicach węglem* i wnosił z nich, że autor jest bezbożnikiem, ten niech przeczyta *Niewolę tatarską;* kto z *Niewoli* oskarża go o arystokracyę czy szlachetczyznę, niech przeczyta *Szkice węglem;* a kto z tych lub z *Janka Muzykanta* domyśla się, że w nim fermentuje kwas społeczny, ten niech się uspokoi, czytając *Hanię*. Nam wydaje on się artystą przedewszystkiem, człowiekiem, który wrażenia żywo przejmuje i z wrażenia sądzi (czasem może jednostronnie), ale nieuprzedzonym ani nienawistnym względem kogokolwiek«. Charakterystyka trafna, na którą teraz zwłaszcza, wiedząc już napewno, czem jest Sienkiewicz, pisać się można w zupełności. Niejednemu w istocie w początkach zawodu pisarskiego Sienkiewicza wydawać się mogło, że będzie wspierał to tych, to owych, że odda się wyłącznie obronie jakiegoś szczególnego, ściśle określonego ideału; niejeden tak sądził, i albo cieszył się zbytnio, albo się martwił, gdy rzeczywistość spodziewaniom nie odpowiadała. Sienkiewicz tymczasem pozostał »człowiekiem, który wrażenia żywo przejmuje«, pozostał przedewszystkiem wielkim artystą, który z wrażeń częstokroć sądzi, ale... z wrażeń swoich, odbieranych od rozmaitych stron i zadań naszego życia; z wrażeń, płynących z wszelkich zawodów naszych i cierpień, z rozgoryczeń i nadziei, wytworzył sobie jakiś ogólny ideał, o którym nigdy nie zapomina, i który wśród chaosu artystycznych wyłącznie podnieceń stoi wciąż przed nim, jak słup ognisty przed Izraelem. Ideał ten wystąpi w całej swojej ogólnikowości — i na niejedną sprzeczność narazi autora — w »wielkich« jego powieściach. *Ogniem i mieczem* wysuwają ów ideał naprzód.

Jak Tarnowski, który jest fanatycznym wielbicielem *Trylogii*, a zwłaszcza *Ogniem i mieczem*, Jabłonowski przyznaje powieściom historycznym Sienkiewicza ogromną pod każdym względem wyższość nad jego »małemi powieściami«, choć nie brak takich, i to »bardzo wytrawnych i doskonałych literatów«, co są innego zdania. »Wielkie powieści Sienkiewicza są to utwory nie krótkiego i zręcznego natchnienia, lecz wyniki potężnego i długotrwałego natężenia twórczego; nie są zrodzone chwilowem rozrzewnieniem, lecz stałą potrzebą serca, czującego głęboko i myślącego niechwiejnie«.

»Tu wszystko takie wyraźne i wielkie w przeciwstawieniu do marności dzisiejszego życia (wyjątek z listu Sienkiewicza), tam zawiele rozczulania się »na kwincie za cienko brzmiącej«, jak sam powiada. Z tego, a nie innego stanowiska należy oceniać drugi okres twórczy Sienkiewicza. Na tę stronę zwrócił uwagę Tarnowski i podkreślił ją dobitnie. Zbyt daleko unosi go zapał, wywo-

lany *Ogniem i mieczem* i *Potopem*, za często widzi w Sienkiewiczu Homera, Tassa, Szekspira i Mickiewicza, razem wziętych, ale co do wartości powyższych jego utworów dla nas nie myli się i należycie ją ocenia. Za wiele uniesień wypowiada Tarnowski z powodu »treści i rdzenia« ducha polskiego, który znalazł swe najlepsze podług niego odbicie w utworach Sienkiewicza, ale uniesieniom tym nie brak podstawy mocnej. Niejeden z nas inaczejby pojmował, w szczegółach zwłaszcza, tę »treść«, te »cnoty« polskiej natury; niejeden byłby je w epoce współczesnej inaczej w życiu urzeczywistniał, ale do tego przyznać się musimy, że w XVII w. na lepsze i na czystsze niewielu by się zdobyło. Nikt nie byłby cnotliwszym, mężniejszym i bardziej skłonnym do poświęcenia siebie od Skrzetuskiego, nikt żywiej odczuwającym upokorzenie od księcia Jaremy. W *Ogniem i mieczem*, w *Potopie*, a nawet w *Panu Wołodyjowskim* wszystko to występuje w formie najwznioślejszej, bohaterskiej, i z tem głównie liczyć się trzeba przy ocenie znaczenia tych dzieł. Zdrada napiętnowana, poczucie obowiązków społecznych, chociaż ciasne czasami, ale w natężeniu niezwykłem wywyższone, fatalizm dziejowy zrozumiany, piękno przeszłości odczute i z siłą artystyczną oddane: czyż można nie ocenić tego? czy mieliśmy co równie ładnego w beletrystyce naszej? zapytuje krytyk. Trzeba przyznać, żeśmy nie mieli, że inni nawet nie mają podobnie żywej i pokrzepiającej powieści historycznej. Mogą być w *Trylogii* wady wielkie i mnogie, może być w drobiazgach, w szczegółach wartości drugorzędnej dużo uchybień prawdzie dziejowej, ale wyznać trzeba, że prawda ta jest wszędzie, gdy chodzi o obraz ogólny, o ducha epoki. Tu zupełnie godzimy się ze St. Tarnowskim.

Recenzentowi zawsze wady te i opuszczenia wydawały się czemś bardzo nieważnem wobec niepospolitych stron dodatnich, podobnie, jak nigdy nie podzielał zapatrywania tych, którzy z Chmielnickiego pragnęli zrobić jakiegoś Waszyngtona albo Wilhelma Orańskiego.

Sienkiewicz lepiej zrozumiał tragizm dziejowy, wynikły ze starcia się dwóch żywiołów, i zobrazował go szlachetniej. Zaznacza to wszystko Tarnowsk i robi słusznie. Nie mieliśmy lepszych powieści historycznych. Francuzi rozkoszują się dotychczas lekkim i bawiącym Dumasem (ojcem), Anglicy czczą archeologicznego Walter Scotta, Włosi z uwielbieniem wspominają *Narzeczonych* Manzoniego (zasługa Sienkiewicza, mojem zdaniem, najbliższą jest zasług Manzoniego), dlaczegoż my byśmy jedni nie mieli należycie ocenić powieści Sienkiewicza, nie gorszych w każdym razie, i nie skorzystać z nich wtenczas, kiedy nam więcej są potrzebne, niż innym? Tarnowski zasługę autora *Trylogii* przyjmuje bez zastrzeżeń, pożytek, płynący z ich czytania, bez względu na chwilę. Nam się jedno i drugie trochę inaczej przedstawia. Tylko w epoce lilipucich dążności i płytkich dusz, w okresie poziomych i rozluźnionych pragnień, powieści podobne przynoszą wielki pożytek; w innych czasach wartość ich redukuje się do ogólnej wartości pięknych opisów, barwnych scen, barwiących wypadków.

Ale ponieważ żyjemy właśnie »w epoce lilipucich dążności i płytkich dusz«, i wcale się jakoś nie zanosi na inne czasy, więc zdaniu Tarnowskiego tem większą należy przyznać słuszność. O tych »lilipucich dążnościach« i »poziomych i rozluźnionych pragnieniach«, najwymowniej świadczą liczne typy w *Rodzinie Połanieckich*, którą

Tarnowski stawia bardzo wysoko, uważa ją za »najwspanialszy specymen naszej powieści obyczajowej«, może dlatego, jak przypuszcza Jabłonowski że »w niej uosobione zostały ideały życiowe samego krytyka«. Bądź co bądź, zrozumieć trudno — i tu niepodobna nie zgodzić się z recenzentem *Głosu* — dlaczego nam Tarnowski nie dał szczegółowego rozbioru *Bez dogmatu*, choć powieść ta pod każdym względem stoi wyżej od *Rodziny Połanieckich*.

Na najwyższym szczeblu twórczości Sienkiewicza stawia Tarnowski *Quo vadis*. Czy z powodu scen malowniczych, obrazów przepysznych świata starożytnego, grozy walczących ze sobą porządków, starego z nowym? Nie! Przedewszystkiem z powodu tematu. Dlaczego temat z *Quo vadis* stanowi o wielkości tej powieści? Wszak w *Trylogii* dusze bohaterów są pełne treści religijnej, wszak i sam tryumf krzyża widnieje na każdem miejscu: tylko tam rozwija się to wszystko na tle swojskiem bez żadnej dogmatyki i teologii powszechnej; tam wiara traktowana jest na sposób świecki — jak powiada Tarnowski — w *Quo vadis* zaś, jako absolutna i jedyna prawda, nadzieja i zbawienie ludzkiego rodzaju.

W ten sposób przejrzawszy poglądy Tarnowskiego na główne etapy twórczości Sienkiewicza, recenzent *Głosu* tak konkluduje w końcu:

Pogląd Tarnowskiego na stanowisko Sienkiewicza w współczesnej literaturze naszej musimy podzielić. W istocie »całą jedną gałąź polskiego piśmiennictwa, powieść, podniósł Sienkiewicz tak wysoko, jak przed nim nie stała nigdy«; podzielamy to z tem jednak zastrzeżeniem, że nie sam jeden Sienkiewicz podnosił powieść polską, i że w tej drugiej połowie naszego wieku, która wielkich poetów nie ma, nietylko jego powieść była »najszlachetniejszem i najpiękniejszem dziełem wyobraźni twórczej«. My i o tem pamiętamy. Natomiast nie możemy godzić się na to wszystko, co w *Zakończeniu* powiada Tarnowski o wyższości bezwzględnej estetyki Sienkiewicza nad estetyką największych mistrzów powieści XIX wieku. Bogatym jest bardzo — i my z jego przyczyny — ale i oni już nie tak biedni, jak mówcy podwawelskiemu się wydaje.

Już to wogóle recenzenta *Głosu* bardzo wiele rzeczy »nieco razi w studyach surowego krytyka«, za jakiego uważa Tarnowskiego [1]).

W kwietniowym zeszycie *Przeglądu polskiego* z r. 1898, w *Kronice literackiej*, ukazała się ocena trzech monografii Chmielowskiego, pomieszczonych w kolekcyi *Życiorysów sławnych Polaków*, ocena, skreślona przez Tarnowskiego, a która, bezwzględna w swej otwartości, bardzo zaostrzyła wzajemny stosunek dwóch koryfeuszów naszej krytyki. Sprawozdanie, choć pełne różnych zastrzeżeń, naogół było bardzo pochlebne, szczególnie o ile dotyczyło charakterystyki Korzeniowskiego i Czackiego; ale gdy przyszło o wypowiedzenie swego zdania o Kaczkowskim, zastrzeżenia coraz bardziej brały górę nad

---

[1]) *Głos*, 1897, Nr. 50 i 51. *St. Tarnowski o Sienkiewiczu.*

tożsamością poglądów, aż w końcu przyszła kolej na ustęp, który Chmielowskiego stawiał w świetle niegodnem pozazdroszczenia. Ustęp ten, bardzo przykry wogóle, a najboleśniejszy w swych niedomówieniach, brzmiał, jak następuje:

W religijne, filozoficzne i polityczne stanowisko p. Chmielowskiego nie wchodzimy. Każdy ma prawo myśleć, jak chce. Ale nie każdy ma prawo, raczej nikt nie ma prawa, mówić o drugich, a dopieroż drukować, tego, co nie jest prawdą. I dlatego musimy czytelnika jeszcze przez chwilę przy rzeczonej książce zatrzymać.

Na stronie 114 pisze p. Chmielowski, co następuje: »Jako wróg oligarchii, bardzo surowo osądził (Kaczkowski) Stańczyków wogóle i poszczególe«. Zapytujemy, co jest oligarchicznego w słowach, pismach, czy działaniach tak zwanych Stańczyków? Prosimy wziąć wszystkie jakie są dzieła Szujskiego, pisma Tarnowskiego lub Koźmiana, i wycisnąć z nich choćby jedno słowo na dowód ich oligarchicznej dążności czy zasady. Takiego słowa p. Chmielowski nie znajdzie, bo nie było nigdy tej zasady czy dążności w myśli, ani w czynach tych ludzi. Występowanie przeciw tajnej organizacyi i przeciw konspiracyi, występowanie przeciw demokracyi, czy to ciasnej i głupio pojmowanej, czy nienawistnej, a przez to społeczeństwu i jego sprawie szkodliwej, nie jest oligarchią dla nikogo, co rzeczy jasno widzi, dokładnie rozumie, a określa i nazywa podług ich istoty i treści.

Ale o to mniejsza; ta nieprawda jest tylko śmieszna. Zaraz po niej następuje jednak inna. Kaczkowski »zarzuca Stańczykom, bez obwijania w bawełnę, że gwoli własnym interesom dopuścili się podczas wojny wchodniej w r. 1876—1878 denuncyacyi względem własnego społeczeństwa«. Jakiej? kiedy? gdzie? na kim? Jak się takie oskarżenia przytacza, to należy powiedzieć, na czem one się zasadzają. Kaczkowski zarzucał? to na sumieniu i odpowiedzialności Kaczkowskiego. Ale powtórzenie zarzutu spada na odpowiedzialność i na sumienie pana Chmielowskiego. Jeżeli zarzut jest słuszny, to p. Chmielowski, przytaczając go, powinien to był powiedzieć i dowieść. Jeżeli zarzut słuszny nie jest, powinien był powiedzieć, że jest . . . . . . czytelnik sam doda właściwy przymiotnik określający. P. Chmielowski przytaczając zarzut bez zaprzeczenia i odparcia, wywołuje w czytelniku swoim mniemanie, że zarzut jest słuszny.

Ta nieprawda już nie jest śmieszna; jest . . . . . . znowu niech sam czytelnik sam określi i nazwie!

Najgorsza jest trzecia, bo się odnosi do ludzi właśnie najgodniejszych i najzasłużeńszych, a zmarłych, zatem zupełnie bezbronnych.

»Jako gorący patryota, potępił (Kaczkowski) działalność Zmartwychwstańców, przekładających interesa władzy kościelnej nad sprawy i dobro kraju«.

Nie próbujemy tłómaczyć tym, którzy zrozumieć nie chcą, albo nie są zdolni, że między interesem religijnym a narodowym niema sprzeczności, że oba się koniecznie łączą i koniecznie wspierają. Przypominamy tylko i twierdzimy, że w działaniu Zmartwychwstańców nie było nigdy nic, coby było z uszczerbkiem i szkodą narodowych spraw polskich, coby nie było z ich pożytkiem i korzyścią. Niechęć do nich zaczęła się dawno, bo jeszcze w r. 1842, za to tylko, że zostali księżmi, że upominali, ganili, do Boga i Kościoła zwracali. Wzrosła ona w r. 1849, kiedy X. Kajsiewicz surowo wyrzucał Polakom, że pomagali wypędzać Papieża z Rzymu. Zamieniła się w nienawiść w r. 1862, kiedy tenże X. Kajsiewicz wydał — na prośbę biskupów — swoje Listy »do Braci szlachty niemądrze

rewolucyjnych« i »do Braci księży niemądrze spiskujących«. Nienawiść zaś przeszła w wściekłość i mściła się ostatniemi kłamstwami, kiedy Zmartwychwstańcy, zapytani o opinię o księżach złego prowadzenia w emigracyi po r. 1863, musieli przed władzą duchowną wyznać prawdę.

Źródła informacyjne do tej sprawy są liczne i drukowane. Jeżeli ich pan Chmielowski nie znał, a ferował swój wyrok, to dość dziwne, jak na uczonego, które chce wszystko na pozytywnej wiedzy opierać. Jeżeli znał, a obrony spotwarzonych nie przytoczył, to dziwniej. Czy może świadkowie nie zasługują na wiarę, a oskarżeni na prawo obrony, dlatego, że są katolikami i księżmi?

Zarzuty były twarde, tem twardsze, że nie do odparcia. Jakoż Chmielowski znalazł się w położeniu, z którego moralnie nie było wyjścia. A więc co począć? Bo jednak bez odpowiedzi niepodobna zostawić takiego oskarżenia. Coś należało przytoczyć na swoje usprawiedliwienie. Chmielowski postąpił w ten sposób, że napisał list do Tarnowskiego, w którym to liście przytoczył, co mógł, na swoją obronę, argumenty jednak, któremi usiłował osłabić ostrze zarzutów Tarnowskiego, tak były błahe i kruche, że możeby lepiej uczynił, gdyby wprost powiedział: *Mea culpa!* List żądał również sprostowania, na co Tarnowski zgodził się oczywiście. »Obrony nikomu odmówić nie mamy prawa: przyrzekliśmy więc, że ogłosimy treść pomienionych listów p. Chmielowskiego, zastrzegając sobie tylko, że ogłosimy także te argumenty, które nam się przeciw jego wywodom, a w naszej obronie, nasuwają«. Zanim do tego przyszło, nastąpiła jeszcze parokrotna wymiana listów pomiędzy Tarnowskim a Chmielowskim, listów, których treść Tarnowski zupełnie objektywnie przytoczył w swem »sprostowaniu«. Sprostowanie to ukazało się w najbliższym zeszycie *Przeglądu polskiego*, zdaje się jednak, że nie przekonało nikogo. Chmielowski, starając się usprawiedliwić tylko z jednego zarzutu, powoływał się na jakiś list Kaczkowskiego, ale wszystko to były dowody wątpliwej autentyczności, których wiarogodność Tarnowski jeszcze zachwiał do reszty. Oto jego kontrargumentacya:

Chodzi p. Chmielowskiemu o to, by stwierdzić, że »ze swego stanowiska sprawozdawczego miał prawo napisać to, co pisał, streszczając *Tekę Nieczui*«, że »z tego stanowiska sprawozdawczego nie zeszedł ani na chwilę«, że »zachował najściślejszą sprawozdawczą przedmiotową cechę«, że »wstrzymał się od wypowiedzenia swojej opinii o wewnętrznej treściowej stronie« owej *Teki*, »swoich sympatyi lub antypatyi nie uwydatnił«. W konkluzyi, odwołując się do naszego uczucia sprawiedliwości, wyraża nadzieję, że »streszczając jego listy w *Przeglądzie polskim*, nie pominiemy nic, co na jego stronę przemawia«, a prosi »pamiętać, że nie zeszedł ani na chwilę ze stanowiska sprawozdawczego«.

Ustępów o XX. Zmartwychwstańcach i o oligarchicznych tendencyach Stańczyków p. Chmielowski w listach swoich nie dotykał, bo my w recenzyi życiorysu Kaczkowskiego »nie zwróciliśmy się do jego sumienia tak, jak przy ustępie dotyczącym Stańczyków«.

Treść naszych odpowiedzi była następująca:

1) Nie odpieraliśmy oskarżeń zawartych w *Tece Nieczui*, nie dlatego, iżbyśmy ich odeprzeć nie mogli, tylko poprostu dlatego, że mamy zwyczaj nie odpowiadać na paszkwile i potwarze. Są rzeczy, na które się nie odpowiada. Brak odpowiedzi nie jest dowodem, że zarzut był słuszny.

2) P. Chmielowski nie miał i nie ma powodu uważać Kaczkowskiego za potwarcę? Jaki miał powód uważać nas za denuncyantów? Czy twierdzenie Kaczkowskiego na to wystarcza? Czy przynajmniej widział te dokumenta, o których Kaczkowski do niego pisał? czy się przekonał, że są autentyczne? że wogóle są?

3) Nie wierząc bynajmniej w to, co Kaczkowski zarzuca p. Lisickiemu, widzimy wielką nieznajomość stosunków w mięszaniu go ze Stańczykami, których politycznym przyjacielem nigdy nie był.

4) Gdyby nawet było prawdą — a nie jest nią — to, co Kaczkowski miał wiedzieć i twierdził, to nie należało rozciągać oskarżenia na Stańczyków w ogólności.

5) Wiedzieliśmy dawno o tem, że Kaczkowski donosił rządowi austryackiemu, jakoby Stańczycy byli agentami rosyjskimi. Z jaką prawdą, to może poświadczyć choćby rząd rosyjski.

6) Rozmowa Kaczkowskiego z Ludwikiem Wodzickim jest bardzo niepodobna do prawdy. Ludwik Wodzicki należał do sądu honorowego nad Kaczkowskim w r. 1864. Gdyby potem był miał z nim jakie styczności czy rozmowy, byłby o nich swoim przyjaciołom opowiadał, bo nie byłaby to rzecz obojętna, ale owszem dość dziwna na to, by ją zapamiętać. W każdym razie, jeżeli nawet rozmowę taką miał, to nie mógł Kaczkowskiemu mówić, że centrum Stańczykostwa było w Warszawie, a filia w Krakowie, bo to nieprawda.

7) W recenzyi życiorysu Kaczkowskiego napisałem wyraźnie, że ustęp o Zmartwychwstańcach uważam za najgorsze z trzech nieprawdziwych oskarżeń w życiorysie tym zawartych.

8) Skoro p. Chmielowski żąda sprostowania, widzę i proponuję jego sposób słuszny: ogłoszę w *Przeglądzie* streszczenie jego listów, a obok streszczenie moich odpowiedzi.

Dopełniwszy niniejszem tego przyrzeczenia, uważamy sprawę za skończoną.

Na rok 1898 przypadała setna rocznica urodzin Mickiewicza. Naród pamiętał o tej rocznicy, jak tego dowodziły dwa pomniki wieszcza, w ciągu tego roku odsłonięte w Krakowie i Warszawie. Oczywiście, że i literatura, wstąpiwszy pod znak Mickiewicza, przyniosła cały szereg mniejszych lub większych prac o twórcy *Pana Tadeusza*. Której z nich należała się palma pierwszeństwa? Trzebaby być bardzo uprzedzonym, żeby nie przyznać, że ze wszystkich życiorysów poety, jakie przyniósł ten rok Mickiewiczowski, najpiękniejszym był — i został nim aż po dziś dzień — »zarys biograficzny« o *Adamie Mickiewiczu*, pióra Tarnowskiego [1]).

Dla prof. Tretiaka, któremu nikt nie odmówi, że należy u nas do najlepszych znawców Mickiewicza, jest to »z serca napisana a znakomita pod każdym względem w swoim zakresie książka«, uważać

---

[1]) *Petersburg*, 1898, nakł. Kazimierza Grendyszyńskiego.

ją też należy za prawdziwą ozdobę biblioteki *Życiorysów znakomitych Polaków*, której stanowi tom drugi.

Prof. Tarnowski, podejmując się napisania dla tej biblioteki życiorysu Mickiewicza, miał przed sobą z pozoru łatwe, w istocie wcale trudne zadanie. Łatwe może się ono wydać, jeżeli zwrócimy uwagę tylko na to, że w zarysie biograficznym, zastosowanym do rozmiarów biblioteki, nie chodzi o nowe, specyalne badania, o wydobycie nieznanych szczegółów, ale tylko o należyte skorzystanie z gotowego materyału i o nakreślenie postaci sławnego człowieka w głównych rysach. Trudnem musi się wydać, gdy rozważymy, jak wielką była w tym razie obfitość materyału w stosunku do ram, do rozmiarów z góry zakreślonych, jak głębokiego trzeba przeniknięcia materyału, a zarazem artystycznego poczucia miary, ażeby w tej obfitości nie zaplątać się, nie zabłąkać się, ale wynieść z niej obraz, wszystko, co ważniejsze, ogarniający, a przytem jasny i harmonijny. Z góry powiedzmy, że autor wbrew obawom, wyrażonym w krótkiej przedmowie, odpowiedział zadaniu swemu znakomicie. Mamy już, dzięki Bogu, wiele książek i wielkich i małych, obejmujących całość życia i poezyj Mickiewicza, a w żadnej nie ma tak wybornej miary, w przedstawieniu życia i słowa Mickiewiczowskiego. Autor widocznie przejęty był ciągle tą zasadą, że w życiorysie poety główną rzeczą jest to, co on stworzył, a wszystko inne, wszelkie koleje jego życia, o tyle zasługują na uwagę, o ile są niezbędną podstawą do zrozumienia jego twórczości. To też więcej, niż połowę stustronicowej książki poświęca on czy to ogólnej charakterystyce poezyj Mickiewicza, czy szczegółowemu rozważaniu odrębnych utworów, naturalnie najważniejszych a przecież i w treściwie podanej części biograficznej nie pomija nic ważniejszego.[1])

Zdaniem Tretiaka, nawet ci, co czytali monografie Chmielowskiego, Władysława Mickiewicza i Kallenbacha, jeśli po ich przeczytaniu wezmą do ręki stustronicową książkę Tarnowskiego, odniosą z niej wielką korzyść, albowiem »znajdą tu z łatwością to, czego w innych obszernych monografiach z trudem doszukiwać się trzeba, to jest stosunek poezyi Mickiewicza do dawniejszej poezyi polskiej i do współczesnej poezyi europejskiej, naturalnie w rozmiarach zastosowanych do całości«.

Główne linie, które tam w mnóstwie szczegółów roztapiały się i ginęły, tu występują przed nią jasne i wyraźne; główne utwory poety widać tu na pierwszym planie, w całej pełni oświetlone wysoko rozwiniętem poczuciem estetycznem i etycznem autora. Do najlepszych stronic książki zaliczamy te, które zawierają w sobie albo ogólną charakterystykę poety, albo poglądy autora na najważniejsze utwory Mickiewicza. Z tych poglądów szczególnie wydaje nam się godnem zaznaczenia to, co autor mówi o *Wallenrodzie*, mianowicie o *Powieści Wajdeloty*. Wajdeloty *Powieść* byłaby najpiękniejszem dziełem Mickiewicza, gdyby nie było na świecie *Tadeusza*. Od tego zaś rozmiarami mniejsza, może i doskonałością niższa, ma przecież jedną nad nim wyższość. Ma ten w surowej prostocie i powadze ton uroczysty, wzniosły, który do treści *Pana Tadeusza*

[1]) *Słowo* z 31 grudnia 1898.

byłby źle dobranym, ale który przystoi majestatowi bohaterskiego poematu... I dlatego *Wallenrod* jest wielki. Zdaje nam się, że z tego punktu widzenia nikt nie rzucił tyle światła na ten poemat, nikt tak jasno i wyraźnie nie wskazał tego, co stanowi wiecznie trwały, powszechno-ludzki pierwiastek w *Wallenrodzie*.

Z równie gorącą pochwałą spotkała się ta praca Tarnowskiego o Mickiewiczu w warszawskiem *Ateneum*, w krytycznej ocenie wszystkich poszczególnych tomików biblioteki *Życiorysów sławnych Polaków*. Oto odnośny ustęp z tej recenzyi, dotyczący pracy Tarnowskiego:

Świetną pracą jest rozprawa prof. Tarnowskiego o Mickiewiczu, wydana jeszcze z początkiem 1898 roku. W roku tym pojawiło się całe mnóstwo rozpraw i dziełek mniejszej objętości o mistrzu pieśni polskiej, którego urodzin setną obchodzono rocznicę. Dziełek takich, popularnie napisanych, wyszło, rachując z grubsza, około 50. Jeśli się atoli wśród nich rozpatrzymy, bez wątpienia palmę pierwszeństwa będziemy musieli przyznać tej właśnie rozprawie prof. Tarnowskiego. Znajdujemy wprawdzie na samym wstępie tego życiorysu oświadczenie autora, że ta praca nie jest taką, jakąby być powinna,[1]) a mimo to przecież po przeczytaniu jego dochodzimy do przekonania, że lepszego życiorysu popularnego Mickiewicza dotąd nam nikt nie dał, nikt tak nie objaśnił zasad, które arcymistrz dla przyszłych pokoleń zostawił w testamencie; tak wzniośle, tak pięknie i tak prawdziwie nikt nam nie wytłomaczył idei poety, która świeciła mu w całem życiu, wtedy nawet, gdy błądził w mgle mrocznej nauki Towiańskiego.

Wiele tych samych, a przynajmniej pokrewnych myśli, co w swym treściwym życiorysie twórcy *Dziadów*, wypowiedział Tarnowski w swym odczycie *O Mickiewiczu*, wygłoszonym dnia 14 maja na publicznem posiedzeniu Akademii Umiejętności. Była to charakterystyka poety, określenie stanowiska, jakie zajmuje w poezyi polskiej i wszechświatowej, i roli cywilizacyjnej, jaką ta poezya odegrała w życiu narodu. »Mickiewicz, zdaniem Tarnowskiego, jest produktem, skutkiem naszego historycznego stanu po rozbiorach, i był zarazem jedną z przyczyn i sił utrzymujących nasze życie w ciągu tego wieku. To, co dla nas napisał, da się i zliczyć i ocenić; to, co w nas temi pismami utrwalił, pokrzepił, zabezpieczył, podniósł wyżej, to się wyśledzić i zmierzyć nie da, ale prawdą i rzeczywistością jest«. Dlatego w odczycie swym mówił Tarnowski o tem tylko, co Mickiewicz dla nas napisał, to zaś, co o tem powiedział, równa się mistrzowskiej syntezie, która bodaj czy nie jest ostatniem słowem o Mickiewiczu. Cokolwiek ludzie jeszcze napiszą o twórcy *Pana Tadeusza*, zawsze ostateczny wniosek zarówno o człowieku, jak

[1]) To znaczy, że pisząc ją, autor musiał się liczyć z warunkami cenzuralnemi.

i o poecie, będzie ten, do jakiego w swym odczycie doszedł Tarnowski. W tym zakresie nie może być żadnych kwestyi: problem został rozwiązany, raz na zawsze. Rysów, które w tym wizerunku nadano Mickiewiczowi, nic już nie zmieni. A ktokolwiek z czasem pokusi się o napisanie monografii o autorze *Wallenroda* (monografii, na którą on wciąż czeka jeszcze) temu zarówno pomieniony odczyt, jak i inne rozprawy Tarnowskiego, poświęcone Mickiewiczowi, winny posłużyć za punkt wyjścia. Bo nie ulega wątpliwości, że w całej literaturze mickiewiczowskiej, jakkolwiek jest bogatą, prym trzymają studya autora rzeczonej prelekcyi *O Mickiewiczu*, aż dotąd nieprześcignione przez nikogo.

W sześć tygodni po tym odczycie, dnia 26 czerwca 1898 roku nastąpiło uroczyste odsłonięcie pomnika Mickiewicza w Krakowie. Jak się wszystko odbyło, opisał dość szczegółowo w *Przeglądzie polskim* Tarnowski, który w tej narodowej uroczystości był *pars magna*. »Uroczystość odbyła się dobrze, poważnie, godnie. Przyjezdnych z różnych stron Polski dużo, wśród dalszej rodziny Mickiewicza dwoje z jego dzieci, Władysław i pani Marya Górecka. Oprócz Polaków, Czesi, którzy chcąc się wywdzięczyć za przyjazd do Pragi na uroczystość Palackiego, zjechali na uroczystość Mickiewicza w licznem i doborowem gronie... Jakie dla nas miał znaczenie ten obchód, jakie obudził uczucia i myśli, to najlepiej oddały mowy, wypowiedziane przy odsłonięciu posągu«. Jedną z nich — a wszystkich było pięć — wypowiedział Tarnowski, jako prezez Akademii Umiejętności:

Oto, co mówił między innemi:

— Ten stary rynek krakowski tyle już widział! Tędy królowie ciągnęli do domu Wierzynka; tu lenni książęta składali hołdy; z tego Kościoła wychodził Jan III po dziękczynieniu za wiedeńskie zwycięstwo; tu przysięgał Kościuszko; z tamtej ulicy wchodził do miasta książę Józef na czele wojska! Dziś hołd inny. Okrzyków radości nie słychać, wiwaty nie grzmią; bez smutku, bez goryczy obejść się u nas nie może nawet narodowe święto. »W głębi myśli jest hydra pamiątek, co w sercu zatapia szpony«. Ale dobroczynna to hydra. Szpon jej szarpie boleśnie, to prawda, ale zasnąć nie daje i przypomina: »Mickiewiczowi składacie hołdy? To dobrze. Ale gdzie tamte hołdy? Na to pomnijcie i pytajcie, co z nimi, ach, z nimi się stało!« Jak śpiewu bez skargi, tak uroczystości nie znamy już bez żałoby. A jednak ten hołd, choć bez »nuty wesela«, tryumfalny jest. W Mickiewiczu święci się tryumf tej miłości, co mocniejsza niż śmierć, tej siły życia, co wiek cały przetrwała, co wyszła zwycięzko z prób niezliczonych i z niezliczonych boleści, niebezpieczeństw,

nawet pokus. Tryumf nad sobą samym, nad złem w sobie, najtrudniejszy jest ze wszystkich, i tego jeszcześmy nie odnieśli. Ale zaraz po nim idzie tryumf nad losem, a ten odnosiliśmy rzeczywiście przez lat sto. Wbrew losom jesteśmy, czemeśmy byli, a może — Bóg jeden widzi to dobrze — ale może poniekąd lepsi, silniejsi, niżeśmy byli. Że tak jest, to nie Mickiewicz jeden sprawił, ale w wielkiej mierze on także. Dlatego jemu należy się posąg; dlatego my, choć smutni, nie potrzebujemy głów pochylać, ale mamy prawo trzymać je śmiało do góry. Źle, że nasi ojcowie nie wznieśli tu posągów tym, co zwyciężali; tacy zawsze mają do nich prawo najpierwsze. Ale my, co zwycięzców oddawna mieć nie możemy, dobrze robimy, że w ich braku stawiamy posąg temu, co duchem i słowem zwyciężał, zdobywał i bronił... *Onorate l'altissimo poeta!* Czcijmy go za to, co dla nas zrobił, czem dla nas był i jest; czcijmy za to, co jeszcze zrobi, czem dalej być może. Bo źródło siły w nim nie wyschło, ogień jego ducha i słowa nie zgasnął. Nasz wiek XIX, który w wielkiej mierze z Mickiewicza żył, schodząc z pola, zostawia swemu następcy Mickiewicza posąg. Zostawia go, jako znak i świadectwo swojej czci i wdzięczności dla wielkiego człowieka, jako znak i świadectwo swoich uczuć polskich; ale zostawia go także, jako przykład, jako upomnienie i zobowiązanie. Niech się wiek XX wpatruje w posągi Mickiewicza, niech się wpatruje zwłaszcza w wielki duchowy posąg jego dzieł. Tego od niego żądać, to mu przykazać, mamy prawo my, bo nam także wiek XVIII, kiedy się kończył, zostawił swój rozkaz, a myśmy usłuchali i rozkaz spełnili. Niech się wiek XX kupi około tego posągu, niech serce i umysł karmi Mickiewicza uczuciem i słowem, na to, by kiedyś powiedzieć się dało o posągu to, o czem za życia »cudnie marzył poeta«: »kości z pod tej stopy w olbrzymie kształty zbiegły się i zrosły«. A to, co na tym rynku kiedykolwiek było, co tu pod ziemią śpi, to niech z tym pomnikiem się łączy, a przezeń niech nabiera nowej mocy przetrwania i odżycia!...

Wieczorem, po uroczystem przedstawieniu teatralnem, na którem oprócz trzeciej części *Dziadów* wykonano poetyczny *Epilog* Lucyana Rydla, odbył się wielki raut w pałacu na Szlaku, gdzie Tarnowski, wraz z małżonką i córką, z serdeczną gościnnością podejmował przybyłych. Ożywione zebranie trwało do północy.

Ogólne wrażenie, wyniesione z tej uroczystości odsłonięcia pomnika Mickiewicza, było bardzo dodatnie, może nie tak podniosłe i patetyczne, jak to, którego doznali uczestnicy pogrzebu wieszcza, ale bądź co bądź był to jeden z najpiękniejszych, najbardziej pamiętnych dni w Krakowie. »Pogrzeb Mickiewicza w r. 1890 — pisał

Tarnowski w swym opisie tego dnia — musiał z natury rzeczy być i wspanialszym i rzewniejszym obchodem. Ale odsłonięcie jego posągu było także obchodem pięknym i dobrym, którego pamięć powinna zostać w dziejach i tradycyach tego miasta, tak, jak została z lepszych czasów pamięć przyjęcia księcia Józefa w r. 1809, i ten dzień, w którym zaczęła się sypać mogiła Kościuszki«. A już z czego stanowczo cieszyć się należy, to że w końcu stanął ten pomnik. »Nareszcie! Jest. Stoi między Panną Maryą a Sukiennicami, widzimy go, obchodzimy go dokoła, nie możemy wątpić, że to rzeczywistość i fakt. Skończyło się to długie czekanie, niecierpliwiące a poniekąd upokarzające; stało się zadość uczuciu i potrzebie. Mickiewicz ma posąg w Krakowie, w same sto lat po swojem urodzeniu pierwszy posąg na ziemi polskiej! To uczucie zaspokojenia i zadośćuczynienia — pisał Tarnowski imieniem wszystkich Krakowian — góruje nad wszystkiem i napełnia nas szczerą radością. W dobrej chwili zapomina się o złych. Dziś nam lekko na sercu i dobrze, bo się przecie dokonało. Mickiewicz ma posąg. Ten posąg zaś, to będzie i po nas piękna, chlubna pamiątka: pamiątka pokolenia, które go wzniosło, pamiątka uczniów tutejszego uniwersytetu, którzy pierwsi myśl powzięli i sprawę podjęli, pamiątka tych, co się sprawą trudnili i doprowadzili ją do końca, pamiątka rzeźbiarza, który posąg wykonał, a pośrednio sztuki w naszym czasie i kraju, nowa pamiątka wreszcie i ozdoba tego miasta«.

Jako w roku Mickiewiczowskim, *Towarzystwo literackie imienia Adama Mickiewicza* wydało w r. 1898 »rocznik jubileuszowy«, który przyniósł cały szereg studyów o Mickiewiczu. Wśród innych znalazła się i rozprawa Tarnowskiego, zatytułowana bezpretensyonalnie: *Jeszcze cokolwiek o Wallenrodzie.* W studyum tem dostała się odprawa tym krytykom, którzy dopatrują się sprzeczności w charakterze Wallenroda, a zwłaszcza mu darować nie mogą, że Konrad, zostawszy wielkim mistrzem, jeszcze po dawnemu czule kocha się w Aldonie. »Ma zupełną słuszność prof. Tarnowski — pisze z powodu tej rozprawy Ignacy Chrzanowski — że bez tego uczucia nie byłby Wallenrod postacią ani tak piękną, ani tak tragiczną, ani tak prawdziwą. A co do Aldony, to autor dowodnie wykazuje, że jest to najpiękniejsza postać kobieca w poezyi Mickiewicza i jedna z najpiękniejszych w poezyi całego świata. Studyum prof. Tarnowskiego jest, właściwie mówiąc, pierwszą estetyczną rozprawą o *Konradzie Wallenrodzie*«. Zdając sprawę z Rocznika VI *Pam. Tow. lit. im. A. Mickiewicza*, Stanisław Windakiewicz tak pisze o pomienionej rozprawie Tarnowskiego:

Od tych mozolnych, analitycznych studyów zwracamy się obecnie do prac z wyższej estetyki, którą w tym roczniku przedstawia jedynie prof. St. Tarnowski w artykule p. t. *Jeszcze cokolwiek o Wallenrodzie*, napisanym z zwykłem u tego autora przejęciem się rzeczą i nieklamanem uwielbieniem dla poety. Pan Tarnowski zbija rozpowszechnione wyobrażenie o niejednolitości charakteru Konrada i stara się osłabić zarzuty o zbytnio czułem usposobieniu Aldony, jak na Litwinkę XIV wieku. W polemice tej, pełnej smaku i rezerwy, czerpie autor głównie argumenty z pojęć o bohaterach tragicznych i wogóle o bohaterach poezyi i wykazuje trafnie, że dotychczasowe krytyki w ocenie Konrada i Aldony pominęły bagatelę, bo całą *Powieść Wajdeloty*, w której mieści się dostateczna ilość rysów na wytłomaczenie poźniejszego sentymentalizmu zarówno Konrada jak Aldony. Artykuł p. Tarnowskiego stanowi rodzaj ożywczej oazy w tym *Pamiętniku*, który wypełniają już same tylko roboty analityczne. Po sześciuset stronicach badań anatomiczno-mikroskopowych, redakcya miała dobry instynkt, że wsypała trochę żywego kwiecia w ten poważny rocznik.

Jak przed kilku laty po śmierci Lenartowicza, tak w r. 1898 wkrótce po śmierci Ujejskiego napisał Tarnowski i ogłosił w *Przeglądzie polskim* studyum literackie o autorze *Skarg Jeremiego*, studyum, które jest charakterystyką człowieka i poety, określającą jego stanowisko w poezyi polskiej. To stanowisko, zdaniem Tarnowskiego, zawsze będzie pięknem. Zostanie po nim zawsze miłość ojczyzny prawdziwie szlachetna, i zostanie mu ta chwała, że kiedy »okropne dzieje przyniósł nam czas«, on był tej »zgrozy świata« i tej boleści godnym wyrazem. Najwięcej zaszkodziło mu powodzenie. »Przez niedostateczne ćwiczenie myśli, uczucie musiało się wyczerpać; przez admiracyę drugich i siebie samego wstrzymał się wszelki postęp; i poeta, który zaczynał świetniej, niż Zaleski, świetniej niż Pol, najświetniej ze wszystkich, prócz Malczewskiego, poetów drugiego rzędu, nigdy już się nad ten początek nie wzniósł, nigdy już drugi raz nie potrafił być tak doskonałym wyrazem uczuć narodu w pewnej danej chwili. On, który obiecywał, że się najbardziej do wielkich poetów przybliży, przez wiarę w swoją wieszczą wielkość i ciągłe o niej mówienie stał się zczasem pretensyonalnym i nadętym a pomimo pięknego talentu, pomimo wielkiej siły uczucia, pomimo pewnego ognia i namiętności, jakie ma, pomimo szlachetnych pojęć i dążności, i pomimo pięknej formy, został w drugim rzędzie poetów. Szkoda! *Skargi Jeremiego* obiecywały więcej«. A już czego nie pozwalały przewidywać, to niefortunnych *Listów z pod Lwowa*, w których Ujejski tak niegodnie skrzywdził Pola. Tarnowski, choć nigdy nie należał do entuzyastycznych wielbicieli autora *Mohorta*, jednak ujął się za nim, broniąc jego dobrej sławy, jako Polaka, a sąd, który przy tej sposobności wyrzekł o Ujejskim, niekoniecznie wypadł pochlebnie, choć mu nikt nie odmówi słuszności i bezstronności...

Dnia 3 listopada 1898 roku upływało pół wieku od chwili wyjścia pierwszego numeru *Czasu*. Jubileusz ten upamiętnił Tarnowski książeczką *O Czasie i jego redaktorach*[1]) która jako »wspomnienia półwiekowego czytelnika« jest nietylko cennym przyczynkiem do historyi tego dziennika, ale nadto zawiera cały szereg wspomnień osobistych, nader ważnych dla przyszłego biografa Tarnowskiego. Albowiem jest to jak gdyby wyjątek z jego pamiętników. Przerzucając stare roczniki *Czasu*, widział oczyma wyobraźni »dawno zmarłych żywe twarze«, przypominał sobie różne chwile przeżyte w ciągu tych lat pięćdziesięciu, a ta »plątanina wspomnień« miała swój rzewny urok, swoją poezyę. »To lub owo czytali w mojej obecności starsi, i stoi mi żywo w pamięci, że mówili to i to, z powodu przeczytanego ustępu gazety. W oczach stają postacie, w uszach brzmią prawie słowa ludzi dawno zmarłych i nieraz bardzo drogich: albo z ukrytych składów pamięci dobywają się na wierzch nie wiedzieć jak dawno zapomniane wrażenia i myśli, dziecinne radości, naiwne nadzieje, lub smutki, podzielone ze starszymi, instynktem, bez zrozumienia. Później, kiedy już przyszedł czas czytania, a postępował czas myślenia, odbywał się lub poczynał się w głowie proces tworzenia wyobrażeń, rozwijania uczuć: a stary *Czas* przypomina ów proces tak żywo, jakżeby go chciał drugi raz w głowie człowieka powtórzyć. Ah! to ten artykuł Manna, który mnie przed wielu laty tak przekonał albo oświecił, który tak trafił do mego uczucia polskiego i tak bez mojej wiedzy podówczas działał na uczucie obowiązku! To ten artykuł Siemieńskiego, który mnie tak zachwycał, tak sformułował i skrystalizował własne niejasne instynkta, i nauczył, a przynajmniej pomógł rozeznawać, co piękne, a co brzydkie, co dobre, szlachetne i rozumne naprawdę, a co tylko pozorem rozum i szlachetność udaje«. A co się tycze zasług *Czasu*, jako dziennika, w ciągu tych lat 50-ciu, to stworzył on, zdaniem Tarnowskiego, nie stronnictwo jeszcze, niestety, ale jądro, zaród jednakowych i stałych przekonań i zasad, które w nim znajdowały swój wyraz i około niego się skupiały. »Przez to, że lat pięćdziesiąt zawsze w tym samym duchu przemawiał, on rozjaśnił i wykształcił polityczne pojęcia; przez to, że był zawsze i niezmiennie swoim zasadom wierny, dał poznać wartość tej wierności i stałości. Był zarazem i nauczycielem

---

[1]) Broszura ta jest osobnem odbiciem z *Czasu*, w którego feljetonie pierwotnie była drukowaną.

tych zasad, i ich sługą, rzecznikiem, żołnierzem«. A zawsze należał do tych, co dobrze i mądrze radzili: w innych czasach i formach robił to, co przez trzy wieki robili ci reformatorowie i statyści, którzy Rzeczpospolitę o upadku ostrzegali i od niego chcieli ustrzedz. Zaszczyt to wielki zapewne i zasługa — brzmiała ostateczna konkluzya tych wspomnień półwiekowego czytelnika — stanąć na końcu ich długiego szeregu i łączyć się z nimi w tej nieszczęsnej syzyfowej pracy; ale nie o zaszczyt i chwałę tu chodzi, ani nawet o zaspokojenie sumienia i zasługę, tylko o to, by praca raz przestała być syzyfową. By ta polska Penelopa nie próła w nocy tego, co w dzień zrobiła. Tamta ratowała się od nieszczęścia, kiedy tak postępowała, i taką drogą szła do swego celu, bo innej nie miała; ale nasza Penelopa, kiedy odrabia jedną ręką, co drugą zrobiła, pracuje tylko dla tych, co jej dom obsiedli i dobytek niszczą. Od tego chcieli ją uchronić ci starzy aż do końca wieku XVIII; od tego w XIX chronić chciał i chce *Czas*, nie sam jeden, ale jeden z najczynniejszych i najwytrwalszych w tej pracy. Nie bardzo mu się to udało, bo się u nas w tym wieku dobre rzeczy dobrym ludziom rzadko udawały. Ale coś udało się przecie. Udał się ten żywot i zawód dziennika, bez jednej skazy, wzór i przykład niezmiernie w naszym świecie rzadki, dziennika, który sumienia, honoru, miłości ojczyzny, nie udaje, ale ją naprawdę ma. Udał się dalej dziennika rozum, ten rozum polityczny, który narodowi dobrze radził, a czasem nawet radził skutecznie«.

W innem uczuciu, niż tę majorową broszurę o *Czasie*, pisał Tarnowski w tym samym roku 1898 minorową broszurę polityczną o *Skutkach rozstroju*, wywołaną rozruchami pomiędzy ludem w kilku powiatach w Galicyi, rozruchami, podczas których padły strzały, polała się krew, a do których musiały doprowadzić te »próby rozstroju«, na które Tarnowski już przed dziewięciu laty zwracał uwagę społeczeństwa. »Przykra jest bardzo rola Kassandry, zwłaszcza kiedy się jej przepowiednie sprawdziły«, a właśnie w tej roli wypadło teraz Tarnowskiemu nanowo brać pióro do ręki. Broszura organicznie i logicznie wiążąca się z postulatami, wypowiedzianemi w rzeczy o *Ludzie wiejskim między ładem a rozkładem*, była wymierzoną przeciwko socyalistom zarówno, jak i t. z. stojałowczykom, szerzącym szkodliwy ferment pomiędzy ludem. Doszło już do tego, że w r. 1897, podczas wyborów do Rady Państwa, w wielu miejscach lud był tak otumaniony i podburzony, że posuwał się do gwałtów, paru ludzi przyprawił o śmierć, konieczną okazała się interwencya wojska. Tarnowski milczał, bo choć uważał, że rozstrój i rozkład dojrzał bardzo,

to słowem wstrzymać się nie dał, a »cóż dopiero słowem szlachcica, obszarnika, stańczyka!« Gdy jednak podżeganie i podburzanie ludu dojrzało tak dobrze, że w r. 1898 ukryci sprawcy zorganizowali napaść na żydów, że przyszła kolej na gwałty publiczne, na niszczenie cudzej własności, na strzały, na trupy, a w końcu na stan oblężenia w kilku powiatach, a stan wyjątkowy w połowie kraju, wtedy zdało się Tarnowskiemu, że dłużej milczeć nie należy, lecz godzi się ponowić ostrzeżenia, jeszcze raz pouczyć i uświadomić tych, co mają oczy, a nie widzą, mają uszy, a nie słyszą. Chodziło o to, żeby te wypadki, które zaszły, nie były początkiem dalszych, gorszych, ale żeby były przesileniem w chorobie, od którego pocznie się stopniowy powrót do sił i zdrowia. »Może ten jad, który w nas jest, który się jątrzył i zbierał, zostać w nas na dal i sprowadzić coraz większe zakażenie krwi i próchnienie kości; mogą po tym jednym wrzodzie, który pękł, tworzyć się coraz nowe, większe i gorsze: albo może ten jeden być ostatnim. Pękł, zła materya wypłynęła, dobre pierwiastki mogą w ciele wziąć górę i przywrócić je do dobrego stanu«. Co będzie i na czem się skończy, tego oczywiście nikt przewidzieć nie mógł, ale chwila i sposobność były po temu, żeby się leczyć. Wyzdrowienie zależało od tego, czy złe, czy dobre pierwiastki, siły i dążności, wezmą górę w społeczeństwie. W pragnieniu, ażeby dobre wzięły górę, napisał Tarnowski *Skutki rozstroju*, ale i one okazały się grochem rzucanym na ścianę, głosem wołającego na puszczy Broszura wzywała do poprawy, do »przymierza ku obronie czci i wiary«, do przymierza ludzi uczciwych i prawych, jakiekolwiek ich stanowisko w świecie, powołanie czy majątek, przymierza, któreby z czasem mogło wyrobić opinią uczciwą i rozumną, rozeznającą, co złe a co dobre, co rzetelne a co udane, szanującą to, co szacunku godne, surową dla tego, co przewrotne albo brudne.

Szczególną wymowę miało zakończenie broszury, oparte na cytacie ze Skargi, a nasuwające smutną refleksyę, żeśmy od czasu *Kazań sejmowych* niczego nie zapomnieli, a niewiele się, niestety, nauczyli.

Bo widzimy przecie wyraźnie, że jak za onych czasów, kiedy nas Skarga o niechybnym upadku przestrzegał, »namnożyło się w tem Królestwie ludzi złych bardzo, którzy gdzie mogą bunty i zmowy czynią, na urząd Boży szemrząc i potwarze zmyślając, i do rozruchów i nowin namawiając. Niespokojni, łakomi, niesprawiedliwi, sieją wszędzie niezgody, nic na dobro pospolite nie pomnąc, a tę łódkę, na której się wszyscy wieziem, swojem bieganiem chwiejąc, do zanurzenia ją i utopienia przywodzą. Zginęła w tem Królestwie karność, nikt się urzędów ani praw nie boi: a bez karności, bez mocy i poszanowania prawa, Rzeczpospolita wszystka się rozsypuje, jak beczka gdy z niej obręcze opadną...

W ciele żaden członek nic dobrego sobie obiecywać nie może, jeżeli się z drugimi nie zwiąże. Tak i w Rzeczypospolitej, kto tylko pojedynkowe dobre mienie miłuje, a o pospolite nie dba, aby się ze wszystkimi wiązał, zginąć musi, bo żywota nie masz, jeno na wspólnem ciele, przy wszystkich. Ten najmilszy okręt ojczyzny naszej wszystkich nas niesie, wszystko w nim mamy, co mamy. Gdy się z okrętem źle dzieje, gdy dziur jego nie zatykamy, gdy wody z niego nie wylewamy, zatonie i z nim my sami poginiemy«. Skończmy wreszcie tę długą rozprawę i skończmy ją także słowami Skargi: »Uweselże nas Panie za te dni, w którycheś nas poniżył, a daj nam lepsze lata«. Tylko do tej prośby, powtórzonej za największym z duchów polskich dawnego czasu, dodajmy przestrogę najżałośniejszego i politycznie najgłębszego myśliciela i pisarza Polski porozbiorowej. Krasiński mówi: »Bóg bez nas samych nie może nas zbawić«. Nie może nas także bez nas samych poprawić. Weźmy to do serca i zapamiętajmy.[1]

W czerwcu roku 1900 upływało pięćset lat od chwili odnowienia Uniwersytetu Jagiellońskiego. Rocznicę tę postanowiono obchodzić uroczyście. Tarnowskiego spotkał zaszczyt ze strony ciała profesorskiego, że go na ten rok jubileuszowy obrano powtórnie Rektorem. Dnia 10 października 1899 r. nastąpiła uroczysta inauguracya roku szkolnego. Jak zwykle, rano odbyło się nabożeństwo w kościele św. Anny. Tarnowski, w pysznym stroju rektorskim, wraz z senatem akademickim i gronem profesorów, zasiedli na przygotowanych fotelach przed wielkim ołtarzem. Po nabożeństwie, cały orszak profesorów, w togach i biretach, poprzedzając Rektora, w otoczeniu bedelów, niosących berła, przeszedł plantacyami do *Collegium Novum*. Tutaj, w auli uniwersyteckiej, wypełnionej bardzo licznie zebraną publicznością i młodzieżą akademicką, na trybunie zasiadł Tarnowski otoczony senatem i profesorami czterech wydziałów. Doroczne sprawozdanie, w zastępstwie chorego prorektora, odczytał se-

---

[1]) W grudniu 1898 r. obchodził Franciszek Józef pięćdziesięciolecie swoich rządów. Z tego powodu nastąpił cały szereg nominacyi i odznaczeń. Między innemi Tarnowski otrzymał godność tajnego radcy, z tytułem Excellencyi. Artykuł wstępny w grudniowym zeszycie *Przeglądu polskiego* z powodu jubileuszu cesarskiego był pióra Tarnowskiego.

Choć na tem miejscu niech mi wolno będzie uprzedzić czytelnika, że pisząc r y s życia i prac Tarnowskiego, z całą świadomością nie omawiam całego szeregu artykułów, drukowanych w *Przeglądzie polskim*, bądź w *Czasie*, bądź w innych czasopismach. Omawiam tylko najwybitniejsze. Dlatego pomijam wszystkie recenzye, których Tarnowski właśnie w tych czasach pisywał bardzo wiele, głównie w *Przeglądzie polskim*. Ale i w *Czasie* pomieszczał niekiedy recenzye pierwszorzędnej doniosłości, n. p. o *Historyi literatury polskiej* Spasowicza, o *Don Juanie* Byrona w polskich tłomaczeniach, i t. p. Nie sposób też było omawiać po kolei wszystkie wspomnienia pośmiertne pióra Tarnowskiego, bez których w tym czasie nie było prawie zeszytu *Przeglądu polskiego*. Podobnie ma się rzecz i z *Przeglądami Politycznemi*, które, podznaczone trzema gwiazdkami, od r. 1890 wszystkie są pisane przez Tarnowskiego. I *Przeglądów teatralnych* niemało jest jego pióra. Tej samej zasady trzymałem się i w odniesieniu do jego przemówień na dorocznych posiedzeniach publicznych Akademii Umiejętności, gdzie Tarnowski, co roku, jako prezes, od r. 1891 przemawia z urzędu. Z jego przemówień w Sejmie, drukowanych w sprawozdaniach sejmowych, także mogłem uwzględnić tylko parę najważniejszych. A już całkiem pominąłem przemówienia w krakowskiej radzie miejskiej, jako zbyt specyalne

kretarz uniwersytetu. Sprawozdanie to kończyło się następującymi słowy, zwróconemi do rektora: »Magnificencyo! Po raz drugi spotyka cię wybór na rektora i dwa razy koledzy zwracają się do ciebie w trudnej chwili, licząc, że najlepiej podołasz trudnym obowiązkom. Pod twoim zarządem skończy nasz uniwersytet 500 lat swego istnienia od czasu odrodzenia wszechnicy w wiekopomnej epoce połączenia Litwy z Koroną. Tobie danem będzie uczcić jubileuszową rocznicę i otworzyć drugą połowę tysiąclecia. Przyjm przeto życzenie, abyś szczęśliwie zapoczątkował dzieje następnych wieków. Uniwersytet cały przygotowuje się do jubileuszu... Szczęśliwie te prace doprowadzić do końca, przebyć samą uroczystość poważnie i pomyślnie wśród tylu piętrzących się przeciwności przeciw wszystkiemu, co polskie, jest zadaniem, wymagającem wielu trudu, rozumu i taktu. Z pełnem zaufaniem powierzam, ci, Ekscelencyo, ten ciężki obowiązek, do którego spełnienia każdy z nas w miarę sił dopomódz pragnie«. Z kolei nastąpiło uroczyste złożenie oznak godności w ręce nowego rektora, poczem przemówił Tarnowski. Oto początek jego podniosłej mowy:

– Do wdzięczności za wybór na Rektora tego Uniwersytetu mam powody większe, niż którykolwiek z moich poprzedników. Każdy z nas wie, że są zapewne na świecie stanowiska świetniejsze: niema takiego, któreby było chlubniejszem, i dla Polaka milszem. Oprócz stolic biskupich jest to jedyny urząd, który przetrwał wszystkie zmiany czasów: kto go piastuje, może i powinien czuć się następcą, w nieprzerwanem ciągu, dawnych Rektorów, aż do Piotra Wysza. Takie następstwo podnosi człowieka, obowiązując go, żeby przynajmniej starał się, ile może, być godnym tych poprzedników, nie zrobić wstydu, ani im, ani swoim czasom. Żaden też z nas nie powie, że o rektorstwo nie stoi, że się niem nie szczyci, że nie jest za nie wdzięczny, kiedy je dostaje. Ale to uczucie wszystkim rektorom wspólne, źle by było, gdyby we mnie nie podniosło się do wyższej potęgi, bo ten zaszczyt spotyka mnie po raz drugi, i drugi raz w okolicznościach, które go droższym czynią. Przed laty mnie powierzyliście Panowie przewodnictwo Uniwersytetu, kiedy mieliśmy otwierać ten jego nowy przybytek. Piękna była chwila, i chlubne wspomnienie dla tego, który w imieniu wszystkich drzwi tego budynku odmykał, a życzenia dla jego przyszłości odbierał. Ale teraz jest coś więcej. Nie nowy gmach obejmować w posiadanie, ale obchodzić pamięć założenia starego, obchodzić rocznicę tej wielkiej w dziejach naszych chwili,

od której tyle przeszło pokoleń
Ludzi i zdarzeń, żalów i nadziei,

to uroczystość bardzo poważna, przejmująca i, bez przesady, dla nas wielka. Zbliża nas ona do naszych początków, i stawia nas niejako przed obliczuością, przed sądem naszych założycieli. Kto w tym roku ma być wyobrazicielem tego Uniwersytetu, za niego składać hołd przeszłości, a przyrzeczenia na przyszłość; kto ma to szczęście, że swoje imię ma zapisać w jego księgach w tym pamiątkowym roku, ten chyba by nie rozumieć i cenić nie był zdolny, gdyby nie był wdzięczny. Jestem nim też; i proszę o wiarę, że nie przesadzam ani pochlebiam, kiedy mówię, że wybór na Rektora w tym roku jest dla wybranego więcej niż zaszczytem, jest chlubą, która na całe jego życie rzuca blask, a którą wnuki i prawnuki powinny wdzięcznie wspominać. Dziękuję; daj Boże, żebym się wyboru godnym okazał.

Po tym wstępie, mającym charakter osobisty, następowała pochwała Uniwersytetu Jagiellońskiego, podniosła w tonie, a cała nacechowana wysoce patryotycznym nastrojem.

— Tę wielką rocznicę — kończył Tarnowski — która przed nami, obchodzić będziemy, ufam, godnie: w poważnem a rzetelnem podniesieniu serc, miłujących i przeszłość, i teraźniejszość, i przyszłość. Tym wszystkim, którzy obecnością swoją dziś dali znak przywiązania swego do uniwersytetu, dzięki składam, i proszę o uczucia te same nietylko na uroczystość przyszłą, ale na zawsze. Niech potomkom swoim podadzą przykazania, że tę Jagiellońską szkołę miłować trzeba, że to część jedna ale nie obojętna i znak widomy miłości ojczyzny całej.

Po tej mowie wypowiedział Tarnowski, uświęconym zwyczajem, wykład inauguracyjny, obejmujący *Pogląd na literaturę polską XIX wieku.* Wykład przyjęto hucznymi oklaskami.

Jubileusz *Almae Matris* miał się odbyć w pierwszych dniach czerwca. *Przegląd polski*, jako czasopismo najbliżej stojące dzisiejszego uniwersytetu krakowskiego, jako jego organ poniekąd, poświęcił mu cały zeszyt czerwcowy. *Słowo wstępne* napisał Tarnowski.

Oto zasadniczy ustęp z tego artykułu, wyrażający życzenia dla starej Jagiellońskiej Wszechnicy:

Uniwersytetowi zaś, naszemu Uniwersytetowi, czego życzyć mamy od tego profesorskiego pisma? Złote czasy Kazimierza, Jadwigi, Jagiełły, niech mu Bóg da, przywróci, powtórzy, kiedyś! Dziś ten świat nie do tego. Wielkiego Długosza, wielkiego Kopernika, świętego Jana z Kęt, niech mu da, niech powtórzy ze swej łaski. Ale te wielkie świetności i blaski, ta rozkosz i chwała, to nie konieczna życia potrzeba. Nam zaś, tej naszej Szkole, potrzeba nie powszed-

niego, ale codziennego życia, a więc chleba nauki za pokarm i zdrowego powietrza na oddech. Te dary miał on i w bliższych nam czasach. Śniadeckich wielka nauka, Bandtków wytrwała praca, Helcla wielkie serce i umysł sercu równy, Majera troskliwa czujna piecza, Muczkowskiego badawcza skrzętność, Wiszniewskiego wiedza i przedsiębiorczość, Kremera szlachetny kierunek, Dietla w nauce i w innych zawodach znakomitość, Dunajewskiego umiejętność uczenia i rządzenia: to przykłady bliższe, po części dostępniejsze, przez to ściśle już obowiązujące. Czystość zaś i prawość wszystkich, wierna, o sobie nie myśląca służba nauki i ojczyzny, godność własna i Uniwersytetu, nietylko niczem nigdy nie przyćmiona, ale utrzymana wysoko, to jest tradycya ściśle obowiązująca, to jest, co nieodzownie potrzebne, co w każdem położeniu, w każdych warunkach być może, bo być powinno, i musi być, dlatego, że być powinno. To jest ten chleb duchowy, nie powszedni, ale codzienny; to powietrze zdrowe, bez którego niema życia. Geniusze zsyła Bóg, kiedy zechce; od ludzi to nie zależy. Ale zdolność, ale naukę, ale prawość i godność wyrabiają ludzie, i oni za nie odpowiadają. Życzymy więc Uniwersytetowi, na dziś i na przyszłe pokolenia, żeby miał profesorów takich, jak Helcel, Dietl, Dunajewski, żeby wydawał uczniów takich, jak Szujski. Takich niech miewa, bez przerwy, jednych po drugich, a będzie i w Uniwersytecie dobrze, i w narodzie lepiej. My dziś z żałością i z zazdrością myślimy o tem, co tu było przed pięciuset laty. Niech za lat sto, czy za trzysta, czy za drugie pięćset, w tym kraju, w tem mieście, w tej Szkole, ludzie wspominają ze współczuciem i z uszanowaniem o tem, co się tu dziś dzieje i robi, niech myśląc o nas powiedzą: »Oni siali we łzach to, co my zbieramy w weselu!«

Uroczystości jubileuszowe odbyły się d. 7 i 8 czerwca,[1]) a wypadły pod każdym względem świetnie. Ze wszystkich obchodów, którym Kraków w ciągu ostatnich lat trzydziestu służył za tło, ten był najwspanialszy.

We środę d. 6 czerwca Tarnowski, jako *Rector Magnificus*, w otoczeniu Senatu akademickiego, złożył wieńce na grobach Kazimierza Wielkiego, Jadwigi i Jagiełły. Wieczorem odbył się wspaniały raut w Sukiennicach, dany przez reprezentacyę miasta. »Ile było dygnitarzy państwa i krajowych, ilu gości cudzoziemskich i swoich, ile dam wytwornych, pięknych i strojnych, wszystko mie-

[1]) Prologiem do tych uroczystości był *Trzeci zjazd historyków polskich*, który się odbył w Krakowie — z inicyatywy prof. Tadeusza Wojciechowskiego a obradował od d. 4 do 6 czerwca. Tarnowski, wybrany do prezydyum honorowego, w krótkiej przemowie powitał uczestników, jako Rektor Uniwersytetu, przyczem tak powiedział między innemi, wyrażając swe życzenia dla zjazdu: »Słusznie jest i pięknie, że w tej chwili zwłaszcza, chcieliście, panowie, odbyć swoje zebranie tutaj, bo jest to i dla Was i dla dziejopisarstwa polskiego miejsce przed innemi uświęcone. Tutaj, nie w tych murach, ale nieledwie w tych, wprowadził historyografię polską na wielkie drogi i wysoko ją postawił Długosz; tutaj ona mniej lub więcej, ale jednak zawsze, swoje soki żywotne znajdowała i czerpała; tutaj świeżo jeszcze żył i działał — co zdziałał nie potrzebuję przypominać — Szujski. Niech te imiona, które się z naszym uniwersytetem łączą, będą zarazem dobrą wróżbą i niejako opiekuńczemi duchami zjazdu dzisiejszego i późniejszej historycznej pracy«.

ściło się lub usiłowało pomieścić w salach, które, choć obszerne, tym razem okazały się zbyt szczupłemi«.

Wielkim dniem jubileuszowym był dzień 7 czerwca. Dzień ten odrazu przybrał rozmiary narodowego święta. Od rana w mieście zawieszono pracę, zamknięto urzędy, sklepy, biura i warsztaty, a cała ludność »spieszyła z podniesionym duchem, by wraz z przybyłymi ze wszystkich ziem polskich uczestnikami i wysłańcami tylu uniwersytetów i towarzystw uczonych, wziąć udział w pamiątkowym obchodzie i uczczeniu instytucyi, będącej gwiazdą przewodnią narodu«. Pogoda była cudowna, wymarzona. Słońce oświetlało tłumne masy, ich stroje barwne, stare chorągwie cechowe, tysiące sztandarów, któremi ozdobiono miasto, festony zieleni, wiążące maszty dekoracyjne, dodając uroku i wesela wielkiej uroczystości.

O wpół do 8-ej rano zebrali się w *Collegium Novum* profesorowie w togach a z uderzeniem godziny 8-ej ruszyli w pochodzie do kościoła Panny Maryi. Przed Senatem i »Rektorem w szkarłatnej todze z kołnierzem gronostajowym« postępowali delegaci uniwersytetów krajowych i zagranicznych, grono doktorów honorowych — Sienkiewicz w ich liczbie — rada m. Krakowa, deputacye instytytów i stowarzyszeń naukowych. Pochód otwierała i zamykała młodzież uniwersytecka. »Około Rektora, Senatu akademickiego i grona profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego szła starszyzna cechowa, a chorążowie cechów i stowarzyszeń robotniczych nieśli kilkadziesiąt sztandarów; barwne jedwabie, mieniące się kolorami tęczy i wizerunkami Świętych, rozwiewał lekki wiatr. Sztandary szumiały nad pochodem, niosąc echa i wspomnienia dawnej wielkiej przeszłości«. Jednocześnie w powietrzu rozlegały się dźwięki orkiestry, a z wieży ratuszowej rozbrzmiewał uroczysty Hejnał.

Gdy pochód »z gwaru i światła na rynku wpłynął w ciszę i mrok kościoła Panny Maryi«, gdy Rektor i inni dygnitarze zajęli miejsca w stallach, i gdy skończyło się nabożeństwo, celebrowane przez Księcia Biskupa Krakowskiego, tenże odczytał *Breve* papieskie z błogosławieństwem dla Uniwersytetu Jagiellońskiego, zaczynające się od słów: *Dilecto Filio Stanislao Tarnowski Com. Lycei Magni Jagellonici Rectori Cracoviam. Leo PP. XIII. Dilecto Filio salutem et apostolicam benedictionem...* Przy wyrazach *breve*, gdzie Ojciec Święty udziela błogosławieństwa, ukląkł Tarnowski, a wraz z nim cały Senat akademicki.

Z kościoła Panny Maryi ruszono wspaniałym pochodem, wśród szpaleru masztów powiązanych festonami, ku wielkiej trybunie, ustawionej naprzeciw ulicy Szewskiej. I tu na wspaniałem tle Sukiennic

i Rynku z udekorowanemi oknami, pełnemi widzów, odbyła się scena, wielce przypominająca *Hołd pruski* Matejki. W środku trybuny, otoczony Senatem i deputacyami w półkolu sztandarów cechowych, zasiadł Tarnowski, a w pysznej purpurze rektorskiej, ze swą hetmańską głową w bujnej siwiźnie, wcale nie wyglądał mniej majestatycznie, aniżeli Zygmunt Stary na obrazie Matejki. Poczem rozpoczął się »Hołd obywatelstwa«, złożony Uniwersytetowi: olbrzymia defilada — przy dźwiękach orkiestr — instytucyi, stowarzyszeń, grup ludowych, pieszych i konnych, »żywe i ruchome płaty barw, migające najcudniej po zieleni drzew stojących rzędem wprost trybuny«. Wspaniały obraz!

Po tej prawdziwie renesansowej scenie ruszył pochód uniwersytecki ku kościołowi św. Anny, gdzie miała się odbyć uroczystość główna. Tutaj, w pysznie gobelinami przybranej nawie, na podniesieniu, otoczony senatem, profesorami uniwersytetu lwowskiego i krakowskiego, zasiadł na środkowem miejscu Tarnowski. Dalej zasiedli różni dygnitarze, z tych wielu w kontuszach, oraz delegaci uniwersytetów zagranicznych. Cały kościół przepełniała zaproszona publiczność i młodzież akademicka. Gdy przebrzmiały dźwięki Bogarodzicy, zabrał głos Tarnowski, przemawiając najprzód po polsku do swoich, a następnie po łacinie do cudzoziemców. Polskiej części swej mowy nadał serdeczny ton porozumienia nad rzeczą wszystkim jednakowo drogą, wyraził dumę z tego, że Uniwersytet w ciągu pięciu wieków nigdy nie sprzeniewierzył się swym hasłom; przypomniał historyę założenia i ów na wieki budujący symbol ofiary, jaką królowa Jadwiga z życia swego uczyniła dla narodu; wysnuł przed oczyma pasmo chwały, w jaką przystroiła się *Alma mater*, wydając Długosza, Kopernika, Jana Kantego, Króla Jana; wskazał wiarę i wiedzę, jako dwa środki, dwa cele, dwa pocieszenia na żywot, do przeżycia uczciwego leżący przed nami; a zakończył przysięgą, złożoną w imieniu Uniwersytetu:

— A jak przez pięć wieków nie złamaliśmy nigdy wiary, nie uchybili czci, nie sprzeniewierzyli się ani Bogu, ani Ojczyźnie, ani Nauce, tak z bożą łaską i pomocą, pod opieką tego anioła, który nas założył, a oby nam był stróżem, z tymi dwoma wzorami, świętego w niebie — Jana Kantego — a wielkiego na ziemi — Kopernika — przed oczyma i w pamięci, ufamy, chcemy i ślubujemy wytrwać do końca naszego bytu, w tej wierze i w tej miłości, Bogu na chwałę, Narodowi na pożytek: »Tak nam Boże dopomóż!«

Punktem wyjścia dla mowy łacińskiej było podziękowanie za zaszczyt czyniony Szkole, zaszczyt, należny pięciu wiekom istnienia

pełnego dobrej sławy. Liczne węzły łączą Uniwersytet z przybyłymi delegatami obcych wszechnic; jedne przyniosły do nas kulturę, drugie są blizkie nas językiem, z wszystkiemi wiąże nas wspólna cześć nauki. Wyrośli w cywilizacyi Zachodu, spełniliśmy posłannictwo na kresach wschodnich; dziś nie jedyni w tej stronie, łączność z kulturą i nauką cywilizowanego świata pragniemy utrzymać i szerzyć.[1]) Mowa kończyła się okrzykiem czci dla dzisiejszego odnowiciela i opiekuna Jagiellońskiego Uniwersytetu, cesarza Franciszka Józefa. »On mu przyrodzony język przywrócił, on go opatrzył w zakłady do nauki potrzebne, a w mnogie katedry zbogacił; on zastał go w smutnym stanie zaniedbania, a dźwignął go tak, że po pierwszych założycielach nikt tej szkole więcej, nikt może tyle dobrego nie zrobił. To nie pochlebstwo, to rzetelna, szczera prawda!«

Z kolei zabrał głos minister oświaty, Hartel, jeden z najznakomitszych latynistów w dzisiejszych czasach. To też jego mowa łacińska, z wielką swadą oratorską wypowiedziana, ogromnie się podobała. Nastąpiły przemowy delegacyi, składanie adresów i darów, akty pełne głębokiej i znaczącej treści, niewyczerpane źródło wzruszeń dla uczestników tego pamiętnego święta. Z Ameryki przedstawiły się uniwersytety w Baltimore, Buffalo, Chicago, z Anglii złożyły hołd Cambridge, Oxford, Londyn, ze Szkocyi oddały pokłon Edynburg, Glasgow; z Niemiec, imieniem Berlina, Heidelberga, Monachium, Wrocławia, przynosił uprzejme gratulacye, wypowiedziane w pięknej mowie, rektor uniwersytetu berlińskiego, Fuchs, słowem wszystkie kraje były reprezentowane... Po akcie wręczenia dyplomów doktorskich *honoris causa*, a wreszcie po mowie reprezentanta młodzieży akademickiej, przemówił po łacinie i po polsku Tarnowski, zamykając uroczystość. Dziękując za życzenia i dary, wyraził pragnienie, »żeby za drugie pięć wieków te dzisiejsze pamiątki oglądane były z tą czcią, z jaką my patrzymy na dawne, a z myślą weselszą«.

Tegoż dnia, o godzinie 6-ej po południu, odbył się bankiet w sali Sokoła, obiad na 500 osób, podczas którego oczywiście wygłoszono szereg toastów. Rozpoczął je Tarnowski, a choć mówił krótko, to za to przemówił aż w czterech językach: po polsku, po niemiecku, po francusku i po łacinie. W zakończeniu wzniósł okrzyk na cześć cesarza Franciszka Józefa. Bezpośrednio po Rektorze zabrał głos minister oświaty Hartel, który swą świetną

[1]) Por. Edwarda Porębowicza, *Pięćsetletni Jubileusz odnowienia Uniwersytetu Jagiellońskiego, Przegląd polski*, lipiec, 1900.

niemiecką mowę, raz po raz przerywaną oklaskami, zakończył po łacinie, w następujących słowach pijąc za zdrowie Tarnowskiego: »Hrabia Stanisław Tarnowski, Rektor *Almae Matris Jagellonicae*, hetmanów dawnych potomek, który szlachetność rodu równa wielkością zasług, niestrudzony przodownik młodzieży na drodze do życia pełnego zasługi, świetny bojownik humanizmu przez słowa powagę, zarówno jak przez obfitość i elegancyą ksiąg swoich, łaskawy, wymowny, wytworny — niech żyje!« Gdy umilkły długotrwałe oklaski, wstał znowu Tarnowski, pijąc za zdrowie ministra, w serdecznych słowach dziękując mu za życzliwość okazywaną Uniwersytetowi.

Nazajutrz, jako dalszy ciąg uroczystości jubileuszowych uniwersyteckich, nastąpiło odsłonięcie tablic pamiątkowych i pomnika Kopernika w dziedzińcu Biblioteki Jagiellońskiej. O godzinie 11-ej przybył tu w pochodzie Rektor, Senat i całe gremium profesorów Uniwersytetu, wszyscy w togach i biretach, zajmując miejsca naprzeciw wejścia od ulicy św. Anny. Z boku, po lewej stronie, zasiedli różni dygnitarze państwowi i krajowi, duchowieństwo, delegaci zagranicznych uniwersytetów, i t. d. Diedziniec zapełnili zaproszeni goście i młodzież akademicka. Na galeryach zasiadły panie. Pogoda sprzyjała uroczystości. Po różnych przemówieniach z których wszystkie zwracały się do osoby Rektora, wszedł na mównicę Tarnowski, ażeby wyrazić podziękowanie imieniem Uniwersytetu: najprzód Radzie Miejskiej, następnie Akademii Sztuk Pięknych, a wreszcie twórcy pomnika, Godebskiemu.

Zwracając się do prezydenta miasta, tak mówił między innemi:

— Bez fałszywej skromności, bo nie nasza to, lecz naszych poprzedników zasługa, rzec mogę śmiało, że Kraków nie byłby, czem jest, nie znaczyłby, ile znaczy, gdyby w sobie tego uniwersytetu nie mieścił. Nawzajem uniwersytet nie zdołałby by nigdy być, czem jest, gdyby uczniowie i nauczyciele jego nie żyli w tem mieście. Tu się skupia i przed duszą roztacza całe pasmo dziejów, tu z powietrzem samem wciąga się w pierś pamięć i miłość wielkich ludzi i wielkich czasów.

A do profesorów Akademii Sztuk Pięknych, głównie do twórców tablicy pamiątkowej, profesorów Wyczółkowskiego i Laszczki, dziękując im za ich piękne dzieło, tak mówił:

— Inne są drogi naszej służby: wy macie tworzyć piękno, my szukać prawdy. Ale różnica jest raczej w kształtach i pozorach, niż w istocie i celu. Nie wzniesie się do piękności, ktoby się chciał od stałego gruntu prawdy oderwać i nie znajdzie prawdy, komu w dą-

żeniu do niej nie przyświeca piękność prawdy i celu. Iskry świętego ognia potrzebujemy zarówno w naszych pracach, tylko nam zapominać nie wolno, że nie wszystko co piękne jest prawdą, wam, że w sztuce niema prawdziwej prawdy bez piękności. Wy — jakiekolwiek każdy z osobna ma troski lub zawody — wy sztuką jesteście szczęśliwsi od wielu, i nie zazdroszcząc, winszować wam trzeba, bo w oczach świata wyszliście wysoko i kiedy przed półwiekiem ledwością w tym kraju byli, to dziś zwyciężyliście i trudy i uprzedzenia, i niechęci, zdobyliście prawo obywatelstwa wśród innych i sławę. Za to wam powinszowanie i wdzięczność i życzenie, żebyście nie ustawali, ale jak dotąd szli w górę, sobie na chwałę, narodowi na pożytek i zaszczyt. Wasza pamiątka zaś, w tym gmachu, na tych murach, ona wam przypomina, was upomina. Wszak to tu, za temi drzwiami, w tych salach, młody nieznany chłopiec wertował stare kodeksa, z miniatur zbierał rysy i szczegóły, aż się wyrobił i wyrósł na największego z was, Matejkę!

Tegoż dnia, o godz. 3-ej po południu, odbyła się wycieczka kilkudziesięciu powozami do Wieliczki, urządzona głównie dla gości cudzoziemskich; wieczorem zaś, jako godne zakończenie uroczystości uniwersyteckich, odbył się wielki tradycyjny raut w pałacu na Szlaku. O raucie tym pisał nazajutrz *Czas*, jak następuje:

Une journée bien remplie... Wczoraj o godz. 9-ej wieczorem, po powrocie z kopalń wielickich, które oczarowały naszych gości, pospieszyli wszyscy w gościnne podwoje hr. Stan. Tarnowskich na Szlak. Kilkaset osób wypełniło wspaniałe apartamenta na pierwszem piętrze, halę parterową, terasę ogrodową i sam ogród, który oświetlony bengalskim ogniem przedstawiał przepyszny widok. W ogrodzie przygrywała orkiestra wojskowa. Z wyjątkiem ministra Hartla, który popołudniu wyjechał do Wiednia, by z rozkosznej, jak mówił, atmosfery krakowskiej wpaść w wir brutalnych scen parlamentarnych, i ministra Piętaka, który odjechał wieczorem, uczestnicy uroczystości jubileuszowych zjawili się w pełnym prawie komplecie... Pan Fergusson z Glasgowa pojawił się w bogatym i malowniczym mundurze łucznika królowej, *Archer of Her Majesty*. Z radością mogliśmy się przekonać, że nasi zagraniczni goście najlepsze i najpiękniejsze wywiozą z Krakowa wspomnienia. Wszyscy jednozgodnie zachwyceni nietylko miastem, nietylko obchodem jubileuszowym, ale przedewszystkiem wytworną a szczerą serdecznością przyjęcia, wysokim poziomem kulturalnym i towarzyskim, jaki tu zastali. Angielscy goście dawali temu wyraz w sposób bardzo charakterystyczny, mówiąc z podziwem, że nigdy nie spodziewali się spotkać u nas tylu ludzi... mówiących tak wybornie po angielsku. O godz. 12-ej w nocy główna niespodzianka: z sali pierwszego piętra rozległy się huczne dźwięki mazura: zewsząd spieszono na górę, gdzie w kilkanaście par rozwijał się buńczuczny mazur. W całej pełni wystąpiły teraz bogactwo i smak toalet, a co ważniejsza piękność i urok zebranych pań. Po mazurze krakowiak... Trudno istotnie o piękniejsze towarzyskie zamknięcie wspaniałych dwudniowych uroczystości krakowskich. Zapoznanie się i zbliżenie z gośćmi zagranicznymi, do

dzisiaj z natury rzeczy więcej uroczyste, niż serdeczne, uzupełniło się na Szlaku w tym właśnie ostatnim kierunku. Nastrój był też ciepły, wesołość szczera, gwar huczny, a wszystko na tle tej wytwornej swobody, która cechuje dom hr. Stan. Tarnowskich, a która jest rezultatem rzadkiej kombinacyi: wolności zupełnej, pozostawionej gościom, i razem bacznej o nich troskliwości obojga gospodarstwa.

W tym samym dniu, w którym się rozpoczął jubileusz jagiellońskiej *Almae matris*, Tarnowski puścił w świat pięć tomów swojej *Historyi literatury polskiej.* [1])

Na czele pierwszego tomu znalazła się następująca dedykcya:

Przesławnemu
UNIWERSYTETOWI JAGIELLOŃSKIEMU
w pięćsetną rocznicę jego odnowienia
przez Króla Władysława Jagiełłę
w hołdzie czci i przywiązania
z życzeniem długich wieków zasługi i chwały
ten skromny owoc pracy swojej
poświęca
JEGO NIEGDYŚ UCZEŃ
od trzydziestu lat sługa
a w tym pamiętnym roku nad zasługę swoją
REKTOR.

W przedmowie znalazło się między innemi i wyjaśnienie od autora, dlaczego dzieło wychodziło właśnie w tym czasie, dlaczego do tej obszernej historyi literatury, choć do niej poniekąd czuł się obowiązanym, przez szereg lat nie przystępował, nie miał odwagi po temu. »Wstrzymywała mnie myśl, że jeżeli ona ma być tak dobrą, jak to rozumiem, i jak chciałbym ją napisać, to muszę sam wiele się jeszcze douczyć, wiele uzupełnić, wiele pogłębić. Przeko-

[1]) Rodzajem uzupełnienia do tej Historyi literatury polskiej są dwa tomy *Wypisów polskich dla klas wyższych*, ułożone przez Tarnowskiego do spółki z profesorami Wójcikiem i Próchnickim. Wypisy te obejmują we wstępach do każdego okresu i w życiorysach pisarzy (i jedne i drugie pióra Tarnowskiego), najpotrzebniejsze wiadomości o literaturze polskiej, jej cały ciąg i ogólny zarys. O *Wypisach* tych tak pisze sam Tarnowski w przedmowie do swej *Historyi literatury polskiej:* »Jeżeli chodzi o taką essencyę, o takie streszczenie dziejów literatury polskiej, to takowe już jest zrobione. W *Wypisach dla klas wyższych* jest to, co Polak jako tako wykształcony o swojej literaturze koniecznie wiedzieć powinien. Gdyby zaś z tych wypisów wyjąć ustępy i życiorysy, a opuścić wyjątki z autorów, zrobiłaby się z tego właśnie taka jednotomowa, skondensowana *Historyi literatury*«.

nanie z pewnością słuszne i niezmienione dziś, kiedy tę książkę wydaję. A jednak wydaję ją, bo czas nie stoi, bo lata idą, a któż wie, wiele ich jeszcze mam przed sobą? Lepiej samemu za życia zrobić, co się może, choćby niedoskonale, niż zostawić ludziom kłopot porządkowania i brakowania mnóstwa papierów. W tej żmudnej pracy zaś, kto wie, czy wydawcy nie zostawiliby ustępów, które sam chciałbym bądź wykreślić, bądź poprawić? Lepiej podjąć tę pracę samemu. Zresztą doskonałości niema na tym świecie, dla książek jak dla wszystkich innych rzeczy; a ktoby chciał dzieła swoje do niej doprowadzić, pracowałby nad niemi do śmierci, a celu przecieby nie dopiął. Książka zaś może się przydać, być pożyteczną, choć od doskonałości daleka, ma wiele w sobie usterek i braków. Wahanie, pasowanie się z własną myślą, byłoby może trwało jeszcze długo: przerwała je, zmusiła do postanowienia, okoliczność zewnętrzna. Uniwersytet, w którym niegdyś pobierałem nauki, a któremu służę od lat trzydziestu jako profesor, z którym więc złączony jestem całem życiem, a więcej jeszcze wszystkiemi wspomnieniami jego i Polski, obchodzi pięćsetną rocznicę swojego nie założenia, ale odnowienia i uzupełnienia. Kiedyż złożyć mu hołd, kiedyż ofiarę choćby skromną ze swojej pracy? Okazać uczucie, jakie się dla niego ma w sercu? Druga taka sposobność nie zdarzy się aż za sto lat. A więc tej nie przepuścić, tylko czem można i jak można przyłączyć się do obchodu tej rocznicy, dodać choć cokolwiek do tych pamiątek, które przed przyszłemi wiekami mają świadczyć, żeśmy przeszłe umieli szanować i kochać. W tej myśli, w tem uczuciu, wielu moich kolegów profesorów wydaje prace umyślnie w tym celu podjęte, na tę pamiątkę przeznaczone. Profesorowi Literatury Polskiej przystało postarać się o pracę z jej zakresu: a powód, rok pięćsetny, nie pozwalał zbyć się czemś małem, wymagał takiej, która przynajmniej kosztowałaby piszącego trochę trudu. Słusznie zaś jest, żeby Historya Literatury Polskiej, jeżeli miała kiedy być napisaną przez jej profesora na Uniwersytecie Jagiellońskim, wyszła w tym pamiętnym uroczystym roku. Wychodzi więc, może nie najlepsza, ale największa i najtrudniejsza z książek, jakie w życiu miałem do napisania. Jest ona owocem długoletniej pracy, nauki nabywanej i udzielanej. To samo, co w niej, było w moich lekcyach, obszerniej tylko wykładane, a zmienione i poprawione w miarę przybywających nowych wiadomości. Sąd oczywiście nie należy do mnie«.

Pospieszyła się z nim jednak krytyka, która na ogół powitała pracę Tarnowskiego z całem należnem uznaniem, nazywając ją najlepszą historyą literatury polskiej, na jaką dotychczas zdobyła się

nauka polska. Oczywiście, że nie zabrakło krytyków, którzy w niej przedewszystkiem widzieli mnóstwo braków i niedostatków, którzy, rozpisując się o wadach, bardzo mało mieli do powiedzenia o zaletach, którzy o ile mieli wzrok wyostrzony — a niejednokrotnie spotęgowany jeszcze przez różne lupy krytyczne — na słabe strony książki, o tyle grzeszyli niedowidzeniem, gdy chodziło o zupełnie wyjątkowe przymioty tego pomnikowego dzieła. Szczególniej da się to powiedzieć o krytykach i recenzentach warszawskich.

Wyjątek stanowił Chmielowski, który — puszczając w niepamięć przykrą dlań polemikę o Kaczkowskiego — pierwszy podniósł niepospolitą wartość pracy Tarnowskiego, z całą bezstronnością przyznając jej, że jest najlepszą ze wszystkich prac tego rodzaju, a więc i od jego własnej sześciotomowej historyi literatury polskiej, która właśnie wychodziła w Warszawie. Oto jego zdanie w tej kwestyi:

Ogromną zaletą dzieła tego jest po raz pierwszy u nas konsekwentnie przeprowadzona naczelna zasada prawdziwie historycznego rozwijania wątku w zakresie dziejów piśmiennictwa. Po raz pierwszy tutaj ukazuje się nie katalog autorów, chronologicznie ułożony, lecz opowiadanie o losach literatury naszej w jej głównych i podrzędnych fazach rozwoju, a w ścisłym związku z historyą polityczną narodu. I nie darmo tło polityczne tak wybitnie zostało uwydatnione. Autor, upatrzywszy główną cechę literatury naszej, zarówno dawnej, jak i nowszej, w jej dążeniu politycznem, umiejętnie i z wielką wynikliwością uwydatnił ją w ciągu całego przebiegu dziejów piśmiennictwa naszego aż do r. 1850, na którym kończy się tom V-ty. Ażeby wykazać związek pomiędzy życiem rzeczywistem a jego odbiciem w literaturze, Tarnowski nie wahał się drobić obrazu działalności danego pisarza, jeśli jego utwory w krótkich nawet odstępach czasu przybierały pewien odcień odmienny ze względu na ogólne stosunki narodu. Poszedł w tym kierunku może trochę za daleko, niepotrzebnie oddzielając pewne fazy w rozwoju danego pisarza, lecz nawet tę przesadę poczytuję za pewną zaletę autorowi, jako stanowcze i bezwzględne przeciwstawienie się dawniejszej metodzie szematycznego szeregowania pisarzów. Pomimo tego drobienia, charakterystyki autorów są nadzwyczaj barwne i żywe, tak, że »osobistość« literacka bynajmniej się nie rozpływa w ogólnym obrazie stosunków literackich. Jeżeli przytem zważymy znane już nam zalety estetyczne Tarnowskiego: subtelne poczucie piękna i zdolność do obudzenia wrażeń, mogących jaknajlepiej usposobić do przyjęcia sądu o danym pisarzu, czy utworze; to nietrudno będzie dojść do przekonania, że książka jego jest tak żywotna, tak zajmująca, że daje się czytać, jak dzieło wyobraźni.

»Ale czy jest bez wad? Czy można ją uważać za ideał kompozycyi historyczno-literackiej?« Odpowiedź na to pytanie zajęła drugą część sprawozdania Chmielowskiego, a wypadła przecząco »pomimo głębokiego i szczerego uznania dla tej ostatniej pracy Tarnowskiego«. Głównym jej błędem, zdaniem autora *Metodyki historyi literatury polskiej*, jest podział nie na epoki i okresy, lecz na wieki, choć »błąd ten, bardzo ważny, naprawia do pewnego stopnia

Tarnowski podziałami szczegółowymi każdego stulecia, czerpanymi przeważnie z rozważania stosunków politycznych, co ze względu na ogólny charakter książki najzupełniej jest uzasadnione«.[1]) Wogóle »Tarnowski uwzględnia cztery tylko działy literatury: poezyę, wymowę, historyografię i politykę (wraz z publicystyką). Umie z nich ułożyć interesującą całość, lecz nie mógł uniknąć jednostronności, zaniedbując tak przeważny objaw twórczości, jaką była filozofia, n. p. idealistyczna«.

Już to, jeśli chodzi o wady, a zwłaszcza różne mniejsze lub większe grzechy opuszczenia w dziele Tarnowskiego, to mu je krytyka wytknęła ze skwapliwością, bodaj czy nie godną lepszej sprawy. W tym razie wszyscy krytycy, jakby się zmówili, takich braków wypisali całe litanie...

Może najbardziej wyczerpującą, drobiazgowo omawiającą punkt po punkcie, była recenzya Tretiaka, drukowana w *Przeglądzie polskim* i w *Kraju*, a która urosła do rozmiarów całego studyum. W końcu, dokonawszy tak sumiennego i objektywnego »przeglądu szczegółów«, z których »starał się dotykać tylko najważniejszych i przeważnie takich, które nastręczały sposobność do polemiki«, autor *Mickiewicza w Wilnie i Kownie* doszedł do następującej konkluzyi o dziele Tarnowskiego:

Jest to wielka budowla, może nie we wszystkich częściach proporcyonalna, ale cała natchniona jedną myślą patryotyczną, która, jak kopuła, góruje nad wszystkiemi częściami i górne światło swoje rozlewa na wszystkie przedmioty. W tę budowę włożył autor pracę całego życia swego, a za fundament dał jej niewzruszone swoje przekonania katolickie. Będąc historyą literatury polskiej, jest przedewszystkiem historyą politycznej myśli polskiej i patryotycznego uczucia. Ale jest tu coś więcej, niż historya: w tym gmachu wznosi się kazalnica, z której na serca dzisiejsze padają słowa Skargów, Starowolskich i Kajsiewiczów, i chór, skąd rozbrzmiewa hymn, błagający o dobrą wolę, i — powiedziałbym nawet — katedra polityki. Jest to więc dzieło nietylko rozmiarami, strukturą i świetnością stylu, ale i znaczeniem tak różniące się od wszystkich

---

[1]) W recenzyi z dzieła Brücknera *Geschichte der polnischen Literatur* pisze w tej kwestyi Chmielowski: »Prof. Tarnowski wprawdzie przyjął w swojej literaturze podział na stulecia, lecz tylko pozornie; w każdem bowiem stuleciu tyle wprowadził pomniejszych podziałów na drobne doby, że właściwie ów ogólny podział pozostał jedynie na kartach tytułowych«. Pocóż więc było w recenzyi dzieła Tarnowskiego tak mu ten podział na stulecia wymawiać i poczytywać za błąd nie do darowania. »Daty (pisał tam Chmielowski) przyjęte w dziele Tarnowskiego: 1500, 1600, 1700, 1800 nie mają ani pod względem literackim, ani pod względem politycznym, czy cywilizacyjnym, żadnego zgoła znaczenia; są całkiem szematycznem, bez umiejętnej wartości, rozdzieleniem zjawisk piśmienniczych i umysłowych, bez naukowego uzasadnienia«.

zarysów literatury polskiej, które je poprzedziły, że z żadnym z nich nie da się porównać. Górowaniem tendencyi religijno-patryotycznej najwięcej się zbliża do wykładów Mickiewicza w Collège de France z pierwszych dwóch lat, naturalnie o ile te odnoszą się do Polski.

Po tem wszystkiem, co powiedziałem o nowej *Historyi literatury polskiej*, nie potrzeba mi, sądzę, dowodzić, że pojawienie się jej należy powitać z wielką radością i wdzięcznością, i gorąco pragnąć uzupełnienia wielkiego dzieła obrazem najnowszych czasów. Dodam tylko, że tak szczegółowego i zajmującego obrazu literatury polskiej nie było dotychczas, i że nastrój patryotyczny dzieła, to utajone a wszechobecne w niem hasło: *Być albo nie być*, tem więcej nabiera znaczenia, im trudniejsze są warunki narodowego życia, im bezwzględniejsze i brutalniejsze rozlegają się okrzyki, wołające o wytępienie narodowości polskiej, i im cięższe ciosy spadają na nią.

Ze wszystkich najsurowiej osądził *Literaturę* Tarnowskiego oddawna doń uprzedzony Bronisław Chlebowski, który porównywając to dzieło z analogiczną pracą Chmielowskiego, zdaje się być skłonnym do przyznania pierwszeństwa tej ostatniej, choć w artykule swym wydrukowanym w *Ateneum*, a poświęconym *Dwóm historyom literatury polskiej*, o ile obszernie i drobiazgowo rozwiódł się nad słabemi stronami książki Tarnowskiego, o tyle krótko i ogólnikowo podniósł zalety dzieła Chmielowskiego. Swoją drogą, nawet Chlebowski, choć tak nie skory do pochwał, gdy chodzi o Tarnowskiego, znalazł niejedno słowo pochwały i uznania dla jego pracy. Wogóle bezstronność nakazuje przyznać, że Chlebowski, czy to, gdy charakteryzuje rodzaj talentu Tarnowskiego, czy też, gdy podkreśla usterki i braki w jego historyi literatury, wypowiada — z przenikliwością zaostrzoną przez niechęć — sporo głębszych uwag, którym czasami niepodobna odmówić słuszności. Oto naprzykład, jak na ogół sądzi dzieło Tarnowskiego:

W dziele Tarnowskiego przeważa ocena uczuciowa nad analizą i sądem pojęciowym, namiętność polityka i katolika, uczuciowość patryoty nad poważnym sądem historyka, objektywnością krytyka, pogodą estetyka. Autor chce być naprzemian to wytwornym przewodnikiem, objaśniającym wykwintnemu towarzystwu zabytki nagromadzone w skarbcu literatury ojczystej, to znowu przedzieżga się w rycerza, stojącego na straży narodowej arki przymierza, do której przyjmuje na przechowanie to tylko, co jest w harmonii z dogmatami jego wiary i polityki, odpychając i druzgocąc niekiedy to, co uważa za przeciwne swym zasadom, lekceważąc zresztą to wszystko, co się bezpośrednio z jego dogmatami nie wiąże. Stąd u Tarnowskiego wymagania metodyczne, troska o ścisłość, zupełność, stoją na drugim planie. Umie on wymownie uwielbiać, namiętnie potępiać, walczyć z zaciętością, ale mozolne zbieranie i rozpatrywanie faktów, spokojna u gruntowna analiza, objektywny sąd nie godzą się z właściwościami jego organizacyi duchowej. Potrafi on czytelnika zainteresować, pociągnąć niekiedy siłą uczucia, ująć jasnością, płynnością wykładu, ale nie nauczy, nie wyjaśni istoty i stosunków zjawisk, o których przyjemnie i zajmująco rozprawia.

Pomimo wszystkich braków i wad, wytkniętych przez Chlebowskiego,

książka Tarnowskiego przedstawia w rozwoju pracy nad historyą literatury polskiej dość ważny postęp pod względem metodycznym, postęp, polegający na wyswobodzeniu zjawisk literackich z ram biograficznych, w jakich je dotąd rozmieszczano. Utwory wystąpiły tu na pierwszy plan, szczegóły biograficzne służą jedynie do wyjaśnienia ich treści lub genezy. Prócz tego historyk stara się wyjaśniać pojawy literackie na podstawie ich związku z życiem, politycznem wyłącznie, danej chwili. Szkoda jednak, że w tej emancypacyi utworów nie posunął się o krok dalej i nie uwolnił przez powiązanie pokrewnych treścią i formą w oddzielne grupy od przypadkowych, dziwacznych nieraz połączeń, w jakich stawia je porządek dat wydania. Również żałować należy, iż, zajęty głównie życiem politycznem i jego odbiciem w literaturze, lekceważy sobie inne strony bytu społecznego i odbicie tylu tak doniosłych dążeń i potrzeb w utworach literackich; wreszcie, że w pracy swej nie uwzględnia rezultatów badań dotychczasowych nad utworami i pisarzami.

Przyznając, że ocena, którą napisał o książce Tarnowskiego, bardzo obfituje w dysonanse, rozbrojony prawdziwie natchnionemi kartami o *Panu Tadeuszu*, Chlebowski tak pisze w końcu:

Na szczęście, po tych dysonansach mogę zamknąć ten przegląd sądów prof. Tarnowskiego o najwybitniejszych pomnikach literatury akordem zgody wobec głębokiej pojęciem i odczuciem, a prostej i poprostu wspaniałej oceny *Pana Tadeusza*, oceny, stanowiącej największą ozdobę dzieła i dającej najlepszą miarę wysokiego uzdolnienia autora.

Już to wogóle, zdaniem krytyka, »prof. Tarnowski posiada pożądane u przemawiającego do szerszych kół zalety: dar słowa, płynność, jasność, a przytem właściwą sobie wytworność, ustępującą pod wpływem goretszego uczucia miejsca szczeremu zapałowi«.

Po upływie roku niespełna, gdy już fachowa krytyka wypowiedziała się ze swem zdaniem o *Literaturze* Tarnowskiego, zabrał o niej głos w *Pamiętniku literackim* prof. Aleksander Brückner, którego niemiecka *Geschichte der polnischen Literatur* świeżo wyszła w Lipsku. Znakomity uczony postanowił ująć się za Tarnowskim, uważał bowiem, że mu stała się krzywda, że wszyscy, co pisali o jego dziele, nie ocenili go tak, jak na to zasługiwało, bo za bardzo wchodzili w drobiazgi i szczegóły, nie dość podnieśli jego pomnikową wartość, jako mistrzowskiej całości, jako rzeczy niepospolitej, nie na zwykłą miarę.

Oto niektóre ważniejsze ustępy z tej recenzyi Brücknera, recenzyi, która o ile była pełną uznania dla dzieła Tarnowskiego, o tyle zawierała sporo sarkastycznych aluzyi pod adresem jego krytyków.

Pisano już niejedno o »Historyi« prof. Tarnowskiego; wytykano nieraz z lubością rozmaite usterki i mylki, przeoczenia i niedomówienia; więc o nich nie mamy

potrzeby na nowo wspominać: każdy czytelnik *Pamiętnika* jedno lub drugie sam poprawi. Zamiar nasz inny: wobec wielu głosów, mniej lub więcej nieprzychylnych, wykazać, że krzywdzi się autora; że dzieło jego mimo owych drobnych plamek, ze wszech miar znakomite, prawdziwa i trwała ozdoba literatury naszej, a jego największa zasługa. Przedewszystkiem wdzięczniśmy, że napisał dzieło umiejętne, tak obszerne. U nas bowiem tylko romanse piszą się szeroko, aż nadto szeroko (zyskałby nawet Sienkiewicz, gdyby się ani zbyt rozpraszał, ani tak często powtarzał), za to nie zdobywamy się na obszerne dzieła naukowe.

Druga zasługa Tarnowskiego, zdaniem Brücknera, jest to, że »obok obszernego znaczenia naszej literatury jedynie godnego, ujęcia jej, z wielkim taktem dokonał i podziału przedmiotów: lepiej z tego zadania nie możnaby się wywiązać. Ani śladu najlżejszego doktrynerYi czy pedanteryi; rozstrzygała rzecz sama, treść; do niej objętość się stosuje, nie odwrotnie«. Co również Tarnowskiemu należy poczytać za szczególną »nową zasługę«, że z dzieła swego, choć tak obszernego, wykluczył bio- i bibliografię.

Nawet przy artystach scenicznych widz nie pyta, czy »on« żonaty, czy »ona« rozwódka: interesuje go tylko autor i rola; tak i nas tylko dzieło zajmuje i jego historya, jeśli jaką posiada, t. j. zawartość, znaczenie, wpływy i t. d. Takt Tarnowskiego i tu uniknął szczęśliwie szkopułów; i tu niema żadnej pedanteryi: biografii nie dał, ale gęsto wstawiał słówka i określenia, charakteryzujące czas i miejsce i człowieka, o ile z tego padało światło na dzieło i jego tendencye; dzieła te bowiem w ocenie Tarnowskiego nie unoszą się w jakichś empiryach, lecz są osadzone twardo na ziemi, na rzeczywistości. Pedant wykluczyłby z zasady i takie daty — mogąż przecież istnieć całe historye literatury z zupełnem niemal wyeliminowaniem ludzi, osobistości; nie poszedł tak daleko Tarnowski i słusznie, gdyż takie uwagi oświecają nieraz znakomicie ton, tendencye i t. d. dzieła, skoroż dzieło z autorem nierównie ściślej związane, niż rola z aktorem, skoro autor w dzieło całkiem inne cząstki swej istoty wkłada, niż aktor w swe kreacye. Zbyt jednak Tarnowski w takie szczegóły nie wkraczał, w daty urodzin, biegu nauk i t. d.; wszędzie zachował miarę bardzo szczęśliwie. Komu n. p. pesymizm Szopenhauera nie wystarcza, kto bada przyczyn czy związku między taką filozofią a rozstrojem żołądkowym Szopenhauera, ten dozna rozczarowania w *Historyi* Tarnowskiego, poświęconej dziełom, nie ludziom, nie anegdotkom, nie skandalikom. Nie znajdzie się np. żadnych uwag o ożenku Krasińskiego, i bardzo słusznie pominął to Tarnowski, o czem się Chmielowski rozpisał, bo to należy do hrabiowskiej kroniki rodzinnej, nie do historyi literatury polskiej. Szczegóły biograficzne wciąga tylko, o ile to nieodzowne, bez czego nie zrozumianoby myśli, treści, i t. d., lecz i w takich razach słów skąpi: historya literatury nie leksykon biograficzny, nie bibliografia, chociaż, jak każda historya, do ścisłego przestrzegania dat obowiązana. Na ocenę dzieła nie wpływa ocena człowieka.

Ale nie opowiadając o autorach i nie wyliczając ani porównywając wydań ich dzieł, rozprawia za to Tarnowski tem obszerniej o dziełach samych, o ich wykonaniu, przyczem celuje w opowiadaniu ich treści. Te streszczenia, to, zdaniem Brücknera, »znowu wielka zasługa« autora.

Z podawaniem treści łączy Tarnowski estetyczną ocenę dzieła, rzecz najsubtelniej odczutą i najpiękniej wykonaną. Czem dzieła bliższe naszym czasom, tem ta ocena ważniejsza: dlatego czekamy z upragnieniem tomu szóstego, a choćby i siódmego (dla drugiej połowy dziewiętnastego wieku); spodziewalibyśmy się po nim, że się przyczyni do ustalenia zachwianych u nas z gruntu pojęć o dziełach sztuki, do otrzeźwienia, do pokonania przesądu, jakoby co niezwykłe, przesadne, dziwaczne, tem samem już i piękne było. Na razie zadowalamy się estetycznemi ocenami tomów poprzednich i uważamy za zbyteczne tę zasługę Tarnowskiego osobno podkreślać; od sławnej i świetnej oceny Słowackiego wiedzieliśmy, i każda nowa praca aż do oceny dramatów Schillera czy Szujskiego była tego nowym dowodem, jak wytworny i pewny smak artystyczny autora; a nieraz mu i z tego zarzut robiono, że nadto wyłącznie, z strony samej piękności i kunsztu dzieło sztuki ocenia, że zaniedbuje stronę np. myślową, tendencye, poglądy i przekonania autorskie. Tarnowski wymaga niestety od dzieła sztuki, żeby było dziełem sztuki; krzywdzi więc autorów, którzy postępowych, humanitarnych pomysłów odpowiednio wystawić nie umieli, ale właśnie u nas, gdzie koterya, przynależenie do partyi, nieraz już wystarcza do roztaczania kadzideł i tymianu, nie zaszkodzi taka niekoteryjna ocena, takie rąbanie prawdy. Im bardziej się odczuwa trafność jego zarzutów, tem bardziej się o to na niego żacha i gniewa. Pogorszył rzecz Tarnowski i tem, że nie zawsze estetyczną oceną się zadowala, że nieraz i pod szychem frazesów i obrazów, prawdy i istoty się dobiera, że pyta, jakiegoż to rodzaju cel i środki, pomysły i etyka poety czy dzieła? że bada sumienia i rozgrzeszenia nie zawsze udziela.

Zarzucano Tarnowskiemu, że w swej *Literaturze* zbyt wiele miejsca poświęcił pisarzom politycznym, ze szkodą innych. Brückner stanął w obronie takiego traktowania tej gałęzi piśmiennictwa, bo, jak powiada, »przyznam, że i mnie podła broszura polityczna interesuje nieraz więcej, niż misterna sielanka z Menalkami i Mopsusami, albo choćby górna oda Sarbiewskiego, bo z tych przebija naśladowanie sztuczne sztucznego gatunku, z tamtej życie, poglądy, zasady, choć dziwaczne, choć błędne, ale rzeczywiste; to sztuka dla sztuki, tamto prawda, czy to, co za taką uważano«.

Ale publicysta Tarnowski nietylko wysuwa polityczną literaturę na plan pierwszorzędny, lecz i od siebie politykuje i rozprawia, naucza i przestrzega; wynurza się z własnych zapatrywań i tem wnosi moment, powiedziałbym niehistoryczności: i gdy nam dotąd obrazy jeden po drugim i wystawiał i objaśniał, zwraca się nagle do publiczności i pomny, że każda historya — *magistra vitae*, snuje uwagi słuszne, apeluje do sumień, nie owych autorów, o których mowa, ale do sumień nas samych, narodu, niby kaznodzieja, albo raczej profesor, który z katedry na młodzież bezpośrednio moralnie chce wpływać.

...Oznaczywszy więc, czem Tarnowski rozdziały zapełnia, wypadałoby wykazać, jak on to czyni, w jaką szatę ubiera trafne oceny estetyczne, dowcipne zestawienia (porównania z zagranicznymi, Fredry z Laroche-Foucauldem, Frycza z Bodinem, i t, d.), wykład treści i jej znaczenia, tła czy okoliczności, z których dzieło wyrosło, których jest refleksem czy echem. Lecz nie będę się nad stylem Tarnowskiego rozwodził: każdy z nas zna i podziwia jego lekkość, finezyę, precyzyę, to znowu patos, słowo silne, aż namiętne, retoryczne czasami,

albo humor, a nieraz kaustyczność i złośliwą ironię; wszędzie zaś gibkość, łatwość, płynność, miejscami nadto może sobie folgującą. Określiwszy więc samymi ogólnikami świetność, naturalność, bogactwo tego stylu, zapytam raczej o coś innego: czy odczuł i oddał Tarnowski wiernie ducha dzieł, epoki? czy zadowolił nasze coraz wybredniejsze wymagania historyczności? I tu odpowiem bez wahania twierdząco. Sam sposób pisania, obszerny wykład treści, uwzględnianie stosunków zewnętrznych i wewnętrznych, szerokie traktowanie literatury politycznej i historycznej, ściśle postępowanie, nie według jakichś okresów, ani wedle jakich innych działów, lecz wedle dat chronologicznych, prowadziły za sobą, bo wykluczały historyczność. To prawdziwa historya, tu dzieje się coś i odbywa, nie wedle grup, czy wedle biografii, lecz w czasie, latami. Więc tchnienie historyi poddyma te żagle, przesuwające przed oczyma naszemi coraz inne obrazy; zewnętrzne warunki historyczności wypełnione świetnie.

Postawiwszy dzieło Tarnowskiego tak wysoko, zakończył Brückner recenzyę swą gorącem pragnieniem, by *Literatura* ta ukazała się koniecznie w nowem wydaniu specyalnie dla Królestwa.

Literatura Tarnowskiego jedyna, przeznaczona nie dla szkółek, samouków, informacyi; nie zarys to mniej lub więcej suchy, jak Chmielowskiego, lub mój własny; nie tyrady to i frazesy, jakiemi popstrzone dzieło Biegeleisena: lecz o sztuce pisarskiej traktuje z wielką sztuką, ciepłem i zapałem, nawodząc na myśli poważne, podtrzymując ducha, opowiadając obszernie o czasach i dziełach. Po przeczytaniu tej książki rozwidnia się w głowach; ona uczy cenić literaturę, zapala chęć bliższego jej poznania, miejscami je zastępuje; nie czyn to uczony tylko czy estetyczny, ale obywatelski. Lecz cóż to pomoże, jeżeli książka zostanie skazaną na działanie w zbyt szczupłym obrębie; jej koniecznie wypłynąć na pełne morze polskie, nie chować się po jego odnogach; należy usunąć, co tego nie dopuszcza. Bo powtarzamy: można się nie godzić na ten lub ów szczegół, na takie oświecenie, czy na takie luki tu i owdzie; ale każdy przyzna, że obraz imponuje rozmiarami, pociąga wykonaniem, ogrzany duchem obywatelskim i miłością prawdy; że słowo narodowe znalazło tłómacza narodowego; że żadna literatura słowiańska nie może się równem poszczycić [1]).

Niemal współcześnie z *Literaturą* Tarnowskiego ukazała się w Warszawie *Historya literatury polskiej* w 6-ciu tomach przez Piotra Chmielowskiego. Stąd mimowoli nasuwające się porównanie obu dzieł, porównanie interesujące tembardziej, że w opinii ogółu Tarnowski i Chmielowski to, jak w poemacie Słowackiego, »dwa na słońcach swych przeciwnych bogi«. Paralella ta, po ukazaniu się dwóch po-

[1]) Współcześnie z *Literaturą* Tarnowskiego, bo również z okazyi jubileuszu uniwersyteckiego i dla jego uczczenia, wyszedł szereg dzieł, specyalnie przez różnych uczonych na uroczystość tę przygotowanych. Prym między niemi trzymała dwutomowa *Historya Uniwersytetu Jagiellońskiego* pióra Kazimierza Morawskiego. O tej prawdziwie monumentalnej, a najwytworniejszym stylem skreślonej pracy, jak i o kilku innych najwybitniejszych *Publikacyach z powodu 500-ej rocznicy odnowienia fundacyi Uniwersytetu Jagiellońskiego*, pomieścił Tarnowski w *Przeglądzie polskim* szereg obszernych sprawozdań, równających się popularnym streszczeniom pomienionych dzieł naukowych, nie zawsze przystępnych dla szerszego ogółu.

mienionych dzieł o historyi literatury polskiej, znalazła swój wyraz oczywiście i w krytyce, która, o ile to była krytyka warszawska, wyraziła się na niekorzyść Tarnowskiego. W kwestyi tej zabrał także głos Aleksander Brückner, który, jako autor trzeciej, współcześnie wydanej, *Historyi literatury polskiej*, w następujący sposób osądził oba dzieła swych dwóch współzawodników:

Samo przez się nasuwa się porównanie dwu dzieł, Chmielowskiego i Tarnowskiego, każdemu, piszącemu o jednej lub obu książkach. Przeprowadził je n. p. nadzwyczaj słabo p. Henryk Galle w *Tygodniku illustrowanym* z roku 1901 w artykule p. t. *Chmielowski-Tarnowski — dwaj ludzie — dwie syntezy*, nie licząc się ze słowami, wyrażając się zbyt ostro, formułując zarzuty nieuzasadnione; i w ostatnim zeszycie *Ateneum* p. B. Chlebowski zestawił oba dzieła. Nie waham się zaznaczyć, że w obu wypadł sąd zbyt niekorzystnie o Tarnowskim, zbyt korzystnie o Chmielowskim, że Warszawianie a pozytywiści ujęli się może zbyt widocznie o dzieło swego obozu, potępili, jeśli mi kto przesadę tę wybaczy, zbyt pospiesznie dzieło Stańczyka. Strach, jak słowa znaczenie odmieniają, dziś przecież i Spasowicza już Stańczykiem zowią!

Oba dzieła traktują ten sam przedmiot i w tym samym języku: innego podobieństwa czy pokrewieństwa między niemi już niema więcej. Różnią się zresztą wszystkiem: i programem, i wykonaniem, zarówno myślą przewodnią, jak szczegółami. Wyklucza Tarnowski, co za literaturę, mianowicie piękną, uchodzić nie może, więc drobne jej początki, szwargot jej dziecięcy, psalterze i pieśni; tak samo glossy, kazania i kroniki, jak i rzeczy umiejętne, ścisłe, Witelona niemniej jak Szokalskiego. Wyklucza dalej, co do historyi literatury nie należy, t. j. bio- i bibliografię. Wyklucza z rozpatrywania jej względy utylitarne, nie pyta ich więc o zamiary i cele, pyta tylko, jak je wykonano, i potępi niechybnie wykonanie słabe myśli choćby najpiękniejszej. Polityk, uwzględnia może nadto obszernie literaturę polityczną, tembardziej, skoro ona niestety u nas nikogo niczego nie nauczyła nigdy; estetyk, przykłada nadto wyłącznie miarę nowszej estetyki, piękna do dzieł dawniejszych; literat poświęci nieraz ścisłość, dokładność wysłowienia, barwności jego i wdziękom, pominie wyniki pracowitych szperaczy, da się unieść fantazyi, uczuciu, stylowi. Lecz wrażenie doby i jej cech, odmienności ludzi i czasów, znaczenie właściwe dzieł, daje on, nie Chmielowski. U Tarnowskiego d z i e j e s i ę c o ś, rozwija, odmienia samo przez się — podmuch historyi nadyma sam żagle jego dzieła; Chmielowski pracuje znużony i schylony nad wiosłami, popychając mozolnie swą łódkę. Tarnowski roztacza barwne obrazy, daje szczęśliwe, trafne, przekonywujące charakterystyki, porywa i wzrusza, oburza się i rozrzewnia, napomina i przestrzega — elementu osobistego, własnych przekonań, nawet jawnych predylekcyi, nieraz nawet uprzedzenia, nie pozbawił dzieła swego. Książkę jego czytamy z najżywszem zajęciem, nie słabnącem, mimo obszerności wykładu: wracamy chętnie do kart jej wymownych; jest tam coś i romansu efektownego, i kazania natchnionego, i mądrości niezwykłej; z każdej stronicy bije temperament, uczucie, przemawiają choćby sympatye i antypatye autora, i nie na wszystkie sądy zgodzimy się bezwarunkowo. Lecz książka jego, jeśli nie przekonywa, olśniewa i porywa nas, i nigdy też nie zestarzeje się, pozostanie zawsze zwierciadłem, żywem i wielkiem, w którem odbiły się dzieje umysłowości polskiej z czterech wieków, pięknie i wyraźnie. Mniej nadająca się, dla samej obszerności swej, do tłómaczenia, dla obcych, u nas największą odda przysługę, bo zachęci i zapali do bliższego poznania tych

skarbów, które wymowny przewodnik wylicza i opisuje z takim powabem, żalem i ogniem. Daleko w tyle pozostaje dzieło Chmielowskiego, sadzące się na dokładność i wszechstronność, a okupujące je oschłością. Tarnowskiego czytamy i pochłaniamy (wiem, w jak krótkim czasie uporałem się z pięciu jego tomami i jak chętnie zawsze do nich powracam); z Chmielowskiego uczymy się. Tamto, skarbnica wrażeń, to dzieło dla informacyi; w tamtem nie rażą nas nawet jawne braki, niedomówienia, stronniczość pewna, w tem prostujemy każdy najdrobniejszy szczegół, oświecony nowszem badaniem; tamto wprowadza nas w literaturę samą, zastąpi poniekąd wrażenia oryginałów, wynosimy z niego całkowite obrazy; to wylicza i określa starannie, rozkłada szczegóły, ale ich nie skupia, barw pierwotnych nigdy nie oddaje.

W jednem zgadzają się oba dzieła: natchnęło je wspólne uczucie miłości i poważania czasów ubiegłych i ich spuścizny duchowej. Oba dzieła, każde na swój ład, starają się wymierzyć sprawiedliwość i dać poznać szerokim kołom zasługi, znaczenie, koleje, jedynej niepodzielnej naszej spuścizny wiekowej, wpoić szacunek dla niej, pokrzepić i wzmocnić myślami i dziełami przeszłości pokolenia dzisiejsze, pokazać, jak rosła i potężniała myśl i sztuka polska. Dzieło Tarnowskiego na razie niedokończone, lecz dokończenia pragniemy i oczekujemy pewnie. Dzieło Chmielowskiego kresu już dobiegło. Oba, to czyn, nietylko literacki czy umiejętny, lecz obywatelski zarazem, w duchu miłości poczęty i wykonany. I wdzięczność winniśmy obu autorom [1]).

Gorący wielbiciel Sienkiewicza, gdy w grudniu r. 1900 w Warszawie obchodzono jego jubileusz, Tarnowski wziął w nim udział osobiście, jako przedstawiciel Akademii Umiejętności, z wrażeń zaś, doznanych w czasie tej uroczystości, zdał sprawę w *Przeglądzie polskim*, w barwnie skreślonym artykule. Literatura polska XIX wieku pięknie, zdaniem Tarnowskiego, skończyła swoje dzieje na tym dniu 22 grudnia. »Była ona przez ten wiek więcej niż literaturą, była prawie historyą narodu, a wzniesiona sama na wysokości przedtem niedościgłe, niedojrzane, nam służyła za kordyał życia. Ale przyszedł czas, że i ona zdawała się wyczerpaną z sił, niezdolną wydobyć z siebie nic nowego i wielkiego. Historya, surowa mistrzyni, jedna miała w sobie i pokazała tę siłę. Literatura piękna, sztuka, twórczość, słabła i omdlewała. Ale w chwili najmniej spodziewanej podniosła głowę i ona, rozwinęła skrzydła, i dowiodła wszem obec, że jest, że nie upada, a pozorami i formą tylko od wielkich poprzedników różna, natchnienie, ducha, życie bierze stamtąd, skąd i oni je brali, i w treści, w dążeniu, w miłości, jest taka sama, ta sama, co u nich«. Dlatego też uroczystość Sienkiewicza w Warszawie była wspaniałem zakończeniem dla literatury polskiej wieku XIX, a dobrą wróżbą na wiek XX. Wogóle był to dzień podnoszący na duchu, a byłby nim w jeszcze w wyższym stopniu, gdyby oprócz biskupa Ruszkiewicza

---

[1]) Jest to zakończenie recenzyi o *Historyi literatury polskiej* p. Chmielowskiego. *Przegląd polski*, 1902.

mógł przemówić do jubilata jeszcze i Tarnowski. Niestety, czasy były takie, że nie dało się na to uzyskać pozwolenia.

Tarnowski bowiem należał już oddawna do tych, którym przemawiać publicznie w Warszawie było wzbronione. W roku 1899 czyniono nawet starania, ażeby wygłosił szereg odczytów. Przez chwilę była nadzieja, że może to nie będzie nie do przeprowadzenia, tak dalece, że Tarnowski przygotował już w tym celu kilka prelekcyi o *Szujskim jako poecie*, ale skończyło się na tem, że odczytów wygłosić nie mógł, nie pozwolono mu ostatecznie, a wydrukowane w *Bibliotece Warszawskiej*, gdzie je z trudnością przeprowadzono przez cenzurę, wyszły w znacznie zmienionej, a mianowicie okrojonej formie.

Z tych niedoszłych prelekcyi powstała książka o *Szujskim jako poecie*, doskonale uzupełniająca poprzednie prace Tarnowskiego o autorze *Kilku prawd z dziejów naszych*. Książka ta, wydana Warszawie, w roku 1901, odznacza się wszystkiemi zaletami, jakiemi wogóle odznacza się wszystko, co wychodzi z pod pióra Tarnowskiego, tylko, że posiada jedną wadę, od której jego inne prace są wolne: jest cenzuralną, co oczywiście musiało spowodować znaczne luki i opuszczenia, jeśli się zważy, że Szujski wogóle nie należy do pisarzy cenzuralnych.

Mimo to książka została ocenioną, jak na to zasługuje, a więc pochlebnie. W *Pamiętniku literackim* ocenił ją Bronisław Gubrynowicz, dla którego praca ta »jest spłatą długu przyjaźni w latach młodzieńczych zadzierżgniętej, a wiekiem trumny nierozerwanej; uczucie jednak, które ją wywołało, niczem nie wpłynęło na naukową wartość książki, dało jej jedynie podkład serdeczny, ujmujący i pociągający czytelnika«.

Studyum niniejsze przynosi po raz pierwszy pełny obraz twórczości poetyckiej Szujskiego, od drobnych wierszy dziecinnych, w których jako studencik drzewom swej wioski rodzinnej zwierzał się ze swoich wrażeń i uczuć, aż do ostatniego, poważnego utworu, *Głos z Polski na cześć św. Cyryla i Metodyusza*. Wszystkie cierpienia i gorycze, walki myśli i serca ucisku, przybrane w formę poetycką, są tu wytłómaczone i objaśnione, bo krytyk, jako jeden z najbliższych świadków i współuczestników tej wielkiej pracy, której życie całe poniósł Szujski w ofierze, znał najlepiej duszę pisarza, odczuwał najgłębiej każdy jej poryw. Nieuzasadnione są więc żądania, aby prof. Tarnowski dochodził źródeł dramatów historycznych, aby wykazywał stosunek Szujskiego do innych poetów, swoich i obcych; należałoby raczej wyrazić żal, iż autor z bogatej skarbnicy swych wspomnień osobistych udzielił nam za mało, byłby to bowiem materyał nieoceniony, genezę utworów wyjaśniający znakomicie. Ogólna charakterystyka poezyi Szujskiego sprawiedliwa; i wady i zalety wykazane bezstronnie, idee przewodnie podniesione należycie.

Zdaniem Józefa Flacha, który z książki tej zdał sprawę w *Przeglądzie polskim*, autor, przyrzekłszy w przedmowie zupełną bezstronność, poszedł w tym kierunku tak daleko, że »nawet tu i owdzie może jest zbyt surowym, zwłaszcza w sądzeniu dramatów Szujskiego«. Tak n. p. jego tragedye możeby zasługiwały na sąd łagodniejszy. Natomiast poezye liryczne, których rozbiór czyta się »z ogromną ciekawością, bo wie się o tem tak mało«, ocenione są zupełnie trafnie.

Autor przyrzekł, że będzie bezstronnym, i przyrzeczenia dotrzymał. Dowodzi tego także końcowa ogólna charakterystyka Szujskiego, jako poety, spokojna i wyrównana. Inna rzecz, że p. Tarnowski mówi o swoim przyjacielu i towarzyszu pracy z serdecznem ciepłem; to, nawet po literacku sądząc, dodaje książce piękności.

Od chwili wydania 5-ciu tomów *Historyi literatury polskiej*, która jest jakby koroną twórczości Tarnowskiego, jako krytyka-estetyka, autor jej, zajęty pracą nad szóstym tomem, wymagającym rozległego oczytania w utworach naszego najnowszego piśmiennictwa, napisał tylko dwa obszerniejsze studya literackie: *Nowe kierunki dramatu i Zaczarowane koło Lucyana Rydla*, oraz *Najnowsze odkrycia o Krasińskim*. Obie rozprawy ukazały się w *Przeglądzie polskim* [1]).

Pierwsza z nich, wywołana utworem Rydla, jest bardzo znamienną dla Tarnowskiego, albowiem daje poznać jego poglądy na najnowszą twórczość dramatyczną, nietylko polską, reprezentowaną przez Przybyszewskiego, Wyspiańskiego, Kasprowicza Zapolską i innych, ale i europejską, z Maeterlinckiem, Ibsenem, Hauptmanem, Sudermannem, Rostandem. Co Tarnowski myśli o tych »nowych kierunkach dramatu«? Naogół sądzi je pobłażliwie, ale im nie wróży długiego życia. »Być może, że z tego chaosu wyjdzie jeszcze jakiś nowy kształt dramatu, że będzie w nim wielkość i piękność. Ale do dziś dnia ich niema, pomimo biegłości i zdolności autorów, pomimo uniesień reklam i krytyki. Nerwy są poruszone, nieraz boleśnie targane tym dramatem; uczucie i wyobraźnia nie odnoszą z niego tych wrażeń wzniosłych i podnoszących, jakiemi przejmują je wielcy tragicy starego i nowego świata«. Podobnie ma się rzecz z dramatem

---

[1]) Pierwsza w r. 1901, w zeszytach za kwiecień i maj; druga w r. 1903, w zeszytach za listopad i grudzień.

Z obszerniejszych prac Tarnowskiego, drukowanych w *Przeglądzie polskim* w ciągu ostatnich lat trzech zasługują na wyróżnienie — prócz szeregu wspomnień pośmiertnych i recenzyi — następujące artykuły: *Polak o Bismarcku* (z powodu książki St. Koźmiana *O dziełach i działaniach Bismarcka*), oraz sylwetka *Zofii z Fredrów Szeptyckiej* (w formie przedmowy do jej pism), w zupełności godna szkicu o *Księżnej Marcellinie Czartoryskiej*.

polskim, czy to będzie *Dla szczęścia* Przybyszewskiego, czy *Bunt Napierskiego* Kasprowicza, czy *Tamten* Maskoffa, czy *Otchłań* Konczyńskiego, czy *Małka Schwarzenkopf* Zapolskiej, czy wreszcie dramaty Wyspiańskiego, o których zresztą w tym artykule Tarnowski nie wypowiedział swojego zdania, odkładając »szczegółowy ich rozbiór« do pierwszej wolniejszej chwili. Usiłowań jest dużo, ale mimo to dramat polski, jak był przed czterdziestu laty, tak i dziś jeszcze jest w stanie szukania i dążenia. Co się tycze *Zaczarowanego Koła*, które bezwarunkowo należy do najlepszych utworów dramatycznych polskich, jakie u nas powstały ostatniemi czasy, to i ono zdaniem Tarnowskiego, choć jest rzeczą bardzo piękną, nie jest dramatem, jakiego nam potrzeba, jakiego pragniemy: dramatem prawdziwym i zupełnym, w całem znaczeniu tego słowa. A czemu? »Dlatego, że dramat ten nie był dość obmyślany, nie był przed napisaniem należycie rozważony. Wyobraźni dużo, zastanowienia nie dosyć. Autor zapomniał, że nie dosyć jest marzyć, trzeba i myśleć; że wszystkie władze umysłu muszą być czynne przy poetycznem tworzeniu. Bez tego stworzyć się może dzieło wielkich zalet, wielkiego wdzięku, ale nigdy dzieło całkowite, zupełnie piękne, wielkie«.

Z rozprawą tą o »nowych kierunkach dramatu« wiążą się organicznie dwie recenzye Tarnowskiego, zamieszczone w *Przeglądzie polskim* z lutego 1902 roku, a zdające sprawę z dwóch książek, poświęconych literaturze współczesnej polskiej. Książki te, to Piotra Chmielowskiego *Najnowsze prądy w poezyi naszej*, oraz Antoniego Mazanowskiego *Młoda Polska w powieści, liryce i dramacie.* Zamiar zwrócenia uwagi na te dwie publikacye był widoczny: Tarnowski skorzystał poprostu ze sposobności, ażeby określić stanowisko, jakie zajmuje w stosunku do t. z. *Młodej Polski*, i powiedzieć otwarcie, co o niej myśli, jak sądzi jej twórczość i znaczenie w literaturze polskiej. Że je sądzi surowo, a w wielu razach wprost potępia, z tem się nie krył nigdy; okazało się jednak, że nie on sam był tego zdania o tych »nowych kierunkach« w powieści, liryce i dramacie u nas, że objektywna krytyka postępowa sądziła je niemniej ostro, potępiała niemniej stanowczo i bezwzględnie. Fakt ten należało podnieść. Jakoż uczynił to Tarnowski w dwóch pomienionych recenzyach.

»Niezdrowe pierwiastki, objawiające się w naszej literaturze, powodujące często fałsz a czasem i zło w treści, dziwactwo w formie, zaczynają wywoływać sąd i opór«, a sąd ten, wyrażony w książce Chmielowskiego, »tyle jest surowy, ile prawdziwy, oparty na powodach i dowodach gruntownych, pewnych, oczywistych«. Opór ten, zdaniem Tarnowskiego, spowodowany jest bolesnem a szlachetnem

uczuciem duszy ludzkiej, duszy polskiej w szczególności, kiedy widzi, że niejedno złe szerzy się i wsiąka w umysły przez literaturę, i może psuć ludzi, a zniżyć piśmiennictwo. Aż dotąd przez cztery wieki swego życia, była literatura nasza zawsze zdrowa, szlachetna, moralnie dobra. Czyżbyśmy chcieli pozbawić ją tego pięknego charakteru? pozwolić jej kalać się w błocie albo rozkładać w przewrotnych fałszywych pojęciach o świecie i o sztuce? Z tego popędu wynikła książka Chmielowskiego. »Potrzebna i pożądana bardzo, nabiera ona większej wartości przez imię autora. Nie dlatego, że uczony i pracowity, ale dlatego, że nie podejrzany o pojęcia »wsteczne«, »reakcyjne«, »ultramontańskie«. Inny mógłby mówić to samo, co on, a cały zastęp młodych i »postępowych« nie raczyłby słuchać zacofanego i przestarzałego. On może zdoła mówić ze skutkiem, wywrzeć wpływ, sprowadzić wytrzeźwienie«. Po obszernem streszczeniu wywodów autora, popartem licznemi, a nader wymownemi cytatami, w ostatecznej konkluzyi pisał Tarnowski, co następuje:

Od siebie dodamy tylko, że przeciw tym uroszczeniom, które »sączą jad w młode dusze i zatruwają je do gruntu«, wystąpił teraz p. Chmielowski. W jego książce jedno wydaje nam się wątpliwem, to talenta tych poetów, o których on mówi. Jakieś być muszą oczywiście, ale u znacznej większości, podług naszego przekonania, są małe. Zresztą zgoda zupełna z książką, którą, jak niegdyś *Satyry* Juwenala, »zrobiła indygnacya«, indygnacya na te prądy, które »zatruwają dusze«, tępią rozumy, obniżają literaturę i sztukę, dotąd zawsze wysoką i piękną. Dusza ludzka, a dopieroż biedna dusza polska, nie może na ten widok »pohamować wylewu goryczy«. Nie może go pohamować, bo nie może bez obawy pytać, coby się stało, gdyby uczucia i sumienia dały się wtłoczyć w taki kierunek? Coby się stało z rodem ludzkim w ogólności, a w szczególności z narodem polskim? Coby się stało z tem, co było jego chwałą i jego kordyałem życia, z jego słowem pisanem, wzniosłem, pięknem, mądrem, wyrazem zdrowej, szlachetnej, naprawdę czystej duszy, gdyby miały się na niem rozrastać takie próchna i zgnilizny? Coby się stało wreszcie z tem, co od duszy i ojczyzny mniejsze, ale przecież nieskończenie wielkie, z pięknością, z poezyą, ze sztuką, gdyby miała zejść na wystawę sprośności, niedorzeczeństw i dziwactw? P. Chmielowski protestuje ze stanowiska człowieka, ze stanowiska Polaka i ze stanowiska sługi i pracownika literatury, dbałego o jej godność i przyszłość. Ma racyę, że protestuje, i ma zasługę. Oby jego głos, który u hołdujących nowym zjawiskom ma znaczenie i wpływ, nie był głosem wołającym na puszczy, ale sprawił wrażenie i skutek!

Uzupełnieniem poniekąd książki Chmielowskiego, a w każdym razie bardzo jej bliską była praca Mazanowskiego o ***Młodej Polsce*** w powieści, w liryce i dramacie. Tamta miała zakres ograniczony, ale była więcej zasadnicza; ta obejmowała zakres szerszy, bardziej wchodziła w szczegóły. Tarnowski, zdając z niej sprawę, obszernie streścił jej postulaty, opatrzył je szeregiem krótkich ale dosadnych

uwag od siebie, zwłaszcza tam, gdzie chodziło o Przybyszewskiego i Wyspiańskiego[1]), jak wogóle o modernistów, i tak rozebrawszy całą książkę, punkt po punkcie, nazwał ją w końcu »rozumną, słuszną, często świetną w krytyce«, ale zbyt łaskawą w pochwałach, a zupełnie niewytłómaczoną, kiedy mówi, że nigdy świat nie słyszał lepszych słów miłości, dumy, rozpaczy. Wogóle jednak, o ile wątpliwości i zarzutów nastręcza mało, o tyle przeważnie wywołuje potwierdzenia i przyświadczenia.

Konkluzya, essencya całej rozprawy, znajduje się na ostatnich jej kartkach. Jest to przypomnienie tego wielkiego przeobrażenia, jakie się dokonało w poezyi pod tchnieniem i pod ręką Mickiewicza i innych, i porównanie z tym stanem, jaki poezya przebywa w naszych oczach. Stan to chorobliwy. Jak wypadnie kryzys i jaki będzie powrót do sił i zdrowia? P Mazanowski sądzi, że przeżyliśmy już najgorsze chwile. Oby to okazało się prawdą. Dzisiejszym mówi prawdy bardzo zasłużone, kiedy im przypomina, że jeżeli »sztuka — jak mówią — nie może być niemoralną, to mogą być niemoralnemi dzieła i ich twórcy«, że tamci poeci umieli swój płaszcz królewski »tak nosić, iż nigdy skaza małostkowości nie padła nań brzydką plamą i nigdy oni śliną przekleństw i nienawiści nie plwali«; kiedy im przypomina, że »poza, słomiany zapał, brak szczerości, zastępowanie głębokości i powagi frazeologią, szpecą zbyt wielu pisarzy«, i kiedy im przytacza słowa Mickiewicza, napisane o Gosławskim: »To nie jest ani klasyczność, ani romantyczność, to jest poprostu nonsens. Gdzie niema wyraźnej, dobrze od pisarza zrozumianej myśli, gdzie niema prostego i mocnego uczucia, tam mimo słów i figur nikt nic nie znajdzie«.

Czy książka Mazanowskiego wywrze wrażenie otrzeźwiające na tych, co potrzebują, a nie chcą się wytrzeźwić, tego Tarnowski nie śmiał się spodziewać. Bądź co bądź uważał, że książka ta jest znakiem otrzeźwienia i może być jego dobrym środkiem. »Kto zaś nie potrzebuje być otrzeźwionym, ten będzie przyjemnie orzeźwionym«.

Nowa literatura i poezya (nie cała przecież na szczęście) każe nam oddychać atmosferą, w której jest zaduch gorączki, odor mocnych a trochę przestarzałych perfum, różne wyziewy ludzkiego ciała, i eter, i jodoform, i alkohol, różne smarowidła i pudry z teatralnej garderoby, a wszystko razem zamknięte i zmięszane, jak na żart, z reminescencyami zapachu siana i świeżych kwiatów. Atmosfera duszna i nienaturalna, przesiąkła niezdrowemi, a po części wstrętnemi miazmatami. Naraz ktoś się zmiłował, odważył się i otworzył okno: wpuścił trochę świeżego powietrza.

Takie, zdaniem Tarnowskiego, było wrażenie książek Chmielowskiego i Mazanowskiego, ich wartość i ich zasługa.

---

[1]) Gdy n. p. Mazanowski mówi o *Weselu*, że nie jest ono dramatem bez zarzutu, ale jest »zarazem ironią, satyrą, pobudką«, Tarnowsyi rzuca pytanie: »Jest tem? czy tylko być ma?«

W logicznym i psychologicznym związku z temi dwiema recenzyami pozostaje niewątpliwie sprawozdanie Tarnowskiego z przekładu polskiego *Raju Utraconego* Miltona, dokonanego przez Wład. Bartkiewicza. Początek tego sprawozdania, całkiem osobisty, pełen jakiegoś liryzmu i melancholii, tak jest dla Tarnowskiego, dla jego *credo* literackiego, charakterystyczny, że zasługuje na przytoczenie *in extenso.*

Kiedy zobaczyliśmy tę książkę po jej wydaniu, doznaliśmy zdziwienia, prawie strachu. Takie wrażenie, jakżeby zjawiło się jakieś widmo, jakżeby raptem stanął upiór z tamtego świata. Milton? Milton w naszych czasach? Milton, za panowania Ibsenów i Maeterlincków, Tołstojów i Hauptmannów? Co za anomalia, co za anachronizm! Jak on śmie się pokazywać ten stary poeta, pogrzebany i zapomniany; i co za dziwak, co za oryginał, co za szalony wstecznik w niezgodzie z duchem czasu ten tłómacz, który w początkach XX wieku jeszcze wierzy w Miltona, podziwia Miltona, traci czas i siły na tłómaczenie *Raju Utraconego!* Doprawdy Milton dzisiaj, to jakiś głos czy duch z innego świata. Z radością, nieledwie z rozrzewnieniem, ujrzeliśmy tego wielkiego nieboszczyka, z jego potęgą, taką zdrową i czerstwą, z jego powagą surową a majestatyczną, z jego pobożnością gorącą, z jego wyobraźnią, jakiej równych niewiele było na świecie. Co ty tu robisz między nami, ty silny między wątłymi, ty zdrowy między schorzałymi, ty prosty między wykrzywionymi? Czy myślisz, że kto o ciebie zapyta, że kto na ciebie spojrzy? Jeżeli, to na to chyba, by się pogardliwie śmiać z twoich pomysłów i z twojej formy. Sukcesu się nie spodziewaj. Okrzyczą cię za starego pedanta, którego czuć jeszcze i klasycyzmem i teologią, a twórczości i natchnienia, poezyi, odmówią ci, bo nie masz nerwów i nie na nie chcesz działać! Ale dobrze, że jesteś! Twoje zjawienie dowodzi — nie samo jedno dzięki Bogu! — że trwa cześć i zamiłowanie tych, co są na miarę Fidyasza, choć miara nowomodnych krawców popłaca! Tego zaś odważnego człowieka, co się nie bał Miltona tłómaczyć, chciałoby się uściskać jak przyjaciela, za to naprzód, że wielkie rzeczy czci i kocha, a potem za to, że je polskiej literaturze przyswaja [1]).

Najnowsze odkrycia o Krasińskim to jakby uzupełniający rozdział do książki o autorze *Irydyona.* Od roku 1893, od wyjścia monografii Tarnowskiego o wieszczu *Psalmów* przybyło niemało publikacyi, równających się pierwszorzędnym przyczynkom do życia i twórczości Krasińskiego. Wyszły dwa duże tomy korespondencyi z Henrykiem Reeve, wydano *Myśli pobożne,* w *Bibliotece Warszawskiej* ogłoszono z rękopisu fragment *Wandy:* wszystko to, nieznane dotychczas, a więc nie uwzględnione w dziele Tarnowskiego, domagało się krytycznego omówienia, jak wogóle nęciło każdego, zajmującego się Krasińskim, a cóż dopiero Tarnowskiego! W ten sposób powstało bardzo pięknie napisane studyum nad nowo odkrytemi utworami Krasińskiego, studyum, którego lwią część zajął rozbiór listów do Reeve'a. O kore-

---

[1]) *Przegląd polski,* 1905, styczeń.

spondencyi tej, niesłychanie ważnej dla dokładnej znajomości poety, tak pisze Tarnowski: »Pochodzi ona z tych lat, w których pod działaniem wielkiego narodowego nieszczęścia i wielkiej osobistej boleści, z duszy i umysłu młodzieniaszka wykształca się dusza męża, geniusz myśliciela i poety. Jeszcze to chaos, w którym wirują i fermentują pierwiastki wielkości i resztki dzieciństwa. Raz jedne, drugi raz drugie znajdą się na wierzchu; czasem ukażą się obok stebie, czasem zmieszane z sobą tak, że ich oddzielić nie można. Ale widzi się zarazem, jak w tym chemicznym procesie pierwiastki niższe, pośledniejsze, opadają na spód coraz bardziej, a wyższe i szlachetniejsze utrzymują się w górze, łączą się z sobą, krystalizują się wreszcie w pomysł *Irydyona* i w wykonanie *Nieboskiej Komedyi.* Widzi się całe rozdarcie duszy, cały ból patryotyczny, i wieloraki rozmaity ból osobisty, i widzi się zarazem, jak nad tym bólem bierze górę, panuje charakter, sumienie, jak się zrzeka wszystkiego dla siebie, zachowuje tylko wierność, poświęcenie dla ojczyzny do ostatniej chwili życia«. *Myśli pobożne*, napisane dla pani Bobrowej, a będące epilogiem miłosnego dramatu, są, zdaniem Tarnowskiego, pobożne naprawdę, a »wyszły z głowy, która wiele pytała i dumała, wiele wnikała w cierpienia powszechne, nieodłączne od ludzkiej natury«. Jako utwór literacki, należą do najpiękniejszych rzeczy, jakie wyszły z pod pióra Krasińskiego. *Wanda* do nich chyba nie należy, choć, jako jedyna u Krasińskiego próba dramatu scenicznego, jest zajmująca. Ale daleko jej do *Irydyona.*

Dnia 14 września 1903 r. zebrał się Sejm we Lwowie. Między różnemi sprawami, które omawiano w ciągu tej sesyi, był wniosek Rusinów, domagający się otwarcia nowego gimnazyum ruskiego w Stanisławowie, kwestya, poruszona już na poprzedniej sesyi. Jak wtedy, tak i tym razem, sprawę odroczono, ile że były inne pilniejsze nierównie. Rusini, przez usta posła Korola, zarzucili posłom polskim, że w Galicyi, dzięki hegemonii polskiej, Rusinom dzieje się krzywda, i t. p. Należało odpowiedzieć na te oszczerstwa.

Odpowiedział Tarnowski, a mowa jego, w której w niwecz obrócił wszystkie rzekome krzywdy Rusinów, należała do najwspanialszych, jakie kiedykolwiek obiły się o ściany sali sejmowej.

— Krzywdy?... mówił między innemi. O jakich krzywdach mówicie? Czy o tych dawnych, z czasów niepodległej Rzeczypospolitej, czy o późniejszych? Były kiedyś, dawno, prawda, ale wtedy nie odnosiły się one do Rusina, jako takiego. To był stan podwładnego, nie gorszy u nas w Polsce, niż gdzieindziej. Ale co było nadużycia, co było złego, co było winy, to przez nas samych było, w później-

szych czasach przynajmniej, najsurowiej osądzone. A jeżeliśmy za owych czasów Chmielnickiego zrobili Rusi krzywdę, to on nam ją oddał z procentem, tylko samemu sobie większą. I kiedy patrzę wstecz na wspólne dzieje, to widzę, że Ruś nieraz poczynała coś robić z nienawiści do Lachów, ale sama na tem dobrze nie wychodziła; że krzywdy, jakie sama sobie zadawała, są cięższe, niż te, o które się na nas skarży, bo nienawiść Lachów począł Chmielnicki, zadał im ranę głęboką, to prawda. Ale kiedy to zrobił, sam nie wiedział, co ma począć, chwiał się, zataczał w prawo, w lewo, ku południu i ku północy, aż wreszcie runął pod nogi, które go zdeptały. Czy tem co dobrego Rusi zrobił? Nie wiem. Humańszczyzna? Prawda, wieszała na jednej gałęzi Lacha, psa i Żyda! Co z tego Rusi przyszło dobrego, nie wiem. A teraz, w tych czasach porozbiorowych, tu, w Galicyi? Szukamy tych krzywd! Krzywdą jest co? że w niektórych okręgach lud ruski wybiera Polaków na posłów, że liczba gimnazyów ruskich, prawda, jest mniejszą, aniżeli polskich? Ale szkół wiejskich z językiem wykładowym ruskim jest więcej, aniżeli szkół polskich. Jaką krzywdę, jaką zniewagę zadaliśmy ruskiemu narodowi? Tę jedną chyba, że jesteśmy i że tu jesteśmy. Że nas Pan Bóg stworzył! To nie nasza wina i poradzić na to nie możemy. Przytaczał ktoś z Panów jakieś słowa niby polskie: »nie można Rusinów wytopić ani wywieszać«. Żaden Polak nigdy tak nie myślał i nigdy nie mówił. Ale i siebie my nie możemy wytopić albo wywieszać. Nie możemy też przez grzeczność iść w świat, nie możemy i nie chcemy. Nie możemy odrobić tego, co zrobiły wieki. Moglibyśmy tylko poprawić to, co zrobiły lata. Ale na to potrzebaby, żeby się mniej mówiło o Lachach za San, gdyby się mniej groziło czarnemi chmurami i gromami, które z nich mają spaść. Słyszymy zarzuty, że w słowach albo na papierze mówimy o braterstwie albo o zgodzie, ale zadajemy wam krzywdy w czynie. O braterstwie i zgodzie? Prawda, był taki czas, żeśmy się rodzili i rośli i umierali w tem przekonaniu, że Rusin to jest człowiek, który mówi innym językiem, jak ja, że słucha mszy w innym obrządku, jak ja, ale myśli tak, jak ja, czuje tak, jak ja, kocha to, co ja, nienawidzi tego, co ja, że we wszystkiem i zawsze możemy się rozumieć, a choćbym się z nim czasem pokłócił, to mogę się z nim zawsze pogodzić i pokochać. Tę iluzyę odebraliście nam Panowie stanowczo i na długo. Daj Boże, żeby jakie prawnuki mogły ją odzyskać, a nie stracić jej, tak jak my. Krzywdy! Dawne, o ile były, odpłacono z nadwyżką, pomszczono. Nowych nie było i niema. A dawno czy niedawno, przed wiekami czy przed laty, więcej krzywd zadała sobie Ruś sama, aniżeli Polska, czy Polacy

jej, i więcej szkodziła sobie, niż nam. Nam zadawała rany ciężkie, sobie śmiertelne. A w czasach bliższych, kto z nas więcej Rusi szkodził, Rusini sami, czy my? Czy to my zmietliśmy z ziemi tam w Chełmszczyźnie wiarę prawdziwą, z tym obrządkiem, który jest waszą narodową cechą? Kto to zrobił? Czy to Lachy zadały Rusi tę szkodę największą ze wszystkich możliwych i niepowetowaną? Czy to na nasze sumienie spada zbawienie tych tysięcy dusz oderwanych od wiary i kościoła? Czy to na nasze głowy spada krew i łzy tych, co się oderwać nie dali i znosili męczeństwo, wygnanie, zesłania Bóg wie gdzie? Nie! to z pomiędzy was wyszli ci, którzy zaprzedali ruskie dusze na zatratę, ruskie ciała na męczeństwo! Największe krzywdy zadali Rusi — Rusini; a w większej mierze zadali je dlatego, że w nienawiści do Lacha żyli i działali.

W tak wymowny sposób zaprotestowawszy przeciwko wszelkim oszczerstwom Rusinów, zadawszy im kłam stanowczy, w zakończeniu swej porywającej mowy Tarnowski przypomniał słowa Szewczenki: »Czy szcze je prawda na tim switi?«, a przepraszając zgromadzenie, że się sam wzruszył »tym przedmiotem najboleśniejszym, jaki tu w naszym kraju być może«, w tych słowach dał ostateczną odprawę przedstawicielom Rusinów, którzy nie cofnęli się nawet przed groźbami, mianowicie przed groźbą złożenia mandatów.

— Dla prawdy, dla honoru swojego narodu i swojego Sejmu muszę powiedzieć, że cokolwiek się stanie, to słusznego, dostatecznego powodu do kroków jakichś stanowczych (niby rozpaczliwych, a bez rozpaczy, bez powodu i prawa do nich) nie było, i myśmy go nie dali. Panowie odwołujecie się do sądu Europy i historyi: Europa niejedno dała sobie już wyperswadować, a historya bywa nieraz zmylona. My odwołujemy się do forum prawdy i przed niem odpowiedzialność przyjmujemy [1]).

Mowa Tarnowskiego, gorąco oklaskiwana przez posłów polskich, a w głębokiem milczeniu wysłuchana przez posłów ruskich, stała się kulminacyjnym punktem debaty o Rusinach, o wrażeniu zaś, jakie uczyniła w Izbie, najlepsze pojęcie daje korespondent lwowski *Czasu*, który pod datą d. 29 października przesłał dziennikowi krakowskiemu następującą relacyę: »Muszę przerwać moje wrażenia o jeneralnej debacie budżetowej, bo przytłoczyło je silniejsze: mowa Stanisława Tarnowskiego. Nie chcę przesądzać wagi dzisiejszej chwili. Wiadomo, ile w postanowieniu Rusinów złożenia mandatów jest prawdy, a ile

[1]) Stenograficzne sprawozdania Sejmu krajowego z I sesyi VIII peryodu, 1902—1903. II. pod. 34—49. str. 2613—2614.

sztucznego efektu, obliczonego na wyborców. Mimo to jednak nikt nie wątpi, że dzień dzisiejszy nie minie bez skutków. Szczęśliwie to dla nas, że znalazł się wśród posłów polskich człowiek, który stanął na wysokości najdonioślejszej dla nas kwestyi, kwestyi stosunków polsko-ruskich, który jej sprostał i który w sieć tysiącznych uczuć, które nami wstrząsają, wzniósł pierwiastki najszlachetniejsze. Trudno opisać wrażenie, jakie wywołała mowa St. Tarnowskiego. Było niezwykłe. Nie było w Izbie Polaka, którýby nie schylił głowy przed tą gorącą miłością sprawy publicznej, uderzającą z każdego słowa starego mistrza. Ale mowa oddziałała i na Rusinów«.

Po śmierci Leona XIII, gdy na Stolicę Św. Piotra wstąpił Pius X, wyruszyło mnóstwo pielgrzymek do Rzymu, żeby nowemu Papieżowi złożyć swą »obedyencyę«. Obok innych wyruszyła także i pielgrzymka polska. Wśród pielgrzymów, których liczba wynosiła blisko ośmset osób z najrozmaitszych sfer przy wielkim udziale arystokracyi, znalazł się i Tarnowski. Pielgrzymka, pod wodzą ośmiu biskupów, wyruszyła z Krakowa d. 25 kwietnia 1904 r. a stanęła przed obliczem Ojca Świętego, na osobnej audyencyi, o godz. 4-tej popołudniu d. 5 maja. Oto, jak tę audyencyę opisał w *Przeglądzie polskim* Tarnowski, w barwnym artykule p. t. *Pierwsza pielgrzymka polska u Piusa X:* »W bardzo długiej galeryi kart geograficznych pielgrzymi ustawieni byli pod ścianami w dwurzędowych szeregach. W połowie galeryi ustawiony tron: naprzeciw niego biskupi, Marszałek krajowy, panie. Po niedługiem czekaniu ten zwykły szmer i ruch, który zapowiada zbliżanie się Papieża: szwajcarzy, gwardziści, kameryerowie, w końcu Pius X. W białej sutannie, bez żadnego innego stroju, posuwa się ruchem krzepkim, ale powolnym: staje za każdym krokiem, nad każdą głową robi znak krzyża, każdy chyli się do pocałowania ręki. Jak wygląda? Niektórzy mówią, że przypomina Piusa IX: nam wydało się, że raczej niższy od niego, cieńszy, lżejszy i prędszy w ruchach. Nie ma tych wielkich czarnych oczu, które błyszczały w głowie Piusa IX, ani wydatnego, zgarbionego nosa, jak tamten. Rysy są raczej drobne; twarz na wiek raczej młoda, wskazywałaby co najwięcej lat 60, a jest ich 68. Charakter całej postaci to powiedzielibyśmy spokój, pogoda, dobroć. Oczy — nie wiem doprawdy jakiego koloru — są pełne wyrazu, patrzą uważnie, głęboko i łaskawie, prawie rzewnie. Myśli się o Leonie XIII, o tem wrażeniu, jakie on robił swą powierzchownością, a które Sienkiewicz oddał jak nikt: Ciało wydawało się widmem, złudzeniem, a duch rzeczywistością, czemś widomem i dotykalnem. Tego wyjątkowego i poetycznego charakteru postać Piusa IX nie ma. Pochód

przez galeryę trwał długo. Po nim nawrócił Papież i zasiadł na tronie. Nadeszła najważniejsza chwila, przeczytania naszego adresu, i odpowiedzi«. Adres odczytał Marszałek krajowy, hr. Stanisław Badeni, poczem nastąpiła odpowiedź Papieża, która na zgromadzonych uczyniła jaknajlepsze wrażenie. Po błogosławieństwie cały tłum powstał i zaczął śpiewać chórem: »Wesoły nam dziś dzień«. Przy tym śpiewie Pius X oddalił się do swoich apartamentów. Oprócz tej ogólnej audyencyi, Ojciec Święty udzielił kilku posłuchań prywatnych. Między innemi przyjął na osobnej audyencyi Stanisława Tarnowskiego [1]). W czasie rozmowy z nim, Pius X stawiał rozliczne pytania, głównie dotyczące narodu polskiego, wrażenie zaś, jakiego w ciągu tej audyencyi doznał Tarnowski, pozwala się domyślać jego relacya z pielgrzymki, gdzie o osobie Piusa X tak pisze: »Patrząc na niego tylko przez kilka minut, cóż dopiero mówiąc z nim, doznaje się wrażenia odmiennego (niż przy zetknięciu się z Leonem XIII), ale bynajmniej nie niższego. Wzruszenie udziela się z tych oczu o głębokim wyrazie, z głosu, który drga uczuciem, ze słów, spokojnych a łaskawych i ważnych, i wzruszenie obejmuje człowieka. Czuje się on przed duchem od siebie wyższym, mądrym i świętym, a ojcowskim, miłościwym, opatrznym. Artysta mógłby powiedzieć, że Leon XIII był więcej poetyczny i malowniczy, ale katolik czuje się owładniętym przez Piusa X niemniej jak przez tamtego«. Jaka była treść tej rozmowy Tarnowskiego z Piusem X, na to niejakie światło zdaje się rzucać zakończenie artykułu w *Przeglądzie polskim*, gdzie Tarnowski podaje następujący szczegół: W rozmowie z jednym z uczestników pielgrzymki powiedział Pius X: »Prawda, jesteście prześladowani, jesteście nieszczęśliwi, ale w tem szczęśliwsi od wielu, żeście od wielu wierniejsi«. Znając sposób pisania Tarnowskiego, który w podobnych wypadkach nigdy nie mówi o sobie, można mieć prawie pewność, że ten »jeden z uczestników pielgrzymki«, to on sam.

Tymczasem wybuchła wojna rosyjska, w całej Rosyi zaczęły się rozruchy, aż w końcu rozszerzyły się i na Królestwa. Zaczęła się epoka strajków, bomb, napadów, a wszystko to miało być wstępem do rewolucyi w Rosyi, do powstania w Polsce. Z tego powodu, dla omówienia coraz bardziej niepokojącej sytuacyi w Kongresówce, krakowski Klub Konserwatywny urządził d. 24 lutego 1904 r. walne posiedzenie, na którem najwybitniejsi politycy miejscowi, w szeregu przemówień, starali się jeżeli nie zaradzić złemu, bo to nie było w ich

[1]) *Czas* z 6 maja 1904 (Przedruk relacyi *Gazety Narodowej).*

mocy, to przynajmniej wypowiedzieć swe poglądy na doniosły moment dziejowy, zastanawiając się nad kwestyą, co należało czynić w danej chwili, jakiem wobec nadciągającej burzy rosyjskiej powinno być zachowanie się ludności polskiej w Królestwie? Z pomiędzy różnych przemówień, niekiedy świetnych, wyróżniała się wielka mowa polityczna Tarnowskiego. Co czynić? Na to pytanie odpowiadając, Tarnowski tak mówił między innemi:

— Ktoby spadał z księżyca, albo gdzieś na księżycu o tych wypadkach i stosunkach słyszał, znalazłby odrazu odpowiedź gotową i najprostszą: skorzystać z osłabienia Rosyi, zrobić powstanie i od niej się oderwać. Tylko ta odpowiedź, logiczna w teoryi, w praktyce doznałaby zaprzeczenia od jednego względu: od stosunku sił, od możliwości skutku. My, którzy nie jesteśmy na księżycu, tylko w Polsce, i którzy postępowanie polityczne opieramy nie na fantazyi, tylko na rzeczywistości, na pytanie: jak i co Polska może zrobić, żeby sobie pomódz, musimy odpowiedzieć, że w tej chwili nie może zrobić nic, żeby sobie pomódz, ale może zrobić niejedno, żeby sobie zaszkodzić.

Do tego zaś, żebyśmy sobie zaszkodzili jakim krokiem lekkomyślnym, nie brakło okoliczności sprzyjających, ba, pchających nas w tym kierunku. Ze wszystkich wpływów, które wytwarzały to niebezpieczeństwo, wcale nie ostatnim był, zdaniem Tarnowskiego, wpływ pruski.

— Wierny przyjaciel i »uczciwy faktor« Rosyi zaciera ręce na widok jej niepowodzeń, widzi ją już w zależności od siebie na długie lata, a patrzy, podgląda, czy Królestwo nie dostarczy mu jakiej sposobności, jakiego pretekstu, do ofiarowania usług, pomocy, wyręczycielstwa w »burzliwej i buntowniczej Polsce«. Pruscy agenci, odezwy przez nich drukowane i rozrzucane, to rzeczy wielokrotnie stwierdzone w Warszawie i w innych ogniskach bezrobocia w Łodzi, w Radomiu, w Kaliszu, na granicy Szląska.

Ten ustęp mowy Tarnowskiego, wyraźnie wskazujący na »pruskie podżegania«, na »pruskie wsparcia«, podtrzymujące ferment strejkowy w Królestwie, odbił się głośnem echem w prasie niemieckiej, mianowicie w *Neue freie Presse*, a nawet wywołał inspirowany protest ze strony półurzędowej pruskiej *Norddeutsche Allgemeine Zeitung*,[1]) protest pełen źle ukrytego gniewu, a jawnego zaniepokoje-

---

[1]) Wydawnictwo Klubu Konserwatywnego. Zeszyt XV. *Z doby strajków w Królestwie polskiem.*

Ciętą odprawę gadzinowemu organowi ks. Bülowa z powodu jego napaści na Tarnowskiego dał w *Czasie* w artykule wstępnym Tadeusz Smarzewski, który między innemi tak pisał:

nia, że »interpretacya galicyjska polityki niemieckiej« znajdzie wiarę w Petersburgu...

Dnia 14 maja 1905 r. upływało sto lat od śmierci Schillera. Nietylko Niemcy, ale cały świat cywilizowany obchodził tę rocznicę, ponieważ Schiller tyle przynajmniej, co niemiecki, jest i ogólno ludzki. I w Krakowie, z inicyatywy młodzieży akademickiej, mianowicie niemieckiego kółka filologicznego studentów Wszechnicy Jagiellońskiej, odbył się tego dnia, w pięknej aulii *Collegii novi*, uroczysty obchód na cześć Schillera. W obchodzie wzięło udział, prócz senatu akademickiego, liczne grono obywatelstwa, artyści, uczeni, literaci — z Sienkiewiczem na czele — naczelnicy władz, prezydent miasta i w. i. Poranek zagaił przewodniczący kółka, Bruno Kozłowski, który w wymownych słowach podniósł pobudki, któremi kierowała się młodzież polska, urządzając tę uroczystość, i wyraził cześć, jaką Schillera i jego działalność cywilizacyjną otacza naród polski. Z kolei przemawiał jeszcze prof. Creizenach, podnosząc humanitarne dążenia Schillera, a akademik, Antoni Bałicki odczytał piękny wiersz Edmunda Biedera, oraz bardzo dobry przekład własny *Ideałów* Schillera.

Uproszony przez młodzież, uświetnił obchód ten dłuższem przemówieniem także i Tarnowski. Pełen podziwu i czci dla szla-

---

Hr. Tarnowski, mówiąc o tendencyach i czynach polityki pruskiej, nie potrzebował się obawiać wrażenia, jakie zrobią na Europie przytoczone przez niego fakty. Trzebaby wielkiego kwietyzmu europejskiej polityki, aby wierzyła w prostoduszność tych, na których usługach zostaje niemiecki organ. Wzruszającym jest też jego zarzut, skierowany przeciwko polskim politykom — o braku skrupułów w doborze środków. Z tej strony Europa nie poznała jeszcze Prus, jeżeli więc co z krakowskiego epizodu wywoła u niej wrażenie, to z pewnością tylko ten wstręt pruskiego rządu do środków politycznych »dobieranych bez skrupułu. Gniew jest złym doradcą i mąci trzeźwość i logikę myślenia. *Nordd. Allg. Ztg* musi stwierdzić, że Polacy potępiają wszelkie mrzonki o powstaniu i że czynią to z całą stanowczą i szczerością swoich przekonań politycznych. Fakty są zanadto oczywiste, aby im módz zaprzeczyć. Nawet jednak w takim stanie rzeczy nie może sobie *Nordd. Allg. Ztg* na samym końcu swoich wywodów oszczędzić uwagi, podyktowanej z pewnością wrodzoną sobie wybrednością w doborze środków politycznych, że Polacy wyrzekają się powstania tylko »w obecnej chwili« i tylko dla tego, że »zaangażowanie się Rosyi na dalekim Wschodzie nie zmniejszyło jeszcze tak bardzo jej stanowiska w Europie, jak tego tu i owdzie się spodziewają«. Szlachetny zamiar Prus uczynienia się rządowi rosyjskiemu niezbędnemi i nadal »ze względu na Polaków«, przebija się z tego przyjacielskiego zwrócenia uwagi sąsiada na »niepoprawnych« zanadto wyraźnie, aby zamiary pruskie potrzebowały jeszcze jakiejś dalszej »interpretacyi«. Można też przypuszczać, że wynurzenia niemieckiego organu nie będą uznane w Petersburgu za tak prostoduszne, jak brzmią i jak się pragną na zewnątrz wydać.

chetnego geniuszu poety, podniósł jego zasługi, jako dramaturga, ale największy nacisk położył na ten szlachetny pierwiastek w poezyi Schillera, który sprawia, że twórca *Wilhelma Tella* ma prawo obywatelstwa i w naszych sercach. Niejeden też z pośród nas, mówił Tarnowski, może, jak Wallenstein o swoim młodym przyjacielu, powiedzieć o Schillerze: *Er steht neben mir, wie meine Jugend.* Dlatego należy mu się hołd i od naszego skołatanego społeczeństwa.

— Na dalekiej, obcej mu ziemi, w mowie, którejby nie zrozumiał, niech także zabrzmi jego chwała; niech się odezwie ta cześć, ta szczera miłość, jaką dla niego tchnie wszystko, co zdolne rozumieć i uznać wzniosłość w duszy, wielkość w umyśle, piękność w sztuce. Kiedy schylamy głowę przed Schillerem i w setną rocznicę śmierci świadczymy o naszej dla niego czci, łączymy się w tem uczuciu z różnymi narodami ziemi, z takimi nawet, od których dzieli nas zbyt wiele; w górze, po nad smutkami i walkami ziemskiego życia spotykać się mogą dobre uczucia, dobre pierwiastki natury ludzkiej, we wspólnem podziwieniu tego, co szlachetne i wzniosłe, tego, co nas wszystkich uszlachetniać i podnosić jest przeznaczone i zdolne. To połączenie nie jest nadzieją, nie jest nawet zadatkiem rzeczywistej zgody i harmonii między narodami i sprawami, ale jest przynajmniej wyobrażeniem, symbolem, tego przeznaczenia ludzkiego rodu, które Schiller określa, jako »spłynięcie w jeden związek prawdy, w jeden prąd światła«.

Mówiąc o Schillerze, jako poecie, Tarnowski uczynił między innemi wymowną aluzyę do poezyi dzisiejszej, do »ideałów« naszych modernistów, którzy, jeżeli błądzą po manowcach, to może i dlatego, że zamało czytają Schillera — a raczej nie czytają go wcale — niedość się przejmują jego wzniosłemi ideałami, poetyckiemi zarówno, jak humanitarnemi i życiowemi.

— Sto lat, wiek cały, od jego śmierci, a ten nowy poczynający się może smutno powtarzać to, co on skończonemu wróżył na jego wstępie. *Das Jahrhundert ist im Sturm geschieden und das neue öffnet sich mit Mord...* Wszystko podobnie: walą się z trzaskiem dawne formy, na morzach grzmią odgłosy wojny, floty obejmują świat chciwie w polipowe ramiona, wszędzie dotrą, wszystko odkryją, oprócz wysp szczęśliwych. Dziś, jak przed stu laty, daremnie na mapach wszystkich krajów szuka się kraju błogiego: »Ludzie się zmienili, jedni po drugich przechodzili przez scenę, ale scena została taką samą«. Gdyby Schiller wrócił na świat, powiedziałby znowu:

Freiheit lebt nur in dem Reich der Träume. A gdyby spojrzał na te wyższe regiony, w których rodzi się natchnienie i piękność, czy dodałby: *Das Schöne blüht im Gesang?* On wołał na poetów, na artystów: *Schwingt euch zum Strahlensitz der höchsten Schöne — Erhebet euch mit kühnem Flügel hoch über euren Zeitenlauf*[1]) — ale jak był słuchany? Miło jest może brać do siebie słowa Schillera: *Was schöne Seelen schön empfunden, muss trefflich und vollkommen sein.* Ale łatwo jest łudzić się nieomylnością swego geniuszu. Nietylko zaś *Schöpfungen aus Schöpfungen*, ale powstawać ma *aus Harmonien Harmonie. In reicher Mannigfaltigkeit* wznosić się ma geniusz *zu immer höheren Höhen*, ale *frei durch Vernunft* jest *stark durch Gesetze.* To, co zrazu jako piękność tylko czujemy, to ma nas oświecać i świecić jako prawda, a co świat w niezmierzonych przestrzeniach obejmuje i zawiera, to w śpiewie albo na scenie staje się *der Ordnung leicht gefasstes Glied.* Dobrze on mówi, że święty czar poezyi służy mądremu planowi tego świata i wieźć ma do oceanu harmonii. Dobrze mówi, że *der Menschheit Würde ist in eure Hand gegeben* i przez was może się podnosić, ale przestrzega także, że *sie sinkt mit euch.* Przychodzą czasem i na literaturę takie chwile, że *es lösen sich alle Bande,* a gdzie *ergötzt sich die Willkür*, tam w ślad za nią mogą się szerzyć *die Räume der Verwesung.* Schiller, jak jego *Meister* w *Lied von der Glocke*, rozbijał formy, z których miał wyjść nowy dzwon, *mit weiser Hand;* sztukę wyzwalał z więzów, ale żadnych praw sumienia ni rozumu, żadnych związków moralnych ni społecznych nie zrywał, nie obrażał. Wzniosły był, ale był, raczej dla tego, że był, zdrowy, prawy, czysty. Rzecz godna uwagi, gieniusz jest takim zawsze. Grek miał swoje pojęcia i prawa moralne, ale jakie miał, takie szanuje, takie uznaje i Homer i Eschyl i Sofokles. Poeci chrześciańscy mogli nieraz błądzić w życiu, a śmiałą ręką kreślili wielorakie zło, jakie w życiu jest. Ale żaden z wielkich poetów nie wystawia, nie udaje złego za dobre, ani za obojętne. U Szekspira nie ma moralnego fałszu, nie ma paradoksu ani sofizmatu. Göthe, Schiller nie mają chrześciańskiej wiary, ale sumienie chrześciańskie godzi się z ich pojęciem dobrego i złego, a chrześciańskiego uczucia, chrześciańskiej tradycyi mieli oba więcej może, niż sami wiedzieli. Wielka poezya jest zawsze moralnie zdrowa; nie obniża, nie psuje, ale podnosi *der Menschheit Würde.*

Mniej więcej w tym samym czasie, bo na wiosnę r. 1905, ukazał się tom VI *Historyi literatury polskiej* Tarnowskiego, nie cały

[1]) *Die Künstler.*

wprawdzie, ba tylko jego część pierwsza, obejmująca okres od roku 1850 do 1863.[1]) W przedmowie tłomaczył się Tarnowski, dlaczego ten ostatni tom wychodzi dopiero w pięć lat po tomach poprzednich. »Stawały mu na przeszkodzie różne inne zajęcia; a prócz tego sam nosił w sobie trudności, wymagające dużo czasu, namysłu i pracy. Tamte tomy składały się przez wszystkie trzydzieści lat mojego profesorskiego zawodu, były treścią moich wykładów, potrzebowały tylko uzupełnień, uporządkowania, staranniejszej formy, żeby stać się książką i pójść do druku«. Inaczej miała się rzecz z drugą połową XIX wieku, która za świeża, zanadto współczesna na przedmiot do uniwersyteckich wykładów, wymagała nietylko ponownego odczytania wielu rzeczy, ale musiała być w znacznych częściach pisana nanowo.

Bardzo znamiennym był ustęp przedmowy, gdzie Tarnowski mówi o głosach krytyki, wywołanych jego dziełem. »Łaskawe przyjęcie pierwszych tomów przeszło moje (choćby najśmielsze) nadzieje, za co pozwalam sobie wyrazić szczerą i gorącą wdzięczność tym, którzy je czytali, i tym, którzy je sądzili. Sądy te były, ogółem wziąwszy, bardzo zaszczytne dla książki i dla jej autora. Uwagi i zarzuty tchnęły (z małymi wyjątkami) życzliwością niezmiernie ujmującą«. Mimo to, w tym szóstym tomie nie wszędzie stosował się do uwag i wskazówek krytyki, raz dlatego, że pragnął się trzymać raz przyjętego układu czy porządku materyi, a powtóre, że czasami zarzuty nie trafiały mu do przekonania. Tak n. p. zarzucano mu kilkakrotnie podział na okresy i wynikające stąd mówienie o pisarzach i dziełach sposobem przerywanym. Bardzo ciekawe i przekonywające są argumenty, któremi Tarnowski zbija wywody tych krytyków, którzy mu, jak Chmielowski, czynili pomienione zarzuty. Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że zarzuty były gołosłowne, a słuszność ma Tarnowski, kiedy w następujący sposób rozstrzyga daną kwestyę:

Podział *Literatury polskiej* na wieki ma być chronologicznie tylko uzasadnionym, ale mylnym co do jej pierwiastków i cech, bo te nie kończą i nie zmieniają się równo z wiekiem, ale przeciągają się i wkraczają w wiek następny. Z pewnością, tak jest; i nie twierdziłem nigdy, jakoby rok 1500 albo 1700 był słupem granicznym, poza którym wchodzi się w jakąś literaturę odmienną, znacznie różną od poprzedniej. Ale myślałem, i myślę dotąd, że nie ten lub ów rok, ale koniec jednego wieku a początek drugiego, zastawał Polskę znacznie

[1]) Zanim się ukazała ta część I tomu 6-go *Historyi literatury polskiej* Tarnowskiego, wyczerpało się całe wydanie pierwszych 5-ciu tomów i wyszła w r. 1903 druga ich edycya, przerobiona i uzupełniona.

zmienioną, zmienioną w swoim stanie wewnętrznym i w swoich stosunkach postronnych. Tak było, kiedy wiek XV przechodził w XVI, ten w XVII, ten znowu w XVIII, a ośmnasty w ostatni. To jest fakt, który się zaprzeczyć nie da; i nie da się zaprzeczyć, że ta zmiana w społeczeństwie i państwie powodowała zmiany w oświacie i literaturze; zmiany, które się nie objawiały natychmiast, w jednym roku lub nawet w latach kilku, ale które po krótkim przeciągu czasu pokazują się zupełnie widocznie. Za Zygmunta Starego, już w pierwszej połowie jego panowania, literatura wygląda inaczej, jak za jego ojca i brata: za Augusta II inaczej jak za Sobieskiego, za Zygmunta III inaczej jak za Batorego, a dopieroż w początkach wieku XIX bardzo inaczej, jak za Stanisława Augusta. Nie mam się za nieomylnego, nie myślę, żebym musiał mieć racyę, ale mam przekonanie, że podział literatury polskiej na wieki jest nietylko chronologicznie usprawiedliwiony, ale że jest ze wszystkich najbardziej logiczny, najzgodniejszy z wewnętrzną treścią tej literatury, i na niej więcej, niż na jej pozorach i formach oparty.

I to także nie mój wymysł, tylko fakt, że około połowy każdego z tych czterech wieków zmienia się coś w stanie tego narodu znacznie, głęboko, a ta zmiana odbija się w jego literaturze. Tak było przy śmierci Zygmunta Starego, tak przy śmierci Władysława IV, tak z przyjściem Stanisława Augusta, tak w wieku XIX ze śmiercią trzech wielkich poetów, i z historycznemi wypadkami, które wywarły wpływ na literaturę. Dlatego zachowałem podział na wieki; dlatego i połowy wieków uważam za chwile zwrotne w literaturze...

Ale z tego chronologicznego układu materyi wynikła konieczność mówienia o pisarzach w następstwie czasu, zatem w różnych rozdziałach, z przerwami. Spotkał mnie zarzut, bardzo życzliwy, ale stanowczy, że taki pisarz pokrajany na kawałki przestaje być żywą i całkowitą postacią dla czytelnika, który (jeżeli chce i ma cierpliwość) musi sobie sam tę całość składać, szukając i zbierając jej części rozrzucone. Znowu nie upieram się, mogę się mylić, ale tłomaczę swój sposób widzenia rzeczy. Zdawało mi się, nawet zdaje mi się zawsze, że taki układ materyi będzie i więcej nauczającym, i więcej zajmującym. Czytelnik, kiedy widzi, co w pewnym przeciągu lat różni ludzie pisali, nabierze żywszego i dokładniejszego wyobrażenia o stanie umysłów i oświaty w tym czasie, niż gdyby mu mówić o każdym pisarzu z osobna w całym ciągu jego życia, a potem już tego pisarza porzucić. Byłaby to galerya portretów, nie byłby obraz. Czy zaś ta galerya, te następujące po sobie wizerunki, nie byłyby trochę jednostajne, trochę nudne? To zaś, żeby postać każdego pisarza w swojej całości wystąpiła i wbiła się w pamięć czytelnika, starałem się osiągnąć tym sposobem, że kiedy on schodził z pola, kiedy umierał, podawałem jego charakterystykę, w której mieściłem główne rysy jego talentu i działalności, jak je widziałem i rozumiałem.

Zdaje się, że powyższe argumenty nietylko powinny przekonać krytyków Tarnowskiego, ale posłużyć za podstawę dla jego następców, którzy by w przyszłości zamierzyli pisać Historyę literatury polskiej. Na razie podziela to zapatrywanie Brückner...

Z recenzyi, które się ukazały o tym szóstym tomie dzieła Tarnowskiego, na wymienienie zasługują dwie: prof. Józefa Kallenbacha i Zygmunta Sarneckiego. Autor *Dworaków niedoli* często stoi na innem stanowisku, aniżeli Tarnowski, na wiele kwestyi, a zwłasz-

cza na wiele osobistości naszej literatury pomiędzy rokiem 1850 a 1863, ma zgoła odmienne zapatrywanie, na którego poparcie nieraz przytacza bardzo przekonywające dowody (albowiem w wielu razach pozostawał w bliskich osobistych stosunkach z autorami, za którymi się ujmuje, gdy ich Tarnowski lekko zbywa albo pomija zupełnie), ale na ogół oddaje Tarnowskiemu, co mu się słusznie należy, i bardzo wysoko stawia jego dzieło, choć mu w szczegółach ma niejedno do zarzucenia. Oto naprzykład, w jaki sposób polemizuje z Tarnowskim, który dwanaście lat od roku 1850 do 1863 uważa za okres przejściowy pomiędzy epoką romantyczną a po niej następującą, zwaną przez pewną część krytyków okresem pozytywizmu, przez innych zaś, równie nieściśle, okresem realizmu.

O ile nam się zdaje, tak pozytywizm jak realizm nie wycisnęły na nim wyłącznego piętna. Pomimo ostentacyjnie głoszonego przez pozytywistów programu, ścierały się za jego panowania i walczyły z sobą jak dzisiaj najrozliczniejsze kierunki bardzo często nic z filozoficznym pozytywizmem nie mające wspólnego. Według naszego także mniemania omówiony świeżo przez Tarnowskiego dwunastoletni peryod piśmiennictwa polskiego nie nosi na sobie znamion przejściowości. Należy on bez zaprzeczenia do czasów romantycznych, w których jednak, pomimo że Krasiński żyje i tworzy, wielki romantyzm przekwita, równocześnie zaś pod jego sztandarem, kroczy wcale liczna falanga epigonów, powołująca się na ów sztandar i wierna mu w dalszym ciągu nieustannie.

Mówiąc o metodzie, której Tarnowski trzymał się przy układaniu »kapitalnego swego dzieła«, Sarnecki czyni podobne zastrzeżenia, z jakiemi już występowali inni krytycy, gdy oceniali tomy poprzednie, mianowicie w kwestyi chronologicznego traktowania przedmiotu (widocznie go nie zupełnie przekonały argumenty w przedmowie), ale mimo to szczerze przyklaskuje dziełu, takiemu, jak jest, ujęty i podbity jego niepospolitemi przymiotami.

Nie chcemy zastanawiać się nad tem, czy system przezeń przyjęty polegający na rozczłonkowaniu oceny często jednolitej twórczej działalności wybitniejszych pisarzy, ułatwia lub utrudnia przeciętnemu czytelnikowi należyte objęcie jej i zrozumienie, ulegamy bowiem bezwiednie urokowi barwnego opowiadania. Można nieraz nie podzielać przekonań Tarnowskiego, można nie zgadzać się na jego zdanie i nie uznawać metody, lecz niepodobna nie przyznać, że czytając tom szósty jego *Historyi literatury polskiej* odnosi się głębsze wrażenie, że wywody, którymi popiera swoje twierdzenie, interesują, że bardzo indywidualne rozumowania, na których opiera swe wyroki, budzą zajęcie, chociaż z właściwą sobie stronnością poświęca pewnym dziełom i autorom zbyt wiele miejsca, pozostawiając go za mało dla innych, a nawet nie wspominając o niektórych wcale. Zdaje się, że te pominięcia wynikają z przekonania, iż autorowie, o których zapomina, nie wywarli żadnego wpływu na literaturę i społeczeństwo.

Przekonanie to jednak bywa niekiedy, zdaniem Sarneckiego, mylnem, tam naprzykład, gdzie chodzi o takich pisarzy, jak Roman Zmorski, Ryszard Berwiński, Cypryan Norwid (tak pod niebiosa wynoszoną przez dzisiejszą najmłodszą generacyę poetów), Adam Pług, Eleonora Ziemięcka i niektórzy inni, z t. z. »cyganeryi warszawskiej«, jak Włodzimierz Wolski, Stanisław Bogusławski. Szkoda, że autor nie nakreślił choć szkicowych sylwetek tych pisarzy.

Książka pod względem moralnym i krytycznym zyskałyby na tem. Geniusze opromieniają piśmiennictwa nieśmiertelnymi blaskami. Lecz poziom niższych talentów zapewnia literaturze tradycyjną trwałą podstawę, przyczynia się do popularyzacji i zrozumienia jej przez masy. Tu przecież koniecznie zaznaczyć należy, że Tarnowski pisze o tem tylko, co sam przeczytał i sumiennie przestudyował, gdy pewni historycy literatury powtarzają sądy, przejęte z drugiej ręki, lub ferują wyroki na podstawie domysłów i uprzedzeń koteryjnych. Kompilacyi w jego dziele nikt się nie dopatrzy. Pozostaje w niem ciągle samym sobą od pierwszej do ostatniej kartki. Można — jak to powiedzieliśmy już wyżej — nie zgadzać się z nim w wielu względach, nie podobna nie uszanować jego pracy oryginalnej, zupełnie osobistej, w miłości zadania poczętej i z niepospolitym talentem dokonanej.[1])

Prof. Kallenbach,[2]) zaznaczywszy na wstępie swego sprawozdania, że »krytyka poważna i opinia publiczna przyjęły z uznaniem i wdzięcznością pięć tomów *Literatury* Tarnowskiego, obejmujących całokształt dziejów myśli polskiej do połowy ubiegłego wieku«, określił część pierwszą tomu szóstego, jako traktującą o latach literackiego pokłosia, w porównaniu z okresem poprzednim, mimo to zajmującą i ważną w całości, ile że są to lata brzemienne w następstwa.

Okres to literatury naszej nazwany »przejściowym«, dotychczas niedostatecznie uznany i oceniony, doczekał się w dziele prof. Tarnowskiego trafnej charakterystyki. Autor pamięta dobrze owe lata, w których sam był młodzieńcem i żywo odczuwał każde żywsze drgnienie polskich uczuć i myśli. Ta okoliczność nadaje osobną wartość i odrębny przysmak tej części jego dzieła, w której autor »nie tworzy prawie nic, lecz przypomina« sobie niezapomniane, niezatarte wrażenia młodości.

St. Tarnowski wzrastał w epoce powszechnego kultu dla twórcy *Pieśni Janusza*; zdawaćby się mogło, że ulegnie sile tego przemożnego uznania i czci dla Pola, ale tak nie jest. W rozdziale, poświęconym Polowi, jest wielkie zrozumienie wszystkich dodatnich stron jego talentu, jest bystra ocena wszystkich poetyckich motywów, zapowiedzianych a nie wyzyskanych w *Senatorskiej zgodzie* lub *Mohorcie*; ale jest też szczegółowo na treści utworów Pola przeprowadzony dowód, ile poecie temu brakowało fantazyi, ognia, siły twórczej, aby stworzyć dzieła trwałe. Analiza estetyczna poezyi Pola jest bezstronna i spokojna, lecz

---

[1]) *Głos Narodu* z d. 13 lutego 1906.

[2]) *Kurjer Warszawski*, z 21 czerwca 1906.

w wyroku swym nieubłagana. Dzisiejsza, zbyt daleko może idąca obojętność ogółu dla Pola jest dowodem, że Tarnowski się nie pomylił.

Po herosach poezyi polskiej wyglądają epigonowie bohaterskiego okresu jak zasłużeni, bliznami okryci szeregowcy, ale szeregowcy tylko. Orlich wzlotów i sokolich wzroków między nimi nie szukać. I dlatego bez winy autora, który nie szczędzi, gdzie może, pochwał i uznania, kartki poświęcone Polowi, Syrokomli i Lenartowiczowi, nie mają tego uroku, co ustępy tomu piątego, w których była mowa o Mickiewiczu, Słowackim i Krasińskim. Bezwiednie, czytelnik gotów jest przenieść winę na autora i posądzić go, że ten szósty tom pisał bez zapału, gorzej niż tamte. Tak nie jest; ani bystrość analityka, ani wdzięk opowiadania nie osłabły. Czasy tylko inne i o entuzyazm dla nich trudno, a na całym tym tomie możnaby dać *motto* z Szymonowicza: »Jakie dzieje, takie pienie!«

Ileż życia wnosi z sobą do tego tomu taki n. p. rozdział o dziesięcioleciu ostatniem Zygmunta Krasińskiego. Jak odrazu z *Powodzi* Pola, niedramatycznych dramatów Syrokomli i skowronkowych pieśni Lenartowicza wznosimy się na szczyty *Resurrecturis* i *Niedokończonego poematu!* Tych kilka stronic o znaczeniu poezyi Krasińskiego stanowi prawdziwą ozdobę książki, a nabiera znaczenia zwłaszcza w dobie dzisiejszej.

Jak ustępy, poświęcone Krasińskiemu, nabierają wyjątkowej siły, ilekroć treść odpowiednia, zapalając Tarnowskiego, umie go wprawić w nastrój właściwy (czego nie zdołały dokazać powieści z tej epoki), podobnie wyróżnia się ustęp o pracach autora *Jadwigi i Jagiełły*.

Charakterystyka Szajnochy jest zwięzła i w tej zwięzłości znakomita; może na kartkach, poświęconych w tomie tym Krasińskiemu i Szajnosze, osiąga autor szczyt doskonałej miary, jak w dziele, obejmującem wieki, mówić o pomnikowych utworach.

Nie wszędzie, zdaniem krytyka, miara ta jest zachowana.

Może za wiele miejsca poświęcono n. p. Koźmianowi lub streszczaniu dzieł Pola, a za mało dowiadujemy się o życiu umysłowem w Polsce w owych latach przełomowych przed i po wojnie krymskiej. Brak nam zwłaszcza jednego, chociażby krótkiego, rozdziału o głównych ogniskach życia duchowego, o Warszawie, Poznaniu, Krakowie, Wilnie i Lwowie, o dziennikarstwie ówczesnem, które powoli wyrabia się na siłę i dźwignię narodowej samowiedzy. Taki końcowy rozdział byłby pozwolił rzucić raz jeszcze okiem na okres cały, w tomie omawianym (1850—63), uzupełnić niejedno, na co nie było miejsca w konstrukcyi poprzednich rozdziałów, i zostawić czytelnika pod ogólnem wrażeniem znaczenia całego okresu, tworzącego przejście i pomost do lat po r. 1863. Na taki rozdział jest jeszcze zawsze czas i miejsce w dziele St. Tarnowskiego.

Dwa ostatnie rozdziały obejmują najważniejsze objawy twórczości polskiej na polu dziejopisarstwa, krytyki literackiej, publicystyki i kaznodziejstwa. Dużo tu ciekawych i ważnych rzeczy. Znowu pod względem ugrupowania przedmiotu wolelibyśmy taki podział, któryby nie oddzielał zbytnio Siemieńskiego od Klaczki, ale pozwalał w blizkiem zestawieniu porównać zasługi i różnice w pojmowaniu krytyki literackiej obu tych pisarzy. Wogóle podział obfitego materjału jest może najsłabszą stroną tego tomu. Przejście od jednego pisarza do drugiego, bez najmniejszego odstępu na tej samej stronicy, bez powol-

nego skierowania myśli ku pokrewnym może lub blizkim stronom talentów omawianych pisarzy — jest nieraz zbyt niespodziane i da się porównać do gwałtownego skrętu powozu na drogach alpejskich.

Oprócz tomu VI *Historyi literatury polskiej* przyniósł z sobą rok 1905 *Uwagi o Panu Tadeuszu.* [1]) Była to, jak objaśniała przedmowa, »rzecz stara«, początkami sięgająca pierwszych wykładów uniwersyteckich Tarnowskiego, a potem w innej formie służąca za treść odczytów w Krakowie i Warszawie. W skróceniu nawet znalazła się w tomie V *Historyi literatury polskiej.* To też, gdy przyszedł list od wydawcy *Arcydzieł obcych i polskich pisarzy* z prośbą o przysłanie rozprawy o *Panu Tadeuszu,* Tarnowski — jak się do tego przyznaje otwarcie w przedmowie — miał chwilę wahania, nie wiedząc, czy warto drukować tę rzecz o *Panu Tadeuszu,* opracowaną przed laty, teraz zwłaszcza, kiedy przybyły całe studya w tej materyi, a nawet osobne dzieło Gostomskiego. »Wahanie było szczere, choć nie długie. Przemogła je uwaga, że prace obszerne trudniej zwykle od mniejszych rozchodzą się między ludźmi, a dobrze jest, żeby objaśnienie *Tadeusza,* wskazanie, choćby nie udowodnienie, jego piękności, rozchodziło się jaknajszerzej. Oprócz tego jest w nim tych piękności tyle, że nie prędko nasze rozbiory zdołają je wyczerpać i należycie ocenić, a każdy z nich może dostrzedz i wskazać coś, co uszło uwagi poprzedników i przez to może się przydać. Należało mi zapewne korzystać w tej rozprawie z prac poprzedników (przedewszystkiem Gostomskiego, Biegeleisena, Witkiewicza), uwzględniać je, tu i owdzie może objawić zdanie odmienne. To wszakże byłoby musiało znacznie rozciągnąć rozmiary tej pracy, a wydawnictwo potrzebowało nie książki, tylko właśnie małej rozprawy«.

Jeżeli chodzi o krytyczną ocenę tych »uwag«, to nie od rzeczy będzie może przytoczyć tu opinię Chmielowskiego, który o tej pracy Tarnowskiego, wygłoszonej w formie odczytów, tak pisał w swoim czasie:

P. Tarnowski staje wobec *Pana Tadeusza* zdumiony, rozrzewniony, i czcią najgłębszą przejęty; przypomina sobie wrażenia, jakich doznają pielgrzymi do Ziemi Świętej, gdy po raz pierwszy ujrzą Jerozolimę; lęka się popełnienia profanacyi, jeśli będzie musiał opuścić wiele rzeczy pięknych, które by ocenić należało, a zrobić tego niepodobna; decyduje się wreszcie złożyć hołd *Tadeuszowi* należny, wypowiedzieć uwielbienie swoje głośno, chociaż wie, że to, co powie, nie będzie godnem przedmiotu uwielbienia. Przedstawiwszy pogląd swój na całość układu *Pana Tadeusza,* który to pogląd, jako wiernie odzwierciedlający

[1]) Zapisać się godzi, choćby nawiasem, że Tarnowski jest szczęśliwym posiadaczem całego rękopisu *Pana Tadeusza.*

pomysł poety musi być za prawdziwy uznany, p. T. nie udowadnia go ścisłą analizą artystycznego rozwinięcia akcyi poematu, lecz z prawdziwie epicką swobodą przechodzi z pieśni do pieśni, z księgi do księgi, i zastanawia się szeroko nad pojedynczemi pięknościami utworu, tu i owdzie tylko zbierając te piękności w grupy i robiąc nad niemi spostrzeżenia porównawcze. Tu p. T. wykazał swój wielki talent wnikania w najdrobniejsze szczegóły utworu sztuki, tu rozwinął swoją znajomość artyzmu w historycznym jego rozwoju i umiał uwielbienie swoje przeszczepić w umysły słuchaczów... Wyliczać wszystkie trafne i piękne uwagi p. T. niepodobna; potrzeba by bowiem iść trop w trop za pochodem jego myśli i wyjaśniać po szczególe wszystkie rozebrane przezeń ustępy poematu, będącego wystawą przepysznych obrazów. Wspomnieć więc tylko muszę, że charakterystyka osób jest zawsze wyborna, grunt ich charakteru odkryty z największą trafnością. Zasługą p. T. jest zaakcentowanie postaci Gerwazego, który z powodu kalendarzowego sąsiedztwa, podobieństwa pozycyi społecznej i częstego ze sobą przebywania był na równi z Protazym stawiany. P. T. bardzo pięknie i przekonywająco wykazuje, że pomimo niskiego stopnia wykształcenia, pomimo humorystycznego w wielu scenach przedstawienia go przez poetę, ma on duszę niepospolitą, uczucie głębokie i namiętne, wielką energię, wielki hart i wielką wrodzoną szlachetność, której dowodzi i wierność dla pamięci Stolnika, i przebaczenie Jackowi. Słowem, Gerwazy stoi nieskończenie wyżej od Protazego, jako rodzaj człowieka i jako aktor powieści, wyżej od wielu społecznie znaczniejszych od siebie, od Tadeusza n. p., od Hrabi; jest ze wszystkich najbliższy Robaka. Ta właśnie okoliczność nadaje scenie wyznania Jacka tak wysoko dramatyczny charakter; rozbiór tej sceny należy do najlepszych ustępów w pracy p. T., do których liczę rzecz o widokach natury, o grze Wojskiego na rogu, o zaścianku Dobrzyńskich, i o bitwie.[1])

Niemniej pochlebnie ocenił te *Uwagi o Panu Tadeuszu* Ignacy Chrzanowski, który podkreśliwszy w swej recenzyi, że autorowi nie chodziło o udowodnienie, lecz tylko o wskazanie piękności poematu, przyznaje bez żadnych zastrzeżeń - czego nie można powiedzieć o wyczerpującej recenzyi Chmielowskiego — że to zadanie spełnione zostało świetnie.

Autor, jak sam przyznaje, mówi »w ciągłych superlatywach uwielbienia«, nie mogąc i nie chcąc ukryć swego entuzyazmu dla *Pana Tadeusza*, a mówi tak wymownie i przekonywająco, że jego uwielbienie udziela się duszy czytelnika, który po przeczytaniu książki lepiej i głębiej odczuwa piękności arcydzieła poezyi polskiej; zwłaszcza zasługują na uwagę uwydatnienie świetnej kompozycyi poematu, wskazanie genialnego artyzmu Mickiewicza w tworzeniu scen zbiorowych, i nadewszystko, świetny rozbiór spowiedzi Jacka Soplicy.[2])

W listopadzie r. 1905 toczyła się w Sejmie lwowskim nader ożywiona dyskusya w sprawie reformy wyborczej, mianowicie w kwestyi głosowania powszechnego, zainicyowanego przez rząd. Dyskusya ta odbywała się w otoczeniu demonstracyi socyalistycznej

---

1) *Niwa*, 1879.

2) *Książka*, No. 1 z r. 1906.

na ulicy i na galeryi sejmowej; ale wrażenia demonstracye te nie zrobiły: były niemiłym epizodem, lecz nie wpłynęły na stanowisko Sejmu. A stanowisko to było następujące: Reformy są zwykle skuteczne wtedy tylko, gdy dokonywają się, jako rozwój, nie jako przewrót, gdy na przeszłości budują; obalenie wszystkiego, co jest, jest skokiem na oślep, który może się udać, lecz może również i fatalne wywołać następstwa, a na takie ryzyko nie godzi się sprawy publicznej narażać. Tej idei hołdując, zajęła większość sejmowa stanowisko rozszerzenia prawa wyborczego przy zatrzymaniu także obecnych kuryi.

Jako generalny mówca prawicy, wypowiedział w tej sprawie długą mowę Tarnowski.

Według jego najgłębszego przekonania — czemu właśnie miał dać wymowny i uzasadniony wyraz — głosowanie powszechne nie jest naprawdę wynikiem i wyrazem myśli i woli społeczeństw, nie jest warunkiem ani rękojmią wolności i sprawiedliwości, nie jest zabezpieczeniem prawa przeciw bezprawiu. Owszem, jest tego wszystkiego przeciwieństwem, jest, i z natury swojej koniecznie być musi, narzędziem: każdoczesnego rządu albo każdej danej rewolucyi (mniej czy więcej ukrytej), ale zawsze tylko narzędziem. Narzędziem w ręku tego, kto ma siłę! Jako takie jest negacyą wolności myśli i sumienia, jest prześladowaniem, jest zabezpieczeniem bezprawia, któremu swojemi uchwałami daje jakiś niby pozór prawności. Kto pojmuje społeczeństwo, jako nieorganiczną kupę piasku, którą każdy wiatr rozsypie i rozmiecie, jak chce, ten może być za głosowaniem powszechnem. Kto pojmuje społeczeństwo, naród, ojczyznę, jako organizm, ten musi mu być przeciwnym.

Jest mu też przeciwnym Tarnowski, przynajmniej w tej chwili. A oto argumenty, któremi przed sejmem starał się uzasadnić swe zapatrywanie w tej sprawie:

— Chcę, żeby prawo wyboru i wybieralności było rozumiane i wykonywane nie jako prawo tylko, ale jako obowiązek, jako odpowiedzialność, i dlatego, żeby było przyznane temu obywatelowi, który ten obowiązek i odpowiedzialność czuje w sercu i sumieniu, pojmuje umysłem. Chcę, żeby wybierał chłop, chcę, żeby wybierał robotnik; ale chcę, żeby wiedział, kogo wybiera i dlaczego. Nie o to mi chodzi, żeby on wybrał szlachcica na wsi, w mieście adwokata czy lekarza, ale żeby wybierał z własnego przekonania, z własnej woli, a nie namówiony, złudzony, odurzony hasłami, frazesami, obietnicami. Nie chcę, żeby chłopa czy robotnika łudzono i jego dobrej wiary bez trudności nadużywano. Nie brak przykładów, że tak

się dzieje. Otóż chcę, żeby czynność wyborcza odbywała się z lepszą znajomością rzeczy, żeby agitacya wyborcza takiemi — jak dotąd — środkami na umysły działać nie mogła, żeby wybierał i mógł być wybranym ten obywatel, który rozumie swoją czynność wyborczą, i swoje prawo, i swoją odpowiedzialność. Jeżeli dojdziemy kiedy do tego, że to rozumieć będą wszyscy, i owszem, tem lepiej, i wtedy wprowadzajmy głosowanie powszechne. Ale dziś do tego daleko. Dziś, jak jutro, jak zawsze — bo to nie zmieni się nigdy — dobro narodu, dobro ojczyzny, wymaga i wymagać będzie, żeby wybory były rzetelnym wyrazem woli wybierających, a sejmy rzetelnym obrazem woli społeczeństw. Na to zaś potrzeba, żeby wybory odbywały się świadomie i niezależnie, w poczuciu i rozumieniu i prawa i obowiązku. Gdzie to rozumienie jest, tam otwierać dostęp do sali wyborczej i do sejmu: nie otwierać ich na oścież przed każdym. Dlatego my, którzy nie przypisujemy sobie monopolu przemawiania za lud, ale którzy o lud, o naród, o przyszłość, dbamy może nie mniej od tych, co ten monopol dla siebie uzurpują, my pragniemy i żądamy dla tego kraju stopniowego rozszerzania praw wyborczych. Zmienił się w ciągu lat stan tego społeczeństwa, miasta wzrosły w ludność, w zamożność, w przemysł, w oświatę: dziękować Bogu i w miarę tego wzrostu rozszerzyć prawo wyborcze. Lud wiejski wzmógł się w zamożności, w oświacie, w narodowej świadomości: znowu Bogu dziękować, i jego prawa polityczne w miarę tego rozszerzyć. Ale postępować rozważnie, stopniowo, bo tylko tak dochodzi się do prawdziwego postępu. Nie pod wpływem wrażeń, haseł, przykładów, nerwowych podnieceń, ale na podstawie rzeczywistości stosunków i potrzeb. Prawo wyborcze powinno obejmować te wszystkie kierunki i rodzaje pracy, te wszystkie zawody, które w społeczeństwie są, bez których ono być nie może. Żaden z tych kierunków, pierwiastków i warunków życia, żaden nie ma być pominiętym, żaden poświęconym, żaden utopionym w materyalnej przewadze liczby. Chcemy, żeby wyborca szedł do urny, a wybrany do Sejmu, ze światłem dobrej woli, publicznego dobra, i tej świadomości, że uczestnictwo społeczeństwa w rządzie jest prawem i koniecznością, ale powinno być rzetelnem, niezależnem, a zabezpieczać i wolność, i sprawiedliwość, i prawo. Idźmy naprzód tą drogą, jedyną prostą i pewną, drogą stopniowego, rozważnego, naturalnego rozszerzania praw wyborczych. Przestrzegajmy siebie i drugich przed pokaźnemi, ponętnemi darami, które mogą być złudne i zgubne. Troja z uniesieniem zrobiła wyłom w swoich murach, żeby nim drewnianego konia wprowadzić; ale z konia wyszli ludzie, którzy Troję zburzyli

i spalili. Przestróg nie słuchała, wierzyła nieroztropnie. Ci, co z niej z życiem wyszli, żałowali gorzko, że na przestrogi nie zważali. Ale »żałować po niewczasie jest to samo właśnie, co patrzeć na kompasie, kiedy słońce zgaśnie«.

W lipcu r. 1906 upłynęło 40 lat od chwili wyjścia pierwszego zeszytu *Przeglądu polskiego*, a zarazem od ukazania się pierwszego artykułu, z podpisem Stanisława Tarnowskiego. Na uczczenie tego czterdziestolecia pracy na niwie literackiej, politycznej, społecznej i nauczycielskiej — w roku 1906 upływa lat 37 od objęcia przez Tarnowskiego katedry historyi literatury polskiej w Uniwersytecie Jagiellońskim — byli uczniowie jego, pod przewodem profesorów Kallenbacha i Windakiewicza, wydali *Księgę pamiątkową*, obrachowaną na dwa duże tomy, a na której treść złożyły się ich mniejsze lub większe prace historyczno-literackie, oryginalnie napisane. Tom I tej *Księgi pamiątkowej* wyszedł już w r. 1904, a zawiera studya, rozprawy i przyczynki, nieraz cenne bardzo, niemało nowego światła rzucające na niektóre momenty i postacie historyi literatury polskiej. Do takich należy niewątpliwie: studyum Dr. Stanisława Zatheya o *Literaturze jako przedmiocie badań naukowych*, subtelny potret *Aleksandra Tyszyńskiego jako krytyka literackiego* przez Dr. Tadeusza Grabowskiego, rozprawa o *Dwóch nieznanych powieściach J. N. Niemcewicza* pióra Dr. A. M. Kurpiela, studyum Jana Bystrzyckiego o *Kwestyi religijnej na emigracyi po roku 1831*, cenny przyczynek Adama Krasińskiego p. t. *Zygmunta Krasińskiego nieznany pomysł Trylogii*, Stanisława Dobrzyckiego *Tragiczny wiek literatury polskiej*, profesora Józefa Kallenbacha *Nieznane listy Mickiewicza i Krasińskiego*, praca Dr. Kazimierza Krotoskiego *O łacińskim panegiryku na cześć Bolesława Śmiałego*, prof. Jana Czubka przekład jednej pieśni *Iliady*, i parę innych. Naukową wartość wszystkich prac, zawartych w tym tomie I *Księgi pamiątkowej* ocenił krytycznie w *Pamiętniku literackim* Dr. Konstanty Woyciechowski, w *Książce* Ignacy Chrzanowski. »Wszystkie prace w niej zamieszczone — pisał w *Kurjerze Warszawskim* Aleksander Rembowski — są czy mniejszemi, czy większemi przyczynkami naukowemi do historyi literatury, a w żadnej z nich niema śladu dyletantyzmu czy uganiania się za pustym, lecz efektownym frazesem, lub nieuzasadnioną pretensyonalnością. *Księga pamiątkowa* będzie też niewątpliwie miłym darem jubilatowi. Przypomni mu ona zdrowe ziarno jego posiewu, i życzyć tylko należy, aby to nie był ostatni jubileusz zacnego siewcy...« [1])

[1]) Dnia 1 lipca 1906 r. zaczął się w Krakowie, w auli uniwersyteckiej w *Collegium novum*, Zjazd historyczno-literacki imienia Mikołaja Reja. Zagaił go

Tak mniej więcej — w pobieżnym zarysie — przedstawiałaby się dotychczasowa działalność Tarnowskiego, jako pisarza i obywatela. Jak ją scharakteryzować pokrótce?

Mówi w ostatniej swojej książce Witkiewicz, że »wartość ludzkich dzieł jest zależną ściśle od wartości dusz ludzi, którzy je tworzą: jaki człowiek, taki czyn«. Słowa te przypominają się mimowoli, gdy chodzi o indywidualność Tarnowskiego, który nie znając »słowa i czynu rozdziału«, jako człowiek, odznacza się zupełnie wyjątkową jednolitością, czego zresztą najwymowniej dowodzą jego pisma od roku 1866 do 1906, które, wszystkie jak są, są ożywione i natchnione jedną myślą o dobru publicznem, i jedną miłością, miłością ojczyzny, a w których od początku do końca nikt się nie dopatrzy cienia niekonsekwencyi. Tarnowski jest zawsze wiernym sobie, swoim zasadom i przekonaniom. Nie odstąpił od nich nigdy, ani razu w ciągu lat czterdziestu. To najlepiej charakteryzuje człowieka.

»Bądź strojem w rozstroju!« To narodowe przykazanie z *Resurecturis* stara się Tarnowski całą siłą swego charakteru, całą siłą swego uczucia, spełniać zawsze i na każdem polu naukowego czy politycznego działania, a zarówno przez swoją zdolność, wiedzę, zmysł polityczny — i etyczny — jak i przez serce, ale nadewszystko przez rzecz wszędzie, a dopieroż u nas najrzadszą, przez zupełną rzetelność i prawdę. Ona mu daje cnotę największą i największą siłę, w nauce, jak w życiu publicznem; ona sprawia, że — ściśle trzymając się drogi wytkniętej przez Szujskiego — tu jak tam pod mgły i tęczę podkłada granitowe podstawy rzeczywistości, a lotny chaos fantazyi, upodobań i tęsknot, osadza i ściąga na stałym środku i prawie ciążenia, bez którego płynne pierwiastki będą zawsze na łasce pierwszego lepszego powiewu, a w nic pewnego, stałego, organicz-

---

pięknem przemówieniem Tarnowski, jako prezes Akademii. Przemówienie to, które, obok koniecznych ustępów okolicznościowych, zawiera charakterystykę Reja, jako pisarza, określając jego zasługi dla literatury polskiej, jest treściwą syntezą najnowszych badań nad autorem *Żywota człowieka poczciwego*. Przemówienie to, wydrukowane w *Przeglądzie polskim* lipcowym, wyszło też w formie osobnej broszury.

Tegoż dnia 1 lipca, jako w dniu, w którym upływało czterdzieści lat od chwili wyjścia pierwszego zeszytu *Przeglądu polskiego* (z pierwszym drukowanym artykułem jego głównego założyciela i redaktora), otrzymał Tarnowski w darze od kilku swoich uczniów autograf Księgi VIII *Pana Tadeusza*, autograf, który prof. Kallenbachowi szczęśliwym przypadkiem udało się odnaleść w Warszawie. Tym sposobem, całkowity rękopis *Pana Tadeusza*, znajdujący się w posiadaniu Tarnowskiego, a nabyty przezeń bez Księgi VIII, którą uważano za zaginioną, szczęśliwie został skompletowany. Obecnie brak w nim tylko jednej kartki. Może i ta odnajdzie się z czasem.

nego i rzeczywistego się nie ułożą. To jest rodzaj jego działania, jego pracy patryotycznej, a za medium, na którem to działanie się spełnia, służy mu wszystko. Sejm czy Akademia Umiejętności, literatura czy publicystyka, czy sprawy wychowania, nad którymi czuwa Rada Szkolna. Polem jednak, które uprawia i zasiewa ze szczególną miłością, w nadziei, że tam dopiero początek tego »zbawczego działania«, o którem mówi Szujski, jest Uniwersytet: katedra historyi literatury polskiej, katedra, obok katedry historyi polskiej, najszlachetniejsza ze wszystkich, i najważniejsza, ta, która, podobnie jak katedra historyi polskiej, przyszłych obywateli uczy znać siebie samych i wiedzieć, czem są, a czem być powinni. Tutaj też, na tej katedrze — od chwili otwarcia *Collegii Novi* w Lectorium Szujskiego pod jego popiersiem — daje Tarnowski, co w sobie czuje najlepszego, tutaj »w przykładu i słowa postaci rozdaje siebie samego swej braci«. Tutaj, jak nigdzie, stara się »mnożyć przez czyny żyjące«. A czy tu »wzrosną z niego jednego tysiące«? Jeżeli nie, nie jego będzie w tem wina.[1]) W każdym razie, jeżeli nie tysiące, to już wzrosły dziesiątki uczniów jego, którzy, przejęci tym samym duchem, w miarę sił starają się spełniać, co im nakazuje obowiązek i miłość ojczyzny.

Bardzo pięknie i trafnie charakteryzuje Tarnowskiego, jako człowieka i pisarza, prof. Jan Bołoz Antoniewicz, który o nim z głęboką rozwagą tak pisze:

Autor pomnikowego dzieła o Zygmuncie Krasińskim stoi na czele naszej najwyższej instytucyi naukowej, żyje w grodzie, pod którego murami nasze życie naukowe i artystyczne w najszerszem łożu najszybszym pędem się toczy. Widzi on niewątpliwie przemiany w charakterze wiedzy i sztuki, ocenia te przemiany, ale im się nie poddaje i prąd ten zewsząd go otacza, ale go nie unosi. Skąd to pochodzi? By na to pytanie odpowiedzieć, nie wystarczy, zdaniem mojem, wskazać cały szereg poprzednich jego prac naukowych. Cała jego tak bogata działalność naukowa łączy się jaknajściślej z jego życiem duchowem. W nauce czy w życiu politycznem objawia on się zawsze cały, zawsze daje całego siebie. Każda jego praca naukowa jest zawsze wynikiem bezpośrednim wewnętrznej potrzeby; nad liczbą wyrażającą jej absolutną wartość naukową dopisany jest wyznacznik, wskazujący, do jakiej potęgi etycznej ją podnieść należy. Jak w każdej wielkiej indywidualności, tak i u Stanisława Tarnowskiego nie można i nie wolno, zdaniem mojem, oderwać owoców życia od życia samego. Bo dzieła i czyny jego nie są martwemi bryłami, które siłą ciężkości od skały odpadają. W nich pulsuje zawsze pełne życie, a kto się ich dotyka, dotyka się równocześnie żywego serca i umysłu. Kto chce zajrzeć do głębi jego dzieła, musi się odważyć zajrzeć i do głębi jego ducha. Czynię to bardzo nieśmiało i po długiem wahaniu. Wiem dobrze, że zadaniu nie sprostam. Ale jest jeden wzgląd, który mnie może usprawiedliwi, a tym jest dominujące stanowisko autora w społe-

[1]) Por. *Czas* z 13 lutego 1883.

czeństwie naszem. Autor dzieła o Zygmuncie Krasińskim jest — wiemy to wszyscy — jednym z tych kilku, z pod których ręki i po których myśli społeczeństwo nasze po r. 1863 się ukształtowało. Jest on tej nowej budowy nietylko jedną z najprzedniejszych ozdób, ale jej konstruktywną myślą. Kto w tem społeczeństwie nie chce błądzić, jak ślepy po omacku, lecz stąpać z otwartemi oczyma, ten musi rozumieć, lub przynajmniej starać się zrozumieć ducha tych, którzy to społeczeństwo stworzyli. Otóż zdaje mi się, że wyjątkowa zupełnie jednolitość jest jego największą cechą. Nie zaznał on obaw wątpienia i udręczeń zwątpienia. Zaoszczędzone mu zostały ponoś owe kataklizmy, owe tragiczne wstrząśnienia, z których duch wychodzi albo złamany, albo przemieniony. W życiu jego żaden Gustaw nie konał, żaden Konrad się nie rodził. Życie jego zna tylko jedną epokę. Są w niej tylko stopnie coraz wyższego rozwoju i doskonalenia się. Z nich wszystkich jest on najwierniejszy sobie i ludziom. W co uwierzył, wierzy, kogo za młodu ukochał, kocha i dziś, a jeżeli żywej dłoni ścisnąć nie może, to kocha, czci i wielbi pamięcią. Pozostaje on zawsze wiernym, niewzruszenie wiernym wszystkim wiarom i przekonaniom, uwielbieniom i przyjaźniom. Przez całe życie, przez wszystkie znakomite a tak liczne dzieła — bo obok tylu niezwykłych darów dostał mu się w udziale jeden z największych, łatwość tworzenia — ciągnie się i potęguje jedna poważna, silna, czysta nuta: jest nią affirmacya, dążenie do rezultatów dodatnich, do pewników, do całości. W tem dążeniu do całości zbiegają się główne jego życia promienie, krystalizują się i tężeją żywotne soki w tym jednym punkcie etycznym, złączają się i równoważą wszystkie siły duchowe. Oto sprężyna jego życia wewnętrznego i tegoż zewnętrznych objawów w nauce i życiu politycznem. Czyny i dzieła jego kryją się zupełnie z jego istotą duchową i moralną, one wszystkie mają charakter, ten sam wzniosły charakter stałości i wierności. Tak samo jak jego istota moralna nie zna przemian i kataklizmów, nie znają ich także dzieje jego działalności naukowej. Dzieła naukowe, które z pod jego ręki wychodzą, mają niezatarte piętno całości, skończenia, jednolitości, posągowego skupienia i posągowej techniki, bo jednolicie silną i posągowo skończoną jest postać ich autora.

»Starożytni wyobrażali sobie przeszłość świata podzieloną na różne wieki, co jeden to gorsze i smutniejsze, od Złotego do Żelaznego. Sto lat blisko naszych porozbiorowych dziejów dałoby się także na takie okresy podzielić, bo i w nieszczęściu są stopnie. Złotym wiekiem w naszem nieszczęściu byłyby czasy Napoleona, przeszłości najbliższe, a tak pełne chwały i zwycięstw, że ta przeszłość, zdawało się, musi powrócić. Srebrny był czas Kongresowego Królestwa, po którym nastąpił ciężki, ołowiany okres tułactwa dla jednych, bezwładności dla drugich. Żelazny jest dzisiejszy i twardy i zimny, bez pociech, nawet bez chwilowych pociech złudzenia, skazany, jak Adam wygnany z Raju, na to, by żył pod prawem i rozkazem: »będziesz pracował w pocie czoła twego, aż się wrócisz do ziemi, z której wyszedłeś«.[1]) Jeżeli o kim, to o Tarnowskim śmiało powiedzieć można, że jest jednym z tych, którzy to prawo pojęli

---

[1]) Mowa na pogrzebie Henryka Wodzickiego.

i wzięli do serca, a pełnili je z wielkiem posłuszeństwem i z całem przekonaniem. Drugiem prawem, którego wykonywanie uważał za swój święty obowiązek, za dewizę życia, było przykazanie Krasińskiego, wyrażone w *Resurecturis:*

Bądź arcydziełem nieugiętem woli,
Bądź cierpliwością, tą panią niedoli,
Co gmach swój stwarza z niczego, powoli!
Bądź tą przegraną, której cel daleki,
A która w końcu wygrywa na wieki!
Bądź spokojnością śród burz niepokoju,
W zamęcie miarą i strojem w rozstroju!

»Stwarzaj wszystko z niczego, a wiedz, że prędko nie stworzysz. Jak Syzyf wytaczaj pod górę kamień, który sto razy stoczy się na dół; pracuj w pocie twego czoła, ale stwarzaj, musisz wszystko stworzyć z niczego, bo jeżeli nie stworzysz, wszystko przepadło«.[1]) To była rola wielkich poprzedników Tarnowskiego i jego przyjaciół: Leona Sapiehy, Adama Potockiego, Henryka Wodzickiego, Zygmunta Helcla, Maurycego Manna, Pawła Popiela. Po tej samej drodze, wytkniętej przez nich, od samego początku swej działalności publicznej, t. j. od chwili założenia *Przeglądu polskiego*, Tarnowski kroczy powoli, ale też i bez wytchnienia. »Idź i czyń, choć serce wyschnie w piersiach twoich, choć zwątpisz o braci twojej, choćbyś miał o mnie samym rozpaczać, czyń ciągle i bez wytchnienia!« Taki rozkaz daje głos grzmiący z góry pokutującemu duchowi Irydiona, zesłanemu na powtórną ziemską próbę, taki los zgotował sobie świadomie i dobrowolnie Tarnowski, który oddawszy się narodowi swemu w służbę, z zaparciem się siebie pracował dlań i pracuje bez chwili spoczynku, a choć mu w ciągu tej półwiekowej blizko pracy serce nie wyschło w piersiach, to jednak nie jeden raz mógł wątpić o braci swojej... Nie wątpił jednak nigdy, choć go często pojono goryczą.

»Zdrowie narodu jest w mężów postawie«, powiada Szujski, na to zaś, żeby być mężem, jednym z tych, »w których łonie przyszłość się wypracowuje«, nie wystarcza urodzić się zdolnym, trzeba być charakterem. Tarnowski nim jest. Posiada też jasną świadomość tego, jaką dziś w Polsce mają wartość ludzie charakteru. Oto, co sam w tej mierze pisze: »Czego nam brak przedewszystkiem do podźwignienia się, do odrodzenia? Bystrości, inteligencyi, zdolności? Nie; okazujemy ich, owszem, wiele na różnych polach. Szlachetnych uczuć, dobrych serc, zdolności poświęcenia? Także nie; owszem, to wszystko w nas

[1]) Mowa na pogrzebie Henryka Wodzickiego.

jest, żyjące, oczywiste, zawsze gotowe. A więc może pracy, zabiegliwości, wytrwałości, energii? I pod tym względem, jeżeli nie całkiem dobrze, to jest lepiej, niż było. A jednak, pomimo tych wszystkich niezaprzeczonych i niemałych przymiotów, nie umiemy dobrze kierować naszemi losami, a gdzie spojrzymy, tam musimy się przekonać, że albo kierujemi niemi źle, albo przynajmniej nie tak dobrze, jakbyśmy byli mogli. W działaniu politycznem, tam, gdzie ono jest możliwe, w państwie austryackiem, w stanie społecznym, w administracyi, gdzie ona jest w polskiem ręku, w stanie ekonomicznym, ubytków, zaniedbań, strat materyalnych, a i moralnych także, więcej podobno, niż zyskanego przybytku sił i dobra. Dlaczego tak jest? Dlaczego ani w politycznym, ani w społecznym, ani w ekonomicznym, ani w żadnym innym kierunku naszego publicznego życia niema tyle postępu, tyle zbliżenia się ku odrodzeniu, ileby go być mogło i być powinno? Przecież mamy i inteligencyę, i zdolność, i nawet nieraz naukę, i dobre serca, i dobre chęci; czemuż te wszystkie przymioty nie wydają więcej, nie wydają lepszych skutków? Bo nam brak jednego, bez którego nasze narodowe odrodzenie musi zawsze iść słabo, nie bez gorączkowego podniecenia chwilami, ale bez ciągłego i stałego przybytku sił i ich dobrego użytku. Tym przymiotem jest charakter. On jest podstawą narodowego odrodzenia; na nim ono musi się oprzeć, bo na nim jedynie może się oprzeć mocno i pewnie. Popatrzmy gdzie chcemy, czy było by tyle prywatnych majątków upadłych, tyle milionów straconych na spekulacyach i tyle przedsiębiorstw spełzłych na niczem, tyle instytucyi zagrożonych lub obalonych, gdyby ludzie byli umieli i chcieli wstrzymać się od robienia tego, czego ze względów sumienia i honoru, czasem nawet ze względów kodeksu, robić nie byli powinni? Czy słyszało by się tyle z różnych stron o złej gospodarce naszych miast, nawet o nadużyciach, które tu i owdzie wyszły na wierzch, gdyby urzędnik uważał swój urząd za obowiązek publiczny i patryotyczny, a nie za wygodne miejsce dla siebie? Czy mielibyśmy tę nienawiść społeczną, która nas zatruwa i paraliżuje, gdyby w naszych pisarzach, oratorach, publicystach, było naprawdę więcej miłości ojczyzny, niż nienawiści klasowej? Wszystko to szkodzi naszej sile, naszej dobrej sławie, naszej przyszłości, a wszystko ma swoje źródło w braku charakteru. Bankier, który narusza depozyta lub fałszuje bilanse, urzędnik, który okrada kasę, a nawet ten, który nic nie robi, publicysta, pisarz, mówca, który jątrzy, czerni, kłamie, wszyscy nie znają, albo nie uznają koniecznej zgodności między wolą i postępkiem a sumieniem i honorem. Obowiązek sumienia i honoru

znają, z nader małemi wyjątkami, bo rzadki ten, któryby potrafił zapomnieć go zupełnie; ale go lekceważą, a przez to sprowadzają czasem — zasłużone — nieszczęście na siebie, zawsze niezasłużoną szkodę na społeczeństwo, jego postęp, jego rozwój, jego przyszłość. W innym kształcie i rozmiarze, ale ten sam brak charakteru daje się widzieć w naszym stosunku do tak zwanej opinii publicznej. On powoduje brak odwagi, on zamykanie oczów i zakładanie rąk na widok rzeczy szkodliwych i zdrożnych. On nie śmie się sprzeciwić, oprzeć, przyznać do przekonania, bo się boi narazić. »Lepiej, żeby na kraj spadła jaka szkoda, niż żeby na mnie mieli krzyczeć«. Tak było dawno. Przed wiekami już narzekali nasi pisarze na ten nasz wielki grzech, a historya, przedrozbiorowa i porozbiorowa, zapisała go na wielu swoich kartach. Ludzie z charakterem byli także, byli nawet w najgorszych czasach; ale i w lepszych byli zawsze w liczbie za małej. Ta mniejszość nie znikła; została jako świadectwo i pomnik dobrych myśli i uczuć swojego czasu, jako upomnienie, przestroga, przykład dla czasów późniejszych. Nie pozostali nawet zupełnie bez wpływu i skutku, bo to dobre, jakie w nich było, odzywało się w następcach i składało ciąg, nieprzerwaną tradycyę dobrego. Tylko liczba ich była zawsze stosunkowo mała, i dlatego nie mogli nigdy silnie na współczesnych wpływać, ich wolą i postępowaniem, zatem losami kraju kierować. Zostawali raczej czcigodnemi pomnikami i przykładami dobrego dla potomnych, niż jego skutecznymi sprawcami wśród współczesnych«. [1])

Takim czcigodnym pomnikiem i przykładem jest i pozostanie na zawsze Tarnowski, a nietylko jako człowiek charakteru, ale i jako człowiek serca. Na ten rys jego usposobienia zwrócił już uwagę a nawet podkreślił go silnie prof. Brückner w swej niemieckiej książce o literaturze polskiej, co nawet wywołało zaprzeczenie ze strony Tarnowskiego, który jeszcze ma to do siebie, że sam stale obniża swą wartość. Tak też stało się i tym razem, gdy mu Brückner, porównywując go z Klaczką, przyznał więcej serca i ciepła. Nie godząc się na to, Tarnowski, jako pełen kultu i uwielbienia dla twórcy *Wieczorów florenckich*, w ten sposób usiłował zakwestyonować tę pochlebną tak, a całkiem zasłużoną opinię: »Szanowny autor, w łaskawości z pewnością zbyt wielkiej, mówi, że przypominam niekiedy Klaczkę, tylko mam od niego mieć więcej *Wärme und Herz*. Co to, to nie! Dziękuję najgoręcej, ale protestuję najstanowczej! Ile mi Bóg dał dobrego uczucia, mniej czy więcej, dziękuję Mu za to,

---

[1]) *Przegląd polski* 1902, grudzień, *Ludwik Górski.*

i staram się tego, co dał, nie marnować. Ale żeby w tem, co ja piszę, było więcej serca, więcej płonącego ognia, jak w *Katechizmie nierycerskim*, jak w *Bezimiennym poecie*, jak w zakończeniu *Gladyatorów*, jak w *Polsce w r. 1860*, jak w *Konspiracyi i jawnem działaniu*, jak we wszystkich czterech tomach *Wiadomości polskich*, jak w *Anneksyi*, jak w *Studyach o dyplomacyi*, które *fecit indignatio* żrąca i paląca (choć umyślnie zaczajona, jak żmija, żeby lepiej ukąsić), żeby we mnie miało być więcej serca i ognia, jak w tem wszystkiem (o rozumie i zdolności już nie mówiąc): nie, nie i sto razy nie!« A jednak, pomimo tego stokrotnego zaprzeczenia i protestu, i pomimo najwyższej czci i uwielbienia dla »genialnego współpracownika *Revue des deux Mondes*«, ma się uczucie podziwu dla szlachetnej rycerskości Tarnowskiego, z jaką w tym razie wyrzeka się palmy pierwszeństwa na korzyść swego ukochanego mistrza, ale bezstronność nakazuje przyznać słuszność Brücknerowi. Co pewna, że tyle uczucia i serca, ile się widzi w pismach Tarnowskiego, nie spotyka się u wielu pisarzy, a z pomiędzy współczesnych stanowczo u żadnego. Wyjątek stanowi jeden tylko Szujski.

Wogóle mając wiele wspólnego z Szujskim, który dlań aż po dziś dzień służy za wzór, za ideał, Tarnowski nie ustępuje mu pod względem odwagi cywilnej. Gorący patryota, który swe całe życie poświęcił służbie dla ojczyzny, a przytem szczery niezmiernie, nigdy się nie cofnie przed wystąpieniem w imię prawdy, choćby go to wystąpienie osobiście narazić miało, na szwank wystawić jego popularność. O *popularitas* nie dba, tylko o dobro i pożytek rzeczypospolitej, a że krytycznie sądzi wszystkie popularne hasła, wszystko, co jest pustym patryotycznym frazesem, a nie istotą rzeczy, więc popularnym nie jest, a przynajmniej nie może się pochlubić tą szeroką popularnością, która dla wielu posiada tak nieprzeparty urok, że dla niej często poświęcają nawet własne najgłębsze przekonania, a poświęcili by nawet zasady, gdyby je ...mieli. Ponieważ Tarnowski, tam, gdzie chodzi o dobro ojczyzny, każe się powodować nietylko uczuciem, ale i rozumem, rozumem politycznym, który często uczuciu nakłada hamulec, więc niedawne to jeszcze czasy — bo dziś zaszła już znaczna zmiana na korzyść pod tym względem — kiedy mu zarzucano z przeciwnego obozu, że »gasi ducha«. »Od wielu lat — czytamy w książce *Z doświadczeń i rozmyślań* — słyszy się u nas o budzeniu ducha i o jego gaszeniu«. »Gasić ducha«, to znaczy mówić prawdę, czy o Polsce dawnej w historyi, czy dzisiejszej w publicystyce; »budzić go«, to znaczy szumnemi frazesami o Polsce gadać, odgrażać się Rosyi czy Prusom, a swoim podchlebiać, żeby w miłości

własnej głaskanych i za nią ujętych opanować i prowadzić. W ten sposób gasił ducha Skarga, Starowolski, Konarski, Staszyc, później Kajsiewicz, Kalinka, Klaczko i Szujski; w ten sposób budził go przed stu laty Seweryn Rzewuski i Wojciech Turski, przed laty czterdziestu i trzydziestu Mierosławski, dziś budzą t. z. postępowe dzienniki lub broszury... Budzić ducha? A kiedyż on zasnął? Gdzie? Nawet tam nie, gdzie śmiertelnie ranny, jak na Litwie i Rusi, sam nie wie, wiele w nim jeszcze ducha zostało; a z czyjej winy ranny, to niech jego budzicielom powie własne sumienie, jeżeli jakie mają. Zresztą? W Królestwie, w Wielkopolsce, w Galicyi... Śpi niby ten duch, co przemawiał głosem i sumieniem Szujskiego, rozumem Kalinki, obrazami Matejki? co z Sienkiewicza błyska Ogniem i Mieczem?... To się nazywa snem? i z tego snu żeby nas budzić, potrzeba mów kandydackich i dziennikarskich artykułów? Nie, duch polski, dzięki Bogu, nie zasnął i nie zaśnie; zamrzeć może, jeżeli z jednego zapalenia płuc w drugie wpędzać go będą; ale zasnąć nie może, i nie potrzebuje być budzonym«. W tem przekonaniu, a z myślą o wszystkich klęskach, które na nasz naród sprowadziło »fałszywe budzenie ducha«, użył raz Tarnowski porównania, które powinno stać się klasycznem. »Kiedy się czyta *Króla Leara*, nie chce się dowierzać, a nie może się pojąć, żeby starzec poważny i doświadczony, mierzył lekkomyślnie miłość swych dzieci podług ilości ich słów i retoryki ich oracyi, iżby myślał, że te córki naprawdę kochają go więcej, które w szumnych przemowach składają mu oświadczenia swoich uczuć, a tę odepchnął, ba, przeklął, która mówi cicho i mało, a kocha prawdziwie. Zdaje się, że to nieuwaga wielkiego poety, wierność zbyt wielka starej opowieści, z której wziął treść do swojej tragedyi. Nasze społeczeństwo polskie tymczasem — może i wszystkie ludzkie tak samo — są do tego starego ojca podobne. Tylko one stare nie są nigdy; z każdem pokoleniem, jak żeby w fontannie młodości, czy w Letejskiej wodzie zapomnienia skąpane, zapominają łatwo o doświadczeniach przeszłości. I one, jak Lear, często wierzą, że większa i lepsza jest miłość tych dzieci, co więcej o miłości gadają. Ale Król Lear pomiarkował się przecie, i gdy skrzywdzona Kordelia przyszła go bronić, ratować, pomścić, poznał swój błąd. Gdyby wtedy raz drugi Regan i Goneril były od niego żądały wiary, gdyby były mówiły, że kochają go więcej i lepiej, niż Kordelia, Lear już zapewne nie byłby im uwierzył. Nasz polski Lear zawierzył słodkim słowom Gonerili i Regany, i dziś wygnany ze swoich państw, z Litwy, z Rusi, po Mazowszu, Sandomierzu, Kujawach, bez domu i ziemi, tuła się w wichrach i burzach, obdarty, ze wszystkiego wyzuty, z nędzy

i rozpaczy prawie obłąkany. Kordelia znowu małomówna jak zawsze, i jak zawsze kochająca z całej duszy, opatrzyła choć parę ran, pokrzepiła cokolwiek jego siły, pospieszyła z jakim takim ratunkiem, i pociechą na jego opuszczenie, sieroctwo i nędzę. Ale wielomówne i wymowne córki stają przed nim znowu i powtarzają, że one go bardziej, one jedynie kochają, żeby nie wierzył tej milczącej, która oczywiście nie czuje, skoro nie gada... A Lear co zrobi? czy zapamięta, wiele już za sprawą tych córek utracił, i czego doznał, lub też, czy im jeszcze raz swoją świętą głowę, swój los, resztki swego życia powierzy... Gdyby tak być miało, to koniec mógłby być taki, jak w tragedyi Szekspira. Wymowne córki zabiją Kordelię, zabiją tego błazna, co je przejrzał i ojca przed niemi przestrzegał, ojca o śmierć przyprawią, a gdy już na swojem postawią, wtedy podejrzliwe, zazdrosne, i nienawistne, nawzajem zaczną się między sobą żreć, i zgładzą się jedna drugą. Z całego domu nie zostanie nikt — państwami Leara zawładnie obcy książę Albanii«.

Ażeby nie dopuścić do spełnienia się tej przepowiedni, Tarnowski, nie oszczędzając siebie, przeciwnie, bardzo często się narażając, z zaparciem się siebie rycerza *sans peur et sans reproche*, czyni wszystko, co jest w jego mocy, ażeby narodowi wskazywać właściwą drogę, ażeby go szczęśliwie przeprowadzić »po wązkiej ścieżce między dwiema przepaściami, z których jedna zwie się obcą przemocą, a druga własną niemocą, umysłową, moralną, polityczną, społeczną, ekonomiczną«. Pod tym względem, jako takiemu przewodnikowi, pełnemu odwagi i poświęcenia, nikt mu nie zarzuci żadnego grzechu opuszczenia. Jeżeli by czasem zasługiwał na jaki zarzut, to, że nieraz zbyt wiele brał na swoje barki, jakkolwiek nigdy nie zaniedbał niczego, owszem, wszystko, czego się podejmie, to zrobi, i wszystko zawsze, jak może najlepiej. Ta rzutkość, ten popęd, który mu każe brać i rwać się do wszystkiego, to — podobnie jak i u Szujskiego — nie jest zuchwalstwo, lub mniemanie, że on wszystko potrafi, to tylko uczucie obowiązku, że kiedy rzecz jest potrzebną i powinna być zrobioną, a kto inny jej nie robi, to ja sprobuję. Z tą swoją rzutkością i pracowitością wyjątkową, z tem uczuciem obowiązku, które mu ciągle każe robić to, co najpotrzebniejsze, rozumie on, że nie powinien się wymawiać, bo kto inny nie łatwo może dałby się znaleść, wszystko zaś, co robi, to robi jedynie *pro publico bono*, bez źdźbła myśli o sobie. Nie powoduje się ambicyą, ale chęcią służenia. Powiada gdzieś Macaulay, że instynkt publiczny, tak łatwy i skory do mylnego sądzenia, jedną cnotę poznaje i czci zawsze: bezosobistość i czystość zamiaru. Tę cnotę, tak niestety rzadką u nas, ogół

czuje instynktem w Tarnowskim, tak dalece, że nawet jego nieprzyjaciele — a ma ich sporo — chętnie mu to przyznają, albowiem wszyscy wiedzą, że co on powie lub zrobi, to musi być zgodne z polskiem sumieniem, z polskim honorem. Stąd jego wielka powaga w społeczeństwie. Ale bo też to, co on napisał o Bernardzie Kalickim, że »nigdy nie skłamał, nigdy nie zawiódł, nigdy się nie uląkł i nigdy się nie zniżył«, to przedewszystkiem odnosi się do niego samego. Do niego także dadzą się zastosować jego własne słowa, napisane o kim innym: »Nigdy, i pomimo wszystkiego, i bądź co bądź, nie zniechęcić się, nie opuścić rąk, nigdy w uczuciu nie zgorzknieć, a w gotowości nie osłabnąć... Nie szemrać, nie gardzić, tylko dalej robić swoje, to, co można: znosić smutki takie, że powinny były zatruć życie i duszę, a siłę złamać nazawsze, a rąk nie opuścić i o najmniejszej powinności, o najmniejszym dobrym uczynku nigdy nie zapomnieć... patrzeć na wszystko, co się u nas dzieje od roku 1863, a nigdy nie zapytać: dlaczego? ani sarknąć, że to za wiele, ani sobie powiedzieć, że już dość tego, ale zachować zawsze tą samą spokojną równowagę i wyrozumiałość, tą samą zawsze do wszystkiego gotowość, całe życie tylko rezygnacyą żyć a nie stracić nadziei ani dobrego wyobrażenia o ludziach, to wytrwałość w dobrem uczuciu i w dobrej woli trudniejsza może od wytrwałości w czynie i w walce, bo tamta działa i działaniem się odurza, jeżeli nie pociesza, a ta tylko znosi i cierpi, biernie i bez tego złudzenia nawet, że się broni«. Zaprzeczyć się nie da, że podobna wytrwałość cechuje w wysokim stopniu również i Tarnowskiego, który bardzo być może, że miewa i takie chwile w życiu, że działaniem się odurza, jeżeli nie pociesza... [1])

[1]) W sylwetce Piotra Moszyńskiego, charakteryzując go, jako wzór patryotyzmu, podkreśla w nim Tarnowski, obok przewagi uczucia i gotowości do ofiar, znamienną dlań bardzo, a już graniczącą z mistycyzmem chęć dobrowolną pokuty, uczynienia zadość za niejedno złe dawnej Polski, wyproszenia zasługą lepszego losu dla nowej. »Jak wiek dzisiejszy zdaje się być ogniem, w którym się Polska czyści, tak i ludzie w niej spłacają po jakiejś cząstce długu, przerabiają jakieś ździebełko zasługi. Żywotów takich z charakterem wyraźnie expiacyjnym znajduje się w naszym wieku dosyć, męzkich i niewieścich; a patrząc na złe, jakie u nas było w wieku XVIII, a potem na cnoty dochodzące prawie świętości, niepodobna jest nie podnieść się na duchu i nie przypuścić, że wielkie dzieło regeneracyi moralnej, to, od którego wszystko zależy, zaczęło się, odbywa, i jest w postępie. Ci zaś, którzy w sumieniu najprostsi, w miłości najwznioślejsi, w wierze najstateczniejsi, ci dostają w podziale część największą tego długu do spłacenia, dla tego, że o nich jest pewność, że największy ciężar zniosą, że cokolwiek im cierpieć przyjdzie, potrafią cierpieć tak, że i sobie nie zaszkodzą i drugim zasługą swoją pomagą«.

Taki jest człowiek. A dzieło?

Jaka dusza, taki czyn. Że zaś Tarnowski, kiedy składał w swem sercu »ślub poświęcenia żywota na służbę ojczyzny«, głównie myślał o służbie piórem uczonego i publicysty, bo w tym kierunku najbardziej się czuł powołanym, wszystko więc, co pisze, czy to będzie obszerne dzieło naukowe, czy artykuł polityczny, czy studyum literackie, czy nawet dziennikarskie sprawozdanie, zawsze jest pisane z myślą o dobru publicznem, z myślą o Polsce. Oto, co w danej kwestyi mówi on sam, w przedmowie do *Pisarzy politycznych*: »Zdarzyło mi się i to o sobie słyszeć, nawet czytać, że wszystko, co mam sądzić, sądzę z jednego tylko stanowiska, to jest, czy to mogło lub nie mogło przydać się Rzeczypospolitej na wzmocnienie i ratunek. »On chce zawsze swojemi naukowemi nawet rozprawami działać, zmierza do jakiegoś praktycznego pożytku i celu; on jest publicystą, który o rzeczach naukowych pisze, ale ich naukowym sposobem nie traktuje«. Co do tego, znowu się nie bronię. Przyznaję, że w przeszłości jak w teraźniejszości podług tego ludzi sądzę, cenię i lubię, czy rzeczy pospolitej służą lub jej szkodzą. Że moje zdanie o ich zasłudze lub szkodliwości może być mylne, to wiem: ale tego stanowiska zmienić nie mogę, bo musiałbym na to zmienić rodzaj swego umysłu i swojej natury, a to odemnie nie zależy. Gdybym mógł wreszcie, nie wiem, czybym chciał stanowisko to zmieniać. Rozumiem, że odmienne jest w teoryi lepsze i mniej wystawione na zarzuty: winszuję uczonym, którzy w pracach naukowych mogą zostawiać na boku ten cel praktyczny, tę moralną i polityczną naukę, której w książkach polskich sam od młodości szukam i żądam. Ale u nas zdaje mi się jest do zrobienia i do nauczenia się tyle, że wszystko, co może, do tego praktycznego pożytku i celu zmierzać powinno. Doskonale zachowane stanowisko naukowe jest wyższe niewątpliwie; ale, biada wiedzy, która nie pomaga wiedzącemu. Jeżeli to jest prawdą dla innych, to cóż dopiero dla nas, którzy tej praktycznej pomocy najbardziej potrzebujemy«.

Ten utylitaryzm patryotyczny, do którego Tarnowski przyznaje się otwarcie, czyni go jednocześnie przeciwnikiem głoszonej przez Taina, a u nas z zapałem apostołowanej przez Chmielowskiego, »najnowszej teoryi« objektywizmu w krytyce literackiej, której nietylko nie uznaje, ale nawet przeczy jej założeniu. Oto, co pod tym względem pisze w przedmowie do swej *Historyi literatury polskiej:* »Znam tę teoryę, która mówi, że kto traktuje kwestye naukowe, historyczne czy literackie, ten powinien być ściśle objektywnym: wystawić fakt, czy człowieka, czy dzieło, jak jest, wytłómaczyć, dla-

czego jest takiem a nie innem, ale od wszelkiego sądu, od własnego zdania się strzedz. Jego rzeczą i zadaniem jest przedstawienie tylko; wniosek i sąd jest prawem czytelnika. Autor występujący z sądem własnym, nietylko przekracza prawo swoje, a wkracza w cudze, ale samochcąc, własną ręką zmniejsza i obniża wartość swojej pracy, bo przecież nieomylnym być sobie nie rości, a jego sąd mylny i czytelnika może uwieść i rzetelnej prawdzie jego dzieła zaszkodzić. Ta teorya ma pozór ścisłej logiki, ale nawrócić się do niej nie mogę. Naprzód dlatego, że nie widzę, iżby praktyka zgadzało się z teoryą. Ci, którzy najbardziej żądają dla niej uznania, głoszą ją, jako swoją zasadę i hasło, ci nawet, którzy ją stworzyli [1]), nie widzę, żeby jej się trzymali. Jedni mają swoje formułki, swoje axiomata, do których przymierzają pisarzy i dzieła, i podług których sądzą. W tej pracy przymierzania częstokroć nie obchodzi się bez naciągania i dociągania. Axiomat czy formułka są przy takiem postępowaniu dowiedzione, usprawiedliwione, *quod erat demonstrandum:* ale ta prawda, to rzetelne przedstawienie rzeczy, które miało być celem, a które jest istotnie zadaniem naukowej pracy, te bywają nieraz poświęcone. Gotowe axiomata, formułki, uchodziły za naszych czasów za rzeczy niezgodne z naukową metodą, jej wręcz przeciwne [2]). Inni są zgodniejsi z sobą, wierniejsi swojej teoryi, formułek pod fakta czy książki nie podkładają i tych do miary tamtych nie naciągają. Ale to własne zdanie, z którem się taić chcą, i nie zdanie tylko, ale uczucie, ale sympatya czy antypatya, ale polityczna doktryna lub nawet namiętność, tu bez ich wiedzy i woli odzywają się głośno i wyraźnie z każdej karty, z każdego niemal słowa ich książek [3]). Nie dziwię im się, ani biorę za złe; jestem mocno przekonany, że inaczej być nie może: tylko, gdyby nawet ich teorya zdawała mi się słuszną, to ich praktyka osłabiłaby mi wiarę w teoryę. Nie sądzę zaś, żeby teorya była słuszną: żeby pisarz nie miał prawa wyjawić swego zdania, żeby miał obowiązek je zamilczeć. W takiem mniemaniu utwierdzają mnie przykłady wielkich pisarzy, wielkich uczonych, wielkich myślicieli. Nie krył się ze swojem zdaniem i sądem, ani ze swojem uczuciem nawet, żaden z wielkich historyków przeszłości, od Tacyta

[1]) Wskazuje tu Tarnowski wyraźnie na Taina.

[2]) Wszystko to są zarzuty, wymierzone przeciw Tainowi, zarzuty słuszne zupełnie, które go nieraz spotykały ze strony krytyki francuskiej, zwłaszcza ze strony Emila Henequin'a, który tak poważnie zachwiał jego teoryę.

[3]) Zarzut ten da się odnieść szczególniej do wielu naszych, niby objektywnch, a naprawdę bardzo stronnych, ba stronniczych historyków czy historyków literatury. *Nomina sunt odiosa.*

aż do Macaulaya; nie krył się Leibnitz, ani Bossuet, ani — jeżeli go kto woli — Spinoza, ani Hegel, nie krył się Lessing. Większych, niż oni, a nawet im równych, w naszym dzisiejszym okresie nie widzę; i myślę, że jeżeli najpotężniejsze umysły wszystkich wieków w pewien sposób zadanie pojmowały i wykonywały, to jednak w tym sposobie coś prawdziwego być musi. A gdy do takiego wniosku doprowadza obserwacya i doświadczenie, to popiera go rozumowanie. Czy jest słuszność, czy jest prawda, w tej doktrynie, która każe piszącemu wyrzekać się zdania i sądu? Pomijam to, że się choć wyrzekać chcą, to wyrzec się nie mogą, i pośrednio, nieraz bezwiednie, swoje zdanie i sąd wyjawiają. Ale chodzi mi o zasadę samą. Ona nietylko nie bywa wykonywana w praktyce, bo jest z natury rzeczy niewykonalną, ale ona jest fałszywa sama w sobie. Dlaczego piszący nie ma powiedzieć otwarcie, co myśli? Na jakiej zasadzie odmawia mu się tego prawa? Że on się mylić może? Że jego zdanie drugiemu może wydać się fałszywem? To nie racya. Każdy może się mylić, bardzo często mylić się musi: a nikt drugi nie jest obowiązany zdanie jego przyjmować na wiarę i iść za nim ślepo. Czytelnik nie ma żadnego obowiązku przyjmować sądy autora, ma wszelkie prawo je odrzucić. Ale żeby autor nie miał prawa myśleć i sądzić, żeby miał być tylko fotograficzną płytą, która odbija, a sama jest nieruchoma, bierna, to nieprawda. Naprzód żaden, nawet kiedy najbardziej chce, nie potrafi, nie może być biernym, bo jest człowiekiem, nie płytą szkła, bo myśli i czuje; jego myśl i uczucie musi zawsze domieszać się do tego, co on pisze. Ale prócz tego on ma prawo powiedzieć, co myśli, dlatego, że jest człowiekiem, że myśli. Ma prawo i sądzić. Ma prawo powiedzieć, że podług jego sumienia to jest dobre a to złe, podług jego rozumu to jest mądre a to głupie, podług jego uczucia to jest piękne a to brzydkie, to szlachetne a to niskie. Czytelnikowi wolno nie iść za jego zdaniem, ale jemu wolno zdanie mieć i wypowiedzieć. Idę dalej i mówię, że to jest nietylko prawem piszących, ale ich powinnością. Niewolno mu, nie godzi się, zmieniać, naciągać, przekręcać, fałszować. Ale mieć sąd i wydać go jest dozwolone, godziwe, a nawet obowiązujące. Istotą i celem naukowej pracy jest prawda: ale prawda nie jest abstrakcyą, ideą, unoszącą się gdzieś wysoko w obłokach. Gdyby taką była, nie dałaby się ani poznać, ani zużytkować. W przystósowaniu tylko i przez nie my ograniczeni ludzie możemy prawdę poznać, ją zrozumieć, nią się przejąć i z niej korzystać. Największe odkrycia przyrodników, wtedy dopiero i przez to mają całą swoją wartość i wagę, kiedy zostały zastósowane do potrzeb życia i nauki. Bez tego zostałyby prawdami martwemi, bez

użytku i ceny. Z odkryciami i prawdami umysłowemi, czy na polu historyi, czy filozofii, czy wreszcie krytyki literackiej, jest tak samo. Przystósowanie prawdy do pewnego zjawiska (faktu czy dzieła) czyli sąd objawiony a należycie poparty o fakcie czy dziele, zbliża teoretyczną abstrakcyjną prawdę do rzeczywistości, czyni ją przystępną, zrozumiałą i pożyteczną«.

Można jednak stać na »starem stanowisku« i trzymać się go z przekonania, a mimo to korzystać z wielu odkryć »najnowszych teoryi«; można nie godzić się na formułki i axiomata Taina, a przecież w wielu razach przyswajać sobie ich niektóre spostrzeżenia i odkrycia. Tak też czyni Tarnowski, który nie należąc do wielbicieli Taina i krytycznie go sądząc — jeszcze przed Weissem i Hennequinem — wcale nie cofa się przed umiarkowanem korzystaniem z jego badawczej metody, przyczem niejednokrotnie sam wypowiada poglądy, które są jakby odbiciem tainowskiej teoryi *du milieu*, teoryi o psychologicznym wpływie czasu i otoczenia. Na teoryę tę — której zresztę Taine nie jest wynalazcą — Tarnowski pisze się w zupełności. Tak n. p. gdy mu wypada roztrząsać kwestyę oryginalności rozprawy Modrzewskiego *O poprawie Rzeczypospolitej*, przypomina przedewszystkiem — i od tego zaczyna swą rozprawę — »że żadne dzieło znaczące nie może być, nie da się pomyśleć, bez związku z czasem i społeczeństwem, wśród którego powstało, w oderwaniu od wyobrażeń i dążeń tego czasu i społeczeństwa, w niezależności od ich wpływu. Korzenie jego i soki żywotne, które w siebie ciągnęło, muszą rozszerzać się daleko poza granice jednego umysłu, inaczej i samo przez się miałoby mniej wartości i wagi, i na świat otaczający mniej wywierałoby wpływu i skutku, i dla późniejszych czasów nie byłoby ważnem i nauczającem świadectwem i pomnikiem swoich«. W rozprawie zaś *O Mickiewiczu*, zaraz na samym wstępie czytamy, co następuje: »Poeta przetwarza, ale nie może stworzyć tego, czego nie było, a w gruncie, z którego on wyrósł, muszą być głębokie pokłady szlachetnych myśli i uczuć, na to, by on mógł dać im wyraz. On je wciąga w siebie, jak roślina żywotne soki, i wyrabia do wyższej potęgi, on wybucha ich wyrazem, on je skupia w sobie, jak soczewka promienie światła, i z siebie rozstrzela na wsze strony; ale on oddaje to, co wziął, tylko wzmocnione, podniesione do wyższej potęgi, wypowiada on jeden, co w niższym stopniu jasności i siły było w milionach serc i umysłów«. Czyż nie to samo głosi teorya Taina? czyż to nie jej zasadniczy punkt wyjścia? [1]).

[1]) W sprawozdaniu z książki M. Zdziechowskiego o *Messyanistach i Słowianofilach* tak pisze Tarnowski: »W przedmowie mówi p. Z. że ideałem krytyki

Ale można nie uznawać metody Taina, a nawet w zasadzie być jej przeciwnikiem, co nie znaczy jeszcze, aby samemu szwankować pod względem metody naukowej, co Tarnowskiemu niektórzy zwolennicy Taina — warszawscy zwłaszcza — zarzucali niejednokro-

byłoby dla niego połączenie Taina z Brandesem, psychologicznej analizy autora i jego narodu, z porównawczem studyum objawów i kierunków pokrewnych u narodów innych. Czy nie zbyt wierzy p. Z. w Taina? czy Taine istotnie robi to, co chce i obiecuje? czy jego formuła, recepta na psychologiczną znajomość ludzi i społeczeństw (pochodzenie i otoczenie) jest dostateczną i wystarcza do rozwiązania tych zagadnień? Zdaje nam się, że zbyt ufnie poddaje się nasz autor tej powadze, w czem — jeżeli domyślać się wolno — domyślalibyśmy się wpływu rosyjskich szkół i nauk, może nauczycieli, uważających Buckla za sam ekstrakt mądrości i prawdy, a w Tainie, jak wiadomo, jest pewna warstwa Bucklowskiego osadu«. Zdając sprawę z pierwszego tomu dzieła Sorela *L'Europe et la Revolution Française*, Tarnowski czyni następującą uwagę: »Gdyby wolno w takich rzeczach stawiać domysły, to przypuścilibyśmy, że Taine nie był bez wpływu na to dzieło. Niejedno jego odkrycie, jest tu już spożytkowane, a choć przedmiot inny, rodzaj i kierunek jest bliski. Przypuścilibyśmy nawet, że może *L'Ancien Regime et La Revolution* dało poniekąd pochop do napisania *L'Europe et la Revolution*, bo to ostatnie wygląda czasem na uzupełnienie i na sprostowanie tamtego. Wszystko, co Taine napisał, jest prawdą, a jednak jego dzieło jest jednostronne; taki był sens, jeżeli nie słowa recenzyi (W. Zakrzewskiego) ogłoszonej w *Przeglądzie polskim*«. Na sąd ten Tarnowski zdaje się godzić, a choć »Sorel nie zbija Taina, nie przeczy mu« to jednak uznając potrzebę książki Sorela, tem samem zdaje się wskazywać na braki dzieła Taina, wynikające z jednostronności. W broszurze *Lud wiejski między ładem a rozkładem*, na str. 24, mówiąc o agitatorach, wichrzących po wsiach, Tarnowski powołuje się na Taine'a, na jego dzieło o *Rewolucyi francuskiej*, i pisze: »Taine słusznie mówi, że nie niema niebezpieczniejszego, jak ogólna idea w mózgu pustym a ciasnym«.

W charakterystyce literackiej Tarnowskiego, ogłoszonej w r. 1893 w *Świecie* po wyjściu monografii o *Zygmuncie Krasińskim*, Stanisław Estreicher doskonale określa stosunek Tarnowskiego do Taina: »Profesor Tarnowski metody Taina nie przyjął nigdy: celem jego badań, skupiającym głównie na sobie jego uwagę, pozostały, jak dawniej, dzieło, pisarz, indywidualność pewna. Jeśli w *Kochanowskim* np. kreśli szeroko i wiernie obraz cywilizacyi, czasu i społeczeństwa, które wielkiego poetę wydało, to dlatego przedewszystkiem, aby zrozumienie genezy poetyckiej *Kochanowskiego* i oświetlenie jego umożliwić. Porównajmy zaś z tem obraz renesansu angielskiego i charakterystykę jego pieśwców, Sidneya lub Spencera, w dziele Taina. Taine szuka w odrodzeniu śladów psychologii narodu angielskiego, a Sidney lub Spencer zajmują go tylko o tyle, o ile są wybitnemi objawami ogólnego stanu. Stosunek między charakterystyką społeczeństwa a pisarza jest więc w jego dziele wprost odwrotny, niż w pracy prof. Tarnowskiego: objawiają się między nimi takie różnice, jak na polu ekonomii między zwolennikiem szkoły socyalnej a wyznawcą manchesteryzmu: z jednej strony poddanie jednostki pod silną centralizacyę społeczną, z drugiej wysunięcie indywidualności na plan pierwszy«. Zdaniem St. Estreichera, jeżeli już mamy szukać jakiegoś porównania, to jeszcze najwięcej cech wspólnych ma Tarnowski z Brandesem (bez żadnej jednak od niego zależności). Ob. *Z powodu najnowszego dzieła prof. St. Tarnowskiego*, str. 84.

tnie. Jeszcze niedawno temu, w jadowitej ocenie szóstego tomu *Historyi literatury polskiej*, zarzucił mu to Chlebowski. Zarzut to gołosłowny, a że tak jest, tego nader przekonywująco dowodzi Stanisław Estreicher, kiedy w swym doskonałym portrecie literackim Tarnowskiego [1]), niesłychanie subtelnie wnikającym w jego właściwości, jako krytyka, tak pisze:

W żadnem z historycznych dzieł prof. Tarnowskiego najostrzejsza nawet krytyka nie odszukała nieznajomości naukowej metody. Czerpie on swoje wiadomości wprost ze źródeł, rozbiera je i ocenia krytycznie, a we wnioskach bywa nawet czasami za ostrożnym. W *Kochanowskim* n. p. którego żywot przedstawia klasyczny teren dla rozwinięcia fantastycznych a afektownych domysłów, jest autor tak powściągliwym, iż w kwestyach spornych woli zestawić wszystkie argumenty, opatrzyć je komentarzami za i przeciw nim przemawiającemi, a od wypowiedzenia własnej hypotezy powstrzymać się w zupełności. Z drugiej strony nikt nie udowodnił mu czerpania materyału z drugiej ręki: owszem, stara się zawsze dotrzeć do źródła. Jedna z jego wielkich zasług jest n. p. oparcie się na bezpośrednim materyale w *Pisarzach politycznych XVI wieku*, które doprowadziło go do wskrzeszenia dla literatury kilku zupełnie zapomnianych i nieuwzględnionych przez dotychczasowych badaczy autorów: Przyłuskiego, Grabowskiego, Wereszczyńskiego. Podstawa spotykanego zresztą czasami zarzutu o braku historycznej metody polega raczej na pozorach, na formie: prof. Tarnowski dąży zawsze do pewnej lekkości i przejrzystości w przedstawieniu najzawilszych i najcięższych kwestyi, a w tym celu odrzuca cały aparat cytat, nazwisk i tytułów, mogących tekst obciążyć. Unika zastanawiania się nad drobiazgami, opracowywania podrzędnych a nie wyjaśnionych dotąd szczegółów, starając się jaknajprędzej dotrzeć w swych badaniach do tego, co nazywamy poglądem ogólnym; a ma rzeczywiście do takich szerokich horyzontów wzrok wyjątkowo uzdolniony i wykształcony. Najlepszym może rozdziałem w wielkiem dwutomowem jego dziele o politycznej literaturze XVI wieku jest ta niezwykle barwna i trafna charakterystyka całego ruchu, która pracę zamyka. Dodajmy do tego styl wytworny, gładki, układający się zawsze — nawet przy rozbieraniu najsuchszych pytań — w pięknie ze sobą powiązane i doborem słów błyszczące okresy, a będziemy mieli kilka powodów, tłómaczących nam, skąd tak niesłuszny zarzut braku historycznej metody w dziełach prof. Tarnowskiego mógł zaczerpnąć swoje pozorne uzasadnienie.

Należy zresztą przyznać, że ściślejsze historyczne dociekania schodzą w jego dziełach zazwyczaj na plan drugi wobec psychologicznych i estetycznych zagadnień, którą to część literackich zadań, z daleko większą predylekcyą traktuje. Psychologiczne portrety rozbieranych przez niego pisarzy należą do najlepszych, jakie w literaturze posiadamy. Ma bowiem wielki dar ożywienia ich trafnem wysunięciem najwybitniejszych cech, utworzeniem z nich ostrych, czasami dość jaskrawych konturów i wlaniem w nie wielkiej dozy własnego odczucia, tak, iż całość ludzi czytelnika rzeczywistością życia. Właściwością jego psychologicznej metody jest to, iż (w przeciwieństwie do Sainte-Beuve'a, z którym łączy go zamiłowanie do tej strony badań) prof. Tarnowski odrzuca chętnie anegdotyczną, biograficzną część materyału. W pierwszym bowiem rzędzie zwykł się opierać na utworach rozpatrywanego przez się autora i w nich odszuki-

[1]) *Świat*, 1893, *Z powodu najnowszego dzieła prof. St. Tarnowskiego*

wać tych danych, które ów pisarz musiał zaczerpnąć w sobie, aby dzieło stworzyć. Słabą stroną jego psychologicznej syntezy jest mniejsza dbałość o przyczyny, pod których wpływem w ten a nie inny sposób charakter się ukształtował. Wyjątkowo tylko zajmuje się prof. Tarnowski takiem wyjaśnieniem: duszę Henryka Rzewuskiego n. p. tłómaczy nam świetnie pewnego rodzaju atawizmem moralnym, jaki nad rodem Rzewuskich od kilku pokoleń ciężył. Ale zazwyczaj pomija takie kwestye milczeniem lub nie dość je uwydatnia: żałować n. p. wypada, iż w jednej z najlepszych swoich charakterystyk, Stanisława Orzechowskiego, wykazując warunki, które się na wytworzenie tego zjawiska złożyły (humanizm), nie uwzględnił tego ważnego czynnika, jak pochodzenie, które w tym wypadku mogłoby wytłómaczyć wiele zagadek, całą n. p. nieskrępowaną niczem bujność tej ognistej i wrażliwej natury [1]). I w tej mierze właśnie różni się prof. Tarnowski od pisarzy nowszych, jak Bourget, który również zwraca ogromną uwagę na charakter pisarza, wciąga jednak równocześnie w obręb swej syntezy wszystkie zdobycze nowożytnej fizyologii i psychologii.

Co do estetyki: wiadomo, że to jest najznakomitsza strona jego studyów. Obok Klaczki nie miał i nie ma w literaturze naszej pod tym względem rywala. Obdarzony od natury ogromną wrażliwością i pobudliwością umysłu, wykształcił w sobie zmysł estetyczny przez wielką znajomość arcydzieł europejskiej literatury. Stąd pochodzi ta delikatność smaku w ocenianiu estetycznych wrażeń, której zawdzięczamy najpiękniejsze karty w jego monografiach i rozprawach o Słowackim, Krasińskim, Schillerze lub Szekspirze. Nie są to bynajmniej suche, silące się na objektywność a wpadające w szkolarstwo oceny. Prof. Tarnowski wychodzi pod tym względem z zupełnie słusznego i przez nowszą estetykę (Veron i Guyau) w całości uznanego i obronionego stanowiska, że rozumowaniem czysto logicznem, wychodzącem z pewnej formuły i rozbijającem na krzyżu wszystko, co w jej granicach się nie mieści, nie można sądzić tak nieujętych, tak subjektywnych objawów ducha ludzkiego, jak dzieła sztuki. Bardzo wyczerpująco i obszernie zastanawia się zawsze nad wrażeniami, jakie w czytelniku t. j. w nim pewne dzieło sztuki budzi, analizując umiejętnie i subtelnie sposoby, któremi autor zamierzonego celu dopina lub dlaczego go nie dopina. Charakterystyczną formą tych analiz jest streszczenie utworu: tak, że szkielet dzieła tworzy również zupełnie analogiczny do siebie szkielet dla spostrzeżeń i uogólnień, dostarczanych czytelnikowi przez krytyka. Wielka łatwość myślenia syntetycznego ułatwia prof. Tarnowskiemu uniknięcie grożącego dla każdego innego umysłu niebezpieczeństwa rozproszenia się i rozbicia się na tej drodze. Jego uwagi są jak rzędy błyszczących kamyków, obok siebie nanizanych: czuć zawsze sznurek, który je trzyma razem i rozpaść się nie pozwala. Przy jakiejkolwiek nadarzającej się sposobności nie zaniedba autor spojrzeć w tył na całość omówionego dzieła, zebrać razem wnioski, wyciągnięte indukcyjnie z rozrzuconych po całej monografii spostrzeżeń, spinając w ten sposób, jakgdyby klamrą, luźny na pozór łańcuch dotychczasowych swych uwag.

Jako jeden z najświetniejszych krytyków literackich swego czasu — nietylko u nas — Tarnowski jest nietylko subjektywistą, jako krytyk, ale nadto ma swój bardzo wyraźny estetyczno-etyczny dogmat, od którego, sądząc dzieło sztuki, nigdy nie odstępuje. Wierny

---

[1]) Czyli, że trzymanie się w tym razie teoryi Taina o wpływie rasy tylko by rozprawie wyszło na dobre.

mu, nie przejmuje się kierunkami, panującemi we współczesnej krytyce zagranicznej, a choć je zna dokładnie, zwłaszcza francuskie (jak tego w *Przeglądzie polskim* dowodzą nader liczne sprawozdania z wybitniejszych dzieł literatury francuskiej, podpisane literami S. T.), to jednak obstaje przy swojem, a co myśli o tamtych, to raz otwarcie napisał w sprawozdaniu o studyach literackich Fagueta i Lemaitra, (których, jako utalentowanych pisarzy, ceni bardzo wysoko) przyczem, w przeciwstawieniu do ich poglądów na kwestye krytyki, wypowiedział swoje własne zapatrywania w tej materyi. Otóż zdaniem Tarnowskiego, krytyka literacka, jeżeli pójdzie tym torem, na jaki ją dziś wprowadzili Lemaitre i Faguet, niewątpliwie w przyszłości ulegnie zasadniczej zmianie, i to tak dalece, że całkiem nie będzie podobną do dzisiejszej, t. j. do tej, która cieszy się jego uznaniem. Czy to będzie metamorfoza na lepsze? To wielkie pytanie. Już sama niesłychana ilość wychodzących książek, ilość, w przeraźliwy sposób wzrastająca z dniem każdym, będzie musiała wpłynąć na zmianę rodzaju krytyki. Tarnowski przypuszcza, że krytyka pokolenia, które po nas nastąpi, z konieczności będzie treściwa, sumaryczna, ogólna. »Szczegóły dzieła, pochwały, choćby najzasłużeńsze jego piękności choćby najznakomitszych, rozprawy nad zaletami i wadami autora czy dzieła, znikną zapewne, a zostaną tylko główne ich rysy. Ten a ten autor ma taki a taki rodzaj talentu i temperamentu. Ta ogólna charakterystyka zdoła nieraz być bardzo trafną i nawet głęboką, jeżeli krytyk będzie miał sam dużo rozumu i talentu; ale czy nie będzie cokolwiek inwentarską i suchą? czy piękne pierwiastki dzieła zdolają przez nią dać się uczuć wyobraźni czytelnika, a pierwiastki złe oburzyć jego sumienie? Czy taka krytyka będzie miała możność i władzę kształcenia czytelnika, rozszerzania jego widnokręgu, ostrzenia jego estetycznego albo i moralnego zmysłu [1]). A oprócz tej zmiany, jaką w krytyce wywołać może nadmierna mnogość książek, zajdzie zapewne i druga jeszcze, pochodząca już z samej głębi zmienionego usposobienia, sposobu myślenia, filozoficznej i moralnej edukacyi i atmosfery społeczeństwa. Dawniej recenzent czy krytyk, miał swoje ideały, dążności, zasady, religijne, moralne, polityczne, estetyczne, w które wierzył, do których był przywiązany silnie, a nieraz fanatycznie. Charakter i dążność dzieła, polityczna, religijna, czy moralna, jego estetyczny kierunek i szkoła, to były rzeczy, o które recenzent przedewszystkiem pytał, które sądził, podług których stopniowało się

[1]) Refleksye te są niezmiernie charakterystyczne dla Tarnowskiego, bo świadczą najlepiej, o co mu głównie chodzi w jego krytykach.

jego uniesienie albo oburzenie. Oczywiście, sam był zawsze zależny od swoich zasad i przekonań, a więc podług nich sądząc, mógł nieraz być niesprawiedliwym lub jednostronnym, ale to stanowisko, z którego na książkę patrzał, dowodziło, że poza książką i ponad książką, były dla niego kwestye i względy wyższe, ważniejsze, dobrego lub złego wpływu tej książki na społeczeństwo, na możliwą przyszłość pokoleń i narodu, na duszę ludzką, jako taką [1]). Dziś już to wszystko przeszło, a przynajmniej zaczyna przechodzić — *vieux jeu!* Krytyk najnowszej szkoły już się o to nie troszczy. On konstatuje fakt: autor X pisze dobrze (lub mniej dobrze) po francusku, zaniedbuje budowę i rozwiązanie swoich powieści, za to ma dużo siły w dramatycznych scenach i przejściach, jest skłonny do melancholii, szczęśliwszy w charakterystyce rzemieślników, niż elegantów z wielkiego świata.. i tak dalej podobnie: inwentarz właściwych autorowi zalet czy niedostatków. Co ten autor myśli, czego chce, jakie jego moralne zasady i prawa, jaka dążność, i jakie (złe czy dobre) tej dążności skutki, dla ludzi w ogólności, a dla Francuzów w szczególności, o tem się nie myśli, a przynajmniej nie mówi. Krytyk jest człowiekiem swego czasu, jest *moderne*, jest przytem objektywny i pozytywny. Wie, że ten pisarz pisze tak, jak myśli, a myśli tak, jak musi. Czy to źle, czy dobrze dla drugich, on temu nie winien i poradzić nie może. A zresztą, któż może wiedzieć co jest złe, a co dobre? Kto ma słuszność, a kto się myli? kto ludziom (czy Francuzom) szkodzi, a kto im pomaga? A gdyby nawet można wiedzieć, i na ten wpływ (dajmy, że zły) jakoś działać, żeby go odwrócić, czy warto? czy się to na co przyda? Najbezpieczniej i najpewniej konstatować poprostu fakta, bo wtedy najłatwiej jeszcze krytyk uniknie pomyłek; nie wdawać się w kwestye i zasady ludzi i Francuzów, bo wtedy człowiek najłatwiej uniknie troski i frasunku« [2]). Pisał to Tarnowski w r. 1888, myśląc o »krytyce pokoleń, które po nas przyjdą«; tymczasem przepowiednia jego ziściła się już dziś, i to, co on określał, jako krytykę przyszłości, jeszcze w naszem dzisiejszem pokoleniu stało się krytyką teraźniejszości, krytyką Lemaitra i Fagueta, a zwłaszcza krytyką Anatola France, krytyką, która nietylko jest objektywną i pozytywną, a głównie psychologiczną, ale przedewszystkiem sceptyczną, bez żadnego dogmatu! To jest fakt, który trzeba skonstatować.

---

[1]) Cały powyższy ustęp wybornie charakteryzuje Tarnowskiego samego, jako krytyka.

[2]) *Przegląd polski*, 1888, IV, 198—9.

Gdy w roku 1891 wyszła niepospolita książka Witkiewicza o *Sztuce i krytyce u nas*, książka na ogół bardzo radykalna w wypowiadaniu swych doktryn estetycznych, Tarnowski poświęcił jej w *Przeglądzie polskim* wyczerpujące sprawozdanie, w którem przy sposobności wypowiedział swoje własne zapatrywania estetyczne, o ile one dotyczą sztuk plastycznych. Od dziecka przywykły do odbierania wrażeń od dzieł sztuki, których piękne okazy, nieraz arcydzieła, mógł podziwiać w Dzikowie najprzód, a później w wielu domach arystokratycznych krakowskich, doskonale obeznany ze wszystkiemi galeryami Wiednia, Paryża, Madrytu, Rzymu, Florencyi, Drezna, a nadto zaprzyjaźniony z wieloma najwybitniejszymi artystami naszych czasów, z Matejką, z Grottgerem, z Rodakowskim, z Kaplińskim, z Guyskim, z Welońskim, z którymi obcowanie — często na tle ich pracowni — musiało wywierać nader korzystny wpływ na jego znawstwo w rzeczach malarstwa i rzeźby, Tarnowski — jak tego nieraz dowiódł w swych ocenach obrazów Matejki — bardzo subtelnie odczuwa piękno plastyczne, ma wielką wrażliwość na dzieła sztuki, słowem zna się na malarstwie, posiada szczęśliwy zmysł, który mu pozwala odczuwać piękno w sztuce. Ale skromny z natury — może aż do przesady — bez cienia zarozumiałości w tym kierunku, nie ma pretensyi, żeby budować na jego zdaniu w rzeczach malarstwa i rzeźby, o czem sam bardzo dowcipnie pisze w ten sposób: »Nie mamy prawa zdania swego uważać za pewne i nieomylne; tem mniej drugim je narzucać. Ale człowiek, który ma oczy i rozsądek, który przez te oczy odbiera jakieś (nieraz bardzo żywe i silne) wrażenia z dzieł sztuki, a przez ten rozsądek dochodzi i wie, dlaczego jedno dzieło wprawia go w zachwyt, a drugie w gniew, taki człowiek jakieś zdanie o sztuce mieć musi, choćby sam nie wiedział i nie chciał. W jego zdaniu zaś może się znaleźć jakieś źdźbło prawdy, właśnie dlatego, że zdanie to nie jest preparowane, nie zamącone uprzedzeniami, płynącemi czy z teoryi czy z praktyki, że się opiera na szczerej i pierwotnej świeżości wrażeń i na prostym zdrowym rozsądku. Nie mamy uroszczenia, iżby ktokolwiek zważał na nasze zdanie tak, jak zważał Molière na zdanie swojej kucharki; ale czujemy w sobie te same pierwiastki i warunki sądu, jakie miała kucharka Molière'a; a że Molière jej słuchał, to nam starczy za dowód, że zdanie kucharki może czasem być dobrem«. Przyznaje się Tarnowski, że »w swoim czasie czytał w pocie czoła *Estetykę* Hegla«, z której zrozumiał bardzo mało, może nic zgoła, lecz mimo to pod pewnym względem ma bardzo wyraźnie sformułowane przekonania estetyczne. Tak n. p. nie wierzy, żeby całem zadaniem i istotą sztuki była

prawda. Jego zdaniem, prawda jest koniecznym pierwiastkiem i warunkiem sztuki, ale jej istotą i celem jest piękność. »Ta piękność ma najrozmaitsze, nieskończone objawy, formuły i rodzaje; każdy artysta może ją według swojej natury i zdolności inaczej czuć i oddawać, inną jej stronę widzieć, ale każdy musi ją w swoje dzieło wcielić, jeżeli dzieło ma być dziełem sztuki. Gdyby dochodzenie i pokazanie prawdy samej miało być istotą i kresem sztuki, sztuka nie miałaby swojego osobnego bytu ani jego racyi, nauka spełniałaby cel zupełnie. A jeżeli nam kto zarzuci, że zadaniem sztuki jest plastyczne pokazanie prawdy, do którego nauka zdolną nie jest, to w takim razie odpowiemy, że niepotrzebne byłyby ani obrazy, ani posągi, bo temu celowi odpowiadają różne preparaty w muzeach anatomicznych; trzebaby tylko zastosować ich proceder do wielu innych przedmiotów, tak, jak jest zastosowany do ludzkiego ciała. My myślimy, my prości ludzie, którzy za istotę sztuki uważamy piękność, że sztuka każda jest p o e z y ą, jest t w o r z e n i e m, i o tyle sztuką, o ile ten pierwiastek twórczości, tworzenia, w sobie ma. On to, na prawdzie natury oparty, i z nią złączony koniecznie i nieoddzielnie, ale nie ten sam, co ona, daje nam sztukę. We wszystkich jej gałęziach i formach i stopniach być może: w Łazienkowskim pałacyku, jak w Strasburskiej katedrze, w piosnce Schuberta jak w symfonii Beethovena, w kredce Grottgera jak we fresku Rafaela, ale we wszystkich być musi, jeżeli sztuka ma być sztuką. My prości ludzie, których pogardliwie nazywają idealistami, nie myślimy wcale, iżby idealny poetyczny charakter sztuki zależał wyłącznie od przedmiotu, iżby idealistą był tylko ten malarz, który maluje świętych i bohaterów; to jest głupstwo, które nam łaskawie i wspaniałomyślnie pożyczają, ale którego my nie myślimy i nie mówimy. Ale co myślimy naprawdę i zacięcie, namiętnie, to, że niema sztuki i niema artysty bez poezyi. Ta poezya może być wszystkiem, w najpotoczniejszych, najpowszedniejszych objawach życia; przypuszczamy i rozumiemy ją doskonale w hulatykach i pijatykach holenderskiego kiermaszu, i w powszedniości holenderskiego domowego życia, choć nie przeczymy, że widzimy ją wyższą, wznioślejszą, w *Widzeniu Ezechiela* albo w *Prorokach* Michała Anioła. Prosimy tylko o to, żeby ona była; a gdzie jej niema, gdzie jej nie widzimy w dziele, a nie czujemy w duszy artysty, tam mówimy, że jest technicznie dobre (mniej lub więcej dobre) naśladowanie natury, ale że autor jest wyćwiczonym i biegłym rzemieślnikiem sztuki, nie artystą«. I n d y w i d u a l n o ś c i artysty przyznaje Tarnowski zupełne prawo do swobody, chodzi mu o samodzielność i oryginalność jaknajwiększą, tylko pod jednym wa-

runkiem, żeby w niej był pierwiastek twórczy, to, co Grecy nazywali *poiesis*. Co się zaś tyczy nowoczesnego t. zw. impresyonistycznego malarstwa, które o niczem niby, poza naturą i prawdą słyszeć nie chce, to nie odpowiada ono, zdaniem Tarnowskiego, założeniu, z którego wychodzi, lecz je nakręca i naciąga do własnych pojęć, upodobań, czy interesów. »Bo czy istotnie ta prawda natury, jak ją oddają najnowsi malarze, naturaliści, impresyoniści, *pleinairzyści* (przepraszamy za barbarzyńskie słowo), czy ona jest prawdziwą? Wierzymy, że jest, ale tego nie widzimy; i sądzimy (bez żartu i szczerze), że to, co malarzowi wydaje się prawdziwem i takiem niewątpliwie być musi, innemu człowiekowi wydaje się nieprawdziwem i nienaturalnem, a ten człowiek także ma słuszność. Różnica wynika ze sposobu patrzenia i każdy z nich inaczej patrzy na przedmiot i inaczej go widzi. Malarz przygląda się, obserwuje każdy punkt przedmiotu, a na tym punkcie każdą grę koloru, światła i cienia; nie patrzy przez lupę, ale patrzy tak dokładnie, jakżeby robił mikroskopowe badania. Zwykły człowiek tymczasem widzi ogół przedmiotu, jego kontur, jego kolory, ale nie dostrzega, nie uważa, nie pamięta tych wszystkich plam, które składają powierzchnię rzeczonego przedmiotu; a stąd wynika, że kiedy je zobaczy w obrazie, nie rozumie ich i ma je za nieprawdziwe. W portrecie naprzykład malarz odda całą grę światła i cieniów, jak ją na danej twarzy pod danym kątem oświetlenia widział, i jaką ona w istocie była. Ale widz, który zna tylko cerę człowieka i ogólny efekt światła albo cienia, myśli, że ma przed sobą portret człowieka brudnego, który się od całych tygodni nie umył. Zdaje nam się poprostu, że dzisiejsi malarze (niektórzy) doskonale analizują grę świateł i cieniów, ale że w tej analitycznej obserwacyi zatopieni, syntezę, ogólny rezultat, harmonię tych świateł i cieniów niezawsze widzieć i oddać umieją. Te znowu krajobrazy, które mają być ostatnim i doskonałym wyrazem prawdy, są częstokroć mozajką plam żółtych, zielonych i wszystkich innych, plam, z których każda oddziela się od sąsiedniej tak starannie, tak sztywnie i twardo, jak w mozajkach prawdziwych kawałki kamienia czy masy, i nigdy z tą drugą harmonijnie nie łączy się i nie zlewa; i ta mozajka malowana ma często tyle życia i prawdy, tyle ruchu, co kamienna. Może to natura, ale natura obserwowana przez lupę, i analizowana, a nie widziana i odtworzona w całości swoich harmonijnych, cudownych efektów. Biedna natura, wielka artystka, która wszystko właśnie harmonizuje, wszystkie sprzeczności umie godzić, gdyby mogła, wydałaby takim swoim wielbicielom i naśladowcom proces o oszczerstwo. Przegrałaby może sprawę przed

dzisiejszymi przysięgłymi, opanowanymi i zaślepionymi modną doktryną; ale niemniej ona miałaby dobrą sprawę i słuszność«. I prawda, i piękność ma swoje jestestwo własne, jest niezmienna i bezwzględna; tylko w zastosowaniu, przechodząc przez umysł ludzki — i przez temperament artysty — względną się staje, a zupełną nie jest nigdy. Umysł ludzki zaś posiada własność sofistycznego łudzenia siebie samego i wytłómaczy sobie zawsze, że prawdą i pięknością zupełną jest ta, którą on pojmuje, lub którą oddać jest zdolny. Wyobraźni, twórczości, poezyi, ma się mało: tysiączne wpływy złożyły się na to, by na pewien czas przynajmniej wysuszyć jej źródła. Nie mając ich w sobie, i czując to instynktem, mówi się, że piękność, jako taka nie istnieje. Ale w braku poezyi i twórczości, ma się żywy, czynny i wyostrzony zmysł obserwacyi i analizy; a że ten służy rzeczywiście do poznania prawdy, więc prawdę ogłasza się za podstawę i duszę sztuki. Stąd dzieła, do których wystarcza obserwacya i technika, robi ta sztuka dobrze, czasem znakomicie, jak n. p. niektóre portrety, ale wszędzie tam, jak n. p. w krajobrazach, albo w scenach ludzkich, gdzie sama obserwacya już nie wystarcza, gdzie malarz musi być poetą, jeżeli ma sam uczuć i dać czuć widzowi wrażenie przedmiotu i chwili, jakie chce oddać, już ten stopień dobroci jest rzadszy. Jakoż wogóle zauważyć się daje, według Tarnowskiego, że w najnowszem malarstwie jest bardzo wiele zalet, a mało piękności. Sama technika nie wystarcza; choć z drugiej strony i przedmiot najwznioślejszy, wymalowany źle, bez dobrego technicznego wykonania, będzie wart mniej, niż dobrze wymalowany obraz z przedmiotem powszednim. Za to przy równej doskonałości wykonania, różne obrazy robią na nas wrażenie różne, głębsze lub przelotne, wzruszające albo obojętne, w miarę, czy ich przedmiot jest wysoki, szlachetny, lub powszedni i płaski, i w miarę, czy sam sposób ich wykonania jest do takiego przedmiotu zastósowanym. Wyobraźmy sobie n. p. doskonale, przez mistrza takiego, jak Leonardo da Vinci, wymalowaną głowę kapusty, głowę człowieka i głowę Chrystusa. »Na głowę kapusty — powiada Tarnowski — patrzę, może jestem złudzony, jak ptaki winogronami Zeuksisa; podziwiam, uśmiecham się, mówię »co za doskonała głowa kapusty«, odchodzę i więcej o tej głowie nie myślę. Ale kiedy patrzę na głowę Monny Lizy, to podziwiam nietylko fizyczne życie ciała i doskonałość roboty, ale w jej spojrzeniu i uśmiechu szukam prawdy jej myśli i duszy; chciałbym odgadnąć, wyrozumieć, co ona sobie myśli, czego chce, co zrobi, jak wyjdzie z pracowni malarza i wróci do swego zwykłego życia. A ta doskonałość roboty, ta prawda i potęga życia, ta tajemnicza dusza ludzka, przez malarza zaklęta w li-

nie i kolory, nie wyjdzie mi z pamięci nigdy. Mogę być o sto mil od Monny Lizy i nie widzieć jej przez lat pięćdziesiąt, a kiedy o niej pomyślę, zawsze ją zobaczę przed sobą, jak żywą, i zawsze zapytam: »o czem ty myślisz? co znaczy ten twój uśmiech? czy jest spokojny i pogodny naprawdę, czy zdradny jak bezdenna toń pod gładkiem zwierciadłem jeziora?« Wrażenie będzie inne, i wyższe, niż przy głowie kapusty; a inne i wyższe, nie skutkiem wykonania, bo to przypuszczamy równie doskonałem, tylko z mocy wyższego przedmiotu. A teraz weźmy głowę Pana Jezusa z *Brery*. Ta mi powie znowu coś innego, aniżeli głowa Monny Lizy. Ona powie, że Bóg, kiedy wziął na siebie ciało ludzkie, patrzał ludzkiemi oczyma, mówił ludzkiemi usty, a w tych kształtach miał swoją boską duszę, to ta dusza, ludzką naturą ograniczona, do niej przykuta, jej organami się wyrażająca, musiała wyrazami twarzy być do ludzkiej duszy podobną, ale od niej przez wszystkie swoje przymioty nieskończenie wyższą. Ta nieskńczoność w ciele ludzkiem musiała się ograniczyć, nałożyć sobie skończoność. Ale o ile dusza Boga może się zmieścić w ludzkiem ciele i przez organa tego ciała się wyrażać, o ile człowiek może wyobrażać sobie i oddać duszę Boga z jej przymiotami, a w połączeniu z ludzkim przymiotem cierpienia, o tyle ją uczuł, odgadł i oddał mistrz w tej głowie Chrystusa. Wrażenie będzie znowu inne, i znowu wyższe, niż przy głowie Monny Lizy«. A jak są różnice, i stopnie wrażeń, zależne przy równej dobroci wykonania, od przedmiotu, od treści obrazu, podobnie zaprzeczyć się nie da — cokolwiekby o tem mówili moderniści — że istnieje również i stopniowanie między dziełami sztuki i artystami. »Głowa kapusty może być równie dobrze wymalowana, jak głowa człowieka lub głowa Chrystusa; ale malarz, który tylko dobrze obserwuje i dobrze oddaje grę światła i kolorów na zmiętych powierzchniach kapuścianych liści, będzie malarzem, technicznie może równie dobrym, ale mniejszym od tego drugiego, który ma dość rozumu na to, by przeniknął i oddał zrozumiale charakter głowy ludzkiej; cóż dopiero od tego trzeciego, który ma dość natchnienia i wyobraźni na to, by pojął i oddał uczucia w ich najwyższej możliwej potędze. Ta różnica jest we wszystkich sztukach. Walc może być tak dobrze skomponowany podług praw harmonii, jak symfonia, operetka jak opera; a jednak Strauss nie będzie nigdy równym Beethovenowi, ani Offenbach Mozartowi. Wierzymy zupełnie, że obrazy powinny być sądzone ze stanowiska malarskiego i podług swojej malarskiej wartości, ale na to nikt nie poradzi, że głowę Monny Lizy świat będzie cenił zawsze wyżej, niż głowę kapusty, a *Wieczerzę* Leonarda wyżej, niż najdo-

skonalszy *Kiermasz* Teniersa«. W kwestyi stylu i smaku, na które tak powstawano w ostatnich czasach, Tarnowski uważa, że one stanowią przyrodzony warunek, organiczną część samej istoty dzieła sztuki. Artysta, który nie ma poczucia stylu, albo grzeszy brakiem smaku, nigdy nie stworzy rzeczy niepospolitej. Na to niema rady. Twierdzenie to uzasadnia Tarnowski w następujący sposób: »My, którzy piszemy artykuły albo rozprawy, którzy zatem do artyzmu i poezyi nie możemy mieć żadnej pretensyi, musimy przecież bez swojej wiedzy i woli mieć jakiś styl, i zachować go w tem, co piszemy. Nie od nas zależy użyć tego lub owego: on powstaje równocześnie i nierozdzielnie z pomysłem, który w naszych głowach poczyna się i kształci. Jeden i ten sam człowiek inaczej napisze dajmy na to mowę pogrzebową, a recenzyę ostatniej komedyi, inaczej broszurę polityczną, a inaczej rozprawę naukową. Słów będzie używał tych samych, ale bez swojej woli ułoży te słowa w inny tok, w inne zwroty. Jego usposobienie, jego uczucie, stan jego umysłu, jest przy każdej z tych robót inny: i ta różnica sprawia, że to, co ten człowiek napisze, będzie w każdym z rzeczonych przypadków miało inny ton, inny sposób działania na czytelnika, inny styl. On się nad tem nie namyśla, ani nie wybiera stylu, którego użyje; to się robi samo przez się, siłą wrodzonej i koniecznej harmonii między treścią a formą, między myślą a słowem, które ma być jej właściwym i stosownym wyrazem. Otóż jeżeli my, nie-artyści, z naszemi pismami, które dziełami sztuki nie są, podlegamy koniecznie temu prawu stylu, to w mierze jeszcze nierównie większej muszą prawu temu podlegać ci, którzy tworzą swoją wyobraźnią, którzy z piórem czy pędzlem, czy dłutem w ręku, są (a przynajmniej mają być) poetami, których dzieł istotą, naturą i przeznaczeniem, jest piękność. Zastosowanie kształtu i sposobu jego wykonania do przedmiotu, zgodność i harmonia między jednem a drugiem, musi być dla artystów i dzieł sztuki prawem, conajmniej tak obowiązującem, jak dla nas prostych rzemieślników pisarskiego zawodu; i musi dla nich, jak dla nas, być integralną, organiczną, przyrodzoną częścią tworzenia, niezależną od ich woli, ale zależną od natury ich pomysłu, od rozmiarów i od materyału ich dzieła. Każdy styl może być dobrym, ale nie każdy będzie zawsze dobrze na właściwem miejscu użyty i zastosowany. Mała figurka pudrowanej pasterki wydaje się bardzo ładnie w porcelanie, i z pewnością miał talent ten, co jej model z gliny ulepił. Ale spróbujmy tę pasterkę powtórzyć w naturalnej wielkości i odlać w bronzie, a będzie potworna. Naodwrót spróbujmy zrobić małą redukcyę *Mojżesza* i odlać ją z porcelany, a będzie śmieszna, bo przedmiot

i styl będzie w sprzeczności z materyałem. Z malarstwem jest podobnie. Są na świecie bardzo ładne pastele i bardzo ładne miniatury, ale pastelami robiona kopia jakiego *Proroka* lub jakiej *Sybilli*, ale miniatura z *Kany Galilejskiej* Veroneza byłaby śmieszna. I tak samo śmiesznym byłby pomysł Teniersa malowany stylem Rafaela, albo (żeby bliżej porównania szukać) pomysł Grottgera oddany sposobem i środkami Chełmońskiego. Wszystko to na dowód, że natura talentu i wyobraźni artysty, że natura i przedmiot jego pomysłu, a w dodatku te środki mechaniczne, które on ma w ręku, składają się razem na wyrobienie przyrodzonego charakteru i piętna, jakie ma i dzieło samo i sposób jego wykonania, czyli stylu tego dzieła. A co do smaku? Ten biedny smak jest bardzo śmieszny, bardzo szkodliwy, i bardzo niesmaczny, kiedy jest źle zrozumiany i źle stosowany. Ale nie idzie zatem, iżby go nie było, iżby on nie miał swego bytu i prawa do bytu, żeby nie był potrzebnym. Smak, którego my określić, czem jest, nie umiemy (zdaje nam się, że jest poprostu trafnym zmysłem piękności), sprawia właśnie, że artyści jedni robią rzeczy piękne, a drudzy brzydkie (niektórzy rzeczy bardzo znakomite, brakiem tego przymiotu psują czasem i szpecą), a my prości ludzie, jedni bierzemy rzeczy brzydkie za piękne, a drudzy nie. Bezwzględnym ani nieomylnym on nie jest u żadnego z ludzi, reguły i prawa jeżeli ma, to one dotąd odkryte i opisane nie są; ale on sam jest, i jest potrzebny, i musi być we wszystkiem, co ma jakąkolwiek styczność z pięknością, z jej różnemi formami i zjawiskami, od najpotoczniejszych, jak ubranie lub ustawienie sprzętów w pokoju, aż do najwyższych, jak arcydzieła sztuki«.

Tym dobrym smakiem zawsze się odznaczało wszystko, cokolwiek wyszło z pod pióra Tarnowskiego. Przyznają mu to wszyscy, nie wyłączając krytyków z przeciwnego obozu. Zdaniem Chmielowskiego posiada Tarnowski »poczucie estetyczne tak wyrobione, jak mało kto z piszących dzisiaj u nas o dziełach sztuki«. Pozostało też ono — obok poczucia moralnego — głównem źródłem sądów Tarnowskiego. Czy sądy te są zawsze bezstronne? W każdym razie są takiemi w przekonaniu autora, który stara się oddać każdemu, co mu się należy. A że dla jednych autorów, jak dla Krasińskiego, jest łaskawszy i wyrozumialszy, niż dla drugich, jak n. p. dla Pola, na to niema rady, to każdemu wolno, to jest ludzkie. Byle było pisane szczerze i z przekonania. A pod tym względem Tarnowski jest bez zarzutu. To też nie ma racyi Chmielowski, gdy Tarnowskiemu zarzuca stronność w jego krytykach — o ile przez stronność rozumiemy świadome wydawanie sądu niezgodnego z najgłębszem przeświad-

czeniem — ale ma słuszności wiele, gdy pisze, »że »gdyby się Tarnowski zawsze trzymał tylko swego poczucia estetycznego, tobyśmy mieli, jeżeli nie bardzo głębokie, nie bardzo zdumiewające swą świeżością, to w każdym razie niepomiernie trafne, ślicznie sformułowane, ujmująco wypowiedziane sądy krytyczne o rzeczach piękna; bo gdzie tylko żaden inny czynnik nie mąci autorowi czystego zdroju uwielbienia dla dostrzeżonych piękności, tam otrzymujemy arcydzieła takie, jak rozbiór *Pana Tadeusza*, *Nieboskiej Komedyi*, *Mazepy*, *Niepoprawnych*" [1]).

Zarówno Chmielowski, jak i inni krytycy, którzy pisali o Tarnowskim, wszyscy godzą się na jedno, że jest świetnym stylistą. Brückner nazywa go »spadkobiercą stylu Klaczki«, co jest najwyższą pochwałą, jaka tylko być może; Chmielowski nie waha się powiedzieć o jego pracach, że są »stylowo świetne«. Jakoż istotnie pod tym względem nie może być dwóch zdań: styl Tarnowskiego, wykwintny a pełen prostoty, nadzwyczaj gładki i potoczysty, żywy i pełen barwy, nierzadko błyskotliwy, pełen nieraz poetycznego polotu, obfitujący w pięknie rozwinięte porównania, niepozbawiony tonów rzewnych i miękkich, to znów stalowo zimny w ironii, namiętny w inwektywie, piorunujący i niemiłosierny w oburzeniu, a w swych najbardziej charakterystycznych cechach wzorowany na Macaulayu i Klaczce, którym często dorównywa, sprawia, że kiedy się wylicza najznakomitszych stylistów i prozaików polskich, od Skargi do Sienkiewicza, zawsze wśród najpierwszych, a obok Klaczki, wymienia się i Tarnowskiego. »W formie jego — pisze Stanisław Estreicher — zastanawia przedewszystkiem błyszczący styl, wykazujący pewne zbliżenie z utworami Klaczki. Łączy go n. p. z Klaczką wielka misterność w użyciu cytaty, którą mnie spoić w jedną nierozdzielną całość ze swojem zdaniem, tak, że zwrot obcy wygląda wpośród jego słów, jak kosztowny kamień, oprawiony dla podniesienia blasku w jasny kruszec. Kunsztowność formy prof. Tarnowskiego polega dalej na umiejętności układania okresów długich a przejrzystych, przerywanych i ożywionych często wtrącanemi zdaniami krótkiemi, urywanemi, w które najczęściej autor lubi włożyć — niejako mimochodem — swoje osobiste wrażenie lub zapatrywanie. Język jego — oprócz kilku stale powtarzających się błędów — jest bardzo piękny i czysty; panuje nad nim autor doskonale, naginając go od wzniosłości i patetyczności aż do uszczypliwości i ironii. To panowanie nad formą pozwala mu w polemikach być czasami okrutnym może,

[1]) *Dzieje krytyki literackiej w Polsce*, str. 388.

przeszywającym przeciwnika nawskróś ironią, jak szpadą, czasami znowu druzgocącym go siłą i gwałtownością wyrażenia, ale chroni od wykroczeń i przebrania miary w obu kierunkach, od złośliwości i brutalności. Jednym ze słusznych zarzutów, czynionych zewnętrznej stronie jego prac, jest spotykana czasami rozwlekłość wyrażenia. Lubi on swe sądy oblekać, dla lepszej dobitności, w grupy coraz to nowych słów, wyczerpując w ten sposób i określając dokładnie wszystkie odcienia możliwe tego, co chciał wypowiedzieć«. Inną słabą stroną stylu, a raczej sposobu pisania Tarnowskiego, jest pewien brak umiarkowania, gdy chodzi o wykazanie zalet i wad w danem dziele. Zdarza się wtedy Tarnowskiemu, że z jednakim ferworem pisze o jednych i o drugich, tak, że często z jednej ostateczności wpada w drugą, że przeholowawszy w pochwałach, jednocześnie i w naganie idzie za daleko. Bardzo trafnie charakteryzuje go — i usprawiedliwia zarazem — pod tym względem Władysław Łoziński w krytyce jego książki o Henryku Rzewuskim: »Wypadanie z tonu i miary — czytamy tam — tak w pochwale jak w naganie, tłómaczy się wrażliwością, która jak stwarza znawcę i krytyka, tak znowu zabija go, jeśli nie jest trzymana na wodzy, a którą to estetyczną wrażliwość prof. Tarnowski posiada w wysokim stopniu. Piękna rzecz tak mu się szybko podoba, tak mu się mocno podoba, że z entuzyazmem nawskróś estetycznej duszy, z pewnem radośnem uniesieniem dzieli się wrażeniami ze swoim czytelnikiem, ale za to i indygnacya jego jest ciężką indygnacyą, tak ciężką, że bywa czasem nawet niesprawiedliwą. Dodajmy do tego głęboki i wielce drażliwy zmysł etyczny, a zrozumiemy te pozorne sprzeczności, jakie spotykamy w sądach hr. Tarnowskiego. Za estetykiem, a nawet co więcej, tuż obok estetyka stoi moralista, który czuje, że sama sztuka dla sztuki to zbytek, którego w naszem położeniu pozwolić sobie nie możemy, co się pierwszemu podoba, tem się drugi czasem oburza, a obaj mówią i razem, i równie szczerze, i równie silnie, i równie pięknie. Dlatego nie można się dziwić, że ta sama książka, w której Rzewuski jest »wielkim artystą«, w której co do powagi i wysokości tonu nie wyrówna mu żaden nowellista na świecie, w której są figury wykonane z talentem mickiewiczowskim, w której podziwiać należy »ukrytą, ale mistrzowską sztukę w największej prostocie środków«, że ta sama książka jest »fałszywą i złą«. I estetyk i moralista mogą mieć obaj racyę, ale lepiejby było, aby nawzajem nie odbierali sobie głosu, aby drugi mówił dopiero wtedy, kiedy już pierwszy skończył«.

»Ale doskonałość nie jest udziałem człowieka — słowa są Chmielowskiego — Tarnowski zaś tak gorąco ukochał swój przedmiot, tak

gorliwie przez lat z górą trzydzieści go uprawiał, tak świetnie umie przemawiać o wielkich arcydziełach poezyi naszej, że wady i błędy, że braki i niedostatki jego umysłu czy jego talentu nie zdołają zagłuszyć wielkich jego przymiotów. A *Historya literatury polskiej*, którą nas obdarował, jest, pomimo licznych usterek, nietylko najlepszem jego dziełem, ale jednem z tych, co stanowić będą chlubę naszego piśmiennictwa i bardzo obfitą, pięknie podaną karm' duchową. I w niej wprawdzie nie przestał być rzecznikiem swego obozu, ale więcej, niż w którémkolwiek innem dziele, przemawiał przedewszystkiem jako Polak, radośnie opowiadający o chwałach narodu i najgoręcej życzący mu pomyślnego nadal rozwoju«.

Tak o nim pisał przed paru laty w ostatniej swej książce Chmielowski, a kiedy — dla uzupełnienia tej objektywnej charakterystyki — szuka się treściwego wyrazu, któryby godnie odpowiedział niepospolitej indywidualności autora *Pisarzy politycznych*, jako tego, co »w trosce wielkiej patrzy dookoła, złe z dobrem ważąc na sumienia szali«, wówczas przypomina się wiersz Szujskiego, którego dwie strofy, choć pisane w innej myśli, znakomicie w sobie zawierają całą duchową istotę Tarnowskiego.

Albowiem i on nadewszystko »kocha myśl wyższą, co nad nim ulata«:

On prawdy zdobytej trudem życia strzeże,
On pragnie mieć w życiu, co w myśli i wierze;
Ku celom wysokim zwrócony skwapliwie,
Nie kocha się łatwo, bo kocha prawdziwie.

Kocha zaś nadewszystko to, »co chce mieć gwiazdą na ojczystem niebie«:

Więc siłę tę wielką, co w wierze i cnocie,
Więc pomoc tę dzielną, co w ducha robocie,
Więc chwałę tę świetną, co w piękna uprawie,
Więc zdrowie narodu, co w mężów postawie!



ERRATA:

Tom I. str. 240,	wiersz 2-gi od dołu:	zamiast:	Neusdorf;	czytaj:	Mensdorf.
Tom I, » 249,	» 4-ty od góry:	»	w kazamach;	»	w kazamatach.

